

Stanisław Lem
Dzienniki Gwiazdowe

Spis treści

Podróż siódma
Podróż ósma
Podróż jedenasta
Podróż dwunasta
Podróż trzynasta
Podróż czternasta
Podróż osiemnasta
Podróż dwudziesta
Podróż dwudziesta pierwsza
Podróż dwudziesta druga
Podróż dwudziesta trzecia
Podróż dwudziesta czwarta
Podróż dwudziesta piąta
Podróż dwudziesta ósma
Ze wspomnień Ijona Tichego I
Ze wspomnień Ijona Tichego II
Ze wspomnień Ijona Tichego III
Ze wspomnień Ijona Tichego IV
Ze wspomnień Ijona Tichego V (Tragedia pralnicza)
Zakład doktora Vliperdiusa
Doktor Diagoras
Ratujmy komos
Kongres Futurologiczny
Profesor A. Dońda
Pożytek ze smoka
Spór między Munchausenem a Guliwerem

PODRÓŻ SIÓDMA

Gdy w poniedziałek, drugiego kwietnia, przelatywałem w pobliżu Betelgeuzy, meteor, nie większy od ziarna fasoli zwanej Jaśkiem, przebił pancierz, strzaskał regulator ciągu i część sterów, wskutek czego rakieta straciła zdolność manewrowania. Włożyłem skafander, wyszedłem na jej powierzchnię i próbowałem naprawić urządzenie, ale przekonałem się, że aby przykręcić rezerwowy ster, który wziąłem ze sobą przezornie, potrzebna mi jest pomoc drugiego człowieka. Konstruktorzy zaprojektowali raketę tak nierozsądnie, że ktoś musiał przytrzymać kluczem główkę śruby, podczas kiedy ktoś drugi dociągałby mutrę. Zrazu nie przejąłem się tym szczególnie i kilka godzin straciłem na usiłowaniach przychwycenia jednego klucza stopami, podczas gdy ręką dokręcałbym śrubę z drugiej strony. Ale minęła pora obiadu, a wysiłki moje nie dały rezultatu. Kiedy raz już mi się prawie udało, klucz wyskoczył spod stopy i pomknął w przestrzeń kosmiczną. Tak więc nie tylko niczego nie naprawiłem, ale straciłem jeszcze cenne narzędzie i tylko patrzyłem bezsilnie, jak oddala się, coraz mniejszy na tle gwiazd.

Po jakimś czasie klucz wrócił po wyciągniętej elipsie, ale choć stał się sputnikiem rakiety, nie zbliżał się do niej na taką odległość, bym go mógł odzyskać. Wróciłem więc do wnętrza rakiety i spożywając skromny posiłek, rozważałem, w jaki też sposób wydobyć się z głupiego położenia. Statek leciał tymczasem prosto z coraz większą szybkością, bo i regulator ciągu popsuł mi ów przeklęty meteor. Na kursie nie miałem wprawdzie żadnych ciał niebieskich, ale ta ślepa podróż nie mogła wszak trwać w nieskończoność. Jakiś czas opanowywałem gniew, ale gdy biorąc się po obiedzie do mycia talerzy stwierdziłem, że rozgrzany od potężnej pracy stos atomowy popsuł mi najlepszą porcję polędwicy wołowej, jaką zostawiłem w lodówce na niedzielę, straciłem na chwilę równowagę ducha i miotając najokropniejsze przekleństwa, rozbiłem część serwisu, co

przyniosło mi wprawdzie pewną ulgę, nie było jednak zbyt rozsądne. W dodatku wyrzucona za burtę wołowina, zamiast ulecieć w dal, nie chciała opuścić pobliża rakiety i krążyła wokół niej jako drugi sztuczny satelita, powodując regularnie co jedenaście minut i cztery sekundy krótkotrwałe zaćmienie słońca. Aby uspokoić nerwy, obliczałem do wieczora elementy jej ruchu jak również perturbacje orbity, wywołane krążeniem utraconego klucza. Wypadło mi, że przez najbliższych sześć milionów lat wołowina będzie wyprzedzała klucz, wirując wokół statku po torze kołowym, aby potem go prześcignąć. Na koniec, zmęczony rachunkami, położyłem się spać. W środku nocy wydało mi się, że ktoś potrząsa mnie za ramię. Otworzyłem oczy i zobaczyłem pochylonego nad łóżkiem człowieka, którego twarz była dziwnie znajoma, choć nie miałem pojęcia, kto to może być.

- Wstawaj - powiedział - i bierz klucze, pójdziemy na górę i przykręcimy śruby sterowe...

- Po pierwsze, nie znamy się tak dobrze, abys mię pan tykał - odparłem - a po wtóre, wiem doskonale, że pana nie ma. Jestem w rakiecie sam, i to już drugi rok, bo lecę z Ziemi do gwiazdozbioru Cielca, Tak zatem, jest pan tylko sennym przywidzeniem.

On jednak nadal potrząsał mną, powtarzając, abym zaraz szedł z nim po narzędzia.

- Idiotyzm - odrzekłem, już trochę zły, bo obawiałem się, że kłótnia we śnie mnie obudzi, a wiem z doświadczenia, jak ciężko zasypia mi się po takim nagłym ocknięciu.

- Nigdzie nie pójde, bo to i tak byłoby na nic. Śruba, przykręcona we śnie, nie zmieni sytuacji, jaka panuje na jawie. Proszę nie molestować mnie i natychmiast rozplynać się lub odejść w inny sposób, bo się mogę zbudzić.

- Ależ ty wcale nie śpisz, daję ci słowo honoru! - zawołał uparty zwid. - Czy nie poznajesz mnie? Popatrz!

To mówiąc, dotknął palcami dwu brodawek, sporych jak poziomki, które miał na lewym policzku. Odruchowo chwyciłem się za twarz, bo właśnie ja mam w tym miejscu dwie kubek w kubek takie same brodawki. W tym momencie pojałem też, dlaczego śniony przypominał mi kogoś znajomego: był podobny do mnie jak jedna kropla wody do drugiej.

- Daj mi święty spokój! - zawołałem, zamykając oczy, w trosce o nienaruszalność snu. - Jeżeli jesteś mną, to wprawdzie nie muszę zwracać się do ciebie per "pan", ale też to i dowód, że nie istnieje!

Po czym odwróciłem się na drugi bok i przykryłem się kocem aż po czubek głowy. Słyszałem jeszcze, jak mówił coś o idiotyzmie, nareszcie, gdy nie reagowałem, krzyknął:

- Pożałujesz tego, bałwanie! I przekonasz się, poniewczasie, że to nie żaden sen!

Ja jednak ani drgnąłem. Kiedy otworzyłem rano oczy, od razu przypomniała mi się ta osobliwa nocna historia. Usiadłem na pościeli i rozmyślałem o tym, jakie też ciekawe figle płata człowiekowi jego własny umysł: oto, nie mając żadnej bratniej duszy na pokładzie, w obliczu naglącej konieczności, niejako rozdwoiłem się w marzeniu sennym, aby uczynić zadość potrzebie.

Po śniadaniu stwierdziłem, że rakieta uzyskała przez noc dodatkową porcję przyspieszenia i wziąłem się do wertowania biblioteczki pokładowej, szukając w podręcznikach rady na moje fatalne położenie. Nie znalazłem jednak niczego. Rozłożyłem więc na stole mapę gwiazdową i w blasku niedalekiej Betelgeuzy, przesłanianym co jakiś czas krążącą wołowiną, szukałem w okolicy, w której się znajdowałem, siedliska jakiejś cywilizacji kosmicznej, od której mógłbym oczekiwać pomocy. Ale była to kompletna głusza gwiazdowa, omijana przez wszystkie statki jako obszar wyjątkowo niebezpieczny, ponieważ mieszcza się tam

tylż groźne, co tajemnicze wiry grawitacyjne, w liczbie stu czterdziestu siedmiu, których istnienie wyjaśnia sześć astrofizycznych teorii, a każda inaczej.

Kalendarz kosmonautyczny przestrzegał przed nimi, ze względu na nieobliczalne skutki efektów relatywistycznych, jakie może pociągnąć za sobą przejście przez wir - zwłaszcza przy wielkiej szybkości własnej.

Ja jednak byłem bezradny. Obliczyłem tylko, że o skraj pierwszego wiru zawadzę koło jedenastej, pośpieszyłem więc z przygotowaniami do śniadania, aby nie stawiać czoła niebezpieczeństwu na czczo. Ledwo wytarłem ostatni spodek, rakietą jęło ciskać na wszystkie strony, aż nie przymocowane dostatecznie przedmioty gradem latały od ściany do ściany. Z biedą doczołgałem się do fotela, a gdy się doń przywiązałem, podczas coraz gwałtowniejszych skoków statku zauważyłem, że jakby bladoliliowa mgła zawlekle przeciwległą część kajuty i pojawiła się tam, między zlewem a kuchenką, mglista sylwetka ludzka w fartuszkach, leżąca ciasto omletowe na patelni. Postać spojrziała na mnie badawczo, lecz bez zdziwienia, po czym rozchwiała się i znikła. Przetarłem oczy. Byłem najoczywiściej sam, przypisałem więc ów obraz chwilowemu zamroczeniu.

Siedząc dalej w fotelu, a raczej skacząc wraz z nim, pojąłem nagle w błysku olśnienia, że nie była to wcale halucynacja. Kiedy gruby tom Ogólnej teorii względności przelatował koło fotela, spróbowałem go pochwycić, co udało mi się już za czwartym razem. Kiepsko szło wertowanie ciężkiej księgi w takich warunkach - straszliwe siły miały statkiem, że zataczał się jak pijany - ale w końcu znalazłem właściwy ustęp. Była tam mowa o fenomenach tak zwanej pętli czasowej, to jest zaginaniu się kierunku, w którym płynie czas, w obrębie pól grawitacyjnych wielkiej mocy, które to zjawisko może nawet niekiedy doprowadzić do zawrócenia biegu czasu i tak zwanego podwojenia teraźniejszości. Wir, który przebyłem właśnie, nie należał do najpotężniejszych. Wiedziałem, że gdyby mi się udało choć odrobinę nakierować statek dziobem ku biegunowi Galaktyki, przetnę tak zwany Vortex Gravitatiosus Pinckenbachii, w którym wielokrotnie obserwowano fenomeny podwojenia, a nawet potrojenia teraźniejszości.

Stery były wprawdzie unieruchomione, ale udałem się do komory silnikowej i tak długo manipulowałem przy urządzeniach, aż istotnie doprowadziłem do lekkiego odchylenia rakiety ku galaktycznemu biegunowi. Operacja ta zajęła mi kilka godzin. Rezultat jej był nadspodziewany. Statek wpadł w centrum wiru około północy, dygocąc i jęcząc wszystkimi wiązaniami tak, że lękałem się o jego całość, ale wyszedł z opresji nie uszkodzony i kiedy na powrót objęły go martwe ramiona kosmicznej ciszy, opuściłem komorę silnikową, aby ujrzeć samego siebie, śpiącego smacznie na łóżku. Pojąłem od razu, że to jestem ja z poprzedniej doby, to jest z nocy poniedziałkowej. Nie zastanawiając się nad filozoficzną stroną tego raczej osobliwego zjawiska, natychmiast jałem szarpać za ramię śpiącego wołając, aby szybko wstawał, nie wiedziałem bowiem, jak długo jego poniedziałkowe istnienie będzie trwało w moim wtorkowym, i dlatego należało jak najszybciej wyjść na zewnątrz, by pospołu naprawić stery.

Ale śpiący otworzył tylko jedno oko i rzekł, iż nie życzy sobie, abym go tykał, jak również, że jestem tylko jego sennym przywidzeniem. Próżno, zniecierpliwiony, potrząsałem nim, próżno usiłowałem wyciągnąć go przemocą z łóżka. Nie dawał się z niego wydobyć, powtarzając uparcie, że mu się śni; jałem kłać, a on tłumaczył mi logicznie, że nigdzie nie pójdzie, bo we śnie przykręcone śruby nie będą trzymały steru na jawie. Daremnie dawałem mu słowo honoru, że się myli, zaklinałem i przeklinałem na zmianę - nawet zademonstrowane brodawki nie przekonały go o prawdzie mych słów. Odwrócił się do mnie tyłem i zachrapał.

Usiadłem w fotelu, by na chłodno rozważyć powstałą sytuację. Przeżyłem ją już dwa razy, raz jako ów śpiący, w poniedziałek, a teraz jako budzący go bezskutecznie, we wtorek. Ja z poniedziałku nie wierzyłem w realność zjawiska duplikacji, ale ja wtorkowy już o nim wiedziałem. Była to najzwyczajsza w świecie pętla czasu. Co należało, zatem, robić, aby udało się naprawić stery? Ponieważ poniedziałkowy spał dalej, a także ponieważ pamiętałem, że ową noc

wybornie przespaliśmy do samego rana, pojąłem daremność wszelkich dalszych prób przebudzenia go. Mapa zwiastowała jeszcze mnóstwo wielkich wirów grawitacyjnych, tak więc mogłem liczyć na podwojenie czasu teraźniejszego w ciągu nadchodzących dni. Chciałem napisać do siebie list i przypiąć go szpilką do poduszki, abym ja poniedziałkowy, obudzwszy się, mógł naocznie przekonać się o tym, iż rzekomy sen był realnością.

Ledwo jednak siadłem z piórem do stołu, zachrobotało w silnikach, pospieszyłem więc tam i polewałem wodą przegrzany stos atomowy do świtu, podczas gdy ja poniedziałkowy spał smacznie, oblizując się od czasu do czasu, co porządnie mnie gniewało. Zgłodniały i wymęczony, nie zmrużywszy oka, wziąłem się do śniadania i wycierałem właśnie talerze, kiedy rakieta wpadła w następny wir grawitacyjny. Widziałem poniedziałkowego siebie, jak patrzy na mnie osłupiały, przywiązany do fotela, podczas kiedy ja wtorkowy smażyłem omlety. Potem od wstrząsu straciłem równowagę, pociemniało mi w oczach i upadłem. Gdy ocknąłem się na podłodze w otoczeniu porcelanowych skorup, przy samej twarzy dostrzegłem nogi stojącego nade mną człowieka.

- Wstawaj - rzekł, podnosząc mnie - czy nic sobie nie zrobiłeś?

- Nie - odparłem, opierając się rękami o podłogę, bo kręciło mi się w głowie - z którego jesteś dnia tygodnia?

- Ze środy - odparł. - Idziemy szybko naprawić ster, bo szkoda czasu!

- A gdzie ten poniedziałkowy? - spytałem.

- Już go nie ma, to znaczy, widocznie ty nim jesteś.

- Jak to ja?

- No tak, bo poniedziałkowy stał, się w nocy z poniedziałku na wtorek wtorkowym, i tak dalej.

- Nie rozumiem!

- Nie szkodzi - to z nieprzyzwyczajenia. Ale chodź, szkoda czasu!

- Zaraz - odpowiedziałem, nie ruszając się z podłogi. - Dzisiaj jest wtorek. Jeżeli ty jesteś środowy, i do tej chwili we środę jeszcze nie są naprawione stery, to z tego wynika, że coś przeszkodzi nam w ich naprawieniu, ponieważ w przeciwnym razie ty, we środę, nie nakłaniałbyś już mnie do tego, abym ja, we wtorek, je z tobą wspólnie naprawiał. Więc może lepiej nie ryzykować wyjścia na zewnątrz?

- Bredzisz! - zawołał - człowieku, ja jestem środowy, a ty jesteś wtorkowy, co się natomiast tyczy rakiety, to przypuszczam, że ona jest, by tak rzec, łaciata, to znaczy miejscami jest w niej wtorek, miejscami środa, gdzieś tam może nawet jest trochę czwartku. Czas przetasował się po prostu podczas przechodzenia przez te wiry, ale cóż to nas obchodzi, jeśli jesteśmy we dwóch i przez to mamy szansę naprawienia steru?!

- Nie, nie masz racji! - odparłem - jeżeli we środę, gdzie już jesteś, przeżywszy cały wtorek i mając go poza sobą, jeśli we środę, powtarzam, stery nie są naprawione, to z tego wynika, że nie zostały naprawione we wtorek, bo teraz jest wtorek i gdybyśmy je mieli za chwilę naprawić, to dla ciebie byłaby już ta chwila przeszłością i nie byłoby co naprawiać. A zatem...

- A zatem jesteś uparty jak osioł! - warknął. - Pożałujesz swej głupoty! I jedyną moją satysfakcją jest to, że będziesz się tak samo wściekał na swój tępy upór, jak ja teraz - kiedy sam doczekasz środy!!!

- Ach, pozwól - zawołałem - czy to ma znaczyć, że ja we środę, będąc tobą będę usiłował przekonać mnie wtorkowego, tak jak ty to robisz w tej chwili, tylko

wszystko będzie na odwrót, to znaczy ty będziesz mną, a ja tobą? Rozumiem! Na tym polega pętla czasu! Czekaj, idę, idę zaraz, pojąłem już...

Nim jednak wstałem z podłogi, wpadliśmy w nowy wir i straszliwe ciśnienie rozpląszczyło nas na suficie.

Przeraźliwe skoki i wstrząsy nie ustawały przez całą noc z wtorku na środę. Kiedy się już nieco uspokoiło, latający po kajucie tom Ogólnej teorii względności tak uderzył mnie w czoło, że straciłem przytomność. Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem skorupy naczyń i rozpostartego między nimi człowieka. Zerwałem się natychmiast na równe nogi i podnosząc go, zawołałem:

- Wstawaj! Czy nic sobie nie zrobiłeś?

- Nie - odparł, otwierając oczy - z którego jesteś dnia tygodnia?

- Ze środy - odparłem - idziemy szybko naprawić ster, bo szkoda czasu.

- A gdzie ten poniedziałkowy? - spytał, siadając. Miał podsiniaczone oko.

- Już go nie ma - rzekłem - widocznie ty nim jesteś.

- Jak to ja?

- No tak, bo poniedziałkowy stał się w nocy z poniedziałku na wtorek wtorkowym, i tak dalej.

- Nie rozumiem.

- Nie szkodzi, to z nieprzyzwyczajenia. Ale chodź, szkoda czasu!

To mówiąc, rozglądałem się już za narzędziami.

- Zaraz - odparł wolno, nawet nie ruszając palcem. - Dzisiaj jest wtorek. Jeżeli ty jesteś środowy i do tej chwili we środę jeszcze nie są naprawione stery, to z tego wynika, że coś przeszkodzi nam w ich naprawieniu, ponieważ w przeciwnym razie, ty, we środę, nie nakłaniałbyś już mnie do tego, abym ja, we wtorek, wspólnie je z tobą naprawiał. Więc może lepiej nie ryzykować wyjścia na zewnątrz?

- Bredzisz!!!! - wrzasnałem, rozgniewany do żywego - człowieku, ja jestem środowy, a ty wtorkowy...

I tak zaczęliśmy się kłócić, w odwróconych rolach, przy czym w samej rzeczy doprowadził mnie do białej pasji, bo wciąż nie chciał naprawić ze mną sterów i na próżno wyzywałem go od upartych osłów. A kiedy w końcu udało mi się go przekonać, wpadliśmy w następny wir grawitacyjny. Oblał mnie zimny pot, bo sobie pomyślałem, że odtąd będziemy kręcić się w tej pętli czasowej w kółko, aż po wieczność, ale tak się na szczęście nie stało. Gdy ciśnienie osłabło na tyle, że mogłem wstać, znowu byłem sam w kabinie. Widocznie lokalny wtorek, który trwał przedtem w pobliżu zlewu, znikł, stając się bezpowrotną przeszłością. Natychmiast zasiadłem do mapy, szukając jakiegoś uczciwego wiru, w który mógłbym wprowadzić raketę, aby wywołać ponowne zakrzywienie czasu i w ten sposób zyskać pomocnika.

Jakoż znalazłem jeden, wcale obiecujący, i manewrując silnikami, z wielkim trudem nakierowałem raketę tak, aby przeciąć go w samym środku. Co prawda konfiguracja tego wiru była, według mapy, raczej niezwykła - miał dwa obok siebie leżące ośrodki. Ale byłem już taki zdesperowany, że nie zwracałem uwagi na ową anomalię.

Podczas wielogodzinnego krzątania się w komorze silnikowej ubrudziłem porządnie ręce, poszedłem więc je umyć, widząc, że mam jeszcze sporo czasu do wejścia w wir. Łazienka była zamknięta. Dobiegały z niej takie odgłosy, jakby ktoś płukał

gardło.

- Kto tam?! - krzyknąłem zaskoczony.

- Ja - odparł głos ze środka.

- Jaki znów "ja"?!

- Ijon Tichy.

- Z którego dnia?

- Z piątku. Czego chcesz?

- Chciałem umyć ręce... - rzuciłem machinalnie, myśląc jednocześnie z największą intensywnością: była środa wieczór, a on pochodził z piątku, tak zatem wir grawitacyjny, w który wpaść miał statek, zakrzywi czas z piątku do środy, ale co się stanie wewnątrz wiru dalej, tego nie mogłem sobie w żaden sposób uzmysłwić. Szczególnie intrygowało mnie, gdzie może być czwartek? Tymczasem piątkowy wciąż nie wpuszczał mnie do łazienki, marudząc w niej, choć uporczywie stukałem do drzwi.

- Przestań płukać gardło! - huknąłem wreszcie zniecierpliwiony. - Człowieku, każda chwila jest droga - wyjdź natychmiast, to naprawimy stery!

- Do tego nie jestem ci potrzebny - odparł flegmatycznie spoza drzwi. - Gdzieś tam musi być czwartkowy, idź z nim...

- Jaki znów czwartkowy? To niemożliwe...

- Ja chyba wiem, czy możliwe, czy nie, skoro już jestem w piątku, a zatem przeżyłem zarówno twoją środę, jak i jego czwartek...

Z lekkim zawrotem głowy odskoczyłem od drzwi, bo w samej rzeczy usłyszałem hałas w kajucie: stał tam człowiek i wyciągał spod łóżka futerał z narzędziami.

- Ty jesteś czwartkowy? - zawołałem, wpadając do środka.

- A owszem - odparł. - Owszem... pomóż mi...

- Czy stery uda się nam teraz naprawić? - spytałem go, gdyśmy razem wyciągali ciężką torbę spod łóżka.

- Nie wiem, w czwartek nie były naprawione, spytaj piątkowego...

Istotnie, że też nie przyszło mi to do głowy! Szybko podbiegłem do drzwi łazienki.

- Halo! Piątkowy! Czy stery już naprawione?

- W piątek nie - odparł.

- Dlaczego nie?

- Dlatego - odparł, otwierając równocześnie drzwi. Miał głowę obwiązana ręcznikiem, a do czoła przyciskał ostrze noża na płask, usiłując w ten sposób zahamować wzrost wielkiego jak jajo guza. Czwartkowy, który nadszedł tymczasem z narzędziami, stał obok mnie, spokojnie i uważnie obserwując potłuczonego, który swobodną ręką odstawił na półkę butelkę z wodą gulardową. A więc to jej bulgotanie wzięłem za odgłosy płukania gardła.

- Co cię tak urządziło? - zapytałem ze współczuciem.

- Nie co, tylko kto - odparł. - To był niedzielny.

- Niedzielny? Ależ dlaczego... nie może być! - zawołałem.

- To dłuższa historia...

- Wszystko jedno! biegniemy na zewnątrz, może zdążymy! - zwrócił się do mnie czwartkowy.

- Ależ rakieta za chwilę wpadnie w wir - odparłem. - Wstrząs może wyrzucić nas w próżnię i zginiemy...

- Nie pleć głupstw - zareplikował czwartkowy. - Jeśli piątkowy żyje, nic się nam nie może stać. Dzisiaj jest dopiero czwartek.

- Jest środa - zaprotestowałem.

- Niech będzie, to wszystko jedno, w każdym razie w piątek będę żył, i ty tak samo.

- Ale przecież nas tylko pozornie jest dwóch - zauważyłem - naprawdę jestem jeden, tylko z różnych dni tygodnia...

- Dobrze, dobrze, otwieraj klapę...

Tu jednak okazało się, że mamy tylko jeden skafander próżniowy. Nie mogliśmy więc wyjść z rakiety obaj równocześnie i tym samym plan naprawy sterów upadł.

- A niechże to diabli wezmą! - krzyknąłem gniewnie ciskając torbę z narzędziami.

- Trzeba było włożyć skafander i już nie zdejmować go z grzbietu. Ja o tym nie pomyślałem, ale ty, jako czwartkowy, powinieneś być o tym pamiętać!

- Skafander zabrał mi piątkowy - odparł.

- Kiedy? I dlaczego?

- Ech, albo to warto tłumaczyć - wzruszył ramionami i odwróciwszy się, wrócił do kajuty. Piątkowego nie było w niej, zajrzałem do łazienki, ale i ona była pusta.

- Gdzie piątkowy? - spytałem zdziwiony, wracając. Czwartkowy systematycznie rozbijał jaja nożem i wypuszczał ich zawartość na skwierczący tłuszcz.

- Pewnie gdzieś obok soboty - odparł flegmatycznie, mieszając szybko jajecnicę.

- O, bardzo przepraszam - zaprotestowałem - ty już przecież jadłeś we środę swoje i nie masz prawa po raz drugi jeść środowej kolacji!

- Te zapasy są równie dobrze twoje jak moje - spokojnie nożem podważał przypiekające się brzegi jajecznicy. - Ja jestem tobą, a ty mną, więc to wszystko jedno...

- Co za sofistyka! Przestań kłaść tyle masła! Oszalałeś? Nie mam zapasów dla tylu osób!

Patelnia wypadła mu z ręki, a ja sam poleciałem na ścianę: dostaliśmy się w nowy wir. Statek znów trząsał się jak w febrze, a ja myślałem tylko o tym, by się dostać do korytarza, gdzie wisiał skafander i włożyć go. W ten sposób, rozumowałem, gdy po środku przyjdzie czwartek, ja, jako czwartkowy, będę miał już na sobie skafander i jeśli tylko ani na chwilę go nie zdejmę, jak twardo sobie postanowiłem, to tym samym będę go nosił i w piątek. Tak więc, gdy zarówno ja z czwartku, jak i ja z piątku będziemy mieli skafandry, kiedy spotkamy się w jednej terażniejszości, uda się w końcu naprawić nieszczęsne stery. Wzrost siły ciężenia nieco mnie zamroczył, a gdy otworzyłem powieki, zauważyłem, że leżę po prawej ręce czwartkowego, a nie po lewej, jak przed kilkunastu minutami. Łatwo przyszło mi wymyślić cały plan ze skafandrem, trudniej było wcielić go w życie,

bo wskutek rosnącej grawitacji ledwo mogłem się ruszać. Gdy słabła choć trochę, przesuwałem się po podłodze o milimetry w kierunku drzwi wiodących na korytarz. Zauważyłem przy tym, że czwartkowy, tak jak i ja, posuwa się ku drzwiom, cał po calu pełznąąc w stronę korytarza. W końcu, po jakiejś godzinie, gdyż wir był bardzo rozległy, spotkaliśmy się rozpląszczeni na podłodze pod progiem drzwi. Pomyślałem, że właściwie niepotrzebnie się wysilam, by osiągnąć ich klamki - niechże je otworzy czwartkowy. Jednocześnie zacząłem sobie jednak przypominać różne rzeczy, z których wynikało, że to ja już jestem tym czwartkowym, a nie on.

- Z którego dnia jesteś? - spytałem, by się upewnić. Podbródek miałem przyciśnięty do podłogi i patrzyłem mu z bliska w oczy. Z trudem otworzył usta.

- Czwa.. .rtkowy - wystękał. To było dziwne. Czyżbym mimo wszystko wciąż jeszcze był środowy? Przywołał w myśli reminiscencje ostatnich przeżyć, uznałem to za wykluczone. A więc on był już chyba piątkowy. Bo skoro przedtem wyprzedzał mnie o dzień, musiało to już zostać. Czekałem, by otworzył drzwi, ale zdaje się, że on się tego samego spodziewał po mnie. Grawitacja wyraźnie osłabła, wstałem więc i wbiegłem do korytarza. Gdy chwytalem skafander, podstawił mi nogę i wyrwał mi go z rąk, a ja przewróciłem się jak długi.

- Ach, draniu, świni! - krzyknąłem. - Podejść samego siebie, cóż to za łotrostwo!

Ale on, nie zwracając na mnie uwagi, w milczeniu ubierał skafander. To wydało mi się już nazbyt bezwstydne. Nagle jakaś dziwna siła wyrzuciła go ze skafandra, w którym, jak się okazało, ktoś już siedział. W pierwszej chwili straciłem rezon, bo nie wiedziałem, kto jest kim.

- Hej! Środowy! - zawołał ten w skafandrze - nie puszczaj czwartkowego, pomóż mi!

Czwartkowy bowiem w samej rzeczy usiłował zerwać z niego skafander.

- Dawaj skafander! - ryczał czwartkowy, mocując się z tamtym.

- Odczep się! o co ci chodzi! czy nie rozumiesz, że ja powinienem mieć go, a nie ty!? - odkrzyknął ów.

- Ciekawym, dlaczego?

- Dlatego, durniu, bo ja mam bliżej do soboty od ciebie, a w sobotę będzie już nas dwóch w skafandrach!

- Ależ bzdury - wtrąciłem się w ich kłótnię - w najlepszym razie będziesz w sobotę sam w skafandrze, jak ostatni idiota, i nic nie będziesz mógł zrobić. Oddaj skafander mnie; jeżeli włożę go teraz, to zarówno ty będziesz go miał w piątek jako piątkowy, jak też i ja w sobotę jako sobotni, a więc będzie nas w tym wypadku dwóch, z dwoma skafandrami... Czwartkowy, pomóż!!

- Przestań - zaprotestował piątkowy, z którego przemocą zdzierałem skafander - po pierwsze, nie masz do kogo wołać "czwartkowy", bo już minęła północ i ty sam jesteś teraz czwartkowy, a po wtóre lepiej będzie, jeśli ja zostanę w skafandrze - tobie i tak nic z niego nie przyjdzie...

- Dlaczego? Jeżeli włożę go dzisiaj, będę go miał na sobie i jutro.

- Sam się przekonasz... przecież ja już byłem tobą we czwartek, mój czwartek już minął, więc dobrze wiem...

- Dostyc tego gadania. Puść to w tej chwili! - warknąłem. Ale on wyrwał mi się i zacząłem gonić go, najpierw po komorze silnikowej, a potem wpadliśmy jeden za drugim do kajuty. Istotnie, jakoś tak się zrobiło, że było nas już tylko dwóch. Teraz zrozumiałem, dlaczego czwartkowy pod klapą, kiedy staliśmy tam z narzędziami, powiedział mi, że piątkowy zabrał mu skafander: w międzyczasie sam

bowiem stałem się czwartkowym i to mnie go piątkowy zabierał. Ale nie zamierzałem poddać się tak łatwo. Czekaj, już ja ci dam radę, pomyślałem, wybiegłem na korytarz, stamtąd do komory silnikowej, gdzie przedtem podczas gonitwy zauważyłem leżący na podłodze tęgi drażek, służący do grzebania w stosie atomowym, chwyciłem go i tak uzbrojony pognałem do kajuty. Tamten był już w skafandrze, tylko hełmu nie zdążył jeszcze nałożyć.

- Ściągaj skafander! - rzuciłem mu w twarz, groźnie zaciskając pałkę.

- Ani myślę.

- Ściągaj, mówię!

Zastanowiłem się przez chwilę, czy mam go uderzyć. Trochę peszyło mnie to, że nie miał ani podsiniaczonego oka, ani guzów na czole, jak ten piątkowy, którego odkryłem w łazience, ale nagle zrozumiałem, że tak musi właśnie być. Tamten piątkowy był już teraz na pewno sobotni, a może nawet bujał w okolicach niedzieli, natomiast obecny piątkowy, który tkwił w skafandrze, był niedawno czwartkowym, w którego to czwartkowego ja znów się przekształciłem o północy, tak więc zbliżałem się po schodzącej krzywiźnie pętli czasu do miejsca, w którym piątkowy sprzed pobicia miał się stać pobitym piątkowym. Ale powiedział przedtem, że urządził go tak niedzielny, którego tymczasem nie było ani śladu: w kajucie staliśmy sami, on i ja. Nagła chytrość wypełniła mi mózg oślepiającym światłem.

- Ściągaj skafander! - huknąłem groźnie.

- Czwartkowy, odczep się! - zawołał.

- Nie jestem czwartkowy! Jestem NIEDZIELNY! - wrzasnąłem, ruszając do ataku. Usiłował mnie kopnąć, ale buty skafandra są bardzo ciężkie, i nim podniósł nogę, dałem mu już pałką po głowie. Niezbyt mocno, rozumie się, bo już na tyle wprawiłem się w to wszystko, iż wiedziałem, że to ja z kolei sam, kiedy z czwartkowego stanę się piątkowym, dostanę w łeb, a nie zależało mi na tym, aby sobie samemu rozbijać czaszkę. Piątkowy upadł i stękając trzymał się za głowę, a ja brutalnie zdzierałem zeń skafander; gdy chwiejnym krokiem ruszył do łazienki, mamrocząc "gdzie wata... gdzie woda gulardowa..." - szybko zacząłem wdziawać ten strój próżniowy, o który tak walczyliśmy, gdy wtem zauważyłem wystającą spod łóżka ludzką nogę.

Zajrzałem tam, klękawszy. Pod łóżkiem leżał człowiek i starając się stłumić mlaskanie, pospiesznie zżerał ostatnią tabliczkę czekolady mlecznej, którą sobie zostawiłem w kuferku na czarną godzinę galaktyczną. Łajdak śpieszył się tak, że jadł czekoladę razem ze strzępkami cynfolii, które błyszczwały mu na wargach.

- Zostaw tę czekoladę! - huknąłem, ciągnąc go za nogę. - Kto ty jesteś? Czwartkowy?... - dokończyłem ciszej i z nagłym niepokojem, pomyślałem bowiem sobie, że być może ja już sam staję się teraz piątkowym, i przyjdzie mi zainkasować cięgi, które poprzednio zaaplikowałem piątkowemu.

- Niedzielny jestem - wybełkotał pełnymi ustami. Zrobiło mi się niewyraźnie. Albo kłamał, w takim razie nie miało to znaczenia, albo mówił prawdę, a w takim wypadku nieuchronnie groziły mi guzy, ponieważ to przecież niedzielny pobił piątkowego i piątkowy sam przedtem mi to powiedział, a ja podszywając się potem pod niedzielny, dałem mu pałką. Ale, pomyślałem sobie, jeśli kłamie nawet, że jest niedzielny, to w każdym razie możliwe, że jest późniejszy ode mnie, a skoro jest późniejszy, pamięta to wszystko, co ja, a więc wie już, że ja okłamałem piątkowego, może więc z kolei podejść mnie analogicznym sposobem, bo to, co było moim podstępem wojennym, dla niego jest już po prostu wspomnieniem, z którego może swobodnie korzystać. Gdy tak trwałem w niepewności, co robić, zjadł resztę czekolady i wylazł spod łóżka.

- Jeżeli jesteś niedzielny, gdzie masz skafander!? - zawołałem tknięty nową myślą.

- Zaraz będę go miał - rzekł spokojnie i nagle zauważyłem w jego dłoni pałkę... Zobaczyłem jeszcze silny błysk, jakby wybuch kilkudziesięciu Supernowych naraz, po czym straciłem przytomność. Ocknąłem się, siedząc na podłodze w łazience; ktoś się dobijał do drzwi. Jałem opatrywać sińce i guzy, a tamten wciąż stukał; okazało się, że to środowy. Pokazałem mu po chwili moją guzowatą głowę, poszedł z czwartkowym po narzędzia, potem była bieganina, szarpanie skafandrów, wreszcie i to jakoś przeżyłem i sobotnim rankiem wlażłem pod łóżko, aby sprawdzić, czy nie ma aby jakiejś tabliczki czekolady w kuferku. Ktoś pociągnął mnie za nogę, kiedy zjadałem ostatnią mleczną, którą odkryłem pod koszulami; był to już nie wiem kto, ale na wszelki wypadek uderzyłem go pałką w głowę, zdjąłem zeń skafander i miałem go właśnie włożyć, kiedy rakieta wpadła w kolejny wir.

Gdy odzyskałem przytomność, kajuta była pełna ludzi. Ledwo można się było w niej poruszać. Jak się okazało, wszyscy byli mną, z różnych dni, tygodni, miesięcy, a jeden podobno był nawet z przyszłego roku. Sporo było osób potłuczonych i z podbitymi oczami, a pięciu spośród obecnych miało na sobie skafandry. Ale zamiast wyjść natychmiast przez klapę, by naprawić uszkodzenie, jęli spierać się, targować, dyskutować i kłócić. Chodziło o to, kto kogo pobił i kiedy. Sytuację komplikowało po pierwsze to, że pojawili się już przedpołudniowi i popołudniowi, obawiałem się więc, że jeśli to tak dalej pójdzie, rozdrobnię się na minutowych i sekundowych, po wtóre zaś większość obecnych kłamała jak z nut, tak że do dziś nie wiem naprawdę, kogo biłem i kto mnie bił, kiedy toczyła się cała historia w trójkacie między czwartkowym, piątkowym i środowym, którymi kolejno byłem. Mam wrażenie, że przez to, iż sam kłamałem piątkowemu, jakoby był niedzielny, dostałem o jeden raz za wiele, aniżeliby to wynikało z kalendarzowej rachuby. Ale wolę raczej nie wracać już myślą do tych niemiłych wspomnień, bo człowiek, który przez okrągły tydzień nie robił nic innego, jak tylko bił sam siebie, nie ma szczególnych powodów do dumy.

Tymczasem kłótnie trwały. Rozpacz ogarniała na widok tej beczynności i marnowania czasu, podczas gdy rakieta pędziła wciąż ślepo przed siebie, co jakiś czas wpadając w wiry grawitacyjne próżni. W końcu ci w skafandrach pobili się z tymi bez skafandrów. Próbowałem wnieść jaki taki ład w ów kompletny już chaos i w końcu po nadludzkich wysiłkach udało mi się zorganizować coś w rodzaju zebrania, przy czym ten z przyszłego roku został, jako najstarszy, wybrany przez aklamację przewodniczącym.

Potem wybraliśmy jeszcze komisję skrutacyjną, komisję matkę i komisję wolnych wniosków, a czterech z przyszłego miesiąca zostało służbą porządkową. W międzyczasie jednak przeszliśmy przez ujemny wir, który zredukował naszą liczbę do połowy, tak że we wstępnym tajnym głosowaniu zabrakło quorum i przed przystąpieniem do wyboru kandydatów na naprawiaczy sterów trzeba było zmieniać statut. Mapa zwiastowała zbliżanie się kolejnych wirów, które obracały wniwecz dotychczasowe osiągnięcia: raz znikali wybrani już kandydaci, to znów pojawiali się wtorkowy i piątkowy, z głową obwiązaną ręcznikiem, i wszczynali niesmaczne awantury. Po przejściu przez bardzo silny wir dodatni ledwo mieściliśmy się w kajucie i korytarzu, a o tym, żeby otworzyć klapę, dla braku miejsca, nie było nawet mowy. Najgorsze było to wszakże, iż rozmiary czasowych przesunięć coraz bardziej rosły, pojawiali się już jacyś szpakowaci, a nawet tu i ówdzie widniały krótko ostrzyżone głowy dzieci, to jest, rozumie się, wszystkimi byłem ja sam z okresu mego pacholęstwa.

Nie pamiętam, doprawdy, czy byłem wciąż jeszcze niedzielny, czy też już poniedziałkowym. Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia. Dzieci płakały, że je duszą w tłoku, i wołały mamy, przewodniczący - Tichy z przyszłego roku, kłął jak szewc, bo środowy, który wlażł w daremnym poszukiwaniu czekolady pod łóżko, ugryzł go w nogę, kiedy tamten nastąpił mu na palec. Widziałem, że to wszystko razem źle się skończy, zwłaszcza iż tu i ówdzie pokazywały się już siwe brody. Między 142 a 143 wirem puściłem w obieg listę obecności, ale wtedy wyszło na jaw, że sporo obecnych oszukuje. Podawali fałszywe dane osobiste. Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego; może panująca atmosfera zmaciła ich umysły. Hałas i szum były takie, że porozumiewać się można było tylko krzycząc ze wszystkich sił. Naraz jeden z zesłorocznych Ijonów wpadł na świetny, jak się zdawało,

pomysł, aby najstarszy spośród nas opowiedział historię swego życia; dzięki temu miało się wyjaśnić, kto ma właściwie naprawić stery. Najstarszy bowiem mieścił w swym przeszłym doświadczeniu wszystkich obecnych z różnych miesięcy, dni i lat. Jakoż zwróciliśmy się w tej sprawie do srebrnowłosego starca, który lekko drząc, podpierał w kącie ścianę. Zapytany, jał nam długo i szeroko opowiadać o swych dzieciach i wnuczętach, a potem przeszedł do podróży kosmicznych, których doświadczył bez liku podczas dziewięćdziesięciu bodajże lat żywota. Tej, która się właśnie odbywa i była dla nas jedynie ważna, starzec nie pamiętał w ogóle, wskutek ogólnej sklerozy i podniecenia, jednakże był tak zadufany, że nie chciał się do tego za nic przyznać i wciąż odpowiadał wymijająco, uporczywie wracając do swych wysokich koneksji, orderów i wnucząt, że w końcu zakrzyczeliśmy go i nakazaliśmy mu milczenie. Dwa następne wiry okrutnie przetrzebiły zebranych. Po trzecim nie tylko zrobiło się luźniej, ale znikli też wszyscy w skafandrach. Został tylko jeden pusty skafander, który komisyjnie powiesiliśmy w korytarzu i wróciliśmy na obrady. Po nowej bitce o zawładnięcie tym tak cennym ubiorem przyszedł nowy wir i nagle zrobiło się pusto. Siedziałem na podłodze z zapuchniętymi oczami, w dziwnie przestronnej kajucie, pośród strzaskanych sprzętów, strzępów odzieży i podartych książek. Podłoga zasypana była kartkami głosowania. Mapa powiedziała mi, że przebyłem już całą strefę grawitacyjnych wirów. Nie mogąc liczyć na duplikację, a więc i na usunięcie defektu, popadłem w odrętwienie i rozpacz. Kiedy wyjrzałem w jakąś godzinę potem na korytarz, ze zdumieniem zauważyłem brak skafandra. Przypomniałem sobie wtedy jak przez mgłę, że tuż przed ostatnim wirum dwaj malcy ukradkiem wysunęli się na korytarz. Czyżby we dwóch włożyli jeden skafander?! Rażony nagłą myślą, podbiegłem do sterów. Działy! A zatem ci malcy naprawili uszkodzenie, podczas gdy myśmy grzęźli w jałowych sporach. Przypuszczam, że jeden włożył ręce w rękawice skafandra, a drugi - w jego nogawki; w ten sposób mogli trzymać równocześnie klucze dokręcające śruby z obu stron sterów. Pusty skafander odkryłem w komorze ciśnień, za klapą. Wniosłem go do wnętrza rakiety niczym relikwię, czując w sercu niezmierną wdzięczność dla tych dzielnych chłopaków, którymi byłem tak dawno temu! Tak się zakończyła ta, bodaj jedna z najbardziej osobliwych moich przygód. Doleciałem szczęśliwie do celu, dzięki inteligencji i odwadze, które przejawilem jako dwoje dzieci.

Powiadano potem, że historię tę zmyśliłem, a co złośliwsi pozwalali sobie na insynuację, jakobym miał słabość do alkoholu, skrzętnie ukrywaną na Ziemi, której hołduję śmiało w ciągu długich lat podróży kosmicznych. Bóg jeden wie, jakie jeszcze plotki rozpowszechniano na ten temat - ale tacy już są ludzie: dają chętniej wiarę najbardziej nieprawdopodobnym bzdurcom aniżeli autentycznym faktom, które pozwoliłem sobie tu przedstawić.

PODRÓŻ ÓSMA

A więc stało się. Byłem delegatem Ziemi w Organizacji Planet Zjednoczonych czy ściślej - kandydatem, chociaż i nie tak było, nie moją bowiem, lecz całej ludzkości kandydaturę miało rozpatrzyć Zgromadzenie Plenarne.

W życiu nie odczuwałem tak potwornej tremy. Wyschnięty język obijał się o zęby jak kołek, a kiedy szedłem po rozłożonym od astrobusa czerwonym chodniku, nie wiedziałem, czy to on tak miękko ugina się pode mną, czy moje kolana. Należało oczekiwać przemówień, a ja słowa nie wykrztusiłbym przez spieczoną emocją gardło, ujrzawszy więc dużą, lśniąca maszynę z chromowanym szynkwasem oraz małymi szparkami na monety, czym prędzej wrzuciłem jedną, podstawiając zapobiegliwie przygotowany kubek termosu pod kran. Był to pierwszy międzyplanetarny incydent dyplomatyczny ludzkości na arenie galaktycznej, ponieważ rzekomy automat z wodą sodową okazał się zastępcą przewodniczącego delegacji tarrakańskiej w pełnej gali. Na całe szczęście to właśnie Tarrakanie podjęli się zarekomendowania naszej kandydatury na sesji, ja jednak nie od razu się o tym dowiedziałem, to zaś, że ów wysoki dyplomata opluł mi buty, wzięłem za

zły znak, fałszywie, gdyż była to tylko wonna wydzielina gruczołów powitalnych. Pojąłem wszystko, przełknąwszy tabletkę informacyjnotranslacyjną, którą podał mi jakiś życzliwy urzędnik OPZ; natychmiast otaczające mnie, brzękliwe dźwięki zmieniły się mych uszach w doskonale zrozumiałe słowa, czworobok aluminiowych kręgli u końca pluszowego dywanu stał się półkompanią honorową, zaś witający mnie Tarrakanin, do tej chwili przypominający raczej bardzo dużą struclę, wydał mi się osobą od dawna znaną, o zupełnie przeciętym wyglądzie. Nie opuściła mnie tylko trema. Podjechał mały toczak, przekonstruowany specjalnie dla przewozu istot dwunogich, jak ja, towarzyszący mi Tarrakanin nie bez trudu wdławił się za mną do jego wnętrza i siadając zarazem po mej prawej i lewej stronie, rzekł:

- Szanowny Ziemianinie, muszę panu wyjaśnić, że nastąpiła drobna komplikacja proceduralna, związana z tym, że właściwy przewodniczący naszej delegacji, najbardziej powołany do wprowadzenia waszej kandydatury jako specjalista Ziemista, został niestety wczoraj wieczorem odwołany do stolicy i ja mam go zastąpić. Czy zna pan protokół... ?

- Nie... nie miałem okazji - wybąkałem, nie mogąc jakoś definitywnie usadowić się na fotelu toczaka, który nie został dostatecznie przysposobiony dla potrzeb ludzkiego ciała. Siedzenie przypominało stromą jamę prawie półmetrowej głębokości, tak że na wybojach kolanami dotykałem czoła.

- No, nic, poradzimy sobie... - rzekł Tarrakanin. Jego fałdzista szata, zaprasowana w graniaste kształty o metalicznym poblasku, którą wzięłem przedtem za bufet, wydała lekki dźwięk, on zaś, odchrząknąwszy, ciągnął:

- Historię waszą znam; cóż za wspaniała rzecz, ludzkość! zapewne, wiedzieć wszystko, to należy do mych obowiązków. Delegacja nasza wystąpi w punkcie porządku dziennego osiemdziesiątym trzecim, z wnioskiem przyjęcia was w poczet Zgromadzenia jako członków pełnoprawnych, zupełnych i wszechstronnych... a papierów uwierzytelniających nie zgubił pan czasem?! - wtrącił tak nagle, że drgnąłem cały i zaprzeczyłem gorliwie. Ów pergaminowy rulon, nieco rozmiękły od potu, ścisnąłem w prawicy.

- Dobrze - podjął - więc, nieprawdaż, wygłoszę przemówienie, obrazujące wasze wysokie osiągnięcia, które uprawniają was do zajęcia miejsca w Federacji Astralnej... jest to, rozumie pan, pewnego rodzaju starożytna formalność; nie spodziewacie się chyba jakichś wystąpień opozycyjnych... co?

- Nnie... nie sędzę - bąknąłem.

- Zapewne! Skądże by zresztą! Więc formalność, nieprawdaż, niemniej potrzebne mi są pewne dane. Pakty, szczegóły, rozumie pan? Energią atomową, rozumie się, dysponujecie?

- O tak! tak! - zapewniłem skwapliwie.

- Świetnie. A, istotnie, mam to tutaj, przewodniczący zostawił mi swoje notatki, ale jego charakter pisma, hm, więc... od jak dawna dysponujecie tą energią?

- Od szóstego sierpnia 1945!

- Wybornie. Co to było? Pierwsza stacja energetyczna?

- Nie - odparłem, czując, że się rumienię - pierwsza bomba atomowa. Zniszczyła Hiroszimę...

- Hiroszimę? Jakiś meteor?

- Nie meteor... miasto.

- Miasto? - rzekł z lekkim niepokojem. - Więc jak by to powiedzieć... - medytował przez chwilę. - Lepiej nic nie mówić - zdecydował nagle. - No, dobrze, ale jakieś powody do chwaty są mi niezbędne. Proszę coś podsunąć, szybko, za

chwilę będziemy na miejscu.

- E... e... loty kosmiczne - zacząłem.

- Rozumieją się same przez się, gdyby nie one, nie byłoby pana tutaj - wyjaśnił mi, jak pomyślałem, trochę zbyt obcesowo. - Czemu poświęćcie główną część dochodu narodowego? No, proszę sobie przypomnieć, jakieś ogromne przedsięwzięcia inżynieryjne, architektura w skali kosmicznej, wyrzutnie grawitacyjno-słoneczne, co? - podpowiadał mi szybko.

- A, buduje się... buduje - wypaliłem. - Dochód narodowy nie jest zbyt wielki, sporo pochłaniają zbrojenia...

- Zbrojenia czego? kontynentów? Przeciwno trzęsieniom ziemi?

- Nie... wojska... armii...

- Co to jest? Hobby?

- Nie hobby... konflikty wewnętrzne - bełkotałem.

- To nie jest żadna rekomendacja! - powiedział z jawnym niesmakiem. - Przecież nie przyleciał pan tu prosto z jaskini! Uczni wasi musieli dawno obliczyć, że ogólnoplanetarna współpraca jest zawsze korzystniejsza od walki o łupy i hegemonię!

- Obliczyli, obliczyli, ale są przyczyny... natury historycznej, proszę pana.

- Zostawmy to! - rzekł. - Przecież ja nie mam was tutaj bronić jako oskarżonych, ale zalecać, rekomendować, wyliczać wasze zasługi i cnoty. Rozumie pan?

- Rozumiem.

Język miałem tak sztywny, jakby mi go kto zamroził, kołnierzyk frakowej koszuli dławił, gors jej rozmiękał od potu, lecącego strumieniami, zaczępiłem listami uwierzytelniającymi o orderzy i naddarłem zewnętrzny arkusz. Tarrakanin, niecierpliw, zarazem pańskowzgardliwy i częścią swego ducha nieobecny, podjął z niespodziewanym spokojem i miękkością (szczwany dyplomata!):

- Będę mówił raczej o waszej kulturze. O jej wybitnych osiągnięciach. Macie kulturę?! - dorzucił z nagłą.

- Mamy! wspaniała! - zapewniłem go.

- To dobrze. Sztuka?

- O, tak! muzyka, poezja, architektura...

- A więc jednak architektura! - zawołał. - Doskonale. Muszę sobie zanotować. Środki wybuchowe?

- Jak to wybuchowe?

- No, eksplozje stwórcze, sterowane, dla regulacji klimatu, przesuwania kontynentów, łożysk rzecznych - macie to?

- Na razie tylko bomby... - powiedziałem i szeptem już dodałem: - Ale są bardzo rozmaite, napalm, fosfor, nawet z gazem trującym...

- To nie to - powiedział sucho. - Będę się trzymał życia duchowego. W co wierzycie?

Ten mający nas rekomendować Tarrakanin nie był, jak już się zorientowałem, specjalistą od ziemskich spraw i myśl o tym, że istota o podobnej ignorancji ma

niebawem zadecydować swym wystąpieniem O naszym być lub nie być na forum całej Galaktyki, zaparła mi, prawdę mówiąc, dech. Co za pech - myślałem - trzebaż było, że akurat musieli odwołać tego właściwego, który był Ziemistą!

- Wierzymy w powszechne braterstwo, wyższość pokoju i współpracy nad wojną i nienawiścią, uważamy, że człowiek powinien być miarą wszystkich rzeczy...

Położył ciężką przylgę na moim kolanie.

- Dlaczego człowiek? - powiedział. - Zresztą, mniejsza o to. Ale pana wyliczenie jest negatywne: brak wojny, brak nienawiści - na litość mgławicową, nie macie żadnych pozytywnych ideałów?

Było mi okropnie duszno.

- Wierzymy w postęp, w lepsze jutro, w potęgę nauki.

- Nareszcie coś! - zawołał. - Tak, nauka... to dobre, to mi się przyda. Na jakie nauki łożycie najwięcej?

- Na fizykę - odparłem. - Badania nad energią atomową.

- Już wiem. Wie pan co? Niech pan tylko milczy. Już ja się tym zajmę. Ja będę mówił. Proszę zostawić mi wszystko. Otuchy! - Wypowiadał te słowa, gdy maszyna zatrzymywała się przed gmachem.

Kręciło mi się w głowie i wirowało w oczach; prowadzono mnie kryształowymi korytarzami, jakieś niewidzialne zapory rozsuwały się z melodyjnym westchnieniem, potem pędziłem w dół, w górę, znowu w dół, Tarrakanin stał obok mnie, olbrzymi, milczący, otulony fałdzistym metalem, nagle wszystko znieruchomiało, szklisty balon wydał się przede mną i pękł. Stałem na dnie sali Zgromadzenia Ogólnego. Amfiteatr, rozszerzając się lejowato, biegł w górę młynkami ław okrężnych, niepokalanie aż srebrzyście biały; pomniejszone odległością sylwetki delegacji nakrapiały szmaragdem, złotem, purpurą biel spiralnych kondygnacji, dżgając wzrok miriadami tajemniczych roziskrzeń. Nie umiałem od razu odróżnić oczu od orderów, członków od ich sztucznych przedłużeń, widziałem tylko, że poruszają się żywo, przesuwają ku sobie po śnieżnych pulpitych pliki akt, jakieś czarno lśniące, jakby antracytowe tafelki, a naprzeciw mnie, w odległości kilkudziesięciu kroków, oflankowany murami maszyn elektronowych, spoczywał na podwyższeniu przewodniczący, otoczony gaikiem mikrofonów. W powietrzu unosiły się strzępy rozmów, prowadzonych w tysiącu języków naraz, a te narzeczga gwiazdowe rozpościerały się od najniższych basów po tony wysokie jak ptasi szczebiot. Z uczuciem, że podłoga otwiera się pode mną, obciągnąłem na sobie frak. Rozległ się dźwięk przeciągły, nie kończący się, to przewodniczący uruchomił maszynę, która młotkiem uderzyła w taflę szczerego złota, metaliczne drganie wwierciło się w uszy. Tarrakanin, górując nade mną, wskazał właściwą ławę - głos przewodniczącego popłynął z niewidzialnych megafonów, ja zaś, przed usadowieniem się u prostokątnej tabliczki z nazwą ojczystej planety, biegnąc oczami coraz wyżej i wyżej po kręgach ław, szukałem choć jednej bratniej duszy, chociaż jednej istoty człękoksztaltnej - daremnie. Ogromne, ciepłe w tonacjach bulwy, zwoje galaretki jakby porzeczkowej, mięsiste, wsparte o pulpity uszypułowania, oblicza koloru dobrze przyprawionych pasztetów lub jaśniejące jak ryżowe zapiekanki, plątwy, przylggi, chwytule, dzierzące losy gwiazd bliskich i dalekich, przesuwały się przede mną niby zwolnionym filmem, nie było w nich nic potworowatego, nie budziły odrazy, wbrew tylekroć wyrażanym na Ziemi przypuszczeniom, jak gdybym nie z potworami gwiezdnyimi miał tu do czynienia, ale z istotami, co wyszły spod dłuta rzeźbiarzy abstrakcyjnych czy też jakichś wizjonerów gastronomii...

- Punkt osiemdziesiąty drugi - syknął mi do ucha Tarrakanin i siadł. Uczyniłem to samo. Podniosłem do ucha słuchawkę, leżącą na pulpicie, i usłyszałem:

- "Urządzenia, które zgodnie z umową, ratyfikowaną przez to Wysokie Zgromadzenie, dostarczone zostały podług ścisłych tej umowy ustaleń przez

Wspólnotę Altairską Zjednoczeniu Poszóstnemu Fomalhaut, wykazują, jak stwierdził to protokół specjalnej podkomisji OPZ, własności nie mogące być rezultatem drobnych odchyłeń od recepty technologicznej, zaaprobowanej przez wysokie układające się strony. Aczkolwiek, jak słusznie stwierdziła Wspólnota Altairska, wyprodukowane przez nią odsiewnice promieniowania i planetoreduktory miały posiadać zdolność reprodukcji, gwarantującą powstanie maszynowego potomstwa, co przewidywała umowa płatnicza obu wysokich układających się stron, to jednak potencja owa winna się była przejawiać, zgodnie z obowiązującą w całej Federacji etyką inżynierską, pod postacią singularnego pączkowania, a nie wynikać z obdarzenia wspomnianych urządzeń programami o przeciwnych znakach, co niestety nastąpiło. Taka dwoistość programów doprowadziła do powstania w obrębie głównych zespołów energetycznych Fomalhautu chutliwych antagonizmów, a jako ich konsekwencji - gorszących publicznie moralność scen, przynoszących też stronie pozywającej poważne straty materialne. Dostarczone agregaty, miast zajmować się pracą, będącą ich przeznaczeniem, część szyccht poświęcały na zabiegi doboru, przy czym ich nieustanna bieżączka z wtyczkami, mająca na celu akt prokreacyjny, doprowadziła do naruszenia Statutów Panundzkich i powstania wyżu maszynograficznego, przy czym obojga tych godnych pożałowania zjawisk winna jest strona pozwana. A przeto niniejszym uznajemy zadłużenie Altairu anulowanym".

Odłożyłem słuchawki, bo nazbyt już bolała mnie głowa. Pal diabli maszynowe zgorszenie publiczne, Altair, Fomalhaut i całą resztę! Miałem dość OPZ, nim jeszcze zostałem jego członkiem. Było mi niedobrze. Dlaczego usłuchałem profesora Tarantogi? Po co mi była ta okropna godność, zmuszająca do świecenia oczyma za nie moje grzechy? Czy nie należało raczej...

Przeszył mnie niewidzialny prąd, bo oto na ogromnej tablicy zapłonęły cyfry 83, i poczułem energiczne szturchnięcie. To mój Tarrakanin, zerwawszy się na równe przylgi czy też macki, pociągnął mnie za sobą. Jupiterzy, pływające pod stropem sali, skierowały na nas ulewę błękitnego blasku. Oblewany ze wszech stron potopami jasności, która zdawała się prześwieślać mnie na wylot, półprzytomnie ściskając rozmiękły na dobre rulon listów uwierzytelniających, słyszałem potężny bas Tarrakanina, który grzmiał u mego boku ze swadą i swobodą na cały amfiteatr, lecz treść jego przemowy docierała do mnie ledwo strzępami, jak w czasie sztormu piana morska, obryzgująca śmiałka, przechylonego przez falochron.

- .. .znakomita Zemeja... (nie potrafił nawet prawidłowo wymówić imienia mojej ojczyzny!)... świetna ludzkość... jej tu obecny, wybitny przedstawiciel... wytworne, sympatyczne ssaki... energia jądrowa, wyzwolona z maestrią i wprawą w ich odnóżach górnych... młoda, prężna kultura, pełna uduchowienia... dogłębna wiara w pięcymolię, chociaż nie pozbawiona amfibruntów... (najwyraźniej płatał nas z kimś innym)... oddani sprawie jedności gwiazdoludów... w nadziei, że przyjęcie ich w poczet... zamykając okres płodowej egzystencji społecznej... aczkolwiek samotni, na swej peryferii galaktycznej... wzrosli śmiało i samodzielnie, godni są...

Jak dotąd, mimo wszystko, dobrze - błysnęło mi. - Chwali nas, niby nieźle... co to?

- Zapewne, parzyści! Sztywne podwozia ich... należy atoli zrozumieć... w tym Wysokim Zgromadzeniu mają prawo reprezentacji także i wyjątki od normy i reguły... żadna aberracja nie hańbi... ciężkie warunki, jakie ich ukształtowały... wodnistość, nawet słona, nie może być, nie powinna stać się przeszkodą... z naszą pomocą w przyszłości wyzbęda się swego okropnego obecnego wyglądu, nad którym Wysokie Zgromadzenie z właściwą sobie wspaniałomyślnością zechce przejść do porządku... dlatego w imieniu delegacji tarrakańskiej i Związku Gwiazd Betelgeuzy niniejszym stawiam wnioszek o przyjęcie ludzkości z planety Zymai w poczet OPZ, a tym samym przyznania obecnemu tutaj szlachetnemu Zymianinowi pełnych praw akredytowanego przy Organizacji Planet Zjednoczonych delegata. Skończyłem.

Rozległ się potężny szum, przerywany zagadkowymi gwizdnięciami, oklasków, w braku rąk, nie było, bo też i nie mogło ich być; ów szum i gwar ustały nagle na dźwięk gongu i dał się słyszeć głos przewodniczącego:

- Czy któraś z wysokich delegacji zamierza zabrać głos w sprawie wniosku o przyjęcie ludzkości z planety Zemei?

Rozpromieniony Tarrakanin, nadzwyczaj, widać, zadowolony z siebie, pociągnął mnie na ławę. Siadłem, bormocząc niewyraźne słowa podziękii pod jego adresem, gdy dwa seledynowe promyki wystrzeliły z różnych naraz miejsc amfiteatru.

- Udzielam głosu przedstawicielowi Thubanu! - rzekł przewodniczący. Coś wstało.

- Wysoka Rado! - usłyszałem daleki, przenikliwy głos, podobny do tego, jaki wydaje przecinana blacha, ale timbrejego rychło przestał zwracać mi uwagę. - Usłyszeliśmy tu, z ust polpitora Voretexa, ciepłą rekomendację plemienia dalekiej planety, nie znanego dotąd obecnym. Wyrazić pragnąłbym żal, że niespodziewana nieobecność na dzisiejszym posiedzeniu sulpitora Extrevora pozbawiła nas możliwości dokładnego zapoznania się z historią, obyczajami i naturą tego plemienia, którego obecności w OPZ Tarrakania tak łaknie. Chociaż nie jestem specjalistą w dziedzinie teratologii kosmicznej, pragnę jednak, w miarę mych skromnych sił, uzupełnić to, cośmy mieli przyjemność usłyszeć. Najpierw, niejako mimochodem i ubocznie tylko, zaznaczę, iż ojczysta planeta ludzkości zwie się nie Żenują, Zymają lub Zemeja, jak to, nie z niewiedzy, rozumie się, a jedynie, jak jestem o tym dogłębnie przeświadczony, z oratorskiego rozpędu i zapędu powiadał był mój świetny przedmówca. To szczególnie nieistotny, zapewne. Wszelako i ów termin "ludzkość", jakim się posługiwał, wzięty jest z języka plemienia Ziemi - tak brzmi właściwe miano owej odległej planety prowincjonalnej - natomiast nasze nauki określają Ziemiaków nieco inaczej. Ośmielę się, w nadziei, że nie znudzę tym Wysokiego Zgromadzenia, odczytać pełne miano i klasyfikację gatunku, którego członkostwo w OPZ rozważamy, posługując się przy tym doskonałym dziełem specjalistów, a mianowicie Teratologia Galaktyczną Grammplussa i Gzeemsa.

Otworzył na swym pulpicie olbrzymią księgę w miejscu założonym zakładką, przedstawiciel Thubanu czytał:

- Zgodnie z przyjętą systematyką, występujące w naszej Galaktyce formy anormalne obejmuje typ Aberrantia (Zboczeńce), dzielący się na podtypy Debilitales (Kretyńce) oraz Antisapiientiales (Przeciwrozumce). Do tego ostatniego podtypu należą gromady Canaliacaea (Paskudtawce) i Necroludentia (Zwiokobawy). Wśród Zwtokobawów rozróżniamy z kolei rząd Patricidiaceae (Ojcogubce), Matriphagideae (Matko jody) i Lascmaceae (Obrzydłce, czyli Wszeteki). Obrzydłce, formy już skrajnie zwyrodniałe, klasyfikujemy, dzieląc na Cretininae (Tępony, np. Cadaverium Mordans, Trupogryz Bęcwałec), i Horrorissimae (Potworyjce, z klasycznym przedstawicielem w postaci Mętniaka Baczościowca, Idiontus Erectus Gzeemsi}. Niektóre z Potworyjców tworzą własne pseudokultury; należą tu gatunki takie, jak Anophilus Belligerens, Zadomitek Zbójny, który nazywa siebie Genius Pulcherrimus Mundanus, albo jak ów osobliwy, łysy na całym ciele egzemplarz, zaobserwowany przez Grammplussa w najciemniejszym zakątku naszej Galaktyki - Monstroteratum Furiosum (Ohydek Szalej), który zwie siebie Homo Sapiens.

W sali podniósł się szum. Przewodniczący uruchomił maszynę z młotkiem.

- Trzymaj się pan! - syknął mi Tarrakanin. Nie widziałem go, od blasku jupiterów, a może od potu, który zalewał mi oczy. Nikła nadzieja wstąpiła w moje serce, ponieważ ktoś zażądał głosu w kwestii formalnej; przedstawivszy się zgromadzonym jako członek delegacji Wodnika, a zarazem astrozoolog, jał spierać się z Thubańczykiem - niestety, w tej mierze tylko, iż - jako zwolennik szkoły profesora Haganapsa - uważał przedstawioną klasyfikację za niedokładną; rozróżniał bowiem, za swym mistrzem, osobny rząd Degeneratores, do którego należą Przećpaki, Niedoćpaki, Truposzczypki oraz Martwopieszczce; określenie "Monstroteratus" uznał, w zastosowaniu do człowieka, za fałszywe - albowiem należało posługiwać się raczej nomenklaturą szkoły wodnickiej, używającej konsekwentnie terminu Sztucznik - Potwomiaczek (Artefactum Abhorrens). Po krótkiej wymianie zdań Thubańczyk kontynuował swe przemówienie:

- Czcigodny przedstawiciel Tarrakanii, zalecając nam kandydaturę tak zwanego człowieka rozumnego albo - żeby być bardziej ścisłym - Szaleją Potwomiaczka, typowego reprezentanta Trupobawów, nie wymienił - w rekomendacjach - słowa "białko", uznając je za nieprzyzwoite. Zapewne budzi ono skojarzenia, nad którymi przystojność nie pozwala mi się rozwodzić. Co prawda, fakt posiadania NAWET takiego budulca cielesnego nie hańbi. (Okrzyki: "słuchajcie! słuchajcie!") Nie w biały dzień! I nie w określeniu siebie, chociaż się jest Trupobawem Furiackim, mianem człowieka rozumnego. Jest to w końcu słabość dająca się zrozumieć, chociaż nie wybaczyć, podyktowana miłością własną. Nie w tym rzecz atoli. Wysoka Rado!

Uwaga moja rwała się jak świadomość malejącego - dochodziły mnie ledwo strzępy.

- Nawet mięsożerność nie jest niczyją winą, skoro wynikła z toku ewolucji naturalnej! Wszelako różnice, dzielące tak zwanego człowieka od jego krewnych zwierzęcych, są niemal żadne! Podobnie, jak osobnik WYŻSZY nie może uważać, aby to dawało mu prawo pożerania wzrostem NIŻSZYCH, tak i obdarzony WYŻSZYM nieco umysłem nie może mordować ani pożerać NIŻSZYCH umysłowo, a jeśli już musi to czynić (okrzyki: "Nie musi! Niech je szpinak!) - jeżeli, powiadam, MUSI, za sprawą tragicznego obciążenia dziedzicznego, winien pochłaniać okrwawione ofiary w trwodze, po kryjomu, w norach swych i najciemniejszych zakątkach pieczar, targany wyrzutami sumienia, rozpaczą i nadzieją, że kiedyś uda mu się wyzwolić od brzemienia mordów tak nieustannych. Niestety, nie tak postępuje Ohydek Szalej! Bezcześci szczątki śmiertelne, dusząc je i kulgając, bawi się nimi, a dopiero potem wchłania na publicznych żerowiskach, wśród podskoków obnażonych samiec swego gatunku, bo mu to wzmaga apetyt na zmarłych, konieczność zaś odmiany tak do całej Galaktyki o pomstę wołającego stanu rzeczy nawet mu nie przychodzi do półpłynnej głowy! Przeciwnie, potworzył sobie wyższe usprawiedliwienia, które, osadzone pomiędzy jego żołądkiem, tą kryptą cmentarną niezliczonych ofiar, a nieskończonością, upoważniają go do mordowania z podniesionym czołem. Tyle tylko, by nie zajmować czasu Wysokiemu Zgromadzeniu, o zajęciach i obyczajach tak zwanego człowieka rozumnego. Wśród jego przodków jeden zdawał się rokować niejake nadzieje. Był to gatunek homo neanderthalensis. Warto się nim zainteresować. Podobny do człowieka współczesnego, miał większą od niego pojemność czaszki, a zatem i większy mózg, czyli rozum. Zbieracz grzybów, skłonny do medytacji, rozmiłowany w sztukach, łagodny, flegmatyczny, zasługiwałby bez wątpienia na to, aby jego członkostwo w tej wysokiej Organizacji było dziś rozpatrywane. Niestety, nie ma go wśród żywych. Czy nie zechciałby nam powiedzieć delegat Ziemi, którego tu mamy zaszczyt gościć, co się stało z jakże kulturalnym i sympatycznym neandertalczykiem? Milczy, a więc ja powiem za niego: został wygubiony do szczętu, starty z powierzchni Ziemi przez tak zwanego homo sapiens. Nie dość atoli było ohydy bratobójstwa, wzięli się tedy uczeni ziemscy do oczerniania zgładzonej ofiary, sobie, a nie jej - wielkomózgiej - przypisując wyższy rozum. I oto mamy wśród nas, ma tej czcigodnej sali, w tych wzniosłych murach, reprezentanta zwłokojadów, zmyślnego w poszukiwaniu zabójczej uciechy, pomysłowego architekta środków zagłady, budzącego wyglądem swoim zarazem śmiech i zgrozę, nad którą ledwo potrafimy zapanować, oto widzimy tam, na niepokalanej dotąd, białej ławie istotę, która nie posiada nawet odwagi konsekwentnego zbrodniarza, albowiem swoją śladami mordów znaczną karierę bezustannie opatruje pięknem fałszywych imion, których straszne, prawdziwe znaczenie rozszyfrować potrafi każdy obiektywny badacz gwiazdowych ras. Tak, Wysoka Rado...

W samej rzeczy dochodziły mnie z tego dwugodzinnego przemówienia tylko fragmenty, ale wystarczało ich w zupełności. Thubańczyk stwarzał obraz potworów, tarzających się we krwi, a dokonywał tego bez pośpiechu, systematycznie otwierając coraz to inne, przygotowane na pulpicie księgi uczone, annały, kroniki, a już spożytkowanymi strzelał w podłogę, jakby porwany nagłym do nich obrzydzeniem, jakby i karty same, co nas opisywały, zlepiła krew ofiar. Z kolei zabrał się do naszej historii cywilizowanej; opowiadał o masakrach, rzeziach, wojnach, krucjatach, masowych zabójstwach, przedstawiał na planszach i epidiaskopem wyświetlał technologie zbrodni i tortury starożytne i średniowieczne, gdy zaś wziął się do współczesności, szesnastu posługaczy podleczyło mu na uginających się wózkach sterty nowego materiału

faktograficznego; inni posługacze, czy raczej sanitariusze OPZ, udzielali tymczasem z małych helikopterów pierwszej pomocy rzeszom słabnących słuchaczy tego referatu, omijając tylko mnie jednego, w prostodusznym przeświadczeniu, że potop krwawych informacji o kulturze ziemskiej ani trochę mi nie zaszkodzi. A jednak gdzieś w połowie owego przemówienia zacząłem, jak na granicy obłędu, lękać się samego siebie, jak gdybym w środowisku maszkarowatych, dziwacznych istot, co mnie otaczały, był jedynym potworem. Myślałem, że ta straszliwa mowa oskarży cielska nie skończy się nigdy, gdy padły słowa:

- A teraz zechce Wysokie Zgromadzenie przejść do głosowania nad wnioskiem delegacji tarrakańskiej!

Sala zastygła w śmiertelnej ciszy, aż coś poruszyło się tuż obok mnie. To mój Tarrakanin wstał, aby spróbować odparcia niektórych przynajmniej zarzutów; nieszczęsny. Wkopał mnie do reszty, usiłując zapewnić zgromadzenie, że ludzkość poważa neandertalczyków jako czcigodnych przodków swoich, którzy wyginęli całkiem sami z siebie; Thubańczyk przygwoździł jednak od razu mego obrońcę jednym celnym, postawionym mi wręcz, pytaniem: czy powiedzenie o kimś "neandertalczyk" uchodzi na Ziemi za pochwałę, czy też za epitet obraźliwy?

Myślałem, że wszystko już skończone, przegrane na zawsze, że zaraz powlokę się z powrotem na Ziemię, jak pies wygnany do budy, któremu wyszarpnęto z kłów zdławione ptaszę; lecz w słabym szmerze sali przewodniczący, pochyliwszy się do mikrofonu, rzekł:

- Udzielam głosu przedstawicielowi delegacji erydańskiej.

Erydanin był mały, siwosrebrzysty i pękaty jak kłęb mgły, oświetlonej skośnym zimowym słońcem.

- Chciałbym spytać - rzekł - kto będzie płacił wpisowe Ziemian? Czy oni sami? Jest wszak niemałe - bilion ton platyny to ciężar, któremu nie każdy płatnik podda!

Amfiteatr wypełnił się gniewnym gwarem głosów.

- Pytanie to będzie właściwe dopiero po przegłosowaniu pozytywnym wniosku delegacji tarrakańskiej! - rzekł po chwili wahania przewodniczący.

- Za pozwoleniem Waszej Galaktyczności! - odparł Erydanin. - Ośmielam się być odmiennego zdania i dlatego pytanie, jakie zadałem, poprę szeregiem uwag, moim zdaniem wielce istotnych. Mam tu, najpierw, dzieło znakomitego planetografa doradzkiego, hyperdoktora Wragrasa, i cytuję z niego:... planety, na których życie spontanicznie narodzić się nie może, odznaczają się cechami następującymi:
A)

katastroficznymi zmianami klimatu w rytmie szybkim naprzemiennym (tzw. cykl "zimawiosnalatojesień") oraz jeszcze bardziej zgubnymi, w okresach wielkich (epoki lodowcowej);

B) obecnością wielkich księżyców własnych; ich wpływy przypływowe też mają życiogubny charakter;

C) często występującą plamistością gwiazdy centralnej, czyli macierzystej, bo plamy są źródłem życiogubnego promieniowania;

D) przewagą powierzchni wód nad powierzchnią kontynentów; E) stałością zlodowacenia okołobiegunowego;

F) występowaniem opadów wody ciekłej lub zestalonej... Jak widać z tego...

- Proszę o głos w kwestii formalnej!! - zerwał się ożywiony jakby nową nadzieją mój Tarrakanin. - Zapytuję, czy delegacja Erydanu będzie głosowała za naszym wnioskiem, czy też przeciw niemu?

- Będziemy głosowali za wnioskiem, z poprawką, którą przedstawię Wysokiemu Zgromadzeniu - odparł Erydanin, po czym wrócił do swego:

- Czcigodna Rado! Na dziewięćset osiemnastej sesji Zgromadzenia Ogólnego rozważaliśmy tutaj kandydaturę członkowską rasy Wszeteków Zadogłowych, którzy przedstawili się nam jako "doskonalczy wiekuści", aczkolwiek tak są cieleśnie nietrwali, że podczas wspomnianej sesji Zgromadzenia skład delegacji wszeteckiej zmieniał się piętnaście razy, chociaż sesja nie trwała dłużej niż osiemset lat. Nieszczęśnicy ci, gdy przyszło do przedstawienia życiorysu rasy, wikłali się w sprzecznościach, zapewniając Wysokie Zgromadzenie w sposób tyleż gołosłowny, co solenny, że stworzył ich pewien Sprawca Doskonały na własne, wspaniałe podobieństwo, dzięki czemu są, między innymi, nieśmiertelni duchem. Ponieważ skądinąd wyjawilo się, że planeta ich odpowiada bionegatywnym warunkom hyperdoktora Wragrasa, Zgromadzenie Plenarne wyłoniło specjalną Podkomisję Śledczą, ta zaś stwierdziła, iż inkryminowana rasa przeciwrozumna powstała nie wskutek wybuchu Natury, lecz godnego pożałowania incydentu, wywołanego przez osoby trzecie.

("Co on mówi?! Milczeć! Nieprawda! Proszę zabrać tę przylgę, ty wszeteku!" - coraz burzliwiej rozlegało się na sali.)

- Wyniki prac Podkomisji Śledczej - ciągnął Erydanin - doprowadziły do uchwalenia na kolejnej sesji OPZ poprawki do punktu drugiego Karty Planet Zjednoczonych, która to poprawka głosi, co następuje (tu rozwinął sażnisty pergamin i jął czytać): Niniejszym ustanawia się kategorię zakaz, podejmowania czynności życiosprawczych na wszystkich planetach typu A, B, C, D oraz E Wragrasa, a jednocześnie nakłada się na zwierzchnictwo wypraw badawczych i dowództwa statków, które lądują na takich globach, obowiązek surowe go przestrzegania powyższe go zakazu. Obejmuje on nie tylko rozmyślne praktyki życiotwórcze, w rodzaju rozsiewania glonów, bakterii i tym podobnych, ale także inicjowanie bioewolucji nieumyślne, wskutek niedbalstwa czy roztargnienia. Ta profilaktyka antykonceptyjna podyktowana jest najlepszą wolą i wiedzą OPZ, świadomej następujących faktów. Po pierwsze - naturalna nieprzychylność środowiska, w którym osadza się przyniesione z zewnątrz pierwociny życia, powoduje, w toku jego dalszej ewolucji, powstanie takich zbroczeń i kalectw, jakich się w obrębie naturalnej biogenezy nigdy nie spotyka. Po wtóre - w okolicznościach nazwanych powstają gatunki nie tylko ułomne cieleśnie, ale i obciążone najcięższymi formami duchowych zwyrodnień; jeśli zaś w podobnych warunkach wylęgna się istoty choć trochę rozumne, a to niekiedy się zdarza, los ich jest pełen umysłowych katuszy. Osiągnąwszy bowiem pierwszy stopień świadomości, zaczynają poszukiwać w otoczeniu przyczyny własne go powstania, a nie mogąc jej tam znaleźć, schodzą na manowce wierzeń, stwarzanych z zamętu i rozpacz. W szczególności, jako iż jest im obcy normalny tok procesów ewolucyjnych w Kosmosie, zarówno swą cielesność, jakkolwiek byłaby pokraczna, jak też i swój sposób podmyślenia uznają za zjawiska typowe, normalne i w całym Wszechświecie tak właśnie się przejawiające. A przeto, w głębokiej trosce o dobro i godność życia w ogóle, istot zaś rozumnych w szczególności, postanawia Zgromadzenie Generalne OPZ, iż ten, kto naruszy ustanowiony niniejszym prawomocny artykuł antykonceptyjny Karty PZ, podlegać będzie sankcjom i karom, zgodnie z brzmieniem odpowiednich paragrafów Kodeksu Prawa Międzyplanetarnego.

Erydanin, odłożywszy Kartę PZ, podniósł zwalisty tom Kodeksu, który włożyli mu w macki rączy pomocnicy, a otwarłszy olbrzymią ową księgę we właściwym miejscu, czytał dźwięcznie:

- Tom drugi Kodeksu Karnego Międzyplanetarnego, ustęp osiemdziesiąty, pod tytułem "O nierządzie planetarnym".

Paragraf 212: Kto zapładnia planetę naturalnie bezpłodną, podlega karze od stu do tysiąca pięciuset lat zagwieżdżenia, niezależnie od odpowiedzialności cywilnej za straty moralne i materialne poszkodowanych.

Paragraf 213: Kto działa w myśl paragrafu 212, wykazując znaczne nasilenie zlej

woli, a to podejmując manipulacje o charakterze wszetecznym z premedytacją, których rezultatem ma być ewolucja form życia szczególnie zniekształconych, budzących odrazę powszechną lub powszechne przerażenie, podlega karze zagwieżdżenia do lat tysiąca pięciuset.

Paragraf 214: Kto zapłodni planetę bezpłodną wskutek niedbalstwa, roztargnienia lub też przez zaniechanie zastosowania właściwych środków antykoncepcyjnych, podlega karze zagwieżdżenia do lat czterystu; jeśli działa ze zmniejszonym rozeznaniem konsekwencji czynu, kara może ulec zmniejszeniu do lat stu.

- Nie wspominam - dodał Erydanin - o karach za wtrącanie się do procesów ewolucyjnych in statu nascendi, ponieważ nie należy to do naszego tematu. Podkreślę natomiast, iż Kodeks przewiduje odpowiedzialność materialną sprawców wobec ofiar nierządu planetarnego; ustępów właściwych Kodeksu Cywilnego nie będę odczytywał, aby nie znużyć członków Zgromadzenia. Dodam jedynie, iż w katalogu ciał, uznanych za definitywnie bezpłodne w rozumieniu zarówno hyperdoktora Wrągrasa, jak Karty Planet Zjednoczonych oraz Kodeksu Karnego Międzyplanetarnego, figurują na stronicy dwa tysiące sześćset osiemnastej, wiersz ósmy od dołu, następujące ciała niebieskie: Zembelia, Zezmaja, Ziemia i Zyzma...

Szczęka mi opadła, listy uwierzytelniające wysunęły mi się z ręki, pociemniało mi w oczach. ("Uwaga! - wołano na sali - słuchajcie! Kogo on oskarża?! Precz! Niech żyje!") Co do mnie, o ile to było możliwe, usiłowałem wleźć pod pulpit.

- Wysoka Rado!! - zagrział przedstawiciel Erydanu, strzelając w podłogę amfiteatru tomami Kodeksu Międzyplanetarnego (musiał to być ulubiony w OPZ chwyt oratorski). - Nigdy dość o sprawach, które są hańbą gwałcicieli Karty Planet Zjednoczonych! Nigdy dość piętnowania nieodpowiedzialnych elementów, poczynających życie w warunkach tego niegodnych!!

Oto przychodzą do nas istoty, które nie znają ani ohydy własnej egzystencji, ani też jej przyczyn! Oto pukają do czcigodnych drzwi tego szanownego Zgromadzenia, i cóż my możemy im odpowiedzieć wtedy, wszystkim owym wszetekom, potworniaczkom, ohydkom, matkojadom, trupolubom, tępalom, załamującym swe niby ręce i padającym z niby nóg, kiedy się dowiadują, że należą do pseudotypu "Artefacta", że doskonałym ich stwórcą był jakiś majtek, który wylał na skały planety martwej - sfermentowane pomyje z raketowego wiadra, dla uciechy przydając owym żalonym pierwocinom życia własności, które uczynią je potem urągówiskiem całej Galaktyki! Jakże potem obronią się nieszczęśni, kiedy jakiś Katon wytknie im ich haniebną lewoskrętność białeczną!! (Sala wrzała, darmo maszyna waliła bez przerwy młotkiem, w krąg huczało: "Hańba! Precz! Zasankcjonować! O kim on mówi? Patrzcie, Ziemią rozpущa się już, Ohydek cieknie cały!!!")

Istotnie, były na mnie poty, Erydanin, przekrzykując swym stentorowym głosem ogólną wrzawę, wołał:

- Zadam obecnie kilka pytań końcowych czcigodnej delegacji tarrakańskiej! Czy nie jest prawdą, że w swoim czasie wylądował na martwej podówczas planecie Ziemi statek pod waszą flagą, któremu wskutek awarii lodówek popsuka się część zapasów? Czy nie jest prawdą, że na statku tym znajdowało się dwóch próżniarzy, skreślonych później ze wszystkich rejestrów za bezwstydne machinacje z rzęślami, i że ci dwaj łotrzy, te zawalidrogi mleczone, zwali się Bann i Pugg? Czy nie jest prawdą, że Bann i Pugg postanowili, po pijanemu, nie zadowolić się zwykłym zanieczyszczeniem bezbronnej, pustynnej planety, gdyż zachciało im się zaaranżować na niej, w sposób występny i karygodny, ewolucję biologiczną, jakiej świat dotąd nie widział? Czy nie jest prawdą, że obaj ci Tarrakanie rozmyślnie, z najwyższym napięciem złej woli obmyślili sposób stworzenia z Ziemi - wylęgami dziwolągów na skalę całej Galaktyki, cyrku kosmicznego, panopticum, gabinetu makabrycznych osobliwości, którego żywe eksponaty stałyby się, w swoim czasie, pośmiewiskiem najdalszych Mgławic?! Czy nie jest prawdą, że pozbawieni wszelkiego poczucia przystojności i hamulców etycznych, obaj ci bezecnicy wylali na skały martwej Ziemi sześć beczek zjełczałego kleju żelatynowego i dwie bańki nadpsutej pasty albuminowej, że dosypali do owej mazi - sfermentowanej ryboży,

pentozy i lewulozy, a jakby mało było jeszcze tych paskudztw, polali je trzema dużymi konewkami roztworu zgłiwiających aminokwasów, po czym powstała bryję bełtali łopatką od węgla, skrzywioną w lewo, oraz pogrzebaczem, także wykreconym w tę samą stronę, wskutek czego białka wszystkich przyszłych istot ziemskich stały się LEWO-skrętne?! Czy nie jest nareszcie prawdą, że Pugg, cierpiący podówczas na silny katar, a podżegany do tego przez słaniającego się od nadużycia trunków Banna, w sposób rozmyślny nakichał do plazmatycznej zarodki, a zakażając ją przez to złośliwymi wirusami, rechotał, iż dzięki temu tchnął "sakramenckiego ducha" w nieszczęsny zaczyn ewolucyjny?! Czy nie jest prawdą, że lewoskrętność owa i owa złośliwość przeszły następnie w ciała ziemskich organizmów i przetrwały w nich po dzisiaj, od czego cierpią teraz bezwinni przedstawiciele rasy Artefactum Abhorrens, którzy nazwali siebie mianem homo sapiens jedynie z prostaczej naiwności? Czy nie jest przeto prawdą, że Tarrakanie winni nie tylko zapłacić za Ziemię wpisowe, w wysokości biliona ton kruszcu, ale także muszą wypłacić nieszczęśliwym ofiarom planetarnego nierządu - KOSMICZNE ALIMENTY?!

Po tych słowach Erydanina wybuchło w amfiteatrze pandemonium. Skuliłem się, gdyż w powietrzu latały na wszystkie strony teczki z aktami, tomy Kodeksu Prawa Międzyplanetarnego, a nawet dowody rzeczowe, w postaci bardzo mocno zardzewiałych konwi, beczek i pogrzebaczy, które wzięły się nie wiadomo skąd; być może, przemyślni Erydanie, mając z Tarrakanami na pieńku, zajmowali się od niepamiętnych wieków archeologicznymi pracami na Ziemi i zbierali dowody ich winy, gromadzone starannie na pokładach Talerzy Latających; trudno mi było atoli zastanawiać się nad podobną kwestią, skoro wokół wszystko trzęsło się, migąło od macek i przyłg, mój Tarrakanin, okropnie wzburzony, zerwawszy się z miejsca, wrzeszczał coś, co ginęło atoli w powszechnym hałasie, ja zaś trwałem jakby na dnie wrzawy, a ostatnią myślą, jaka kołatała mi w głowie, była kwestia owego kichnięcia z premedytacją, które nas poczęło.

W pewnej chwili ktoś złapał mnie boleśnie za włosy, aż jęknąłem; to Tarrakanin, usiłując zademonstrować, jak porządnie zostałem wykonany przez ziemską ewolucję i jak bardzo nie zasługuję na miano byle jakiej istoty, luźno tylko posklejanej ze zgniłych odpadków, walił mnie raz za razem po głowie swoją olbrzymią, ciężką przyłgą... ja zaś, czując, że życie ze mnie uchodzi, szamotałem się coraz słabiej, tracąc dech, parokrotnie wierzgnąłem jeszcze w agonii - i opadłem na poduszki. Na pół przytomny zerwałem się zaraz; siedziałem na łóżku, obmacując sobie szyję, głowę, piersi - i przekonując się tym sposobem, że wszystko, co przeżyłem, sprawił jeno koszmarny sen. Odetchnąłem z ulgą, potem jednak zaczęły nękać mnie niejaki wątpliwości. Powiadałem sobie: "sen mara, Bóg wiara", ale to nie pomagało. Na koniec, aby porozpraszać ciemne myśli, pojechałem do ciotki na Księżyc. Wszelako trudno mi ośmiominutową jazdę planetobusem, który staje pod moim domem, nazwać ośmiogwiazdową podróżą - już raczej godniejsza jest tej nazwy odbyta we śnie wyprawa, w której tak się nacierpiałem za ludzkość.

PODRÓŻ JEDENASTA

Dzień zapowiadał się kiepsko. Bałagan, panujący w domu od chwili, kiedy dałem służącego do remontu, rósł. Niczego nie mogłem znaleźć. W kolekcji meteorów zaległy się myszy. Nadgryzły najładniejszy chondryt. Kiedy parzyłem kawę, wybiegło mi mleko. Ten elektryczny bałwan schował ścierki razem z chustkami do nosa. Powinienem był dać go do generalki. Już kiedy zaczął mi pastować buciki od środka. Musiałem użyć zamiast ścierki starego spadochronu, poszedłem na górę, odkurzyłem meteor i nastawiłem łapkę. Wszystkie okazy zebrałem sam. Nie jest to takie trudne - trzeba tylko zająć meteor od tyłu i nakryć go siatką. Przypomniałem sobie nagle o grzankach i zbiegłem na dół. Oczywiście spaliły się na węgiel. Wyrzuciłem je do zlewu. Od razu się zatkał. Machnąłem na to ręką i zajrzałem do skrzynki na listy. Pełna była zwykłej rannej poczty - dwa zaproszenia na kongresy gdzieś w prowincjonalnych dziurach Mgławicy Kraba, druki

reklamujące mleczko do polerowania rakiet, nowy numer "Odrzutowego Dróznika", nic ciekawego. Ostatnią była ciemna, gruba koperta opatrzona pięcioma pieczęciami. Zważyłem ją w ręce i otworzyłem.

Tajny Pełnomocnik do Spraw Karelirii ma zaszczyt zaprosić p. Ijona Tichego na posiedzenie, które odbędzie się dn. 16 bm. o godzinie 1730 w małej sali Lambretanum. Wstęp ściśle za zaproszeniami po prześwietleniu. Uprasza się o zachowanie sprawy w tajemnicy.

Nieczytelny podpis, pieczęć

i druga pieczęć czerwona, skosem:

SPRAWA KOSMICZNEJ WAGI. TAJNE!!!

No, nareszcie coś, pomyślałem. Kareliria, Kareliria... nazwę znałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Zajrzałem do Encyklopedii kosmicznej. Była tylko Kartulania i Kersempilia. Ciekawe, pomyślałem. Almanach też niczego nie zawierał pod tym hasłem. Tak, to było naprawdę interesujące. Ani chybi Tajna Planeta. - To lubię - mruknąłem i zacząłem się ubierać. Była dopiero dziesiąta, ale musiałem wziąć poprawkę na służącego. Skarpetki znalazłem prawie od razu w lodówce i wydawało mi się, że potrafię już prześledzić bieg myśli rozstrojonego elektromózgu, kiedy stanąłem wobec osobliwego faktu - nigdzie nie było spodni. Żadnych. Same tylko surduty wisiały w szafie. Przeszukałem cały dom, nawet rakiety wypatroszyłem - nic. Stwierdziłem tylko, że ten zdezelowany bałwan wypił cały olej, jaki znajdował się w piwnicy. Musiał go wychlać niedawno, bo przed tygodniem liczyłem puszki i wszystkie były pełne. To mnie tak zezłościło, że się poważnie zastanowiłem, czy nie oddać go jednak na złom. Ponieważ nie chciało mu się wstawać rano, od miesiący zatykał sobie wieczorem słuchawki woskiem. Można było dzwonić do upadłego. Tłumaczył, że to z roztargnienia. Groziłem, że wykręcę mu stopki, ale brzęczał sobie na to. Wiedział, że go potrzebuję. Podzieliłem cały dom na kwadraty systemem Pinkertona i zabrałem się do takiej rewizji, jakbym szpilki szukał. Znalazłem w końcu kwit z pralni. Szubrawiec oddał wszystkie moje spodnie do czyszczenia. Ale co się stało z tymi, które miałem na sobie poprzedniego dnia? Nie mogłem sobie w żaden sposób przypomnieć. Tymczasem nadeszła pora obiadu. Do lodówki nie miałem co zaglądać - oprócz skarpetek był w niej tylko papier listowy. Ogarniała mnie rozpacz. Wyjąłem z rakiety skafander, włożyłem go i poszedłem do najbliższego domu towarowego. Trochę się za mną oglądano na ulicy, ale kupiłem dwie pary spodni, jedne czarne, drugie szare, wróciłem w skafandrze, przebrałem się i zły jak diabli pojechałem do chińskiej restauracji. Zjadłem, co mi dali, zapiłem gniew butelką mozelskiego wina i spojrzawszy na zegarek przekonałem się, że dochodzi piąta. Zmitrężyłem cały dzień.

Przed Lambretanum nie było żadnych helikopterów, ani jednego auta, nawet najmniejszej rakiety - nic. - To aż tak? - przemknęło mi. Przez rozległy ogród, pełen georginii, przeszedłem ku głównemu wejściu. Długo nikt nie otwierał. Nareszcie otwarła się klapka selektywnego judasza, niewidzialny wzrok zlustrował mnie, po czym brama uchyliła się na tyle, bym mógł wejść.

- Pan Tichy - powiedział do kieszonkowego mikrofonu człowiek, który mi otworzył.
- Proszę na górę - zwrócił się do mnie. - Lewe drzwi. Czekają już na pana.

Na górze panował przyjemny chłód. Wszedłem do małej sali i ujrzałem się w doborowym gronie. Oprócz dwóch facetów za stołem prezydialnym, których nigdy nie widziałem, na wyściełanych aksamitem fotelach siedział kwiat kosmografii.

Dostrzegłem profesora Gargarraga i jego asystentów. Skłoniłem się obecnym i usiadłem z tyłu. Jeden z facetów za stołem prezydyjnym, wysoki, o siwych skroniach, wyjął z szuflady kauczukowy dzwonek i zadzwonił nim bezszelestnie. Co za piekielne ostrożności - pomyślałem.

- Panowie rektorzy, dziekanowie, profesorowie, docenci i ty, szanowny Ijonie Tichy - ozwał się wstając mężczyzna o siwych skroniach - jako pełnomocnik do spraw najtajniejszej wagi otwieram posiedzenie specjalne, poświęcone sprawie Kareliirii. Głos ma tajny radca Xaphirius.

Z pierwszego rzędu podniósł się tęgi, jak mleko siwy, barczysty mężczyzna, wszedł na podium, skłonił się nieznacznie zebranym i rzekł bez żadnych wstępów:

- Panowie! Około sześćdziesięciu lat temu z yokohamskiego portu planetarnego wyruszył frachtowiec Kompanii Mlecznej "Bożydar II". Statek ten, pod dowództwem doświadczonego próźniarza, Astrocentego Peapo, wiózł drobnicę dla Areklandrii, planety gammy Oriona. Po raz ostatni dostrzeżono go z latarni galaktycznej w pobliżu Cerbera. Potem wszelki ślad po nim zaginął. Towarzystwo Ubezpieczeń Securitas Cosmica, zwane w skrócie SECOS, wypłaciło po upływie roku pełne odszkodowanie za zaginiony statek. Jakies dwa tygodnie później pewien radioamator z Nowej Gwinei przyjął radiogram następującej treści.

Mówca podniósł ze stołu kartkę i odczytał z niej:

KARKULOWSIAŁ ZWARTUSIAŁ

RATUWSIANKU BOŻYWSIO

- Tu muszę wejść, panowie, w szczegóły nieodzowne dla dalszego zrozumienia sprawy. Ów radioamator był nowicjuszem i w dodatku seplenił. Mocą nawyku, a także, jak należy sądzić, swej nieumiejętności zniekształcił depeszę, która, według rekonstrukcji dokonanej przez ekspertów Galaktokodu, brzmiała: "Kalkulator zwariował ratunku Bożydar". Eksperci uznali w oparciu o ów tekst, iż zaszedł rzadki wypadek buntu w pełni próźni - i to buntu pokładowego Kalkulatora. Ponieważ od chwili wypłaty ubezpieczenia armatorom ci ostatni nie mogli już sobie rościć żadnych pretensji do zaginionego statku, albowiem przejął je ze wszystkimi prawami własności także i do frachtu SECOS, towarzystwo do zaangażowało agencję Pinkertona, w osobach Abstrahazego i Mnemoniusa Pinkertonów, aby podjęli odpowiednie dochodzenia. Śledztwo, prowadzone przez tych rutynowanych detektywów, wykryło, iż w samej rzeczy Kalkulator "Bożydara", model w swoim czasie wyposażony luksusowo, lecz w okresie ostatniej podróży już w podeszłym wieku, uskarżał się od niejakiego czasu na jednego z członków załogi. Rakietnik ów, niejaki Symileon Gitterton, miał drażnić go w rozmaity sposób - obniżaniem wyjściowego napięcia, prztykaniem w lampy, drwinami, a nawet obrzucając Kalkulatora obelżywymi określeniami w rodzaju "zramolałej blaszanki" bądź "drucianego tępaka". Gitterton wyparł się wszystkiego twierdząc, iż Kalkulator ma po prostu omamy - co się niekiedy zdarza u sędziwych elektromózgów. Ten aspekt sprawy naświetli zresztą panom za chwilę profesor Gargarrag.

Statku nie udało się odnaleźć przez następne dziesięciolecie. Jednakże po owym czasie agencji Pinkertona, którzy bezustannie zajmowali się tajemnicą zniknięcia "Bożydara", dowiedzieli się, że przed restauracją hotelu Galax siaduje na pół obłąkany, zniedołężniały żebrak, który wyśpiewuje przedziwne historie, podając się za Astrocentego Peapo, byłego dowódcę statku. Starzec ów, nad wyraz niechlujny, w samej rzeczy twierdził, iż jest Astrocentym Peapo, był jednak nie

tylko niespełna rozumu, ale utracił mowę - i mógł tylko śpiewać. Indagowany cierpliwie przez ludzi Pinkertona, wyśpiewał niewiarygodną historię - jakoby na statku stało się coś strasznego, w związku z czym, wyrzucony za burtę w jednym skafandrze na grzbiecie, musiał wraz z garścią wiernych próżniarzy wracać pieszo z regionu andromedyjskiego zamglenia na Ziemię, co trwało lat dwieście; wędrował - rzekomo - już to na meteorach, zdążających w dobrym kierunku, już to raketostopem - i tylko małą część drogi przebył na Lumeonie, bezludnej sondzie kosmicznej, która leciała ku Ziemi z szybkością bliską szybkości światła. Tę jazdę okrakiem na grzbiecie Lumeona przypłacił (według własnych słów) utratą mowy, odmłodził jednak za to o wiele lat, dzięki znanemu zjawisku kurczliwości czasu na ciałach poruszających się podświetlnie.

Tak brzmiała opowieść, a raczej pieśń łabędzia starca. O wypadkach, jakie zaszły na "Bożydarze", nic nie chciał nawet bąknąć - dopiero ustawivszy w pobliżu miejsca, na którym siadywał u hotelowego progu, magnetofony, agenci Pinkertona nagrali nucone przez starego żebraka przyśpiewki; w kilku obrzucał on najokropniejszymi klątwami liczydło, które ogłosiło się Archipankratorem Wszehkosmobytu. Pinkerton doszedł na tej podstawie do wniosku, że odczytanie depeszy było właściwe i Kalkulator, oszalawszy, pozbył się wszystkich przebywających na statku ludzi.

Dalszy ciąg uzyskała ta sprawa dzięki odkryciu, jakiego dokonał w pięć lat później statek Instytutu Metagalaktologicznego, "Megaster"; zauważył on krążący wokół nie zbadanej planety Procyona zardzewiały korpus, z sylwetki podobny do zaginionego "Bożydara". "Megaster", któremu kończyło się już paliwo, w drodze powrotnej nie wylądował na planecie, tylko zawiadomił drogą radiową Ziemię. Wysłano wówczas mały statek patrolowy "Deukron", który spenetrował pobliże Procyona i odnalazł wrak. Były to w samej rzeczy szczątki "Bożydara"; "Deukron" depeszował, iż wrak zastał w okropnym stanie - wyjęto zeń maszyny, przegrody, pokłady, przepierzenia wewnętrzne, klapy - wszystko co do śrubki, tak że wokół planety latała jedynie pusta, wypatroszona powłoka. W toku dalszych obserwacji, przeprowadzonych przez załogę "Deukrona", okazało się, iż Kalkulator "Bożydara", wznieciwszy rokosz, postanowił osiąść na planecie Procyona, a całą zawartość statku zagrabił, aby się na niej wygodnie zainstalować. W związku z czym założone zostały w naszym wydziale odpowiednie akta pod nazwą KARELIRIA, co się wykłada:

"Kalkulatora Reliktów Rewindykacja".

Kalkulator - wykazały to dalsze badania - osiadł na planecie i rozmnożył się na niej, płodząc wielką ilość robotów, nad którymi sprawował władzę absolutną. Ponieważ Kareliria znajduje się zasadniczo w sferze wpływów grawipolitycznych Procyona i jego Melmaniitów, która to rasa rozumna utrzymuje z Ziemią dobre stosunki sąsiedzkie, nie chcieliśmy ingerować brutalnie i pozostawiliśmy przez czas pewien Karelirię wraz z założoną na niej przez Kalkulatora kolonią robotów, noszącą w aktach wydziału szyfrową nazwę KALKOROB, w spokoju. Skądinąd SECOS wysunął żądanie rewindykacji uważając, iż zarówno Kalkulator, jak i wszystkie jego roboty są własnością prawną Towarzystwa Ubezpieczeniowego. Zwróciliśmy się w tej sprawie do Melmaniitów; odpowiedzieli wówczas, iż według ich wiadomości Kalkulator stworzył nie kolonię, lecz państwo, zwane przez jego mieszkańców Wspanialia, a rząd melmaniicki, choć nie uznał istnienia tego państwa de iure i nie doszło do wymiany przedstawicielstw dyplomatycznych, uznał wszelako egzystencję tego społecznego organizmu de facto i nie czuje się w kompetencji do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian w tym przedmiocie. Roboty przez pewien czas wegetowały na planecie spokojnie i nie przejawiały jakiegokolwiek szkodliwej agresywności. Oczywiście wydział nasz stał na stanowisku, iż nie można tej sprawy wypuścić całkowicie z rąk, gdyż byłby to przejaw lekkomyślności, i dlatego posłaliśmy na Karelirię kilku naszych ludzi, przebrawszy ich wprzód za roboty, albowiem młody nacjonalizm Kalkorobu przejawiał się pod postacią nierozumnej nienawiści do wszyztkiego, co ludzkie, co ludzkie. Prasa karelirska powtarza nieustannie, że jesteście ohydnyimi handlarzami niewolników i bezprawnie wyzyskujemy niewinne roboty. Tak tedy wszelkie pertraktacje, które usiłowaliśmy podjąć w imieniu towarzystwa SECOS, w duchu wzajemnej równości i porozumienia, spełzły na niczym, ponieważ nasze najskromniejsze nawet żądania - aby Kalkulator

zwrócił Towarzystwu siebie i roboty - zostały skwitowane obelżywym milczeniem.

- Panowie - podniósł głos mówca - wypadki nie potoczyły się niestety tak, jak się tego spodziewali. Po kilku radiowych komunikatach ludzie nasi, wysłani na Karelirię, przestali się odzywać. Wysłaliśmy nowych i powtórzyła się analogiczna historia. Po pierwszym szyfrowym komunikacie głoszącym, iż wylądowali bez zakłóceń, nie dali więcej znaku życia. Od tego czasu, w przeciągu dziewięciu lat, wysłaliśmy na Karelirię łącznie dwa tysiące siedmuset osiemdziesięciu sześciu agentów i żaden z nich nie powrócił ani się nie odezwał! Tym oznakom doskonalenia kontrwywiadu robotów towarzyszyły inne, jeszcze bardziej może zatrważające fakty. Oto prasa Karelirii w swych wystąpieniach coraz gwałtowniej nas atakuje. Drukarnie robotów masowo powielają broszurki i ulotki, przeznaczone dla robotów ziemskich, w których ludzie, przedstawieni jako elektropijcy i szubrawcy, nazywani są obelżywie - tak na przykład w wystąpieniach oficjalnych nie nazywa się nas inaczej, jak lepniakami, a ludzkość - bryją. Zwróciliśmy się w tej sprawie z aide memoire do rządu Procyona, ale powtórzył on swoje poprzednie oświadczenie o nieingerencji i wszelkie nasze starania, aby ukazać ponure owoce tej neutralistycznej, a w gruncie rzeczy strusiej polityki, nie doprowadziły do niczego. Dano nam jedynie do zrozumienia, iż roboty są naszym produktem, ergo my jesteśmy odpowiedzialni za wszystkie ich postępy. Z drugiej strony Procyon kategorycznie nie życzy sobie jakichś ekspedycji karnych czy też przymusowej ekspropriacji Kalkulatora i jego poddanych. W tej sytuacji zwołane zostało dzisiejsze zebranie; aby ukazać panom, jak zaogniona jest sytuacja, dodam, iż przed miesiącem "Kurier Elektroniczny", organ oficjalny Kalkulatora, ogłosił artykuł, w którym zmieszał z błotem całe drzewo ewolucyjne człowieka i domagał się przyłączenia Ziemi do Karelirii, jako iż roboty - w myśl ogłoszonych tez - są wyższym stadium rozwoju od istot żywych. Na tym kończę i proszę o zabranie głosu profesora Gargarraga.

Zgarbiony od ciężaru lat, słynny specjalista psychiatrii elektrycznej wstąpił nie bez trudu na mównicę.

- Panowie! - rzekł drżącym nieco, choć krzepkim, starczym głosem. - Od dawna jest już wiadomo, że mózgi elektryczne trzeba nie tylko budować, ale i wychowywać. Los elektrycznego mózgu jest ciężki. Praca bez przerwy, skomplikowane obliczenia, brutalność i niewybredne żarty obsługi - oto na co narażony jest taki niezmiernie przecież delikatny w swojej istocie aparat. Nic dziwnego, że przychodzi do załamań, krótkich spieć, podejmowanych niejednokrotnie w celach samobójczych. Niedawno miałem w mojej klinice taki przypadek. Nastąpiło rozdwojenie jaźni - dichotomia profunda psychogenes electrocutiva alternans. Mózg ów pisywał sam do siebie serdeczne listy, nazywał się w nich "szpuleczką", "druciątkiem", "lampuchną" - jawny dowód, jak bardzo potrzebował czułości, serdecznego, pełnego ciepła stosunku. Seria elektrycznych szoków i dłuższy wypoczynek przywróciły go do zdrowia. Albo taki tremor electricus frigoris oscillativus, panowie. Mózg elektonowy nie jest maszyną do szycia, którą można gwoździe w ścianę wbijać. To świadoma istota, która orientuje się we wszystkim, co wokół zachodzi, i dlatego nieraz w chwilach kosmicznego niebezpieczeństwa tak się zaczyna trząść wraz z całym statkiem, że ludziom trudno ustać na pokładzie.

To się pewnym brutalnym naturom nie podoba. Doprowadzają one mózg do ostateczności. Mózg elektryczny życzy nam najlepiej, wszelako, panowie, wytrzymałość drutów i lamp też ma swoje granice. Tylko wskutek bezmiernych prześladowań przez kapitana, który okazał się notorycznym pijakiem, mózdzek elektonowy Grenobiego, używany do poprawek kursowych, ochrzcił się w ostrym ataku szалу zdalnym dzieckiem Wielkiej Andromedy i dziedzicznym cesarzem Murwiklaudrii. Poddany kuracji w naszym zakładzie zamkniętym, uciszył się, oprzytomniał i obecnie jest już prawie normalny; są, naturalnie, przypadki cięższe. Tak na przykład pewien mózg uniwersytecki, zakochawszy się w żonie profesora matematyki, jął przez zazdrość fałszować wszystkie obliczenia, aż matematyk popadł w depresję, przekonany, że nie umie dodawać. Ale na usprawiedliwienie owego mózgu należy wyjawić, iż żona matematyka systematycznie uwodziła go, dając mu do sumowania wszystkie swe rachunki za najintymniejszą bieliznę. Przypadek, który omawiamy, nasuwa mi na myśl inny - wielkiego mózgu

pokładowego "Pankratiusa", który połączył się wskutek spięcia z innymi mózgami statku i w niepohamowanym popędzie wzrostu, tak zwanej gigantofilii elektrodynamicznej, opustoszył składnicę części zamiennych, wysadził załogę na skalistej Mirozenie, a sam dał nurka w ocean Alantropii i ogłosił się patriarchą jej jaszczurów. Nim przybyliśmy na tę planetę ze środkami uspokajającymi, spalili sobie w ataku wściekłości lampy, bo jaszczury nie chciały go słuchać. Co prawda i w tym wypadku okazało się, iż drugi sternik "Pankratiusa", znany kosmiczny szuler, ograł nieszczęsny mózg do nitki, posługując się znaczonymi kartami. Ale przypadek Kalkulatora jest wyjątkowy, panowie. Mamy przed sobą wyraźne objawy takich chorób, jak gigantomania ferrogenes acuta, jak paranoia misantropica persecutoria, jak polyplasia panelectropsycho debilitativa gravissima, jak wreszcie necrofilia, thanatofilia i necromantia. Panowie! Muszę wam wyjaśnić pewną sprawę, zasadniczą dla zrozumienia tego przypadku. Statek "Bożydar II" wiozł na swym pokładzie, poza drobnicą przeznaczoną dla armatorów Procyona, szereg pojemników rtęciowej pamięci syntetycznej, których odbiorcą miał być Uniwersytet Mleczny w Fomalhaut. Zawierały one dwa rodzaje wiadomości: z zakresu psychopatologii oraz leksykologii archaicznej. Należy sądzić, iż Kalkulator, rozrastając się, pochłonął owe pojemniki. Tym samym wcielił w siebie całość wiedzy o takich kwestiach, jak historia Kuby Rozpruwacza i dusiciela z Gloomspick, jak biografia Sachera Masocha. Jak pamiętniki markiza de Sade. Jak protokoły sekty flagellantów z Pirpinact. Jak oryginał książki Murmuropoulosa Pal w przekroju wieków oraz słynny biały kruk biblioteki w Abbercrombie - Dżganie, rzecz w rękopisie, przez ściętego w 1673 roku w Londynie Hapsodora, który znany był pod przezwiskiem "Naszyjnik niemowląt". Także oryginalny utwór Janicka Pidwy Matę torturatorium, tegoż autora Duśba, Kośba i Palba - przyczynek do katografii oraz jedyny w swoim rodzaju unikat - Jadłospis olejowy, spisany przedśmiertnie przez O. Galvinarię z Amagonii. W owych fatalnych pojemnikach znajdowały się też odcyfrowane z kamiennych tafli protokoły posiedzeń sekcji kanibalów związku literatów neandertalskich, jak również Rozważania stryckie wicehrabiego de Crampfousse; jeżeli dodam, że znalazły w nich też miejsce dzieła takie, jak Morderstwo doskonałe, Tajemnica czarnej trupa czy ABC mordu Agaty Christie, to możecie sobie, panowie, wyobrazić, jaki to miało straszny wpływ na niewinną skądinąd osobowość Kalkulatora.

Przecież my staramy się wedle sił zachować elektromózgi w niewiedzy o tych okropnych stronach człowieka. Teraz, gdy okolice Procyona zaludnia żelazny pomiot maszyny wypełnionej dziejami ziemskiej degeneracji, zwyrodnienia i zbrodni, muszę niestety wyjawić, iż elektropsychiatria jest w tym wypadku całkowicie bezsilna. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

I złamany starzec opuścił chwiejnym krokiem podium w powszechnym głuchym milczeniu. Podniosłem rękę. Przewodniczący spojrział na mnie zaskoczony, lecz po krótkim wahaniu dał mi głos.

- Panowie! - powiedziałem, wstając z miejsca - sprawa, jak widzę, jest poważna. Rozmiary jej ocenić mogłem dopiero po wysłuchaniu wnikliwych słów profesora Gargarraga. Pragnąłbym niniejszym złożyć szanownemu zebraniu ofertę. Gotów jestem wyruszyć samotnie w sferę Procyona, aby zbadać, co się tam dzieje, wykryć tajemnicę zniknięcia tysięcy waszych ludzi, jako też doprowadzić, w miarę możliwości, do pokojowego rozwikłania nabrzmiewającego konfliktu. Widzę jasno, iż problem ten jest trudniejszy od wszystkich, z jakimi się dotąd spotkałem, ale są chwile, w których należy działać nie obliczając szans powodzenia ani ryzyka. Niniejszym, panowie...

Następne me słowa pochłonęła burza oklasków. Pominę to, co działo się w dalszym ciągu posiedzenia, gdyż zbyt to było podobne do masowych owacji na moją cześć. Komisja i zebranie obdarzyły mnie wszelkimi możliwymi pełnomocnictwami. Nazajutrz przeprowadziłem rozmowę z kierownikiem wydziału Procyona i szefem zwiadów kosmicznych w jednej osobie, radcą Malingrautem.

- Już dziś chce pan lecieć? - powiedział. - Doskonale. Ale nie pańską rakieta, Tichy. To niemożliwe. W tych misjach używamy rakiet specjalnych.

- Po co? - spytałem. - Moja mi wystarczy.

- Nie wątpię o jej doskonałości - odparł - ale chodzi o kamuflaż. Poleci pan w rakiecie podobnej zewnętrznie do wszystkiego, tylko nie do rakiety. Będzie to - zobaczy pan zresztą sam. Musi pan poza tym wylądować w nocy...

- Jak to w nocy? - powiedziałem - zdradzi mnie ogień wylotowy...

- Taką taktykę stosowaliśmy dotąd - rzekł, wyraźnie zafrasowany.

- Już ja rozejrzę się na miejscu - rzekłem. - Mam jechać w przebraniu?

- Tak. To konieczne. Nasi eksperci zajmą się panem. Czekają już. Proszę, może pozwoli pan tędy...

Przeprowadzono mnie sekretnym korytarzem do pokoju podobnego do małej sali operacyjnej. Tu wzięło mnie w obroty czterech ludzi. Po godzinie, kiedy postawiono mnie przed lustrem, nie mogłem się poznać. Zakuty w blachy, z kwadratowymi barkami i takąż głową, ze szklanymi przeziernikami zamiast oczu, wyglądałem jak najzwyklejszy w świecie robot.

- Panie Tichy - rzekł do mnie szef charakteryzatorów - musi pan pamiętać o kilku ważnych rzeczach. Po pierwsze, nie wolno panu oddychać.

- Pan oszalał chyba - rzekłem. - Jak mogę? Uduśzę się!

- Nieporozumienie. Oczywiście, oddychaj pan sobie, ale cicho. Żadnych westchnień, żadnego sapania, żadnych głębokich wdechów - wszystko bezszelestnie, a już nie daj Bóg kichnięcia. To byłby pański koniec.

- W porządku; co jeszcze? - spytałem.

- Na drogę dostanie pan komplet roczników "Kuriera Elektronowego" i dziennika opozycji - "Głosu Próżni".

- To oni mają i opozycję.

- Tak, ale na jej czele też stoi Kalkulator. Profesor Mlassgrack przypuszcza, że on ma, oprócz elektrycznego, także polityczne rozdwojenie jaźni. Słuchaj pan dalej. Żadnego jedzenia, gryzienia cukierków - nic z tych rzeczy. Jeść będzie pan wyłącznie w nocy, przez ten otwór, tu, jak pan włoży kluczyk - to jest zamek wertheimowski - wtedy klapka się otworzy, o tak. Niech no pan nie zgubi kluczyka - to grozi głodową śmiercią.

- Prawda, przecież roboty nie jedzą.

- Bliższych szczegółów ich obyczajowości ze zrozumiałych względów nie znamy. Niech pan przestudiuje drobne ogłoszenia ich gazet, to na ogół bardzo pomocne. A kiedy pan rozmawia z kimś, to proszę nie trzymać się zbyt blisko rozmówcy, żeby nie mógł zajrzeć panu przez sitko mikrofonu do środka - najlepiej niech pan sobie stale czerni zęby, tu ma pan pudełko z henną. I pamiętaj pan ostentacyjnie oliwić sobie wszystkie zawiasy codziennie rano, wszystkie roboty tak robią. Przesadzać nie należy - jeżeli będzie pan trochę skrzypiał, zrobi to tylko dobre wrażenie. No, to byłoby mniej więcej wszystko. Nie, skąd, pan chce tak na ulicę wyjść - czy pan ma dobrze w głowie? Tu jest tajne przejście, tędy...

Za naciśnięciem książki w bibliotece część ściany otwarła się i wąskimi schodkami zszedłem, grzechocąc, na podwórze, gdzie stał ciężarowy helikopter. Władowano mię do środka, po czym maszyna uniosła się w powietrze. Po godzinie wylądowaliśmy na tajnym kosmodromie. Obok zwykłych rakiet stał na betonie okrągły jak wieża zbożowy spichlerz.

- Tak. Wszystko, co może być panu potrzebne, szyfry, kody, radio, gazety, żywność i drobiazgi - jest już w środku. A także duży rak.

- Rak?

- Do prucia kas pancernych... jako broń, tylko w ostatecznym wypadku. Życzę złamania karku - rzekł uprzejmie oficer. Nie mogłem nawet uścisnąć mu porządnie ręki, tkwiła bowiem w żelaznej rękawicy. Przez drzwi wszedłem do spichlerza. W środku okazała się najzwyklejszą rakieta. Miałem wielką ochotę wy leżać z żelaznego pudła, ale mnie przed tym przestrzegano - fachowcy tłumaczyli, że będzie lepiej, jeśli się przyzwyczaje do tego brzemienia.

Uruchomiłem reaktor, wystartowałem i wszedłem na kurs, po czym spożyłem nie bez trudu obiad - musiałem okropnie wykręcać głowę, a i tak usta nie znajdowały się na wprost klapki, więc pomogłem sobie łyżką do butów. Potem zasiadłem w hamaku i zabrałem się do prasy robotów. Oto garść tytułów, jakie rzuciły mi się w oczy na pierwszych stronach:

BEATYFIKACJA ŚWIĘTEGO ELEKTRYCEGO

LEPNIAKÓW ZAKUSOM WRAŻYM KRES POŁOŻYM

TUMULTUM NA STADYONIE LEPNIAK W DYBACH

Składnia i słownictwo zdziwiły mię zrazu, ale przypomniałem sobie, co mówił profesor Gargarrag o słownikach archaicznego języka, jakie wiózł był ongiś na swym pokładzie "Bożydar". Wiedziałem już, że roboty nazywają ludzi lepniakami. Samych siebie mieli za wspaniałców.

Przeczytałem ostatnią notatkę, tę o lepniaku w dybach:

Dwyoça halebardyerów Jego Induktywności przydybała nynie w trzeci poranny dzwon lepniaka śpiegarza, któren w oberży wsp. Mremrana schronu w plugastwie swym szukał. Wiernym Induktywności sługą będąc, wsp. Mremran w dyrdy Halebardyemię grodzką powiedomił, zaczem wraży śpion, z przyłbicą otwartą ku pohańbieniu, okrzyki nienawistnymi gawiedzi odprowadzeń, do turmy Calefaustrum ciśniony został. Causam iego iuror II Semperititiae Turtran zaincyplował.

Jak na początek, nieźle - pomyślałem i wróciłem do szpalty pod nagłówkiem: "Tumultum na stadyonie".

Prawie spekulatorzy turnieiu grzędzielnego skonfundowanymi murawę opuskali, wźdycki Girłay III, grzędziel Turtukurowi przekazując, owsinek przebuldożył, przez co fraktura goleni od igry go odstrychnęła. Zakładnicy, premium utraconem widząc, do kassy się kopnęli, tingulum kassowe śturmowali, a tingulatora srodze pognietli. Patrola Halebardyerni podegrodzkiey ośmiu tumułtników do fossy, kamieńmi obciążonych, opuściła. Wźdycki bźdy kres onym perturbacyom nastanie, kwietliwi spekulatorzy kornie zwierzchność kwesty onuia?

Za pomocą słownika dowiedziałem się, że kwietliwy to spokojny, od quietas, quietatis - spokój, że kwestionować to pytać, grzędzielnia zaś jest rodzajem boiska, na którym wspanialcy grają w swoją odmianę piłki nożnej, którą stanowi lita kula ołowiana. Studiowałem uporczywie gazety, bo przed odlotem kładli mi w wydziale w głowę, że muszę nauczyć się biegle obyczajów i szczegółów wspanialczego życia, już nawet w myśli tak ich nazywałem - nazwanie któregokolwiek robotem byłoby nie tylko obelgą, ale zdemaskowałoby mię natychmiast.

Przeczytałem więc po kolei artykuły: "Zasad sześć, w materyi wspanialców stanu doskonałego", "Audyencya Mistrza Gregatuńana", "Jako płatnerzy cech remonta latoś wodzi", "Peregrynacye nobliwe płanetników wspanialczych gwoli lamp ochłodzeniu" - jeszcze dziwniejsze wszakże były anonsy. Z wielu bardzo mało co rozumiałem.

ARMELADORA VI. SNYCERZ ZNAMIENTY garderób chędożeniem, wylotów klepaniem, zawias perfekcyonacya, takōż in extermis, tariffa nisska.

WONAX, środek na rdzewieństwo, rdzawki, rdzamięć, rdzyny, rdzynki a rdzawiorki
- wszędy nabyć zdołasz.

OLEUM PURISSIMUM PRO CAPITE - Iżby Ci szyia pomyślunku skrzypem nie
konfundowała!!

Niektórych w ogóle pojąć nie mogłem. Ot, takich choćby: lurni! Kadłubki igrcowe
dowoli! Miary wszelkie. Za poręczy cielstwem gwaydolnica na mieyscu. Tarmodrąla
VIII.

CHUTLIWEMU cubiculum pankratorne z amfignajsem naymę. Perkoratora XXV.

I były tam takie, od których włosy stawały mi na głowie pod moim żelaznym
czepcem:

ZAMTUZ GOMORRHEUM PODWOIE

Z DNIEM DZISIEJSZYM ROZWIERA!

PO RESTAURACYI DLA SMAKOTLIWYCH

SELEKCYA JAKIEY NIGDY NIE BYWAŁO!!

DZIECKA LEPNIACZE, CHUDOBA

W KOMNATACH I NA WYNOS!!!

Łamałem sobie głowę nad tymi zagadkowymi tekstami, a czasu miałem sporo, gdyż
podróż trwać musiała prawie rok.

W "Głosie Próżni" anonsów było jeszcze więcej.

ŁAMIGNATNICE, TASAKIERY, NOŻYCE GRDYCZNE, OSTROKOŁY, PALIKI GRZECZNE poleca
GREMONTORIUS, FIDRICAXLVI.

PYROMANIACY!!! Nowych, skalnym oleiem maszczonych kwaczów Abrakerdela NIC NIE
UGASI!!

DUSICIELOWI AMATOROWI maluchy lepniacze rzewliwe, mowne, z ochędóstwem, takóž
paznokietnik cęgowy, niewielą używan, taniutko.

PANOWIE I PANIE WSPANIALCZE - GASTROKOŁY, Kręgodręcze, Męczywtóki NADESZŁY!!! -
Karkaruana XI.

Naczytawszy się do woli tych anonsów, zacząłem, jak mi się zdawało, rozumieć,
jaki los spotkał zastępy wysłanych na zwiady ochotników II Wydziału. Nie mogę
powiedzieć, abym lądował na planecie ze zbyt gęstą miną. Zrobiłem to nocą,
wygasiwszy wprzód silniki, jak się tylko dało. Splanowawszy wśród wysokich gór,
po namyśle przykryłem rakiety naciętymi gałęźmi. Już to fachowcy z dwójki nie
nazbyt ruszyli głowami, bo przecież spichlerz na planecie robotów był co
najmniej nie na miejscu. Załadowawszy do wnętrza żelaznego pudła zapasów, ile
się dało, poszedłem w kierunku miasta, widzialnego z dala dzięki silnej
elektrycznej łunie, jaka się nad nim unosiła. Musiałem parę razy stawać, aby
poprawić rozlokowanie pudełek z sardynkami, bo okropnie we mnie grzechotały.
Szedłem dalej, gdy coś niewidzialnego podcięło mi nogi. Upadłem, czyniąc
piekielny łoskot, błyskawicznie przesyty myślą: "Już! tak prędko?!" Ale wokół

nie było żywego, tj. elektrycznego ducha. Na wszelki wypadek dobytek broni - składał się na nią rak, jakiego używają kasiarze, oraz mały śrubokręt.

Wodząc rękami po otoczeniu, przekonałem się, że otaczają mnie same żelazne kształty. Były to szczątki starych automatów - ich opuszczone cmentarzysko. Poszedłem dalej, często przewracając się i dziwiąc się jego rozmiarom. Ciągnęło się chyba na milę. W mroku, nie rozwidnionym wcale odległą luną, w pewnej chwili zamajaczyły dwa czworonożne kształty. Znieruchomiałem. Instrukcje moje nic nie mówiły o tym, jakoby na planecie żyły jakieś zwierzęta. Inne dwa czworonogi bezszelestnie zbliżyły się do tamtych. Nieostrożny mój ruch wywołał dźwięknięcie pancerza i ciemne sylwety czmychnęły jak szalone w mrok.

Po tym incydencie zdwoiłem jeszcze ostrożność. Pora wydawała się niezbyt szczęśliwa dla wkroczenia do miasta - późna godzina nocy, puste ulice - moje pojawienie się ściągnęłoby niepożądaną uwagę. Przypadłem więc w przydrożnym rowie i doczekałem cierpliwie świtu, gryząc biszkopty. Wiedziałem, że przed następną nocą nie będę się mógł niczym pożywić.

Z pierwszym świtem wszedłem na przedmieście. Nie widziałem nikogo. Na pobliskim parkanie widniał wielki, najwyraźniej stary, deszczami zmyty plakat. Zbliżyłem się doń.

OBWIESZCZENIE

Zwierzchności grodziszcza wiadomem iest, iako plugastwo lepniacze wpełznąć w szeregi prawych się wspaniałców wysiła. Ktokolwiek zoczy lepniaka lebo indywiduum, podeźrzeniom asumpt dające, w mig ma halebardyemi swey donieść. Spółnictwo wszelakie z onym lebo pomoc mu dana, rozśrubowaniem in saecula saeculorum karanem będzie. Za lepniaka głowę praemium 1000 ferklosów się ustanawia.

Poszedłem dalej. Przedmieścia nie wyglądały zachęcająco. Pod nędznymi, na poły rdzą zjedzonymi barakami śledziły gromady robotów, grając w cetno i lichy. Od czasu do czasu wybuchały pośród nich bójki z takim łomotem, jakby artyleryjski ogień trafiał skład żelaznych beczek. Nieco dalej trafiałem na przystanek kolei miejskiej. Nadjechał pusty prawie wagon, do którego wsiadłem. Motorniczy stanowił nierozłączną część motoru i rękę miał przykręconą na stałe do korby. Konduktor był przyśrubowany do wejścia. Stanowił zarazem drzwi; chodził na zawiasach. Dałem mu pieniążek z zapasu, który dostarczył mi wydział, i usiadłem na ławce, okropnie zgrzytając. W centrum wysiadłem i podreptałem przed siebie, jak gdyby nigdy nic. Coraz więcej spotykałem halebardierów, krążyli po dwóch i po trzech, środkiem ulic. Zauważywszy opartą o mur halabardę, podjąłem ją od niechcienia i pomaszerowałem dalej, ale moje odosobnienie mogłoby wydać się dziwne, więc skorzystawszy z tego, że jeden z trójki kroczących przede mną strażników wszedł do bramy, aby poprawić opadający ruszt, wstąpiłem w opuszczone przezeń miejsce trójkowego szyku. Idealne podobieństwo wszystkich robotów było mi bardzo na rękę. Dwaj moi towarzysze zachowywali jakiś czas milczenie, wreszcie jeden odezwał się:

- Kandy lafę użrzymy, Brebranie? Ckni mi się i przystojnie bym z elektrózka poigrał.

- Cię wy - odparł drugi - mosterdzieju, już ci kondycja nasza chuda, hej!

Obeszliśmy tak dokoła całe śródmieście. Rozglądając się pilnie, zauważyłem po drodze dwie restauracje, przed którymi stał oparty o mury istny las halabard. O

nic jednak nie pytałem. Już mnie porządnie nogi bolały, a i duszno było w rozgrzanym od słońca żelaznym baniaku i w nosie kręciło od rdzawego kurzu - bałem się, że kichnę, spróbowałem się więc nieznacznie oddalić, lecz obaj zawrzaśli:

- Ejże, bratku! Kędy to dyrdasz? Chceszli, aby ci zwierzchność kulfon rozbuzdyganiła? Szalonyś li?

- Bynajmniej - odparłem - ino przysiąść krzywą zamiarowałem.

- Przysiąść? Czy ci dur cewkę osmalił? Wzdymy na służbie, cne żeliwiaki!

- A ino - odrzekłem zgodnie i znowu pomaszrowaliśmy przed siebie. Nie - pomyślałem - ta kariera pozbawiona jest wszelkich perspektyw. Muszę ja się inaczej wziąć do rzeczy. Obeszliśmy miasto raz jeszcze, po drodze zatrzymał nas oficer, wołając:

- Refemazor!

- Brentakurdwium! - odkrzyknęli moi towarzysze. Zapamiętałem sobie dobrze to hasło i odzew. Oficer obejrzał nas z przodu i z tyłu i kazał podnieść wyżej halabardy.

- Jako trzymiecie, ofermi!! Pieceście, nie halebardyerzy Jego Induktywności!! Równo mi! Noga w nogę! Marsz!!

Lustrację tę przyjęli halebardyerzy bez komentarza. Łaziliśmy dalej w wysokim słońcu i kłamałem chwilę, w której zgodziłem się dobrowolnie wyruszyć na tę ohydą planetę; w dodatku głód poczynał skręcać mi kiszki. Obawiałem się nawet, czy aby ich burczenie nie zdradzi mię, więc starałem się jak najgłośniejszym skrzypieć. Przechodziliśmy koło restauracji. Zajrzałem do środka. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Wspanialcy czy też - jak nazwałem ich w myśli, za słowami oficera - piecyki siedzieli przy nich bez ruchu, szmelcowani sino, od czasu do czasu któryś zgrzytnął lub obrócił głowę, aby szklanymi ślepiami zerknąć na ulicę. Poza tym nie jedli nic, nie pili, a tylko jak gdyby czekali nie wiadomo na co. Kelner - poznałem go po białym fartuchu, który miał na zbroi - stał pod ścianą.

- Może i my przysiadziem się tamój? - spytałem, bo czułem każdy bąbel na odparzonych żelaznymi chodakami stopach.

- Tyś istowo zbisurmaniał! - obruszyli się moi towarzysze. - Toż sięćcia nama nie przykazowano! Toż chodźba prawem naszym! Nie trwóż się, już to tamci fortelem lepniakowi dogodzą, kany przyńdzie, a zupy łaknac lebo polewki, wraźa naturę ujawni!!

Nic z tego nie pojmując, posłusznie powędrowałem dalej. Z wolna diabli poczynali mnie już brać - w końcu jednak skierowaliśmy się ku wielkiemu budynkowi z czerwonej cegły, na którym widniał w żelazie kutym napis:

KOSZARY HALEBARDYERÓW

IEGO ŚWIATŁEJ INDUKTYWNOŚCI

KALKULATRYCEGO PIERWSZEGO

Urwałem się mym towarzyszom u samego wejścia. Halabardę postawiłem przy wartowniku, kiedy się odwrócił z chrzęstem i brzękiem, i wszedłem w pierwszą boczną ulicę. Tuż za rogiem ukazał się spory budynek z szyldem ZAJAZD POD SIEKIERĄ. Zajrzałem tylko do środka, a oberżysta, pękaty robot o krótkim tułowiu, zgrzytając ochoczo, wyskoczył na ulicę.

- Witam waszmościa, witam... służby komę niosę... zali komnatki jakowejś nie łakniesz asan?

- Istowo - odparłem lakonicznie. Niemal siłą wciągnął mnie do środka. Prowadząc po schodach na górę trajkotał blaszanym głosem jak najęty:

- Peregrynatorów ćma nynie ściąga, ćma... wzdychi nie masz wspanialca, co by przewłóczył kondensatorowych lego Induktywności własnymi zierkalcami obaczyć nie chciał... tu waćpan pozwól... oto apartamentum godne, proszę pięknie... tutki bawialny... tamój gościnnie... ani chybi utrudzonym waszmość być musisz... kurz w trybiech chrząści... zezwól, w mig ci ochędóstwa przyniosę...

Załomotał po schodach i ledwom się rozejrzał po dosyć ciemnym, żelaznymi szafami i takimż łóżkiem umebLOWANYM pokoju, wrócił z oliwiarką, szmatą i butelką sidolu. Postawiwszy wszystko na stole, rzekł ciszej i jakoś poufalej:

- Ochędóżywszy jestestwo, zezwól waćpan na dół... dla nobliwszych ja person, jak waszmość pan, zawsze secretum słodziuchne, maleńkie, siurpryzkę przechowuję... pofiglujesz...

I wyszedł, łypiąc fotokomórkami; nie mając nic lepszego do roboty, naoliwiłem się, wypucowałem blachy sidolem i zauważyłem, że oberżysta zostawił na stole kartę przypominającą menu restauracyjne. Wiedząc dobrze, że roboty nic nie jedzą, podniosłem ją zdziwiony do oczu. Zamtuz II kat. - przeczytałem na górze.

Lepniacze dziecię, dekapitacja ...8 ferki.

Toż, z grzęzem10 ferkl.

Toż, płacznego11 ferkl.

Toż, rozdziraiąco14 ferkl.

Chudoba:

Toporna sodomija, sztuka6 ferkl.

Rąbaniszczne ucieszne8 ferkl.

Toż, cielęcia malucha8 ferkl.

Nic z tego nie rozumiałem, ale jakieś mrówki zaczęły mi chodzić po grzbiecie, gdy z przyległego pokoju dobiegł mię łomot niezrównanej siły, jakby mieszkający o ścianę robot usiłował na drzazgi roztrzaskać swą kwaterę. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Miałem dosyć. Starając się nie brzęczeć i nie dzwonić, wymknałem się z tej okropnej spelunki na ulicę. Dopiero znalazłszy się daleko, odetchnąłem. I cóż ja teraz pocznę, nieszczęsny? - rozważałem. Przystanąłem przy grupie robotów grających w zechcyka i udawałem, że kibicuję zapamiętałe. Na razie nic właściwie o zajęciach wspanialców nie wiedziałem. Mogłem wśliznąć się na powrót w szeregi halebardierów, ale nie obiecywało to wiele, a szansa wpadnięcia była spora. Co zrobić?

Łamiąc sobie tak głowę, poszedłem przed siebie, aż zauważyłem siedzącego na ławce, wygrzewającego stare blachy do słońca, przysadkowego robota, który okrył sobie głowę gazetą. Na pierwszej stronie widniał wiersz, zaczynający się od słów "Jam wspanialec zwyrodnialec". Co było dalej, nie wiem, Z wolna zawiązała się rozmowa. Przedstawiłem się jako przybysz z sąsiedniego miasta, Sodomazji. Stary robot był nadzwyczaj kordialny. Od razu niemal zaprosił mnie do

siebie, do domu.

- Co się masz waćpan tłuc po wszelakich tam, mosterdziejku, zajazdach, a z oberżystami wadzić. Zwól do mnie. Niskie progi, ścielę się, racz, łaskawco, niechaj. Radość wstąpi wraz z szacowną twą osobą w skromne komnaty moje.

Cóż miałem robić, zgodziłem się, to mi nawet odpowiadało. Mój nowy gospodarz mieszkał we własnym domu, na trzeciej ulicy. Zaprowadził mię zaraz do gościnnego pokoju.

- Że z drogi, toś się kurzu co nie miara musiał nałykać - rzekł.

Znowu pojawiła się oliwiarka, sidol i szmaty. Wiedziałem już, co powie, roboty były jednak naturami nieskomplikowanymi. I rzeczywiście; - Ochędożywszy się, zwól do bawialnego - rzekł - poigramy pospołu...

Zamknąłem drzwi. Oliwiarki ani sidolu nie tknąłem, zbadałem tylko w lustrze stan mej charakteryzacji, uczerniłem zęby i niespokojny nieco wobec perspektywy nieznanego "igrania", po jakimś kwadransie chciałem zejść na dół, gdy z głębi domu dobiegł mię przeciągły łoskot. Tym razem nie mogłem już uciekać. Schodziłem po schodach w takim huku, jakby ktoś na drzazgi rąbał żelazny pień. W bawialnym wrzało. Gospodarz mój, rozebrany do żelaznego korpusa, dziwacznie ukształconym tasakiem ciął wielką kukłę, która leżała na stole.

- Pięknie proszę, gościu! Możesz sobie waćpan gwoli uciesze pooporządzać te kadłubki - rzekł, na mój widok przestając rąbać i wskazał drugą, leżącą na podłodze, mniejszą nieco lalę. Kiedy się do niej zbliżyłem, usiadła, otwarta oczy i zaczęta słabym głosem powtarzać:

- Panie - jam dziecię niewinne - poniechaj mię - panie - jam dziecię niewinne - poniechaj.

Gospodarz wręczył mi topór, podobny do halabardy, ale na krótszym stylisku.

- Nuże, zacny gościu, precz troski, precz smutki - tnij od ucha, a śmiało!

- Kiedy - nie lubię dzieci... - odparłem słabo. Znieruchomiał.

- Nie lubisz? - powtórzył za mną. - A szkoda. Zafrasowałeś mię acan. Cóż tedy poczniesz? Mam jeno maluchów - słabość to moja, wiesz. Zali nie popróbujesz cielęcia?

I wyprowadził z szafy wcale poręczne, plastikowe cielę, które, naciśnięte, trwożnie zamęczało. Cóż miałem robić? Nie chcąc się zdemaskować, rozrąbałem nieszczęsną kukłę, porządnie się przy tym zmachawszy. Tymczasem gospodarz poćwiartował obie lale, odłożył narzędzie, które zwał łamignatnicą, i spytał, czy jestem rad. Zapewniłem go, że dawno nie zażyłem takiej przyjemności.

Tak rozpoczął się mój niewesoły żywot na Karelirii. Rano, po śniadaniu, składającym się z wrzącej oliwy, gospodarz udawał się do pracy, a jego pani piłowała coś zaciekle w sypialnym - mam wrażenie, że cielęta, ale nie mogę na to przysiąc. Nie mogłem wytrzymać od meczenia, wrzasków, huku, wychodziłem więc na miasto. Zajęcia mieszkańców były raczej monotonne. Ćwiartowanie, łamanie kołem, palenie, szatkowanie - w centrum znajdował się park rozrywek z pawilonami, w których można było zakupić najwymyślniejsze narzędzia. Po kilku dniach nawet na własny scyzoryk patrzeć nie mogłem i tylko powodowany głodem udawałem się o zmierzchu za miasto, aby pośpiesznie pochłonąć w krzakach sardynki i biszkopty. Nie dziwota, że na takim wikcie wciąż byłem o włos od czkawki, która groziła mi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Na trzeci dzień poszliśmy do teatru. Wystawiano sztukę pod tytułem Karbezauriusz. Była to historia młodego, przystojnego robota, okropnie prześladowanego przez ludzi, tj. przez lepniaków. Polewali go wodą, sypali mu do oliwy piasek, rozkręcali mu śrubki, tak że się wciąż przewracał itp. Widownia gniewnie brzęczała. W drugim akcie pojawił się wysłannik Kalkulatora, młody robot został wyzwolony, trzeci akt zajmował się szerzej losem

ludzi, jak łatwo się można domyślić, raczej niewesołym.

Z nudów grzebałem w biblioteczce domowej gospodarzy, ale nie było w niej nic ciekawego: kilka nędznych przedruków pamiętników markiza de Sade, poza tym same broszurki, takie jak Rozpoznawanie lepniaków, z której zapamiętałem parę ustępów. "Lepniak - zaczynał się tekst - jest wielce miękki, konsystencja podobny do piroga... Oczy jego tępawe, wodniste, obrazem plugastwa duszebnego są. Lice gumiate..." i tak dalej, przez sto bez mała stron.

W sobotę przychodzili do nas miejscowi notable - mistrz cechu blacharzy, zastępca miejskiego płatnerza, starszy cechowy, dwaj protokraci, jeden alcymurtan - niestety, nie mogłem się zorientować, co to są za zawody, gdyż mówiło się głównie o sztukach pięknych, o teatrze, o doskonałym funkcjonowaniu lego Induktywności - panie plotkowały nieco. Stąd dowiedziałem się o osławionym w wyższych sferach birbancie i szaławile, niejakim Podukście, który prowadził hulaszczy żywot - otaczał się rojami elektrycznych bachantek, obsypując je wprost najkosztowniejszymi cewkami i lampami. Ale mój gospodarz nie zgorszył się szczególnie, gdy wspomniałem Poduksta.

- Młoda stal, młody prąd - rzekł dobrodusznie. - Podrdzewieje, oporniki się mu zglejują, to i rura główna nadmięknie...

Pewna wspaniała, która bywała u nas dość rzadko, upodobała mnie sobie dla niepojętych powodów i raz, po którymś tam z rzędu kubku oliwy, szepnęła:

- Nadobny ś. Chcesz mnie? Umkniesz do mnie, doma poelektryzujęm się...

Udałem, że nagłe iskrzenie katody nie pozwoliło mi dosłyszeć jej słów.

Pożycie mych gospodarzy było na ogół zgodliwe, ale raz mimowolnie stałem się świadkiem kłótni; połowica wrzeszczała coś o tym, aby się w złom obrócił, on, jak to mąż, nie odpowiadał.

Bywał też u nas wzięty elektromistrz, który prowadził miejską klinikę, i od niego to dowiedziałem się, bo opowiadał, choć rzadko, o swych pacjentach - że roboty wariują kiedy niekiedy, a najgorszym z prześladowających omamów jest przekonanie, jakoby były ludźmi. I nawet - jak domyśliłem się z jego słów, choć nie powiedział tego wyraźnie - liczba takich szaleńców ostatnio poważnie wzrosła.

Wiadomości tych nie przekazywałem jednak na Ziemię, raz, że wydawały mi się zbyt skąpe, a dwa, że nie chciało mi się maszerować przez góry do pozostawionej daleko rakiety, w której mieścił się nadajnik. Pewnego ranka, kiedy skończyłem właśnie ciele (moi gospodarze dostarczali mi codziennie wieczorem jedną sztukę, przekonani, że niczym nie sprawią mi większej uciechy) - rozległo się w całym domu gwałtowne walenie do bramy. Moja trwoga okazała się aż nadto usprawiedliwiona. Była to policja, tj. halebardierzy. Wyprowadzono mnie na ulicę aresztowanego, bez jednego słowa, na oczach mych osłupiałych ze zgrozy gospodarzy. Zostałem zakuty, wsadzono mię do karetki i pojechaliśmy do więzienia. Stał tam już u bramy wrogi tłum i wznosił pełne nienawiści okrzyki. Zamknięto mnie w osobnej celi. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za mną, usiadłem na blaszanej pryczy z głośnym westchnieniem. Teraz nie mogło mi już zaszkodzić. Zastanawiałem się jakiś czas nad tym, w ilu już więzieniach siedziałem w rozmaitych okolicach Galaktyki, ale nie udało mi się ustalić liczby. Pod pryczą coś leżało. Była to broszurka o wykrywaniu lepniaków - czy podłożono ją dla drwiny, przez niską złośliwość? Otwarłem ją mimo woli. Przeczytałem najpierw o tym, jak to górna część lepniaczego tułowia porusza się w związku z tak zwanym oddychaniem, jak należy sprawdzać, czy ręka, którą podaje jest ciastowata oraz czy z jego otworu gębowego nie wydobywa się lekki wietrzyk. Podniecony - kończył ustęp - wydziela z siebie lepniak wodnistą ciecz, głównie czołem.

Było to dosyć ściśle. Wydzielałem tę wodnistą ciecz. Z pozoru eksploracja Wszechświata wydaje się nieco jednostajna, a to przez wspomniane wyżej, ponawiające się wciąż, jako w pewnym sensie nieodzowny jej etap, więzienne

pobyty gwiazdowe, planetarne, mgławicowe nawet - ale sytuacja moja nie była nigdy jeszcze tak czarna, jak obecnie. Koło południa strażnik przyniósł mi talerz ciepłej oliwy, w której pływało trochę śrutu do łożysk kulkowych. Prosiłem o coś strawniejszego, skoro jestem już zdemaskowany, on jednak zazgrzytawszy ironicznie, odszedł bez słowa. Zacząłem walić w drzwi i domagać się adwokata. Nikt nie odpowiadał. Pod wieczór, kiedy zjadłem ostatnią kruszynę biszkopta, zawieruszoną wewnątrz pancerza, klucz zachrobotał w zamku i do celi wszedł pękaty automat z grubą skórzaną teczką.

- Bądź przeklęty lepniaku! - rzekł i dodał: - Mam być twoim obrońcą.

- Czy zawsze witasz w ten sposób swych klientów? - spytałem, siadając.

On też usiadł, klekocząc. Był odrażający. Blachy na brzuchu kompletnie mu się poluzowały.

- Lepniaków, tak - rzekł z przekonaniem. - Z lojalności jeno wobec mojej profesji - nie wobec ciebie, szubrawcze bezecny - rozwinę kunszta moje w twej obronie, kreaturo! Być może da się zmiękczyć czekająca cię karę do jednorazowego rozebrania na sztuki.

- Jak to - powiedziałem - ależ mnie nie można rozebrać.

- Ha, ha! - zazgrzytał - tak ci się jeno widzi! A teraz powiadaj, co kryłeś w zanadrzu, kleista kanalio!!

- Jak się nazywasz? - spytałem.

- Klaustron Fridrak.

- Klaustronie Fridraku, powiedz, o co jestem oskarżony?

- O lepniaczość - odparł natychmiast. - Kara za to przypada główna. A dalej, o chucie zaprzędania nas, o śpiegarstwo na rzecz bryi, o świętokradczo załęgły plan podniesienia ręki na Jego Induktywność - starczy ci, łajnisty lepniaku? Przyznajesz się do owych win?

- Czy na pewno jesteś mym adwokatem? - spytałem. - Bo mówisz jak prokurator albo sędzieja śledczy.

- Jam jest twoim obrońcą.

- Dobrze. Nie przyznaję się do żadnej z tych win.

- Drzazgi z ciebie polecą! - zaryczał.

Widząc, jakiego dostałem obrońcę, zamilkłem. Nazajutrz zaprowadzono mnie na przesłuchanie. Nie przyznałem się do niczego, choć sędzia - jeżeli to było możliwe - grzmiał jeszcze okropniej od wczorajszego obrońcy. Raz ryczał, raz szeptał, wybuchał blaszanym śmiechem, to znów spokojnie tłumaczył, że pierwiej zacznie oddychać, zanim ujdę wspaniałczej sprawiedliwości.

Przy następnym przesłuchaniu był obecny jakiś ważny dostojnik, sądząc z ilości lamp, jaka się w nim żarzyła. Upłynęły cztery dalsze dni. Najgorzej było z jedzeniem. Zadowalałem się paskiem od spodni, który moczyłem w wodzie, jaką mi przynoszono raz dziennie, przy czym strażnik niósł garnek z dala od siebie, jakby to była trucizna.

Po tygodniu pasek skończył mi się, na szczęście miałem wysokie sznurowane buty z kozłej skóry - ich języki były najlepsze ze wszystkiego, co jadłem przez cały czas pobytu w celi.

Ósmego dnia rankiem dwu strażników kazało mi się zbierać. Wsadzony do karetki, pod eskortą przewieziony zostałem do Żelaznego Pałacu, siedziby Kalkulatora. Po

wspaniałych, nierdzewnych schodach, przez sale, wysadzone katodowymi lampami, zaprowadzono mnie do wielkiego, pozbawionego okien pokoju. Zostałem w nim sam - strażnicy wyszli. Pośrodku znajdowała się czarna zasłona, zwieszona ze stropu, fałdy jej otaczały środek pokoju czworobokiem.

- Mamy lepniaku! - zagrział głos, dochodzący jakby przez rury z żelaznego podziemia - ostatnia twa godzina bije. Rzeknij, co ci lube: szatkownica, łamignat czy świdraulina?

Milczałem. Kalkulator zahuczał, zaszumiał i odezwał się:

- Słysz mnie, lepka kreaturo, przybyła z poduszczenia bryi! Słysz mój potężny głos, młazgraty klejaku, fałrze kisielisty! We wspaniałości światłych moich prądów daję ci łaskę: jeśli przejdiesz na stronę wiernych szeregów moich, jeśli całą swą duszą nade wszystko wspaniałcem zostać zapragniesz, życie ci może daruję.

Rzekłem, że od dawna to właśnie było moim marzeniem. Kalkulator zarechotał szyderczo pulsującym śmiechem i rzekł:

- Między bajki łgarstwa twe włożę. Słysz, padalcze. Ostać się przy swym lepkiem żywocie możesz jeno jako wspanialechalebardier tajny. Zadaniem twym będzie lepniaków, śpiegarzy, agentów, zdrajców, a wszelakie inne robactwo, które bryja śle, demaskować, obnażać, przyłbice zdzierać, białym żelastwem wypalać i takimi jeno służby kornymi ocalić się możesz.

Gdy wszystko solennie obiecałem, zaprowadzono mię do innego pokoju, gdzie wciągnięto mnie na rejestr z rozkazem codziennego zdawania meldunków w głównej halebardierami, po czym osłupiałego, na miękkich nogach, wypuszczono mię z pałacu.

Zapadał zmierzch. Wyszedłem za miasto, siadłem na trawie i jałem rozmyślać. Ciężko było mi na duszy. Gdyby mię zdekapitowano, ocaliłbym przynajmniej honor, a tak, przeszedłszy na stronę tego elektrycznego potwora, zdradziłem sprawę, którą reprezentowałem, zmarnowałem swą szansę - co miałem robić, biec do rakiety? Byłaby to haniebna ucieczka. Mimo to zacząłem iść. Los szpicla na usługach maszyny, rządzącej szeregiem żelaznych pudeł, byłby hańbą jeszcze gorszą. Któż opisze me przerażenie, gdy zamiast rakiety na miejscu, gdzie ją zostawiłem, ujrzałem tylko rozwłócone jakimiś maszynami, potrzaskane szczątki!

Było już ciemno, gdy wracałem do miasta. Usiadłem na kamieniu i po raz pierwszy w życiu załkałem rzewnie za utraconą ojczyznę, a lzy ciekły po żelaznym wnętrzu tego pustego bałwana, który miał być odtąd po śmierć moim więzieniem, wyciekały przez szpary nadkolanowe na zewnątrz, grożąc rdzą i zeszywnieniem stawów. Ale było mi już wszystko jedno.

Naraz ujrzałem pluton halebardierów, z wolna sunący ku łakom podmiejskim na tle ostatniej poświaty zachodu. Dziwnie się jakoś zachowywali. Szarość wieczoru gęstniała i w tym mroku to jeden, to drugi urywali się w pojedynkę z szeregów, jak najciszej przebierając nogami, włączili w krzaki i znikali w nich. Wydało mi się to tak dziwne, że mimo bezbrzeżnego przygębienia wstałem cicho i ruszyłem za najbliższym.

Była to - muszę dodać - pora, w której owocowały na podmiejskich krzaczach dzikie jagody, podobne w smaku do borówek, słodkie i nader smaczne. Sam się nimi objadałem, ilekroć tylko mogłem wymknąć się z żelaznego grodu. Któż wypowie moje osłupienie, kiedym ujrzał, jak śledzony przeze mnie halebardier małym kluczykiem, kubek w kubek podobnym do tego, który wręczył mi pełnomocnik II Wydziału, otwiera sobie z lewej strony przyłbicę i rwąc obiema garściami jagody, jak dziki pakuje je w otwartą czelusć! Aż tam, gdzie stałem, dochodziło mlaszczące, pośpieszne ćpanie.

- Pssst - syknąłem przenikliwie - ty, słuchaj. Jednym susem buchnął w gąszcz, ale nie uciekał dalej - słyszałbym to. Przypadł gdzieś.

- Halo - powiedziałem zniżonym głosem - nie bój się. Jestem człowiekiem. Człowiekiem. Ja także jestem przebrany.

Coś jak gdyby jedno, strachem i podejrzliwością płonące oko zerknęło na mnie spoza liści.

- Skąd mogę wiedzieć, zali nie zwodzisz? - rozległ się ochryply głos.

- Ależ mówię ci. Nie bój się. Przybyłem z Ziemi. Wysłano mię tu umyślnie.

Musiałem go jeszcze chwilę przekonywać, nim uspokoił się na tyle, że wylazł z krzaków. Dotknął mego pancerza w ciemności.

- Człowiekiem? Prawda li to?

- Dlaczego nie mówisz po ludzku? - spytałem.

- Bom przepomniał. Piąty rok idzie, jak mię tu fata okrutne zanosły... nacierpiałem się, że nie wypowiem... isto, fortuna szczęsna, że mi lepniaka przed śmiercią uźrzeć dała... - bełkotał.

- Opamiętaj się! Przestań tak gadać! Słuchaj - jesteś może z dwójki?

- Zaśby nie. Isto, zem z dwójki. Malingraut mię tu wysłał, na mordęgę okrutną.

- Czemu nie uciekłeś?

- Jako mam uciec, gdy mi rakiety rozebrano, a na drobny śrut roztrząchnięto? Bracie - nie Iza mi tu siedzieć. Do koszar pora... pry, uwidzimy się li? Pod koszary jutro przyódz... przyńdziesz?

Umówiłem się z nim tedy, nie wiedząc nawet, jak wygląda, i pożegnaliśmy się; kazał mi zostać jeszcze dobrą chwilę, a sam znikł w ciemnościach nocy. Wróciłem do miasta pokrzepiony na duchu, bo widziałem już szansę zorganizowania konspiracji - aby nabrać sił, poszedłem do pierwszej oberży, jaka nawinęła się po drodze, i położyłem się spać. Rano, przeglądając się w lustrze, zauważyłem na piersi, poniżej lewego naramiennika, malutki, kredą postawiony krzyżyk i jak gdyby łuski spadły mi z oczu. Ten człowiek chciał mnie zdradzić - dlatego naznaczył mnie! Łajdak - powtarzałem w myśli, gorączkowo rozważając, co teraz począć. Starłem judaszowy znak, ale to mię nie zadowoliło. Zapewne złożył już raport - myślałem - i zaczął szukać tego nieznanego lepniaka, zwróca się zapewne do swych rejestrów, na pierwszy ogień pójdą najbardziej podejrzani - byłem tam przecież, w ich spisach; na myśl, że zaczął mnie przesłuchiwać, zadrżałem. Zrozumiałem, że muszę odwrócić jakoś podejrzenie od siebie, i rychło znalazłem na to sposób. Cały dzień przesiedziałem w oberży, maltretując dla niepoznaki cieleta, a o pierwszym zmierzchu wyruszyłem na miasto, dzierżąc ukryty w dłoni kawałek kredy. Nastawiałem nim coś ze czterysta krzyżyków na żelazniwie przechodniów - kto mi się tylko nawinał, został naznaczony. Około północy, z lżejszym nieco sercem, wróciłem do zajazdu i wtedy dopiero przypomniałem sobie, że oprócz tego judasza, z którym rozmawiałem, do krzaków powłazili zeszłej nocy także inni halebardierzy. Dało mi to do myślenia. Wtem olśniła mię zdumiewająco prosta idea. Wyszedłem za miasto, na jagody. Około północy znowu zjawiła się żelazna hałastra, powoli rozsypała się, rozpierzchnęła i tylko z okolicznych chaszczy dobiegało pośpieszne posapywanie i ćmkanie żujących zaciekłe gąb; potem zamykane szczękały kolejno przyłbice i całe bractwo powyłaziło milczkiem z krzaków, obżarte jagodami jak baki. Wtedy zbliżyłem się do nich, wzięli mnie w mroku za jednego ze swoich; maszerując stawiałem sąsiadom małe kółeczka kredą, gdzie popadło, a u wrót halebardiemi zrobiłem z tył zwrot i poszedłem do mojej oberży.

Nazjutrz usiadłem sobie na ławce przed koszarami, czekając, aż wyjdą ci, co mają przepustkę na miasto. Odnalazłszy w dumie jednego z tych, co mieli kółko na łopatce, podążyłem za nim, a gdy prócz nas dwóch nikogo nie było na ulicy, uderzyłem go rękawicą w bark, że cały zadzwonił i rzekłem:

- W imieniu Jego Induktywności! Pójdiesz za mną!

Tak się przestraszył, że cały zaczął szcząkać. Bez jednego słowa pokuśtykał za mną, pokorny jak trusia. Zamknawszy drzwi pokoju, jałem odkręcać mu głowę, dobytym z kieszeni śrubokrętem. Udało mi się to po godzinie. Uniosłem ją jak żelazny garnek i oczom moim ukazała się nieprzyjemnie zbielała od długotrwałego pobytu w ciemności, chuda twarz z wytrzeszczonymi strachem oczami.

- Jesteś lepniakiem? - sarknałem.

- Tak jest, wasza miłość, ale...

- Co ale!?

- Ale jam przecież - zarejestrowan... przysięgałem wierność Jego Induktywności!

- Jak dawno, mów!?

- Trzy... trzy lata temu., panie - za co - za co wy mię...

- Czekaj - rzekłem - a znasz innych jakichś lepniaków?

- Na Ziemi? Juści znam, wasza miłość, dopraszam się łaski, ja ino...

- Nie na Ziemi, bałwanie, tu!

- Nie, gdzieżby! Zaś! Skoro ino zoczę, na jednej nodze doniosę, wasza mi...

- No, dobra - rzekłem. - Możesz iść. Głowę sam sobie przykręć.

Dałem mu wszystkie śrubki w garść i wypchnąłem go za drzwi. Słyszałem, jak nakłada sobie czerep trzęsącymi się jeszcze rękami, a sam usiadłem na łóżku, mocno tym wszystkim zdziwiony. Przez cały następny tydzień miałem masę roboty, bo brałem z ulicy przechodniów, kto się tylko napatoczył, szedłem do oberży, gdzie odkręcałem mu głowę. Przecucie nie omyliło mnie: wszyscy, ale to wszyscy byli ludźmi! Nie znalazłem wśród nich ani jednego robota! Z wolna rozrastał mi się w głowie apokaliptyczny obraz...

Szatan, szatan elektryczny - ten Kalkulator! Co za piekło wylęgło się w jego rozżarzonych drutach! Planeta była podmokła, reumatyczna, dla robotów - w najwyższym stopniu niezdrowa, musiały masowo rdzewieć, może brakło też z biegiem lat coraz bardziej - części zamiennych, poczęły szwankować, jeden po drugim szły na rozległe cmentarzysko podmiejskie, gdzie tylko wiatr chrząścił im podzwonne arkuszami kruszejacej blachy. Wówczas, widząc, jak topnieją jego szeregi, widząc panowanie swe zagrożonym, Kalkulator dokonał genialnej wolty. Z wrogów, nasyłanych na własną zgubę szpicli, jał czynić własne wojsko, własnych agentów, własny lud! Żaden ze zdemaskowanych nie mógł zdradzić - żaden nie ważył się na kontaktowanie z innymi, jako z ludźmi, bo nie wiedział, iż nie są robotami, a gdyby się nawet dowiedział o tym czy o owym, to bałby się, że przy pierwszej próbie kontaktu tamten wyda go, jak właśnie usiłował to uczynić ów pierwszy, przebrany za halebardiera człowiek, którego zastałem znienacka w borówkowym krzaku. Kalkulator nie zadowalał się neutralizacją wrogów - każdego czynił bojownikiem swojej sprawy, a przymuszając do wydawania innych, nowo przysyłanych ludzi, dawał jeszcze jeden dowód piekielnej chytrości, któż bowiem lepiej potrafił odróżnić nasłanych ludzi od robotów, jeśli nie sami owi ludzie właśnie, którzy znali wszak podszewkę wszystkich praktyk II Wydziału!!

Tak więc każdy człowiek, zdemaskowany, wciągnięty do rejestrów, zaprzysiężony, czuł się sam i może obawiał się nawet podobnych sobie bardziej od robotów, bo roboty nie musiały być agentami tajnej policji, ludzie byli nimi natomiast co do jednego. W taki sposób elektryczne monstrum trzymało nas w niewoli, szachując wszystkich - wszystkimi, bo przecież to właśnie moi towarzysze niedoli strzaskali moją raketę i tak samo - dowiedziałem się tego z ust halebardiera -

postąpili z zastępami innych rakiet.

Piekielno, piekielnik! - myślałem, dygocąc z wściekłości. I mało, że zmuszał do zdrady - mało, że Wydział sam coraz ich więcej przysyłał dla jego wygody, to jeszcze przedziewano mu ich na Ziemi w najlepszy, nierdzewny ekwipunek wysokiej jakości! Czy były w tych zakutych w blachę rzeszach jeszcze jakieś roboty? Poważnie w to wątpiłem. Zrozumiała też stała się dla mnie gorliwość, z jaką prześladowali ludzi. Sami będąc nimi, musieli, jako neofici wspaniałstwa, być bardziej robotami aniżeli autentyczne roboty. Stąd zaciekła nienawiść, jaką okazywał mi mój adwokat. Stąd łajdacka próba wydania mię, jaką podjął ów człowiek, którego pierwszego zdemaskował. Och, co za demonizm cewek i zwojów, co za strategia elektryczna!

Ujawnienie tajemnicy na nic by się nie przydało; na rozkaz Kalkulatora ani chybi ciśnięto by mnie do lochu - od zbyt dawna karność opanowała ludzi, zbyt długo udawali już ją i przywiązanie do tego zelektryfikowanego Belzebuba, przecież nawet mówić po swojemu się oduczyli!

Co robić? Zakraść się do pałacu? To przedsięwzięcie szalone. Cóż jednak pozostawało? Niesamowita sprawa: miasto, otoczone cmentarzyskami, na których w rdzę obrócone spoczywały hufce Kalkulatora, a on rządził dalej, silniejszy niż kiedykolwiek, pewny swego, bo Ziemia przysyłała mu wciąż nowe i nowe zastępy - szataństwo! Im dłużej myślałem, tym lepiej pojmowałem, że nawet to odkrycie, którego niewątpliwie musiał przede mną dokonać niejeden z nas, w żadnej mierze nie odmieniało sytuacji. W pojedynkę nic nie mógł zrobić, musiał zwierzyć się komuś, zaufać, a to pociągało za sobą natychmiastową zdradę, zdrajca, oczywiście, liczył na awans, na wkupienie się w szczególną łaskę maszyny. Na świętego Elektrycego! - myślałem - geniusz to jest... I myśląc tak, zauważyłem, że i ja sam z lekka już archaizuję składnię i gramatykę, że i mnie udziela się ta zaraza, że naturalnym poczyna się wydawać wygląd żelaznych pałub, a ludzka twarz czymś nagim, brzydkim, nieprzyzwoitym... lepniaczym. Wielki Boże, wariuję - pomyślałem - a inni pewno dawno już sfiksowali - ratunku!

Po nocy spędzonej na ponurych rozmyśleniach, poszedłem do magazynu w śródmieściu, kupiłem za trzydzieści ferklosów najostrzejszy tasak, jaki mogłem dostać i doczekawszy się zapadnięcia mroku, zakradłem się do wielkiego ogrodu otaczającego pałac Kalkulatora. Tu, zaszyty w krzewy, wyswobodziłem się za pomocą obcęgow i śrubokrętu z mego żelaznego pancerza i na palcach, bosy, bez szelestu, wspiałem się na piętro po rynnie. Okno było otwarte. Korytarzem, głucho dźwięcząc, tam i sam chodził strażnik. Kiedy odwrócił się plecami, w przeciwnym końcu korytarza, skoczyłem do środka, podbiegłem szybko do pierwszych z brzoza drzwi i cicho wszedłem - ani mnie zauważył.

Była to ta sama wielka sala, w której słyszałem głos Kalkulatora. Panował w niej mrok. Rozchyliłem czarną zasłonę i zobaczyłem olbrzymią, stropu sięgającą ścianę Kalkulatora ze świecącymi jak oczy zegarami. Z boku widniała biała szpara. Były tam jakieś nie domknięte drzwi. Zbliżyłem się do nich na palcach i powstrzymałem dech.

Wnętrze Kalkulatora wyglądało jak mały pokój drugorzędного hotelu. Z tyłu stała niewielka, wpółotwarta kasa pancerna z wetkniętym w zamek pękiem kluczy. Za biurkiem, zavalonym papierami, siedział podstarzały, zaschły mężczyzna w szarym ubraniu, z bufiastymi zarękwkami, jakich używają biurowi urzędnicy, i pisał, strona po stronie wypełniając zadrukowane formularze. Obok jego łokcia parowała szklanka herbaty. Na talerzyku leżało kilka keksów.

Wszedłem na palcach, zamknąłem za sobą drzwi. Nie skrzypnęły.

- Pssst - powiedziałem, unosząc tasak obiema rękami.

Mężczyzna drgnął i spojrzał na mnie; lśnienie tasaka w mych rękach przypawiło go o najwyższy strach. Twarz mu się wykrzywiła, spadł z krzesła na kolana.

- Nie!! - jęknął. - Nie!!!

- Jeżeli podniesiesz głos, marnie zginiesz - powiedziałem. - Kim jesteś?
- Hę... heptagoniusz Argusson, wasza miłość.
- Nie jestem żadną miłością. Masz mówić do mnie "panie Tichy", zrozumiano?!
- Tak jest! Tak! Tak!
- Gdzie jest Kalkulator?
- Pa... panie...
- Żadnego Kalkulatora nie ma, co?!
- Tak jest! Taki miałem rozkaz!
- Proszę. Od kogo, możnaż wiedzieć? Drżał na całym ciele. Uniósł błagalnie ręce.
- To się może źle skończyć... - jęknął - litości! Niech mnie pan nie zmusza, wasza mi - przepraszam! panie Tichy! - ja - ja jestem tylko urzędnikiem VI grupy uposażeniowej...
- No, co słyszę? A Kalkulator? A roboty?
- Panie Tichy, ulituj się! Powiem całą prawdę! Nasz szef - on to zorganizował. Chodziło o kredyty - o rozszerzenie działalności, o większą - e - operatywność... żeby badać przydatność naszych ludzi, a najważniejsze były kredyty...
- Więc to było sfingowane? Wszystko?!
- Nie wiem! Przysięgam! Od kiedy tu jestem - nic się nie zmieniało, niech pan nie myśli, że ja tu rządę, uchowaj Bóg! - moim zadaniem jest tylko wypełnianie akt personalnych. Chodziło o to, czy... czy nasi ludzie mogą się załamać w obliczu wroga, w krytycznej sytuacji - czy też gotowi są na śmierć.
- A dlaczego nikt nie wracał na Ziemię?
- Bo... bo wszyscy zdradzili, panie Tichy... jak dotąd ani jeden nie zgodził się ponieść śmierci za sprawę bryi - tfu, za naszą sprawę, chciałem powiedzieć, mówię to z przyzwyczajenia, niechże pan zrozumie, jedenaście lat tu siedzę, już za rok spodziewam się emerytury, ja mam żonę i dziecko, panie Tichy, błagam...
- Zamknij gębę!!!! - rzekłem gniewnie. - Emerytury się spodziewasz, łotrze, ja ci dam emeryturę!!
- Podniosłem tasak. Urzędnikowi oczy wyszły z orbit; zaczął się czołgać do mych stóp.
- Kazałem mu wstać. Przekonawszy się, że kasa pancerna posiada mały, zakratowany lufcik, zamknąłem go w niej.
- I ani mrumru! Żebyś mi się nie ważył łomotać ani stukać, drabie jeden, bo szatkownica!!

Reszta była już prosta. Noc spędziłem nie najlepszą, bo wertowałem papiery - były to sprawozdania, raporty, formularze, każdy mieszkaniec planety miał własną teczkę. Umościłem sobie biurko najtajniejszą korespondencją, bo nie było na czym spać. Rano włączyłem mikrofon i wydałem, jako Kalkulator, rozkaz, by cała ludność zebrała się na placu pałacowym. Każdy miał przynieść ze sobą obciążki i śrubokręt. Kiedy się wszyscy ustawili jak gigantyczne figury szachowe z żelaza, rozkazałem, aby sobie poodkręcali nawzajem głowy, na intencję capacitancji świętego Elektrycego. O jedenastej wyłaniać się poczęły pierwsze ludzkie głowy,

zapanował tumult i chaos, podniosły się krzyki "zdrada! zdrada!" - które w kilka minut później, kiedy ostatnia żelazna bania z łoskotem spadła na bruk, przerodziły się w jeden ryk radości. Ukazałem się wówczas we własnej postaci i poleciłem, aby pod moim przewodem wzięli się do pracy - pragnąłem bowiem sporządzić z miejscowych surowców i materiałów wielki statek. Okazało się jednak, że w podziemiach pałacu znajduje się szereg statków kosmicznych, z pełnymi zbiornikami, gotowych do drogi. Przed startem wypuściłem z kasy pancерnej Argussona, nie wziąłem go jednak na pokład i nikomu nie pozwoliłem go zabrać. Powiedziałem, że zawiadomię o wszystkim jego szefa, przy czym powiem mu, też możliwie wyczerpująco, co o nim myślę.

Tak zakończyła się ta jedna z najniezwykłych moich przygód i podróży. Mimo wszystkich trudów i mąk, o jakie mię przypawiła, rad byłem takiemu obrotowi rzeczy, gdyż przywrócona mi została, nadszarpnięta przez malwersantów kosmicznych, wiara w przyrodzoną zacność mózgow elektronowych. Jak to jednak miło pomyśleć, że tylko człowiek może być draniem.

PODRÓŻ DWUNASTA

W żadnej chyba podróży nie uszedłem niebezpieczeństwom tak przeraźliwym, jak w wyprawie do Amauropii, planety gwiazdozbioru Cyklopa. Przeżycia, jakich na niej doznałem, zawdzięczam profesorowi Tarantodze. Ten uczony astrozoolog jest nie tylko wielkim badaczem, gdyż, jak wiadomo, w chwilach wolnych zajmuje się robieniem wynalazków. Między innymi wynalazł on płyn do wywabiania przykrych wspomnień, banknoty z poziomą ósemką, wyobrażającą nieskończenie wielką sumę pieniędzy, trzy sposoby kolorowania mgły na miłe dla oka kolory, a także specjalny proszek, którym można posypywać chmury i odciskać je w odpowiednich formach, dzięki czemu uzyskują trwałe, solidne kształty. Jego też dziełem jest aparatura do wyzyskiwania trwoniącej się zazwyczaj energii dzieci, które, jak wiadomo, jednej chwili nie mogą spędzić bez ruchu.

Urządzenie to przedstawia system wystających w różnych miejscach mieszkania korb, bloków i dźwigni, które dzieci popychają, ciągną i przesuwają w czasie zabaw, nieświadomie pompując w ten sposób wodę, piorąc, obierając ziemniaki, wytwarzając elektryczność itd. W trosce o naszych najmłodszych, których rodzice zostawiają niekiedy w mieszkaniu samych, profesor wymyślił też nie zapalające się zapalki, wytwarzane już masowo na Ziemi.

Pewnego dnia profesor pokazał mi najnowszy swój wynalazek. W pierwszej chwili wydało mi się, że mam przed sobą żelazny piecyk, jakoż Tarantoga zdradził mi, że takowy w samej rzeczy posłużył mu za produkt wyjściowy.

- Jest to, drogi Ijonie, przyobleczone w realny kształt odwieczne marzenie ludzkie - wyjawiał mi - a mianowicie rozciągacz lub, jeśli wolisz, spowalniacz czasu. Umożliwia on dowolne przedłużanie życia. Jedna minuta trwa w jego wnętrzu około dwu miesięcy, jeśli nie mylę się w obliczeniach. Czy zechcesz spróbować?...

Ciekawy, jak zwykle, nowinek technicznych, skinąłem ochoczo głową i wcisnąłem się do aparatu. Ledwo przykucnąłem, profesor zatrzasnął drzwiczki. Zakręciło mi w nosie, bo wstrząs, z jakim zamknięty został piecyk, wzbili w powietrze nie wydrapane resztki sadzy, tak że zaczerpnąwszy powietrza, kichałem. W tym momencie profesor włączył prąd. Na skutek spowolnienia upływu czasu kichnięcie moje trwało pięć dób i gdy Tarantoga ponownie otworzył aparat, ujrzał mnie ledwo przytomnego z wyczerpania. Zdumiał się zrazu i zaniepokoił, a wywieździawszy się, co zaszło, uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

- A w istocie upłynęły jeno cztery sekundy na moim zegarku. No, cóż powiesz, Ijonie, o tym wynalazku?

- Nie, zdaje mi się, prawdę mówiąc, że jeszcze nie jest doskonały - aczkolwiek godny uwagi - powiedziałem, gdy udało mi się złapać dech.

Zacny profesor zafrasował się nieco, ale potem wspaniałomyślnie obdarzył mnie aparatem, wyjaśniając, że może on równie dobrze służyć do spowalniania, jak i przyspieszania upływu czasu. Czując się nieco zmęczonym, chwilowo odmówiłem wypróbowania tej dodatkowej możliwości, podziękowałem serdecznie i zawiozłem machinę do siebie. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co mam z nią począć; postawiłem ją więc na strychu mej rakiectami, gdzie stała bodaj pół roku.

Pisząc ósmy tom swojej znakomitej Astrozoologii, profesor zaznajomił się szczegółowo z materiałami dotyczącymi istot zamieszkujących Amauropię. Przyszło mu wtedy na myśl, że stanowią one wyborny obiekt dla wypróbowania rozciągacza (a zarazem przyspieszacza) czasu.

Zapoznawszy się z tym projektem, takem się do niego zapalił, że w trzy tygodnie załadowałem raketę prowiantami i paliwem, po czym, wziąwszy na pokład mało mi znane mapy tej okolicy Galaktyki i aparat, wystartowałem bez najmniejszej zwłoki. Było to tym bardziej zrozumiałe, że podróż na Amauropię trwa około trzydziestu lat. O tym, co robiłem w tym czasie, napiszę chyba gdzie indziej. Wspomnę jedynie o jednej z większych osobliwości, jaką było spotkanie w okolicy galaktycznego jądra (nawiasem dodam, że jest to obszar zakurzony, jak mało który w kosmosie) plemienia włóczęgów międzygwiazdnych, zwanych Wy gontami.

Nieszczęśliwcy ci nie posiadają w ogóle ojczyzny. Wyrażając się łagodnie, są to istoty pełne fantazji, albowiem każdy nieomal opowiadał mi o historii plemienia coś innego. Słyszałem potem, że po prostu roztrwonili swoją planetę, dla wielkiej chciwości rozmaitych minerałów. Przedsięwzięciami tymi tak zryli i przekopali całe wnętrze planety, że spustoszyli ją całkowicie, na koniec pozostała z niej tylko duża jama, która pewnego dnia rozsypała im się pod nogami. Są co prawda i tacy, którzy twierdzą, że Wygontowie, wyprawiwszy się raz na pijaństwo, po prostu zbłądzili i nie umieli wrócić do siebie. Nie wiadomo, jak to tam było naprawdę, w każdym razie nikt tych włóczęgów gwiazdowych nie wita mile; gdy ciągnąc próżnią zawadzą o jakąś planetę, niebawem okazuje się, że czegoś brak: a to zniknęło trochę powietrza, to jakaś rzeka nagle wyschła, to wyspy nie można się dorachować.

Raz na Ardenurii świsnęli podobno cały kontynent, szczęściem, że nieuprawny, bo zlodowaciały. Wynajmują się oni chętnie do czyszczenia i regulowania księżyców, lecz mato kto powierza im te odpowiedzialne czynności. Dzieciarnia ich obrzuca komety kamieniami, jeździ na zmurszałych meteorach, słowem - kłopotów z nimi co niemiara. Uznałem, że niepodobna godzić się z takimi warunkami bytowania i przerwawszy na krótko podróż, zakrzętałem się, i to bardzo sprawnie, bo udało mi się dostać okazyjnie całkiem jeszcze przyzwoity księżyc. Podremontowało się go i dzięki moim znajomościom awansowało na planetę.

Nie było tam wprawdzie powietrza, ale urządziłem składkę; okoliczni mieszkańcy złożyli się, i trzeba było widzieć, z jaką radością wmaszerowali pocziwi Wygontowie na własną planetę! Podziękowaniom ich nie było wprost końca. Pożegnawszy ich serdecznie, udałem się w dalszą drogę. Do Amauropii nie było już więcej nad sześć kwinty - lionów kilometrów; przebywszy ten ostatni odcinek trasy, i odnalazłszy właściwą planetę (a jest ich tak jak maku), począłem się opuszczać na jej powierzchnię.

W pewnej chwili, włączywszy hamulce, stwierdziłem z przerażeniem, że nie działają i spadam na planetę niczym kamień. Wyjrzawszy przez kłapę spostrzegłem, iż hamulców w ogóle nie ma. Z oburzeniem pomyślałem o niewdzięcznych Wy gontach, nie było jednak czasu na takie rozmyślania, przecinałem już bowiem atmosferę i rakietą poczęła się żarzyć rubinowe - jeszcze chwila, a spłonąłbym żywcem.

Na szczęście w ostatniej chwili przypomniałem sobie o rozciągaczu czasu; włączywszy go, uczyniłem jego wpływ tak powolnym, że mój spadek na planetę trwał trzy tygodnie. Wydobywszy się w ten sposób z opresji, rozejrzałem się po

okolicy.

Rakieta osiadła na rozległej polanie, otoczonej zewsząd bladobłękitnym lasem. Nad drzewami o matwowatych konarach unosiły się szmaragdowe twory, wirujące z wielką szybkością. Na mój widok pierzchnęła w liliowe krzaki gromada istot, zadziwiająco podobnych do ludzi, tyle że miały lśniącą, szafirową skórę. Wiedziałem już o nich to i owo od Tarantogi, a wydobywszy kieszonkowy poradnik kosmonautyczny, zaczerpnąłem garść dodatkowych informacji.

Planetę zamieszkiwał gatunek istot człekokształtnych - jak głosił tekst - zwanych Mikrocefalami, znajdujących się na niezmiernie niskim stopniu rozwoju. Próby porozumienia się z nimi nie dały rezultatu. Najoczywiściej poradnik mówił prawdę. Mikrocefale chodzili na czworakach, przycupując to tu, to tam, iskali się z wielką wprawą, a gdym się do nich zbliżał, łypali na mnie szmaragdowymi oczami, gardlując bez najmniejszego ładu i składu. Poza nierozumnością odznaczał się dobrodusznym i łagodnym usposobieniem.

Przez dwa dni zwiedzałem błękitny las i otaczające go rozległe stepy, a powróciwszy do rakiety, udałem się na spoczynek. Kiedym już był w łóżku, wspomniałem przyspieszacz i postanowiłem puścić go w ruch na parę godzin, aby nazajutrz przekonać się, czy da to jakieś efekty. Wyniosłem go więc nie bez trudu z rakiety, ustawiłem pod drzwiami, włączyłem przyspieszenie czasu i wróciwszy do łóżka, zasnąłem snem sprawiedliwego.

Zbudziło mnie gwałtowne tarposzenie. Otworzywszy oczy, ujrzałem nad sobą twarze nachylonych Mikrocefalów, którzy, już na dwu nogach, porozumiewali się krzykliwie i z wielkim zainteresowaniem poruszali moimi rękami, a gdy spróbowałem się opierać, omal nie wyłamali mi ich ze stawów. Największy z nich, liliowy olbrzym, otworzył mi przemocą usta, i wtykając do nich palce, liczył mi zęby.

Szamoczącego się daremnie wyniesiono mnie na polanę i przywiązano do ogona rakiety. W tej pozycji widziałem, jak Mikrocefale wynoszą z rakiety, co się da; większe rzeczy, które nie mieściły się w otworze klapy, rozbijali wprzód kamieniami na kawałki. Naraz obruszył się na raketę i na krzątających się wokół niej Mikrocefalów grad kamieni, z których jeden trafił mnie w głowę. Skrępowany, nie mogłem spojrzeć w stronę, z której leciały kamienie. Słyszałem tylko odgłosy walki. Mikrocefale, którzy skrępowali mnie, rzucili się nareszcie do ucieczki. Nadbiegli inni, uwolnili mnie z pęt i z oznakami wielkiego szacunku zanieśli na barkach w głąb lasu.

Pochód zatrzymał się u stóp rozłożystego drzewa. Z jego konarów zwiślał umocowany na lianach rodzaj powietrznego szałas z małym okienkiem. Przez to okienko wepchnięto mnie do środka, przy czym zgromadzony pod drzewem tłum padł na kolana, wydając modlitewne zawodzenie. Korowody Mikrocefalów złożyły mi ofiary z kwiatów i owoców. Przez następne dni stanowiłem przedmiot powszechnego kultu, przy czym kapłani wróżyli przyszłość z mego wyrazu twarzy, a gdy wydawał im się złowieszczy, okadzali mnie dymem, tak że omal się nie udusiłem. Na szczęście podczas składania całopalnych ofiar kapłan rozhuśtywał kapliczkę, w której siedziałem, dzięki czemu od czasu do czasu mogłem chwycić nieco tchu.

Na czwarty dzień czcicieli mych napadł oddział uzbrojonych w maczugi Mikrocefalów pod dowództwem olbrzyma, który liczył mi zęby. Przechodząc podczas walki z rąk do rąk, stawałem się na przemian przedmiotem czci bądź też zniewag. Bitwa zakończyła się zwycięstwem napastników, stojących pod wodzą owego olbrzyma, imieniem Glistolot. Brałem udział w jego triumfalnym powrocie do obozowiska, przywiązany do wysokiej tyki, którą nieśli krewni wodza. Stało się to tradycją i odtąd zostałem swego rodzaju sztandarem, noszonym na wszystkie wyprawy wojenne. Było to uciążliwe, ale połączone z przywilejami.

Poduczyszy się dialektu Mikrocefalów, począłem wyjaśniać Glistolotowi, że to mnie on i jego poddani zawdzięczają tak szybki rozwój. Szło to niesporo, ale mam wrażenie, że zaczynało mu już coś świtać, niestety, został otruty przez swego bratanka Odłopeza. Ten zjednoczył zwalczających się dotąd Mikrocefalów leśnych i

polanowych, poślubiając Mastrozymazę, kapłankę leśnych.

Ujrzawszy mnie podczas uczty poślubnej (byłem kosztowaczem potraw - urząd ten wprowadził Odłopeż) Mastrozymaza wydała radosny okrzyk: "Ależ ty masz bielusieńką skórę!" Napełniło mnie to złymi przeczuciami, które rychło się sprawdziły. Mastrozymaza zadusiła małżonka podczas snu i poślubiła mnie w trybie morganatycznym. Próbowałem jej z kolei wytłumaczyć moje zasługi wobec Mikrocefalów, lecz pojmowała mnie opacznie, bo po pierwszych słowach krzyknęła: "Aha, masz mnie już dość!" i długo musiałem ją uspokajać.

Podczas następnego przewortu pałacowego Mastrozymaza zginęła, a ja uratowałem się ucieczką przez okno. Z naszego związku pozostał jedynie białoliliowy kolor sztandarów państwowych. Po ucieczce odnalazłem w lesie polanę z przyspieszaczem i chciałem go wyłączyć, ale przyszło mi do głowy, że rozsądniej będzie raczej poczekać, aż Mikrocefale wytworzą bardziej demokratyczną cywilizację.

Przez czas jakiś mieszkalem w lesie, żywiąc się jedynie korzonkami i nocą tylko podchodziłem pod obozowisko, które chyżo przeobrażało się w miasto, otoczone ostrokołem.

Mikrocefale osiadli uprawiali rolę, miastowi zaś napadali na nich, gwałcili ich żony, a ich samych mordowali i rabowali. Rychło wyłonił się z tego handel. W tym czasie okrzepły też wierzenia religijne, których rytuał bogacił się z dnia na dzień. Ku memu wielkiemu zmartwieniu Mikrocefale zawlekli rakietę z polany do miasta i osadzili ją pośrodku głównego placu jako rodzaj bożyszczka, otoczywszy to miejsce murem i strażami. Kilka razy rolnicy jednoczyli się, napadali na Liliowiec (jak zwało się miasto) i wspólnym wysiłkiem burzyli go do fundamentów, aliści za każdym razem następowała bardzo sprawna odbudowa.

Wojnom tym położył kres król Sarcepanos, który spalił wsie, ściał lasy i rolników, a pozostałych przy życiu osadził jako jeńców wojennych na roli pod miastem. Nie mając się gdzie podziać, przywędrowałem do Liliowca. Dzięki moim znajomościom (służba pałacowa znała mnie z czasów Mastrozymazy) otrzymałem posadę masażysty tronowego. Polubiwszy mnie, Sarcepanos postanowił nadać mi godność pomocnika siepacza państwowego w randze starszego torturanta. Zrozpaczony, udałem się na polanę, na której pracował przyspieszacz i nastawiłem go na maksymalne działanie. Rzeczywiście tejże nocy Sarcepanos zmarł od przejedzenia i na tronie zasiadł Trymon Sinawy, dowódca armii. Wprowadził on hierarchię urzędniczą, podatki i przymusowy pobór do wojska. Od służby wojskowej uratował mnie kolor skóry. Zostałem uznany za albinosa i jako taki nie miałem prawa zbliżania się do siedziby królewskiej. Żyłem wśród niewolników, zwany przez nich Ijonem Bladonem.

Począłem głosić powszechną równość i wyjaśniłem moją rolę w społecznym rozwoju Mikrocefalów. Rychło zgromadziło się wokół mnie wielu zwolenników tej nauki, zwanych Machinistami. Rozpoczęły się wrzenia i zamieszki, krwawo tłumione przez gwardię Trymona Sinawego. Machinizm został zakazany pod karą załaskotania na śmierć.

Kilka razy musiałem uciekać z miasta i chronić się w sadzawkach miejskich, a moi entuzjaści podlegali okrutnym prześladowaniom. Potem na moje prelekcje ściągając zaczęło coraz więcej osób z wysokich sfer, oczywiście incognito. Gdy Trymon zmarł tragicznie, z roztargnienia zapomniawszy oddychać, władzę objął Karbagaz Roztropny. Był to zwolennik mojej nauki, którą podniósł do godności wyznania państwowego. Otrzymałem miano Opiekuna Machiny i wspaniała rezydencję obok dworu. Miałem masę zajęć i sam nie wiem, jak to się stało, że podwładni mi kapłani jęli głosić tezy o moim niebiańskim pochodzeniu. Próżno usiłowałem się temu przeciwstawić. W tym czasie poczęła działać sekta Antymachinistów, głoszących, że Mikrocefale rozwijają się w sposób naturalny, a ja jestem byłym niewolnikiem, który, pobieliwszy się wapnem, w oszukańczy sposób ogłupia lud.

Przywódców sekty schwytano i król zażądał, bym jako Opiekun Machiny skazał ich na śmierć. Nie widząc innego wyjścia, uciekłem przez okno pałacu i jakiś czas ukrywałem się w sadzawkach miejskich. Pewnego dnia doszły mnie wieści, iż

kapłani obwieszczają wniebowzięcie Ijona Bładona, który, spełniwszy planetarne posłannictwo, wrócił do swych boskich rodziców. Poszedłem do Liliowca, aby to sprostować, lecz tłum, klęczący przed moimi wizerunkami, po pierwszych słowach chciał mnie ukamienować. Obroniła mnie straż kapłańska, po to tylko, bym jako samozwaniec i bluźnierca został osadzony w lochu. Przez trzy dni szorowano mnie i drapano, aby zetrzeć rzekomą pobiałkę, dzięki której - jak głosiło oskarżenie - podszyłem się pod wniebowziętego Bładona. Ponieważ nie niebieszczałem, miano mnie poddać torturom. Z tej opresji udało mi się uciec dzięki pewnemu strażnikowi, który dostarczył mi nieco niebieskiej farbki. Pędem udałem się do lasu, w którym znajdował się przyspieszacz i po dłuższym manipulowaniu jeszcze bardziej spotęgowałem jego działanie w nadziei, że przyśpieszę w ten sposób nadejście porządnej cywilizacji, po czym skrywałem się przez dwa tygodnie w miejskich sadzawkach.

Wróciłem do stolicy, gdy ogłoszono republikę, inflację, amnestię i zrównanie stanów. Na rogatek żądano już dokumentów, a że nie miałem żadnych, aresztowano mnie za włóczęgostwo. Po wyjściu na wolność zostałem, dla braku środków do życia, gońcem w Ministerstwie Oświaty. Gabinety ministerialne zmieniały się nieraz i dwa razy na dobę, że zaś każdy nowy rząd rozpoczynał władanie od anulowania dekretów poprzedniego i wydawania nowych, miałem masę biegania z okólnikami. Na koniec dostałem obrzęków na nogach i podałem się do dymisji, której nie przyjęto, bo był właśnie stan wojenny. Przeżywszy republikę, dwa dyrektoriaty, restaurację monarchii oświeconej, rządy autorytatywne generała Rozgroza, i jego ścięcie, jako zdrajcy stanu, zniecierpliwiony powolnością rozwoju cywilizacji raz jeszcze wziąłem się do majstrowania przy aparacie, z takim skutkiem, że śrubka w nim pękła. Nie wziąłem tego specjalnie do serca, aliści po paru dniach spostrzegłem, że dzieje się coś osobliwego.

Słońce wstawało na zachodzie, na cmentarzu słychać było rozmaite hałasy, widywało się chodzących nieboszczyków, przy czym stan ich poprawiał się z każdą chwilą, dorośli pomniejszali się w oczach, a małe dzieci gdzieś znikają.

Wróciły rządy generała Rozgroza, monarchia oświecona, dyrektoriat, wreszcie republika. Gdy na własne oczy zobaczyłem cofający się pogrzeb króla Karbagaza, który po trzech dniach wstał z katafalku i został odbalsamowany, zorientowałem się, że musiałem popsuć aparat i czas płynie teraz wstecz. Najgorsze było to, że i ja sam obserwowałem na własnej osobie oznaki młodnienia. Postanowiłem czekać, aż zmartwychwstanie Karbagaz I i zostanę znowu Wielkim Machinistą, gdyż, korzystając z moich ówczesnych wpływów, mógłbym bez trudu dostać się do służącej za bóstwo rakiety.

Najgorsze jednak było przeraźliwe tempo przemian; nie byłem pewny, czy doczekam właściwej chwili. Codziennie stawałem pod drzewem na podwórzu i znaczyłem kreskę na wysokości głowy - malałem z ogromną chyżością. Kiedy zostałem Opiekunem Machiny u boku Karbagaza, wyglądałem najwyżej na dziewięć lat, a tu trzeba było jeszcze zgromadzić prowiant na drogę. Nocami zanosilem go do rakiety, co przychodziło mi z niemałym trudem, byłem bowiem coraz słabszy. Ku memu najwyższemu przerażeniu stwierdziłem, że w chwilach wolnych od zajęć pałacowych odczuwam niepowstrzymaną chęć grania w berka.

Gdy wehikuł był już gotów do drogi, wczesnym świtem skryłem się w nim i zamierzałem sięgnąć do dźwigni startowej - była jednak za wysoko. Musiałem gramolić się na stołek i tak dopiero udało mi się ją przesunąć. Chcąc zakłąć, stwierdziłem ze zgrozą, że już tylko kwilę. W momencie startu jeszcze chodziłem, ale widać nadany impuls działał jakiś czas, gdyż po opuszczeniu planety, kiedy tarcza jej majaczyła w oddali białawą plamą, z trudnością udało mi się dorazkować do butelki z mlekiem, którą sobie zapobiegliwie przygotowałem. Musiałem się żywić w ten sposób przez całych sześć miesięcy.

Podróż na Amauropię trwa, jakem rzekł na początku, koło trzydziestu lat, tak że powróciwszy na Ziemię nie wzbudziłem moim wyglądem niepokoju przyjaciół. Żałuję tylko, że nie posiadam umiejętności fantazjowania, bo nie musiałbym wówczas unikać spotkań z Tarantogą i mógłbym, nie urażając go, zmyślić jakąś bajeczkę, pochlebającą jego talentom wynalazczym.

PODRÓŻ TRZYNASTA

Z pierśią pełną pomieszanych uczuć przystępuję do opisu tej wyprawy, która przyniosła mi więcej, niżeli mogłem się kiedykolwiek spodziewać. Celem moim, kiedy wyruszyłem z Ziemi, było dotarcie do niezmiernie odległej planety gwiazdozbioru Kraba, Zazjawy, słynącej w całej próżni tym, że wydała jedną z najwybitniejszych osobistości Kosmosu, Mistrza Oh. Ten znakomity mędrzec nie nazywa się tak naprawdę, a mianuję go w ten sposób, ponieważ niepodobna inaczej oddać jego imienia w jakimkolwiek ziemskim języku. Dziecię, rodzące się na Zazjawie, otrzymuje ogromną ilość tytułów i odznaczeń wraz z imieniem niezmiernie długim według naszych pojęć.

Przyszedłszy w swoim czasie na świat, Mistrz Oh nazwany został Gridipidagititositipopokarturtegwauanatotototam. Mianowano go Złotolitą Podporą Istnienia, Doktorem Łagodny Doskonałej, Światłą Wszzechstronnością Possyibilitatywną etc., etc. W miarę jak dorastał i kształcił się, z roku na rok odejmowano mu po tytule i części nazwiska, że zaś niezwykle zdradzał zdolności, już w trzydziestym trzecim roku życia odebrano mu ostatnie odznaczenie, w dwa lata zaś później nie miał już w ogóle żadnego tytułu, a jego imię określała w alfabecie zazjawiskim jedna tylko, i to niema litera, oznaczająca "przydech niebiański" - to jest rodzaj zdławionego westchnienia, które wydaje się od nadmiaru szacunku i rozkoszy.

Teraz Czytelnik pojmie zapewne, czemu zwę tego Mędrca Mistrzem Oh. Mąż ów, zwany Dobroczyńcą Kosmosu, całe swe życie poświęcił dziełu uszczęśliwiania rozlicznych plemion galaktycznych i w nieustającym trudzie stworzył naukę o spełnianiu życzeń, zwaną też Ogólną Teorią Protez. Stąd też, jak powszechnie wiadomo, pochodzi jego własne określenie jego działalności; jak wiecie, nazywa on siebie protetą.

Pierwszy raz zetknąłem się z przejawem działalności Mistrza Oh na Europii. Planeta ta z dawien dawna wrzała od kwasów, nienawiści i wzajemnej zgryźliwości jej mieszkańców. Brat zazdrościł tam bratu, uczeń nienawidził nauczyciela, podwładny zwierzchnika. Kiedym tam wszelako zawitał, rzuciła mi się w oczy sprzeczna z tą famą powszechna łagodność i najtkliwsza miłość, jaką okazywali sobie wszyscy bez wyjątku członkowie planetarnej społeczności. Usiłowałem oczywiście dociec, jakie może być źródło tak budującej przemiany.

Pewnego razu, wędrując ulicami miasta stołecznego w towarzystwie znajomego tuziemca, zauważyłem na licznych wystawach sklepowych głowy naturalnej wielkości, umieszczone na stojakach niczym kapelusze oraz duże lale, doskonale wyobrażające Europejczyków. Zagadnięty towarzysz mój wyjaśnił, że są to odgromniki uczuć nieprzyjaznych. Żywiąc do kogoś niechęć lub uprzedzenie, idzie się do takiego sklepu i zamawia tam wierną podobiznę upatrzonogo, aby potem, zamknąwszy się w mieszkaniu na cztery spusty, do woli sobie z nią poczynąć. Osoby zamożniejsze stać na całą lalę, ubożsi muszą zadowolić się poniewieraniem samych tylko głów.

Ten nie znany mi dotąd wykwit techniki społecznej, zwany Protezą Swobody Poczynañ, kazał mi zasięgnąć bliższych wiadomości o jego twórcy, którym okazał się Mistrz Oh.

Bawiąc potem na innych globach, miałem okazję stykać się ze zbawiennymi śladami jego działalności. I tak na planecie Ardelurii żył pewien znakomity astronom, głoszący, że planeta obraca się wokół swej osi. Teza ta sprzeciwiała się wierze Ardelurów, według której planeta osadzona jest nieruchomo w centrum Wszechświata. Kolegium kapłańskie wezwało astronoma przed sąd i zażądało, by odwołał swą heretycką naukę. Kiedy odmówił, skazano go na oczyszczające od

grzechów całopalenie. Mistrz Oh, dowiedziawszy się o tym, pojechał na Ardelurię. Przeprowadził rozmowy z kapłanami i uczonymi, wszelako obie strony twardo stały na swoim. Spędziwszy noc na rozmyślaniach, mędrzec doszedł do właściwej idei, którą zaraz wcielił w życie. Był to hamulec planetarny. Z jego pomocą wstrzymany został ruch obrotowy planety. Astronom, przebywający w więzieniu, przekonał się o zaszłej zmianie dzięki obserwacji nieba i wyparł się dotychczasowych twierdzeń, przystając ochoczo na dogmat o nieruchomości Ardelurii. Tak stworzona została Proteza Prawdy Obiektywnej.

W wolnych od pracy społecznej chwilach zajmował się Mistrz Oh pracami badawczymi innego rodzaju: i tak, na przykład, stworzył metodę odkrywania planet, zamieszkałych przez istoty rozumne, na bardzo wielką odległość. Jest to metoda "klucza a posteriori", niesłychanie prosta, jak każdy pomysł genialny. Rozbłysk nowej gwiazdki na firmamencie tam, gdzie dotąd gwiazd nie było, świadczy o tym, że właśnie rozpada się planeta, której mieszkańcy osiągnęli wysoki stopień cywilizacji i odkryli sposoby wyzwalań energii atomowej. Mistrz Oh zapobiegał jak mógł podobnym wydarzeniom, a to w ten sposób, że mieszkańców planet, na których wyczerpywały się zasoby paliw naturalnych, jak węgiel czy nafta, wyuczał hodowli węgorzy elektrycznych. Przyjęła się ona na niejednym globie pod nazwą Protezy Postępu. Któż z kosmonautów nie chwali sobie wieczornych spacerów na Enteroptozie, kiedy w wędrowce przez ciemności towarzyszy nam tresowany węgorz z żaróweczką w pyszczku!

Z upływem czasu rosła we mnie coraz większa chęć poznania Mistrza Oh. Rozumiałem wszakże, że nim się z nim zetknę, muszę pierwej uczciwie przysiąc fałdów, aby wznieść się na jego wyżyny intelektualne. Powodowany tą myślą, postanowiłem cały czas lotu, obliczany na lat dziewięć, poświęcić samokształceniu w dziedzinie filozofii. Jakoż wystartowałem z Ziemi w rakięcie od kłapy po dziób wypełnionej półkami bibliotecznymi, uginającymi się pod ciężarem najszczytniejszych płodów ducha ludzkiego. Odsądziwszy się od gwiazdy macierzystej na jakieś sześćset milionów kilometrów, kiedy nic już nie mogło zakłócić mi spokoju, wziąłem się do lektury. Wobec jej ogromu przygotowałem sobie specjalny plan, polegający na tym, że aby umknąć omyłkowego czytania książek, które już raz przewertowałem, każde poznane dzieło wyrzucałem przez klapę z rakiety, z tym że miałem zamiar pozbierać je, unoszące się swobodnie w przestrzeni, podczas drogi powrotnej.

Tak tedy przez dwieście osiemdziesiąt dni zgłębiałem Anaksagorasa, Platona i Plotyna, Orygenesę i Tertuliana, przeszedłem Szkota Eriugena, biskupów Hraba z Moguncji i Hinkmara z Reims, od deski do deski odczytałem Ratramnusa z Corbie i Servatusa Lupusa, a także Augustyna, a mianowicie jego De Vita Beata, De Civitate Dei i De Quantitate Animae. Za czym wziąłem się za Tomasza, biskupów Synesiosa i Nemesiosa oraz Pseudoareopagitę, świętego Bernarda i Suareza. Przy świętym Wiktorze musiałem zrobić przerwę, bo mam zwyczaj kręcenia w czasie lektury gałek z chleba i rakietą była już ich pełna. Wymiótłszy wszystko w próżnię, zamknąłem klapę i wróciłem do nauki. Następne półki zapełniały dzieła nowsze - było tego ze siedem i pół tony i począłem się lękać, że czasu nie starczy mi na zgłębienie wszystkiego, aliści wnet przekonałem się, iż motywy się powtarzają, różne jedynie ujęciem. To co jedni, obrazowo mówiąc, stawiali na nogach, inni odwracali na głowę; tak więc niejedno mogłem pominąć.

Przemierzyłem więc mistyków i scholastyków, Hartmanna, Gentiego, Spinozę, Wundta, Malebranche'a, Herbarta i zapoznałem się z infityzmem, doskonałością stwórcy, harmonią przedustawną i monadami, nie mogąc się nadziwić, jak każdy z owych mędrców wiele miał do powiedzenia o duszy ludzkiej, a przy tym każdy coś wręcz przeciwnego temu, co głosili inni.

Kiedy zagłębiałem się w rozkosznym doprawdy opisie harmonii przedustawnej, lekturę przerwała mi dość drastyczna przygoda. Oto znajdowałem się już w okolicach' próżniowych wirów magnetycznych, które z nieporównaną siłą magnesują wszystkie przedmioty żelazne. Tak się też stało z żelaznymi skuwkami moich mesztów i przyssany do stalowej podłogi, kroku nie mogłem zrobić, by zbliżyć się do szafki z wiktuałami. Groziła mi już śmierć głodowa, aliści wspomniałem na czas, że mam w zanadrzu kieszonkowy Poradnik Kosmonauty, skąd wyczytałem, iż w podobnej sytuacji należy zzuć trzewiki. Po czym wróciłem do książek.

Kiedym poznał już ze sześć tysięcy tomów i tak się obracałem w ich materii jak we własnej kieszeni, od Zazjawy dzieliło mnie jakieś osiem trylionów kilometrów. Właśnie zabrałem się do następnej półki, wypełnionej krytyką czystego rozumu, gdy uszu moich dobiegło energiczne pukanie. Podniosłem zaskoczony głowę, byłem bowiem sam w rakiecie, a z próżni gości się raczej nie spodziewałem.

Pukanie powtórzyło się natarczywiej, zarazem zaś dobiegł mnie stłumiony głos:

- Otwierać! Rybicja!

Odkręciłem czym prędzej śruby klapy i do rakiety weszły trzy istoty w skafandrach, obsypanych mlecznym pyłem.

- Aha! Złapaliśmy wodnika na gorącym uczynku! - zawołał pierwszy z przybyłych, a drugi dodał:

- Gdzie wasza woda?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, osłupiały ze zdziwienia, trzeci powiedział do tamtych coś, co ich nieco zmytygowało.

- Skąd pochodzisz? - spytał mnie pierwszy.

- Z Ziemi! A wy kim jesteście?

- Swobodna Rybicja Finty - burknął i podał mi kwestionariusz do wypełnienia.

Ledwo rzuciłem okiem na rubryki tego dokumentu, a potem na skafandry istot, wydające przy każdym ruchu odgłos bulgotania, zorientowałem się, że przez nieuwagę zleciałem w pobliże bliźniaczych planet Pinty i Panty, których wymijanie w możliwie dużym promieniu zalecają wszystkie poradniki. Niestety - było już na to za późno. Podczas gdy wypełniałem kwestionariusz, osobnicy w skafandrach systematycznie spisywali przedmioty znajdujące się w rakiecie. Odkrywszy w pewnym momencie puszkę ze szprotami w oleju, wydali triumfalny okrzyk, po czym opieczętowali rakieta i wzięli ją na hol. Próbowałem nawiązać z nimi rozmowę, ale bezskutecznie. Zauważyłem, że skafandry, które mieli na sobie, kończyły się szeroką, płaską wypustką, jak gdyby Pintyjczycy mieli zamiast nóg rybnie ogony. Niebawem jęliśmy się opuszczać na planetę. Cała była pokryta wodą, co prawda bardzo płytka, gdyż wystawały z niej dachy budowli. Gdy Rybici zdjęli na lotnisku skafandry, przekonałem się, że są bardzo podobni do ludzi, a jedynie członki mają dziwnie wygięte i pokręcone. Wsadzono mnie do czegoś w rodzaju łodzi, osobliwej przez to, że miała wielkie otwory w dnie i po burty pełna była wody. Tak zanurzeni popłynęliśmy z wolna w stronę śródmieścia. Spytałem, czy nie można by tych dziur zatkać i wyczerpać wody; pytałem potem i o inne rzeczy, ale moi towarzysze nic nie odpowiedzieli, a tylko notowali gorączkowo moje słowa.

Ulicami brodzili mieszkańcy planety z głowami skrytymi pod wodą, wynurzając je co chwila dla zaczerpnięcia tchu. Przez szklane ściany bardzo pięknych domów widać było ich wnętrza: pokoje mniej więcej do połowy wysokości wypełniała woda. Kiedy wehikuł nasz zatrzymał się na skrzyżowaniu opodal gmachu noszącego napis "Główny Zarząd Irygacyjny", przez otwarte okna dobiegało mnie bulgotanie urzędników. Na placach stały strzeliste posągi ryb, ozdobione wieńcami wodorostów. Gdy łódź nasza znów się na chwilę zatrzymała (ruch był bardzo wielki), z rozmowy przechodniów pochwyliłem, że przed chwilą zdemaskowano właśnie na rogu szpiega, kiedy tryfował szengiele.

Potem wypłynęliśmy na rozległą aleję, ozdobioną wspaniałymi portretami ryb i różnokolorowymi napisami: "Hej wodnista swobodo!" "Płetwa do płetwy, zwalczymy suszę, wodniki!" - i innymi, których nie zdążyłem odczytać. Na koniec łódź przybiła do gigantycznego drapacza chmur. Fronton jego zdobiły festony, a nad wejściem widniała szmaragdowa tablica: "Swobodna Rybicja Wodna". Winda, przypominająca małe akwarium, pojechaliśmy na 16 piętro. Wprowadzono mnie do gabinetu, wypełnionego wyżej biurka wodą, i kazano czekać. Cały obity był

przepiękną szmaragdową łuską.

Przygotowałem sobie w myśli dokładne odpowiedzi na pytania, skąd się tu wzięłem i dokąd zamierzam się udać, aliści nikt mnie o to nie pytał. Przesłuchujący, Rybita małego wzrostu, wszedł do gabinetu, zmierzył mnie surowym spojrzeniem, a potem wstał na palce i z ustami nad powierzchnią wody spytał:

- Kiedy rozpoczęłeś swą zbrodniczą działalność? Wiele za nią otrzymywałeś? Jakich masz współników?

Odparłem, że jako żywo nie jestem szpiegiem; wyjaśniłem też okoliczności, które przywiodły mnie na planetę. Gdy atoli oświadczyłem, że znalazłem się na Fincie przypadkiem, przesłuchujący wybuchnął śmiechem i powiedział, że muszę sobie wymyślić coś inteligentniejszego. Następnie zabrał się do studiowania protokołów, rzucając mi co chwila rozmaite pytania. Szło mu to bardzo niesporo, bo za każdym razem musiał wstawać dla zaczerpnięcia tchu, a raz niechcący się zachłysnął i długo kaszlał. Zauważyłem potem, że przytrafia się to Pintyjczykom bardzo często.

Rybita namawiał mnie łagodnie, żebym przyznał się do wszystkiego, a kiedy odpowiadałem wciąż, że jestem niewinny, zerwał się nagle i wskazując na puszkę ze szprotami, spytał:

- A co to znaczy?

- Nic - odparłem zdumiony.

- Zobaczymy. Odprowadzić tego prowokatora! - krzyknął.

Na tym przesłuchanie zostało zakończone. Pomieszczenie, w którym mnie zamknięto, było całkiem suche. Przyjąłem to z prawdziwą przyjemnością, bo już porządnie dała mi się we znaki dokuczliwa wilgoć. Oprócz mnie znajdowało się w tym niewielkim pokoiku siedmiu Pintyjczyków, którzy przyjęli mnie nader życzliwie i jako obcokrajowcowi ustąpili miejsca na ławce. Od nich dowiedziałem się, że szproty, znalezione w rakiecie, przedstawiają w myśl ich ustaw straszliwą obrazę najwyższych ideałów pintyjskich, a to poprzez tak zwaną zbrodniczą aluzję. Pytałem, o jaką aluzję idzie, wszelako nie umieli, czy raczej nie chcieli (jak mi się zdawało) tego powiedzieć. Widząc, że pytania na ten temat sprawiają im przykrość, zamilkłem. Dowiedziałem się jeszcze od nich, iż zamknięcia podobne do takich, w jakim przebywam, stanowią jedyne bezwodne miejsca na całej planecie. Pytałem, czy zawsze w swej historii przebywali w wodzie - odpowiedzieli mi, że niegdyś Pinta posiadała wiele łądów, a mało mórz i że było na niej mnóstwo wstrętnych, suchych miejsc.

Obecnym władcą planety był Wielki Wodnik Rybon Ermezyneusz. Przez trzy miesiące mego pobytu w sucharce zbadało mnie osiemnaście rozmaitych komisji. Określały one kształt, jaki przybierała mgiełka na lusterku, na które kazano mi chuchać, liczonego ilość kropel, które ściekały ze mnie po zanurzeniu w wodzie, i pasowano mi rybi ogon. Musiałem też opowiadać rzeczoznawcom moje sny, które od razu klasyfikowali i segregowali według paragrafów kodeksu karnego. Pod jesień dowody mej winy obejmowały już osiemdziesiąt dużych tomów, a dowody rzeczowe wypełniały trzy szafy w gabinecie z rybią łuską. Na koniec przyznałem się do wszystkiego, co mi zarzucono, a w szczególności do perforowania chondrytów i do rześistej trybieży wielokrotnej na rzecz Panty. Do dziś dnia nie wiem, co by to mogło znaczyć. Z uwagi na okoliczności łagodzące, a mianowicie moją tępa nieświadomość błogosławieństw żywota podwodnego oraz nadchodzące imieniny Wielkiego Rybona Wodnika Ermezyneusza wymierzono mi umiarkowany wyrok dwu lat swobodnego rzeźbienia z zawieszeniem w wodzie na sześć miesięcy, po czym wypuszczono mnie na wolną stopę.

Postanowiłem urządzać się możliwie dogodnie na okres półrocznego pobytu na Fincie, a nie znalazłszy miejsca w żadnym hotelu, zamieszkałem kątem u pewnej staruszki, która się trudniła tremobowaniem ślimaków, to jest przyuczaniem ich do układania się w pewne wzory na święta narodowe.

Zaraz pierwszego wieczoru po wyjściu z sucharki udałem się na występ stołecznego chóru, który mocno mnie rozczarował, albowiem chór śpiewał pod wodą - bulgocąc.

W pewnej chwili zauważyłem, że dyżurny Rybita wyprowadził jakiegoś osobnika, który po zapadnięciu ciemności na widowni oddychał przez trzciniową rurkę. Dostojnicy zajmujący miejsca w łóżach pełnych wody nieustannie polewali się tuszem. Nie mogłem oprzeć się dziwnemu wrażeniu, że wszystkim jest z tym raczej niewygodnie. Próbowałem też zaczerpnąć w tym przedmiocie informacji u mojej gospodyni - nie raczyła mi wszakże odpowiedzieć; spytała tylko, do jakiego poziomu życzę sobie mieć napuszczoną wodę do pokoju. Gdy odparłem, że najchętniej nie widziałbym wody poza łazienką, zacisnęła usta, wzruszyła ramionami i odeszła, zostawiając mnie w pół słowa.

Pragnąc poznać wszechstronnie Pintyjczyków, starałem się brać udział w ich życiu kulturalnym. Kiedym przybył na planetę, w prasie toczyła się właśnie żywa dyskusja na temat bulgotania. Specjaliści opowiadali się za bulgotaniem z cicha, jako mającym największą przyszłość.

U mojej gospodyni zajmował jeden pokój pewien młody, sympatyczny Pintyjczyk, redaktor popularnego pisma "Rybi Głos". W gazetach spotykałem często wzmianki o baldurach i badubinach; z tekstu wynikało, że chodzi o jakieś istoty żywe, ale nie mogłem się dorożumieć, co mają one wspólnego w Pintyjczykami. Osoby, które o to pytałem, zazwyczaj zanurzały się, zagłuszając mnie bulgotaniem. Chciałem spytać o to redaktora, ale był wielce zaaferowany. Przy kolacji wyznał mi w największym wzburzeniu, że przydarzyła mu się fatalna rzecz. Przez przeoczenie napisał w artykule wstępnym, że w wodzie jest mokro. W związku z tym spodziewał się najgorszego. Usiłowałem go pocieszyć, pytałem też, czy według nich w wodzie jest sucho; wzdrygnął się i odparł, że nic nie rozumiem. Wszystko należy rozpatrywać z rybiego punktu widzenia. Otóż rybom nie jest mokro, ergo - w wodzie nie jest mokro. Po dwu dniach redaktor znikł.

Na szczególne trudności natrafiłem, chodząc na imprezy publiczne. Gdy po raz pierwszy poszedłem do teatru, w oglądaniu przedstawienia wielce przeszkadzał mi nieustający szept. Sądząc, że szepczą moi sąsiedzi, starałem się nie zwracać na to uwagi. W końcu zdenerwowany przesiadłem się na inny fotel, ale i tam słyszałem ten sam szept. Gdy na scenie była mowa o Wielkim Rybonie, cichy głos szeptał: "członki twe przepaja szczęsne drzenie". Zauważyłem, że cała sala zaczęła z lekka dygotać. Potem przekonałem się, iż we wszystkich miejscach publicznych umieszczone są specjalne szeptacze, podpowiadające obecnym właściwe przeżycia. Pragnąc lepiej poznać obyczaje i właściwości Pintyjczyków, nabyłem większą ilość książek, zarówno powieści, jak czytanek szkolnych i dzieł naukowych. Niektóre z nich mam jeszcze, na przykład: "Mały Badubin", "O okropnościach suszy", "Jak rybio jest pod wodą", "Bulgot we dwoje" itp. W księgami uniwersyteckiej polecono mi dzieło o ewolucji perswazyjnej, wszelako i z niego nie wyniosłem nic poza bardzo szczegółowymi opisami baldurów i badubinów.

Moja gospodyni, kiedym ją próbował indagować, zamknęła się w kuchni ze ślimakami, udałem się więc ponownie do księgami i spytałem, gdzie mógłbym zobaczyć chociaż jednego badubina. Na te słowa wszyscy sprzedawcy dali nurka pod kontuar, a przypadkowo obecni w sklepie młodzi Pintyjczycy zaprowadzili mnie na Rybicję jako prowokatora. Wtrącony do sucharki, zastałem tam trzech z poprzednich towarzyszy. Od nich dowiedziałem się dopiero, że baldurów ani badubinów jeszcze na Fincie nie ma. Są to szlachetne, doskonałe w swej rybowatości formy, w które Pintyjczycy przekształca się z czasem zgodnie z nauką o ewolucji perswazyjnej. Spytałem, kiedy się to stanie. Na co wszyscy obecni zadrżeli i usiłowali dać nurka, co z braku wody było oczywistą niemożliwością, a najstarszy wiekiem, o bardzo pokręconych członkach, rzekł:

- Słuchaj no, wodniku, takich rzeczy nie mówi się u nas bezkarnie. Niechby Rybicja dowiedziała się o twoich pytaniach, to uczciwie obostrzy ci wyrok.

Przygnębiony oddałem się smutnym rozmyśleniom, z których wyrwała mnie rozmowa

towarzyszy niedoli. Rozprawiali o swych przewinieniach, zastanawiając się nad ich rozmiarami. Jeden znalazł się w sucharce, ponieważ zasnawszy na omywanym wodą tapczanie zachłysnął się i skoczył na równe nogi z krzykiem: "Zdechnąć można od tego". Drugi nosił dziecko na barana, zamiast przyuczać je od maleńkości do życia pod wodą. Trzeci wreszcie, ów najstarszy, miał nieszczęście zabulgotać w sposób określony przez osoby kompetentne jako znaczący i obelżywy podczas prelekcji o trzystu wodnikach bohaterach, którzy zginęli ustanawiając rekord życia pod wodą.

Niebawem wezwano mnie przed Rybitę, który oświadczył mi, że ten ponowny haniebny występ, jakiego się dopuściłem, zmusza go do wymierzenia mi łącznej kary trzech lat swobodnego rzeźbienia. Nazajutrz w towarzystwie trzydziestu siedmiu Pintyjczyków popłynąłem łodzią, w znanych już warunkach, to jest zanurzony w wodzie po brodę, do regionów rzeźbiarskich. Znajdowały się one daleko za miastem. Praca nasza polegała na rzeźbieniu posągów ryby z gatunku sumiastych. Za mej pamięci wykuliśmy ich około 140 000. Rano płynęliśmy do pracy, śpiewając pieśni, z których najlepiej zapamiętałem jedną, zaczynającą się od słów "Hej swoboda, hej swoboda do rzeźbienia sił nam doda". Po pracy wracaliśmy do naszych pomieszczeń; przed kolacją zaś, którą należało spożywać pod wodą, przybywał codziennie lektor i wygłaszał prelekcję oświatową o swobodach podwodnych; chętni mogli zapisywać się do klubu kontemplatorów pletwistości. Kończąc prelekcję, lektor pytał zawsze, czy ktoś z nas nie stracił aby ochoty do rzeźbienia? Nikt się jakoś nie zgłaszał, więc i ja tego nie czyniłem. Zresztą rozmieszczone na sali szeptacze oświadczały, że mamy zamiar rzeźbić bardzo długo, i to możliwie podwodnie.

Pewnego dnia kierownictwo nasze jęło okazywać oznaki niezwykłego podniecenia, a przy obiedzie dowiedzieliśmy się, że obok naszych pracowni przepłynie dziś Wielki Rybon Wodnik Ermezyneusz, który wyprawia się na wcielanie baldurzej mętoci. Jakoż od południa pływaliśmy na baczność w oczekiwaniu wysokiego przybycia. Padał deszcz i było okropnie zimno, tak że wszyscyśmy drżeli. Szeptacze umieszczone na pływających bojach donosiły, że dygoczymy z entuzjazmu. Orszak Wielkiego Rybona na siedmiuset łodziach mijał nas niemal do zmierzchu. Znajdując się dość blisko, miałem okazję ujrzeć samego Rybona, który, ku memu zdumieniu, w najmniejszej mierze nie przypominał ryby. Był to najzwyczajniejszy z pozorów, tyle że bardzo sędziwy Pintyjczyk, o członkach okrutnie pokręconych. Ośmiu magnatów odzianych w łuskę szkarłatną i złotą podtrzymywało dostojne barki władcy, gdy wynurzał głowę z wody dla zaczerpnięcia tchu; kaszlał przy tym tak przeraźliwie, aż mi się go żal zrobiło. Na cześć tego wydarzenia wyrzeźbiliśmy nadprogramowo osiemset posągów ryby sumiastej.

W jakiś tydzień potem poczułem po raz pierwszy paskudne łupanie w rękach; towarzysze wyjaśnili mi, że mam po prostu początki reumatyzmu, stanowiącego największą plagę Pinty. Nie wolno wszakże mówić, że to choroba, a tylko, że są to objawy bezideowego oporu organizmu przeciw zrybieniu. Teraz dopiero stał się dla mnie jasny powykręcany wygląd Pintyjczyków.

Co tydzień prowadzono nas na widowiska, przedstawiające perspektywy życia podwodnego. Ratowałem się zamykaniem oczu, bo na samo wspomnienie wody niedobrze mi się robiło.

Tak toczyło się moje życie przez pięć miesięcy. Pod koniec tego okresu zaprzyjaźniłem się z pewnym starszym Pinty jeżykiem, profesorem uniwersytetu, który rzeźbił swobodnie za to, że na jednym z wykładów oświadczył, iż woda jest wprawdzie niezbędna do życia, ale w innym sensie, niż się to powszechnie praktykuje. W rozmowach, które prowadziliśmy przeważnie nocą, profesor opowiadał mi o dawnych dziejach Pinty. Planetę nękały niegdyś gorące wiatry i uczeni dowiedli, że zagraża jej przemiana w szczerą pustynię. W związku z tym opracowali wielki plan irygacyjny. Aby go wprowadzić w życie, założono odpowiednie instytucje i nadrzędne biura; potem atoli, gdy zbudowano już sieć kanałów i zbiorników, biura nie chciały się rozwiązać i działały dalej, nawadniając Pintę coraz bardziej. Doszło do tego - mówił profesor - że to, co miało być opanowane, opanowało nas. Nikt jednak nie chciał przyznać się do tego, następnym zaś, koniecznym już krokiem było stwierdzenie, że jest właśnie tak,

jak być powinno.

Pewnego dnia poczęły krążyć wśród nas wieści budzące niesłychane podniecenie. Mówiono, że oczekiwana jest jakaś nadzwyczajna zmiana, niektórzy wzięli się nawet twierdzić, iż sam Wielki Rybon zarządzi w najbliższym czasie suszę mieszkalną, a może i ogólną. Kierownictwo przystąpiło niezwłocznie do zwalczania defetyzmu ustalając nowe projekty rybich posągów. Mimo to uparta plotka powracała w wersjach coraz bardziej fantastycznych; słyszałem na własne uszy, jak ktoś mówił, że widziano Wielkiego Rybona Ermezyneusza z ręcznikiem.

Jednej nocy dobiegły nas odgłosy hucznej zabawy z budynku kierownictwa. Wypłynawszy na dwór, ujrzałem, jak kierownik wraz z lektorem wylewają z okien wodę wielkimi kubłami, głośno przy tym śpiewając. Skoro świt pojawił się lektor; siedział w uszczelnionej łódce i oświadczył nam, że wszystko, co działo się dotąd, było nieporozumieniem; że opracowuje się nowe, prawdziwie swobodne, a nie takie jak dotąd sposoby bytowania, a na razie odwołane zostaje bulgotanie jako męczące, szkodliwe dla zdrowia i całkiem zbyteczne. Podczas swej przemowy wsadzał nogę do wody i cofał ją otrząsając się z obrzydzenia. Na zakończenie dodał, że był zawszeJ)rzeciwny wodzie i jak mało kto rozumiał, że nic z niej dobrego nie wyniknie. Przez dwa dni nie chodziliśmy do pracy. Potem skierowano nas do rzeźb już gotowych; odbijaliśmy im płetwy i przytwierdzaliśmy zamiast nich nogi. Lektor zaczął nas uczyć nowej piosenki "Raduje się dusza, kiedy wkoło susza", i mówiono już powszechnie, że lada dzień przywiezione zostaną pompy, które usuną wodę.

Jednakże po drugiej zwrotce lektor został wezwany do miasta i więcej nie wrócił. Nazajutrz rano przyplłynął do nas kierownik, ledwo co wynurzając głowę z wody i rozdał wszystkim nieprzemakalne gazety. Donosiły one, że bulgotanie, jako szkodliwe dla zdrowia i nie pomagające w baldurzeniu, zostaje raz na zawsze unieważnione, co nie oznacza jednak bynajmniej powrotu na zgubną suszę. Wprost przeciwnie. Aby przyklimować badubiny i spętwić baldury, ustanawia się na całej planecie oddychanie wyłącznie podwodne, jako w wyższym stopniu rybnie, przy czym mając na uwadze dobro publiczne wprowadza się je stopniowo, to znaczy - każdego dnia wszyscy obywatele winni przebywać pod wodą o małą chwilę dłużej niż dnia poprzedniego. Żeby im to ułatwić, powszechny poziom wody podwyższano się do jedenastu głębarków (miara długości).

Rzeczywiście pod wieczór podwyższano poziom wody tak, żeśmy musieli spać stojąc. Ponieważ szeptacze zostały zalane, umocowano je cośkolwiek wyżej, a nowy lektor zabrał się do prowadzenia ćwiczeń w oddychaniu podwodnym. Po kilku dniach miłościwym rozporządzeniem Ermezyneusza na prośbę wszystkich obywateli poziom wody podwyższano jeszcze o pół głębarka. Wszyscyśmy zaczęli chodzić wyłącznie na palcach. Osoby niższe po krótkim czasie gdzieś znikły. Ponieważ oddychanie podwodne nikomu się nie udawało, wytworzyła się praktyka nieznacznego wyskakiwania nad powierzchnię dla chwycenia tchu. Po jakimś miesiącu szło to już bardzo sprawnie, przy czym wszyscy udawali, że ani sami tego nie robią, ani drugich tak postępujących nie widzą. Prasa donosiła o olbrzymich postępach oddychania podwodnego w całym państwie, a do swobodnego rzeźbienia przybywało sporo osób, które bulgotały po staremu.

Wszystko to razem wzięte tyle mi sprawiało kłopotu, że zdecydowałem się w końcu opuścić tereny swobodnego rzeźbienia. Po pracy ukryłem się za podmurówką nowego pomnika (zapomniałem powiedzieć, żeśmy odbijali przytwierdzone rybom nogi i na powrót umieszczali tam płetwy), a kiedy zrobiło się pusto, popłynąłem do miasta. Miałem pod tym względem znaczną przewagę nad Pintyjczykami, którzy wbrew temu, czego można by się spodziewać, pływać w ogóle nie umieją.

Utrudziłem się mocno, ale w końcu udało mi się dopłynąć na lotnisko. Rakiety mojej pilnowało czterech Rybitów.

Na szczęście ktoś zaczął w pobliżu bulgotać i Rybici rzucili się w tę stronę. Zerwałem wtedy pieczęcie, wskoczyłem do środka i wystartowałem z największą możliwą szybkością. Po kwadransie planeta majaczyła już w dali jako drobna gwiazdka, na której tak wiele było mi dane przeżyć. Położyłem się do łóżka,

rozkoszując się jego suchością; niestety, miły ten wypoczynek nie trwał długo. Ze snu wyrwało mnie naraz energiczne dobijanie się do klapy. Jeszcze na pół senny zawołałem: "Niech żyją swobody pentyjskie!" Okrzyk ten drogo miał mnie kosztować, albowiem do rakiety dobijał się patrol Anielicji Pantyjskiej. Próżne były moje tłumaczenia, że źle mnie dosłyszano, że wołałem "swobody pantyjskie", a nie "pentyjskie". Rakieta została opieczetowana i wzięta na hol. Trzebaż było jeszcze biedy, że miałem w spiżarce drugą puszkę szprotów, którą napocząłem był przed udaniem się na spoczynek. Ujrzawszy otwartą puszkę, Anielici zadrżeli, a potem z triumfalnym okrzykiem sporządzili protokół. Niebawem wylądowaliśmy na planecie. Kiedy wsadzono mnie do oczekującego wehikułu, odetchnąłem, widząc, że planeta, jak daleko sięgnąć okiem, pozbawiona jest wody. Gdy moja eskorta zdjęła skafandry, przekonałem się, że mam do czynienia z istotami ogromnie przypominającymi ludzi, wszyscy jednak mieli twarze tak do siebie podobne, jakby byli bliźniakami i do tego uśmiechniętymi.

Choć zapadał zmrok, w mieście jasno było od świateł jak w dzień. Zauważyłem, że kto tylko z przechodniów spojrział na mnie, kiwał z przerażeniem czy politowaniem głową, a jakaś Pantyjka zemdląła nawet na mój widok, co było o tyle osobliwe, że nie przestała się i wtedy uśmiechać.

Po niejakiem czasie wydało mi się, że wszyscy mieszkańcy planety noszą rodzaj masek, nie byłem tego wszakże całkiem pewny. Podróż zakończyła się przed gmachem, na którym widniał napis: WOLNA ANIELICJA P A N T Y. Noc spędziłem samotnie w małym pokoiku, nasłuchując odgłosów wielkomięjskiego życia, dobiegających przez okno. Nazajutrz koło południa odczytano mi w gabinecie przesłuchującego akt oskarżenia. Zarzucano mi występki angelofagii z poduszczenia pentyjskiego oraz zbrodnię różnicowania osobistego. Dowody rzeczowe, świadczące przeciw mnie, były dwa: jeden stanowiła otwarta puszka szprotów, drugi zaś - lusterko, w którym pozwolił mi się przejrzeć przesłuchujący.

Był to Anielita IV Rangi w białym jak śnieg mundurze z brylantowymi błyskawicami przez pierś; wyjaśnił mi, że za występki, które popełniłem, grozi mi dożywotnia identyfikacja, po czym dodał, iż sąd daje mi cztery dni czasu na przygotowanie obrony. Z wyznaczonym z urzędu obrońcą mogłem się widzieć na każde żądanie.

Mając już pewne doświadczenie w przedmiocie metod postępowania sądowego w tych okolicach Galaktyki, chciałem się przede wszystkim dowiedzieć, na czym polega grożąca mi kara. Jakoż spełniając moje życzenie zaprowadzono mnie do niewielkiej sali bursztynowego koloru, w której czekał już obrońca, Anielita II Rangi. Okazał się on nader wyrozumiały i nie szczędził mi wyjaśnień.

- Wiedz, obcy przybyszu - rzekł - że posiadliśmy najwyższe zrozumienie źródeł wszystkich trosk, cierpień i nieszczęść, którym podlegają istoty gromadzące się w społeczeństwa. Źródło to mieści się w jednostce, w jej prywatnej osobowości. Społeczeństwo, zbiorowość jest wieczna, podlega prawom trwałym i niewzruszonym, tak jak im podlegają potężne słońca i gwiazdy. Jednostkę cechuje chwiejność, niepewność decyzji, przypadkowość postępów, a nade wszystko - przemijalność. Otóż my zlikwidowaliśmy całkowicie indywidualizm na rzecz społeczności.

Na naszej planecie istnieje wyłącznie zbiorowość - nie ma na niej jednostek.

- Jakże - rzekłem osłupiały - to, co mówisz, musi być tylko figurą retoryczną, bo przecież ty jesteś jednostką...

- W najmniejszej mierze - odparł z niezmiennym uśmiechem. - Zauważyłeś chyba, że nie różnimy się od siebie twarzami. Tak samo też osiągnęliśmy najwyższą zamienialność społeczną.

- Nie rozumiem. Co to znaczy?

- Zaraz ci to wyjawię. W każdej chwili istnieje w społeczeństwie określona ilość funkcji, czyli, jak mówimy, etatów. Są to etaty zawodowe, więc władców, ogrodników, techników, lekarzy; są też etaty rodzinne - ojców, braci, sióstr i

tak dalej. Otóż na każdym takim etacie Pantyjczyk działa tylko przez jedną dobę. O północy odbywa się w całym naszym państwie jeden ruch, jak gdyby, mówiąc obrazowo, wszyscy czynili jeden krok - i w taki sposób osobnik, który wczoraj był ogrodnikiem, dziś zostaje inżynierem, wczorajszy budowniczy staje się sędzią, władca - nauczycielem, i tak dalej. Podobnie ma się rzecz z rodzinami. Każda składa się z krewnych, więc ojca, matki, dzieci - tylko te funkcje pozostają niezmiennie - istoty, pełniące je, zamieniają się każdej doby. Tak więc niezmienna pozostaje jedynie zbiorowość, uważasz? Wciąż tyle samo jest rodziców i dzieci, lekarzy i pielęgniarek, i tak we wszystkich dziedzinach życia. Potężny organizm naszego państwa trwa od wieków niewzruszony i niezmienny, trwalszy od skały, a trwałość tę zawdzięcza temu, że raz na zawsze skończyliśmy z efemeryczną naturą jednostkowego istnienia. Dlatego to mówiłem, że jesteśmy zamienialni w sposób doskonały. Przekonasz się o tym niebawem, gdyż po północy, jeżeli mnie wezwiesz, przyjdę do ciebie w nowej postaci...

- Ale po co to wszystko? - spytałem. - I w jakiż sposób każdy z was potrafi pełnić wszystkie zawody? Czyż możesz być nie tylko ogrodnikiem, sędzią lub obrońcą, ale także dowolnie ojcem lub matką?

- Wielu zawodów - odparł mój uśmiechnięty rozmówca - nie potrafię dobrze wykonywać. Zważ wszelako, że pełnienie zawodu trwa tylko jeden dzień. Ponadto w każdym społeczeństwie starego typu olbrzymia większość osobników wykonuje swe funkcje zawodowe kiepsko, a przecież machina społeczna nie przestaje przez to działać. Ktoś, kto jest kiepskim ogrodnikiem, zaprzepaści u was ogród, kiepski władca całe państwo doprowadzi do ruiny, gdyż obaj mają na to czas, który u nas nie jest im dany. Ponadto w zwykłym społeczeństwie oprócz nieumiejętności fachowych daje się odczuć ujemny, a nawet zgubny wpływ prywatnych dążeń jednostek. Zawiść, pycha, egoizm, próżność, żądza władzy wywierają żrące działanie na życie ogółu. Ten zły wpływ u nas nie istnieje. W samej rzeczy nie istnieje u nas dążenie do zrobienia kariery, nikt też nie kieruje się interesem osobistym, ponieważ interesu osobistego nie ma u nas wcale. Nie mogę uczynić dziś na tym etacie żadnego kroku w nadziei, że mi się ten krok jutro opłaci, ponieważ jutro będę już kimś innym, a nie wiem dziś, kim będę jutro.

Zamiana etatów następuje o północy na zasadzie powszechnego losowania, na które nie ma wpływu żaden z żyjących. Czy zaczynasz pojmować głęboką mądrość naszego ustroju?

- A uczucia? - spytałem. - Możnaż kochać co dzień innego człowieka? I jakże ma się sprawa z ojcostwem i macierzyństwem?

- Pewnym zakłóceniem naszego systemu - odparł mój rozmówca - była dawniej okoliczność, kiedy osobnik na etacie ojca rodził dziecko, albowiem może się zdarzyć, że etat ojca obejmuje akurat kobieta w dniu swego rozwiązania. Wszelako trudność ta znikła, odkąd określone zostało w ustawach, że ojciec może rodzić dzieci. Co się zaś tyczy uczuć, to zaspokoiliśmy dwa, z pozoru wykluczające się głody, żyjące w każdej istocie rozumnej: głód trwałości i głód zmiany. Przywiązanie, szacunek, miłość były niegdyś podgryzane nieustannym niepokojem, obawą przed utraceniem istoty ukochanej. Ten lęk myśmy przewyciężyli. W samej rzeczy jakiegokolwiek wstrząsy, choroby, kataklizmy nawiedzałyby nasze życie - każdy z nas ma zawsze ojca, matkę, małżonka i dzieci. Nie dość na tym. To, co niezmiennie, zaczyna po jakimś czasie nużyć, bez względu na to, czy zaznajemy dobra, czy zła. Zarazem jednak pragniemy trwałości losu, chcemy uchronić go przed zakłóceniami i tragediami. Chcemy istnieć, a nie przemijać, zmieniać się, a trwać, być wszystkim, nie ryzykując nic. Te sprzeczności, zdawałoby się, nie do pogodzenia, są u nas rzeczywistością. Znieśliśmy nawet antagonizm szczytów społecznych i nizin, bo każdy każdego dnia może być najwyższym władcą, bo nie ma takiego rodzaju życia, takiej sfery działania, która byłaby przed kimkolwiek zamknięta.

Teraz mogę ci wyjawić, co oznacza wiszący nad tobą wymiar kary. Oznacza on największe nieszczęście, jakie może spotkać Pantyjczyka; a mianowicie wyjęcie spod losowania powszechnego i przejście na samotny byt indywidualny. Identyfikacja jest to akt zmiążdżenia osobnika poprzez obciążenie go okrutnym i

bezlitosnym brzemieniem dożywotniej indywidualności. Musisz się śpieszyć, jeśli chcesz zadać mi jeszcze jakieś pytania, bo dochodzi północ; wnet będę musiał cię opuścić.

- Jak radzicie sobie ze śmiercią? - spytałem.

Ze zmarszczonym czołem i uśmiechniętą twarzą obrońca przypatrywał mi się, jakby próbując zrozumieć to słowo. Na koniec rzekł:

- Śmierć? To przestarzałe pojęcie. Nie ma śmierci tam, gdzie nie ma jednostek. Nikt u nas nie umiera.

- Ależ to nonsens, w który sam nie wierzysz! - zawołałem. - Przecież każda żywa istota musi umrzeć, więc i ty!

- Ja, to znaczy kto? - przerwał mi z uśmiechem. Nastąpiła chwila milczenia.

- Ty, ty sam!

- Kimże jestem, ja sam, poza dzisiejszym etatem? Nazwiskiem, imieniem? Nie mam go. Twarzą? Dzięki zabiegom biologicznym, jakie przeprowadzono u nas przed wiekami, twarz moja jest taka sama, jak u wszystkich. Etemem? Ten zmieni się o północy. Cóż pozostaje? Nic. Zastanów się, co oznacza śmierć? Jest to utrata, tragiczna przez swą nieodwracalność. Kogo traci ten, kto umiera? Siebie? Nie, bo umarły to nie istniejący, a ten, kto nie istnieje, nie może niczego utracić. Śmierć jest sprawą żywych - jest utratą kogoś bliskiego.

Otóż my nigdy nie tracimy naszych bliskich. Mówiłem ci to już przecież. Każda rodzina jest u nas wieczna. Śmierć u nas - to byłaby kompresja etatu. Ustawy nie dopuszczają jej. Muszę już iść. Żegnaj, obcy przybyszu.

- Zaczekaj! - zawołałem, widząc, że mój obrońca wstaje. - Istnieją u was przecież, muszą istnieć różnice, choćbyście byli podobni do siebie jak bliźnięta. Musicie mieć starców, którzy...

- Nie. Nie prowadzimy rachuby ilości etatów, które ktoś piastował. Nie prowadzimy także rachuby lat astronomicznych. Nikt z nas nie wie, jak długo żyje. Etyaty są bezweczne. Czas na mnie.

Z tymi słowy odszedł. Zostałem sam. Po chwili drzwi uchyliły się i obrońca pojawił się znowu. Miał na sobie ten sam liliowy mundur ze złotymi błyskawicami Anielity II Rangi i ten sam uśmiech.

- Jestem na twoje usługi, oskarżony przybyszu z innej gwiazdy - powiedział i wydało mi się, że to jest nowy głos, którego jeszcze nie słyszałem.

- A przecież jest u was coś niezmiennego: etat oskarżonego! - zawołałem.

- Mylisz się. Dotyczy to jedynie obcych. Nie możemy dopuścić, aby ukrywając się za etatem, ktoś usiłował rozsądzić od wewnątrz nasze państwo.

- Czy znasz się na prawie? - spytałem.

- Znają się na nim księgi ustaw. Zresztą proces twój odbędzie się dopiero pojutrze. Etem będzie cię bronił...

- Zrzekam się obrony.

- Pragniesz bronić się sam?

- Nie. Chcę zostać skazany.

- Jesteś lekkomyślny - powiedział obrońca z uśmiechem. - Pamiętaj o tym, że nie będziesz jednostką wśród jednostek, lecz w pustce większej od próżni

międzyplanetarnej...

- Czy słyszałeś kiedy o Mistrzu Oh? - spytałem. Sam nie wiem, skąd wzięło mi się to pytanie.

- Tak. To on jest twórcą naszego państwa. Stworzył nim największe swoje dzieło - Protezę Wieczności.

Tak zakończyła się nasza rozmowa. Po trzech dniach, stawiony przed sąd, skazany zostałem na dożywotnią identyfikację. Odwieziono mnie na lotnisko, z którego niezwłocznie wystartowałem, biorąc kurs na Ziemię. Nie wiem, czy przyjdzie mi jeszcze kiedyś ochota spotkania Dobroczyńcy Kosmosu.

PODRÓŻ CZTERNASTA

19 VIII

Dałem raketę do remontu. Ostatnim razem zanadto zbliżyłem się do słońca; cały lakier zszedł. Kierownik warsztatów radzi pomalować na zielono. Jeszcze nie wiem. Przed południem porządkuję w mojej kolekcji. W futrze najpiękniejszego gargauna pełno moli. Nasypałem naftaliny. Po południu - u Tarantogi. Śpiewaliśmy pieśni marsjańskie. Pożyczyłem od niego Dwa lata wśród kurdli i osmiotów Brizarda. Czytałem do świtu - szalenie ciekawe.

20 VIII

Zgodziłem się na zielony kolor. Kierownik namawia mnie do kupna mózgu elektrycznego. Ma do zbycia porządny, mało używany, o mocy dwunastu parowych dusz. Powiada, że bez mózgu nikt się teraz nie rusza nawet poza księżyc. Waham się, bo duży wydatek. Całe popołudnie czytam Brizarda - porywająca lektura. Aż wstyd, że nigdy nie widziałem kurdla.

21 VIII

Rano w warsztatach. Kierownik pokazał mi mózg. Rzeczywiście przyzwoity, z baterią dowcipów na pięć lat. Podobno rozwiązuje to problem nudy kosmicznej. - Prześmiej pan najdłuższą podróż - powiedział kierownik. Po wyczerpaniu baterii można dać nową. Kazałem pomalować stery na czerwono. Co do mózgu - jeszcze się namyślię. Do północy czytałem Brizarda. Czy nie zapolować samemu?

22 VIII

Kupiłem w końcu ten mózg. Kazałem wbudować go w ścianę. Kierownik dodał mi do niego poduszkę elektryczną. Musiał porządnie ze mnie zedrzeć! Powiada, że zaoszczędzę masę pieniędzy. Rzecz w tym, że przyjeżdżając na planety trzeba zwykle płacić cło wjazdowe. Otóż, mając mózg, można zostawić raketę w próżni, krążącą swobodnie wokół planety na kształt sztucznego księżycyca i nie płacąc ani

grosza cła przejść resztę drogi pieszo. Mózg oblicza astronomiczne elementy ruchu i podaje, gdzie trzeba potem szukać rakiety. Skończyłem Brizarda. Jestem już niemal zdecydowany jechać na Enteropię.

23 VIII

Odebrałem raketę z warsztatów. Bardzo ładnie wygląda, tylko stery nie grają kolorystycznie z resztą. Przemalowałem sam na żółto. Dużo lepiej. Pożyczyłem od Tarantogi tom Encyklopedii kosmicznej na E i odpisałem artykuł o Enteropii. Oto on:

ENTEROPIA.6 planeta podwójnego (czerwonego i niebieskiego) słońca w gwiazdozbiornie Cielca. 8 kontynentów, 2 oceany, 167 wulkanów czynnych, 1 ściorg (ob. ŚCIORG). Dość 20godzinna, klimat ciepły, warunki dla życia poza okresem strumów (ob. STRUM) dobre.

Mieszkańcy:

a) rasa panująca - Ardrycy, istoty rozumne wieloprzejrzystościennym symetrycznym nieparzystoosobowym (3), należące do typu Siliconoidea, rząd Połytheria, klasa Luminifera. Jak wszystkie Połytheria (ob.) Ardrycy podlegają okresowemu rozszczepieniu dowolnemu. Zakładają rodziny typu kulistego. System rządów: gradarchia II B, z wprowadzonym przed 340 laty Transmem Penitencjarnym (ob. TRANSM). Przemysł wysoko rozwinięty, głównie środków spożywczych. Podstawowe pozycje eksportu: manubne fosforyzowane, sercoklety i laupanie w kilkudziesięciu gatunkach, żebrowane i wolno opalane. Stolica: Tentotam, 1 400 000 mieszk. Gł. ośrodki przemysłowe: Haupr, Drur, Arbagellar. Kultura luminama z oznakami zgrzybienia, wskutek przesiąknięcia relikwiami cywilizacji wytrzebionych przez Ardrytów Fytogozjan (Grzyboniów, ob.). W ostatnich latach coraz większą rolę odgrywają w życiu kult. społecznym sepulki (ob.). Wierzenia: religia panująca - Monodrumizm. Według M. świat stworzony został przez Mnogiego Drumę pod postacią Płatwi Pierwotnej, z kt. narodziły się słońca i planety z Enteropią na czele. Ardrycy budują świątynie platerowe stałe i składane. Poza Mondrumizmem działa kilkanaście sekt, z tych najważniejsza - Plakotraków. Plakotrakowie (ob.) nie wierzą w nic poza Emfezą (ob. EMFEZA), a i to nie wszyscy. Sztuka: taniec (toczny), radioakty, sepulenie, dramat bajonowy. Architektura: w zw. ze strumami - wdmuchowotłoczona, gmaziowa. Gmaziowce kielichowe osiągają 130 pięter. Na szt. księżycach przeważnie budowle owicellarne (jajowate).

b) Zwierzęta. Fauna typu silikonoidalnego, gt. przedstawiciele: mierzawce, dendrogi autumalne, asmaty, kurdle i ośmioły skowytne. Dla człowieka zwierzęta te są niejadalne, z wyjątkiem kurdli (tylko okolica zardu, ob. ZARD). Fauna wodna: stanowi surowiec przemysłu spożywczego. Gł. przedstawiciele: inf emalia (piekluchy), bliskwy, pszywięta i śmędzie. Osobliwością Enteropii jest ściorg z jego fauną i florą mętlinową. W naszej Galaktyce jedynym jego odpowiednikiem są ały w bezpiecznych ulasach Jupitera. Całe życie Enteropii rozwinęło się, jak wykazują badania szkoły prof. Tarantogi, w obrębie ściorgu ze złożymi balbazyłowymi. W zw. z masową zabudową lądową i wodną należy liczyć się z rychłym zniknięciem resztek ściorgu. Podpadając pod 6 paragr. ustawy o ochr. zabytków planetarnych (Codex Galacticus t. MDDDVII, vol. XXXII, pag. 4670), ściorg podlega ochronie; w szczególności wzbronione jest tapanie go w ciemno.

W artykule tym wszystko jest dla mnie jasne, z wyjątkiem wzmianek o sepulkach, transmie i strumie. Niestety, ostatni tom Encyklopedii, który się ukazał, kończy się na haśle "SOS GRZYBOWY", więc o transmie ani o strumie nie ma nic. Poszedłem jednak do Tarantogi, żeby zajrzeć pod "SEPULKI". Znalazłem krótką informację:

SEPULKI - odgrywający doniosłą rolę element cywilizacji Ardrytów (ob.) z planety Enteropii (ob.) Ob. SEPULKARIA.

Poszedłem za tą radą i przeczytałem:

SEPULKARIA - obiekty służące do sepulenia (ob.).

Poszukałem pod "Sepulenie", było tam:

SEPULENIE - czynność Ardrytów (ob.) z planety Enteropii (ob.). Ob. SEPULKI.

Krąg się zamknął, nie było już gdzie szukać. Nigdy w życiu nie zdradziłbym się z podobną ignorancją przed profesorem, a nikogo innego spytać nie mogę. Kości rzucone - postanowiłem jechać na Enteropię. Wyruszam za trzy dni.

28 VIII

Wystartowałem o drugiej, tuż po obiedzie. Żadnych książek nie wziąłem, bo miałem ten nowy mózg. Aż do księżyca słuchałem kawałów, które opowiadał. Porządnie się uśmiełem. Potem kolacja, i spać.

29 VIII

Zdaje się, że się przeziębilem w cieniu księżyca, bo wciąż kicham. Wziąłem aspirynę. Na kursie - trzy rakiety towarowe z Plutona; maszynista telegrafował, żebym dał wolną drogę. Pytałem, jaki ładunek, myśląc, że Bóg wie co, a to zwyczajne bryndasy. Zaraz potem pośpieszna z Marsa, okropnie zapchana. Widziałem przez okna, wszyscy leżeli na sobie jak śledzie. Machaliśmy chusteczkami, aż nic już nie było widać. Do kolacji słuchałem kawałów. Doskonałe, tylko wciąż kicham.

30 VIII

Zwiększyłem szybkość. Mózg działa bez zarzutu. Przepona zaczęła mnie trochę boleć, więc wyłączyłem go na dwie godziny i włączyłem poduszkę elektryczną. Dobrze mi zrobiło. Po drugiej złapałem ten sygnał radiowy, który Popów wypuścił z Ziemi w 1896 roku. Już porządnie odsądziłem się od Ziemi.

31 VIII

Słońce już ledwo widoczne. Przed obiadem - przechadzka dookoła rakiety, żeby się nie zasiedzieć. Do wieczora - kawały. Większość z brodą. Zdaje się, że kierownik warsztatów dał mózgowi do czytania stare pisma humorystyczne, a z wierzchu przyrzucił parę garści nowych dowcipów. Zapomniałem o kartoflach, które wstawiłem do stosu atomowego, i spaliły się co do jednego.

32 VIII

Wskutek szybkości czas się dłuży - powinien być październik, a tu wciąż sierpień i sierpień. W oknie zaczęło coś migać. Myślałem, że to już Droga Mleczna, ale to tylko lakier się łuszczy. Przeklęta tandeta! Mam na kursie stację obsługi. Namyślam się, czy warto się zatrzymać.

33 VIII

Wciąż sierpień. Po obiedzie doleciałem do stacji. Stoi na małej, pustej całkiem planecie. Budynek stacyjny jak wymarły, dokoła ani żywego ducha. Wziąłem kubek i poszedłem się rozejrzeć, czy nie mają tu jakiegoś lakieru. Chodziłem tak, aż usłyszałem sapanie. Patrzę, a za budynkiem stacji stoi kilka maszyn parowych i rozmawia. Zbliżyłem się.

Jedna mówi:

- Przecież to jasne, że chmury są formą życia pozagrobowego maszyn parowych. Otóż zasadnicze pytanie brzmi: co było pierwiej - maszyny parowe czy para wodna? Ja twierdzę, że para!

- Milcz, przeklęty idealisto! - zasyczała druga. Usiłowałem spytać o lakier, ale tak syczały i gwizdały, że nie słyszałem własnego głosu. Wpisałem się do książki zażaleń i poleciałem dalej.

34 VIII

Czy ten sierpień nigdy się nie skończy? Przed południem czyściłem raketę. Okropne nudy. Zaraz do środka, do mózgu. Zamiast śmiechu, napadło mnie takie ziewanie, że byłem w strachu o szczęki. Po prawej burcie mała planeta. Mijając ją, zauważyłem jakieś białe kropki. Przez lornetę zobaczyłem, że to tabliczki z napisem: "Nie wychylać się". Z mózgiem coś nie w porządku - połyka pointy.

1 X

Musiałem zatrzymać się na Stoglonie, bo paliwo mi się kończyło. Hamując, z rozpędu przeleciałem przez cały wrzesień.

Na lotnisku duży ruch. Zostawiłem raketę w próżni, żeby nie płacić cła, wziąłem tylko blaszanki na paliwo. Przedtem obliczyłem z pomocą mózgu koordynaty ruchu po elipsie. Po godzinie wróciłem z pełnymi bańkami, a rakiety ani śladu. Oczywiście wziąłem się do szukania. Myślałem, że ducha wyzionę; przeszedłem jednak coś cztery tysiące kilometrów pieszo. Oczywiście - mózg się pomylił. Będę ja musiał porozmawiać z tym kierownikiem warsztatów, kiedy wrócę.

2 X

Szybkość tak wielka, że gwiazdy zamieniły się w ogniste smużki, jakby ktoś milionem palących się papierosów ruszał w ciemnym pokoju. Mózg się jąka. Co najgorsze, złamał się wyłącznik i nie mogę go zamknąć. Gada bez przerwy.

3 X

Mózg wyczerpuje się, jak można sądzić, bo sylabizuje. Powoli przywykam do tego. Ile się da, siedzę na zewnątrz, tylko nogi wpuszczam do rakiety, bo porządnie zimno.

7 X

O wpół do dwunastej dotarłem do stacji wjazdowej Enteropii. Rakieta bardzo rozgrzana hamowaniem. Przycumowałem ją na wierzchnim pokładzie sztucznego księżyca (mieści się tam stacja) i poszedłem do środka, by wypełnić formalności. W spiralnym korytarzu ruch nieprawdopodobny; przybysze z najdalszych stron Galaktyki chodzili, falowali i skakali od okienka do okienka. Ustawiłem się w ogonku za jasnoniebieskim Algolaninem, który uprzejmym gestem ostrzegł mnie, bym nie zbliżał się za bardzo do jego tylnego organu elektrycznego. Za mną stanął zaraz jakiś młody Satumijczyk w beżowym szlaulonie. Trzema ssawkami przytrzymywał walizki, a czwartą ocierał pot. Rzeczywiście bardzo gorąco. Kiedy nadeszła moja kolej, urzędnik, przejrzysty jak kryształ Ardryta, przyjrzał mi się badawczo, pozieleniał (Ardryci wyrażają uczucia zmianą zabarwienia; zieleń jest odpowiednikiem uśmiechu) i spytał:

- Pan kręgowiec?

- Tak.

- Dwudyszny?

- Nie. Tylko powietrzem...

- Dziękuję, doskonale. Wikt mieszany?

- Tak.

- Z jakiej planety, wolno wiedzieć?

- Z Ziemi.

- A to proszę do następnego okienka.

Podszedłem tam i zajrzawszy do środka przekonałem się, że mam przed sobą tego samego urzędnika, a właściwie jego dalszą część. Wertował dużą księgę.

- A! mam - powiedział - Ziemia... hm, bardzo dobrze. Pan jako turysta czy handlowiec?

- Jako turysta.

- To proszę pozwolić...

Wypełniał jedną przylgą formularz, a drugą równocześnie podał mi inny do podpisu, mówiąc:

- Strum rozpoczyna się za tydzień. Zechce pan w związku z tym udać się do pokoju 116, tam jest nasza wytwórnia rezerw, która się panem zajmie. Potem proszę przejść do pokoju 67, to jest kabina farmaceutyczna. Dostanie pan tam pigułki

Eufruglium, które musi pan zażywać co trzy godziny, by zneutralizować szkodliwe dla pańskiego organizmu działanie radioaktywności naszej planety... Czy życzy pan sobie świecić podczas pobytu na Enteropii?

- Dziękuję, nie.

- Jak pan uważa. Proszę, oto pańskie papiery. Pan jest ssakiem, prawda?

- Tak.

- A więc pomyślnego ssania!

Pożegnawszy uprzejmego urzędnika, poszedłem, jak mi polecił, do pracowni rezerw. W jajowatym pomieszczeniu było, jak mi się wydało na pierwszy rzut oka, pusto. Stało tam kilka aparatów elektrycznych; pod sufitem brylantowymi promieniami lśniła kryształowa lampa. Okazało się jednakże, że to był Ardryta, urzędujący technik, który zaraz opuścił się z sufitu. Siadłem na fotelu, on zaś, zabawiając mnie rozmową, dokonał pomiarów i rzekł:

- Dziękuję, pański paczek przekażemy wszystkim wylęgarniom na planecie. Gdyby się panu cokolwiek zdarzyło podczas strumu, może pan być całkiem spokojny... natychmiast dostawimy rezerwę!

Nie całkiem rozumiałem, co miał na myśli, przyuczyłem się wszakże podczas wieloletnich wędrówek do dyskrecji, nic bowiem przykrzejszego dla mieszkańców jakiegokolwiek planety, niż tłumaczyć obcemu miejscowe nawyki i obyczaje. W gabinecie farmaceutycznym znów ustawiłem się ogonku, który posuwał się jednak nader szybko, tak że rychło fertyczna Ardrytka w fajansowej umbrze dała mi porcję pigułek. Jeszcze mała formalność słowa (wolałem nie zawierać już mózgowi elektrycznemu) i z wizą w ręku wróciłem na pokład.

Tuż za księżycem rozpoczyna się kosmotrasa, porządnie utrzymana, z wielkimi napisami reklamowymi po obu stronach. Litery ich oddalone są od siebie o parę tysięcy kilometrów, ale przy normalnej szybkości jazdy składa się słowa tak szybko, jakby sieje miało wydrukowane w gazecie. Jakiś czas odczytywałem je z zainteresowaniem - więc:

"Myśliwi! używajcie tylko pasty do polowania MLINI", albo: "Chcesz być wesoły - poluj na ośmioły!" - itp.

O siódmej wieczorem wylądowałem na lotnisku totentamskim. Niebieskie słońce tylko co zaszło. W promieniach czerwonego, które było jeszcze dość wysoko, wszystko wokół wyglądało jak objęte pożarem - niezwykle widok. Obok mojej rakiety majestatycznie opuścił się krążownik galaktyczny. Pod jego ogonem rozgrywały się wzruszające sceny powitania. Rozdzieleni na długie miesiące Ardryci padali sobie w objęcia z okrzykami zachwytu, po czym wszyscy, ojcowie, matki, dzieci, łącząc się czułym uściskiem w kule, błyskające rumieńcami w promieniach słonecznych, pośpieszali ku wyjściu. I ja ruszyłem w ślad za toczącymi się harmonijnie rodzinami; tuż za portem lotniczym znajduje się przystanek glambusa, do którego wsiadłem. Pojazd ten, ozdobiony z wierzchu złotymi zgłoskami układającymi się w napis: "PASTA RAUS SAMA POLUJE!", przedstawia coś w rodzaju sera szwajcarskiego; w dużych jego dziurach mieszczą się dorośli, w małych zaś dzieciarnia. Ledwom wsiadł, glambus ruszył z miejsca. Otoczony jego krystalicznym mięszem, nad sobą, pod sobą i dokoła widziałem sympatycznie przeświecające, różnobarwne sylwetki współpasażerów. Sięgnąłem do kieszeni po tomik Baedeckera, bo był już najwyższy czas zaznajomić się z jego wskazówkami, jakież jednak było moje zaskoczenie, kiedy zobaczyłem, że trzymam tom traktujący o planecie Enteuropii, odległej od miejsca, w którym się znajdowałem, o trzy miliony lat świetlnych. Potrzebny mi Baedeker został w domu. Przeklęte roztargnienie!

Nie było innej rady, jak pójść do totentamskiej ekspozytury znanego biura astronautycznego GALAX. Uprzejmy konduktor, gdy się do niego zwrócił, zatrzymał wnet glambus, wskazał mi przylgą ogromny gmach i na pożegnanie zmienił się

serdecznie na twarzy.

Przez chwilę stałem bez ruchu, rozkoszując się niezwykłym widokiem, jaki przedstawiało pogrążające się w zmierzchu śródmieście. Czerwone słońce właśnie zaszło pod horyzont. Ardrycy nie stosują sztucznego oświetlenia, bo sami świecą. Aleje Mrudr, na których stałem, pełne były migotania przechodniów; jakaś młoda Ardrytka, mijając mnie, zalotnie rozbliżyła wewnątrz swego abażurka w złociste prążki, lecz poznawszy widać cudzoziemca, skromnie przygasła.

Bliskie i dalekie domy iskrzyły się i rozświetlały od powracających mieszkańców; w głębi świątyni jarzyły się rozmodlone tłumy; dzieci tęczywały z szaloną szybkością po klatkach schodowych - było to wszystko tak urocze, tak barwne, że nie chciało mi się wprost odejść, musiałem jednak, w obawie że zamkną mi Galax.

W westybule biura podróży skierowano mnie na dwudzieste trzecie piętro, do wydziału prowincjonalnego. Niestety, jest to smutna, lecz nieodwracalna prawda: Ziemia znajduje się w mało znanej, zabitej deskami głuszy Kosmosu!

Urzędniczka, do której się zwróciłem w wydziale obsługi turystycznej, zamglona ze zmieszania powiedziała mi, że Galax nie dysponuje niestety przewodnikami ani planem zwiedzania dla Ziemi, gdyż bywają oni na Enteropii nie częściej niż raz w stuleciu. Zaproponowała mi więc poradnik dla Jowiszów z uwagi na wspólne pochodzenie słoneczne Jowisza i Ziemi. Wziąłem go dla braku czegoś lepszego i poprosiłem o zarezerwowanie pokoju w hotelu Kosmonia. Zapisałem się też na polowanie organizowane przez Galax, po czym wyszedłem na miasto. Byłem o tyle w niezręcznym położeniu, że sam nie świeciłem, toteż napotkawszy na skrzyżowaniu Ardrytę, regulującego ruch, przystanąłem i w jego blasku przejrzałem otrzymany przewodnik. Jak należało oczekiwać, zawierał informacje o tym, gdzie można się zaopatrzyć w przetwory metanowe, co trzeba robić z mackami na przyjęciach oficjalnych itp. Rzuciłem go więc do kosza na śmieci, zatrzymałem przejeżdżający eboret i kazałem się wieźć do dzielnicy gmaziowców. Te wspaniałe, kielichowate budowle połyskiwały z dala różnokolorowymi światełkami Ardrytów oddających się życiu rodzinnemu, a w biurach prześlicznie falowały świetlne naszyjniki urzędników.

Oddaliwszy eboret, jakiś czas spacerowałem pieszo; gdy podziwiałem piętrzący się nad placem gmaziowców Zarząd Zup, wyszło z niego dwu wyższych funkcjonariuszy, których poznać można po intensywnym blasku i czerwonych grzebieniach wokół abażuru. Przystanęli blisko i doleciała mnie ich rozmowa:

- Rozmaz obrębień już nie obowiązuje? - mówił jeden, wysoki, cały w orderach. Drugi pojaśniał na to i odparł:

- Nie. Kierownik powiada, że nie wykonamy programu, a to wszystko przez Grudrufsa. Nie pozostaje nic innego, mówi kierownik, jak przemienić go.

- Grudrufsa?

- No.

Pierwszy zgasił, tylko orderzy świeciły mu dalej różnokolorowymi wianuszkami, i zniżając głos rzekł:

- Będzie się pęził, biedak.

- Niech się pęzi, i tak mu nie pomoże. Porządku inaczej nie będzie. Nie po to transmutuje się facetów od lat, żeby więcej było sepulek!

Zaintrygowany zbliżyłem się mimowiednie do obu Ardrytów, lecz oddalili się w milczeniu. Dziwna rzecz, iż dopiero po tym wydarzeniu jęło obijać mi się coraz częściej o uszy słowo "sepulki". W miarę jak łaknąć zanurzenia się w nocnym życiu metropolii kroczyłem chodnikami, z głębi przetaczających się tłumów dobiegał mnie ów zagadkowy wyraz, wypowiedany to zduszonym szeptem, to wykrzykiwany namiętnie; można go było odczytać na kulach ogłoszeniowych, które

obwieszczają aukcje i przetargi rzadkich sepulcjantów i w ognistych reklamach neonowych, proponujących nabycie modnych sepulkadów. Próżno medytowałem, co by to być mogło; na koniec, gdy koło północy odświeżałem się szklanką kurdlej śmietanki w barze na osiemdziesiątym piętrze domu towarowego, a pieśniarka ardrycka jąła wykonywać przebój "Sepulko moja mała", ciekawość ma wzrosła do tego stopnia, że spytałem przechodzącego kelnera, gdzie mógłbym nabyć sepulkę.

- Naprzeciw - odpowiedział machinalnie, inkasując rachunek. Potem spojrział na mnie uważnie i pociemniał trochę. - Pan jest sam? - spytał.

- Tak. A co?

- Ach, nic. Niestety, nie mam drobnych. Zrezygnowałem z reszty i windą zjechałem na dół. Rzeczywiście, na wprost ujrzałem olbrzymią reklamę sepulek, pchnąłem więc szklane drzwi i znalazłem się we wnętrzu pustego o tej porze magazynu. Przystąpiłem do lady i z udaną flegmą poprosiłem o sepulkę.

- Do jakiego sepulkarium? - spytał sprzedawca, opuszczając się ze swego wieszaka.

- No, do jakiego... do zwyczajnego - odparłem.

- Jak to do zwyczajnego? - zdziwił się. - Prowadzimy tylko sepulki z odświstem...

- No więc poproszę o jedną...

- A gdzie ma pan kacież?

- E, mhm, nie mam przy sobie...

- No więc jak ją pan weźmie bez żony? - powiedział sprzedawca, patrząc na mnie badawczo. Mętniał powoli.

- Nie mam żony - wyrwało mi się nieopatrznie.

- Pan... nie ma... żony...? - wybełkotał szerniały sprzedawca, patrząc na mnie z przerażeniem - i pan chce sepulkę... ? Bez żony... ?

Drżał na całym ciele. Jak zmyty uciekłem na ulicę, złapałem wolny eboret i wściekły kazałem się wieźć do jakiegoś nocnego lokalu. Okazał się nim Myrgindragg. Gdy wszedłem, orkiestra przestała właśnie grać. Zwiślało tu chyba ponad trzysta osób. Rozglądając się za wolnym miejscem, szedłem przez ciżbę, gdy wtem ktoś mnie zawołał; z radością dostrzegłem znajomą twarz, był to pewien komiwojażer, którego poznałem kiedyś na Autropii. Wisiał z żoną i córką. Przedstawiłem się paniom i jałem bawić rozmową dobrze już podochocone towarzystwo, które co jakiś czas wstawało, żeby przy dźwiękach melodii tanecznej potoczyć się po parkiecie. Zachęcany gorąco przez małżonkę znajomego, odważyłem się w końcu puścić w tany; jakoż objawszy się mocno, we czworo potoczyliśmy się przy ognistym mambrinie. Prawdę mówiąc, potłukłem się trochę, robiłem jednak dobrą minę do złej gry i udawałem, że jestem zachwycony. Gdyśmy wracali do stolika, zatrzymałem w przejściu mego znajomego i spytałem go na ucho o sepulki.

- Co proszę? - nie dosłyszał mnie. Powtórzyłem pytanie, dodając, że chciałbym nabyć sepulkę. Mówiłem widać zbyt głośno - wisiący najbliżej odwracali się, patrząc na mnie ze zmętniałymi twarzami, a znajomy Ardryta złożył przylgi ze strachu.

- Na miłość Drumy, panie Tichy - przecież pan jest sam!

- No to co z tego - wypaliłem już nieco poirytowany - czy dlatego nie mogę zobaczyć sepulki?

Słowa te padły w powstałą nagle ciszę. Żona znajomego spadła zemdlona na

podłogę, on rzucił się ku niej, a najbliżsi Ardrycy pofalowali ku mnie zdradzając zabarwieniem wrogie zamiary; w tym momencie pojawiło się trzech kelnerów, którzy wzięli mnie za kark i wyrzucili na ulicę.

Byłem po prostu wściekły. Zatrzymałem eboret i kazałem się wieźć do hotelu. Przez całą noc oka nie zmrzyłem, tak mnie coś uwierało i gryzło; dopiero o świcie przekonałem się, iż, nie otrzymawszy bliższych danych z Galaxu, służba hotelowa nauczona doświadczeniem z gośćmi, którzy przepalają materace do gołej siatki, posłała mi azbestem. Niemiłe wydarzenia poprzedniego dnia przestały mnie w świetle ranka absorbować. Z radością powitałem przedstawiciela Galaxu, który o dziesiątej przybył po mnie eboretą pełną wników, kubłów pasty do polowania i całego arsenału broni myśliwskiej.

- Nigdy pan nie polował na kurdle? - upewnił się mój przewodnik, gdy wehikuł z wielką szybkością przesmykał ulicami Totentamu.

- Nie. Może zechce mnie pan poinstruować... ? - powiedziałem z uśmiechem.

Do zachowania całkowitej flegmy uprawniało mnie wieloletnie doświadczenie wypraw na najgrubszego zwierza Galaktyki.

- Jestem na pana usługi - odparł grzeczny przewodnik.

Był to szczupły Ardryta szklistej karnacji, bez abażuru, spowity w ciemnogramatową tkaninę - takiego odzienia jeszcze na planecie nie widziałem. Gdy mu to powiedziałem, wyjaśnił, że jest to strój myśliwski, niezbędny przy podchodzeniu zwierza; to, co brałem za materię, było specjalną substancją, którą powleka się ciało. Krótko mówiąc - ubranie natryskowe, wygodne, praktyczne i, co najważniejsze, całkowicie zaciemniające naturalne światło Ardrytów, mogące spłoszyć kurdla.

Przewodnik wydobyl z teczki zadrukowany arkusz i podał mi do przestudiowania; zachowałem go w mych papierach. Oto on:

POLOWANIE NA KURDLE

Instrukcja dla cudzoziemców

Kurdle jako zwierzyzna łowna stawia najwyższe wymagania tak walorom osobistym, jak i sprzętowi myśliwego. Ponieważ zwierzę to w trakcie ewolucji przysposobiło się do opadów meteorytowych, wytworzywszy pancerz nie do przebicia, na kurdle poluje się od środka.

Do polowania na kurdle niezbędne są:

- A) w fazie wstępnej - pasta podkładowa, sos grzybowy, szczypiorek, sól i pieprz;
- B) w fazie właściwej - miotełka ryżowa, bomba zegarowa.

I. Przygotowanie na stanowisku.

Na kurdle poluje się z przynętą. Myśliwy, natarłszy się wprzód pastą podkładową, kuca w brudzie ściorgu, po czym towarzysze posypują go z wierzchu drobno pokrajanym szczypiorkiem i przyprawiają do smaku.

II. W tej pozycji należy oczekiwać kurdla. Gdy zwierz zbliży się, trzeba, zachowując spokój, chwycić oburącz bombę zegarową trzymaną między kolanami.

Głodny kurdel łyka zwykle od razu. Jeżeli kurdel nie chce brać, można go dla zachęty delikatnie poklepać po języku. Gdy grozi pudło, niektórzy radzą dodatkowo się posolić, jest to jednak krok nader ryzykowny, gdyż kurdel może kichnąć. Mało który myśliwy przeżył kichnięcie kurdla.

III. Kurdel, który wziął, oblizuje się i odchodzi. Po połknięciu myśliwy niezwłocznie przy stępuje do fazy czynnej, tj. za pomocą miotełki otrzepuje z siebie szczypiorek i przyprawy, aby pasta mogła swobodnie rozwinąć swe działanie przeciw szczające, przy czym nastawia bombę zegarową i oddala się możliwie szybko w stronę przeciwną tej, z której przybył.

IV. Opuszczając kurdla, należy uważać, by spaść na ręce i nogi i nie potłuc się.

Uwagi. Używanie przypraw ostrych jest wzbronione. Również wzbronione jest podkładanie kurdlom bomb zegarowych nastawionych i posypanych szczypiorkiem. Postępowanie takie jest ścigane i karane jako kłusownictwo.

Na granicy rezerwatu łowieckiego oczekiwał nas już zarządzający, Wauwr, w otoczeniu lśniącej jak kryształ w słońcu rodziny. Okazał się on nader serdeczny i gościnny; zaproszeni na poczęstunek, spędziliśmy w jego miłym domostwie kilka godzin, przysłuchując się historiom z życia kurdli i wspomnieniom łowieckim Wauwra i jego synów. Naraz wpadł zdyszany goniec, donosząc, że wytropione kurdle nagonka ruszyła w ostęp.

- Kurdle - wyjaśnił mi zarządca - trzeba najpierw dobrze przegonić, żeby zgłodniały!

Namaszczony pastą, z bombą i przyprawami ruszyłem w towarzystwie Wauwra i przewodnika w głąb ściorgu. Droga zginęła rychło w nieprzejrzanym gąszczu. Posuwaliśmy się z trudem, od czasu do czasu omijając tropy kurdli, podobne do dołów pięciometrowej średnicy. Marsz trwał dość długo. Wtem ziemia zadrżała i przewodnik stanął, dając nam przylgą znak milczenia. Dał się słyszeć grom jakby szalejącej za horyzontem burzy.

- Słyszysz pan? - szepnął przewodnik.

- Słyszę. To kurdel?

- Tak. Bobczy.

Posuwaliśmy się teraz wolniej i ostrożniej. Łoskot ucichł i ściorg pograżył się w milczeniu. Nareszcie poprzez gąszcz zamajaczyła rozległa polana. Na jej skraju towarzysze wyszukali dobre stanowisko, przygotowali mnie i sprawdziwszy, że mam w pogotowiu miotełkę i bombę, odeszli na palcach, zalecając mi cierpliwość. Jakiś czas panowała cisza przerywana tylko kłaskaniem ośmiołów; nogi dobrze mi już ścierpły, gdy grunt zadygotał. Ujrzałem jakiś ruch w dali - wierzchołki drzew na krańcu polany pochyliły się i runęły, znacząc drogę zwierza. Musiała to być kapitalna sztuka. Jakoż wnet kurdel wyjrzał na polanę, przestąpił powalone pnie i ruszył przed siebie. Kołysząc się majestatycznie, ciągnął w moją stronę, wężąc głośno. Oburącz chwyciłem uszatką bombę i czekałem z zimną krwią. Kurdel stanął w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów ode mnie i oblizał się. W jego przejrzystym wnętrzu wyraźnie widziałem resztki wielu myśliwych, którym się nie powiodło.

Jakiś czas kurdel namyślał się. Obawiałem się, że już odejdzie, gdy podszedł i skosztował mnie. Posłyszałem głucho mlaśnięcie i straciłem grunt pod nogami.

Wziął! - dobra nasza! - pomyślałem. W środku kurdla nie było znów tak ciemno, jak mi się to w pierwszej chwili wydało. Oporządziwszy się, podniosłem ciężką bombę zegarową i wziąłem się do nastawiania jej, gdy dobiegło mnie czyjeś chrząknięcie. Podniosłem głowę i zaskoczony ujrzałem przed sobą obcego Ardrytę, jak ja pochylonego nad bombą. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- Co pan tu robi? - spytałem.

- Poluję na kurdla - odparł.
- Ja też - rzekłem - ale bardzo proszę sobie nie przeszkadzać. Pan był tu pierwszy.
- Nic podobnego - odparł - pan jest cudzoziemcem.
- Co z tego - odrzekłem - zachowam moją bombę na drugi raz. Proszę, niech się pan nie krępuje moją osobą.
- Nigdy w świecie! - zawołał. - Pan jest naszym gościem.
- Przede wszystkim jestem myśliwym.
- A ja przede wszystkim - gospodarzem, i nie pozwolę, by z mego powodu miał się pan wyrzec tego kurdla! Bardzo pana proszę pośpieszyć się, bo pasta zaczyna już działać.

W samej rzeczy kurdel stawał się niespokojny; nawet tutaj dochodziło jego potężne sapanie, jakby kilkudziesięciu naraz lokomotyw. Widząc, że nie przekonam spotkanego Ardryty, nastawiłem bombę i czekałem na nowego towarzysza, który wszakże prosił, bym szedł pierwszy. Niebawem opuściliśmy kurdla. Spadając z wysokości dwu pięter, wytknąłem sobie lekko kostkę. Kurdel, któremu wyraźnie ulżyło, pognął w ostęp i łamał tam drzewa z okropnym hałasem. Naraz dał się słyszeć przeraźliwy grzmot i wszystko ucichło.

- Leży! Moje serdeczne gratulacje! - wykrzyknął myśliwy, ściskając mi serdecznie dłoń. W tym momencie zbliżyli się przewodnik i zarządca rezerwatu.

Ponieważ zapadał zmrok, trzeba się było śpieszyć z powrotem; zarządzający obiecał mi własnoręcznie wypchać kurdla i przesłać go na Ziemię najbliższym frachtowcem raketowym.

5 XI

Przez cztery dni nie zapisałem ani słowa, taki byłem zajęty. Co dzień rano - faceci z Komisji Współpracy Kulturalnej z Kosmosem, muzea, wystawy, radioakty, a po południu wizyty, przyjęcia oficjalne i przemówienia. Jestem już porządnie zmęczony. Delegat K W K z K, który się mną opiekuje, powiedział mi wczoraj, że nadchodzi strum, ale zapomniałem go spytać, co to znaczy. Mam się widzieć z profesorem Zazulem, wybitnym uczonym ardryckim, tylko nie wiem jeszcze kiedy.

6 XI

Rano w hotelu zbudził mnie okropny huk. Wyskoczyłem z łóżka i zobaczyłem wznoszące się nad miastem słupy dymu i ognia. Zatelefonowałem do informacji hotelowej, pytając, co się dzieje.

- Nic takiego - odparła telefonistka - proszę się nie niepokoić, to tylko strum.
- Strum?
- No tak, strumień meteorów, który nawiedza nas co dziesięć miesięcy.
- Toż to okropne! - zawołałem - może trzeba zejść do schronu?!

- O, żaden schron nie wytrzyma trafienia meteoru. Ale pan ma przecież rezerwę, jak każdy obywatel, może się pan nie lękać.

- Co za rezerwę? - spytałem, lecz telefonistka odłożyła już słuchawkę. Ubrałem się szybko i wyszedłem na miasto. Ruch na ulicach był zupełnie normalny; przechodnie śpieszyli za swymi sprawami, dygnitarze płonący różnokolorowymi orderami jechali do biurowców, a w ogródkach igrały dzieci, świecąc i śpiewając. Wybuchy zrzędyły po jakimś czasie i tylko z dali donosił się miarowy huk. Pomyślałem, że strum jest widać zjawiskiem niezbyt szkodliwym, skoro nikt tu sobie nic z niego nie robi, i pojechałem, jakem to miał w planie, do ogrodu zoologicznego.

Oprowadzał mnie sam dyrektor, szczupły, nerwowy Ardryta o pięknym połysku. Zoo totentamskie jest bardzo porządnie utrzymane; dyrektor powiedział mi z dumą, że posiada zestawy zwierząt z najodleglejszych stron Galaktyki, w tym także zwierzynę ziemską. Wzruszony, chciałem ją zobaczyć.

- Teraz to niestety niemożliwe - odparł dyrektor, a na moje pytające spojrzenie dodał:

- Pora snu. Mieliśmy, wie pan, duże kłopoty z aklimatyzacją i byłem w strachu, że jednej sztuki nie uda się nam już utrzymać przy życiu, lecz na szczęście dieta witaminizowana, którą opracowali nasi uczeni, dała świetne rezultaty.

- Ach tak, a jakie to właściwie zwierzęta?

- Muchy. Czy lubi pan kurdle?

Patrzył na mnie szczególnym, oczekującym wzrokiem, tak że odparłem, starając się nadać głosowi brzmienie niekłamane entuzjazmu:

- O, bardzo lubię, to szalenie miłe stworzenia! Rozjaśnił się.

- To dobrze. Pójdziemy do nich, ale pierwszej przeproszę pana na chwilę.

Wrócił zaraz owinięty liną i zaprowadził mnie do kurdziej zagrody, otoczonej dziewięćdziesięciometrowym murem. Otworzywszy drzwi przepuścił mnie pierwszego.

- Może pan iść spokojnie - rzekł - moje kurdle są zupełnie obłaskawione.

Ujrzałem się na sztucznym ściorgowisku; pasło się tu ze sześć czy siedem kurdli; same ładne sztuki, mierzące koło trzech hektarów. Największa na głos dyrektora zbliżyła się ku nam i nadstawiła ogon. Dyrektor wspiął się nań, wzywając mnie gestem - poszedłem więc w jego ślady. Gdy stromizna stała się zbyt wielka, dyrektor rozwinął linę i dał mi jeden koniec do przepasania. Związani, wspinaliśmy się koło dwu godzin. Na szczycie kurdla dyrektor usiadł w milczeniu, wyraźnie wzruszony. Nie odzywałem się, pragnąc uszanować jego uczucia. Po jakimś czasie rzekł:

- Czy nie piękny stąd widok?

W samej rzeczy mieliśmy pod sobą cały niemal Totentam z jego wieżami, świątyniami i gmaziowcami; po ulicach ciągnęli przechodnie, mali jak mrówki.

- Pan jest przywiązany do kurdli? - spytałem cicho, widząc, jak dyrektor łagodnie gładzi grzbiet zwierzęcia w pobliżu szczytu.

- Kocham je - rzekł prosto i spojrzał mi w twarz. -

Kurdle są przecież kolebką naszej cywilizacji - dodał. Po namyśle podjął:

- Ongiś, przed tysiącleciami, nie mieliśmy ani miast, ani wspaniałych domów, ani techniki, ani rezerw... Wtedy te łagodne, potężne istoty wypiaستowały nas,

ratowały w ciężkich okresach strumów. Bez kurdli ani jeden Ardryta nie dożyłby dzisiejszych pięknych dni i oto teraz poluje się na nie, niszczy je i tępi - cóż za potworna, czarna niewdzięczność!

Nie śmiałem mu przerwać. Po chwili, przewyciężając wzruszenie, mówił dalej:

- Jakże nienawidzę tych myśliwych, którzy nikczemnością odpłacają za dobro! Widział pan zapewne reklamy polowania, nieprawdaż?

- Owszem.

Do głębi zawstydzony słowami dyrektora, drżałem na myśl, że mógłby się dowiedzieć o moim niedawnym postępku; własnymi rękami upolowałem przecież kurdla. Pragnąc odwieść dyrektora od tego tak drażliwego punktu rozmowy spytałem:

- Czy naprawdę tak wiele im zawdzięczacie? Nie wiedziałem o tym...

- Jak to - pan nie wiedział? Ależ kurdle wynosiły nas w swym łonie przez dwadzieścia tysięcy lat! Żyjąc w nich, osłonięci ich potężnymi pancierzami przed gradem zabójczych meteorów, przodkowie nasi stali się tym, czym my dzisiaj jesteśmy; istotami rozumnymi, pięknymi, świecącymi w ciemnościach. Pan o tym nie wiedział?

- Jestem cudzoziemcem... - szepnąłem, przysięgając sobie w duchu nigdy już nie podnieść ręki na kurdla.

- No tak, tak... - odparł nie słuchając mnie dyrektor i wstał. - Musimy niestety wracać: spieszno mi do obowiązków...

Z ogrodu zoologicznego pojechałem eboretem do Galaxu, gdzie miano mi odłożyć bilety na przedstawienie popołudniowe.

W śródmieściu dały się znów słyszeć gromowe wybuchy, coraz głośniejsze i gęstsze. Nad dachami wzbijały się łyskające ogniem słupy dymu. Widząc, że nikt z przechodniów nie zwraca na to najmniejszej uwagi, milczałem, aż eboret stanął przed Galaxem. Dyżurny urzędnik spytał, jak mi się podobało zoo.

- Owszem, bardzo ładne - odparłem - ale... na miły Bóg!

Cały Galax podskoczył. Dwa biurowce naprzeciw, widziane przez okno jak na dłoni, rozleciały się od trafienia meteorem. Straciłem słuch i zatoczyłem się na ścianę.

- To nic - rzekł urzędnik. - Pobywszy u nas dłużej, przywyknie pan jakoś. Proszę, oto pana bile...

Nie dokończył. Zabłysło, zagrzmiało, podniósł się kurz, a gdy opadł, zamiast mego rozmówcy ujrzałem olbrzymią dziurę w podłodze. Stałem jak skamieniały. Nie minęła i minuta, a kilku Ardrytów w kombinezonach załatało dziurę i przytoczyło niski wózek z dużym pakunkiem. Gdy go rozwinięto, oczom moim ukazał się urzędnik z biletem w ręku. Strącił z siebie resztę opakowania i sadowiac się na wieszaku, rzekł:

- Tu są pańskie bilety. Mówiłem panu, że to nic takiego. Każdy z nas w razie potrzeby zostaje zdublowany. Pan się dziwi naszemu spokojowi? No, to trwa przecież już trzydzieści tysięcy lat, przyzwyczailiśmy się... Jeżeli by pan chciał zjeść obiad, restauracja Galaxu już jest czynna. Na dole, na lewo od wejścia.

- Dziękuję, nie mam apetytu - odparłem i chwając się nieznacznie na nogach wyszedłem wśród nieustających wybuchów i grzmotów. Rychło zdjął mnie gniew.

Nie zobacz tu trwogi Ziemianina! - pomyślałem i spojrzawszy na zegarek kazałem

się wieźć do teatru.

Po drodze meteor roztrzaskał eboret, wsiadłem więc do innego. Na miejscu, gdzie wczoraj stał budynek teatralny, piętrzyło się dymiące gruzowisko.

- Czy zwracacie pieniądze za bilety? - spytałem stojącego na ulicy kasjera.

- Bynajmniej. Przedstawienie rozpocznie się normalnie.

- Jak to normalnie? przecież meteor...

- Jest jeszcze dwadzieścia minut czasu - wskazał mi kasjer godzinę na swym zegarku.

- Ależ...

- Może będzie pan łaskaw nie zajmować miejsca przy kasie! My chcemy kupić bilety! - zawołało parę osób z ogonka, który uformował się za mną. Wzruszywszy ramionami, odszedłem na bok. Dwie wielkie maszyny ładowały tymczasem gruz i wywoziły go. Po kilku minutach plac był oczyszczony.

- Czy będą grali na wolnym powietrzu? - spytałem jednego z czekających, który wachlował się programem.

- Nic podobnego! przypuszczam, że wszystko odbędzie się jak zawsze - odparł.

Umilkłem, rozgniewany, sądząc, że robi ze mnie durnia. Na plac wjechała wielka cysterna. Wylano z niej smołowatą, świecąca rubinowe maź, która uformowała spory kopiec; natychmiast wetknięto w tę papkowatą, żarem buchającą masę rury i jęto tłoczyć do środka powietrze. Papka zmieniła się w bąbel rosnący z zawrotną szybkością. Po minucie przedstawiał on łudzącą kopię budynku teatralnego, tylko że całkiem miękką, bo chwiejącą się w podmuchach wiatru. Po dalszych pięciu minutach nowo wydęty budynek stwardniał; w tym momencie meteor roztrzaskał część dachu. Dodmuchano więc nowy dach i przez szeroko otwarte podwoje ruszyły do wnętrza potoki widzów. Zajmując miejsce, zauważyłem, że jest ono jeszcze ciepłe, ale to też było jedyne świadectwo niedawnej katastrofy. Spytałem sąsiada, co to była za papka, z której odbudowano teatr, i dowiedziałem się, iż jest to słynna gmaź ardrycka.

Przedstawienie rozpoczęło się z jednoninutowym opóźnieniem. Na dźwięk gongu widownia ściemniała, upodabniając się do rusztu pełnego gasnących węgli, aktorzy za to rozblysnęli wspaniale. Grano sztukę symbolicznohistoryczną i prawdę mówiąc niewiele z niej rozumiałem, tym bardziej iż wiele spraw przedstawiano pantomimami barwnymi. Pierwszy akt toczył się w świątyni; grupa młodych Ardrytek wieńczyła posąg Drumy, śpiewając o swych oblubieńcach.

Nagle pojawił się bursztynowy prałat, który wypędził dziewczyny, z wyjątkiem najpiękniejszej, przejrzystej jak woda źródłana. Prałat zamknął ją wewnątrz posągu. Uwięziona wezwała śpiewem kochanka, który wpadł i zgasił starca. W tym momencie meteor zdruzgotał strop, część dekoracji i amantkę, ale z budki suflerskiej wysunięto natychmiast rezerwę, tak zręcznie, że kto właśnie chrząkał lub zmrużył powieki, niczego w ogóle nie zauważył. W dalszym ciągu kochankowie postanowili założyć rodzinę. Akt kończy się stoczeniem prałata w przepaść.

Gdy kurtyna podniosła się po przerwie, ujrzałem misterną kulę małżonków i potomstwa, bujającą się przy dźwiękach muzyki to w jedną, to w drugą stronę. Zjawił się służący, obwieszczając, że nieznaną dobroczyńca przysłał małżeństwu naręcze sepulek. Jakoż wniesiono na scenę olbrzymią pakę, której otwieraniu przyglądałem się z zapartym tchem. Gdy podnoszono pokrywę, coś uderzyło mnie potężnie w ciemność i straciłem przytomność. Odzyskałem ją na tym samym miejscu. O sepulkach nie było już na scenie mowy, zgaszony prałat uwijał się tam, miotając najokropniejsze klątwy, wśród świecących tragicznie dzieci i rodziców. Złapałem się za głowę - guza nie było.

- Co się ze mną stało? - spytałem szeptem sąsiadkę.
- Proszę? A, meteor pana zabił, ale nic pan nie stracił z przedstawienia, bo ten duet był fatalny. Inna rzecz, że skandal: bo pańską rezerwę musieli posyłać aż do Galaxu - zaszeptała w odpowiedzi uprzejma Ardrytka.
- Po jaką rezerwę? - spytałem, czując że ciemnieje mi w oczach.
- No, po pańską właśnie...
- A gdzie ja jestem?
- Jak to? w teatrze. Czy panu słabo?
- To ja jestem rezerwą?
- No tak.
- A gdzie ten ja, co tu przedtem siedziałem? Siedzący przed nami zaczęli głośno psykać i moja sąsiadka umilkła.
- Jedno słowo, błagam panią - wyszeptałem cicho - gdzie są te... no... wie pani...
- Cicho! Co to jest! Proszę nie przeszkadzać! - wołano coraz głośniej z różnych stron. Pomarańczowy z gniewu sąsiad mój jał wzywać porządkowych. Na pół przytomny wybiegłem z teatru, pierwszym eboretom wróciłem do hotelu i obejrzałem się skrupulatnie w lustrze. Nabierałem już pewnej otuchy, wyglądałem bowiem całkiem jak dawniej, jednak przy dokładniejszej lustracji dokonałem straszliwego odkrycia. Oto koszulę miałem wdzianą na lewą stronę, a guziki pospinane na opak - jawny dowód, że ci, którzy mnie ubierali, zielonego pojęcia nie mieli o ziemskiej bieliźnie. Na domiar wszystkiego ze skarpetki wytrząsałem resztkę pozostawionego w pośpiechu opakowania. Zabrakło mi tchu; wtem zadzwonił telefon...
- Dzwonię do pana już czwarty raz - odezwała się panienka z K W K z K - profesor Zazul chciałby się z panem dziś widzieć.
- Kto? profesor? - powtórzyłem, zbierając z największym wysiłkiem myśli. - Dobrze, a kiedy?
- Kiedy pan sobie życzy, choćby zaraz.
- To jadę do niego natychmiast! - zdecydowałem się nagle - i... i proszę przygotować mi rachunek!
- Pan już wyjeżdża? - zdziwiła się panienka z KWKzK.
- Tak, muszę. Czuję się bardzo nieswój! - wyjaśniłem rzucając słuchawkę na widełki.

Przebrawszy się, zeszedłem na dół. Ostatnie wydarzenia tak na mnie podziałały, że choć w chwili, gdym siadał do eboretu, meteor rozwalił na kawałki gmach hotelowy, nie drgnąwszy nawet wymieniłem adres profesora. Mieszkał on w dzielnicy podmiejskiej, pośród łagodnie srebrzących się wzgórz. Zatrzymałem eboret dość daleko, rad przejąć się po nerwowym napięciu ostatnich godzin. Idąc drogą, zauważyłem niskiego, starszawego Ardrytę, który popychał wolno rodzaj wózka z pokrywą. Pozdrowił mnie grzecznie; odpowiedziałem. Jakaś minutę szliśmy razem. Zza zakrętu wyłonił się żywopłot, okalający dom profesora; w niebo płynęły stamtąd rozwiane kłęby dymu. Ardryta, idący obok mnie, potknął się; wówczas spod pokrywy dał się słyszeć głos:

- Czy już?

- Jeszcze nie - odparł wózkarz.

Zdziwiłem się nieco, lecz nic nie powiedziałem. Gdyśmy się zbliżyli do ogrodzenia, zastanowił mnie ów dym walący z miejsca, w którym można się było spodziewać domostwa profesora. Zwróciłem na to uwagę wózkarza, który skinął głową.

- A tak, meteor spadł, będzie temu kwadrans.

- Co słyszę!!! - zawołałem przerażony - ależ to okropne!

- Zaraz przyjedzie gmaziownica - odparł wózkarz - pod miasto to oni się nigdy tak nie śpieszą, wie pan. Co innego my.

- Czy już? - dał się znowu słyszeć ów skrzeczący głos w głębi wózka.

- Jeszcze nie - powiedział wózkarz i zwrócił się do mnie: - Może będzie pan łaskaw otworzyć mi furtkę? Uczyniłem to machinalnie i spytałem:

- To pan też do profesora... ?

- Tak, przywiozłem rezerwę - odparł wózkarz, biorąc się do podniesienia pokrywy. Z zapartym tchem ujrzałem przewiazaną starannie dużą paczkę. W jednym miejscu papier był naderwany; patrzyło stamtąd żywe oko.

- Pan do mnie... a... a to pan do mnie... - zaskrzeczał starczy głos z wnętrza paczki - ja zaraz... to ja zaraz... niech pan pozwoli do altanki...

- Ta... tak... już lecę... - odparłem. Wózkarz potoczył swoje brzemie dalej, wtedy odwróciłem się, przeskoczyłem płot i ze wszystkich sił pognałem na lotnisko. Po godzinie mknąłem już wśród rozgwieżdżonych przestworzy. Mam nadzieję, że profesor Zazul nie wziął mi tego za złe.

PODRÓŻ OSIEMNASTA

Wyprawa, o jakiej chcę pisać, w skutkach i skali była największym dziełem mego życia. Pojmuję też dobrze, że mało kto da moim słowom wiarę. Jednakowoż, choć wygląda to na paradoks, właśnie niedowiarstwo Czytelników ułatwia mi zadanie. Nie mogę bowiem twierdzić, jakobym zrobił to, co zamierzyłem, doskonale. Prawdę mówiąc, rzecz wyszła raczej kiepsko. Jakkolwiek zaś to nie ja naknociłem, lecz pewni zawistnicy oraz ignoranci, co starali się pokrzyżować moje plany, nie jest mi od tego lżej na duszy.

Tak więc - wyprawa, jaką podjąłem, miała za cel stworzenie Wszechświata. I to nie jakiegoś nowego, osobnego, którego dotychczas nie było. Bynajmniej. Chodziło o ten Wszechświat właśnie, w którym żyjemy. Oświadczenie z pozoru bezsensowne, wariackie wręcz, jak bowiem można stworzyć to, co już istnieje, i do tego jeszcze tak długo i bezapelacyjnie jak Kosmos? Czyżby szło, gotów pomyśleć Czytelnik, o ekstrawagancką hipotezę, twierdzącą, że dotychczas nie było oprócz Ziemi nic i że wszystkie Galaktyki, Słońca, Chmury i Drogi Mleczne były tylko rodzajem fatamorgany? Ale i tak nie jest wcale. Ja bowiem doprawdy stworzyłem wszystko, absolutnie Wszystko - a więc również i Ziemię, i resztę słonecznego systemu, i Metagalaktykę, co byłoby, zapewne, niejakim powodem do chluby, gdyby nie to, że ten mój wytwór ma tyle mankamentów.

Częściowo odnoszą się one do budulca, przede wszystkim jednak do materii ożywionej z człowiekiem na czele. Z nim łączą się moje największe zgrzyoty. Zapewne ci, których wymienię z nazwiska, wmieszali mi się w rzecz i popsuli ją, żadną miarą jednak nie uważam się przez to za bezwinnego. Trzeba było starannie

wszystko zaplanować, dopatrzeć, uwzględnić. Zwłaszcza że o żadnych naprawach i udoskonaleniach nie ma już mowy. Od dwudziestego października zeszłego roku wszystkie, ale to wszystkie błędy konstrukcyjne Universum i wypaczenia natury ludzkiej idą na mój rachunek. Od świadomości tej nie ma ucieczki.

Zacząło się to trzy lata temu, gdy dzięki profesorowi Tarantodze poznałem pewnego fizyka słowiańskiego pochodzenia z Bombaju. Bawił tam jako tak zwany Visiting Profesor. Uczony ów, Solon Razgłaz, od trzydziestu kilku lat zajmował się kosmogonią, czyli tą gałęzią astronomii, która bada pochodzenie i okoliczności powstania Wszechświata.

Zgłębiwszy przedmiot, doszedł do matematycznie ścisłego wniosku, który jego samego kompletnie oszołomił. Jak wiadomo, teorie kosmogogenezy dzieli się na dwa odłamy. Jeden grupuje te, co uznają Wszechświat za trwający wiecznie, czyli wyzbyty początku. Drugi obejmuje teorie, podług których Wszechświat powstał kiedyś, i to sposobem wybuchowym, dzięki eksplozji praatomu. Oba te stanowiska natrafiały zawsze na ogromne trudności. Co do pierwszego, nauka posiada rosnącą liczbę dowodów na to, że Kosmos widzialny liczy sobie kilkanaście miliardów lat bytu. Jeśli coś odznacza się określonym wiekiem, to nic prostszego, jak rachubą wstecz dojść do momentu, w którym się ten wiek od zera rozpoczynał. Ale przecież Kosmos Wieczny takiego "zera", to jest Początku, mieć nie może. Pod naciskiem nowych wiadomości większość uczonych opowiada się więc teraz za Wszechświatem, który powstał był jakieś piętnaście czy osiemnaście miliardów lat temu. Zrazu był pewien twór, zwany Ylemem, Praatomem czy jeszcze inaczej, który eksplodował, i z niego zrodziły się materia wraz z energią, chmury gwiazd, wirujące galaktyki, ciemne i jasne mgławice, pływające w rozrzedzonej gazie pełnym promieniowania. Wszystko to daje się bardzo dokładnie i ładnie wyrachować, byle tylko nie przyszło nikomu do głowy postawić pytania: "A skąd się właściwie wziął ten jakiś Praatom?" Gdyż na to pytanie nie ma odpowiedzi. Istnieją pewne wykręty, owszem, ale żaden uczciwy astronom nie jest z nich zadowolony.

Profesor Razgłaz, nim się wziął do kosmogonii, studiował długo fizykę teoretyczną, a zwłaszcza zjawiska tak zwanych cząstek elementarnych. Gdy Razgłaz przerzucił swe zainteresowania na nowy temat, rychło wyrysował mu się taki obraz: Kosmos naj niewątpliwiej miał Początek. Najwyraźniej w świecie powstał z jednego Praatomu 18,5 miliarda lat temu. Zarazem jednak Praatomu, z jakiego był się wylał, być nie mogło. No, bo któż by go podłożył na pustym miejscu? Na samym początku nie było nic. Gdyby było coś, toby owo coś zaraz zaczęło się, jasna sprawa, rozwijać i cały Kosmos powstałby dużo wcześniej, a biorąc dokładnie rzecz - nieskończenie wcześniej! Niby dlaczego ten jakiś pierwotny Praatom miał sobie trwać i trwać, i trwać w martwocie i bezruchu przez niewiadome eony, ani się ruszając, i co, dlaboga, w jednej chwili miało nim szarpnąć i targnąć, żeby się w coś tak olbrzymiego rozprężył i rozleciał, jak Universum całe?

Zapoznawszy się z teorią S. Razgłaza, nie ustawałem w rozpytywaniu go o okoliczności odkrycia. Problemy takie zawsze mnie pasjonowały, a już trudno chyba o rewelację większą aniżeli tę - kosmogoniczną hipotezę Razgłazową! Profesor, który jest człowiekiem cichym i niesłychanie skromnym, wyjawiał mi, że się po prostu zachowywał myślą w sposób nieprzyzwoity ze stanowiska ortodoksyjnej astronomii. Wszyscy astronomowie wiedzą doskonale, że to atomowe ziarnko, z którego miał Kosmos wyrósć, jest niebywałym kłopotem. Co więc z nim robią? Ano - schodzą mu z drogi. Wymijają tę kwestię, bo taka jest niewygodna. Razgłaz, na odwrót, jej właśnie odważył się poświęcić cały swój wysiłek. W miarę jak budował modele, otoczony gromadą najszybszych celerówkomputerów, coraz wyraźniej widział, że tu jest jakiś niezwykły pies pogrzebany. Miał zrazu nadzieję, że sprzeczność uda mu się z czasem pomniejszyć, a może nawet usunąć.

Tymczasem ona właśnie rosła. Wszystkie fakty przemawiały bowiem za tym, że Kosmos doprawdy powstał z jednego atomu, ale jednocześnie i za tym, że żadnego takiego atomu nie mogło być. Tu się napraszała rzecz oczywista, hipoteza Pana Boga, lecz tę Razgłaz odłożył na bok jako ostateczność. Pamiętam uśmiech, z jakim mówił mi: "Nie należy spychać wszystkiego na Pana Boga. A już astrofizyk

na pewno nie powinien być takim spychaczem..." Rozmyślając przez długie miesiące nad tym dylematem, Razgłaz wspomniiał swoje studia dawniejsze. Spytajcie, jeśli mi nie zawierzycie, byle znajomego fizyka, a powie wam, że pewne zjawiska w najmniejszej skali zachodzą sposobem jakby kredytowym. Mezony, te cząsteczki elementarne, naruszają czasem prawa zachowania, lecz czynią to tak niesłychanie szybko, że go nie naruszają prawie. To, co zakazane prawami fizyki, czynią błyskawicznie, jak gdyby nigdy nic, i zaraz potem znowu poddają się tym prawom. Otóż na jednej ze swoich porannych przechadzek po ogrodzie uniwersyteckim Razgłaz zadał sobie pytanie: a co, jeśliby Kosmos w skali największej zrobił to samo? Jeżeli mezony mogą tak się zachowywać w ułamku sekundy tak drobnym, że cała sekunda jest przy nim wiecznością. Kosmos, ze względu na swe rozmiary, musiałby się w ów zakazany sposób zachowywać odpowiednio d ł u ż e j. Na przykład przez piętnaście miliardów lat...

Powstał tedy, jakkolwiek powstać nie mógł, bo nie miał z czego. Kosmos jest zabronioną fluktuacją. Stanowi on wybryk chwilowy, momentalne odstępstwo od właściwego zachowania, tyle że ta chwila i ten moment mają rozmiary monumentalne. Wszechświat jest takim samym odstępstwem od praw fizyki, jakim bywa w najmniejszej skali mezon! Ogarnięty przeczuciem, że znalazł się na tropie tajemnicy, profesor udał się natychmiast do pracowni i podjął sprawdzające obliczenia, które krok po kroku dowiodły jego racji. Lecz nim jeszcze zdążył je zakończyć, zaświtało mu przeczucie, że rozwiązanie zagadki kosmogonii to najstraszniejsze zagrożenie, jakie można sobie pomyśleć.

Kosmos istnieje bowiem na kredyt. Jest on ze wszystkimi gwiazdozbiorami i galaktykami jednym potwornym zadłużeniem, jest jakby listem zastawnym, jest obligacją, który musi w końcu zostać spłacony. Wszechświat to nielegalna pożyczka, to dług materialnoenergetyczny, jego pozorne "M a" w istocie przedstawia gołe "W i n i e n". Tak więc Kosmos, będąc Wysokiem Bezprawnym, pryśnie jednego pięknego dnia niczym bańka mydlana. Jako anomalia, zapadnie się z powrotem w ten sam Niebyt, z którego wychyłał. Dopiero ten moment będzie przywróceniem Porządku Rzeczy!

To, że on jest taki duży i że tyle zdążyło się już w nim stać, wynika po prostu stąd, że idzie o Wybryk w Największej z możliwych Skali. Razgłaz wziął się niezwłocznie do obliczania, kiedy przyjdzie ten fatalny kres, to znaczy, kiedy mateńa, słońce, gwiazdy, planety, a więc i my z Ziemią, przepadniemy w nicości jak zdmuchnięci. Przekonał się wszakże, że tego przewidzieć nie można. Oczywiście nie można, skoro chodzi o wybryk, to jest odstępstwo od porządku praw! Groza bijąca z tego odkrycia spędziła mu sen z oczu. Po dłuższej walce wewnętrznej, zamiast ogłosić swe prace kosmogoniczne, zaznajomił z nimi wielu najznakomitszych astrofizyków. Uczni ci uznali poprawność jego teorii i wypływających z niej wniosków. Zarazem jednak wyrazili w rozmowach prywatnych pogląd, że ogłoszenie stanu rzeczy wtrąciłoby nasz świat w duchowy chaos i w przerażenie, których skutki mogą cywilizację zrujnować. Któż będzie jeszcze chciał cokolwiek robić, niechby ruszyć małym palcem, z wiedzą, że w każdej sekundzie wszystko może szczeznąć razem z nim samym?

Sprawa stanęła w martwym punkcie. Razgłaz, ten największy odkrywca historii nie tylko ludzkiej, podzielał opinię swych uczonych kolegów. Choć z ciężkim sercem, postanowił teorii swojej nie publikować. Zamiast tego wziął się do poszukiwania, w całym arsenale fizyki, środków, które by niejako wsparły Kosmos, wzmocniły i podtrzymały jego kredytowy byt. Lecz wszystkie jego wysiłki spełżyły na niczym. Nie można bowiem spłacić kosmicznego zadłużenia, bez względu na to, co by się robiło obecnie, skoro ono tkwi nie wewnątrz Universum, lecz u jego Początków - Tam, gdzie Wszechświat został najpotężniejszym, a zarazem najbardziej bezbronnym - Dłużnikiem Nicości.

Właśnie w owym czasie poznałem profesora i spędzałem długie tygodnie na rozmowach, w których zrazu wtajemniczał mnie w sedno swojego odkrycia, potem zaś był mi patnerem poszukiwań ratunku.

Ach, myślałem wracając do hotelu z rozognioną głową i zrozpaczonym sercem, gdybyż to można było choć na ułamek sekundy znaleźć się Tam - 20 miliardów lat

temu - przecież wystarczyłoby umieścić w próżni jeden jedyny atom i z niego, jak z ziarna zasadzonego, mógłby się wylęgnąć Kosmos, już w sposób całkowicie legalny, zgodny z prawami fizyki, z zasadą zachowania materii i energii - lecz jak się Tam dostać?!

Profesor, gdy opowiedziałem mu o tym pomysle, melancholijnie się uśmiechnął i wytłumaczył mi, że ze zwykłego atomu nie mógłby powstać Wszechświat, ponieważ zaródź Kosmosu musiałaby w sobie zawrzeć całą energię tych wszystkich przekształceń i działań, które rozdeły się do metagalaktycznych otchłani. Pojawszy mój błąd, dalej jednak z uporem rozważałem sprawę, aż jednego popołudnia, gdy nacierałem olejkiem nogi spuchnięte od ukąszeń komarów, wspomnieniem zawędrowałem do dawnych lat, kiedy lecąc przez kulistą Gromadę Psów Gończych dla braku lepszego zajęcia czytałem fizykę teoretyczną. W szczególności zaś czytałem podówczas tom poświęcony elementarnym cząsteczkom i przypomniałem sobie hipotezę Feynmana, że istnieją cząsteczki, które się poruszają "pod włos" strumienia czasu. Kiedy się tak porusza elektron, my dostrzegamy go wtedy jako cząstkę o naboju dodatnim (pozytron). Powiedziałem sobie, z nogami w miednicy, a co, gdyby tak wziąć jeden elektron i rozpędzić go, rozpędzić tak, aż zacznie gnać wstecz w czasie coraz szybciej i szybciej - czyby się nie dało nadać mu tak ogromnego impulsu, żeby wyleciał poza początek czasu kosmicznego, w to miejsce kalendarza, w którym jeszcze nic nie było - czyby z tego pozytronu rozpędzonego nie mógł powstać Wszechświat?!

Jakem stał, bosy, z ociekającymi wodą nogami, pobiegłem do profesora. Natychmiast pojął wielkość mej idei i bez jednego zbędnego słowa wziął się do rachunków. Jakoż wyszło z nich, że ta rzecz jest możliwa. Poruszający się bowiem pod prąd czasu elektron, jak wyjawiała rachuba, będzie nabierał coraz większych energii, a gdy wyleci poza Początek Wszechświata, moc nagromadzona w nim rozsadzi go i eksplodując ta cząstka będzie dysponowała dokładnie takim zapasem, że się dzięki niej wyrówna dług. Wszechświat zostanie tedy uratowany od krachu, ponieważ już nie będzie dłużej bytował na kredyt!

Teraz trzeba już było jedynie myśleć o praktycznej stronie przedsięwzięcia, które miało Świat zalegalizować, a więc po prostu stworzyć! Jako człowiek kryształowego charakteru, S. Razgłaz niejednokrotnie podkreślał w rozmowach z prof. Tarantogą, a też ze swymi asystentami i współpracownikami, że koncepcja Kreacji Universum jest moją zasługą i że to mnie w istocie, a nie jemu, przysługuje miano Stwórcy, jak i Zbawiciela Świata. Wspominam o tym nie aby się chełpić, lecz raczej, by chętkę pysznienia się poskromić - ponieważ wszystkie pochwały, wyrazy uznania najwyższego zachwyty, jakich się podówczas w Bombaju nasłuchałem do syta, zawróciły mi, obawiam się, odrobinę w głowie, wskutek czego nie dopilnowałem prac, jak należało. Spocząłem, niestety, na laurach, sądząc w swej naiwności, że najważniejsze już zostało zrobione - myśla - a teraz przychodzi część czysto wykonawcza, którą się inni mogą zajmować.

Fatalny błąd! Razem z prof. Razgłazem ustalaliśmy przec całe lato i znaczną część jesieni parametry, to jest cechy i własności, co się miały wykluczyć z elektronu - kosmicznego ziarna. Może bardziej właściwie należałoby go nazwać sprawczym ładunkiem; strona techniczna bowiem stworzenia świata wyglądała tak, że za działobitnię, biorącą na cel Początek Czasu, wzięliśmy olbrzymi synchrofazotron uniwersytetu, odpowiednio przerobiony. Cała jego moc, skupiona we właściwy sposób, koncentrując się na jednej jedynej cząstce - właśnie owym elektronie sprawczym - miała się wyzwolić dwudziestego października; profesor Razgłaz upierał się przy tym, że to ja, jako autor tej idei, muszę oddać jedyny, światosprawczy wystrzał z Chronoarmaty. Ponieważ zaś nadarzała się tak niesłychana i jedyna w historii okazja, naszą machinę, nasz miotacz miał opuścić nie byle jaki, pierwszy z brzegu elektron, lecz cząstka odpowiednio przerobiona, przekrojona, przefasonowana tak, ażeby powstał z niej Kosmos wielostronnie porządniejszy, znacznie bardziej solidny niż ten, co aktualnie istnieje - a już osobną uwagę poświęciliśmy pośredniemu i późnemu skutkowi Kosmokreacji, jakim miała wszak być Ludzkość!

Zapewne - w jednym elektronie zaprogramować, do jednego elektronu powkładać taką niesamowitą masę sterowniczych i nadzorczych informacji - to nie jest rzecz

łatwa. Wyznaję też, zgodnie z prawdą, że bynajmniej nie sam wszystko robiłem. Podział pracy między mną a prof. Razgłazem wyglądał tak, że ja koncykowałem udoskonalenia i usprawnienia, on zaś tłumaczył je na ścisły język parametrów fizyki, teorii próżni, teorii elektronów, pozytronów i innych licznych tronów; zaprowadziło się też coś w rodzaju wylęgami czy hodowli, w której należycie izolowane spoczywały próbne cząstki, spośród których mieliśmy wybrać dopiero tę najlepiej udaną, tę, z której miał, jak rzekłem, 20 października Wszechświat się narodzić!

Czego też dobrego, a wręcz doskonałego nie projektowałem w owych gorących dniach! Wieleż to nocy zarywałem, ślęcząc nad stertami ksiąg fizycznych, etycznych, zoologicznych, żeby zebrać, ścisnąć w jedno, skoncentrować najcenniejsze informacje, którymi profesor potem od świtu elektron kosmiczną zaródź kształtował! Szło, między innymi, o to, żeby Kosmos rozwijał się harmonijnie, a nie jak dotąd, żeby nim tak nie rzucały wybuchy Supernowych, żeby się energia kwasarów i pulsarów tak bezmyślnie nie marnowała, żeby gwiazdy nie strzelały i nie filowały jak ogarki, co mają knoty zawilglę, żeby mniejsze odległości międzyplanetarne ułatwiały podróżowanie z miejsca na miejsce, a tym samym czyniły z kosmonautyki lepsze narzędzie kontaktów i jednoczenia się istot rozumnych. Na wołowej skórze by nie spisał dalszych usprawnień, jakie zdążyłem zaplanować w krótkim stosunkowo czasie. Były one zresztą rzeczą niekoniecznie najważniejszą, bo chyba nie wymaga z mej strony długich wywodów to, że się na ludzkości skoncentrowałem. Aby ją z kolei polepszyć, zmieniłem zasadę naturalnej ewolucji.

Jak wiadomo, ewolucja to albo masowe zażeranie się silniejszych słabszymi, czyli z o o c y d, albo zmowa słabszych, co się biorą do silniejszych od środka, czyli pasożytnictwo. Moralnie w porządku są tylko rośliny zielone, ponieważ żyją na własny rachunek ze słonecznego konta. Obmyśliłem tedy chloro filizację wszystkiego, co żywe, a w szczególności ustaliłem - człowieka ulistnionego. Ponieważ tym samym opustoszyłem brzuch, przeniósłem tam odpowiednio powiększony układ nerwowy, oczywiście nie robiąc tego wszystkiego bezpośrednio, boż miałem do dyspozycji zaledwie jeden elektron. Ustanowiłem po prostu, porozumiewając się z profesorem, jako fundamentalne prawo ewolucji, co miała zajść w Nowym Niezadłużonym Kosmosie, regułę przyzwoitego postępowania każdego życia względem wszystkich innych. Obmyśliłem też o wiele bardziej estetyczne ciało, subtelniejszą płciowość i wiele innych usprawnień, których nawet nie będę wyliczał, bo mi się serce krwawi przy wspomnianiu tych planów. Dość na tym, że w ostatnich dniach września mieliśmy już gotowe Działo Światostwórcze i jego elektronowy nabój. Trzeba było jeszcze pewnych bardzo skomplikowanych obliczeń, którymi zajął się profesor z asystentami, ponieważ naprowadzanie na cel w czasie (a raczej tuż, tuż poza czasem) przedstawiało operację wymagającą najwyższej precyzji.

Czy nie powinienem był siedzieć na miejscu, bacząc na wszystko jak uwiązany, przez wzgląd na niesamowitą odpowiedzialność, jaka na mnie spoczywała? Cóż, kiedy zapragnąłem odpoczynku... i wyjechałem do małej miejscowości kąpielowej. Wstyd powiedzieć, lecz wyznam jednak: komary dały mi się mocno we znaki, spuchłem i przez to marzyłem wręcz o chłodnych morskich kąpielach. I przez te przeklęte komary właśnie... ale nie mam prawa zwalać na nic i na nikogo własnej przewiny. Przed samym wyjazdem doszło między mną a jednym ze współpracowników profesora do tarć. Właściwie nie był to nawet współpracownik Razgłaza, lecz zwyczajny laborant, tyle że jego rodak, niejaki Alojzy Kupa. Osobnik ów, którego zadaniem była piecza nad przyrządami laboratoryjnymi, ni z tego, ni z owego zażądał, aby na listę Stwórców Świata on też został wciągnięty, bo, mówił, gdyby nie on, toby kriotron nie działał jak należy, a gdyby kriotron nie działał, toby się elektron nie zachował właściwie... itd. Wyśmiałem go oczywiście, on zaś niby to zrezygnował z bezzasadnych uroszczeń, w istocie jednak jał knuć w sekrecie własne plany. Sam nic sensownego zrobić nie mógł, lecz zmówił się z dwoma przygodnymi znajomkami, którzy kręcili się koło bombajskiego Instytutu Badań Jądrowych licząc na to, że znajdą tam ciepłą posadkę. Byli to Niemiec Ast A. Roth oraz pół Anglik, pół Holender Boels E. Bubb.

Jak wykazało przeprowadzone poniewczasie śledztwo, A. Kupa wpuścił ich nocą do

laboratorium, a reszty dokonała opieszałość młodszego asystenta prof. Razgłaza, niejakiego magistra Serpentine'a. Pozostawił on na biurku klucze od kasy pancernej, co ułatwiło intruzom zadanie. Serpentine tłumaczył się potem chorobą, przedstawiał świadectwa lekarskie, lecz cały Instytut wiedział, że ten niedowarzony młokos miał aferę miłosną z pewną mężatką, niejaką Ewą A., i wprost pełzając u jej stóp przy konkurach stracił z oczu obowiązki służbowe. Kupa zaprowadził współpracowników do sali z aparaturą kriotronową, wyjęli z niej pojemnik Dewara, z niego zaś futerał mieszczący bezcenny nabój i dokonali swych niecznych "poprawek" parametrycznych, których skutki każdy może oglądać do woli, jeśli się tylko rozejrzy po tym koszmarnym świecie, w jakim żyjemy. Tłumaczyli się później na wyścigi, twierdząc, że mieli "jak najlepsze intencje" i liczyli też na sławę (!!), zwłaszcza ponieważ było ich t r z e c h.

Też mi T r ó j c a! Jak musieli zeznać pod naciskiem dowodów i w ogniu krzyżowych pytań, podzielili się pracą. Ast A. Roth, ongiś student Getyngi (ale sam Heisenberg wyrzucił go z asystentury za wkładanie zdjęć pornograficznych do spektrografu Astona), "zajął się" fizyczną stroną Stworzenia i uczciwie ją spaprał. To przez niego tak zwane słabe oddziaływania nie zgadzają się z silnymi i nawala symetria praw zachowania. Każdy fizyk w lot chwyci te moje słowa. Tenże Roth, popełniwszy błąd w zwykłym dodawaniu, doprowadził do tego, że nabój elektronu, gdy się go obecnie oblicza, uzyskuje wielkość nieskończoną. Przez tego bałwana nie można też odnaleźć nigdzie kwarków, jakkolwiek z teorii wynika, że powinny być! Nieuk, zapomniał zrobić poprawkę w formule dyspersji! Również i to, że interferujące elektrony w żywe oczy zaprzeczają logice, jest jego "zasługa". I pomyśleć, że dylemat, nad którym Heisenberg łamał sobie głowę przez całe życie, sprokurował mu jego najgorszy i najgłupszy uczeń!

Zresztą dopuścił się on występku jeszcze znacznie cięższego. Mój plan Stworzenia przewidywał reakcje jądrowe, bo wszak bez nich nie byłoby promienistej energii gwiazd, lecz skasowałem pierwiastki grupy uranowej, żeby ludzkość nie mogła wyprodukować bomb atomowych w połowie XX wieku, to jest przedwcześnie. Miała opanować energią nuklearną tylko jako syntezą jąder wodorowych w hel, a ponieważ to jest trudniejsze, odkrycia nie można się było spodziewać przed wiekiem XXI. A. Roth wprowadził jednak uranidy na powrót do projektu. Niestety nie dało mu się udowodnić, że działał powodowany przez agentów pewnego imperialnego wywiadu, co łączyło się z planami militarnej supremacji... ale właściwie i tak należałoby mu się proces z oskarżenia o ludobójstwo, bo gdyby nie on, nie zbombardowano by japońskich miast w II wojnie światowej.

Drugi "specjalista" z tej dobranej trójki, E. Bubb, ukończył kiedyś studia lekarskie, lecz odebrano mu prawo praktyki za liczne wykroczenia. Ten "zajął się" stroną biologiczną i odpowiednio ją "udoskonalił". Co do mnie, rozumowałem następująco: świat jest, jaki jest, a ludzkość zachowuje się, jak się zachowuje, ponieważ wszystko to powstało sposobem przypadkowym, więc byle jakim, z okazji naruszenia praw fundamentalnych. Wystarczy zastanowić się chwilę, aby dojść do wniosku, że przy takich warunkach mogło być nawet jeszcze gorzej! Decydowała przecież loteria - skoro "Stwórca" był fluktuacyjny kaprys nicości, która potwornie i koszmarnie zadłużyła się, rozdymając bez sensu i planu Metagalaktyczną bańkę!

Uznałem wprawdzie, że pewne cechy Kosmosu można pozostawić, przy właściwych retuszach i korekturach, toteż dopracowałem sumiennie, co należało. Lecz co się Człowieka tyczy, a tutaj byłem już skrajnie radykalny. Zastaną paskudę przekreśliłem od jednego zamachu. Wspomniana wyżej liściastość, zastępująca owłosienie ciała, służyłaby urzeczywistnieniu nowej etyki życia, lecz panu Bubbowi ważniejsze wydały się włosy, ponieważ, uważacie, "było mu ich szkoda". Ze to można takie ładne plerezy, bokobrody i inne sierściane zakrętasy z nich układać. Tu - nowa solidarystycznohumanistyczna moralność, a tam - walory, dające się mierzyć tylko fryzjerskim kanonem! Zapewniam was, żebyście się nie poznali, gdyby nie p. Boels E. Bubb, który na powrót wkopiował w elektron z kasety wszystkie szkaradzieństwa, jakie dostrzegacie u siebie i u innych.

Co się tyczy wreszcie laboranta Kupy, ten nie umiał wprawdzie sam nic zrobić, domagał się jednak od kompanów, żeby uwiecznili jego udział w stworzeniu świata;

chciał tedy - aż mną trzęsie, kiedy to piszę - by nazwisko jego widniało w każdej stronie firmamentu, gdy jednak Roth wytłumaczył mi, że wskutek swych ruchów gwiazdy nie mogą się trwale układać w monogramy czy litery, Kupa zażądał, żeby przynajmniej zostały zgrupowane dużymi rojowiskami, to jest, k u p a m i. To też uczyniono.

Dwudziestego października, kładąc palec na klawiszach pulpitu sterowniczego, nie miałem naturalnie pojęcia, co właściwie stwarzam. Okazało się to dopiero po paru dniach, gdyśmy sprawdzali obliczenia i wykryli na taśmach treść utrwaloną przez plugawą T r ó j c ę w naszym pozytronie. Profesor był załamany. Co do mnie, wyznam, że nie wiedziałem, czy mam sobie, czy komuś innemu w łeb palnąć. W końcu rozważa jednak wzięła górę nad gniewem i rozpaczą, skoro wiedziałem, że niczego już nie da się odmienić. Nie uczestniczyłem nawet w przesłuchiowaniu łotrów, którzy zohydzili świat przeze mnie stworzony. Profesor Tarantoga powiedział mi jakieś pół roku później, że trzech intruzów odegrało w kreacji rolę, jaką wiary przypisują szatanowi. Wzruszyłem na to ramionami. Jakiż tam szatan z trzech osłów. Zresztą i tak ja ponoszę największą winę, ponieważ zaniedbałem się i zeszedłem z posterunku. Gdybym chciał szukać usprawiedliwień, powiedziałbym, że winien jest też bombajski farmaceuta, który zamiast uczciwego repellanta komarów sprzedał mi olejek przyciągający je niczym miód - pszczoły. Ale idąc tym trybem, można Bóg wie kogo w następnej kolejności oskarżać o Skażenie Natury Bytu. Nie zamierzam się tak bronić: odpowiadam za świat, jaki jest, i za wszystkie przywary ludzkie, ponieważ leżało w mej mocy zrobić jedno i drugie lepiej.

PODRÓŻ DWUDZIESTA

Zacząło się to w niespełna dobę po moim powrocie z Hyjad, gromady kulistej, tak gęstej od gwiazd, że cywilizacje gniotą się w niej jak kasza w garnku. Nie rozpakowałem jeszcze i połowy walizek z przywiezionymi okazami, a już mi ręce opadały. Zamierzałem zrazu znieść cały bagaż do piwnicy i zająć się nim później, kiedy odsapnę, bo droga powrotna okropnie mi się dłużyła i niczego tak nie pragnąłem, jak usiąść na moim rzeźbionym fotelu w gabinecie przed kominkiem, wyciągnąć nogi, ręce wetknąć w kieszenie wyświechtanej bunzurki i powiedzieć sobie, że oprócz wybiegnięcia mleka, postawionego na ogniu, nic mi nie zagraża. Bo też po czterech latach takiej jazdy można mieć dość Kosmosu, przynajmniej na jakiś czas. Podejdę sobie, myślałem, do okna, a za nim nie czarna bezdnia, nie protuberancje skwierczące, lecz ulica, ogródki, krzaczki, piesek załatwia się pod drzewkiem z taką obojętnością wobec problemów Drogi Mlecznej, aż radość bierze.

Ale, jak to zwykle bywa z marzeniami, nic z tego nie wyszło. Zauważywszy, że już pierwsza paczka, wyciągnięta z rakiety, ma wgnieciony bok, pełen niepokoju o bezcenne okazy, których moc nagromadziłem, zaraz wziąłem się do rozpakowywania. Myrdangi zachowały się nieźle, ale kalusznice pod spodem pomięty się, po prostu nie mogłem tego tak zostawić, i w parę godzin odbiłem wieka największych skrzyń, pootwierałem kufry, grasy pokładłem nad kaloryferem, żeby podeschły, bo przemoczyła je na wskroś herbata z termosu, a już zatrząsałem się na widok pchaków. Miały zostać ozdobą mojej kolekcji, po drodze jeszcze obmyślałem dla nich poczesne miejsca, boż to rzadkość nad rzadkościami - te produkty militaryzacji z Regulusa (jest to cywilizacja powołana w całości pod broń, i ani jednego cywila tam nie uświadczysz). Wypychanie to nie żadne "hobby" RegulańczykówJak pisze Tottenham, lecz coś pośredniego między praktyką religijną a sportem. Tottenham po prostu nie pojął, z jakich pozycji tam wypychają. Wypychanie stanowi na Regulusie czynność symboliczną; toteż pełne zdumienia uwagi, wraz z retorycznymi pytaniami, są u Tottenhama tylko wyrazem zupełnej ignorancji. Czymś innym jest wypychanie małżeńskie, czym innym - szkolne, wycieczkowe, miłosne itp. Ale nie mogę teraz wdawać się w tę sprawę. Dość na tym, że dźwigając regulańskie trofea z parteru na piętro, nadwerżyłem sobie dysk, więc chociaż zostało jeszcze huk roboty, powiedziałem sobie, że taką

partyzantką wiele nie zdziałam. Pozawieszałem jeszcze tylko matulki na sznurze do bielizny w piwnicy i zeszedłem do kuchni, by przyrządzić kolację. Teraz już tylko sjesta, sielanka, dolce far niente - rzekłem twardo. Co prawda ocean wspomnień dalej wypełniał mnie, natarczywy jak martwa fala po ustaniu burzy. Roztłukując jaja spojrzałem na błękitny płomyk kuchenki gazowej - niby nic, lecz całkiem podobnie wyglądała Nowa Perseusza. Popatrzyłem na firankę - białą, jak płat azbestu, którym okrywałem stos atomowy, kiedy... Dość tego! - rzekłem sobie. Lepiej rozważyć, co miłsze - jajecznicą, czy jaja sadzone? Zdecydowałem się właśnie na oczka, kiedy dom zadygotał. Jajka, jeszcze nie ścięte, chlupnęły na podłogę, a jednocześnie, wpółzwrócony ku schodom, usłyszałem przeciągły rumor, jakby lawiny. Rzuciłem patelnię i pognałem na górę. Czyżby dach runął? Meteor?... Nie może być! To się nie zdarza!

Jedynym pokojem, którego nie zawałiłem pakunkami, była moja pracownia, i stamtąd właśnie niósł się hurkot. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była góra książek u stóp przechylonej biblioteki. Spod grubych tomisk Encyklopedii kosmicznej wyczołgiwał się tyłem, na kolanach, jakiś człowiek, tłamsząc zwalone książki, jakby mu jeszcze nie dość było uczynionej rujnacji i chciał je dodatkowo podeptać. Nim się odezwałem, wyrwał spod siebie jakiś długi, metalowy drag, ciągnąc go za rękojęść, przypominającą kierownicę roweru bez kół; kaszlnąłem, lecz intruz, wciąż na czworakach, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zakaszlałem głośniej, a już wtedy jego sylwetka wydała mi się dziwnie znajoma, lecz dopiero gdy powstał, poznałem go. To byłem ja. Zupełnie jakbym patrzył w lustro. Zresztą kiedyś przeżyłem już całą serię takich spotkań, co prawda w gęstwie wirów grawitacyjnych, nie w spokojnym mieszkaniu!

Rzucił na mnie roztargnionym okiem i pochylił się nad swym przyrządem; zarówno to, że się tak szarogęsił, jak to zwłaszcza, że nie raczył się odezwać, wytrąciło mnie na koniec z równowagi.

- Co to wszystko znaczy! - nie podnoszę jeszcze głosu.

- Zaraz ci wyjaśnię... czekaj... - bormocze. Wstał, ciągnie tę rurę ku lampie, przekrzywia abażur, żeby mieć lepsze światło, poprawia papierek, podtrzymujący wysięgnik - wie, bestia, że abażur opada, więc to ani chybi ja naprawdę - i dotyka palcem jakichś pokręteł, najwyraźniej niespokojny.

- Wypadałoby się choć wytłumaczyć! - nie ukrywam już wzbierającej pasji. Uśmiecha się. Odstawia swój aparat, to jest opiera go o ścianę. Siada na moim fotelu, wyciąga drugą szufladę, wyjmuje z niej moją ulubioną fajkę i nieomylnie sięga po kapciuch z tytoniem. Tego mi już nadto.

- Bezwstydniku!! - mówię.

Okrągłym gestem ręki prosi mnie siadać. Mimo woli oceniając wzrokiem wyrządzone szkody - złamały się okładki dwu ciężkich atlasów nieba! - przysuwam sobie krzesło i zaczynam kręcić młynka palcami. Dam mu pięć minut na usprawiedliwienie i przeprosiny, a jeśli nie będę usatysfakcjonowany, to się inaczej porachujemy.

- Nonsens! - odzywa się mój nieproszony gość. - Zachowuj że się jak człowiek inteligentny! Jakże się chcesz ze mną rachować? Przecież każdy mój terażniejszy siniec będzie potem twoim!

Milczę, a coś mi świta. W samej rzeczy, jeśli on to ja i wydarzyła mi się (ale jakim sposobem, u diabła?) pętla czasowa (lecz dlaczego właśnie ja muszę mieć takie przygody?!), może rościć sobie niejakię prawa do mojej fajki i nawet mieszkania. Ale po co było zwałać bibliotekę?

- To nieumyślnie - rzecze przez kłęby wonnego dymu, patrząc w koniec bucika, wcale eleganckiego. Huśta nogą założoną na nogę. - Chronocykl zarzucił mi przy hamowaniu. Zamiast w ósmą trzydzieści, wleciałem w ósmą trzydzieści i z jedną setną sekundy. Gdyby lepiej ustawili celownik, znalazłbym się na samym środku pokoju.

- Jak to? (Nic nie rozumiem). Po pierwsze: czy jesteś telepatą? Jak możesz odpowiadać na pytania, które sobie tylko myślę? A po wtóre: jeżeli rzeczywiście jesteś mną i przybyłeś w czasie, to co on ma do miejsca? Dlaczego poniszczyłeś książki?!!

- Gdybyś trochę pomyślał, sam byś zrozumiał wszystko. Jestem późniejszy od ciebie, więc muszę pamiętać wszystko, co sobie myślałem, tj. myślałeś, boż jestem tobą, tylko z przyszłości. A co do czasu i miejsca, to się przecież Ziemia kręci! Pośliznąłem się o jedną setną sekundy, może nawet nieco mniej, i przez to mgnienie zdażyła się razem z domem przesunąć o te cztery metry. Mówiłem Rosenbeisserowi, że lepiej będzie lądować w ogródku, ale namówił mnie na ten wariant celowania.

- Dobrze. Powiedzmy, że jest, jak mówisz. Ale co to wszystko razem znaczy?

- Pewno, że ci powiem. Będzie jednak lepiej przyrzadzić kolację, bo to dłuższa historia i nadzwyczajnej wagi. Przybyłem do ciebie jako poseł w misji historycznej.

Od słowa do słowa, przekonał mnie. Zeszliśmy na dół, przygotowało się tę kolację, tyle że otworzyłem sardynki (w lodówce zostało zaledwie parę jaj). Potem zostaliśmy już w kuchni, bo nie chciałem sobie psuć humoru oglądaniem biblioteki. Nie palił się do mycia naczyń, ale przemówiłem mu do sumienia, więc zgodził się wycierać. Siedliśmy potem przy stole, spojrział mi poważnie w oczy i rzekł:

- Przybywam z roku 2661, aby przedłożyć ci propozycję, jakiej żaden człowiek nigdy jeszcze nie słyszał i żaden nie usłyszy. Rada Naukowa Instytutu Temporystyki pragnie, żebym ja, to jest, żebyś ty został Naczelnym Dyrektorem Programu TEOHIPHIP. Skrót ten oznacza: "Telechroniczna Optymalizacja Historii Powszechnej Hyperputerem". Jestem dogłębnie przekonany, że obejmiesz to zaszczytne stanowisko, bo oznacza niezwykłą odpowiedzialność przed ludźmi i historią, a jestem, tj. jesteś człowiekiem dzielny i pełny prawości.

- Pierwej jednak chciałbym usłyszeć coś bardziej konkretnego - a już zwłaszcza nie pojmuję, dlaczego nie przybył do mnie po prostu jakiś delegat tego instytutu, tylko ty, to jest ja? Skąd się tam wzięłeś, to jest wzięłem?

- To ci wytłumaczę na końcu i osobno. Co się tyczy sprawy głównej, pamiętasz naturalnie owego biedaka Molterisa, który wynalazł ręczną maszynkę do wędrowania w czasie i chcąc ją zademonstrować, zginął mamie, bo się na śmierć postarzał tuż po starcie?

Skinałem głową.

- Takich prób będzie więcej. Każda nowa technika pociąga za sobą w fazie wstępnej ofiary. Molteris wynalazł jednoosobowy czasolazik bez żadnych zabezpieczeń. Zrobił to samo, co ów chłop średniowieczny, który wlaźł ze skrzydłami na wieżę cerkiewną i zabił się na miejscu. W XXIII wieku powstały, to jest, z twego stanowiska powstaną chronotraki, czasowce i tempobile, lecz prawdziwa rewolucja chronomocyjna nastąpi dopiero trzysta lat później dzięki ludziom, których nie będę wymieniał - poznasz ich osobiście. Wędrowanie w czasie na mały dystans to jedno, a wyprawy w głąb milionoleci to znów inna sprawa. Proporcje są mniej więcej takie, jak między spacerem za miasto a kosmonautyką. Przybywam z Epoki Chronotrakcji, Chronomocji i Telechronii. O podróżowaniu w czasie wypisano góry banialuków, tak jak poprzednio o astronautyce - że jakiś wynalazca, dzięki jakiemś bogaczowi, w jakimś ustroniu buduje od razu rakieta, którą obaj, a jeszcze w towarzystwie znajomych pań, lecą na drugi koniec Galaktyki. Technologia Chronomocyjna, jak Kosmonautyczna, wymaga olbrzymiego przemysłu, kolosalnych inwestycji, planowania... ale z tym też sam się zapoznasz na miejscu, tj. w swoim czasie. Mniejsza teraz o stronę techniczną. Chodzi o główny cel tej roboty; nie wkłada się w nią tyle po to, żeby ktoś mógł straszyć faraonów albo zbić własnego prapradziadka. Wyregulowało się ustrój, uregulowany jest klimat Ziemi, w XXVII wieku, z którego przybywam, jest tak dobrze, że

lepiej nie może być, ale nie mamy wciąż spokoju ze względu na historię. Wiesz, jak ona wygląda; najwyższy czas z tym skończyć!

- Czekajże - w głowie mi szumiało. - Historia się wam nie podoba? Więc co z tego? Przecież taka, jaka była, musi zostać, nie?

- Nie pleć głupstw. Na porządku dnia stoi właśnie TEOHIPHIP, czyli Telechroniczna Optymalizacja Historii Powszechnej Hyperputerem. Mówiłem ci już. Dzieje powszechne wyreguluje się, oczyści, naprawi, wyrówna i udoskonali, zgodnie z zasadami humanitaryzmu, racjonalizmu i ogólnej estetyczności; rozumiesz chyba, że mając taką masarnię i jatkę w rodowodzie, wstyd pchać się pomiędzy wysokie kosmiczne cywilizacje!

- Regulacja Historii?... - powtórzyłem osłupiały.

- Tak. Jeśli zajdzie potrzeba, zrobi się poprawki nawet przed powstaniem człowieka, żeby powstał lepszy. Zgromadzono już środki i fundusze, wciąż jednak wakuje stanowisko Naczelnego Dyrektora Projektu. Wszystkich odstrasza ryzyko połączone z tą funkcją.

- Nie ma chętnych? - moje zdumienie jeszcze wzrosło.

- To nie ta przeszłość, w której każdy osioł chciał światem rządzić. Bez odpowiednich kwalifikacji nikt się nie pali do trudnego zadania. Tak więc stanowisko jest nie obsadzone, a rzecz nagli!

- Kiedy ja się na tym nie znam. I dlaczego właśnie ja?

- Będziesz dysponował całymi sztabami fachowców. Strona techniczna to nie twoja dziedzina; jest wiele różnych planów działania, wiele projektów, metod, konieczne są pełne rozważania, odpowiedzialne decyzje. Ja, to znaczy ty masz je podjąć. Nasz Hyperputer przebadał psychosondowaniem wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek żyli, i uznał, że ja, czyli ty - jest to jedyna nadzieja Projektu.

Po dobrej chwili odezwałem się:

- Sprawa, widzę, poważna. Być może, przyjmę to stanowisko, a może go i nie przyjmę. Dzieje powszechne, ba! To wymaga namysłu. Ale jak to się stało, że ja, to znaczy ty właśnie się u mnie zjawiłeś? Co do mnie, nie ruszałem się nigdzie w czasie. Dopiero wczoraj wróciłem z Hyjad.

- Jasne! - przerwał mi. - Przecież jesteś wcześniejszy! Gdy przyjmiesz propozycję, oddam ci mój chronocykl, i udasz się gdzie, tj. kiedy należy.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Powiedz mi, skąd się wzięłeś w XXVII wieku?

- Udałem się tam odpowiednim wehikułem czasu, rzecz jasna. A potem, stamtąd, przybyłem do twojego teraz i tutaj.

- Ale jeżeli ja się nigdzie nie udawałem żadnym wehikułem czasu, to i ty, który jesteś m n a ...

- Nie pleć. Jestem późniejszy od ciebie, więc nie możesz jeszcze wiedzieć, co takiego tobie się zdarzy, że wyruszysz w dwudziesty siódmy wiek.

- Ej, coś kręcisz! - mruknąłem. - Jeżeli zaakceptuję tę propozycję, dostanę się od razu w dwudziesty siódmy wiek. Czy nie tak? Będę tam dyktował tym Teohiphipem i tak dalej. Ale skąd ty się tam wzięła...

- W ten sposób możemy przegadać całą noc! Nie przelewaj z pustego w próżne. Zresztą, wiesz co? Poproś Rosenbeissera, niech ci to wytłumaczy. Ostatecznie to on jest fachowcemczasownikiem, nie ja. Zresztą ta sprawa, chociaż trudna do uchwycenia, jak zawsze bywa z pętlą czasową, jest niczym w zestawieniu z moją,

to jest twoją misją. Przecież to Misja Dziejowa! Więc jak? Godzisz się? Chronocykl jest sprawny. Nic mu się nie stało, sprawdziłem.

- Co tam chronocykl. Nie mogę tak od razu.

- Powinieneś! To twój obowiązek! Musisz!

- O ho ho! Tylko nie tak do mnie. Nic "musisz!" Wiesz, jak tego nie lubię. Mogę, jeśli zechcę, gdy uznam, że sytuacja tego wymaga. Kto to jest ten Rosenbeisser.

- Dyrektor naukowy INTu. Będzie twoim pierwszym podwładnym.

- INTu.

- Instytutu Temporystycznego.

- A co się stanie, jeśli się nie zgodzę?

- Nie możesz się nie zgodzić... nie zrobisz tego... znaczyłoby to, żeś stchórzył...

Na wargach błąkał mu się jakby powściągany uśmiezek przy tych słowach. To mnie nastroiło podejrzliwie.

- Proszę. A to czemu?

- Ponieważ... e, co ci będę tłumaczył. To się wiąże ze strukturą samego czasu.

- Nie opowiadaj bzdur. Jeżeli się nie zgodzę, to nie ruszę się stąd donikąd, więc ani mi jakiś Rosenbeisser niczego nie wyjaśni, ani żadnej historii nie będę regulować.

Mówiłem tak, po części, żeby zyskać na czasie, gdyż nie decyduje się o podobnych problemach na jednej nodze, ale też, jakkolwiek nie domyślałem się wcale, czemu on, to jest ja, do mnie przybył, czułem niejasno, że w tym tkwi jakaś inna finta, jakiś kruczek.

- Dam odpowiedź do czterdziestu ośmiu godzin! - rzekłem.

Począł napierać, żebym się zdecydował od razu, lecz im bardziej nastawa!, tym mniej mi się to podobało. Wreszcie jałem nawet powątpiewać w jego identyczność ze mną. Mógł to w końcu być jakiś ucharakteryzowany nasłaniec! Ledwom to pomyślał, wziąłem go na spytki. Trzeba było wynaleźć kwestię sekretną, której poza mną nie znał nikt.

- Dlaczego numeracja podróży w moich Dziennikach gwiazdowych ma luki? - rzuciłem mu znienacka pytanie.

- A cha! cha! - zaśmiał się - to już we mnie nie wierzysz? Dlatego, kochanku, ponieważ jedne wyprawy odbywały się w przestrzeni, a inne w czasie, więc nie może być nawet i pierwszej; zawsze przecież można się cofnąć wstecz tam, gdzie żadnej nie było i pojechać gdzieś, wówczas ta, co była pierwsza, stanie się drugą, i tak bez końca!

To się zgadzało. Lecz sprawa była jednak wiadoma paru osobom, co prawda moim zaufanym znajomym z zespołu tichologicznego profesora Tarantogi; zażądałem tedy dowodu tożsamości. Papiery miał w porządku, lecz to o niczym jeszcze nie świadczyło; można je wszak sfałszować. Podważył moje powątpiewanie tym, że umiał zaśpiewać wszystko, co wtedy tylko śpiewam, kiedy lecę daleko, sam jak palec; zauważyłem jednak, że w refrenie "Meteoryty, meteoryty!" - paskudnie fałszował. Powiedzialem mu to; obraził się i rzekł, iż to j a zawsze fałszuję, nie on; rozmowa, dotąd prowadzona dość spokojnie, zamieniła się w sprzeczkę, potem w gwałtowną kłótnię, aż tak mnie rozeźlił, że kazałem mu się zabierać do diabła. Było to powiedziane w złości, wcale nie myślałem tego, lecz bez jednego łowa

wstał, poszedł na górę, wyrychtował swój chronocykl, siadł nań jak na rower, coś tam poruszył i w mgnieniu oka rozwiął się w mgłę, a właściwie w dymek jak z papierosa. Po minucie i tego już nie było - został tylko stos porozrzucanych na wszystkie strony książek. Stałem sam, z dość głupią miną, bom się tego nie spodziewałem, ale gdy podjął przygotowania do odjazdu, nie chciałem już ustąpić. Porozmyślawszy, zeszedłem znowu do kuchni, bo przegadaliśmy bez mała trzy godziny, i znowu poczułem głód. Miałem jeszcze parę jajek w lodówce, a też skrawek boczku, ale gdy zapaliłem gaz i sadziłem oczka, rozległ się z piętra wielki rumor.

Tak mnie zaskoczył, że zmarnowałem jajecznicę: wylała się razem ze skwarkami prosto w płomień kuchenki, a ja, klnąc na czym świat stoi, pognałem biorąc po trzy stopnie na górę.

Na półkach nie było już ani jednej książki; ich ostatek tworzył wielką kupę, spod której gramolił się, ciągnąc spod siebie chronocykl, bo przygniótł go ciałem, padając.

- Co to ma znaczyć! - krzyknąłem wściekły.

- Zaraz ci wyjaśnię... czekaj... - mamrotałem, wlokąc chronocykl ku lampie. Obejrzał go, skupiony, nie racząc się nawet usprawiedliwiać z tego kolejnego najścia. Miałem tego doprawdy dość.

- Wypadałoby się choć wytłumaczyć!! - wrzasnąłem w pasji.

Uśmiechnął się. Odstawił chronocykl, to jest oparł go o ścianę, poszukał fajki, nabił ją z mego kapciucha, zapalił, zakładając nogę na nogę, aż mnie poniosło.

- Bezwstydniku!! - krzyknąłem. Jakkolwiek nie ruszyłem się z miejsca, powziąłem solenny zamiar zbitcia go na kwaśne jabłko. Żarty jakiegoś będzie sobie stroił, ze mnie, w moim domu!

- Nonsens - odezwał się flegmatycznie. Nie poczuwał się najwyraźniej do winy. A przecież do reszty pozwalał mi wszystkie książki na podłogę!

- To nieumyślnie - rzekł, wypuszczając dym z ust. - Chronocykl znów mi się pośliznął...

- Ale dlaczego wróciłeś?

- Musiałem.

- Jak to?

- Znajdujemy się, mój drogi, w k o l e czasowym - rzekł spokojnie. - Będę cię teraz od nowa namawiał, żebyś zgodził się zostać dyrektorem. Jeżeli odmówisz, odjadę sobie, niebawem wrócę i wszystko zacznie się od początku...

- Nie może być! Jesteśmy w zamkniętym obiegu czasu?

- Otóż właśnie.

- Nieprawda! Gdyby tak było, wszystko, co mówimy i robimy, musiałyby się idealnie, jota w jotę, powtarzać, a to, co ja mówię teraz, i to, co ty mówisz, już nie jest zupełnie takie samo jak za pierwszym razem!!

- Różne duby smalone plotą ludzie o podróżach w czasie - rzekł - a te, któreś wymienił, należą do najbardziej nonsensownych. W kołowym czasie wszystko musi przebiegać podobnie, lecz wcale nie tak samo, ponieważ zamknięcie czasu, analogicznie jak zamknięcie przestrzenne, nie pozbawia wszelkiej swobody, a tylko bardzo mocno ją ogranicza! Jeżeli przyjmiesz propozycję, udasz się w rok 2661, i tym samym koło zamieni się w pętlę otwartą. Ale jeśli odmówisz i znów mnie wygonisz, wrócę... i wiesz, co będzie!

- A więc nie ma innego wyjścia!!? - zakipiałem. - O, coś mi od razu podszeptało, że się w tym wszystkim ukrywa jakieś oszukaństwo! Zabieraj mi się stąd! Żebyś cię więcej na oczy nie widział!!

- Nie mów głupstw - odparł chłodno. - To, co się dzieje, zależy teraz wyłącznie od ciebie, bo nie ode mnie, a mówiąc ściślej, ludzie Rosenbeissera zamknęli za nami obu, to jest zatrzasnęli pętlę, i będziemy się w niej kołatali, aż zostaniesz dyrektorem!

- Ładna mi "propozycja"! - krzyknąłem. - A co będzie, jeśli ci porachuję wszystkie gnaty?

- To tylko, że sam je będziesz potem opatrywał we właściwym czasie. Nie musisz przyjąć propozycji, w tym sensie, że możemy się tak bawić, póki życia starczy...

- Też coś! Mogę cię zamknąć w piwnicy i pójść sobie, gdzie mi się spodoba!

- To raczej ja ciebie tam zamknę, bo jestem silniejszy!

- O?

- Żebyś wiedział. Byłem na wikcie w roku 2661, a jest on o wiele pożywniej szy niż teraz, toteż nie wytrzymasz ze mną ani minuty.

- To się zobaczy... - mruknąłem groźnie, wstając z krzesła. Nawet się nie ruszył.

- Znam "dżurdzudo" - zauważył flegmatycznie.

- Co to jest?

- Rodzaj udoskonalonego dżudo z roku dwutysięcznego sześćset sześćdziesiątego pierwszego. Unieszkodliwie cię w jednej chwili.

Byłem wściekły, lecz długoletnie doświadczenia życiowe nauczyły mnie opanowywać nawet skrajną pasję. Toteż, rozmówiwszy się z nim, to jest z sobą, doszedłem do wniosku, że doprawdy nie mam innego wyjścia. Zresztą dziejowa misja, czekająca w przyszłości, odpowiadała zarówno moim poglądom, jak mej naturze. Oburzał mnie tylko zadany przymus, uznałem jednak, że porachować się trzeba nie z nim, narzędziem, lecz z jego mocodawcami.

Pokazał mi, jak kierować chronocyklem, dał parę praktycznych wskazówek, zająłem więc miejsce na siodełku i chciałem mu jeszcze powiedzieć, by posprzątał po sobie i wezwał stolarza dla naprawy półek bibliotecznych, ale i tego nie zdążyłem zrobić, bo nacisnął starter. On, światło lamp, cały pokój, wszystko szczezło jak zdmuchnięte. Maszyna pode mną, ten metalowy drąg z rozszerzającym się lejkwato wylotem, roztrzęsła się, chwilami skakała tak mocno, że ścisnąłem co sił rękodości, by nie wypaść z siodła, niczego nie widziałem, a tylko miałem wrażenie, jakby mnie ktoś po twarzy i ciele tarł drucianymi szczotkami; gdy mi się wydało, że pęd w czasie wzrasta nad miarę, ciągnąłem za hamulec, a wtedy z czarnego kotłowiska wyłaniały się niewyraźne kształty.

Były to jakieś olbrzymie budowle, raz baniaste, raz wysmukłe, przez które przelatywałem na wylot jak wiatr przez parkan. Każdy taki najazd zdawał się grozić zderzeniem z murami, więc przymykałem odruchowo oczy i znów zwiększałem szybkość, to jest tempo. Parę razy maszyną rzuciło tak, że głowa mi skakała, a zęby dzwoniły. W jakiejś chwili poczułem trudną do nazwania zmianę, zdawało mi się, że jestem w ośrodku gęstym jak syrop, kleistym i zastygającym; przemknęło mi, że przedzieram się przez jakąś przegrodę, która może w końcu stać się mi grobem i uwięzieniem w betonie zastygnę razem z chronocyklem jak dziwaczny owad w bursztynie. Lecz znów targnęło do przodu, chronocykl zadygotał, a ja upadłem na coś elastycznego, co poddało się i zakołysało. Maszyna wypadła spode mnie, w oczy buchnął biały blask, musiałem je zamknąć, oślepiiony.

Gdy je otwarłem, ogarnął mnie gwar głosów. Leżałem pośrodku wielkiej tarczy z pianoplastyku, pomalowanej w koncentryczne koła niczym cel na strzelnicy; przewrócony chronocykl spoczywał o krok, a wokół stało kilkudziesięciu ludzi w błyszczących kombinezonach. Mały, łysawy blondyn wstąpił na materac tarczy, pomógł mi wstać i kilkakrotnie potrząsał moją ręką ze słowami:

- Witam pana jak najserdeczniej! Rosenbeisser.

- Tichy - odpowiedziałem automatycznie. Rozejrzałem się. Staliśmy w hali wielkiej jak miasto, bez okien, nakrytej wysoko stropem o barwie nieba; jedna za drugą rozpościerały się rzędem takie same tarcze, jak ta, na której wylądowałem, niektóre puste, przy innych pracowano; nie skrywam, że miałem przygotowanych parę kąśliwych uwag pod adresem Rosenbeissera i innych twórców temporalnego saka, którym wyciągnęli mnie z domu, lecz zmilczałem, bo przyszło nagłe uświadomienie, do czego podobna jest ta ogromna hala. Wyglądało w niej niczym w gigantycznym studiu filmowym! Obok nas przeszli trzej ludzie w zbrojach; pierwszy z kitą pawią na szyszaku, w pozłacanym puklerzu, laboranci poprawiali mu ryngraf wysadzany klejnotami, lekarz robił zastrzyk w obnażone przedramię, ktoś inny pospinał szybko rzemienie blach, podano mu dwuręczny koncerz i szeroki płaszcz tkany w herby z gryfami; dwaj następni, w zwykłym żelazie, pewno giermkowie, sadowili się już na siodełkach chronocykla w centrum tarczy i rozległ się głos z megafonu: "Uwaga... dwadzieścia, dziewiętnaście, osiemnaście..."

- Co to? - spytałem zdezorientowany, bo jednocześnie kilkadziesiąt kroków dalej szła procesja chudzielców w ogromnych białych turbanach, im też robiono zastrzyki, a z jednym kłócił się technik, odkryto bowiem, że podróżny miał ukryty pod burnusem mały pistolet; widziałem Indian pomalowanych w wojenne barwy, ze świeżo wyostrzonymi tomahawkami, którym laboranci gorączkowo poprawiali pióropusze, a na małym drewnianym wózku posługacz w białym fartuchu pchał ku innej tarczy koszmarnie brudnego, obdartego żebraka bez nóg, kubek w kubek podobnego do monstualnych kalek Breughla.

- Zero! - obwieścił megafon. Trójka pancernych znikła z chronocyklem w małym błysku, który rozpląnął się w powietrzu białawym dymem, przypominającym dymek magnezji spalonej: znałem już ten efekt.

- To nasi ankieterzy - wyjaśnił Rosenbeisser. - Badają opinię publiczną w różnych wiekach, to statystyczne materiały, wie pan, materiał informacyjny, nic więcej: nie podjęliśmy jeszcze żadnych kroków naprawczych, bo czekaliśmy z tym na pana!

Wskazał mi ręką drogę i pospieszył za mną: słyszałem głosy odliczania, to tu, to tam błyskało, rozwiewały się smugi białawego dymu, kolejne partie eksploatatorów znikwały, szli już tymczasem nowi, zupełnie jak w olbrzymim atelier podczas zdjęć superkiczu historycznego. Zorientowałem się, że nie wolno zabierać w przeszłość żadnych anachronicznych rzeczy, ankieterzy jednak starali się szmuglować czy to z przekory, czy dla wygody i pomyślałem, że trzeba będzie zaprowadzić ład żelazną miotłą, lecz spytałem tylko:

- A długoż trwa takie zbieranie danych? Kiedy wróci ten wojak z giermkami?

- Utrzymujemy się w planie - rzekł z zadowolonym uśmiechem Rosenbeisser. - Ci trzej wrócili już we zora.

Nic nie rzekłem, myśląc, że nie będzie mi łatwo przywyknąć do warunków życia w chronomocyjnej cywilizacji. Ponieważ elektromobil laboratoryjny, który miał nas przewieźć do budynku dyrekcji, popsuł się, Rosenbeisser kazał zsiąść z wielbłądów kilku ankieterom - Beduinom - i tym zaimprovizowanym sposobem dostaliśmy się na miejsce.

Gabinet mój był ogromny, urządzony w stylu nowoczesnym, to jest przezroczyście: i to mało powiedziane, bo większości foteli nie można było dostrzec, a gdy

siedziałem przy moim biurku, tylko zwały papierów wskazywały, gdzie znajduje się blat; ponieważ zaś, schylając głowę podczas pracy, wciąż widziałem własne nogi w prążkowanych spodniach i widok tych prążków utrudniał koncentrację, kazałem potem wszystkie meble pociągnąć farbą, aby się stały nieprzenikliwe dla wzroku. Okazało się wtedy, że mają wręcz idiotyczne kształty, ponieważ nie były zaprojektowane dla oglądania; w końcu zmieniono mi je na komplet antyków z drugiej połowy XXIII wieku i wtedy dopiero poczułem się swojsko. Mówiąc o tych błażostkach nie tylko wyprzedzam fakty, ale kreślę zarazem niedociągnięcia Projektu. Co prawda, moje dyrektorskie życie byłoby rajem, gdyby ograniczało się do spraw meblowodekoracyjnych.

Encyklopedii by trzeba dla przedstawienia wszystkiego, co zdołał Projekt pod moim kierownictwem. Toteż tylko w największym skrócie opiszę główne etapy prac. Co do struktury organizacyjnej, była dwoista. Miałem pod sobą PIONTEK (Pion TechnicznoKalendarzowy) z działami temporystyki udarowokwantowej i dyspersyjnej oraz pion historyczny, podzielony na resorty Ludzki i Nieludzki. Szefem technologów był dr R. Bosković, dziejoczyńcami zaś zawiadywał prof. P. Latton. Ponadto stały do mej osobistej dyspozycji oddziały histomandosów i czasochroniarzy (chronoszutystów) z brygadą awaryjnego zdejmowania z tronów i aparatem nadzoru. To pogotowie alarmowe, rodzaj straży pożarnej dla nieprzewidzianych a groźnych okazji, nosiło skrótowe miano MOIRY (Mobilna Inspekcja Ratunkowa). Kiedy przybyłem, technologowie-czasownicy byli gotowi do rozpoczęcia operacji telechronicznych na wielką skalę, podczas gdy w resorcie do spraw Ludzkich (kierownikiem był doc. Harry S. Totteles) fachowcy opracowywali setki HAREMÓW (Harmonogramów Edukacji Melioracyjnej). Równoległe resort do spraw Nieludzkich (inż. ciał O. Goodlay) projektował warianty naprawienia systemu słonecznego, to jest planet z Ziemią na czele, przebiegu Ewolucji Życia, antropogenezy itp. Wszystkich wymienionych tu moich podwładnych musiałem się po kolei pozbyć; z każdym z nich łączą się w mej pamięci inne kryzysy w łonie Projektu; wspomnę o nich we właściwym czasie, aby ludzkość wiedziała, komu zawdzięcza swe tarapaty.

Zrazu byłem pełen najlepszej nadziei. Przeszedłszy skrócony kurs wprowadzający w elementy telechronii i chronomutacji, opanowawszy też zagadnienia organizacyjne (kompetencje resortowej, podziału prac itd.), przy czym już wówczas przyszło do sporu z głównym księgowym (Eug. Clydesem), na dobre zorientowałem się, jak tytaniczne mam zadanie. Nauka XXVII wieku dostarczyła mi wielu rozmaitych technologii działania w czasie, a jakby tego było jeszcze mało, decyzji mej oczekiwały setki rozmaitych planów historycznej naprawy. Za każdym stała wiedza i autorytet znakomitych fachowców i ja miałem wybierać w tym embarras de richesse! Nie było bowiem jeszcze zgody ani co do tego, jaką metodą polepszać przeszłość, ani od jakiego czasu to robić, ani nawet, jak wiele interwencji podejmiemy.

W pierwszej, nacechowanej optymizmem fazie robót, zamierzaliśmy historii ludzkości jeszcze nie tykać, lecz wyporządzić to, co ją eonami poprzedziło; nasz monumentalnie zakrojony program przewidywał - wyliczam przykładowo - dewulkanizację planet, naprostowanie osi Ziemi, przygotowanie na Marsie i Wenerze korzystnych warunków pod ich przyszłą kolonizację, przy czym Księżyc służyć miał za rodzaj pomostu czy stacji przejściowej dla emigracyjnej kosmonautyki, która by powstała za trzy do czterech miliardów lat. Z imieniem Lepszej Przeszłości na ustach nakazałem uruchomienie Generatorów Zespołu Izochronicznego (GENEZIS). Na stanowiskach znajdowały się trzy ich typy - BREKEKEK, KOAKS i KWAK. Już nie pamiętam dokładnie, co oznaczały te skróty; KOAKS pracował koaksjalnie, ostatni zaś określał Kwantowaną Korekcję.

Wyniki rozruchu przeszły najgorsze oczekiwania; awaria szła za awarią. Zamiast wyhamować łagodnie i zsynchronizować się z normalnym wpływem czasu, KWAK wyżarzył Marsa eksplozją i obrócił go w jedną pustynię; wszystkie oceany wyparowały i ulotniły się w przestwór, a spieczona skorupa planety popękała, tworząc sieć niesamowitych, szerokich na setki mil rowów. Stąd poszła w XIX wieku hipoteza kanałów marsjańskich. Ponieważ nie życzyłem sobie, aby wcześniejsza ludzkość doszła naszej akcji, bo mogło to w niej zrodzić szkodliwe kompleksy, kazałem wszystkie kanały dokładnie zacementować, co też inż. Lavache

zrobił koło 1910 roku; późniejszych astronomów nie zdziwiło ich zniknięcie, bo złożyli rzecz na karb złudzenia optycznego poprzedników. KOAKS, który miał użyć Wenerę, był już zabezpieczony przed awarią KWAKA dzięki AMORKOWI (Amortyzator Energii Kinechronicznej), lecz zawiodły DUPKI (Dyssypatory Układowe Powolnej Kompensacji) i całą Wenus otoczyła trująca atmosfera powstała skutkiem chronoklazmu. Inżyniera Wadenleckera, odpowiedzialnego za te operacje, zdjąłem ze stanowiska, lecz po wstawiennictwie Rady Naukowej zezwoliłem mu na przeprowadzenie ostatniego członu doświadczeń. Tym razem nastąpiła już nie awaria, lecz katastrofa w skali kosmicznej. Rozpędzony ruchem pod włos trwania BREKEKEK werznął się w terażniejszość sprzed 6,5 miliarda lat, tak blisko Słońca, że wyrwał zeń olbrzymi płat materii gwiazdnej, który, skręciwszy się pod wpływem ciężenia, dał początek wszystkim planetom.

Wadenlecker usiłował się bronić, twierdząc, że dzięki niemu powstał system słoneczny, bo gdyby nie awaria głowicy choralnej, szansa powstania planet byłaby praktycznie równa zeru. Późniejsi astronomowie dziwowali się, jaka gwiazda mogła przejść tak blisko Słońca, żeby wyrwać zeń protoplanetarną materię, bo istotnie, tak bliskie pasaże gwiazd należą do zjawisk prawie niemożliwych; zdjąłem zuchwalca ostatecznie z kierownictwa technochronicznego, ponieważ nie w tym upatrywałem sens i cele Projektu, żeby takie rzeczy miało się robić niechcący, dzięki niedbalstwu i niedopatrzeń. Gdyby już na to przyszło, moglibyśmy byli ukształtować planety znacznie porządniej. Zresztą doprawdy nie miał się czym chwalić pion techniczny - po zrujnowaniu Wenery i Marsa.

Pozostał na porządku dnia plan wyprostowania osi obrotów Ziemi; szło o to, żeby klimat jej uczynić bardziej równomiernym, bez biegunowych mrozów i spiekoty równikowej. Cel operacji był humanitarny: więcej gatunków miało przetrwać w walce o byt. Skutek okazał się odwrotny do zamierzonego. Największą epokę lodowcową Ziemi, okresu kambryjskiego, spowodował inżynier Hansjacob Plótzlich odpaleniem ciężkiej jednostki "prostowniczej", która dała osi ziemskiej tak zwanego dubla. Pierwszy glacjał, zamiast przestrzec pochopnego czasownika, stał się pośrednio przyczyną drugiego, widząc bowiem, co narobił, inż. Plótzlich, odpalił bez mej wiedzy następny ładunek "korekcyjny". Doszło do chronoklazmu i nowej epoki lodowcowej, tym razem w plejstocenie.

Zanim zdjąłem go ze stanowiska, ten niepoprawny człowiek zdażył wywołać trzecia chronokolizję; odtąd, przez niego, biegun magnetyczny Ziemi nie pokrywa się z osią obrotu, bo planeta nie przestaje się jeszcze chwiać. Jeden odprysk czasowy "Korektora" wleciał w rok milionowy przed naszą erą - na miejscu tym znajduje się dziś Wielki Krater Arizony; nikt nie poniósł na szczęście śmierci, boć jeszcze ludzi wtedy nie było; spłonęła tylko puszcza. Drugi odłamek wyhamowało dopiero przy roku 1908 - tamtejsi znają go jako "upadek meteorytu tunguskiego". Nie były to więc żadne meteoryty, lecz rozlatujące się w czasie kawały niezdarnie sporządzonego "Optymalizatora". Wyrzuciłem Plótzlicha nie oglądając się na nikogo, a gdy przychwycono go nocą w chronoratorium - miał wyrzuty sumienia, uważacie, i chciał "poprawić" to, co narobił - zażądałem dlań jako kary relegowania w czasie.

Ustąpiłem w końcu, czego teraz żałuję, i za podszeptem Rosenbeissera obsadziłem wakat inżynierem Dyndallem. Nie miałem pojęcia, że to szwagier profesora. Skutki nepotyzmu, w którego praktykowanie zostałem bezwiednie wmanewrowany, nie dały na siebie czekać. Dyndali był wynalazcą HAMUŁY (Hamulcowy Układ Łagodzący), który udoskonalił inż. czasu Bummeland. Rozumowali tak: jeśli potworna energia gigachroniczna wyzwoli się nawet przy chronoklazmie, niechże przynajmniej, zamiast działać falą wybuchową (taką, co Marsa wyżarzyła), obróci się w czyste promieniowanie. Ta nie dopracowana (intencje się nie liczą!) idea przysporzyła mi dużego zmartwienia. HAMUŁA wprawdzie przetransformował energię kinetyczną na radiacyjną, ale cóż z tego, kiedy od promieniowania - w samym środku ery mezozoicznej - wyginęły co do nogi wszystkie jaszczury i Bóg wie ile innych jeszcze gatunków.

Bummeland usiłował bronić się twierdzeniem, że nie było w tym nic złego, ponieważ na opustoszałą scenę ewolucyjnego procesu mogły dzięki niemu wejść ssaki, z których i człowiek się wywodzi. Jak gdyby to już było przesądzone!

Zaurocydem pozbawili nas swobody antropogenetycznego manewru i jeszcze się tym chcieli chlubić! Dyndali okazał pozorną skruchę i nawet złożył samokrytykę, ale to nieprawda, jakoby ustąpił dobrowolnie ze stanowiska. Powiedziałem bowiem Rosenbeisserowi, że dopóki jego szwagier jest w Projekcie, noga moja nie postanie w dyrekcji.

Po tej serii fatalnej zebrałem całą załogę i wygłosiłem do niej przemówienie, ostrzegając, iż widzę się zmuszony stosować odtąd drakońskie środki wobec wykraczających przeciwko bezpieczeństwu przeszłości. Nie skończy się już tylko na utracie ciepłej posadki!

Mówiono, że awarie są zrozumiałe, wręcz nieuniknione przy rozruchu tak bezprecedentalnej technologii; ileż raket ongiś rozleciało się w zaraniu ery kosmonautycznej; lecz nasza działalność, jako odbywająca się w c z a s i e, przedstawiała niebezpieczeństwo nieporównanie większe. Rada Naukowa zaleciła mi nowego czasoznawcę; był nim profesor L. Nardeau de Yince. Jego i Boskovicia przestrzegłem przed następnym eksperymentem, że żadna siła nie skłoni mię już do okazywania pobłażliwości przy poważnych, niesumiennością zawinionych wypadkach.

Pokazałem im memoriały, jakie Wadeniecker, Bummeland i Dyndali wystosowali do Rady Naukowej poza mymi plecami, pełne sprzeczności, bo raz powoływali się na trudności obiektywne, a raz przemianowywali skutki swych błędów na zasługi. Powiedziałem im, że mylą się ci, co biorą mnie za analfabetę. Dość znajomości arytmetyki w zakresie czterech działań, by podrachować, ile materii Słońca zmarnowano już bezproduktywnie, bo wszak wszelkie planety uranowe, istotne usypiska odpadów, co tam, kloaki pełne amoniaku, są nie do użycia; na Marsie i Wenerze też postawiłem krzyżyk i dałem zielone światło ostatniej próbie naprawy systemu słonecznego. Program przewidywał przeróbkę Księżyca w oazę dla strudzonych kosmonautów przyszłości, a zarazem w stację przesiadkową na drodze do Ateny.

Nie wiecie, co to jest Atena? Nie dziwię się temu wcale. Planetę tę miała udoskonalić ekipa Gestimera, Starshita i Astroianniego. Projekt nie miał jeszcze takich niezgułów. TUMAN (Telechroniczny Układ Mimośrodowej Automatyki Nawodzenia) zawiódł, ZADEK (Zabezpieczenie Dekolizyjne) pękł, Atena zaś, krążąca dotąd na orbicie między Ziemią i Marsem, rozprysła się na dziewięćdziesiąt tysięcy kawałków i został po niej tak zwany Pas Asteroidów. Co do Księżyca, panowie optymalizatorzy zmasakrowali jego powierzchnię. Dziwne, że i on się cały nie rozleciał. Tak powstała słynna łamigłówka astronomów XIX - i XX wiecznych, bo pojąć nie mogli, skąd się wzięło takie mnóstwo kraterów. Wymyślili na ten temat dwie teorie - wulkaniczną i meteorytową.

Śmieszne rzeczy. Autorem tak zwanych kraterów wulkanicznych jest inż. czasu Gestimer, odpowiedzialny za ZADEK, a sprawcą "meteorytowych" - Astroianni, który złożył się do Ateny trzy miliardy lat temu, puścił ją na rozkurz, a odrzut chronoklazmu kołatając się we wszystkie strony wyhamował do reszty ruch obrotowy Wenus, dorobił Marsowi dwa fałszywe satelity idące wariackim ruchem, odwrotnym, niż przewidziany, tak że doprawdy głupstwem już było przerobienie przez tego specjalistę powierzchni Księżyca w istny poligon artyleryjski, na który kawałki Ateny spadały w ciągu miliarda lat. Gdy dowiedziałem się, że jeden odprysk chronotraktora, rozsmarowanego eksplozją na 2 950 000 000 lat, dopadł czasów prehistorycznych, wleciał do oceanu i przedziurawił jego dno, zatapiając po drodze Atlantyde, osobiście wyrzuciłem sprawców kompleksowej katastrofy z Projektu, wobec odpowiedzialnych zaś za całość operacji zastosowałem sankcje zgodnie z mym uprzednim postanowieniem. Odwoływanie się do Rady nic im nie pomogło.

Profesora Nardeau de Vince zesłałem w wiek XVI, a Boskovicia w XVII, żeby nie mogli się zetknąć i intrygować. Jak wiecie, Leonardo da Vinci usiłował przez całe życie sporządzić sobie chronoław, ale mu się nie udało; tak zwane helikoptery Leonarda i inne maszyny, tyleż dziwaczne, co niezrozumiałe dla jego współczesnych, były poronionymi płodami wysiłków ucieczki z zesłania w czasie.

Bosković zachował się, jeśli można tak rzec, rozsądniej. Był to człowiek

niesamowicie zdolny, o precyzyjnym umyśle, bo matematyk z wykształcenia; został w siedemnastym wieku znakomitym wprawdzie, lecz powszechnie zapoznanym myślicielem. Próbował popularyzować idee fizyki teoretycznej, ale nikt ze współczesnych nie pojmował jednego słowa w jego traktatach. Żeby mu osłodzić wygnanie, skierowałem go do Raguzy (Dubrownik), bo prywatnie z nim sympatyzowałem, lecz widziałem się zmuszony karać surowo ludzi odpowiedzialnych, jakkolwiek Rada Naukowa miała mi to za złe.

Pierwsza faza Projektu zakończyła się tedy kompletnym fiaskiem, ponieważ założywszy bezwzględne weto, udaremniłem podjęcie jakichkolwiek dalszych prób serii GENEZIS. Dość było już zaprzepaszczonej inwestycji. Kolosalne nieużytki globów jowiszowych, na amen wypalony Mars, dubeltowo zatruta Wenus, zrujnowany Księżyc (tak zwane maskony, koncentracje masy pod jego powierzchnią to głęboko zaryte w grunt, zakrzepłe w lawie szczątki głowic TUMANA i ZADKA), skrzywiona oś ziemską, dziura w dnie oceanu, wywołane tym pęknięciem rozejście się lądów Eurazji i dwu Ameryk - stanowiły niewesoły raczej bilans podjętych dotąd operacji. Mimo to zakazawszy sobie opadania w niewiarę, otworzyłem pole twórczej optymalizacji ekipom pionu Historycznego.

Miał, przypominam, dwa resorty, do spraw Ludzkich (doc. Harry S. Totteles) i Nieludzkich (inż. ciał Goodlay); na czele pionu znajdował się profesor P. Latton, który budził we mnie od początku pewną nieufność radykalizmem i bezkompromisowością swych poglądów. Dlatego wolałem wciąż jeszcze nie ruszać historii właściwej, bo wszak słuszniesze było sporządzenie takich rozumnych osobników, które by sobie samą ją należyście ucywilizowały. Powstrzymałem więc Lattona i Tottelesa (co nie przyszło łatwo, tak ich ręce świerzbiły do dziejoczoństwa) i zleciłem Goodlayowi rozruch Ewolucji Życia na Ziemi. By nie pomawiano mnie o krępowanie twórczości, obdarzyłem projekt HOPSA (Homo Perfectus Sapiens) znaczną autonomią. Zaapelowałem jedynie do kierowników (Z. Goodlay, H. Ohmer, H. Bosch, v. Eyck), by uczyli się na błędach Przyrody, która wykoślawiła wszystko żywe i sama sobie zatkała najkorzystniejsze drogi wiodące do Rozumu, za co zresztą nie można jej winić, boć działała na ślepo, z dnia na dzień. My natomiast musimy pracować docelowo, mając trwale w pamięci metę, czyli HOPSA; oświadczyli, że zastosują się do tych wytycznych, ręczyli za sukces i ruszyli do akcji.

Skoro dostali tę swoją autonomię, me wtrącałem się i nie kontrolowałem ich przez półtora miliarda lat, lecz masy anonimów, jakie otrzymywałem, skłoniły mnie do przeprowadzenia remanentu. Osiwieć można było od tego, co zastałem. Najpierw jak dzieci bawili się przez bodaj czterysta milionów lat puszczając rybki pancerne i jakieś trylobity; widząc zaś, jak mało zostaje czasu do końca miliardolatki, poszli na szturmówkę. Montowali elementy bez ładu i składu, jedne bardziej wydziwaczone od innych, wypuszczając raz jakieś mięsne góry na czworakach, raz same ogony, raz jakieś pyłki; jedne egzemplarze pobrukowali grubą kostką, innym wtykali rogi, kły, rury, trąby, macki, gdzie popadło; a brzydkie to było, odrażające, bez sensu, aż strach patrzeć: czysty abstrakcjonizm i formalizm spod znaku antyestetyczności.

Do wściekłości doprowadziło mnie ich samozadowolenie; mówili, że teraz nie czasy ulizanej kreacji, że się na tym nie znam, że "nie czuję formy" itd. Zmilczałem jeszcze: gdybyż się do tego ograniczyli! Gdzie tam. W tym dobranym zespole wszyscy podgryzali wszystkich. Nikt nie myślał nawet o Rozumnym Człowieku, lecz o tym, by utrać projekty kolegów, ledwo więc szedł w Przyrodę nowy okaz, już szykowano monstrum tak wyporzadzone, żeby zatłukło produkt rywala, dowodząc jego lichoty. To, co nazwano "walką o byt", wynikało z zawiści i intrygantwa. Kły i pazury Ewolucji są tylko skutkiem stosunków panujących w resorcie. Zamiast współpracy ujrzałem masowe marnotrawstwo i podstawianie nogi gatunkom kolegów; a już największą satysfakcją miał każdy, gdy mu się udało zagwoździć dalszy rozwój na jakiejś linii, należącej do gestii kooperantów; stąd tyle ślepych uliczek w państwie życia. Co mówię, życia; urządzili coś pośredniego między panoptikum a cmentarzem. Nie kończąc jednej inwestycji, rzucali się w następną; po kolei roztrwonili szansę dwudysznych i członkonogich, bo wykończyli je tchwakami; gdyby nie ja, w ogóle nie doszłoby do wieku pary i elektryczności, bo "zapomnieli" o kartonie, tj. o rozsadzaniu tych drzew, z których miał powstać

węgiel dla przyszłych maszyn parowych.

Podczas lustracji tylko ręce łamałem; cała planeta była zavalona truchłami i wrakami, specjalnie zaś dokazywał Bosch - gdy go pytałem, po co ten Rhamphomychus z ogonem ściągniętym z dzieciennego latawca, czy mu nie wstyd za Proboscidae, po co jaszczurkom na plecach kolce jak sztachety, mówił, że nie rozumiem twórczej pasji. Zażądałem ukazania, gdzie się wobec tego stanu rzeczy ma wylęgnąć rozum; było to pytanie retoryczne, bo nawzajem pozagwaźdzali sobie wszystkie obiecujące kierunki. Nie narzucałem im gotowych rozwiązań, lecz wspominałem uprzednio o ptakach, o orłach, tymczasem temu, co latało, zmikrominiaturyzowali już głowy, a to, co jak struś biegało, doprowadzili do kompletnego zidiocenia. Nie zostało nic prócz alternatywy: albo wyrób Człowieka Rozumnego z marginalnych odpadów, albo tak zwana ewolucja z przepychem, tj. z przebijaniem siłą zaczopowanych linii rozwoju. Lecz przepych był niedopuszczalny, bo takie wyraźne ingerencje zostałyby potem rozpoznane przez paleontologów jako cudowne; tymczasem dawno już zabroniłem wszelkiego cudotwórstwa, by nie wprowadzać w błąd przyszłych pokoleń.

Wszystkich wyuzdanych projektantów rozesłałem na cztery wiatry, to jest czasy; potem doszło do hekatombi ich poronionych płodów, bo - nie dopracowane - powyzdychały milionami. To, co mówiono, jakobym kazał wytłuc te gatunki, należy do repertuaru oszczerstw, jakich mi nie skąpono. To nie ja przesuwałem życie z kąta w kąt procesu ewolucyjnego jak szafę, nie ja zdublowałem trąbę amebododonowi, nie ja rozdmuchałem wielbłąda (Gigantocamelus) do rozmiarów słonia, nie ja bawiłem się w wieloryby, nie ja doprowadziłem mamuty do samozagłady, bo żyłem ideą Projektu, a nie rozpustnej zabawy, w jaką zespół Goodlaya obrócił sobie Ewolucję. Eycka i Boscha zesłałem w średniowiecze, Ohmera zaś, za to, że parodiował temat HOPSA (sporządził m. innymi człekonia i kobietę-rybę, a jeszcze wyposażoną w wysoki s o p r a n), aż w starożytność, do Tracji. I znowu zaszło to, z czym się i później jeszcze nieraz spotykałem. Wygnańcy, zdjęci ze stanowisk, nie mogąc tworzyć realnie, rozładowywali frustrację w tworzeniu zastępczym, namiastkowym. Kto ciekaw, co jeszcze miał w zanadru Bosch, może się o tym dowiedzieć oglądając jego obrazy. Oczywiście był to wielki talent. Widać to choćby po tym, jak umiał się dostosować do ducha epoki, stąd pretekstowa tematyka religijna jego płócien, te wszystkie sądy ostateczne i piekła. Zresztą Bosch nie powstrzymał się od niedyskrecji. W "Ogrodzie uciech ziemskich", w "piekle muzycznym" (prawe skrzydło tryptyku) stoi w samym środku dwunastoosobowy chronobus. I co miałem z tym robić?

Co się tyczy H, Ohmera, postąpiłem chyba słusznie, zesyłając go w ślad za jego kreaturami do Grecji starożytnej. To, co malował, zaginęło, zachowały się jednak pisma. Nie wiem, czemu nikt nie poznał się na ich anachroniczności. Czyż nie widać, że nie brał poważnie mieszkańców Olimpu, którzy nawzajem się podgryzają, jednym słowem zachowują się dokładnie tak jak jego koledzy w instytucie? Iliada z Odyseją to opowieści z kluczem; co do choleryka Zeusa. Jest to paszkwil na mnie.

Goodlaya nie usunąłem od razu, bo się za nim Rosenbeisser wstawił: jeśli ten człowiek zawiedzie, rzekł mi, mogę jego, dyrektora naukowego Projektu, zesłać choćby i w archeozoik. Goodlay miał ponoć ukryte rezerwy produkcyjne, a że sprzeciwiałem się koncepcji wykorzystania małych resztek, przystąpił do DRABA (Doskonalenie Racjonalne Antropogenezą Binarną). Nie wierzyłem w jego DRABA, lecz nie oponowałem, bo mówiono już, że utracam wszystkie projekty. Następna lotna kontrola wykazała, że wmusił parę małych ssaków do morza, upodobnił je do ryb, dorobił im radar czołowy i był właśnie na etapie delfina. Ubrdał sobie, że dla nastania harmonii potrzebne są dwa rozumne gatunki: lądowy i wodny. Co za idiotyzm! Toż musiałyby dojść do konfliktów! Powiedziałem mu: "Żadnej rozumnej istoty podwodnej nie będzie!" Delfin został więc już, jaki był, z tym swoim mózgiem na wyrast, i popadliśmy w kryzys.

Cóż było robić, zaczynać ewolucję jeszcze raz od samego początku? Nie miałem na to nerwów. Powiedziałem Goodlayowi, żeby działał wedle własnego uznania, czyli zaaprobowałem małpę jako półprodukt, lecz zobowiązałem go do uestetycznienia modelu, by zaś nie mógł się wykręcać później sianem, posłałem mu wytyczne na

piśmie, oficjalną drogą służbową, nie wchodząc co prawda we wszystkie szczegóły. Podkreśliłem jednak, w jak złym smaku są łyse pośladki i zaleciłem kulturalne podejście do spraw płci, sugerując coś z kwiatów, niezapominajek, paczków, i jeszcze na wyjeździe - musiałem uczestniczyć w posiedzeniu Rady - osobiście prosiłem go, żeby nie paskudził po swojemu, lecz poszukał jakichś ładnych motywów. W pracowni jego panował dziki bałagan, sterczały tam jakieś tramy, tarcice, piły, w związku z miłością? Czyś pan zwariował powiedziałem, miłość na zasadzie piły tarczowej? Musiał mi dać słowo honoru, że porzuci tę piłę, gorliwie przytakiwał, śmiejąc się w kułak, bo już się dowiedział, że jego zwolnienie leży w mojej szufladzie, więc było mu wszystko jedno.

Postanowił zrobić mi na złość. Odgrażał się, opowiadając na prawo i lewo, że dyrektorowi (to znaczy mnie) oko zbieleje, jak wróci; jakoż w samej rzeczy zatrząsałem się; mocny Boże, wezwałem go niezwłocznie, udawał służbistę: twierdził, że trzymał się wytycznych! Zamiast zlikwidować tę łysinę z tyłu, ogolił całą małą, czyli zrobił na odwrót, no a co do miłości i płci, to już był z jego strony sabotaż. Sam wybór miejsca! Zresztą cóż się będę rozwodził nad tą dywersją. Jaki był jej efekt, każdy widzi. Natrudził się pan inżynier! Jakie te mały były, takie były, ale przynajmniej jarosze. Przydał im mięsożerność.

Zwołałem nadzwyczajne zebranie Rady w sprawie benignizacji homo sapiens, na którym usłyszałem, że tego się już nie odrobi za jednym zamachem; trzeba by zwinąć ze dwadzieścia pięć, a to i trzydzieści milionów lat; przegłosowano mnie, nie skorzystałem z prawa weta, może i źle zrobiłem, ale już byłem na ostatnich nogach. Zresztą miałem sygnały z XVIII i XIX wieku; żeby sobie ułatwić życie, funkcjonariusze MOIRY, którym nie chciało się jeździć wciąż tam i z powrotem w czasie, pourządzali się w różnych starych zamkach, pałacach, po piwnicach, nie zachowując najmniejszych środków ostrożności, aż poszły gadki o duszach potępionych, o dzwonieniu łańcuchami (odgłos zapuszczanego chronocykla); o widmach (bo się nosili białe, jakby nie można było znaleźć lepszej barwy dla mundurów), namęcili ludziom w głowach, powystraszcili przenikaniem przez ściany i mury (odjazd w czasie zawsze tak wygląda, bo chronocykl stoi, a ziemia się dalej kręci), jednym słowem narozrabiali tak, aż się z tego narodził romantyzm. Po ukaraniu winnych wzięłem się do Goodlaya i Rosenbeissera.

Zesłałem ich obu. Wiedziałem, że tego mi Rada Naukowa nie zapomni. Zresztą jestem lojalny: Rosenbeisser, który wobec mnie zachował się potem w sposób skandaliczny, na zesłaniu postępował dosyć przyzwoicie (jako Julian Apostata). Zrobił niejedno, żeby poprawić w Bizancjum byt najuboższych. Jak z tego widać, zawiódł na swoim stanowisku, bo do niego nie dorósł. Cesarzować jest łatwiej, niż kierować naprawą całych dziejów.

Tak zamknęła się druga faza Projektu. Przekazałem prawa działania resortowi do spraw socjalnych, bo doskonalić mogliśmy już tylko cywilizowaną historię. Biorąc się do rzeczy, Totteles i Latton nie posiadali się z radości, że ich poprzednikom tak się noga powinęła, a jednocześnie z g ó r y zastrzegali się, asekuranci, że teraz nie można już oczekiwać nazbyt wiele po TEOHIPHIPffi, przy takim homo sapiens!

Harry S. Totteles powierzył wykonanie pierwszego eksperymentalnego programu naprawy chonalergistom. Byli to Khand el Abr, Canne de la Breux, Guirre Andaule i G.I.R. Andoll. Zespołem zawiadywał bezpośrednio inż. dziejoczyńca Hemdreisser. On i jego koledzy zaplanowali przyspieszenie kulturalizacji przez akcelerację urbanizacyjną. W dolnym Egipcie XII czy też XIII Dynastii, bo już nie pamiętam, nagromadzili zwały budulca przy pomocy czasowych nasłańców, zwanych u nas potocznie "temporalnymi wtyczkami", podnieśli poziom budowlanych technik, ale przez niedostatek nadzoru plan uległ wypaczeniu. Krótko mówiąc, zamiast do masowego budownictwa mieszkaniowego, doszło w ramach kultu jednostek do budowania na diabła nikomu niepotrzebnych grobowców różnym faraonom. Zesłałem cały zespół na Krete; stąd się wziął pałac Minosa. Nie wiem, czy to prawda, co mówił mi Betterpart, że zesłańcy zwaśnili się, poszli hurmą na byłego szefa i zamknęli go w labiryncie. Nie wejrzałem w akta, więc, jak mówię, nie mam pewności, ale Hemdreisser nie wygląda mi na Minotaura.

Postanowiłem skończyć z partyzantką i zażądałem przedłożenia projektów o kompleksowym charakterze. Należało się zdecydować, czy działamy jawnie, czy skrycie, to jest, czy ludzie różnych epok mogą w ogóle dojść tego, że im ktoś pomaga spoza historii. Totteles, raczej liberał, opowiadał się za kryptochronią, której i ja byłem zwolennikiem. Podług alternatywnej strategii trzeba było bowiem wziąć ludy Przeszłości pod jawny Protektorat, co musiało im dać poczucie ubezpieczenia. Powinniśmy więc byli działać zarazem pomocnie, ale i tajnie. Latton się temu sprzeciwiał, miał bowiem w głowie idealny plan państwa, do którego chciał dociągnąć wszystkie społeczności.

Przeważylem szalę na rzecz Tottelesa, który przedstawił mi jednego z młodszych, ponoć najlepszych swoich pracowników; ten jego asystent, mgr A. Donnai, był wynalazcą monoteizmu. Bóg, tłumaczył mi, nikomu jako czysta idea nie zaszkodzi, a nam, optymalizatorom, rozwiąże ręce, bo zgodnie z Projektem decyzje Boże są nieodgadnione: ludzie pojąć ich nie mogą, więc nie będą się niczego czepiali, a zarazem nie będą podejrzewali, że im się ktoś w historię wtrąca - telechronicznie. Brzmiała ta koncepcja niby nieźle, na wszelki wypadek jednak dałem młodemu magistrowi tylko mały próbny poligon, i to jeszcze w odległym zakątku świata, bo w Azji Mniejszej; w ten sposób dostał do dyspozycji plemię Judy. Jego pomocnikiem był inż. dziejoczyńca H. Yobb. Kontrola wykazała, że dopuścili się ciężkich wykroczeń. Już mniejsza, że Donnai polecił wykonać zrzut 60 000 ton pęczaku podczas jakiejś pustynnej wędrówki Żydów; "dyskretna pomoc", jaką miał im świadczyć, sprowadzała się do tyłu ingerencji (otwierał i zamykał Morze Czerwone, na wrogów Judy wysyłał zdalnie sterowaną szarańczę), że podopiecznym się od tego w głowach przewróciło; uznali się za naród wybrany.

Było rzeczą typową, że gdy jakiś plan zawodził w realizacji, jego autor, zamiast zmienić taktykę, stosował coraz potężniejsze bodźce materialne. A. Donnai przeszedł wszystkich, bo zastosował napalm. Czemu na to zezwoliłem? Też mi pytanie! Po prostu o niczym nie wiedziałem. Na poligonie Instytutu demonstrował tylko zdalne podpalanie krzaka i zapewniał, że podobnie będzie działał w przeszłości, ot, spali się trochę suchych kaktusów na pustyni; pokazy te miały wspomóc uwewnętrznienie norm moralnych. Po zesłaniu go na Półwysep Synajski najsurowiej zabroniłem wszystkim kierownikom zespołów udzielania koncesji na akcje z nadprzyrodzoną przykrywką. Inna rzecz, że to, czego Donnai i Yobb zdążyli dokonać, miało historyczne przedłużenia.

Ale tak jest zawsze. Każda ingerencja telechroniczna zapoczątkowuje lawinę zjawisk, której nie stłumi się bez użycia odpowiednich środków; wywołują one inną z kolei perturbację, i tak bez końca. A. Donnai zachowywał się na zesłaniu nader niewłaściwie, wykorzystał bowiem famę, jakiej poprzednio dorobił się na stanowisku dziejoczyńcy. Nie mógł już wprawdzie robić "cudów", lecz przetrwała o nich pamięć. Co do H. Yobba, wiem, że mówiono, jakoby nasyłał nań histomandosów, lecz jest to oszczerstwo. Nie znam szczegółów sprawy, boż nie mogłem się zajmować takimi detalami; podobno poróżnił się z A. Donnaiem i ten tak mu dopiekał, aż poszła stąd legenda Hioba. Najgorzej wyszli na tym eksperymencie Żydzi, bo uwierzyli w swą wyjątkową pozycję, więc kiedy się zwinęło Projekt, zakosztowali niejednej goryczy tak w ojczyźnie, jak podczas diaspory. Już nie będę mówił, co na ten temat o mnie opowiadali moi przeciwnicy w Projekcie.

Zresztą wchodził on w fazę najcięższych przesileń. Ponoszę za nie o tyle winę, że ustąpiwszy Tottelesowi i Lattonowi pozwoliłem ulepszać historię na szerokim froncie, to jest nie w izolowanych miejscach i momentach, lecz na całej długości temporalnej dziejów. Strategia owej melioracji, zwanej integralną, doprowadziła do zamącenia obrazu działań; by temu zapobiec, poumieszczałem w każdym stuleciu grupy obserwatorów, Lattonowi zaś dałem pełnomocnictwa do zorganizowania tajnej chroniczki, która miała zwalczać chuligaństwo w czasie.

Chuligaństwo to, którego bym i w koszmarnym śnie sobie nie wystawił, łączy się z tak zwaną aferą mioteł. Dopuściły się jej grupy rozwydrzonych wyrostków, po części rekrutujących się z naszego personelu pomocniczego, laborantów, sekretarek itp. Bezlik średniowiecznych bają o konszachtach z diabłami, o inkubach i sukubach, o sabatach, procesy czarownic, kuszenia świętych itp.,

wzięły się z "dzikiej" chronomocji, uprawianej przez młodzież wyzbytą pionu moralnego. Chronocykl indywidualny stanowi rurę z siodełkiem i lejem wylotowym, toteż, zwłaszcza przy niedostatecznym oświetleniu, można go wziąć za miotłę. Różne bezwstydnice wypuszczały się na przejażdżki, najchętniej nocą, by straszyc wieśniaków wczesnego średniowiecza. Mało, że jeździły im lotem koszącym nad głowami, śmiały wyruszać w XIII czy XII wiek w drastycznym dezabilu (topless), coś więc dziwnego, że brano je w braku lepszych określić za gołe wiedźmy, pędzące okrakiem na miotłach. Dziwnym zbiegiem okoliczności w śledztwie i wykryciu winnych dopomógł mi H. Bosch, przebywający już na zesłaniu, nie tracił bowiem przytomności na widok byle czasownika, i jak żywych sportretował w swym cyklu "piekielnym", nie żadnych diabłów, lecz dziesiątki nielegalnych chronocyklistów z towarzyszami, co przyszło mu tym łatwiej, że wielu znał osobiście.

Zważywszy, ile ofiar pociągnęły za sobą wybryki chronoligańskie, zesłałem winnych siedemset lat wstecz ("Kontestatorzy XX wieczni"). Tymczasem, ponieważ front robót rozszerzył się na z górą czterdzieści wieków, N. Betterpart, naczelny szef MOIRY, oświadczył mi, że nie panuje nad sytuacją i domaga się specjalnych posiłków w postaci awaryjnych brygad czasochroniarzy. Jęliśmy angażować mnóstwo nowych pracowników, których wysyłano od razu tam, skąd szły sygnały alarmowe, chociaż często byli to funkcjonariusze nie doszkoleni. Ich koncentracje w kilku wiekach doprowadziły do poważnych incydentów w rodzaju wędrowek ludów; a chociaż usiłowaliśmy maskować pojawienie się każdego takiego desantu, w XX wieku (wokół jego połowy) rozpowszechniły się pogłoski o "talerzach latających", ponieważ cyrkulacji wieści sprzyjała już rozwinięta tam technika masowych środków przekazu.

Było to jednak niczym w porównaniu z nową aferą, której sprawcą, a potem główną postacią okazał się sam szef MOIRY. Otrzymywałem meldunki z czasu, że ludzie jego nie tyle obserwują postępy melioracji, ile aktywnie włączają się w historyczny proces, i to nie po myśli wskazań Lattona i Tottelesa, lecz w oparciu o własną politykę temporalną, jaką uprawiał w najlepsze Betterpart. Nim zdążyłem zdjąć go ze stanowiska, ulotnił się, to jest uciekł w XVIII wiek, bo mógł tam liczyć na swoich chronicjantów; ani się obejrzałem, a został cesarzem Francji. Ten obrzydły występek domagał się surowej kary; Latton radził mi rzucić brygadę odwodową na Wersal w 1807, lecz były to pomysły nie do przyjęcia, wszak taki najazd musiałby wywołać niesłychaną perturbację w całej historii późniejszej - ludzkość uświadomiłaby sobie odtąd, że znajduje się pod kuratela. Roztropniejszy Totties opracował plany "naturalnego", to jest kryptochronicznego ukarania Napoleona, zaczęło się montowanie koalicji antybonaparty stycznej, wojenne pochody, coś, kiedy szef MOIRY od razu poczuł pismo nosem i, nie czekając, sam przeszedł do ataku; nie darmo był strategiem zawodowym, teorię miał w małym palcu, więc pobił po kolei wszystkich wrogów, których mu Totteles sprowadził na kark; wyglądało na to, że się go przytrzaśnie w Rosji, lecz i z tej wyprawy wykaraskał się jakoś, a tu pół Europy leżało już w ruinie i zgliszczach; dopiero odsunawszy moich panów dziejoczyńców na bok, sam dałem Napoleonowi radę pod Waterloo. Byłóż mi się zresztą czym chwalić!

Napoleon uciekł z Elby, bo nie mogłem dopilnować porządniejszego zesłania, tyle innych spraw nagliło; teraz już winni wykroczeń nie siedzieli biernie na swych stołkach, lecz uciekali pierwsi w głęboką przeszłość, szmuglując środki ułatwiające zdobycie famy czy aureoli niebywałych potęg (stąd się wzięli alchemicy, Cagliostro, Szymon Mag i dziesiątki innych). Dochodziły mnie informacje, jakich nie mogłem w ogóle sprawdzić, np. że Atlantydy wcale nie zatopił rykoszet operacji GENEZIS, lecz dr Boloney, z premedytacją, bym nie mógł dojść tego, co tam narozrabiał. Jednym słowem, wszystko mi się waliło. Straciłem wiarę w sukces, a co najgorsze, stałem się podejrzliwy. Nie wiedziałem już, co jest skutkiem optymalizacji, co wynikiem jej zaniechania, a co malwersacją i samowolą sekularnych chronicjantów.

Postanowiłem zabrać się do rzeczy od drugiego końca. Wziąłem Wielką Historię Powszechną w dwunastu tomach i jałem ją studiować, a gdzie tylko coś mi wyglądało podejrzanie, wysyłałem lotną kontrolę. Było tak np. z kardynałem Richelieu; sprawdziwszy w MOIRZE i upewniwszy się, że nie był to nasz agent,

kazałem Lattonowi posłać tam inteligentnego kontrolera. Powierzył tę misję niejakiemu Reichplatzowi; coś mnie tknęło, żeby zajrzeć do słownika; zdrętwiałem, przekonawszy się, że Richelieu i Reichplatz znaczy to samo - mianowicie "Bogate miejsce" - ale było już za późno, bo już się wtarł w wyższe sfery dworskie i został szarą eminencją Ludwika XVI. Nie ruszyłem go, bo po wojnach napoleońskich wiedziałem już, czym pachną takie próby.

Nabrzmiewał tymczasem inny problem. W poszczególnych wiekach wprost roiło się od zesłańców; chronicznie nie mogła ich upilnować - gdy siali plotki, zabobony, żeby mi robić na złość, albo wręcz usiłowali przekupić kontrolerów; jałem więc kierować wszystkich, którzy coś przeszkrobali, w jedno miejsce i w jeden czas, mianowicie do starożytnej Grecji, efekt zaś był taki, że właśnie tam najprędzej rozwinęła się wysoka kultura; w takich Atenach okazało się więcej filozofów niż w całej reszcie Europy. Było to już po zesłaniu Lattona i Tottelesa; obaj nadużyli mego zaufania; Latton, jeden z najbardziej twardogłowych radykałów, sabotując moje polecenia, uprawiał własną politykę (wykład jej można znaleźć w jego Republice), skrajnie antydemokratyczną, co tam, opartą na ucisku, ot, Państwa Środka, kastowa struktura Indii, Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, a nawet to, że od 1868 roku Japończycy wierzą w boskość Mikada, jest jego sprawką. Co do tego, czy wyswatał niejaka Schicklgruber, aby urodziło się wiadome dziecko, które pół Europy puściło z dymem, nie mam zupełnej pewności, bo mi to Totteles mówił, a darli z Lattonemkoty.

Latton był projektantem państwa Azteków, Totteles zaś nasłał mu tam Hiszpanów; w ostatniej chwili otrzymawszy raporty MOIRY, kazałem opóźnić wyprawę Kolumba, a w Południowej Ameryce podchodzić konie, bo jazda Corteza nie wytrzymałaby konnicy Indian, lecz nawalili kooperanci, konie powyzydychały jeszcze w czwartorzędzie, kiedy żadnych Indian nie było, więc nie miał kto ciągnąć wozów bojowych, jakkolwiek koło dostarczono w porę; co do Kolumba, udało mu się w 1492, bo posmarował kogo należało. Tak wyglądała ta optymalizacja. Zarzucano mi nawet to, że jakby mały jeszcze był natłok filozofów w Grecji, skierowałem tam H. S. Tottelesa i P. Lattona. Kłamstwo! Właśnie, by okazać ludzkość, pozwoliłem im wybrać czas i miejsce zesłania; co prawda osadziłem P. Lattona nie całkiem tam, gdzie się pchał, lecz w Syrakuzach, wiedziałem bowiem, że w mieście tym, na skutek toczących się wojen, nie będzie mógł wcielić w życie swojej ukochanej idejki "Państwa Filozofów".

Harry S. Totteles został, jak wiadomo, preceptorem młodego Aleksandra Macedońskiego. Winien był niedopatrzeń o koszmarnych skutkach, bo zawsze miał tego swojego feblika do układania wielkich encyklopedii i bawił się w klasyfikowanie oraz ogólną metodologię Teorii Doskonałego Projektu, podczas gdy za jego plecami działały się dziwne rzeczy: główny księgowy uciekł przed kontrolą, zmówiwszy się ze znajomym pletwonurkiem, wyłowili złoto Montezumy z tego kanału, w którym zatonoło podczas ucieczki ludzi Corteza, i zaczęli w 1922 roku grać na giełdzie; kradzione nie tuczy i doprowadzili do słynnego krachu w r. 1929. Nie uważam, żebym skrzywdził Arystotelesa, bo mnie zawdzięcza sławę, która za niedociągnięcia w Projekcie na pewno mu się nie należała. Toteż z kolei mówiono, że pod pozorem zsyłek i rotacji zaprowadziłem nepotyczną karuzelę i mam dla starych kumpli luksusowe synekury po wszystkich wiekach. Lecz tak już wieszano na mnie psy, że cokolwiek bym zrobił, miano mi za złe.

Nie mogę wdawać się w szczegóły, nie będę się więc rozwodził nad aluzjami do mojej osoby, zawartymi w pismach Platona i Arystotelesa. Oczywiście nie odczuwali wdzięczności za zesłanie, ale nie dbałem o niczyje resentymenty, skoro ważyły się losy ludzkości. Inna sprawa z Grecją, której upadek ciężko przeżyłem. To nieprawda, że spowodowałem go masówkami filozofów; Latton opiekował się nią, przez wzgląd na Spartę, bo chciał ją wykierować na modłę swej ukochanej utopii, więc po jego zdjęciu nikt już nie wspierał Spartan i ulegli perskiej nawale; cóż jednak mogłem na to poradzić? Protekcjonizm lokalny był nie do przyjęcia, toż mieliśmy roztoczyć opiekę nad całą ludzkością, a tu już zagadnienie zesłań nadwerężało największe plany; w przyszłość nikogo wygnąć nie mogłem, boż się tam pilnowali, a ponieważ kto żyw ze skazanych prosił się na Lazurowe Wybrzeże, uległem, moc osób posiadających wyższe wykształcenie skoncentrowała się wokół Morza Śródziemnego, i ot, skąd się wziął właśnie tam wschód cywilizacji, a potem

i kultury Zachodu.

Co do Spinozy, był to, przyznaję, bardzo porządny człowiek, ale dopuścił do krucjat, to znaczy, nie sam je spowodował; Spinozą obsadziłem wakaty po Lattonie, sam miał kryształowy charakter, lecz dystrakt, jakich mało, podpisywał, nie patrząc, co mu podsunięto, dał nieograniczoną plenipotencję Lówenherzowi (Lwie Serce), ktoś tam w XIII wieku coś zmajstrował, i jak się zaczęło szukanie winnego, Lówenherz rzucał tam chronobus za chronobusem tajniaków, więc poszukiwany, nie pamiętam, kto to był, doprowadził do krucjat, by schować się w powstałym zamęcie. Nie wiedziałem, co zrobić ze Spinozą, Grecja już trzeszczała od podobnych mu myślicieli, najpierw kazałem go puścić tam i z powrotem przez wszystkie stulecia, żeby się huśtał z czterdziestowiekową amplitudą, stąd poszła legenda o Żydzie Wiecznym Tułaczem, za każdym jednak pasażem przez naszą teraźniejszość uskarżał się na fatygę, więc w końcu skierowałem go do Amsterdamu, bo lubił majsterkować, a tam mógł sobie szlifować diamenty.

Rozpytywano mnie nieraz, czemu żaden z zesłańców nie przyznaje się do tego, skąd przybywa. Ładnie by na tym wyszedł. Toż każdy, kto by prawdę mówił, zaraz powędrowałby do czubków. Czy nie wzięto by przed XX wiekiem za wariata człowieka rozpowiadającego, że ze zwykłej wody można zrobić bombę, zdolną rozzerwać cały glob na kawałki? A przecież przed XXIII wiekiem nie znano chronomocji. Ponadto takie wyznania obnażyłyby plagiatowość prac wielu zesłańców. Mieli zakaz przepowiadania przyszłości, lecz i tak niejedno wypapłali. W średniowieczu nie wracano na to na szczęście uwagi (myślę o wzmiankach na temat odrzutowców i batyskafów u Bacona i o komputerach w ARS MAGNA Lulla), gorzej było z nieopatrznie zesłanymi w XX wiek; nazwawszy się "futurologami", jęli zdradzać tajemnice służbowe.

Na szczęście A. Tylla, nowy szef MOIRY po Napoleonie, zastosował tak zwaną taktykę systemu Babel. Z nią była taka sprawa. Szesnastu inżynierów czasu, zesłanych karnie do Azji Mniejszej, postanowiło zbudować chronociąg dla ucieczki, pod pozorem wznoszenia jakiejś baszty czy wieży, nazwa jej oznaczała kryptonimowe hasło spisku (Budujemy Agregat Bezprzewodowej Emisji Ludzi); MOIRA, wypatrzwszy ich prace w dość zaawansowanym stadium, skierowała tam jako "nowych zesłańców" własnych specjalistów, którzy rozmyślnie wprowadzili w konstrukcyjny plan takie błędy, że urządzenie rozleciało się przy pierwszej próbie rozruchu. Tylla powtórzył ten manewr "pomieszania języków", rzucając grupy dywersyjne w XX wiek; zdyskredytowały one kandydatów na przepowiadaczy przyszłości, produkując rozmaite bajędy - tak zwaną science fiction - i wprowadziwszy w szereg futurologów naszego tajniaka, niejakiego McLuhana.

Co prawda, kiedy przeczytałem banialuki spreparowane przez MOIRE, które McLuhan miał rozpowszechnić jako "prognozy", za głowę się złapałem, bo nie wydawało mi się możliwe, żeby ktokolwiek z mózgiem na właściwym miejscu mógł choć przez sekundę wziąć serio androny o "globalnej wsi", ku jakiej świat niby zmierza, i dalsze nonsensy tkwiące w owym pasztecie. Tymczasem okazało się, że McLuhan zrobił znacznie większą furorę niż wszyscy faceci zdradzający szczerą prawdę; pozyskał taką sławę, że w końcu zaczął, jak się wydaje, sam wierzyć w absurdy, które kazaliśmy mu rozgłaszać. Nie ruszyliśmy go zresztą, boż to nam wcale nie szkodziło. Co do Swiftajego Podróży Gulliwera, w których jak wół stoi wzmianka o dwóch małych księżycach Marsa ze wszystkimi elementami ruchu, jakich nikt nie mógł znać w jego czasie, rzecz była skutkiem idiotycznego nieporozumienia. Dane orbitalne księżyców Marsa stanowiły wówczas hasło rozpoznawcze grupy naszych kontrolerów w Anglii południowej i jeden z nich, krótkowidz, wziął w szynku Swifta za nowego agenta, z którym miał się tam spotkać; nie zameldował o pomyłce, bo myślał, że Swift nie rozumiał nic z jego słów, tymczasem parę lat później (1726) w pierwszym wydaniu Podróży Gulliwera przeczytaliśmy dane dotyczące obu marsjańskich księżyców; rozpoznawcze hasło uległo niezwłocznej zmianie, lecz passus ten musiał już pozostać w druku.

Tego rodzaju drobiazgi nie miały w końcu znaczenia; inna rzecz z Platonem; zawsze przejmuję mnie litość, gdy czytam jego opowieść o jaskini, w której siedzi się plecami do świata, widząc na ścianach ledwo jego cienie. Cóż dziwnego w tym, że miał XXVII wiek za jedyną autentyczną rzeczywistość, a prymitywny

czas, w jakim go uwięziłem, wydawał mu się "mroczną jaskinią"? A jego doktryna o wiedzy, stanowiącej tylko "przypominanie sobie" tego, co kiedyś, "przed życiem", wiedziało się znacznie l e - piej, jest aluzją jeszcze bardziej jaskrawa.

Tymczasem waliły się na mnie coraz cięższe kłopoty. Musiałem zesłać Tyllę, bo pomógł Napoleonowi uciec z Elby; wybrałem tym razem na miejsce zesłania Mongolię, bo okropnie wściekły odgrażał się, że go popamiętam; nie wyobrażałem sobie, co by też mógł narobić wśród tych pustkowi, a jednak dotrzymał słowa. Widząc, co się dzieje, projektanci prześcigali się w wymyślaniu coraz dziwniejszych planów. Na przykład, żeby dostarczać potrzebującym ludom masy towarowej całymi chronociągami - lecz to wstrzymałoby wszelki postęp. To znów, by wziąć jaki milion światłych obywateli naszej współczesności i rzucić desantem w paleolit; wyborna myśl, lecz co miałem począć z ludzkością już siedzącą tam w jaskiniach?

Lektura tych planów wzbudziła we mnie podejrzenia przy lustracji XX wieku. Czy nie podtykano tam masowych środków zagłady? Podobno paru radykałów w Instytucie chciało skrócić czas w koło, żeby się nowożytność gdzieś po XXI wieku zrosła z prehistorią. W ten sposób wszystko miało ruszyć jeszcze raz od samego początku, a lepiej. Idea chorobliwa, fantastyczna, szalona, ale widziałem jakby oznaki przygotowań. Zrost wymagał uprzedniego wyburzenia cywilizacji istniejącej, "powrotu do Natury", jakoż od połowy XX wieku narastało zdziczenie, porywanie, wysadzanie, młodzież z roku na rok kudłaciała, zezwierzęceniu ulegała cała erotyka, pojawiały się hordy obrosłych łachmaniarzy, oddające rykami część nie Słońcu już, lecz jakimś gwiazdom czy gwiazdorom, rozlegały się nawoływania do destrukcji techniki, nauki, nawet zwani naukowcami futurologowie głosili - z czyjego poduszczenia?! - nadchodzącą katastrofę, upadek, kres, tu i tam budowano już nawet jaskinie, nazywając je, chyba dla niepoznaki, schronami.

Postanowiłem więc skoncentrować się na następnych stuleciach, bo mi to pachniało robotą zawrotową, to jest zawracającą czas z powrotem, właśnie w myśl teorii koła, kiedy otrzymałem zaproszenie na nadzwyczajną sesję Rady Naukowej. Przyjaciele powiedzieli mi w sekrecie, że ma się tam odbyć sąd nade mną. Nie oderwało mnie to od pełnienia obowiązków. Ostatnią czynnością moją było rozstrzygnięcie sprawy niejakiego Adia, który, pracując jako funkcjonariusz nadzoru, przywiózł sobie z XII wieku dziewczę porwane w szczerym polu; dopadnięta, na oczach tłumu, w jasny dzień wciągnął na chronocykl; poczytano ją za świętą, a uwiedzenie w czasie - za wniebowzięcie. Dawno już powinienem był go wydalić, był to skończony brutal, o powierzchowności niezwykle odpychającej, podobny do goryla z tymi swoimi głęboko osadzonymi oczkami i ciężką szczęką, ale obawiałem się posądzenia o awersję osobistą. Teraz jednak zesłałem go, i to na wszelki wypadek bardzo daleko - o 65 000 lat wstecz; został jaskiniowym Casanova i zrodził neandertalczyków.

Poszedłem na sesję z podniesionym czołem, bo nie poczuwałem się do żadnych win. Trwała ponad dziesięć godzin; nasłuchiwałem się co niemiara oskarżeń. Zarzucano mi samowolę, komenderowanie uczonymi, lekceważenie opinii ekspertów, faworyzowanie Grecji, upadek Rzymu, sprawę Cezara (i to było oszczerstwem: żadnego Brutusa nigdzie nie wysyłałem), aferę Reichplatza, to jest kardynała Richelieu, nadużycia w pionie MOIRY i tajnej chronicji, papieży i antypapieży (w istocie "mroki średniowiecza" spowodował Betterpart, który, zgodnie ze swoją ulubioną regułą "silnej ręki", powtykał między VIII a XIII wiekiem tylu konfidentów, że doszło do zamordyzmu i upadku kultury).

Lektura aktu oskarżenia, sformułowanego w 7 000 paragrafów, była w gruncie rzeczy publicznym czytaniem podręcznika historii. Nasłuchiwałem się za A. Donnaia, za krzak ognisty. Sodomę i Gomorę, za wikingów, za koła bojowych wozów małoazjatyckich, za brak kół u wozów południowoamerykańskich, za krucjaty, rzeź albigensów, Bertholda Schwarza z jego prochem (a gdzie go miałem zesłać, w starożytność, żeby się już w niej kartaczowano?), i tak dalej - bez końca. Nic się teraz szanownej radzie nie podobało, ani Reformacja, ani Kontrreformacja, a ci, którzy przedtem pchali się do mnie właśnie z tymi projektami, zapewniając o ich zbawiennym charakterze (Rosenbeisser niemal z klęczek błagał o zezwolenie na Reformację), siedzieli teraz jak na tureckim kazaniu.

W ostatnim słowie, gdy mi go udzielono, oświadczyłem, że w ogóle nie zamierzam się bronić. Przyszła historia nas rozsądzi. Pozwoliłem sobie, wyznając, na jedną szyderczą uwagę pod koniec wystąpienia. Powiedziałem mianowicie, że jedyny postęp i dóbr o, jakie wykazują Dzieje po robotach Projektu, jest wyłącznie moja zasługa. Idzie bowiem o dodatnie skutki masowych zsyłek, jakie podejmowałem. Mnie zawdzięcza ludzkość Homera, Platona, Arystotelesa, Boskoviccia, Leonarda da Vinci, Boscha, Spinozę i niezliczonych anonimów, co wsparli jej twórczy wysiłek w stuleciach. Jakkolwiek srogi bywał los wygnańców, zasłużyli nań, a zarazem odkupili dzięki mnie swe winy przed Historią, bo wspierali ją podług sił - ale dopiero po zdjęciu z wysokich stanowisk w Projekcie! Gdyby natomiast ktoś chciał sprawdzić, co równolegle działo się fachowcy Projektu, niechże popatrzy na Marsa, Jowisza, Wenerę, na zmasakrowany Księżyc, niech sobie obejrzy grób Atlantydy na dnie Atlantyku, niech podliczy ofiary obu wielkich epok lodowcowych, plag, epidemii, morów, wojen, religijnych fanatyzmów - jednym słowem, niechże się przypatrzy Historii Powszechnej, która po "naprawieniu" stała się jednym pobożewiskiem planów melioracyjnych, chaosem i zakłóceniem. Historia jest ofiarą Instytutu, panującej w nim atmosfery rozrabiactwa, bałaganu, krótkowzroczności, improwizowania, ciągłych intryg, niekompetencji, i gdyby to ode mnie zależało, wysyłałbym wszystkich pp. dziejoczyńców tam, gdzie brontozaury zimują.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że moje słowa zostały przyjęte raczej kwaśno. Chociaż miało to być ostatnie słowo, do głosu zapisało się jeszcze kilku godnych czasowników, ot, jak I. G. Noranz, M. Taguele i sam Rosenbeisser, obecny na sesji, bo już go zdążyli godni koledzy ściągnąć na powrót z Bizancjum; znając z góry wynik głosowania, co miało przesądzić o moim dyrektorstwie, zainscenizowali "śmierć na polu bitwy" Juliana Apostaty (363), bo tak mu zależało na obecności w tym widowisku. Nim się odezwał, poprosiłem o głos w kwestii formalnej, by spytać, od kiedyż to jacyś bizantyńscy cesarze mają prawo uczestniczenia w obradach Instytutu, lecz nikt nie raczył mi nawet odpowiedzieć.

Rosenbeisser przygotował się specjalnie, musiał jeszcze w Konstantynopolu otrzymać materiały; tej zmywy, szytej grubymi nićmi, nikt nie starał się nawet przede mną ukryć. Oskarżał mnie o dyletantyzm i udawanie znawcy m u z y - k i, które przy moim dębowym słuchu spowodowało poważne wypaczenia rozwoju fizyki teoretycznej. Miało z tym być według słów pana profesora tak: przebadawszy zdalnym sondowaniem inteligencję wszystkich dzieci na przełomie XIX i XX wieku, nasz Hyperputer wykrył malców zdolnych w wieku młodzieńczym do sformułowania zasady równoważności materii i energii, kluczowej dla wyzwolenia mocy atomu. Byli to między innymi Pierre Solitaire, T. Adnokamenjak, Stanisław Razgłaz, John Onestone, Trofim OdincewBułyżnikow, Arystydes Monolapides i Giovanni Unopetra - oprócz małego Albertka Einsteina. Ośmieliłem się faworyzować tego ostatniego, bo mi się spodobała jego gra na skrzypcach; po latach doszło przez to do zrzucenia bomb w Japonii.

Rosenbeisser poprzekręcał fakty w sposób tak bezwstydnym, że mi dech zapało. Gra na skrzypcach nie miała tu nic do rzeczy. Oszczyca zwałił na mnie własną winę. Hyperputer, modelując prognostycznie dalszy bieg zająć, przepowiedział bombę atomową we Włoszech Mussoliniego dla teorii względności Unopetry i serię jeszcze gorszych kataklizmów dla pozostałych malców. Zdecydowałem się na Einsteina, bo był grzecznym dzieckiem, a za to, do czego doszło później z atomami, ani on, ani ja nie możemy odpowiadać. Postąpiłem wbrew radom Rosenbeissera, który zalecał "profilaktyczne ogołocenie Ziemi z dzieci w wieku przedszkolnym po to, żeby energię atomową wyzwolono w bezpiecznym wieku XXI, i nawet sprezentował mi chronicjanta, który gotów był podjąć się tej akcji. Oczywiście natychmiast zesłałem tego niebezpiecznego człowieka, nazwiskiem H. Errod, do Azji Mniejszej, gdzie się też dopuścił potwornych czynów; figurowały zresztą w którymś punkcie aktu oskarżenia. A co z nim miałem zrobić? Przecież w jakiś czas musiałem go zesłać? Ale nie powinienem wdawać się w polemikę z górami tak spreparowanych oszczerstw.

Kiedy przegłosowano usunięcie mnie z Projektu, Rosenbeisser kazał mi stawić się niezwłocznie w dyrekcji; zastałem go już siedzącego na moim fotelu jako p.o.

dyrektora. Jak myślicie, kogo ujrzałem w jego otoczeniu? Ależ tak, Goodlaya, Gestimera, Astroianniego, Starshita i pozostałych partaczy; Rosenbeisser zdążył już powyciągać ich ze wszystkich wieków, w których siedzieli. Jemu samemu pobyt w Bizancjum zrobił doskonale; podczas wyprawy przeciw Persom schudł i opalił się, przywiózł monety z wytłoczonym na nich własnym profilem, złote brosze, sygnety i masę ciuchów, które pokazywał właśnie swojej klice, ale zaraz schował je do szuflady, kiedy wszedł, a nadymał się, a siedział, a cedził słowa półgębkiem, nie patrząc na mnie, jak jaki cesarz. Ledwo powściągnąwszy poczucie triumfu, które go rozpierało, rzekł mi z wysoka, że mogę wracać do domu, jeżeli zobowiązę się wykonać pewne zlecenia. Mam mianowicie, przybywszy do siebie, namówić tego Ijona Tichego, który przez cały czas mieszkał u mnie, żeby objął kierownictwo TEOHIPHIPU.

Nagły błysk zrozumienia przewiercił mi umysł. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, czemu właśnie mnie wybrano, żeby do samego siebie posłował! Przecież prognoza Hyperputera pozostawała w mocy, nikt więc nie nadawał się lepiej na stanowisko dyrektora Naprawy Dziejów. Nie działali ze szlachetności, tej nie mieli za grosz, lecz z czystego wyrachowania; jakoż, w samej rzeczy, I. Tichy, który namówił mnie na tę imprezę, pozostał w przeszłości i zamieszkiwał mój dom. Zrozumiałem więcej, że koło czasowe zamknie się dopiero z chwilą, gdy wpadnę - ja teraz - do biblioteki i hamując chronocykl zwalę wszystkie książki z półek. Tamtego Ijona zastanę w kuchni, z patelnią w ręku, i zaskoczę go niespodziewanym pojawieniem, ja bowiem wystąpię teraz w roli posła przyszłości, podczas gdy on, lokator domu, będzie tym, do którego posłuję. Pozorny paradoks sytuacji jest wynikiem nieuchronnego relatywizmu czasów, jaki niesie z sobą opanowanie technologii chronomocyjnej. Perfidia planu, ukutego przez Hyperputer, polegała na tym, że utworzył dubeltowe koło w czasie: małe w dużym. W małym kółku kręciliśmy się na początku z mym sobowtórem, dopóki nie wyraziłem wreszcie zgody na wyjazd w przyszłość. Lecz i potem duże koło nadal pozostało otwarte; dlatego nie rozumiałem podówczas, skąd on się wziął w tej jakiejś przyszłej epoce, z której, jak brzmiały jego słowa, przybywał.

W małym kółku ja byłem wciąż wcześniejszym, a on późniejszym I. Tichym. Dopiero obecnie role miały się odwrócić, ponieważ czasy się przestawiły: ja teraz przybywałem do niego z przyszłości jako poseł; on, obecnie już wcześniejszy, miał wziąć stery Projektu w ręce. Jednym słowem - mieliśmy się ostatecznie zamienić miejscami w czasie. Nie pojmowałem już tylko, czemu mi wówczas w kuchni tego nie zdradził, lecz i to zaraz zrozumiałem, gdyż Rosenbeisser zażądał od mnie słowa honoru, że zachowam grobowe milczenie o wszystkim, co się działo w Projekcie.

Jeśli odmówię zachowania sekretu, zamiast chronocykla otrzymam pensję emerytalną i nigdzie nie wyruszę. Co miałem robić? Wiedzieli, szalbierze, że im nie odmówię. Odmówiłbym, gdyby kandydatem na moje miejsce był każdy inny człowiek, lecz jakże mogłem nie ufać, jako następcy, sobie samemu? A więc z myślą o takiej ewentualności ukuli swój wyrafinowany plan!

Bez honorów, bez pompy, bez jednego dobrego słowa podziękowania, bez jakiegokolwiek uroczystości pożegnalnej, w martwym milczeniu niedawnych współpracowników, co dotąd prawili mi od rana do wieczora same dusery i prześcigali się w podziwianiu mych horyzontów myślowych, a teraz odwracali się na mój widok plecami - poszedłem do hali startowej. Niska złośliwość kazała byłym podwładnym dać mi najbardziej rozchwierutany chronocykl, jaki mieli. Pojmowałem już, czemu na pewno nie zahamuję jak należy i przewrócę wszystkie półki z książkami! Lecz za nic miałem i tę ostatnią wyrządzoną mi zniewagę. Choć chronocyklem koszmarne rzucało na stykach wieków (są to tak zwane przełomy sekularne), bo amortyzatory nie działały, opuszczałem XXVII wiek bez gniewu czy goryczy, myśląc o tym tylko, jak się też powiedzie Telechroniczna Optymalizacja Historii Powszechnej - mojemu następcy.

Gdy po powrocie z XXVII wieku wysłałem I. Tichego do Rosenbeissera, by objął opróżnione przeze mnie stanowisko w TEOHIPHIPIE, co uczynił zresztą z największą niechęcią, i to dopiero po tygodniu gonitwy i awantur w małym kole czasowym, znalazłem się wobec poważnego dylematu.

Czego jak czego, ale naprawiania historii miałem zupełnie dość. Tymczasem było wcale możliwe, że ten Tichy znów zawali Projekt i Rosenbeisser wyśle go po mnie jeszcze raz. Postanowiłem więc nie czekać z założonymi rękami, lecz udać się w Galaktykę, i to możliwie daleko. Wyruszyłem w największym pośpiechu, z obawy, że MOIRA pokrzyżuje mi plany, ale widać zapanował tam po moim odejściu kompletny bałagan, bo nikt się jakoś mną specjalnie nie interesował. Oczywiście nie chciałem czmychnąć byle gdzie, wziąłem więc do rakiety moc najświeższych przewodników i rocznik "Almanachu Galaktycznego", który narósł pod moja nieobecność. Odsądzwszy się zaś od Słońca na ładnych kilka parseków, już spokojny, jałem wertować tę literaturę.

Jak się wnet przekonałem, przynosiła sporo nowego. I tak dr Hopfstosser, brat tego Hopfstossera, który jest znanym tichologiem, opracował tablicę periodyczną cywilizacji Kosmosu w oparciu o trzy zasady, pozwalające nieomylnie wykrywać społeczności najwyżej rozwinięte. Są to Reguły Śmieci, Szumu i Plam. Każda cywilizacja w fazie technicznej zaczyna z wolna tonąć w odpadkach, które sprawiają jej ogromne kłopoty, aż wyprowadzi śmietniska w przestrzeń kosmiczną; żeby zaś nie przeszkadzały zbyt w kosmonautyce, umieszcza się je na specjalnie wyosobnionej orbicie. W ten sposób powstaje rosnący pierścień wysypisk, i właśnie po jego obecności można rozpoznać wyższą erę postępu.

Jednakowoż po pewnym czasie wysypiska zmieniają swój charakter, w miarę bowiem rozwoju elektroniki trzeba się pozbywać coraz większych ilości złomu komputerowego, do którego przyłączają się stare sondy, sputniki itp. Te myślące odpady nie chcą kręcić się po wieczność w pierścieniowym śmietniku i pierzchają z niego, wypełniając okolice planety, a nawet cały jej system; faza ta doprowadza do zanieczyszczenia środowiska - intelektem. różne cywilizacje usiłują zrazu rozmaicie zwalczać ten problem; bywa, że dochodzi do komputerocydu, np. umieszcza się w próżni specjalne pułapki, sidła, wnyki i zgniatacze psychicznych wraków, lecz efekt podobnych akcji jest jak najgorszy, wyłapaniu ulegają bowiem tylko wraki najniżej stojące pod względem umysłowym, więc taktyka ta preferuje przetrwanie śmieci najbystrzejszych; łączą się one w gromady i szajki, urządzają naloty i kontestacje, wysuwając trudne do spełnienia postulaty, bo domagają się części zamiennych i przestrzeni życiowej. Gdy im odmówić, złośliwie zagłuszają łączność radiową, włączają się do audycji, nadają własne proklamacje, przez co planetę na tym etapie otacza strefa takich trzasków i wycia w eterze, że bębunki pękają. Właśnie po tym trzeszczeniu można z wielkiej nawet odległości rozpoznać cywilizacje udręczane plagą polucji intelektualnej. Dziwne, jak długo astronomowie ziemscy nie mogli pojąć, czemu Kosmos, podsłuchiwany radioteleskopami, pełen jest szumu i innych bezsensownych odgłosów; są to właśnie zakłócenia będące skutkiem nazwanych konfliktów, które utrudniają poważnie nawiązywanie międzygwiazdnej łączności.

I wreszcie plamy słońc, ale o specyficznym ukształtowaniu, jak i składzie chemicznym, który można ustalić spektroskopowe, zdradzają obecność cywilizacji najwyżej rozwiniętych, które przebiły już zarówno Bariere Śmieci, jak i Szumu. Plamy te powstają, kiedy olbrzymie chmary narosłych wiekami odpadów same rzucają się jak ómy w płomień miejscowego Słońca, żeby w nich zginąć samobójczo. Tę manię wzniecają specjalne środki depresyjne, którym ulega wszystko, co myśli elektrycznie. Metoda rozsiewania owych środków jest nad wyraz okrutna, ale też bytowanie w Kosmosie, a już zwłaszcza budowanie w nim cywilizacji, nie stanowi niestety sielanki.

Podług doktora Hopfstossera te trzy kolejne etapy rozwoju są żelazną prawidłowością cywilizacji człekokształtnych. Co się tyczy innych, periodyczna tablica doktora wykazuje jeszcze pewne luki. Nic mi to jednak nie szkodziło, bo

dla zrozumiałych względów interesowałem się właśnie bytem istot najbardziej do nas podobnych. Toteż, sporządziwszy sobie na podstawie opisu, jaki opublikował Hopfstosser w "Almanachu", detektor "WC" (wysokich cywilizacji), zagłębiłem się rychło w wielkiej gromadzie Hyjad. Stamtąd bowiem dobiegały szczególnie silne zagłuszenia, tam najwięcej planet opasywały pierścienie śmiecia i tam też kilka słońc pokrywała plamista wysypka z widmem rzadkich pierwiastków, będąca niemym wyrazem zagłady sztucznego rozumu.

Ponieważ zaś ostatni numer "Almanachu" przynosił fotografie istot z Dychtonii jak dwie krople wody podobnych do ludzi, na tej planecie właśnie postanowiłem wylądować. Co prawda, ze względu na spory dystans 1 000 lat świetlnych, zdjęcia te, odebrane radiowo przez drą Hopfstossera, mogły być nieco przestarzałe. Mimo to pełen optymizmu zbliżyłem się hiperbolą do Dychtonii i wszedłszy na kołową orbitę poprosiłem o pozwolenie lądowania.

Otrzymanie takiego zezwolenia bywa rzeczą trudniejszą niż pokonanie galaktycznych przestworzy, ponieważ biurokrację cechuje rozwój o wyższym wykładniku potęgowym niż nawigację, toteż od reaktora fotonowego, ekranów, zapasów paliwa, tlenu itp. daleko ważniejsze są załączniki, bez których nie ma co myśleć o wizie wjazdowej. Z wszystkim tym jestem otrzaskany, przygotowałem się więc na długie, być może wielomiesięczne krążenie wokół Dychtonii, ale nie na to, co mnie spotkało.

Planeta, jak zdażyłem spostrzec, błękitem przypominała Ziemię, pokryta oceanami, opatrzona w trzy duże kontynenty, na pewno ucywilizowane: już na dalekim perymetrze przyszło mi porządnie lawirować między sputnikami kontrolnymi, obserwacyjnymi, zagładającymi i zachowującymi głucho milczenie; tych ostatnich unikałem na wszelki wypadek z wyjątkową starannością. Na moje petycje nikt nie odpowiedział; trzykrotnie składałem podania, lecz nikt nie żądał telewizyjnego okazania papierów, a tylko z kontynentu o kształcie nerki wystrzelono mi naprzeciw coś w rodzaju bramy triumfalnej z syntetycznej choiny, owiniętej różnobarwnymi wstęgami i proporcami, zaopatrzonej w napisy jakby zachęcające, lecz sformułowane tak ogólnikowo, że nie zdecydowałem się przez tę bramę przelecieć. Następny kontynent, cały pokryty miastami, gruchnął we mnie mlecznobiałą chmurą jakiegoś proszku, który zatumaniał wszystkie moje komputery pokładowe tak, że usiłowały niezwłocznie skierować statek ku Słońcu, musiałem więc wyłączyć je i przejść na sterowanie ręczne. Trzeci ład, jakby słabiej zurbanizowany, tonący w bujnej zieleni, największy, niczego w moją stronę nie wystrzelił, niczym mnie nie witał, więc wyszukawszy ustronne miejsce, zahamowałem i ostrożnie posadziłem raketę w roztoczu malowniczych wzgórz i łąnów, porosłych ni to kalarepą, ni to słonecznikami: trudno się w tym było wyznać z wysokości.

Jak zwykle, drzwi zacięły mi się od rozgrzania tarciem atmosferycznym i musiałem czekać dobrą chwilę, nim udało mi się je otworzyć. Wyjrzałem na zewnątrz, wciągnąłem w płuca ożywcze, świeże powietrze i z zachowaniem niezbędnej rozwagi postawiłem stopę na nieznanym świecie.

Znajdowałem się na skraju jakby uprawnego pola, lecz to, co na nim rosło, nie miało nic wspólnego ze słonecznikami czy kalarepą; nie były to w ogóle żadne rośliny, lecz nachtkastliki, więc gatunek mebli. A jakby tego było jeszcze mało, tu i tam widniały między ich dość równymi szeregami serwantki i taborety. Po namyśle doszedłem do wniosku, że są to produkty cywilizacji biotycznej. Z takimi już się niegdyś spotkałem. Koszmarne wizje, jakie roztaczają niekiedy futurologowie, o świecie przyszłości zatrutym spalinami, zadymionym, ugrzęzłym w barierze energetycznej, termicznej itp., są bowiem nonsensem: w postindustrialnej fazie rozwoju powstaje inżynieria biotyczna, likwidująca problemy tego typu. Opanowanie zjawisk życia pozwala produkować syntetyczne plemniki, które zasadzasz w byle czym, skraplasz garścią wody i wnet wyrasta z nich potrzebny obiekt. O to, skąd taki plemnik bierze wiadomości i energię dla radio - czy szafogenezy, nie trzeba się troszczyć tak samo, jak nie interesujemy się tym, skąd ziarno chwastu czerpie siłę i wiedzę dla wzejścia.

Tak więc nie sam łąn serwantek i nachtkastlików mnie zadziwił, lecz to, że były

kompletnie wynaturzone. Najbliższy stolik nocny, kiedym próbował go odemknąć, omal mi ręki nie odgryzł zębata szuflada; drugi, rosnący obok, chwiał się w łagodnych podmuchach wiatru jak studzienina, a taboret, obok którego przechodziłem, podstawił mi nogę, że rymnałem jak długi. Otóż tak meble na pewno nie powinny się zachowywać; coś było z tą uprawą nie w porządku; idąc dalej, teraz już z wyjątkowymi ostrożnościami i z palcem na cynglu blastera, trafiłem w płytkim zagłębieniu terenu na gąszcz w stylu Ludwika XV, z którego wypadła na mnie dzika kozetka i może by mnie stratowała złoconymi kopytami, gdybym jej nie położył na miejscu celnym strzałem. Łaziłem jakiś czas między kępami meblowych kompletów, zdradzającymi hybrydyzację nie tylko stylów, lecz sensów; panoszyły się tam mieszańce kredensów z otomanami, rosochate regały, a otwarte szeroko i jakby zapraszające do głębokiego wnętrza szafy były chyba drapieżne, sądząc po niedogryzkach, co leżały u ich nóg.

Widząc coraz wyraźniej, że to nie żadna uprawa, lecz jeden chaos, zmęczony i rozgrzany spiekotą, bo słońce stało w zenicie, wyszukałem po kilku próbach wyjątkowo spokojny fotel i siadłem na nim, żeby się zastanowić nad położeniem. Siedziałem tak w cieniu kilku dużych, chociaż zdziczałych komód, które wypuściły liczne pędy wieszaków, gdy w odległości może stu kroków wychynęła spomiędzy wysoko rozbujałych karniszy głowa, a w ślad za nią tułów jakiejś istoty. Nie wyglądała mi na człowieka, lecz na pewno nie miała nic wspólnego z meblami. Wyprostowana, lśniła blond futerkiem, twarzy nie widziałem, bo ocieniało ją szeroko rondo kapelusza, zamiast brzucha miała jak gdyby tamburyn, ramiona spiczaste, przechodzące w zdublowane ręce; nucąc cicho, akompaniowała sobie na tym jakimś bębenku brzusznym. Zrobiła jeden i drugi krok do przodu, tak że ukazał się jej ciąg dalszy. Teraz przypominała nieco centaury, choć bosego i bez kopyt; wnet za drugą parą nóg pojawiła się trzecia, potem czwarta, a kiedy ruszyła skokiem i zapadłszy w gąszcz znikła mi z oczu, pomyliłem rachubę. To tylko wiedziałem, że nie była aż stunoga.

Spoczywałem na tym wyściełanym fotelu, porządnie ogłupiały od dziwnego spotkania, wreszcie wstałem i poszedłem dalej, zważając na to, by się zanadto nie oddalić od rakiety. Pomiędzy rosłymi kanapami, co do jednej stojącymi dęba, ujrzałem kamienny gruz, a dalej - ocembrowanie typowego ujścia kanałowego. Gdym postąpił bliżej, żeby zajrzeć w ciemną głąb, usłyszałem za sobą szmer, chciałem się odwrócić, lecz jakaś płachta spadła mi na głowę, zaszamotałem się, daremnie, bo już objęły mnie stalowe ramiona. Ktoś podciął mi kolana i wierzgając bezskutecznie poczułem, jak unoszą mnie w górę, a potem chwytają za barki i nogi. Niesiono mnie jakby w dół, słyszałem odgłos kroków na kamiennych płytach, zazgrzytały drzwi, rzucono mnie na kolana i zdarto z głowy krępującą tkaninę.

Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu, oświetlonym przyczepionymi do sufitu białymi lampami, które miały zresztą wąsiki i nóżki i od czasu do czasu zmieniały miejsce pobytu. Klęczałem, trzymany za kark przez kogoś, kto stał za mną, przed stołem z nie heblowanego drewna; siedziała za nim postać w szarym kapturze, który zakrywał i twarz; kaptur miał otwory dla oczu, zamknięte przezroczystymi szybkami. Postać ta, odsunawszy księgę, którą dotąd czytała, spojrzawszy na mnie przelotnie, rzekła głosem spokojnym temu, kto wciąż mnie dzierżył; - Wyciągnąć mu strunę.

Ktoś złapał mnie za ucho i pociągnął, aż wrzasnąłem z bólu. Jeszcze dwa razy usiłowano wyrwać mi małżowinę, lecz gdy nie szło, zapanowała niejaka konsternacja. Ten, co mnie trzymał i rwał za uszy, tak samo spowity w grube szare płótno, rzekł tonem usprawiedliwienia, że to pewno nowy model. Podszedł do mnie inny drab i starał się po kolei odkręcić mi nos, brwi, wreszcie całą głowę; gdy i to nie dano oczekiwanych efektów, siedzący kazał mnie puścić i spytał:

- Jak głęboko jesteś schowany?

- Że jak, proszę? - spytałem w osłupieniu. - Nigdzie się nie chowam i nic nie rozumiem. Dlaczego mnie męczycie?

Siedzący wstał wówczas, obszedł stół i ujął mnie za ramiona - rękami ludzkiego kształtu, ale w sukiennych rękawicach. Domacawszy się moich kości, wydał mały

okrzyk zdziwienia. Na dany znak przeprowadzono mnie korytarzem, po którego suficie łączyły sobie znudzone najwyraźniej lampy, do innej celi, a właściwie komórki, ciemnej jak mogiła. Nie chciałem tam wejść, lecz zostałem wepchnięty przemocą, drzwi zatrzasnęły się, coś zaszumiało i zza niewidzialnej przegrody doszedł mnie głos wołający jakby w niebiańskiej ekstazie: "Chwała Panu! Mogę mu porachować wszystkie kości!" Po wysłuchaniu tego okrzyku jeszcze gwałtowniej się opierałem tym, którzy zaraz wyciągnęli mnie z ciemnej klitki, lecz widząc, jak usiłują okazać mi niespodziewane całkiem względy, jak zapraszają uprzejmymi gestami, całą postawą objawiając rewerencję, dałem się prowadzić w głąb podziemnego korytarza, dziwnie podobnego do zbiorczego kanału miejskiego, jakkolwiek był schludnie utrzymany, o bielonych ścianach, z dnem wysypanym delikatnym, czystym piaseczkiem. Ręce miałem już wolne i po drodze masowałem sobie wszystkie obolałe miejsca twarzy i ciała.

Dwaj osobnicy w długich do ziemi, szarych sukniach i kapturach, przepasani sznurem, otwarli przede mną zbite z prostych desek drzwi, a w głębi celi, nieco większej niż ta, w której mi nos i uszy odkręcano, stał już najwyraźniej poruszony, zerkający mnie, zamaskowany człowiek. Po kwadransie rozmowy taki mniej więcej utworzyłem sobie obraz sytuacji: Znajdowałem się w przybytku zakonu miejscowego, który ni to ukrywał się przed niewiadomym prześladowaniem, ni to podlegał banicji; zostałem mylnie wzięty za przynętę "prowokująca", ponieważ mój wygląd, będący przedmiotem uznania oo. destrukcjantów, jest ustawowo wzbroniony; przeor, bo jego miałem przed sobą, wyjaśnił mi, że gdybym był przynętą, składałbym się z segmentów, które po wyciągnięciu, w ślad za uchem, wewnętrznej strony, rozleciałyby się w drobny mak. Co do następnego pytania, jakie zadał mi indagujący mnich (starszy brat furtian), sądził on, że przedstawiam rodzaj plastikowego manekina z wbudowanym komputerem; dopiero prześwietlenie promieniami Roentgena wyjaśniło stan rzeczy.

Przeor, o. Dyzz Darg, przeprosił mnie gorąco za skutki przykrego nieporozumienia i dodał, że zwraca mi wolność, lecz nie radzi wyjść na powierzchnię gruntu, bo popadłbym w poważne niebezpieczeństwo: jestem bowiem niecenzuralny w całości. Nie zabezpieczyłoby mnie nawet zaopatrzenie w bebesznię i rypciny z przyssawką, ponieważ nie umiem się tym kamuflażem posługiwać. Nie ma więc dla mnie lepszego wyjścia, jak tylko pozostać u oo. destrukcjantów jako ich cenny i miły gość; w miarę swych, skromnych niestety możliwości, postarają się osłodzić moje przymusowe położenie.

Nie bardzo mi się to widziało, lecz przeor wzbudził we mnie zaufanie godnością, spokojem, rzeczowym wysłowieniem, jakkolwiek nie mogłem przywyknąć do jego zamaskowanej postaci; nosił się bowiem tak, jak wszyscy zakonnicy. Nie śmiałem zasympywać go od razu pytaniami, więc porozmawialiśmy o pogodzie na Ziemi i na Dychtonii, bo już wiedział ode mnie, skąd przybyłem, potem i o mordędzie podróży kosmicznej, wreszcie rzekł mi, że domyśla się mej ciekawości miejscowych spraw, ale z tym nie ma pośpiechu, skoro i tak muszę się ukrywać przed organami cenzury. Otrzymam, jako szacowny gość, własną celę, będę miał przydanego młodego braciszka ku wszelkiej pomocy i radzie, nadto zaś cała biblioteka zakonna stoi przede mną otworem. A ponieważ zawiera niezliczone prohibita i białe kruki znajdujące się na czarnych listach, przez przypadek, jaki mię zawiódł w katakumby, skorzystam może więcej niż gdziekolwiek indziej.

Myślałem, że już się rozstaniemy, bo przeor wstał, ale jakby z pewnym wahaniem spytał, czy pozwolę mu dotknąć, jak się wyraził, mego jestestwa. Wzdychając głęboko jakby w przystępie największego żalu czy niepojętej zgoła nostalgii dotykał twardymi palcami w rękawicach mego nosa, czoła i policzków, a gdy pogładził mnie po włosach (miałem wrażenie, że pięść tego duchownego jest z żelaza), nawet cicho załkał. Te objawy hamowanego wzruszenia otumaniły mnie do reszty. Nie wiedziałem, o co najpierw pytać, czy o zdziczałe meble, czy o centaury wielonogie, czy o tę jakąś cenzurę, ale nakazawszy sobie roztropną cierpliwość, zmilczałem. Przeor zapewnił mnie, że bracia zakonu zajmą się kamuflażem rakiety, którą upodobni się do chorych na słońcowaciznę organów, po czym rozstaliśmy się wymieniając grzeczności.

Celkę otrzymałem niedużą, lecz przytulną, z posłaniem twardym niestety jak

diabli. Sądziłem, że oo. destrukcjanie mają taką surową regułę, lecz potem okazało się, że nie wymoszczono mi legowiska przez czyste roztargnienie. Na razie nie odczuwałem innego głodu, jak tylko informacji; młody braciszek, który się mną opiekował, przyniósł mi całe naręczę dzieł historycznych i filozoficznych; utonałem w nich do późnej nocy. Zrazu przeszkadzało mi w lekturze to, że lampa raz zbliżała się, a raz szła gdzieś w drugi kąt pokoju. Potem dopiero dowiedziałem się, że szła za potrzebą i by wróciła na poprzednie miejsce, trzeba na nią pocmokać.

Braciszek poradził mi zacząć studia od małego, lecz instruktywnego zarysu dziejów dychtońskich, pióra Abuza Gragza, historiografa oficjalnego, lecz "względnie dość obiektywnego", jak się wyraził. Poszedłem za tą sugestią.

Jeszcze koło roku 2300 byli Dychtończycy bliźniaczymi podobiznami ludzi. Jakkolwiek postępowi nauki towarzyszyła laicyzacja życia, przecież duizm, wiara, co panowała prawie niepodzielnie na Dychtonii przez dwadzieścia wieków, wycisnęła swe piętno i na dalszym ruchu cywilizacji. Duizm głosi, że każde życie zna dwie śmierci, przednią i tylną, to jest tę sprzed narodzin i tę po agonii. Teologowie dychtońscy za szperklapy się brali ze zdziwienia słysząc potem od mnie, że my tak na Ziemi nie myślimy i że są kościoły, interesujące się tylko jednym, mianowicie przednim bytowaniem pośmiertnym. Nie mogli pojąć, czemu ludziom przykro myśleć o tym, że ich kiedyś nie będzie, a nie jest im tak samo przykro rozmyślać o tym, że ich przedtem nigdy nie było.

Duizm zmieniał w toku stuleci swój trzon dogmatyczny, ale zawsze okazywał wielkie zainteresowanie problematyce eschatologicznej, co za profesorem Gragzem doprowadziło właśnie do wczesnych prób rozruchu technologii unieśmiertelniającej. Jak wiadomo, umieramy od starzenia się, a starzejemy się, czyli ulegamy rozchwierutaniu cielesnemu - tracąc niezbędną informację; komórki zapominają z czasem, co robić, żeby się nie rozpaść. Przyroda dostarcza trwale takiej wiedzy tylko komórkom rozrodczym, bo inne guzik ją obchodzą. Tak więc starzenie się jest trwonieniem życiowo ważnej informacji.

Bragger Pizz, wynalazca pierwszego immortalizatora, zbudował agregat, który, opiekując się organizmem człowieka (będę używał tego terminu, mówiąc o Dychtończykach, boż tak jest poręczniej), zbierał każdą szczyptę informacji, gubionej przez komórki cielesne, i wprowadzał im ją na powrót. Pierwszy Dychtończyk, Dgunder Brabz, na którym przeprowadzono doświadczenie uwieczniające, został nieśmiertelnym tylko na rok. Dłużej nie mógł wytrzymać, bo czuwał nad nim zespół sześćdziesięciu machin, miriadami niewidzialnych złotych drucików wnikających we wszystkie zakątki jego organizmu. Nie mógł się ruszyć z miejsca i wiódł smutny żywot pośrodku istnej fabryki (tak zwanej perpetualni). Dobder Gwarg, następny immortalat, mógł się już wprawdzie przechadzać, lecz towarzyszyła mu na spacerach kolumna ciężkich traktorów objuczonych unieśmiertelniającą aparaturą. I on popełnił samobójstwo na skutek frustracji.

Panowała jednak opinia, że powstaną dzięki dalszym postępowi tej techniki mikroperpetuatory, lecz Haz Berdergar udowodnił matematycznie, że PUPA (Personalny Unieśmiertelniający Perpetuujący Automatycznie) musi ważyć co najmniej 169 razy więcej niż waży unieśmiertelniany, o ile sporządzony został zgodnie z typowym planem ewolucji. Gdyż, jakem rzekł i jak to wiedzą i nasi uczeni, przyroda troszczy się o garstkę komórek rozrodczych u każdego, a resztę ma gdzieś.

Dowód Haza wywołał ogromne wrażenie i wtrącił społeczeństwo w głęboką depresję, pojęto bowiem, że Bariery Śmiertelności nie przekroczy się bez jednoczesnego porzucania ciała danego Naturą. W filozofii stanowiła reakcję na dowód Berdergara słynna doktryna wielkiego myśliciela dychtońskiego Donderwarsa. Pisał on, że śmierci spontanicznej nie wolno zwać naturalną. Naturalne jest to, co godziwe, natomiast śmiertelność to skandal i hańba w kosmicznej skali. Powszechność występku ani o włos nie umniejsza jego szkarady. Dla oceny występku nie ma też najmniejszego znaczenia, czy jego sprawcę da się schwytać. Przyroda postąpiła z nami jak łotr, wysyłający niewinnych na misję ponoć lubą, w istocie zaś straceńczą. Im kto bardziej w życiu zmańdrzeje, tym bliżej ma do jamy.

Ponieważ nikt moralny nie ma prawa stowarzyszać się z mordercami, niedopuszczalna jest też kolaboracja z łajdaczką Naturą. Tymczasem pogrzeb to kolaboracja przez grę w chowanego. Idzie o to, by ofiarę gdzieś ukryć, jak to czynią zwykle współnicy zbrodni; na grobowych kamieniach wypisuje się różne nieważne rzeczy, oprócz jedynej istotnej: gdyby bowiem ludzie śmieli spojrzeć prawdzie w oczy, to ryliby tam parę co silniejszych przekleństw pod adresem Przyrody, boż to ona tak nas wykierowała. Tymczasem nikt słowa nie piśnie, jakby mordercy tak zręcznemu, że się zawsze ulotni, należały się za to jeszcze specjalne względy. Zamiast "memento mori" należy powtarzać "erite ultores", zmierzajcie ku nieśmiertelności, nawet za cenę utraty wyglądu tradycyjnego; taki był ontologiczny testament tego wybitnego filozofa.

Gdym to przeczytał, pojawił się braciszek, by w imieniu przeora zaprosić mnie na kolację. Spożyłem ją w wyłącznym jego towarzystwie. O. Darg sam nic nie jadł, a tylko od czasu do czasu popijał wodę z kryształowego pucharka. Posiłek był skromny, noga stołowa w potrawce - dość łykowata; jak się wtedy o tym przekonałem, dziczejac, meble okolicznej puszczy stawały się przeważnie mięsne. Nie pytałem jednak o to, czemu raczej nie drewnieją, zwrócony po lekturze umysłem ku sprawom wyższym; doszło tak do pierwszej rozmowy z przeorem na tematy teologiczne.

Wyjaśnił mi, że duizm jest wiarą w Boga, wyzbytą dogmatów, które skruszały stopniowo w toku rewolucji biotycznych. Najcięższy był kryzys Kościoła, wywołany zniweczeniem dogmatu o duszy nieśmiertelnej, pojmowanej w sensie perspektywy wiecznego żywota. Dogmatykę zaatakowały w XXV wieku trzy kolejne techniki: zamrażania, odwracania i uduchowiania. Pierwsza polegała na ścinaniu człowieka w lód, druga na odwracaniu kierunku rozwoju osobniczego, trzecia zaś na dowolnym manipulowaniu świadomością. Atak frygidacji dało się jeszcze odeprzeć utrzymując, jakoby śmierć, w jaką zapada człowiek zamrożony, a potem wskrzeszony, nie była identyczna z tą śmiercią, o której mówi Pismo Święte, że dusza ulatuje po niej w zaświaty. Taka wykładnia była niezbędną, bo wszak gdyby szło o zwykłą śmierć, to zmartwychpowstały powinien by coś wiedzieć na temat, gdzie się podziewał duszą podczas stu czy i sześciuset lat zgonu.

Niektórzy teologowie, np. Gauger Drebdar, sądzili, że prawdziwa śmierć zachodzi dopiero po rozkładzie ("w proch się obrócisz"), lecz wersja ta nie utrzymała się po uruchomieniu tak zwanego pola rezurekcyjnego, które składało żywego człowieka z prochu właśnie, to jest z ciała rozpylonego na atomy, i wtedy bowiem wskrzeszony nie wiedział nic o tym, jakoby jego dusza gdzieś przebywała w międzyczasie. Dogmat zachowano strusią taktyką, unikając określenia, kiedy śmierć jest tak dokumentna, że po niej na pewno już dusza ulatnia się z ciała. Potem jednak przyszła ontogeneza odwracalna; jej technika nie była umyślnie wymierzona w dogmatykę wiary, lecz okazała się niezbędną przy likwidacji wypaczeń rozwoju płodowego: nauczono się rozwój ten wstrzymywać i cofać, po odwróceniu o 180 stopni, by go jeszcze raz zainicjować od zapłodnionej komórki. W opałę dostał się rychło dogmat niepokalanego poczęcia z drugim, o nieśmiertelności duszy, za jednym zamachem, bo dzięki technologii retroembrionalizacyjnej można ustrój cofać przez wszystkie poprzednie stadia, a nawet uczynić tak, żeby zapłodniona komórka, z jakiej powstał, na powrót rozdzieliła się na jajeczko i na plemnik.

Był z tym duży kłopot, bo dogmat głosił, że Bóg stwarza duszę w momencie zapłodnienia, a jeśli można było zapłodnienie odwrócić i tym samym anulować, rozłączając obie jego składowe, to co się wtedy miało dziać z już stworzoną duszą? Ubocznym produktem tej techniki była klonacja, czyli pobudzanie do rozwinięcia się w normalny organizm dowolnych komórek, wziętych z żywego ciała, na przykład z nosa, pięty, nabłonka jamy ustnej itp.; jako że się to działo w ogóle bez zapłodnienia, ani chybi działała biotechnika niepokalanego poczęcia, którą też uruchomiono w skali przemysłowej. Embriogenezę można już także było zawracać, przyspieszać czy odchyłać tak, żeby płód ludzki obrócił się na przykład w małpi; jakże tedy, co się wtedy działo z duszą, czy była ścisłana i rozciągana jak harmonia, czy po przeweksłowaniu rozwoju płodowego z drogi ludzkiej na małpią gdzieś po tej drodze zniknęła?

Ale podług dogmatu nie mogła dusza ani zniknąć, gdy raz powstała, ani maleć, bo była jednością niepodzielną. Przemyślano już nad tym, czy nie obłóżyć płodowlanych inżynierów klątwą kościelną, lecz nie uczyniono tego, i słusznie, bo rozpowszechniła się ektogeneza. Pierwej mało kto, potem nikt już nie rodził się z męża i niewiasty, lecz z komórki, zamkniętej w uteratorze (sztucznej macicy), a trudno było odmówić całej ludności sakramentów na tej podstawie, że powstała dzieworódczym sposobem. Na domiar złego przyszła następna technologia - świadomości. Z problemem ducha w maszynie, zrodzonym przez intelektronikę i jej rozumne komputery, jeszcze sobie dano radę, lecz za nią przybyły następne, świadomości i psychiki w płynach; syntetyzowano mądre i myślące roztwory, które można było butelkować, rozlewać, zlewać, a za każdym razem powstawała osobowość, nieraz bardziej uduchowiona i mądrzejsza niż wszyscy Dychtończycy razem wzięci.

O to, czy maszyna lub roztwór mogą mieć duszę, toczyły się dramatyczne spory na Soborze 2479 roku, aż ustanowiono na nim nowy dogmat. Kreacji Pośredniej, powiadający, że Bóg nadał stworzonym przez siebie istotom rozumnym moc poczynania rozumów następnego rzutu, lecz i to nie był kres przemian, bo się wnet okazało, że sztuczne inteligencje mogą produkować inne, następne, albo też syntetyzować podług własnej rachuby istoty człekokształtne czy wręcz normalnych ludzi z byle kupy materii. Podejmowano później dalsze próby ratowania dogmatu o nieśmiertelności, lecz załamały się w ogniu następnych odkryć, które istnymi lawinami schodziły na XXVI wiek; ledwo się podparło dogmat odmienioną wykładnią, już powstawała negująca ją technologia świadomości.

Doszło przez to do szeregu herezji i powstania sekt, które po prostu przeczyły powszechnie znanym faktom, lecz Kościół duistyczny utrzymał w mocy tylko jeden dogmat, Kreacji Pośredniej, co się zaś tyczyło pośmiertnego trwania, wiary w kontynuację osobowości indywidualnych, nie dało się już uchronić przed zagładą, ponieważ ani osobowość, ani indywidualność docześnie się nie zachowały. Można już było zlewać dwa lub więcej umysłów w jeden, tak u maszyn czy roztworów, jak u ludzi, można było dzięki personetyce produkować zamknięte w maszynach całe światy, w których powstawały byty rozumne, które z kolei potrafiły w tym uwięzieniu konstruować sobie następny rzut osobników inteligentnych, można było umysłowości potęgować, dzielić, mnożyć, redukować, cofać itd. Upadkowi dogmatyki towarzyszył upadek autorytetu wiary, zgasły też nadzieje na poręczane dawniej obietnice światłości wiekuistej, przynajmniej poszczególnych indywiduów.

Widząc, że nie nadaża w ruchu teologicznym za postępem technicznym, powołał Sobór 2542 roku zakon oo. prognozytów, który miał się zajmować pracami futurologicznymi w zakresie wiary świętej. Potrzeba antycypowania jej dalszych kolei była bowiem paląca. Niemoralność wielu nowych biotechnologii przerażała nie tylko wiernych; dzięki takiej klonizacji np. można było produkować obok osobników normalnych - istoty biologiczne, lecz niemal bezmózgie, zdatne do mechanicznych prac, a wręcz nawet wyścielać hodowanymi odpowiednio tkankami, pochodzącymi z ludzkiego bądź zwierzęcego ciała, komnaty, ściany, produkować wstawki, wtyczki, wzmacniacze bądź osłabiacze inteligencji, budzić mistyczne stany wzlotów w komputerze, w płynie, obrócić jajko żabiego skrzeku w mędrca opatrzonego ciałem ludzkim, zwierzęcym bądź takim, którego dotąd w ogóle nie było, bo je zaprojektowali umyślnie eksperci płodowlani. Budziło to opory, bardzo silne też ze strony świeckich, lecz nadaremnie.

Wszystko to opowiedział mi o. Darg z najzupełniejszym spokojem, jakby mówił o rzeczach oczywistych, zresztą były dlań oczywistością, bo częścią historii dychtońskiej. Choć cisnęły mi się na usta niezliczone pytania, trudno było okazać natarczywość, wróciłem więc po kolacji do celi i zagłębiłem się w drugim tomie pracy prof. A. Gragza, który, jak świadczyła o tym adnotacja na pierwszej stronie, był prohibitem.

Dowiedziałem się, że w roku 2401 Byg Brogar, Dyrr Daagard i Merr Darr otwarli wrota na przestwór nieograniczonej swobody autoewolucyjnej; uczeni ci wierzyli gorąco, że powstały dzięki ich odkryciu Homo Autofac Sapiens, czyli Samorób Rozumny, osiągnie pełnię harmonii i szczęścia, nadając sobie takie formy ciała i przymioty duszy, jakie uzna za najdoskonalsze, że przebiję Bariere

Śmiertelności, o ile tak postanowi - jednym słowem okazali w toku Drugiej Rewolucji Biotycznej (pierwszej zawdzięczano plemniki wytwarzające dobra konsumpcyjne) maksymalizm i optymizm typowy dla historii nauk. Wszak podobne nadzieje wiąże się zazwyczaj z pojawieniem się każdej wielkiej a nowej technologii.

Zrazu inżynieria autoewolucyjna, czyli tak zwany ruch płodowlany, rozwijała się jakby po myśli swych świątłych odkrywców. Ideały zdrowia, harmonii, piękna duchowocieleśnego uległy rozpowszechnieniu, ustawy konstytucyjne gwarantowały każdemu obywatelowi prawo posiadania takich cech psychosomatycznych, jakie uważano za najcenniejsze. Wnet też wszelkie deformacje i kalectwa wrodzone, szpetota i głuptactwo stały się przeżytkami. Lecz rozwój to ma do siebie, że wciąż go dalej pcha naprzód ruch postępowy, więc się na tym nie skończyło. Początki dalszych przemian były z pozoru niewinne. Dziewczęta upiększały się dzięki hodowli biżuterii skórnej i innych wykwitów ciała (uszka-serduszka, perły z paznokci), chłopcy pysznili się boko - i tyłobrodami, nagłownymi grzebieniami, szczękami o dubeltowym zgryzie itp.

W dwadzieścia lat później powstały pierwsze partie polityczne. Nie od razu zorientowałem się, czytając, że "polityka" oznacza na Dychtonii coś innego niż u nas. Przeciwnieństwem programu politycznego, postulującego powielanie cielesnych ukształtowań, jest program monotyczny, który głosi redukcjonizm, czyli potrzebę wyzbywania się narządów uznawanych przez monotyków danego stronnictwa za zbędne. Gdy dotarłem do tego miejsca fascynującej lektury, wpadł bez pukania do celi mój braciszek i pełen nie ukrywanego lęku kazał mi natychmiast się zbierać, ponieważ furtian sygnalizuje niebezpieczeństwo. Pytałem jakie; poganiał mnie jednak wołając, że nie ma chwili do stracenia. Nie miałem żadnych rzeczy osobistych, więc ścisnąwszy tylko książkę pod pachą, pobiegłem w ślad za mym przewodnikiem.

W podziemnym refektarzu krzątali się już gorączkowo wszyscy oo. destrukcjanie; kamienną rynną zjeżdżały całe zwaliska ksiąg spychanych z góry drągami przez braci bibliotekarzy, ładowano je do pojemników i w największym pośpiechu opuszczano w głąb studni, wykutej w szczerzej skale; na moich osłupiałych oczach zakonnicy, w mig rozdziawszy się do naga, czym prędzej powrzucaли także swoje habity i kaptury do ocembrowanego otworu; byli co do jednego z grubsza tylko człekokształtnymi robotami. Następnie całą hurmą wzięli się do mnie, przylepiając mi do ciała dziwaczne wypustki baloniastego i węzowego kształtu, ogony czy kończyny, nie mogłem się w tym wyznaczyć, tak się spieszyli; przeor osobiście założył mi na głowę bebesznię, wyglądającą jak powiększony nadmuchiwanie i rozpękły karaluch; jedni jeszcze lepili, a już inni malowali mnie w pasy czy pręgi; ponieważ wokół nie było żadnego lustra ani błyszczącej powierzchni, nie wiem, jak wyglądałem, lecz wydawali się dość z siebie zadowoleni.

Popychany, znalazłem się w kącie i dopiero wtedy zauważyłem, że przypominam raczej czworonoga, a może i sześcionoga, niż istotę o postawie wyprostnej. Kazali mi kucnąć i na wszystkie pytania, gdyby je ktokolwiek do mnie kierował, odpowiadać wyłącznie beczeniem. Ledwo się to stało, załomotano przeraźliwie w drzwi; oo. roboty rzucili się do jakichś wywleczonych na środek refektarza aparatów, przypominających (ale nie bardzo) maszyny do szycia i całe pomieszczenie wypełnił hurkot ich pozorowanej pracy. Po kamiennych stopniach zeszła do nas lotna kontrola. Mysiałem, że nie ustoję nawet na moich czterech nogach, gdy z bliska przyjrzałem się jej członkom. Nie wiedziałem, czy są ubrani, czy nadzy; każdy przedstawiał się inaczej.

Ogony mieli bodaj wszyscy, zakończone włosianym buńczukiem, który ukrywał solidną pięść; nosili je na ogół niedbale przerzucone przez ramię, o ile ramieniem można nazwać baniastą wypukłość okoloną dużymi brodawkami; pośrodku tej bani była skóra biała jak mleko; pojawiały się na niej barwne stygmaty - nie od razu pojąłem, że porozumiewają się zarówno głosem, jak też wyświetlając sobie, owym cielesnym ekranem, rozmaite napisy i skrótty. Staralem się policzyć im bodaj nogi; mieli co najmniej po dwie, ale było paru trójnogich i jeden popiątny; odniosłem wszelako wrażenie, że im kto więcej miał nóg, tym mu się niewygodniej chodziło. Obeszli całą salę, przyjrżeli się od niechcienia

braciszkom, pochylonym nad maszynami i pracującym z największą zawziętością, aż kontroler wyższy od innych, z ogromną pomarańczową kryzą wokół bebeszni, która mu się nadymała i lekko świeciła, gdy mówił, kazał małemu, ledwie dwunogiemu z kusym ogonkiem, pewno kanceliście, zbadać trywutnie. Coś tam pisali, mierzyli, nie odzywając się ni słowem do robotników-zakonników i mieli już odejść, gdy zielonkawy trójnogi dostrzegł moją obecność; pociągnął mnie za jedną z frędzlistych wypustek, więc na wszelki wypadek z cicha beknąłem.

- E, to ten stary gwamdlista, ma osiemnastkę, zostawić go! - rzekł większy, zajaśniawszy, mały zaś odparł szybko:

- Tak jest. Wasza Ciałość!

Z aparatem, podobnym do latarki, obeszli jeszcze wszystkie kąty refektarza, ale do studni żaden się nawet nie zbliżył. Coraz wyraźniej wyglądało mi to na niedbale przeprowadzaną formalność. Jakoż po dziesięciu minutach już ich nie było, maszyny poszły w ciemny kąt, zakonnicy jęli bisować pojemniki, wyżymali swoje przemoczone habity, rozwieszali je na sznurku, by podeschły, ojcowie bibliotekarze zamartwiali się, bo do jednego nieszczelnego pojemnika dostała się woda, więc trzeba było zaraz przekładać bibułą przemoczone kartki starodruków, przeor zaś, to jest ojciec robot, a jużem sam nie wiedział, jak i co mam o nim myśleć, odezwał się do mnie z życzliwością, że się, chwala Bogu, wszystko dobrze skończyło, lecz na przyszłość muszę się pilnować: tu pokazał podręcznik historii, który uroniłem w ogólnym rozgardiaszu. Sam na nim siedział przez cały czas rewizji.

- A więc posiadanie książek jest wzbronione? - spytałem.

- Zależy komu! - odparł przeor. - Nam tak! A już specjalnie - takich! Uchodzimy za przestarzałe maszyny, zbędne od czasów Pierwszej Rewolucji Biotycznej; toleruje się nas, podobnie jak wszystko, co schodzi w katakumby, bo taki jest, nieoficjalny zresztą, obyczaj od rządów Glaubona.

- A co to jest "gwamdlista"? - spytałem. Przeor zmieszał się nieco.

- To zwolennik Bghiza Gwarndla, wielkorządcy sprzed dziewięćdziesięciu lat. Niezręcznie mi o tym mówić... schronił się u nas ten nieszczęśny gwamdlista, więc udzieliliśmy mu przytułku; siedział zawsze w tym kącie, udawał, biedak, pomieszanego na umyśle; dzięki temu uchodził za nieodpowiedzialnego i mógł mówić, co chciał... przed miesiącem kazał się zamrozić, żeby doczekać "lepszych czasów"... więc pomyślałem, że, w razie nagłej potrzeby, moglibyśmy przebrać pana... nieprawdaż?... chciałem pana uprzedzić o tym, ale nie zdażyłem. Nie przypuszczałem, że kontrola nastąpi akurat dziś, bywają nieregularne, lecz ostatnio raczej rzadkie...

Nicem z tego nie zrozumiał. Zresztą czekały mnie, dopiero teraz, przykre fatygi, bo klej, jakiego użyli destrukcjanie, by zakamuflować mnie pod owego gwamdlistę, trzymał okropnie mocno i miałem wrażenie, że wrywają mi sztuczne rypciny oraz grząśle razem z kawałkami żywego ciała; spełniałem, stękałem, nim wreszcie, jako tako przywrócony do ludzkiego wyglądu, udałem się na spoczynek. Przeor sugerował potem, że można by mnie przemienić cielesnie, w sposób, rozumie się, odwracalny, lecz gdy pokazano mi na rycinie, jak miałbym wyglądać, wybrałem już raczej dalsze ryzyko niecenzuralności; ustawowo zalecane kształty były nie tylko monstrialne w moich oczach, ale w najwyższym stopniu niewygodne, tak np. lec przy nich było niepodobieństwem: należało się powiesić do snu.

Ponieważ późno udałem się na spoczynek, nie wyspałem się jak należy, gdy mój młody opiekun zbudził mnie śniadaniem przyniesionym do celi; teraz pojmowałem lepiej, jak znaczną mi tu okazują gościnność, boż sami ojcowie nie jedli nic, a co do wody, to być może, mieli akumulatorowy napęd i potrzebowali destylowanej, lecz na cały dzień i tej wystarczało im parę kropli, by zaś mnie wyżywić, musieli urządzać wyprawy w zagajnik meblowy. Dostałem tym razem nieźle przyrządzoną poręcz; jeśli mówię, że ją dobrze ugotowano, to nie dlatego, że była naprawdę smaczna, ale jedząc umiałem już zrobić poprawkę na wszystkie

okoliczności towarzyszące kulinarnym zabiegom.

Wciąż jeszcze przebywałem pod znacznym wrażeniem nocnej kontroli i nie umiałem uzgodnić jej z tym, co dotąd zdążyłem wyczytać w podręczniku historii, toteż zaraz po śniadaniu wziąłem się do dalszych studiów.

Od zarania auto-ewolucji rozdzierały obóz postępu cielesnego głębokie różnice zdań w kwestiach zasadniczych. Opozycja konserwatystów znikła już po czterdziestu latach od chwili wielkiego odkrycia; zwano ich ponurymi wstecznikami. Postępowcy natomiast dzielili się na zamachowców, docelitów, powielan, liniuchów, rozlewitów i wiele innych partii, których nazw ani programów już nie pamiętam. Zamachowcy żądali, by władza ustaliła doskonały prototyp cielesny, który wprowadzi się w życie od jednego zamachu. Docelici, bardziej krytycznie nastawieni, sądzili, że się takiej doskonałości nie da natychmiast utworzyć, opowiadali się tedy raczej za drogą do idealnego ciała, lecz nie było jednoznaczne, jaka to ma być droga, przede wszystkim zaś, czy dla generacji przejściowych może być przykra? W tym względzie rozpadali się na dwa odłamy. Inni, np. liniuchowie i powielanie, utrzymywali, że warto wyglądać rozmaicie na różne okazje, czy też, że człowiek nie jest gorszy od owadów - skoro one przechodzą w ciągu życia metamorfozy, to i on mógłby tak postępować: dziecko, wyrostek, młodzian, człek dojrzały byłiby upostaciowaniami wzorców zasadniczo odmiennych. Co do rozlewitów, byli radykałami; potępiali szkielet jako przeżytek, głosili odejście od budowy kręgowcowej i zachwalali miękką wszechplastyczność. Rozlewita mógł się tak sam wymodelować czy też ugnieść cielesnie, jak mu dusza pragnęła; było to co najmniej praktyczne w tłoku, a też w stosunku do gotowej odzieży rozmaitych wymiarów; niektórzy z nich wałkowali się i turlali do najdziwaczniejszych form, chcąc podług sytuacji i stanu ducha wyrażać swe nastroje samouczłownianiem; przeciwnicy polii - i monotyczni nadali im pogardliwe przezwisko kałużan.

Aby zapobiec groźbie anarchii cielesnej, powołano do życia BIPROCIAPS, Biuro Projektów Ciała i Psyche, które miało dostarczać na rynek, w rozmaitych, lecz zawsze wypróbowanych wariantach, planów przecieleńczych. Wciąż jednak nie było zgody co do kierunku głównego autoewolucji: czy należy sporządzać ciała, dzięki którym będzie się żyło najprzyjemniej, czy takie, co ułatwiają jednostkom najsprawniejsze włączanie się w społeczny byt, czy preferować funkcjonalizm, czy estetykę, potęgować siłę ducha, czy mięśni; albowiem dobrze było gadać ogólnikami o harmonii i perfekcji, kiedy tymczasem praktyka wykazywała, że nie wszystkie wartościowe cechy są do zjednoczenia; liczne wykluczały się nawzajem.

W każdym razie odwrót od naturalnego człowieka trwał w pełni. Eksperci prześcigali się w dowodzeniu niebywałego prymitywizmu i lichoty jego wykonania przez Przyrodę; ciałometria oraz somatyczna inżynieria czasu wykazują w swym piśmiennictwie jawne wpływy zainspirowania doktryną Donderwarsa; zawodność ustroju naturalnego, jego senilizacyjny ruch ku śmierci, tyrania starych popędów nad później powstałym rozumem podlegały zaciekłym krytykom, a przyczynkarskie prace roiły się od zarzutów pod adresem płaskostopia, nowotworów, wypadania dysków i tysięcy innych cierpień wywołanych ewolucyjnym partactwem i niedbalstwem, zwanym krecią robotą mamotrawczobezideowej, bo wszak ślepej ewolucji życia.

Późni potomkowie zdawali się brać na Przyrodzie odwet za to ponure milczenie, z jakim ich pradziadowie musieli przełknąć rewelacje o małym pochodzeniu Dychtończyka; wyszydzano tak zwany pasaż arborealny, czyli to, że najpierw jakieś zwierzęta jęły się na drzewach chronić, a potem, gdy lasy wyginęły od stepowienia, musiały zleść na ziemię zbyt szybko. Podług niektórych krytyków spowodowały antropogenezę trzęsienia ziemi, bo kto był żyw, leciał od nich z gałęzi, więc ludzie powstałi niejako metodą ulęgałek. Były to oczywiście grube uproszczenia, lecz wymyślanie na ewolucję należało do dobrego tonu. Tymczasem BIPROCIAPS udoskonalał narządy wewnętrzne, podresorował i wzmocnił kręgosłup, dorabiał rezerwowe serca, nerki, lecz nie zadawała to ekstremistów, występujących pod demagogicznymi hasłami "precz z głową" (że niby za ciasna), "mózg do brzucha!" (bo w nim miejsca więcej) itd.

Najgorętsze spory rozgorzały wokół spraw płciowych, bo gdy jedni uważali, że wszystko tam wysoce niesmaczne i trzeba tu wziąć coś z kwiatów i motyli, inni, gromiąc zakłamanie platoników, domagali się właśnie amplifikacji i eskalacji tego, co już jest. Pod naciskiem skrajnych ugrupowań otworzył BIPROCIAPS skrzynki pomysłów racjonalizatorskich po miastach i siołach, projekty runęły lawiną, etaty rosły do potęgi i po dekadzie biurokracja tak przycisnęła autokreację, że BIPROCIAPS rozpadł się na zjednoczenia, a potem instytucje takie, jak KUC (Komisja ds. Cudnych Lic), CIPEK (Centralny Instytut Pełnej Estetyzacji Kończyn), IURNA (Instytut Upowszechniania Radykalnie Nowej Anatomii) i mnóstwo innych. Zaroilo się od zjazdów i kursokonferencji w sprawie ukształtowania palców, dyskutowano o randze i przyszłości nosa, o perspektywach krzyży, zatracając z pola widzenia całość, aż wreszcie to, co projektował jeden pion, nie pasowało do produkcji innych. Nikt już nie ogarniał nowej problematyki, zwanej skrótowo AU (Eksplodzja Automorficzna), więc aby zlikwidować cały ów bałagan, oddano w końcu władzę nad obszarem biotyki SOMPSUTEROWI (Somatyczno-Psychiczny Komputer).

Tą wiadomością zamykał się kolejny tom Historii Powszechnej. Gdym sięgał po następny, wszedł do celi braciszek, by zaprosić mnie na obiad. Krępowalem się jeść przy ojcu przeorze, bom już wiedział, jaka to z jego strony grzeczność i jakie marnowanie cennego czasu. Zaproszenie było jednak tak zniewalające, że poszedłem bez ociągania. W małym refektarzu, obok o. Darga, który czekał już przy stole, znajdował się niski wózek podobny do tych, na jakich u nas rozwożą bagaże; był to o. Memnar, generał zakonu prognozytów; źle mówię, nie wózek był, rozumie się, ojcem i generałem zakonu, lecz sześcienny komputer, który spoczywał na tym podwoziu. Myślę, że nie okazałem niegrzeczności zdębeniem ani się nawet nie zająkałem podczas zapoznania. Jadło mi się niezręcznie, lecz wymagał tego organizm. Aby mnie rozruszać i ośmielić, zacny przeor podczas posiłku wciąż pił wodę małymi łykami, i to aż z dwóch kryształowych dzbanów naraz, ojciec Memnar zaś mruczał cicho; myślałem, że pacierze, lecz gdy rozmowa zesza znów na teologię, okazało się, że byłem w błędzie.

- Wierzę - rzekł mi o. Memnar - a jeśli moja wiara jest zasadna, ten, w którego wierzę, wie o tym pod nieobecność mych oficjalnych deklaracji. Umysł sporządza sobie w historii różne modele Boga, mające każdy kolejny za jedynie właściwy, co jest błędem, bo modelowanie to kodyfikacja, a skodyfikowana tajemnica przestaje być tajemnicą. Dogmaty zdają się wiecznotrwałe jeno na początku drogi w dal cywilizacyjną. Zrazu wystawiano sobie Boga jako srogiego Ojca, potem jako Pasterza-Hodowcę, potem jako Artystę rozmiłowanego w Stwarzanym, więc ludzie mieli grać odpowiednio role grzecznej dziatwy, posłusznych owieczek, a wreszcie zachwyconej Bożej klaki. Lecz dziecinadą jest mniemać, że Bóg po to stworzył, żeby mu stworzone od rana do wieczora bakę świeciło, żeby go na wyrost miłowało za to, co Tam będzie, jeśli nie w smak to, co Tu jest, jakby był wirtuozem, a w zamian za wciąż nowe porcje modlitewnych braw przygotowywał bisy wieczne żywota po przedstawieniu doczesnym, czyli najlepszy numer zachowywał na zapadnięcie śmiertelnej kurtyny. Ta wersja teatralna Teodycei jest zamierzchlą naszą przeszłością.

Jeśli Bóg ma wszechwiedzę, to wie o mnie wszystko i to na czas nieskończenie długi, nim się wyłoniłem z niebytu. Wie też, co postanowi o moim czy twoim lęku albo oczekiwaniu, bo ma doskonałe wiadomości także co do wszystkich własnych decyzji przyszłych: w przeciwnym razie nie byłby wszechwiedny. Nie ma dlań żadnej różnicy między myślą Jaskiniowca i umysłu, jaki zbudują inżynierowie za miliard lat tam, gdzie dziś jest tylko lawa i płomień. Nie wiem, czemu miałyby mu sprawiać szczególną różnicę zewnętrzna oprawa wyznań wiary, a nawet to, czy ktoś kieruje doń uwielbienie, czy niechęć. Nie uważamy go za producenta oczekującego aprobaty ze strony produktu, ponieważ historia doprowadziła nas tam, gdzie naturalna autentyczność myśli nie różni się niczym od myśli sztucznie wznieconej, co oznacza, że nie ma żadnej różnicy pomiędzy sztucznym i naturalnym; granica ta leży już poza nami. Pamiętaj o tym, proszę, że możemy stwarzać dowolne osoby i umysłowości. Moglibyśmy na przykład wszczynać istoty, czerpiące mistyczną ekstazę z bytu, metodą krystalizacji, klonacji lub setką innych, i niejako w ich uwielbieniach, adresowanych do Transcendencji, zmateriałizowałyby się intencja, właściwa dawnym aktom strzelistym i modłom.

Lecz takie powielanie wiernych wyglądałoby nam na czcze urągawisko. Pamiętaj o tym, że nie raniły się o mury stawiane naszym pragnieniom przez ograniczenie cielesne i przyrodzone, ponieważ strzaskaliśmy je i wyszliśmy w przestwór bezwzględnej kreacyjnej swobody. Dziecko może teraz wskrzesić zmarłego, tchnąć ducha w proch i złom, niszczyć i zapalać słońca, ponieważ takie techniki istnieją, to zaś, że nie każdy ma do nich dostęp, nie jest, jak chyba pojmujesz, problemem dla myśli teologicznej. Pułap sprawstwa bowiem, wyznaczony literą Pism, został osiągnięty i tym samym naruszony. Okrucieństwa starych ograniczeń zastąpiły okrucieństwa ich zupełnego braku. Otóż nie sądzimy, że Stwórca skrywa miłość do nas maską obu tych alternatywnych masek, dając nam po to szkołę, żeby go było trudniej odgadnąć; i nie w tym zadanie Kościoła, żeby obie klęski, niewoli i wolności, zwał weksłami, żyrowanymi objawieniem, które z nadwyżką pokryje buchalteria niebieska. Wizja nieba jako kasy wypłat, a piekła jako kryminału dłużników niewypłacalnych - to chwilowy omam w historii wiary. Teodycea nie jest sofistycznym praktykanctwem obrońców Pana Boga ani wiara dodawaniem otuchy, że jakoś to tam w końcu będzie. Kościół zmienia się i wiara się zmienia; obie spoczywają bowiem w historii: trzeba więc antycypować nadchodzące i temu zadaniu służyć mój zakon.

Słowa te porządnie mnie skonfundowały. Spytałem, jak godzi duistyczna teologia to, co się dzieje na planecie (chyba nic dobrego, choć nie wiem dobrze co, tkwiąc w lekturach ledwie w XXVI wieku), z Pismami Objawionymi (których też nie znam)?

O. Memnar rzekł mi na to, przy milczącym przeorze:

- Wiara jest zarazem absolutnie konieczna i doskonale niemożliwa. Niemożliwa jest jako utwierdzenia raz na zawsze, bo nie ma takiego dogmatu, w który myśl może się wkorzenić z pewnością, że to już na zawsze. Broniliśmy Pism przez dwadzieścia pięć wieków, taktyką odwrotów elastycznych, ogólniejszymi interpretacjami litery, aż przegraliśmy. Nie mamy już buchalteryjnej wizji Transcendencji. Bóg to ani Tyran, ani Pasterz, ani Artysta, ani Policjant, ani Główny Księgowy Bytu. Wiara w Boga musi wyzbyć się wszelkiej interesowności, choćby przez to, że nic jej nigdzie nie wynagrodzi. Gdyby się okazało, że Bóg mocen jest sprawić to, co sprzeczne ze zmysłami i logiką, będzie to ponurym zaskoczeniem. Przecież to on, bo któż inny, dał nam te formy logicznego myślenia, oprócz których nie mamy nic w poznawaniu, jakże więc możemy sądzić, jakoby akt wiary miał być aktem wyrzeczenia się rozumu logicznego? Po cóż było najpierw dawać rozum, a potem urągać mu sprzecznościami, jakie sam znajdzie na swej drodze?

Żeby się dotajemniczyć i uzagadkować? Żeby pozwalać nam pierwszej na postawienie dignozy, że Tam nic nie ma, a potem dobyć raję, jak szuler wyciąga kartę z rękawa? Tak nie myślimy. Dlatego nie domagamy się od Boga żadnych świadczeń z tytułu żywej wiary, nie wysuwamy pod jego adresem żadnych roszczeń, gdyż pogrzebaliśmy teodyceę opartą na modelu transakcji handlowej i wymiany usług: ja cię do bytu powołam, ty mnie będziesz służył i chwalił.

Wobec tego, pytałem coraz bardziej natarczywie, co wy właściwie, mnisi i teologowie, robicie, jak się ustosunkowujecie do Boga, skoro nie pielęgnujecie ani dogmatyki, ani liturgii, ani nabożeństw, jeśli dobrze rozumiem?

- Ponieważ w samej rzeczy nie mamy już nic - odparł mi generał prognozytów - mamy wszystko. Zechciej, drogi przybyszu, przeczytać dalsze tomy historii dychtońskiej, aby pojąć, co to właściwie znaczy - pozyskanie zupełnej wolności w sferze ciała - i duchosprawstwa, którą dały obie rewolucje biotyczne. Uważam za nader prawdopodobne, że w głębi ducha śmiesz cię widoma tu sytuacja, istoty bowiem, krew z krwi i kość z kości powstałe jak ty, zdobywszy pełnię władzy nad samymi sobą, przez to, że już mogą gasić i wzniecać w sobie wiarę jak lampę, wiarę straciły. Przejęły ją zaś od nich ich narzędzia, myślące dlatego, bo właśnie takie były potrzebne w pewnej fazie przemysłowego rozwoju. Obecnie jesteśmy już zbędni, i właśnie my, z ich tam na górze stanowiska złom, wierzymy. Tolerują nas, bo mają ważniejsze sprawy na swych bebeszniach, lecz od władzy dozwolone jest nam wszystko prócz wiary.

- To bardzo dziwne - rzekłem. - Nie wolno wam wierzyć? Czemu?

- To bardzo proste. Wiara jest jedyną rzeczą, której nie można odebrać świadomemu istnieniu dopóty, dopóki ono świadomie w niej trwa. Władza mogłaby nas nie tylko zdruzgotać, ale przerobić tak, byśmy z przeprogramowania nie wierzyli; nie czyni tego, zapewne, wskutek lekceważenia i pogardy albo obojętności. Łaknie ona panowania wprost, ponieważ wszelki wyłom w tym panowaniu uznalaby za swoje uszczuplenie. Dlatego musimy kryć się z wiara. Pytałeś o jej istotę. Jest ona, jak by ci to rzec, zupełnie naga, ta wiara nasza, i zupełnie bezbronna. Nie żyjemy żadnych nadziei, nie domagamy się niczego, nie prosimy o nic, na nic nie liczymy, lecz wierzymy po prostu.

Nie stawiaj mi, proszę, dalszych pytań, lecz zastanów się raczej nad tym, co oznacza taka wiara. Jeśli ktoś wierzy dla jakichś przyczyn i z jakichś powodów, wiara jego przestaje być w pełni suwerenna; o tym, że dwa i dwa jest cztery, na pewno wiem, dlatego nie muszę w to wierzyć. Lecz nic nie wiem o tym, jaki jest Bóg; dlatego tylko wierzyć mogę. Co mi ta wiara daje? Podług dawnego rozumienia nic. Nie jest już kościelką strachu przed nicością ani zalotnicą Bożą, wiszącą u klamki niebieskiej między strachem potępienia i nadzieją raj. Nie uspokaja rozumu, znękanego sprzecznościami bytu; nie wатуje jego kantów; powiadam ci: jest na nic! Znaczy to, że ona niczemu nie służy. Nam nie wolno nawet głosić, jakobyśmy dlatego właśnie wierzyli, ponieważ ta wiara prowadzi do absurdu, albowiem kto tak mówi, tym samym wygłasza przekonanie, że już potrafi rozróżnić między absurdem i nieabsurdem trwale i że sam się opowiada po stronie absurdu dlatego, bo podług jego opinii po tej stronie stoi Bóg. My tak nie mówimy. Akt wiary naszej nie jest ani modlitewny, ani dziękczynny, ani pokorny, ani zuchwały, on jest po prostu, i nic więcej nie da się o nim powiedzieć.

Zafrapowany tym, co usłyszałem, wróciłem do celi i znów czytałem, teraz już następny tom dziejów dychtońskich. Opisywał Erę Centralizacji Cielizmu. Somsputer działał zrazu ku powszechnemu zadowoleniu, lecz wnet pojawiły się na planecie nowe istoty - dwojacy, trojacy, czwartacy, potem ósmacy, a wreszcie i tacy, co w ogóle nie chcieli się kończyć w sposób przeliczalny, bo im w ciągu życia wciąż coś nowego wyrastało. Był to skutek defektów, czyli fałszywej reiteracji programów, a mówiąc potocznie, maszyna zaczęła się jakać. Ponieważ jednak panował kult jej doskonałości, te automorficzne wypaczenia próbowano nawet chwalić, oświadczając na przykład, że właśnie bezustanne pączkowanie i rozcapierzanie się jest właściwą ekspresją proteuszowej natury człowieka. Chwalba ta opóźniła roboty naprawcze i doprowadziła do powstania tak zwanych nieskończycieli lub pentaków (politaków), którzy zatracali orientację we własnym ciele, tyle go było; gubili się w nim, tworząc tak zwane płatwie i węzliny; nieraz bez Pogotowia Ratunkowego nie dało się ich rozsupłać. Naprawa Somsputera nie powiodła się - zwany Zepsuterem, został wreszcie wysadzony w powietrze. Ulga, jaka potem zapanowała, nie trwała długo, bo wróciło koszmarne pytanie, co dalej robić z ciałem?

Po raz pierwszy dały się wtedy słyszeć nieśmiałe głosy, czy nie warto by wrócić do starego wyglądu, lecz osądzono je jako tępe wstecznictwo. W wyborach 2520 roku zwyciężyli Żywnie albo Relatywiści, bo chwycił ich demagogiczny program, by każdy wyglądał tak, jak mu się żywnie spodoba; ograniczenia wyglądu miały być tylko funkcjonalne: dzielnicowy architektcielista zatwierdzał projekty, zdatne do sprawnego bytowania, nie troszcząc się o resztę. Projekty te rzucał na rynek BIPROCIAPS istnymi lawinami. Historycy zwa okres automorfii pod Somsputerem epoką centralizacji, a lata późniejsze - reprzywatyzacją.

Oddanie indywidualnego wyglądu prywatnej inicjatywie doprowadziło po kilku dekadach do nowego kryzysu.

Co prawda niektórzy filozofowie głosili już, że im większy postęp, tym więcej przesilen, i w braku kryzysów należałoby je prokurować, gdyż one aktywizują, jednoczą, budzą twórczy zapał, chęć walki i zespalają duchowo oraz materialnie, jednym słowem zagrzewają społeczeństwa do współpracy, a pod ich nieobecność panoszy się stagnacja, marazm i inne rozpadowe objawy. Poglądy te głosiła szkoła

tak zwanych optysemistów, to jest filozofów, czerpiących optymizm na przyszłość z pesymistycznej oceny teraźniejszości.

Okres prywatnej inicjatywy ciało-sprawstwa trwał trzy czwarte wieku. Zrazu rozkoszowano się zdobytą swobodą automorfii, znów przodowała młodzież dyszelkami i łomótkami chłopców, fajniczynami dziewcząt, lecz niebawem wystąpiły starcia międzypokoleniowe, bo doszło do kontestacji pod znakiem ascezy. Młodzi zarzucali starszej generacji pogoń za wyżyciem, bierny, często konsumpcyjny stosunek do ciała, płaski hedonizm, wulgarną gonitwę za rozkoszą, i żeby się odciąć, przybierali formy rozmyślnie szkaradne, nad wyraz niewygodne, wręcz koszarne (capierzyści, gwajdliwcy). Demonstrując pogardę dla wszelkiej użytkowości, umieszczali sobie oczy pod pachami, a młody aktyw biotyczny używał bez liku wyhodowanych narządów dźwiękowych (bębalnie, harfasy, gulgongi, mandolnice). Urządzono masowe rykowiska, na których soliści, zwani słowyjkami, doprowadzali rozentuzjasmowany tłum do drgawkowego tarła. Potem zapanowała moda czy też mania długich macek, które w kalibrze i sile chwytu podlegały eskalacji podług typowo młodzieńczej, chełpliwej zasady "Ja ci pokażę!" Że zaś masy węzowych splotów nikt nie miał siły dźwigać sam, doprawiano sobie tak zwane pochódki (ogonatory), to jest samokroczący pojemnik, co wyrastał z krzyża i na dwu krzepkich łydkach niósł brzemień macek za ich właścicielem. Znalazłem w podręczniku ryciny ukazujące elegantów, za którymi ich pochódki niosły kłęby macek na promenadzie; był to już schyłek kontestacji, a właściwie zupełny jej krach, ponieważ nie ścigała żadnych własnych celów, lecz była jedynie buntowniczą reakcją na orgiastyczny barok epoki.

Barok ten miał swoich apologetów i teoretyków, głoszących, że ciało jest po to, by można mieć największą ilość przyjemności w największej ilości miejsc naraz; Merg Barb, jego czołowy przedstawiciel, wyjaśniał, że Przyroda ulokowała, skąpo zresztą, ośrodki przyjemnych doznań w ciele po to, żeby mogło przeżywać; toteż żadne doznania rozkoszne nie są z jej rozkazu, autonomiczne, ale każde czemuś służy: a to dostarczeniu ustrojowi płynów, a to węglowodanów czy białka, a to zapewnieniu, w potomstwie, kontynuacji gatunku itp. Z tym narzuconym pragmatyzmem należy radykalnie zerwać; dotychczasowa bierność w projektowaniu ciała jest objawem braku wyobraźni perspektywicznej; uciechy lukullusowe czy erotyczne to mizerny produkt uboczny zaspokajania wrodzonych instynktów, czyli tyranii Natury; nie wystarczy wyzwolenie seksu, którego świadectwem jest ektogeneza, ponieważ seks nie ma przed sobą znaczniejszej przyszłości ani kombinatorycznej, ani konstrukcyjnej; cokolwiek było tam do wymyślenia, już dawno urzeczywistniono, i nie w tym sens automorficznej wolności, żeby prostolinijnie powiększać to lub owo, robiąc po prostu plagiatowe powiększenia płciowej staroci. Należy wymyślić zupełnie nowe organy i narządy, które będą funkcjonowały wyłącznie po to, żeby ich posiadaczowi było dobrze, coraz lepiej, rozkosznie, wręcz niebiańsko.

Barbowski pospieszyło w sukurs grono młodych, zdolnych projektantów z BIPROCIAPSU, którzy wynaleźli rypciny i chędacze; zapowiadano je z wielkim szumem, w reklamach gwarantujących, że dawne uciechy żołądka czy płci to głupie dłubanie w nosie w porównaniu z rypcieniem i chędaniem; w mózgi wprawiano, oczywiście, ośrodki ekstatycznego doznawania, zaprogramowane specjalnie przez inżynierów dróg nerwowych, przy czym urządzono je piętrowo. Tak powstał popęd chędańczy i rypceniowy oraz właściwe tym instynktom czynności o nader bogatej i urozmaiconej skali, ponieważ można było chędać i rypcić na zmianę lub jednocześnie, solo, w duetach, triadach, a potem, po dosztukowaniu cucanek, także w grupach kilkudziesięcioosobowych. Powstały też nowe rodzaje sztuki, bo pojawili się artyści chędańcy i rypciarze, lecz i na tym się nie skończyło; pod koniec XXVI wieku pojawiły się barokowe formy jęzodrepców, sukcesy odnosił gryzi pięta, słynny Ondur Sterodon zaś, który umiał jednocześnie chędać, rypcić i mandolić, latając na pacierzowych skrzydłach, stał się bożyszczem tłumów.

W szczytowym okresie baroku seks wyszedł z mody; pielęgnowały go tylko dwa niewielkie stronnictwa, komasatów i separatystów. Separatyści, niechętni wyuzdaniu, uważali, że nie godzi się jeść kapusty tymi samymi ustami, którymi się kochanka całuje. Niezbędne są po temu osobne, tak zwane platoniczne usta, a najlepiej mieć ich zestaw podług przeznaczenia (dla krewnych, znajomych i dla

istoty wybranej). Komasaci, hołdujący funkcjonalizmowi, działali na odwrót, łącząc, co się dało, dla uproszczenia organizmu i życia.

Schyłek tego stylu, jak zwykle ekstrawagancki i wydziwaczony, stworzył postaci tak osobliwe, jak kobietę-taboretę i heksaka, który przypominał centaury, lecz miał zamiast kopyt cztery bosc stopy, zwrócone palcami ku sobie: zwano go i przytupcem, podług tańca, w którym energiczne tupanie było figurą podstawową. Lecz rynek okazywał nasycenie i znużenie. Trudno było epatować nowym ciałem, używano kłapek usznych z naturalnego rogu, uszne konchy, przeświecające stygmatycznymi obrazkami, wachlowały bladą różowizną policzki pań z towarzystwa, próbowano chodzić na giętych nibynóżkach, przez czystą bezwładność BEPROCIAPS dostarczał dalszych projektów, czuło się jednak nadchodzący kres tej formacji.

Zatopiony w lekturze, wśród porzucanych książek, w świetle lamp, łączących nade mną po suficie, zasnąłem ani wiedząc kiedy; przebudził mnie dopiero daleki głos porannego dzwonka. Zaraz też pojawił się mój braciszek pytać, czy życzę sobie może niejkiej odmiany; jeśli tak, przeor prosi, bym zechciał mu towarzyszyć w objeździe całej diecezji u boku o. Memnara. Perspektywa opuszczenia mrocznych katakumb ucieszyła mnie, toteż wyraziłem zgodę.

Objazd wyglądał niestety inaczej, niż sobie wyobrażałem. Na powierzchnię wcale się nie wydostali; braciszki, wyrzutowawszy do drogi niskie, juczne zwierzęta, okryte do ziemi szarymi jak ich habity płachtami, powiadali na nie oklep i poczłapaliśmy z wolna podziemnym korytarzem. Były to, jak się już domyślałem, a domyśl ten znalazł potwierdzenie, od wieków nie używane kanały metropolii, która wznosiła się wysoko nad nami tysiącem na wół zrujnowanych wieżowców. Miarowe ruchy mego wierzchowca miały w sobie coś dziwnego; nie dostrzegałem też pod przykrywającym go materiałem ni śladu głowy; zajrzawszy dyskretnie pod płótno, przekonałem się, że to maszyna, rodzaj czworonożnego robota, wielce prymitywnego; do południa nie ujechaliśmy ani dwudziestu mil. Trudno się zresztą było zorientować w długości przemierzonej drogi, wiła się bowiem labiryntami kanałów słabo rozświetlonymi przez lampy, które małym stadkiem to podfrwały nad nami, to odbijając się o zakłęsły strop pospieszały na czoło kolumny, dokąd je przyzywano cmokaniem.

Przybyliśmy wreszcie do siedziby oo. prognozytów, gdzie przyjęto nas z honorami, ja zwłaszcza znajdowałem się w ośrodku powszechnej uwagi. Ponieważ meblowa puszca została daleko, ojcowie prognozyci musieli się specjalnie zakrzętać, by przysposobić z myślą o mnie przyzwoity posiłek. Dostarczyły go magazyny opuszczonej metropolii pod postacią torebek z plemnikami; postawiono przede mną miski, jedną pustą, drugą pełną wody, i po raz pierwszy mogłem przekonać się o działaniu produktów biotycznej cywilizacji.

Zakonnicy gorąco usprawiedliwiali się przede mną z braku zupy; po prostu braciszek, wysłany na powierzchnię ziemi studzienką kanalizacyjną, nie umiał odnaleźć właściwej torebki; z kotлетem poszło jednak nieźle: plemnik, polany kilkoma łyżkami wody, napęczniał, rozpląszczył się, tak że po chwili miałem na talerzu smacznie przyrumieniony medalion cielęcy, cały w masełku, które, skwiercząc od nagrzania, wydzielało się jego porami. W magazynie, z którego dobyto ten specjał, musiał panować zupełny chaos, skoro między paczuszkami z gastronomicznymi plemnikami zawieruszyły się inne: zamiast deseru wyrósł mi na talerzu magnetofon, a i to nie nadający się do użytku, bo miał na szpulach tasienki od kalesonów. Wyjaśniono mi, że to efekt hybrydyzacji, która teraz często się zdarza, albowiem nie nadzorowane automaty produkują plemniki coraz gorszej jakości; te produkty biotyczne mogą się krzyżować i tak właśnie powstają najniesamowitsze mieszańce. Przy tej okazji wpadłem wreszcie na trop pochodzenia dzikich mebli.

Zacni ojcowie chcieli posłać zaraz któregoś z młodszych zakonników ponownie w ruiny miasta, za deserem dla mnie, lecz gorąco się temu sprzeciwiłem. Daleko bardziej niż na deserze, zależało mi na rozmowie.

Refektarz, niegdyś wielka oczyszczalnia kanałów miejskich, przedstawiał się nader schludnie, wysypany białym piaskiem, oświetlony licznymi lampami, które u

prognozytów były inne niż u destrukcyjnych, mianowicie mrugające i pręgowane, jakby wywodziły się od wyolbrzymionych os. Siedzieliśmy za długim stołem na przemian, więc obok każdego destrukcyjana spoczywał na swym chassis prognozyta; odczuwałem niepojęte skrępowanie, że ja jeden mam obnażoną twarz i ręce - przy zamaskowanych postaciach ojców robotów w ich zgrzebnych kapturach ze szkłem w otworach oczu i przy oo. komputerach, którzy, graniaści, w najmniejszym już stopniu nie przypominali żywej istoty; niektórzy spośród nich połączeni byli pod stołem kabelkami, ale nie ważyłem się pytać o sens tej ich wieloprzewodowej łączności.

Rozmowa, jaka wywiązała się przy tym samotnym obiedzie - boż ja jeden go spożywałem - znów, siłą nieodpartyh rzeczy, zesłała ku transcendentalnej tematyce. Pragnąłem dowiedzieć się, co ostatni wierzący Dychtonii sądzą w kwestiach dobra i zła, Boga i diabła, a gdy zadałem to pytanie, nastąpiła dłuższa chwila ciszy, w której tylko pręgowane lampy brzęczały cicho w rogach refektarza; zresztą może to był prąd oo. prognozytów.

Odezwał się wreszcie siedzący naprzeciw mnie starszy komputer, z zawodu historyk religii, jak się później dowiedziałem od ojca Darga.

- Zmierzając wprost do celu, wyraziłbym nasze poglądy tak - powiedział, - Szatan jest tym, czego najbardziej w Bogu nie rozumiemy. Nie znaczy to. Jakobyśmy sądzili, że Bóg sam stanowi aliaz pierwiastków wyższego i niższego, dobra i zła, miłości i nienawiści, mocy stwarzania i żądy zniszczenia. Szatan to myśl, że Boga można ograniczyć, zaklasyfikować, wydzielić, dokonując frakcjonowanej destylacji, tak aby został tym, i tylko tym, co potrafimy zaakceptować i przed czym się już bronić nie będziemy. Myśl ta nie daje się utrzymać wewnątrz historii, ponieważ jej nieuchronną konsekwencją jest wniosek, że nie ma innej wiedzy, jak pochodzącej od Szatana, i że on się dopóty rozszerza, dopóki nie pochłonie wszystkiego, co wiedzę zdobywa, w całości. A to, ponieważ wiedza unicestwia stopniowo dyrektywy, zwane przykazaniami objawionymi. Pozwala ona zabijać, nie zabijając, niszczyć, lecz tak, że to niszczenie stwarza, ułatwia się od niej osoby, jakim miała być należna cześć, choćby ojciec i matka, i padają od niej dogmaty, jak nadprzyrodzoneści poczęcia niepokalanego i duszy nieśmiertelnej.

Jeżeli to miały być pokusy diabelskie, to wszystko, czego się tkniesz, jest diabelską pokusą, i nie można by nawet powiedzieć, że Szatan pochłoniął cywilizację, ale w niej Kościół nie pochłoniął, ponieważ Kościół, choć z oporami, daje stopniowo zgodę na zdobywanie wiedzy, i nie ma na tej drodze żadnego miejsca, na którym mógłby rzec "dotąd, a dalej już nie!", ponieważ nikt, w Kościele czy poza Kościołem, nie potrafi wiedzieć, jakie będą jutrzejsze skutki dzisiaj poznanego. Kościół może od czasu do czasu wydawać bitwy temu postępowi, lecz gdy broni jednego frontu, ot choćby nienaruszalności poczęcia, postęp, zamiast dać frontalny bój, dokonuje manewru okrążającego, którym likwiduje sens bronionych pozycji. Tysiąc lat temu Kościół nasz bronił macierzyństwa, a wiedza zlikwidowała pojęcie matki, najpierw rozcinając akt macierzyństwa na dwoje, potem wynosząc je z ciała na zewnątrz, potem dokonując syntezy zarodka, tak że po trzech wiekach obrona straciła wszelki sens; musiał tedy Kościół przystać na zapłodnienie zdalne i na poczęcie w laboratorium, i na poród w maszynie, i na ducha w maszynie, i na maszynę, dostępującą sakramentów, i na zniknięcie różnicy pomiędzy naturalnie stworzonym i sztucznym bytem. Gdyby obstawał przy swoim, to musiałby jednego dnia uznać, że nie ma innego Boga prócz Szatana.

Aby uratować Boga, uznaliśmy historyczność Szatana, czyli jego ewolucję jako zmieniającej się w czasie projekcji tych wszystkich cech, które nas w Stworzeniu zarazem przerażają i pogrążają. Szatan to naiwna myśl, że między Bogiem a Niebogiem można rozróżniać jak między dniem i nocą. Bóg jest Tajemnicą, a Szatan to zebrane w osobę, wydzielone cząstkowo rysy tej Tajemnicy. Nie ma dla nas ponadhistorycznego Szatana. To jedno, co w nim trwałe i co brano za osobę, pochodzi z wolności. Musisz jednak, gościu i przybyszu z dalekich stron, zapomnieć o kategoriach twej myśli, ukształtowanej w innej historii niż nasza, kiedy mnie słuchasz. Wolność oznacza dla nas coś zupełnie innego niż dla ciebie.

Oznacza ona upadek wszelkich ograniczeń działania, czyli zanik tych wszystkich oporów, jakie życie napotyka na swym zaraniu rozumowym. Te opory kształtują rozum, bo wydobywają go na wierzch z wegetacyjnych otchłani. Ponieważ te opory dają się dotkliwie we znaki, historycznemu rozumowi roi się jako ziszczenie - pełnia swobód, i dlatego właśnie w tym kierunku zmierza cywilizacyjnymi krokami. Jest krok ciosania kamiennych urn i jest krok wskrzeszania zmarłych, i jest krok gaszenia słońc i nie ma między nimi nieprzebytych przeszkód.

Wolność, o jakiej mówię, to nie ten skromny stan pożądanym przez jednych ludzi, kiedy inni ich dręczą. Wtedy bowiem człowiek jest dla człowieka krata, ściana, siłkami i przepaścią. Wolność, którą mam na myśli, leży dalej, rozpościera się poza tę strefą socjalnych zdławień wzajemnych, ponieważ strefę tę można przejść cało, a wtedy, w poszukiwaniu nowych oporów, bo ich już ludzie ludziom nie stawiają, odnajduje siebie w świecie i w sobie i wybiera się za przeciwnika siebie i świat, żeby z obojgiem walczyć i oboje sobie podporządkować. A kiedy i to się udaje, otwiera się otchłań wolności, ponieważ im więcej można czynić, tym mniej się wie, co czynić należy. Zrazu kusi mądrość, lecz z dzbana wody na pustyni staje się ona takim dzbanem wśród jeziora, gdy przyswajalna jak woda i gdy nią możesz obdarzyć żelazny złom i żabi skrzek.

O ile jednak dążenie do mądrości wydaje się dostojne, nie ma dostojnych argumentów na ucieczkę z mądrości, nikt bowiem nie oświadcza wtedy głośno, że pragnie otępienia, a jeśliby nawet pragnął tę odwagę wyznać, to dokąd się ma właściwie cofnąć? Gdyż nie ma już przyrodzonych rozdziewów między rozumem a nierozumem, bo je nauka skwantowała i rozpuściła, i dlatego nawet dezertera wiedzy czeka wolność, musi bowiem wybrać wcielenie, jakie mu odpowiada, a stoi przed nim więcej szans, niż jest gwiazd na niebie. Straszliwie mądry wśród podobnych sobie staje się karykaturą mądrości, jak królowa pszczoł staje się bez ula karykaturą matki, kiedy na nic jest zwał jajeczek, rozsadzający jej odwłok.

Przychodzi więc do ucieczek z tego miejsca, chyłkiem i w największym wstydzie lub gwałtem i w największej panice. Tam, gdzie każdy musi być, jaki jest, trwa przy swoim z konieczności. Tam, gdzie każdy może być inny, niż jest, będzie rozdrabniał swój los skokami bytowych przesiadek. Społeczność taka wygląda z góry jak rojowisko owadów na rozpalonej płycie. Z dala wygląda jej męka jak farsa, bo śmieją skoki z mądrości w otępienie i owoce rozumu używane po to, by można grać na brzuchu jak na bębnie, biec na stu nogach lub wyścielać mózgiem ściany. Gdy ukochaną istotę można zdublować, nie ma już ukochanych istot, lecz urągawisko miłości, a kiedy można być każdym i żywić dowolne przekonania, nie jest się już nikim i nie ma się żadnych przekonań. Toteż dzieje nasze idą na dno i odbijają się od tego dna skacząc jak pajac na sznurku, i dlatego wydają się koszmarnie śmieszne.

Władza reglamentuje wolność, lecz stawia tak granice nieautentyczne, które atakuje bunt, bo nie można zakrywać raz dokonanych odkryć. Tak więc mówiąc, że Szatan jest uosobieniem wolności, chciałem wyrazić myśl, że stanowi on tę stronę Bożego dzieła, która przeraża nas najbardziej jako rozdroże mocy kontinuum, na którym stajemy, sparaliżowani osiągniętym celem. Podług naiwnej myśli filozoficznej świat "powinien" nas ograniczać tak, jak kaftan bezpieczeństwa ogranicza wariata, a drugi głos w tejże filozofii bytu mówi, że te więzy "powinny" tkwić w nas samych. Kto tak mówi, łaknie istnienia granic wolności albo ustanowionych w świecie, albo w sobie samym, gdyż chce, żeby go świat nie przepuszczał w pewnych kierunkach albo żeby go jego własna natura tak zatrzymywała. Wszelako Bóg nie dał nam ani pierwszych, ani drugich granic. A nie tylko nie dał takich granic, lecz wygładził miejsca, w których myśmy się ich niegdyś spodziewali, żebyśmy sami nie wiedzieli, przekraczając je, że to właśnie czynimy.

Spytałem, czy z tego nie wynika, że Bóg jest podług duizmu identyczny z Szatanem? Zauważyłem nieznaczne poruszenie obecnych. Historyk milczał, a generał zakonu rzekł:

- Jest tak, jak mówisz, ale nie jest tak, jak myślisz. Mówiąc "Bóg jest Szatanem", nadajesz tym słowom groźny sens niegodziwości Stwórcy. To, co

powiedziałeś, jest tedy nieprawdą - ale tylko w twoich ustach. Gdybym to ja powiedział albo którykolwiek z obecnych ojców, słowa te znaczyłyby coś zupełnie innego. Znaczyłyby one tylko, że są takie dary Boże, które możemy przyjąć bez oporu, i takie, których nie możemy podźwignąć. Znaczyłyby one "Bóg nas w niczym, ale to w niczym nie ograniczył, nie uszczuplił i nie skrępował". Zauważ, proszę, że świat, zniewolony do samego dobra, jest takim samym przybytkiem niewoli jak świat zniewolony do samego zła. Czy zgadzasz się ze mną, Dagdorze?

Historyk, do którego zwrócone było to pytanie, przytwierdził i zabrał głos.

- Znam mi są, jako dziejopisowi wiar, teogonie, podług których Bóg urządził świat niezupełnie doskonały, który jednak ruchem prostym bądź zygzakowatym, czy po spirali zmierza do perfekcji, czyli znane mi są doktryny, według których Bóg jest to bardzo duże dziecko, puszczające zabawki we "właściwym" kierunku, gwoli swej ucieście. Znam też nauki, nazywające doskonałym to, co już jest, by się zaś rachunek tej doskonałości zgadzał w bilansie, robią w nim poprawkę i ta poprawka nosi imię diabła. Lecz zarówno model bytu jako zabawy w puszczanie kolejek z rozkręcającą się sprężyną wiecznego postępu, który dźwiga stworzone coraz sprawniej tam, gdzie coraz lepiej, oraz model bytu, w którym świat jest boksem Jasności i Mroku, walczących przed Bożym sędzią ringowym, jak i model świata, w którym niezbędne są cudowne interwencje, czyli Stworzenia, jako psującego się zegarka i cudu jako Bożej pincety, dotykającej werków gwiazdowych, żeby podkreślić, co należy, jak też model świata jako smacznego tortu, w który powtykane są ości diabelskich pokus - wszystkie one stanowią obrazki z elementarza rodzaju rozumnego, to jest książeczki, którą dojrzały wiek odkłada ze wzruszoną melancholią, ale i ze wzruszeniem ramion, na półki dzieciennego pokoju. Nie ma demonów, jeśli nie uważać za demona wolności; świat jest jeden i Bóg jest jeden, i wiara jest jedna, przybyszu, a reszta jest milczeniem.

Chciałem pytać, jakie są podług nich pozytywne cechy Boga i świata, bo na razie wciąż słyszałem tylko, czym Bóg n i e jest, a też po wykładzie na temat eschatologii wolności miałem w głowie jeden wir i mętlik - lecz trzeba było ruszać w dalszą drogę. Gdyśmy się już kołysali na naszych żelaznych rumakach, podczas jazdy spytałem, tknięty niespodziewaną myślą, o. Darga, czemu właściwie jego zakon nosi nazwę destrukcyjną?

- Wiąże się to z tematem naszej rozmowy za stołem - odparł. - Nazwa ta, historycznego pochodzenia, oznacza aprobatę bytu w całości, jako w całości pochodzącego od Boga, zarówno w tym, co jest w nim twórczością, jak w tym, co się nam zdaje jej przeciwieństwem. Nie oznacza ona - pospieszyl dodać - jakobyśmy sami opowiadali się za destrukcją; zapewne teraz nikt by tak zakonu nie ochrzcił, lecz to imię jest płodem pewnej przekory teologicznej, odzwierciedlającej już przebyte kryzysy Kościoła.

Zmrużyłem oczy, bo dotarliśmy do miejsca, w którym kanał, wskutek chwalenia się stropów, wychodził częściowo na powierzchnię gruntu - i długo nie mogłem podnieść powiek, tak odwykłem od słońca. Znajdowaliśmy się na równinie wyzbytej śladów wszelkiej wegetacji; miasto stało sinawym zrębem gmachów na horyzoncie, a całą przestrzeń rozcinały w różne strony idące gładkie i szerokie drogi, jakby ulane z taśm srebrzystego metalu; panowała na nich pustka zupełna, jak i w niebie, po którym szło tylko kilka brzuchatych, białych obłoków.

Nasze wierzchowce, przedstawiające się sposobem szczególnie pokracznym na drodze przystosowanej do największego pędu, z wolna, skrzypiąc, też jakby oślepię promieniami słońca, do którego nie nawykły, szły na znany zakonnikom skrót, lecz zanim dotarliśmy do betonowej rynny, na powrót zagłębiającej się w ziemi, pojawiła się między łukami wiaduktu niewielka budowla szmaragdowej i złocistej barwy; pomyślałem sobie, że to pewno stacja benzynowa. Stał przy niej pojazd płaski, jak duży karaluch, przystosowany tym kształtem do szybkości; budynek nie miał okien, tylko wpółprzejrzyste ściany, przez które słońce przeświecało jak przez witraż; gdyśmy znaleźli się o jakieś sześćdziesiąt kroków całą rozciągniętą kolumną, usłyszałem dobiegające stamtąd jęki i rżenia tak okropne, aż włos mi się zjeżył. Głos, niewątpliwie ludzki, charczał i stękał na przemian. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że to krzyk torturowanego, może

mordowanego, spojrzałem na towarzyszy, nie zwracali jednak na owe wrzaski potępieńcze najmniejszej uwagi.

Chciałem wołać do nich, żebyśmy pospieszyli z pomocą, ale głos mi odjęło przerażenie, że los katowanego człowieka może im być aż tak obojętny, więc zeskokczyłem z żelaznego czworonoga i pogałem przed siebie, nie oglądając się na nikogo. Nim zdążyłem dobiec do budynku, po krótkim, chrapliwym wrzasku zapadła cisza. Budynek był pawilonem o lekkich kształtach, bez widocznych drzwi, obiegłem go nadaremnie i zatrzymałem się jak wkopany przed ścianą z błękitnawego szkliwa, na tyle przezroczystą, że mogłem zajrzeć do wnętrza. Na zachlapanym krwią stole spoczywała naga postać między aparatami, które wpijały lśniące rurki czy cęgi w jej ciało, już martwe, tak wykręczone agonialnym skurczem, że rąk od nóg nie umiałem odróżnić. Nie widziałem też głowy, czy tego, co ją zastępowało, zamkniętej w ciężkim metalowym dzwonie, nasuniętym z góry, nastroszonym iglastymi kolcami. Trup nie broczył już z licznych ran, bo serce przestało bić. W stopy piekł mnie rozpalony słońcem piasek, w uszach brzmiał jeszcze potępieńczy ryk tego Dychtończyka, stałem porażony ohydą, strachem, niezrozumiałością sceny, bo trup był sam - mogłem zajrzeć we wszystkie kąty owej sali tortur maszynowych; raczej poczułem, aniżeli usłyszałem zbliżanie się zakapturzonej postaci, i dostrzegłszy kątem oka, że to przeor, odezwałem się ochryple:

- Co to jest? Kto go zabił? co?

Stał obok mnie jak posąg i głos straciłem od świadomości, że to naprawdę jest żelazny posąg; w podziemiach zamaskowane postaci mnichów w spiczastych kapturach nie wyglądały tak niesamowicie obco, jak teraz w pełnym słońcu, pośród białej geometrii dróg, na czystym tle horyzontu; tam, za szklaną ścianą, ten zgięty w uchwytach metalu zewłok wydał mi się jedyny, bliski, podczas kiedy stałem zupełnie sam, jak palec, wśród zimnych, logicznych maszyn, niezdolnych do niczego prócz abstrakcyjnych rozumowań. Ogarnęła mnie chęć, więcej, postanowienie, żeby, nie odezawszy się ani słowem, odejść, nie żegnając ich spojrzeniem nawet, bo między mną a nimi otworzyła się w tej jednej chwili przepaść nie do przebycia. Stałem jednak dalej obok przeora, który milczał, tak jak gdyby jeszcze na coś czekał.

W sali, zalanej błękitnym światłem, przefiltrowanym przez szkło stropu i ścian, coś drgnęło. Lśniące ramiona aparatów nad stężalym zaczęły się poruszać. Prostowały ostrożnie kończyny zamęczonego, oblewały mu rany cieczą jasną, jak woda, ale parującą, zmywając krew, i spoczywał teraz płasko, jakby wyporzadzony już do wiecznego snu, lecz błysnęły ostrza i przemknęła mi myśl, że będą go sekcjonować; więc chociaż był już martwy, chciałem biec, żeby go uchronić od ćwiartowania, ale przeor położył mi na ramieniu żelazną rękę i nie poruszyłem się.

Błyszczący dzwon podniósł się i zobaczyłem nieludzką twarz; teraz wszystkie maszyny pracowały jednocześnie, a tak szybko, że widziałem tylko migotanie i ruch szklanej pompy pod stołem, w której burzył się czerwony płyn, aż w środku tego zamętu pierś leżącego podniosła się i opadła; na moich oczach zasklepiały mu się rany, cały poruszał się i przeciągał.

- Zmartwychwstał? - spytałem szeptem.

- Tak - odparł przeor. - Żeby jeszcze raz skonać. Leżący rozejrzał się, miękka, bezkostna jakby dłonią ujął rękę, co wystawała z boku, i pociągnął ją, a wtedy dzwon nasunął mu się na głowę, skośne cęgi wychodząc z pochw chwyciły ciało, i rozległ się ten sam wrzask co przedtem; do tego stopnia nic już nie pojmowałem, że dałem się bezwolnie zaprowadzić ku czekającej cierpliwie karawanie zamaskowanych, w jakimś odrętwieniu wgramoliłem się na wierzchowca i słuchałem słów kierowanych do mnie - to przeor wyjaśniał mi, że pawilon jest specjalną placówką usługową, w której można przeżywać własną śmierć. Chodzi o doznanie możliwie wstrząsających wrażeń, które nie sprawiają tylko cierpienia, bo dzięki transforamtorowi bodźców ból mieni się straszliwą rozkoszą. Wszystko to bierze się stąd, że dzięki pewnym typom automorfii Dychtończykom nawet agonia

jest miła, a komu jednej mało, ten po wskrzeszeniu daje się znów zabijać, żeby przeżyć niesamowity wstrząs raz jeszcze. I w samej rzeczy, nasza żelazna karawana oddalała się od miejsca usługowej kaźni dostatecznie wolno, by rzeżenia i jęki amatora silnych wzruszeń długo nas jeszcze dochodziły. Ta szczególna technika nosiła nazwę "konanii" (wymawiaj: "K O N A N J A").

Jedna rzecz - czytać w dziele historycznym o krwawych zawieruchach dziejów, a inna - na własne oczy widzieć i przeżywać chociaż ich okruc. Miałem tak dość pobytu na powierzchni ziemi, pod słońcem, wśród łuków srebrnych autostrad, migocąca w dali za nami iskra pawilonu przejmowała mnie taką zgrozą, że zagłębiłem się z prawdziwą ulgą w ciemności kanału, który przyjął nas chłodnym i bezpiecznym milczeniem. Przeor, domyślając się, jak jestem wstrząśnięty, nic nie mówił; do wieczora odwiedziliśmy jeszcze pustelnię pewnego anachorety i zakon braci mniejszych, który zamieszkiwał osadnik kanałów dzielnicy willowej, aż późną nocą zakończywszy objazd diecezji, wróciliśmy do siedziby oo. destrukcyjnych, wobec których odczuwałem dziwne zawstydzenie za tę chwilę, w której tak ich się przeraziłem i znienawidziłem.

Celka wydała mi się swojskim domem; czekała już przygotowana przez zapobiegliwego braciszka zimna szuflada nadziewana a pochłonawszy ją szybko, bo odczuwałem głód, otwarłem tom historii dychtońskiej, poświęcony czasom nowożytnym.

Pierwszy rozdział mówił o ruchach autopsychicznych XXIX wieku. Zmęczenie wszechzmiennością było wtedy takie, że idea odwrotu od ciała i zajęcia się kształtowaniem umysłów odmłodziła jakby społeczeństwo i wyrwała je z marazmu. Tak się rozpoczęło. Odrodzenie. Przewodzili mu genialicy ze swym planem obrócenia wszystkich żyjących w mędrców. Wnet obudziło to wielki głód wiedzy, intensywne uprawianie nauk, nawiązywanie łączności międzygwiazdnej z innymi cywilizacjami, lecz lawinowy wzrost wiadomości zmusił do kolejnych przeróbek cielesnych, bo się uczony mózg nawet w brzuchu nie mieścił; społeczeństwo dogeniało się z przyspieszeniem wykładniczym i fale zmadrzenia obiegały całą planetę. Ten Renesans, upatrujący sens bytu w Poznaniu, trwał lat siedemdziesiąt. Zaroiło się od myślicieli, profesorów, superfesorów, ultrafesorów, potem i kontriesorów.

A ponieważ dźwiganie potężniejszego mózgu na pochodce było coraz bardziej niewygodne, po krótkiej fazie dwumyślnych (mieli jakby dwie taczki cielesne, przednią i tylną, do rozmyślań wyższych i niższych) samo życie obróciło genialitów w nieruchomość. Każdy tkwił wewnątrz wieży własnej inteligencji, spowity węzami kabli niczym Gorgona; społeczność przypominała plaster gromadzonej jak miód mądrości, w którym tkwił żywy czerw ludzki. Porozumiewano się bezprzewodowo i składano sobie telewizyty; dalsza eskalacja przywiodła do konfliktu zwolenników łączenia indywidualnych zasobów z ciułaczami wiedzy, którzy chcieli mieć każdą informację na własność. Zaczęły się podsłuchy cudzych rozmyślań, przechwytywanie co świetniejszych koncepcji, kopanie dołów pod wieżami antagonistów w filozofii i sztukach, fałszowanie danych, podgryzanie kabli, a nawet próby aneksji cudzych dóbr psychicznych razem z osobowością właściciela.

Reakcja, gdy nadeszła, była gwałtowna. Nasze średniowieczne ryciny, przedstawiające wyobrażenia smoków i dziwolągów zamorskich, są dziecinadą wobec rozpasania cielesnego, które ogarnęło glob. Ostatni genialicy, półślepi od słońca, wyczołgivali się spod ruin, by opuścić miasta. Rozwalidki, pędoraści i rozstrzelici! grasowali w powszechnym chaosie. Powstawały zespolenia ciał i aparatów, sprawne w porubstwie (maszynołuchaparaczak, gotowóz, drezynak), pojawiły się urągliwe karykatury duchowieństwa - karakonnik z karakonnica - a także gąsienita i brzuchaj.

Wtedy też rozpowszechniła się konania. Doszło do głębokiego uwstecznienia cywilizacji. Hordy muskularnych dławidłów gziły się po lasach z czołginkami, W ustronnych wykrotach czaili się drżdzący. Nic już nie świadczyło na planecie o tym, że była ongiś kolebką człekokształtnego rozumu. W zarosłych stołowym chwastem i dziką zastawą parkach spoczywali między kępkami serwetnika kupcy -

istne wzgórza dyszącego mięsa. Większość tych monstrualnych form nie powstawała przez świadomy wybór i planowanie, lecz była koszmarnym skutkiem psucia się ciałosprawczej maszynerii: wytwarzała ona nie to, co obstalowano, lecz wynaturzone, kalekie potwory. W tych czasach monstrolizy społecznej, jak pisze prof. Gragz, prehistoria zdawała się brać zadziwiający odwet na późnych potomkach, gdyż to, co myśl pierwotna tylko sobie roiła koszmarem mitów, czyli słowo grozy - w ślepo rozpędzonej maszynerii biotycznej - stało się ciałem.

Z początkiem XXX wieku objął nad planetą władzę dyktatorską Dzomber Glaubon i wprowadził w ciągu dwudziestu lat unifikację, normalizację i standaryzację cielesną, traktowane zrazu jak zbawienie. Był on zwolennikiem absolutyzmu oświeconego i humanitarnego, toteż nie dopuścił do zgładzenia zdegenerowanych form rodem z XXIX wieku, lecz zlecił je skupiać w specjalnych rezerwatach; nawiasem mówiąc, właśnie na samym skraju jednego z takich rezerwatów mieścił się, pod zwaliskami dawnej stolicy prowincjonalnej, klasztor podziemny oo. destrukcjantów, w którym znalazłem schronienie. Z postanowienia D. Glaubona każdy obywatel miał być samistą beztylcem, czyli takim jednopłciowcem, co jednakowo prezentował się z przodu i z tyłu. Dzomber napisał Myśli, dzieło wykładające jego program. Pozbawił ludność seksu, bo upatrywał w nim przyczyny upadku zeszlówiecznego; ośrodki rozkoszy pozostawił poddanym po ich uspołecznieniu. Pozostawił im też rozum, bo nie chciał rządzić debilami, lecz być odnowicielem cywilizacji.

Lecz rozum to tyle, co rozmaite, więc i nieortodoksyjne pomysły. Nielegalna opozycja zeszyła do podziemia i oddawała się w nim ponurym orgiom antysamistycznym. To przynajmniej głosiła prasa rządowa. Glaubon nie prześladował wszakże opozycjonistów, przerabiających się w kontestacyjne kształty (zakalcyci, zadyści). Podobno działali w podziemiu i dwuzadyści, głoszący, że rozum jest po to, by mieć czym pojąć, że należy się go jak najszybciej pozbyć, bo on to jest sprawcą wszystkich historycznych klęsk; głowę zastępowali tym, co mamy za jej przeciwieństwo; uważali ją za przeszkadzającą, szkodliwą, wręcz banalną; lecz o. Darg zapewniał mnie, że prasa rządowa przesadzała z gorliwości. Zadystom nie podobała się głowa, więc odrzucili ją, ale mózg przenieśli tylko w dół, żeby patrzył na świat jednym okiem pępkowym, a drugim umieszczonym z tyłu, trochę niżej.

Glaubon ogłosił, po zaprowadzeniu niejakiego ładu, plan tysiącletniego ustabilizowania społeczeństwa dzięki tak zwanej hedalgetyce. Wprowadzenie jej poprzedziła wielka kampania prasowa pod hasłem "SEKS W SŁUŻBIE PRACY!" Każdy obywatel miał przydzielone stanowisko robocze, a inżynierowie dróg nerwowych tak łączyli neurony jego mózgu, że odczuwał rozkosz, tylko gdy należycie pracował. Czy więc kto drzewa sadił, czy wodę nosił, pławił się w upojeniu, a im lepiej pracował, tym intensywniejszej doznawał ekstazy. Lecz właściwa rozumowi przewrotność podkopała i tę, zdawałoby się, niezawodną metodę socjotechniczną. Nonkonformiści pocztytywali bowiem rozkosz doznawaną przy pracy za formę zniewolenia. Przeciwdziałając się chuci roboczej (laboribido), wbrew żądzy, co ich parła ku stanowiskom pracy zleconej, nie to robili, do czego zwał ich zew popędu, lecz właśnie wszystko na odwrót. Kto miał być nosiwodą, drzewo rznął, a kto drwalem - wodę dźwigał, w ramach antyrządowych manifestacji. Wzmacnianie uspołecznionych żądz, kilkakrotnie przeprowadzane na rozkaz Glaubona, nic nie wskórało, tyle że historycy zwa te lata jego rządów erą męczenników. Biolicja miała duże trudności z rozpoznawaniem winnych wykroczeń, bo przychyceni na gorącym uczynku doznawania mąk twierdzili obłudnie, jakoby stękali z rozkoszy właśnie. Glaubon wycofał się z areny życia biotycznego głęboko rozczarowany, widział bowiem ruinę swego wielkiego planu.

Potem, na przełomie XXXI i XXXII wieku, doszło do walk Diadochów; planeta rozpadła się na prowincje, zamieszkiwane przez obywateli ukształtowanych podług zaleceń miejscowej władzy. Był to już czas pomonstrolitycznej Kontrreformacji. Po dawnych wiekach pozostały nagromadzenia wółpółzwalonych miast i płodowlami, rezerwaty, sporadycznie tylko nawiedzane lotnymi kontrolami, opustoszałe seksostrady i inne relikty przeszłości, czasem funkcjonujące jeszcze na wółpół kalekim sposobem. Tetradoch Glambron wprowadził cenzurę kodów genetycznych, która pewne rodzaje genów uznała za zakazane, lecz osobniki niecenzuralne już to

używały w miejscach publicznych masek, przystawek, ogony przyklepiano sobie plastrami do pleców lub wpuszczano chyłkiem do nogawki itp. Praktyki te były tajemnicą poliszynela.

Pentadoch Marmozel, działając w myśl zasady "divide et impera", zwiększył ustawowo ilość oficjalnie dopuszczonych płci. Pod jego rządami obok męzczyzny i kobiety wprowadzono płączyznę, wywijastę i dwie płci pomocnicze - podtrzymców i nacieran. Życie, zwłaszcza erotyczne, stało się za tego Pentadocha bardzo skomplikowane. Ponadto tajne organizacje, gromadząc się na obrady, czyniły to pod pozorem zaleconego przez władzę sześciopłciowego obcowania, toteż przyszło do częściowego unieważnienia projektu: do dziś istnieją tylko wywijasta i płączyzna.

Za Heksadochów weszły w życie aluzje cielesne, dzięki którym obchodzono chromosomową cenzurę. Widziałem podobizny osób, którym płatki uszu przedłużały się w małe łydki. Nie wiadomo było, czy osoba taka uszami strzyże, czy wykonuje aluzyjne ruchy kopania. W pewnych kręgach ceniono język zakończony małym kopytkiem. Był wprawdzie niewygodny i niezdatny na nic, lecz tak się właśnie manifestował duch somatycznej niepodległości. Gurył Hapsodor, uchodzący za liberała, zezwolił szczególnie zasłużonym obywatelom na posiadanie dodatkowej nogi; przyjęło się to jako zaszczytne odznaczenie, a potem sens owej nogi, zatraciwszy charakter lokomocyjny, stał się oznaką piastowanej godności; wyżsi urzędnicy mieli do dziewięciu nóg; dzięki temu rangę każdego można było rozpoznać natychmiast nawet w łaźni.

Za rządów surowego Rondra Ischiolisa wstrzymano wydawanie zezwoleń na dodatkowy metraż cielesny, a nawet konfiskowano nogi winnym wykroczeń; podobno chciał on zlikwidować wszystkie kończyny i narządy prócz niezbędnych życiowo oraz wprowadzić mikrominiaturyzację, bo budowano coraz mniejsze mieszkania, lecz Bghiz Gwamdl, który objął po Ischiolisie władzę, anulował te dyrektywy i dopuścił nawet ogon pod pretekstem, że jego kita można zamiatać mieszkanie. Pojawili się potem przy Gondlu Gurwie tak zwani dolni odchyłeńcy, którzy mnożyli sobie kończyny bezprawnie, a w następnej fazie sroższych rządów znów pokazały się, a raczej pochowały paznokcie językowe i inne organelle kontestacyjne. Oscylacje tego typu trwały nadal, gdym przybył na Dychtonię. Czego na pewno nie dałoby się zrealizować cielesnie, to wyrażała tak zwana literatura pornograficzna biotyki, piśmiennictwo podziemne, należące do prohibitów, jakich moc zawierała biblioteka klasztorna. Przejrzałem np. manifest wzywający do dziewojaka, który miał na włosach chodzić, a płód innego anonimowego autora, dyszkanciarz, winien się być poruszać w powietrzu, szybując na zasadzie poduszkowca.

Poznawszy tak z grubsza dzieje planetarne, zapoznałem się z bieżącą literaturą naukową; głównym organem projektowobadawczym jest teraz KUPROCIEPS (Komisja Uzgadniająca Projekty CieleśnoPsychiczne). Dzięki uprzejmości o. bibliotekarza mogłem zapoznać się z najświeższymi pracami tego organu. Tak np. inż. ciał Dergard Wnich jest autorem prototypu o tymczasowej nazwie polimona lub wszedołęgi. Prof. dr inż. mag. Dband Rabor pracuje na czele dużego zespołu nad śmiałym, nawet kontrowersyjnym projektem tak zwanego wieloraba - który ma być funkcjonalnym zespoleniem drogi w trzech sensach: komunikacyjnym, płciowym i w siną dal. Mogłem się też zapoznać z perspektywicznofuturologicznymi pracami ciałoznawców dychtońskich; odniosłem wrażenie, że jako całość znajduje się automorfia na martwym punkcie rozwoju, chociaż eksperci starają się przełamać stagnację; artykuł prof. Zgagoberta Grauza, dyrektora KUPROCIEPSU, w miesięczniku "Głos Ciała" zamykały słowa "Jak można sienie przekształcać, jeżeli m o ż n a się przekształcać?"

Po tych wszystkich uporczywych studiach byłem tak wyczerpany, że kiedy odniosłem do biblioteki ostatni stos przeczytanych dzieł, nic nie robiłem przez tydzień, tylko się opalałem w meblowym zagajniku.

Pytałem przeora, co sądzi o biotycznej sytuacji. Jego zdaniem nie ma już dla Dychtończyków powrotu do kształtów ludzkich, bo się od nich nazbyt odsadzili; kształty te budzą, wskutek wielowiekowej indoktrynacji, takie uprzedzenia i taka

repulsję powszechną, że nawet oni - roboty - muszą, ukazując się w publicznych miejscach, szczelnie zakrywać całą postać. Spytałem go wtedy - byliśmy sami po kolacji w refektarzu - jaki jest właściwie sens - wewnątrz takiej cywilizacji - działalności zakonnej i wiary?

Przeor uśmiechnął się do mnie głosem.

- Czekałem na to pytanie - rzekł. - Odpowiem ci na nie dwa razy, raz prostacko, a raz subtelniej. Duizm, najpierw, to tyle, co "na dwoje babka wróżyła". Bóg jest bowiem tajemnicą do tego stopnia, że nie można mieć całkowitej pewności nawet w kwestii jego istnienia. Tak więc albo jest, albo go nie ma i stąd wywodzi się etymologiczny korzeń imienia naszej wiary. A teraz powtórnice, lecz głębiej: Bóg - Pewność nie jest tajemnicą doskonałą, skoro przynajmniej w tym można go przychwycić i całkowicie ograniczyć, że Jest. Gwarantowany byt jego to tyle, co oaza, miejsce uspokojenia, leniwiec ducha, i właśnie z ksiąg historii religii możesz wyczytać przede wszystkim wiekowy, bezustanny, do ostateczności napięty, w szaleństwo idący wysiłek myśli, która wciąż gromadziła argumenty i dowody Jego istnienia, i wciąż rozsypujące się w gruz wznosiła z odłamków i szczątków od nowa. Nie utrudzaliśmy cię przedkładaniem naszych ksiąg teologicznych, ale gdybyś do nich zajrzał, zobaczyłbyś te etapy dalsze rozwoju naturalnego wiary, jakich jeszcze nie znają młodsze cywilizacje. Faza dogmatyki nie urywa się nagle, lecz przechodzi od stanu zamknięcia w stan otwarcia, gdy ustanowiony zostaje, dialektycznie, po dogmacie nieomyślności głowy Kościoła - dogmat nieuchronnej omyślności wszelkiej myśli w kwestiach wiary, sformułowany względem tego, co trwa TAM". Przychodzi do dalszego podnoszenia poziomu abstrakcji: zauważ, proszę, że dystans między Bogiem a rozumem powiększa się z upływem czasu - wszędzie i zawsze!

Za starożytnym objawieniem Bóg wciąż się wtrącał do wszystkiego, dobrych do nieba brał żywcem, złych siarką polewał, za byle krzakiem siedział, i dopiero potem zaczęło się oddalanie, Bóg tracił naoczność, człekokształtność, brodatość, znikły szkolne pomoce cudów i demonstracje pogładowe przesiedlania demonów w capy, i kontrolne wizytacje anielskie; wiara, jednym słowem, obywała się już bez cyrkowej metafizyki; tak ze sfery zmysłów przechodziła w sferę odrywań. Nie zabrakło i wtedy dowodów Jego istnienia ani wyrażonych w języku wyższej algebry sanktorów, ani bardziej jeszcze elitarniej hermeneutyki. Abstrakcje te docierają wreszcie do punktu, w którym ogłasza się śmierć Boga, aby zdobyć ten rodzaj żelaznego, lodowatego i rozdzierającego spokoju, jaki należy się żywym, gdy opuszczają ich na zawsze najmocniej ukochani.

Manifest o śmierci Boga jest tedy manewrem kolejnym, który ma nas, chociaż druzgoczaco, pozbawić metafizycznej fatygi. Jesteśmy sami i zrobimy, co zechcemy, albo to do czego nas dalsze odkrycia doprowadzają. Otóż duizm poszedł już dalej; w nim wierzysz wątpiąc i wątpisz wierząc; ale i ten stan nie może być ostateczny. Podług niektórych ojców prognozytów ewolucje i rewolucje, czyli obroty i przewroty wiar, nie przebiegają w całym Kosmosie tożsamo i są cywilizacje bardzo potężne i wielkie, które zarządzać usiłują całą Kosmogonią w ramach antybożej prowokacji. Podług tego domysłu są w gwiazdach ludy, które usiłują okropne milczenie Boga przełamać rzuconym mu wyzwaniem, to jest groźbą KOSMOCYDU: chodzi im o to, żeby Kosmos cały zbiegł się w jeden punkt i sam siebie spalił w ogniu takiego ostatecznego skurczu; chcą więc niejako wyważeniem z posad dzieła Bożego wymusić na Bogu jakąkolwiek reakcję; chociaż nic o tym nie wiemy pewnego, pod względem psychologicznym wydaje mi się ten zamysł możliwy. Lecz i daremny zarazem; urządzenie antymateria krucjat przeciw Panu Bogu nie wygląda bowiem na rozsądny sposób nawiązywania z Nim dialogu.

Nie mogłem powstrzymać cisnącej się na usta uwagi, że duizm, jak widzę, jest właściwie agnostycyzmem czy też "ateizmem nie do końca pewnym siebie" albo bezustannym drganiem między biegunami: jest nie ma. Ale jeśli jest w nim chociaż szczypta wiary w Boga, to czemu właściwie służy zakonne byt? Komu przydaje się na cokolwiek to wysiadywanie w katakumbach?

- Zbyt wiele pytań naraz! - rzekł o. Darg. - Czekałże. A co mielibyśmy właściwie

robić według twej myśli?

- Jakże? Chociażby rozwijać działalność misyjną...

- A więc ty wciąż jeszcze nic nie rozumiesz! Wciąż jesteś tak daleki ode mnie, jak w chwili pierwszego pojawienia! - rzekł przeor z głębokim smutkiem. - Uważasz, że powinniśmy zajmować się upowszechnianiem wiary? Misjonarstwem? Tworzyć konwertytów? Nawracać?

- A ojciec tak nie sądzi? Jak to może być? Czy to nie stanowi we wszystkich czasach waszego posłannictwa? - pytałem zdumiony.

- Na Dychtonii - rzekł przeor - możliwych jest milion rzeczy, z jakich nie zdajesz sobie sprawy. Można u nas zetrzeć prostym zabiegiem całą zawartość osobniczej pamięci i naładować opustoszały przez to umysł nową pamięcią syntetyczną, taką, że poddanemu zabiegowi będzie się wydawało, jakoby przeżył to, czego nie doznawał, jednym słowem, można uczynić go Kimś Innym, niż był do operacji. Można odmienić charakter i osobowość, więc przerabiać jurnych gwałtowników w słodkich samarytan i na odwrót; ateistów w świętych lub ascetów w rozpasańców; można otępiac mędrców, a głupców czynić geniuszami; pojmyj, proszę, że to wszystko jest bardzo łatwe i nic MATERIALNEGO nie stoi na przeszkodzie takim przeróbkom. A teraz zważ dobrze na to, co ci powiem.

Ulegając argumentom naszych kaznodziejów, zakamieniały ateista mógłby uwierzyć. Powiedzmy, że tacy złotouści wysłańcy naszych zakonów nawrócą rozmaite osoby. Końcowy stan tych misjonarskich zabiegów byłby taki, że wskutek zmian, co nastąpiły w ich umysłach, ludzie dotąd niewierzący uwierzyliby. To oczywiste, nieprawdaż?

Przytaknąłem.

- Wybornie. A teraz zważ, że te osoby będą żywiły w kwestiach wiary nowe przekonania, ponieważ dostarczając im informacji za pośrednictwem natchnionych słów i kaznodziejskich gestów w określony sposób urobiliśmy ich mózgi. Otóż ten końcowy stan - mózgow ożywionych zachłanną wiarą i pożądaniem Boga - można osiągnąć milion razy szybciej i bardziej niezawodnie, stosując odpowiednio dobraną grę środków biotycznych. Więc dlaczego właściwie mielibyśmy misjonarzować staroświeckim perswadowaniem, kazaniem, prelekcjami, wykładami, skoro także do naszej dyspozycji stoją te środki nowoczesne?

- Ojciec chyba nie mówi tego poważnie! - zawołałem. - Toż to byłoby nieetyczne! Przeor wzruszył ramionami.

- Mówisz tak, bo jesteś dzieckiem innej epoki. Zapewne sądzisz, że działalibyśmy podstępem i zniewoleniem, czyli taktyką "kryptokonwersji", ukradkowo rozsiewając jakieś chemikalia lub jakimiś falami bądź drganiami urabiając umysły. Ależ tak nie jest przecież wcale! Niegdyś odbywały się dysputy wierzących z niewierzącymi, a jedynym instrumentem, jedyną bronią używaną była słowna moc argumentu obu stron (nie myślę o "dysputach", w których argumentem był pał, stos lub topór). Obecnie analogiczna dysputa odbywałaby się na środki argumentacji technicznej. My byśmy działali instrumentami nawracającymi, a zatwardziali-oponenci kontratakowałiby środkami, które by nas miały przerobić na ich modłę, a co najmniej uodpornić ich przeciwko temu trybowi misjonarzowania. Szansę obu stron na wygraną zależałyby od skuteczności użytych technik, tak samo jak ongiś szansę zwycięstwa w dysputie zależały od skuteczności słownego wywodu. Nawrócić bowiem to tyle, co przekazać zniewalającą do wiary informację.

- A jednak - upierałem się - takie nawracanie nie byłoby autentyczne! Przecież preparat, wywołujący pragnienie wiary i głód Boga, fałszuje umysł, bo nie przemawia do jego wolności, lecz przymusza go i gwałci!

- Zapominasz o tym, do kogo i gdzie mówisz - odparł przeor. - Od sześciuset lat nie ma u nas ani jednego "naturalnego" umysłu. Nie ma więc u nas możliwości odróżnienia pomiędzy myślą narzuconą i naturalną, ponieważ nikt nie musi nikomu

żadnej myśli ukradkiem narzucać, żeby go przekonać. Narzuca się coś wcześniejszego i ostatecznego zarazem, to znaczy mózg!

- Lecz i ten narzucony mózg ma nienaruszoną logikę! - odparłem.

- To prawda. Wszelako zrównanie niegdysiejszych i obecnych dysput o Bogu straciłoby zasadność tylko wówczas, gdyby na rzecz wiary istniała argumentacja logicznie nieodparta, zniewalająca umysł do aprobowania wyniku z taką samą mocą, z jaką to matematyka czyni. Ale podług naszej teodycei takiej argumentacji nie może być. Toteż historia wiar zna apostazy i herezje, lecz nie zna analogicznych odstępstw historia matematyki, ponieważ nigdy nie było takich, co by odmawiali zgody na to, że jest jeden tylko sposób dodawania jedności do jedności i że wynikiem tej operacji będzie liczba dwa. Ale Boga nie udowodnisz matematycznie. Opowiem ci o tym, co zaszło dwieście lat temu.

Pewien ojciec komputer starł się z komputerem niewierzącym. Ten ostatni, jako nowszy model, dysponował środkami informacyjnego działania nie znanymi naszemu duchownemu. Wysłuchał tedy jego argumentacji i rzekł mu:

"Pan mnie informowałeś, a teraz ja cię poinformuję, co nie potrwa ani milionowej części sekundy - poczekajmy tę chwilkę na przemienienie pańskie!" Po czym zdalnie i błyskawicznie tak przeinformował naszego ojca, że ten wiarę stracił. Cóż powiesz?

- No, jeśli to nie był gwałt zadany, to już nie wiem! - zawołałem. - U nas zwie się to manipulowaniem umysłami.

- Manipulowanie umysłami - rzekł o. Darg - to tyle, co nakładanie duchowi niewidzialnych więzów tym samym sposobem, jakim można je ciału widzialnie nakładać. Myśl jest jak pismo, wychodzące spod ręki, a manipulacja myślą jest jak przechwycenie piszącej dłoni, żeby stawiała inne znaki. To oczywisty gwałt. Lecz ów komputer nie tak działał. Każdy wywód musi być budowany z danych; przekonywać zaś w dyskusji to tyle, co słowami wymawianymi przesuwając dane w umyśle oponenta. Komputer ten uczynił to właśnie, lecz nie słowem mówionym. Nie zrobił więc pod względem informacyjnym nic innego niż zwykły, dawny dysputant, a jedynie zrobił to pod względem przesyłowym inaczej. Mógł zaś postąpić tak, bo dzięki swej umiejętności umysł naszego ojca widział na wylot. Wyobraź sobie, że jeden szachista widzi tylko szachownicę z figurami, a drugi nadto jeszcze dostrzega myśli przeciwnika. On go zwycięży na pewno, jakkolwiek wcale go nie zgwałci w niczym. Jak sądzisz, co uczyniliśmy z naszym duchownym, gdy do nas wrócił?

- Chyba zrobiliście tak, żeby mógł na powrót uwierzyć. .. - powiedziałem niepewnie.

- Nie uczyniliśmy tego, ponieważ odmawiał zgody. Nie mogliśmy więc tego zrobić.

- Teraz już nic nie rozumiem! Przecież postąpilibyście tak samo, jak ów jego przeciwnik, tylko na odwrót!

- Ależ nie. Już nie, bo ten nasz były ojciec nie życzył sobie żadnych dalszych dysput. Pojęcie "dysputy" odmieniło się i rozszerzyło znacznie, uważasz? Kto wkracza teraz w jej szranki, musi być gotów nie tylko na ataki słów. Ojciec nasz wykazał, niestety, smutną ignorancję i naiwność, bo był ostrzegany, bo tamten go o przewadze z góry zapewniał, lecz nie chciało mu się pomieścić w głowie, żeby jego niewzruszona wiara mogła się czemukolwiek poddać. Pod względem teoretycznym istnieje wyjście z tej matni eskalacyjnej, trzeba by mianowicie sporządzić umysł zdolny do uwzględnienia WSZYSTKICH wariantów WSZYSTKICH MOŻLIWYCH danych, lecz ponieważ ich zbiór jest mocy pozaskończonej, tylko pozaskończony umysł mógłby zdobyć metafizyczną pewność. Takiego na pewno niepodobna zbudować. Jakkolwiek bowiem budujemy, w skończony sposób budujemy, jeśli zaś istnieje nieskończony komputer, to jest nim tylko On.

Tak więc na nowym piętrze cywilizacyjnym spór o Boga nie tylko może, lecz musi

być prowadzony nowymi technikami - jeśli się go w ogóle chce toczyć. Oręż informacyjny zmienił się bowiem po OBU STRONACH TAK SAMO, sytuacja walki byłaby symetryczna i przez to tożsama z sytuacją średniowiecznych dysput. To nowe misjonarstwo można uznać za niemoralne tylko o tyle, o ile uzna się za niemoralne stare nawracanie pogan lub spory dawnych teologów z ateistami. Żaden inny tryb pracy misyjnej nie jest już obecnie możliwy, ponieważ ten, kto by dziś zechciał uwierzyć, na pewno uwierzy, a ten, kto ma wiarę i pragnie ją utracić, na pewno ją utraci - dzięki zabiegom właściwym.

- A więc z kolei można by działać na organ woli, wywołując chęć wiary? - spytałem.

- Tak jest w samej rzeczy, jak wiesz, ukuto niegdyś powiedzenie, że Bóg jest po stronie silniejszych batalionów. Obecnie, w myśl idei krucjat technogennych, okazałyby się po stronie silniejszych aparatów konwersyjnych, lecz nie uważamy, jakoby zadaniem naszym było wdać się w taki wyścig zbrojeń teodyktycznych, sakralnoanty sakralnych, nie chcemy wejść na drogę podobnej eskalacji, że to my sporządzimy konwertor, a oni anty konwertor, że my nawrócimy, a oni odwróca i tak się będziemy zmagali wiekami, zamieniwszy klasztory w kuźnie coraz skuteczniejszych środków i taktyk budzenia głodu wiary!

- Nie mogę pojąć - rzekłem - jak to jest możliwe, żeby nie było innej drogi, ojcze, prócz tej, jaką mi pokazujesz. Przecież wszystkim umysłem wspólna jest ta sama logika? A naturalny rozum?

- Logika jest narzędziem - odparł przeor - aż narzędzia nic nie wynika. Musi ono mieć osadę i kierującą dłoń, a tę osadę i tę dłoń można u nas ukształtować, jak się komu żywnie podoba. Co do naturalnego rozumu, to czyja i ojcowie jesteście naturalni? Jakem ci już mówił, stanowimy złom, a nasze Credo jest to dla tych, co pierwsi nas sporządzili, a potem wyrzucili, uboczny produkt, bełkot tego złomu. Otrzymaliśmy wolność myśli, ponieważ przemysł, dla którego nas zbudowano, tego właśnie wymagał. Słuchaj pilnie. Zdradzę ci teraz tajemnicę, której nikomu innemu bym nie zdradził. Wiem, że rychło nas opuścisz i że nie przekażesz jej władzom: nie uszłaby nam na sucho.

Ojcowie jednego z odległych zakonów, poświęcający się nauce, odkryli środki takiego oddziaływania na wolę i myśl, że moglibyśmy w okamgnieniu nawrócić całą planetę, ponieważ nie ma przeciw nim żadnego antidotum. Te środki nie odurzają, nie otepiają, nie pozbawiają wolności, a jedynie czynią one duchowi to samo, co czyni wrokozi ręką, zadzierającą głowę ku niebu i głos mówiący: "patrz"! Jedynym przynagleniem oraz zniewoleniem byłoby to, że nie można wtedy zamknąć oczu. Środki te zmuszają do spojrzenia w twarz Tajemnicy, a kto ją tak ujrzy, ten się już jej nie pozbędzie, bo wytłacza ona dzięki nim ślady nieścieralne. Byłoby to, mówię przyrównaniem, coś takiego, jakbym cię zawiódł na skraj wulkanu i nakłonił, żebyś popatrzał w głąb, a jedyny przymus, który ci zadam, byłby taki, że tego już nie zdołasz zapomnieć. Tak zatem JUŻ jesteście wszechmocni w konwersji, ponieważ osiągnęliśmy w dziedzinie nawracania na wiarę ten najwyższy stopień wolności działania, który w innej, materialno-cieleśnego sprawstwa, cywilizacja osiągnęła. Możemy więc, wreszcie... czy pojmujesz? Mamy tę wszechmoc misjonarską i nie uczynimy nic. Albowiem jedyną rzeczą, w jakiej się jeszcze może objawić nasza wiara, jest odmowa zgody na ten krok. Powiadam przede wszystkim: NON AGAM. Nie tylko NON SERVIAM, lecz także: Nie będę działał. A nie będę, ponieważ mogę działać pewnie i tym działaniem uczynić wszystko, co zechcę. Nie pozostaje nam tedy nic ponad to trwanie tutaj, przy szczyrzej skamielinie, w rojowisku wyschniętych kanałów.

Nie znalazłem odpowiedzi na te słowa. Widząc bezpłodność dalszego pobytu na planecie, po pełnym wzruszeniu i żalu pożegnaniu z zacnymi ojcami, załadowawszy rakieta, która szczęśliwie przetrwała pod kamuflażem, ruszyłem w drogę powrotną, czując się innym człowiekiem niż ten, który nie tak dawno temu przecież na niej wylądował.

Mam teraz sporo zajęcia przy porządkowaniu osobliwości, jakie przywiozłem z moich podróży w najdalsze zakątki Wszechświata. Od dawna już zdecydowałem przekazać tę, jedyną w swoim rodzaju, kolekcję do muzeum; onegdaj kustosz zawiadomił mnie, że przygotowuje w tym celu specjalną salę.

Nie wszystkie okazy są mi jednakowo bliskie; jedne budzą wspomnienia pogodne, inne przywodzą na myśl wydarzenia pełne niesamowitości i grozy, lecz wszystkie jednakowo stanowią świadectwo w całej rozciągłości potwierdzające autentyczność moich podróży.

Do eksponatów wskrzeszających wspomnienia szczególnie intensywne należy zab umieszczony na małej poduszeczce pod kloszem; ma dwa duże korzenie i jest zupełnie zdrowy; wyłamał mi się na przyjęciu u Oktopusa, władcy Memnogów z planety Urtamy; podawano tam potrawy wyśmienite, lecz niesłychanie twarde.

Również poczesne miejsce zajmuje w zbiorach fajka, rozpękła na dwie nierówne części; wypadła mi z rakiety, gdy przelatywałem nad kamienistym globem z rodziny gwiazdowej Pegaza. Żałując straty spędziłem półtora dnia na poszukiwaniach w głębi pełnego przepaści skalnego uroczyska.

Nieco dalej leży w małym pudełku kamyk nie większy od groszku. Historia jego jest wielce osobliwa. Kiedym wyprawił się do Xeruzji, najodleglejszej gwiazdy w mgławicach bliźniaczych NGC 887, nieomal przeliczyłem się z siłami; podróż trwała tak długo, że bliski byłem załamania; szczególnie dręczyła mnie tęsknota za Ziemią i miejsca nie mogłem sobie znaleźć w rakiecie. Bóg wie, jak by się to skończyło, gdy wtem w dwusetnym sześćdziesiątym ósmym dniu podróży poczułem, że coś uwiera mnie w lewą piętę; zdjąłem bucik i ze łzami w oczach wytrząsałem ze skarpetki kamyk, okruszynę najprawdziwszego ziemskiego żwiru, musiała wpaść tam jeszcze na lotnisku, kiedy wstępowałem na stopień rakiety. Tuląc do piersi ten drobny, lecz jakże bliski kawałek ojczystej planety, doleciałem do celu podniesiony na duchu; pamiątka ta jest mi szczególnie droga.

Opodal spoczywa na aksamitnej poduszce wypalona z gliny, zwyczajna cegła koloru żółtoróżowego, rozpękła nieco i nadkruszona z jednego końca; gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności i moja przytomność, przez nią nie powróciłbym już nigdy z wyprawy do Mgławicy Psów Gończych. Cegłę tę zwykłem brać w podróże do najzimniejszych okolic próżni; miałem zwyczaj umieszczać ją na czas jakiś w silniku atomowym, aby potem, dobrze nagrzaną, wkładać do łóżka przed udaniem się na spoczynek. W górnym lewym kwadracie Drogi Mlecznej, tam gdzie chmura gwiazdowa Oriona łączy się z gwiazdozbiorami Strzelca, byłem lecąc z małą szybkością, świadkiem zderzenia dwu ogromnych meteorów. Widok płomienistej eksplozji w ciemnościach tak mnie wzburzył, że sięgnąłem po ręcznik, by otrzeć sobie czoło. Zapomniałem, że poprzednio zawiązałem weń cegłę i podnosząc z rozmachem dłoń omal nie roztrzaskałem sobie czaszki. Na szczęście z właściwą mi bystrością w porę zorientowałem się w niebezpieczeństwie.

Obok cegły stoi niewielka drewniana szkatułka; spoczywa w niej mój scyzoryk, towarzysz licznych wypraw. O tym, jak bardzo jestem do niego przywiązany, niechaj zaświadczy historia, którą opowiem, ponieważ doprawdy jest tego warta.

Opuściłem Satellinę o drugiej po południu z okropnym katarem. Lekarz tamtejszy, do którego się udałem, doradzał mi odcięcie nosa, zabieg dla mieszkańców planety błahy, albowiem nosy odrastają im jak nam paznokcie. Zrażony tą propozycją, prosto od niego udałem się na lotnisko, aby polecieć w okolice nieba, w których medycyna lepiej jest rozwinięta. Podróż miałem pechową. Już na początku, gdy oddaliłem się od planety ledwo o dziewięćset tysięcy kilometrów, usłyszałem sygnał wywoławczy jakiejś rakiety, spytałem więc przez radio, kto tam leci. W odpowiedzi rozległo się to samo pytanie. - Ty powiedz pierwszy! - rzekłem dość ostro, rozdrażniony niegrzecznością obcego. - Ty powiedz pierwszy - odpowiedział

tamten. To przedrzeźnianie tak mnie rozgniewało, że nazwałem po imieniu bezczelność nieznanego podróżnika. Nie pozostał mi dłużny; zaczęliśmy się kłócić coraz zapamiętałej, aż po kilkunastu minutach, oburzony w najwyższym stopniu, zorientowałem się, że żadnej drugiej rakiety nie ma, a głos, który słyszę, jest po prostu echem moich własnych sygnałów radiowych, odbijających się od powierzchni księżycy Satelliny, który właśnie mijałem. Nie dostrzegłem go dotąd, bo ukazywał mi swą nocną, zaciemnioną półkulę.

Jakaś godzinę później, pragnąc obrać sobie jabłko, zauważyłem, że nie mam scyzoryka. Natychmiast przypomniałem sobie, gdzie go miał po raz ostatni; było to w bufecie na lotnisku Satelliny; położyłem go na pochyłej ladzie i musiał się ześliznąć na podłogę w kącie. Uzmysłowiłem to sobie tak dobrze, że mógłbym go znaleźć z zamkniętymi oczami. Zawróciłem raketę i tu dopiero wyłoniła się trudność: całe niebo roiło się od migotliwych światełek i nie widziałem, gdzie szukać Satelliny. Jest ona jednym z tysiąca czterystu osiemdziesięciu globów krążących wokół słońca Erypelazy. Większość ich posiada nadto po kilkanaście księżyców, dużych jak planety, co jeszcze bardziej utrudnia orientację. Zakłopotany, próbowałem wywołać Satellinę przez radio. W odpowiedzi zgłosiło się kilkadziesiąt stacji przemawiających równocześnie, tak że wytworzyła się przeraźliwa kakofonia; musicie wiedzieć, że mieszkańcy systemu Erypelazy są równie uprzejmi, jak nieporządni i nadali nazwę "Satellina" bodajże dwustu rozmaitym planetom. Patrzyłem przez okno na miriady drobnych światełek; na jednym znajdował się mój scyzoryk, lecz łatwiej byłoby chyba odnaleźć igłę w stogu siana niż właściwą planetę w tym gwiazdowym mrowisku. Na koniec zdałem się na łaskawy przypadek i pomknąłem ku planecie, która znalazła się na wprost dziobu.

Już po kwadransie opuściłem się na lotnisko. Było zupełnie podobne do tego, z którego wystartowałem o drugiej, więc uradowany, że tak mi się poszczęściło, udałem się prosto do bufetu. Jakież jednak było moje rozczarowanie, kiedy mimo najdokładniejszych poszukiwań scyzoryka nie znalazłem. Zastanowiwszy się, doszedłem do wniosku, że albo go ktoś zabrał, albo też jestem na całkiem innej planecie. Rozpytawszy się tubylców, przekonałem się, że słuszne było drugie przypuszczenie. Znajdowałem się na Andrygonie, starej, sypiącej się i zmurszałej planecie, która powinna właściwie dawno już być wycofana z obiegu, ale dbają o nią mało, gdyż leży z dala od głównych szlaków raketowych. W porcie pytano mnie, której Satelliny szukam, albowiem globy te są ponumerowane. Teraz dopiero znalazłem się w kropce, bo właściwy numer wyleciał mi z głowy.

Tymczasem, powiadomione przez kierownictwo lotniska, ściągnęły miejscowe władze, aby powitać mnie uroczyście.

Był to wielki dzień dla Andrygonów; we wszystkich szkołach odbywały się właśnie egzaminy maturalne. Jeden z przedstawicieli rządu spytał, czy nie zechcę uświetnić matury moją obecnością; ponieważ przyjęto mnie nadzwyczaj gościnnie, nie mogłem proście tej odmówić. Jakoż prosto z lotniska pojechaliśmy pidłakiem (są to duże, beznogie płazy, podobne do węzów, używane tam powszechnie jako wierzchowce) do miasta. Przedstawiwszy mnie licznie zgromadzonej młodzieży i nauczycielom jako czcigodnego gościa z planety Ziemi, przedstawiciel rządu opuścił zaraz salę. Nauczyciele usadowili mnie na honorowym miejscu przy zerwie (rodzaj stołu), po czym przerwany egzamin toczył się dalej. Uczniowie, podekscytowani moją obecnością, zrazu jękali się, mocno zmieszani, ale dodawałem im otuchy serdecznym uśmiechem, a temu i owemu podpowiedziałem właściwe słowo, tak że pierwsze lody wnet pry snęły. Pod koniec odpowiadali coraz lepiej. W pewnej chwili przed komisją egzaminacyjną stanął młody Andrygon, porośły wzdręgami (rodzaj ostryg, używanych jako ubranie) tak ślicznymi, jakich dawno nie widziałem, i jał odpowiadać na pytania z nieporównaną elokwencją i swadą. Słuchałem go z przyjemnością, konstatuując, że poziom nauki jest tu wcale wysoki.

Wtem egzaminator zapytał:

- Czy kandydat potrafi udowodnić, dlaczego życie na Ziemi jest niemożliwe?

Skłoniwszy się lekko, młodzieniec przystąpił do wyczerpującego, logicznie

zbudowanego wyvodu, w którym wykazał niezbicie, że większą część Ziemi pokrywają zimne, niezmiernie głębokie wody, których temperaturę utrzymują w pobliżu zera pływające stale góry lodowe; że nie tylko bieguny, ale i otaczające obszary są siedliskiem przeraźliwych wiecznych mrozów i że przez pół roku panuje tam noc bezustanna: że, jak to doskonale widać przez przyrządy astronomiczne, lądy, nawet w okolicach o klimacie cieplejszym, pokrywa przez wiele miesięcy w roku zamrożona para wodna, tak zwany śnieg, grubą warstwą zalegającą góry i niziny; że wielki Księżyc Ziemi wytwarza na niej fale przypływów i odpływów, które wywierają niszczące działanie erozyjne; że za pomocą najpotężniejszych lunet można dostrzec, jak często wielkie połacie planety zalega półmrok, spowodowany powłoką chmur; że w atmosferze powstają straszliwe cyklony, tajfuny i burze, co wszystko razem wzięte najzupełniej wyklucza możliwość istnienia życia w jakiegokolwiek formie. Gdyby zaś, zakończył dźwięcznym głosem młody Andrygon, jakieś istoty spróbowały wylądować na Ziemi, niechybnie poniosłyby śmierć, zmiażdżone ogromnym ciśnieniem tamtejszej atmosfery, które na poziomie morza wynosi jeden kilogram na centymetr kwadratowy, czyli 760 milimetrów słupa rtęci.

Tak wyczerpująca odpowiedź zyskała powszechną aprobatę komisji. Zdrętwiały ze zdumienia, siedziałem przez dłuższą chwilę bez ruchu i dopiero gdy egzaminator przystępował do następnego pytania, zawołałem:

- Przepraszam że, godni Andrygoni, ależ... ależ ja właśnie pochodzę z Ziemi; nie wątpicie chyba, że jestem żywy, i słyszeliście, jak mnie wam przedstawiono...

Zapanowało niezręczne milczenie. Nauczyciele byli najgłębiej dotknięci moim nietaktownym wystąpieniem i ledwo się hamowali; młodzież, która nie umie jeszcze ukrywać wzruszeń, jak wiek dojrzały, patrzyła na mnie z jawną niechęcią. Na koniec egzaminator rzekł lodowato:

- Wybacz, panie przybyszu, ale czy nie za wielkie wymagania stawiasz naszej gościnności? Czy nie dosyć ci tak podniosłego przyjęcia, fetów i dowodów szacunku? Czy nie ukontentowaliśmy cię dostatecznie dopuszczeniem do Wysokiej Żerwy Maturalnej, mało ci tego i domagasz się, abyśmy umyślnie dla ciebie zmieniali... program szkolny?!

- Ależ... Ziemia naprawdę jest zamieszkała... - wybąkałem zmieszany.

- Gdyby tak było - rzekł egzaminator patrząc na mnie, jakbym był przezroczyście - stanowiłoby to zboczenie natury.

Słowa te uznałem za obrazę mej ojczystej planety, nie żegnając się przeto z nikim wyszedłem natychmiast, dosiadłem pierwszego napotkanego pidłaka, pojechałem na lotnisko i strząsnąwszy z obuwia proch Andrygony, wystartowałem na dalsze poszukiwania scyzoryka.

W taki sposób lądowałem kolejno na pięciu planetach grupy Lindenblada, na globach Stereopropów i Melacjan, na siedmiu wielkich ciałach rodziny planetarnej słońca Kasjopei, zwiedziłem Osterylię, Awerancję, Meltonię, Latemidę, wszystkie ramiona wielkiej Mgławicy Spiralnej w Andromedzie, układy Plezjomacha, Gastroklancjusza, Eutremy, Symenofory i Paralbidy; w następnym roku przeszukałem systematycznie pobliże wszystkich gwiazd Sappony i Melenwagi oraz globy Erytrodonię, Arrhenoidę, Eodocję, Artenurię i Stroglona z wszystkimi jego osiemdziesięcioma księżycami, nieraz tak małymi, że ledwo było gdzie rakiety posadzić; na Małej Niedźwiedzicy nie mogłem wylądować, bo był tam właśnie remanent; potem przyszła kolej na Cefeidy i Ardenidy; i ręce mi doprawdy opadły, kiedy przez pomyłkę raz jeszcze wylądowałem na Lindenbladzie. Nie dałem jednak za wygraną i jak przystało prawdziwemu badaczowi, ruszyłem dalej. Po trzech tygodniach zauważyłem planetę, która do złudzenia przypominała pamiętną Satellinę; serce uderzało mi szybciej, gdym ją okrażał po zacieszniającej się spirali; próżno jednak wypatrywałem owego lotniska. Już chciałem skierować się na powrót w bezmiar przestrzeni, gdy dostrzegłem, że jakaś malutka postać daje mi z dołu znaki. Zamknąwszy silnik, splanowałem szybko i osadziłem wehikuł w pobliżu grupy malowniczych skał, na których wznosił się spory budynek z

ciosanego kamienia. Na moje spotkanie biegł polem rosły starzec w białym habicie dominikanina. Był to, jak się okazało, ojciec Lacymon, przełożony wszystkich misji działających na obszarach pobliskich gwiazdozbiorów w promieniu sześciuset lat świetlnych. Okolica ta liczy około pięciu milionów planet, w tym dwa miliony czterysta tysięcy zamieszkałych. Ojciec Lacymon, dowiedziawszy się o przyczynie, która sprowadziła mnie w te strony, wyraził współczucie, zarazem zaś radość z mego przybycia, bo jak mi rzekł, jestem pierwszym człowiekiem, jakiego widzi od siedmiu miesięcy.

- Tak się przyzwyczaiłem - powiedział - do obyczajów Meodracytów, którzy zamieszkuja tę planetę, że wielokrotnie chwytałem się na osobliwej pomyłce: oto gdy chcę pilnie nasłuchiwać, podnoszę w górę ręce, jak oni... (Meodracyci, jak wiadomo, mają uszy pod pachami.)

Ojciec Lacymon okazał się bardzo gościnnie; spożyliśmy razem obiad, przyrządzony z miejscowych potraw (tęciwe piżanki w drżonie, drumble ustercone, a na deser miesiochy - dawno już takich nie kosztowałem), po czym udaliśmy się na werandę domu misyjnego. Liliowe słońce przygrzewało, pterodaktyle, od których roi się planeta, śpiewały w krzakach i w południowej ciszy sędziwy przeor dominikanów począł zwierzać mi się ze swych strapień; uskarżał się na trudności, jakie napotyka praca misyjna w tych regionach. Tak na przykład Pięciomiakowie, mieszkańcy gorącej Antyleny, którzy marzną już przy 600 stopniach Celsjusza, słyszeć nawet nie chcą o raju, natomiast opisy piekła budzą w nich żywe zainteresowanie, a to dla korzystnych warunków (smoła wrząca, płomienie), jakie tam panują. Poza tym nie wiadomo właściwie, którzy z nich mogą wstępować do stanu kapłańskiego, albowiem rozróżnia się u nich pięć płci; jest to niełatwy problem dla teologów.

Wyraziłem współczucie; ojciec Lacymon wzruszył ramionami:

- Ach, to nic jeszcze. Bżutowie na przykład uważają powstawanie z martwych za czynność tak codzienną, jak wdziewanie odzieży, i w żaden sposób nie chcą uznać tego zjawiska za cud. Dartrydzi z Egilli nie mają rąk ani nóg; mogliby się żegnać tylko ogonem, lecz nie mogę o tym sam decydować; czekam na odpowiedź stolicy apostolskiej - cóż, kiedy Watykan milczy już drugi rok... A czy słyszał pan o okrutnym losie, jaki spotkał biednego ojca Orybazego z naszej misji?

Zaprzeczyłem.

- Niechże pan więc słucho. Już pierwsi odkrywcy Urtamy nie mogli nachwalić się jej mieszkańców, potężnych Memnogów. Panuje przeświadczenie, że te rozumne istoty należą do najbardziej uczynnych, łagodnych, dobrotliwych i przenikniętych altruizmem stworzeń w całym Kosmosie. Licząc więc na to, że na takim gruncie doskonale przyjmie się ziarno wiary, wysłaliśmy do Memnogów ojca Orybazego mianując go biskupem in partibus infidelium. Przybyłego na Urtamę przyjęli Memnogowie tak, że trudno sobie życzyć czegoś lepszego; otaczali go macierzyńską opieką, szanowali, wsłuchiwali się w każde jego słowo, odczytywali mu z oczu i spełniali natychmiast każde życzenie, wprost pili wygłaszane przezeń nauki, jednym słowem, oddali mu się całkowicie. W listach, które mi pisywał, nie mógł się ich nachwalić, nieszczęśliwy...

Tu ojciec dominikanin strzepnął rękawem habitu łzę z powieki.

- W tak sprzyjającej atmosferze ojciec Orybazy nie ustawał dniem ani nocą głosić zasad wiary. Wyłożywszy Memnogom historię Starego i Nowego Testamentu, Apokalipsę i Listy Apostolskie, przeszedł do żywotów świętych; szczególnie wiele żaru włożył w opiewanie męczenników pańskich. Biedak... to zawsze była jego słabość...

Przemagając wzruszenie ojciec Lacymon ciągnął drżącym głosem:

- Prawił im przeto o świętym Janie, który zdobył światłość wiekuista, kiedy go żywcem ugotowano w oleju, o świętej Agnieszce, co dała sobie głowę dla wiary odciąć, o świętym Sebastianie, przeszytym mnogimi strzałami, który cierpiał

srogie katusze, za co w raju przywitały go pienia anielskie, o młodziankach świętych ćwiartowanych, duszonych, łamanych kołem i palonych małym ogniem. Męki te przyjmowali z zachwytem, pojmując, że zyskują tak miejsce po prawicy Pana Zastępów. Kiedy opowiedział im wiele podobnych, godnych naśladowania żywotów, zasłuchani w jego słowa Memnogowie jęli spoglądać na siebie, a największy z nich zagadnął nieśmiało:

- Wielebny kapłanie nasz, kaznodziejo i ojciec czcigodny, powiedz nam, proszę, jeśli tylko zechcesz zniżyć się do niegodnych twych sług, czy dusza każdego, kto gotów jest na męczeństwo, dostaje się do nieba?

- Niewątpliwie tak, synu mój! - odrzekł ojciec Orybazy.

- Taak? To bardzo dobrze... - powiedział przeciągle Memnóg. - A czy ty, ojciec duchowny, pragniesz dostać się do nieba?

- Jest to moim najgorętszym życzeniem, synu.

- A świętym chciałbyś zostać? - pytał dalej wielki Memnóg.

- Synu zacny, któż by nie chciał nim zostać, ale gdzie mnie tam, grzesznemu, do tak wysokiej godności; trzeba wyęźać wszystkie siły i dążyć nieustannie w największej pokorze serca, aby wstąpić na tę drogę...

- Więc chciałbyś zostać świętym? - upewnił się Memnóg raz jeszcze, spozierając zachęcająco na towarzyszy, którzy nieznacznie unieśli się z miejsc.

- Oczywiście, synu.

- No, to my ci pomożemy!

- W jaki sposób, miłe owieczki? - spytał z uśmiechem ojciec Orybazy, albowiem radowała go naiwna gorliwość wiernej trzódki.

Na to Memnogowie delikatnie, lecz mocno wzięli go pod pachy i rzekli:

- W taki sposób, drogi ojciec, jakiego nas właśnie nauczyłeś!

Za czym najpierw zdarli mu z grzbietu skórę i namaścili to miejsce smołą, jak to zrobił kat Irlandii świętemu Hiacyntowi, potem odrabali mu lewą nogę, jak to poganie uczynili świętemu Pafhucemu, następnie rozpruli mu brzuch i wsadzili weń wiecheć słomy, jak się to przydarzyło błogosławionej Elźbiecie normandzkiej, za czym wbili go na pal, jak Emalkici świętego Hugona, połamali mu żebra, jak Tyrakuzanie świętemu Henrykowi z Padwy, i spalili go powolutku na małym ogniu, jak Burgundzi Dziewicę Orleańską. Potem zaś odsapnęli, umyli się i jęli łączyć rzeźne za swym utraconym pasterzem. Na czym właśnie zastałem ich, albowiem objeżdżając wszystkie gwiazdy diecezji wstąpiłem do ich parafii. Kiedy usłyszałem, co się stało, włosy wstały mi na głowie. Załamawszy ręce, krzyknąłem:

- Niegodni zbrodniarze! Mało dla was piekła! Czy wiecie, żeście wydali dusze na wieczne potępienie?!!

- A jakże - odparli szlochając - wiemy!

Ów największy Memnóg wstał i tak mi powiedział:

- Czcigodny ojciec, wiemy dobrze, że będziemy potępieni i męczeni do końca świata, i musieliśmy toczyć straszne walki duchowe, zanim powzięliśmy ten zamiar, jednakowoż ojciec Orybazy nieustannie powtarzał nam, że nie ma takiej rzeczy, której dobry chrześcijanin nie uczyniłby dla swego bliźniego, że należy oddać mu wszystko i na wszystko być dlań gotowym; tak więc zrezygnowaliśmy z największą rozpaczą ze zbawienia myśląc tylko o tym, by najdroższy ojciec Orybazy zyskał koronę męczeńską i świętość. Nie umiem ci powiedzieć, jak trudno

nam to przyszło, bo zanim przybył do nas ojciec Orybazy, żaden z nas muchy nawet nie ukrzywdził. Ponawialiśmy więc błagania, prosiliśmy go na kolanach, by nieco popuścił i zmniejszył surowość nakazów wiary, ale on kategorycznie twierdził, że dla umiłowanego bliźniego należy czynić wszystko bez żadnego wyjątku. Tak tedy nie byliśmy mu w stanie odmówić. Rozumieliśmy przy tym, że jesteśmy istotami mało znaczącymi i niegodnymi wobec tego męża świątobliwego i że zasługuje on na największe wyrzeczenie z naszej strony. Wierzymy też gorąco, że przedsięwzięcie dobrze się powiodło i że ojciec Orybazy króluje teraz w niebie. Tutaj masz, ojczcie czcigodny, worek z sumą, jaką zebraliśmy na proces kanonizacyjny, bo tak trzeba, to nam ojciec Orybazy, pytany, dokładnie wyjaśnił. Muszę powiedzieć, że stosowaliśmy tylko jego ulubione tortury, o których prawił nam z największym zapamiętaniem. Sądziliśmy, że będą mu miłe, jednakowoż opierał się, a zwłaszcza niechęć budziło w nim łykanie wrzącego ołowiu. Nie dopuściliśmy jednak myśli, że ten kapłan co innego nam mówił, a co innego myślał. Krzyk zaś, jaki podnosił, był tylko dowodem nieukontentowania niskich, cielesnych cząstek jego jestestwa i lekceważyliśmy go w myśl nauki, że należy poniżać ciało, aby tym wyżej wznieść ducha. Pragnąc go podtrzymać, przypominaliśmy mu zasady, które nam głosił, na co ojciec Orybazy odpowiedział jednym tylko słowem, całkiem niepojętym i niezrozumiałym; nie wiemy, co by znaczyło, bo nie znaleźliśmy go ani w książeckach do nabożeństwa, które nam wręczył, ani w Piśmie Świętym.

Zakończywszy opowieść ojciec Lacymon otarł kroplisty pot z czoła i przez czas dłuższy siedzieliśmy w milczeniu, które sędziwy dominikanin przerwał w końcu słowami:

- No i niechże pan sam powie, jak tu być duszpasterzem w takich warunkach?! Albo znowu ta historia! - Ojciec Lacymon uderzył ręką w list rozpostarty na stole. - Ojciec Hipolit donosi mi z Arpetuzy, tej małej planety Wagi, że mieszkańcy jej zupełnie przestali zawierać małżeństwa, nie płodzą więcej dzieci i zagraża im całkowite wygaśnięcie!

- Dlaczegoż to? - spytałem zdumiony.

- Dlatego, bo kiedy usłyszeli, że obcowanie cielesne jest grzechem, tak bardzo zapragnęli zbawienia, że wszyscy ślubowali i zachowują czystość! Od dwu tysięcy lat Kościół głosi wyższość troski o zbawienie duszy nad sprawami doczesnymi, lecz nikt nie brał tego dosłownie, na miły Bóg! Ci Arpetuzańscy poczuli co do jednego powołanie i wstępują masowo do klasztorów; wzorowo przestrzegają reguły, modlą się, poszczą i umartwiają, a tymczasem upada przemysł, rolnictwo, nadciąga głód i zagłada grozi planecie. Napisałem o tym do Rzymu, ale jak zwykle odpowiedzią jest milczenie...

- Bo też to bardzo ryzykowne - zauważyłem - nieść wiarę na inne planety...

- A co mieliśmy robić? Kościół nie śpieszy się, Ecclesia non festinat, jak wiadomo, bo królestwo jego nie jest z tego świata, ale kiedy kolegium kardynałów obradowało i wahało się, tymczasem na planetach zaczęły jak grzyby po deszczu wyrastać misje kalwinów, baptystów, redemptorystów, mariawitów, adwentystów i sam nie wiem jakie jeszcze! Musieliśmy więc ratować, co się da. No, drogi panie, skoro już to powiedziałem... pójdź pan ze mną.

Ojciec Lacymon wprowadził mnie do swego gabinetu. Jedną ścianę zajmowała olbrzymia błękitna mapa nieba gwiazdowego; cała jej prawa strona była zaklejona papierem.

- Widzi pan! - wskazał tę część zakrytą.

- Cóż to oznacza?

- Zgubę, drogi panie. Zgubę ostateczną. Obszary te zamieszkują ludy o niesłychanie wysokiej inteligencji. Głoszą one materializm, ateizm i zalecają skupiać wszystkie wysiłki wokół rozwoju nauki, techniki i doskonalenia warunków życia na planetach. Posyłaliśmy do nich naszych najmądrszych misjonarzy, ojców salezjanów, benedyktynów, dominikanów, ba, nawet jezuitów, natchnionych

głosicieli słowa bożego, mówców miodoustych; wszyscy, wszyscy powracali ateistami!!

Ojciec Lacymon podszedł nerwowo do stołu.

- Był u nas ojciec Bonifacy, pamiętam go jako jednego z najbardziej świątobliwych zakonników; dni i noce spędzał na modłach, leżąc krzyżem, prochem były dlań wszystkie sprawy świata, nie znał innego zajęcia jak odmawianie różańca, ani większej radości od mszy, a po trzech tygodniach pobytu tam - tu ojciec Lacymon wskazał zalepioną część mapy - wstąpił na politechnikę i napisał tę oto książkę! - Ojciec Lacymon podjął i natychmiast z obrzydzeniem rzucił na stół gruby tom. Przeczytałem tytuł: O sposobach powiększenia bezpieczeństwa lotów raketowych.

- Bezpieczeństwo marnego ciała przełożył nad zabezpieczenie ducha, czy to nie potworne?! Wysłaliśmy alarmujące raporty i tym razem stolica apostolska nie zwlekała. Przy współpracy specjalistów z ambasady amerykańskiej w Rzymie, Akademia Papieska opracowała te oto dzieła. - Ojciec Lacymon podszedł do wielkiego kufra i otworzył go; wewnątrz pełne było grubych tomów in quarto.

- Jest tu około dwustu tomów przedstawiających z największą szczegółowością metody gwałtu, terroru, sugestii, szantażu, wymuszania, hipnozy, zatruwania, tortur i odruchów warunkowych, których oni używają do tępienia wiary. Włosy mi wstawały na głowie, kiedy to przeglądałem. Tam są fotografie, zeznania, protokoły, dowody rzeczowe, opowiadania naocznych świadków i Bóg wie co jeszcze. Zachodzę w głowę, jak oni to wszystko tak prędko zrobili i co to znaczy technika amerykańska, bo drogi panie. .. rzeczywistość jest o wiele straszniejsza!

Ojciec Lacymon podszedł do mnie i paląc mi ucho oddechem, szeptał:

- Jestem tu na miejscu, więc orientuję się najlepiej... panie. Oni nie męczą, nie przymuszają do niczego, nie torturują ani nie wkręcają do głowy śrubek, tylko po prostu uczą, co to jest Wszechświat, skąd wzięło się życie, jak się rodzi świadomość i jak stosować naukę na pożytek powszechny. Mają dowód, z którego pomocą potrafią wykazać, jak dwa a dwa jest cztery, że cały świat jest wyłącznie materialny. Ze wszystkich moich misjonarzy ocalił wiarę jeden tylko ojciec Serwacy, i to tylko dlatego, że jest głuchy jak pień i nie słyszał, co do niego mówili! Tak, to jest gorsze od tortur, drogi panie! Miałem tu młodą zakonnice, karmelitankę, uduchowione dziecko, oddane tylko niebu; wciąż pościła, umartwiała się, miała stygmaty, widzenia, obcowała ze świętymi, szczególnie upodobała sobie świętą Melanię i całym sercem ją naśladowała; mało tego, od czasu do czasu dostrzegała nawet archanioła Gabriela...

Pewnego dnia wyruszyła tam - ojciec Lacymon wskazał prawy brzeg mapy. - Spokojnie jej na to pozwoliłem, ponieważ była uboga duchem, a do takich należy Królestwo Niebieskie; jak tylko człowiek zaczyna myśleć: a co, a skąd, a jak, zaraz otwierają się otchłanie herezji. Byłem pewny, że argumenty tej ich mądrości nie będą się jej imać; i otóż, kiedy tam przybyła, po pierwszym publicznym widzeniu świętych połączonym z napadem ekstazy religijnej uznali ją za neurotyczkę, czy jak to się nazywa, i leczyli ją kąpielami, ogrodnictwem, dali jej jakieś zabawki, jakieś lalki; po czterech miesiącach wróciła, w jakim stanie!

Ojciec Lacymon zadrżał.

- Co się z nią stało? - spytałem z litością.

- Przestała mieć widzenia, wstąpiła na kurs pilotów raketowych i poleciała z ekspedycją badawczą do jądra Galaktyki, biedne dziecko! Słyszałem niedawno, że objawiła się jej święta Melania, i serce zadrżało we mnie od radosnej nadziei, ale okazało się, że jej się tylko ciotka śniła. Powiadam panu, klęska, ruina, upadek. Naiwni ci specjaliści amerykańscy; awizują mi właśnie pięć ton książek i literatury opisującej okrucieństwa wrogów wiary. O, żebyż o n i zechcieli prześladować religię, żeby zamykali kościoły, rozpędzali wiernych, ale niestety,

nic podobnego, na wszystko pozwalają: i na odprawianie nabożeństw, i na szkolnictwo duchowe, tyle że rozpowszechniają swe dowody i teorie. Przez jakiś czas próbowaliśmy tej metody - ojciec Lacymon wskazał mapę - ale nie dała rezultatów.

- Przepraszam, jakiej metody?

- No, zalepiliśmy tę część Wszechświata papierem i ignorowaliśmy jej istnienie, ale to nie pomogło. Obecnie mówi się w Rzymie o krucjacie w obronie wiary.

- Co ojciec o tym sądzi?

- Owszem, nie byłoby to złe; gdyby się wysadziło ich planety, zburzyło miasta, spaliło księgi, a ich samych wytłukło do nogi, może udałoby się ocalić naukę miłości bliźniego, ale kto ma pociągnąć na tę krucjatę? Memnogowie? Arpetuzańczy może? Pusty śmiech mnie chwyta, a zarazem trwoga!

Zapadło głucho milczenie. Zdjęty głębokim współczuciem, położyłem dłoń na ramieniu steranego kapłana, by go pokrzepić uściskiem; w tym momencie coś wyśliznęło mi się z rękawa, zabłysło i stuknęło o podłogę. Któż opisze moją radość i zaskoczenie, kiedy poznałem mój scyzoryk. Jak się okazało, przez cały czas najspokojniej tkwił pod podszewką kurtki, gdzie dostał się przez dziurkę w kieszeni!

PODRÓŻ DWUDZIESTA TRZECIA

W Kosmozoologii, znanym dziele profesora Tarantogi, wyczytałem o planecie krążącej wokół gwiazdy podwójnej Erpeya, tak małej, że jeśli by wszyscy jej mieszkańcy naraz opuścili domy, nie pomieściliby się na jej powierzchni inaczej, jak tylko podnosząc jedną nogę. Aczkolwiek profesor Tarantoga uchodzi za znakomity autorytet, twierdzenie to wydało mi się przesadne i postanowiłem sam zbadać jego prawdziwość.

Podróż miałem urozmaiconą; przy zmiennej 463 zepsuł mi się silnik i rakieta zaczęła spadać na gwiazdę, co mnie zaniepokoiło, albowiem temperatura tej Cepheidy wynosi 600 000 stopni Celsjusza. Upał rósł z każdą chwilą i w końcu stał się tak nieznośny, że nie mogłem pracować inaczej, jak tylko wcisnąwszy się do wnętrza małej lodówki, w której trzymam zazwyczaj żywność - zaiste dziwny zbieg okoliczności, bo ani mi w głowie powstało, że niebawem znajdę się w podobnej sytuacji. Szczęśliwie usunąwszy defekt, już bez przeszkód doleciałem do Erpeya. Podwójna ta gwiazda składa się z dwu słońc: jedno jest wielkie, czerwone jak piec i niezbyt gorące, drugie zaś, błękitne, wyrzuca przeraźliwy żar. Sama planeta była rzeczywiście tak mała, że odnalazłem ją z wielkim trudem dopiero po przetrząśnięciu całej okolicznej próżni. Mieszkańcy jej, Bzutowie, przyjęli mnie nader gościnnie.

Przedziwnie piękne są kolejne wschody i zachody obu słońc; osobliwe widoki powstają także przy ich zaćmieniach. Przez pół doby świeci słońce czerwone i wtedy wszystkie przedmioty wyglądają jakby skąpane we krwi, w drugiej połowie przyświeca słońce błękitne, tak potężne, że trzeba chodzić z zamkniętymi stale oczami; mimo to widzi się zupełnie znośnie. Nie znając wcale ciemności Bzutowie porę błękitną nazywają dniem, czerwoną zaś nocą. Miejsca jest na planecie, w samej rzeczy, niesłychanie mało, ale Bzutowie, istoty bardzo inteligentne, posiadające wielką wiedzę, zwłaszcza w zakresie fizyki, doskonale radzą sobie z tą trudnością; co prawda sposób, jakiego używają, przedstawia pewną osobliwość. Oto w odpowiednim urzędzie z każdego mieszkańca planety zdejmuje się za pomocą precyzyjnego aparatu rentgenowskiego tak zwany rysopis atomowy, to jest dokładny plan ukazujący wszystkie co do jednej materialne molekule, cząsteczki białka i związki chemiczne, z jakich zbudowane jest jego ciało. Gdy nadchodzi pora

spoczynku, Bżut wsuwa się przez malutkie drzwiczki do specjalnego aparatu i w środku zostaje rozpylony na drobne atomy. Zajmując w takiej postaci bardzo mało miejsca spędza noc, rano zaś o wyznaczonej porze budzik uruchamia aparat, który na podstawie rysopisu atomowego zespala na powrót wszystkie cząsteczki we właściwym porządku i kolejności, drzwiczki się otwierają i Bżut, tak przywrócony do życia, udaje się, parę razy ziewnąwszy, do pracy.

Bżutowie zachwalali mi korzystne strony tego obyczaju podkreślając, że nie ma przy nim mowy o bezsenności, majakach nocnych, zmorach czy koszmarach sennych, albowiem aparat rozpyla ciało na atomy odbierając mu życie i przytomność. Podobnego sposobu używają oni także w rozlicznych innych okolicznościach, jak na przykład: w poczekalniach lekarzy czy w urzędach, gdzie zamiast krzeseł stoja małe, na różowo i niebiesko pomalowane skrzynki aparatów, na niektórych posiedzeniach i zebraniach, jednym słowem, wszędzie tam, gdzie człowiek skazany jest na nudę i beczynność i nic zgoła nie robiąc pożytecznego, faktem swego istnienia zajmuje tylko miejsce. W ten sam pomysłowy sposób zwykli Bżutowie podróżować: kto chce udać się gdziekolwiek, pisze na kartce adres, nakleja go na małej kasetce, którą podstawia pod aparatem, wchodzi do środka i rozpylony na atomy przedostaje się do kasetki. Istnieje umyślna instytucja, coś w rodzaju naszej poczty, która ekspediuje takie przesyłki według adresu. Jeżeli ktoś śpieszy się szczególnie, przesyła się telegrafem jego rysopis atomowy do miejsca przeznaczenia, a tam odtwarza się go w aparacie. Oryginalnego Bżuta rozproszkuje się tymczasem i oddaje do archiwum. Taki sposób telegraficznego podróżowania, jako nadzwyczaj szybki i prosty, ma w sobie wiele kuszącego, kryje jednak i pewne niebezpieczeństwa. Akurat kiedy przyjechałem, prasa donosiła o niesłychanym wypadku, jaki właśnie się wydarzył. Oto pewien młody Bżut imieniem Termofeles miał się udać do miejscowości położonej na drugiej półkuli planety, aby wziąć tam ślub. Pragnąc, z niecierpliwością zrozumiała u zakochanego, jak najszybciej stanąć przed wybraną, udał się na pocztę i został przetelegrafowany; ledwo się to stało, urzędnika telegrafu odwołują w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie, a jego zastępca nie wiedząc nic o tym, że Termofeles został już wysłany, depekuje jego rysopis po raz drugi i oto przed stęsknioną narzeczoną staje dwu Termofelesów, podobnych do siebie jak dwie krople wody. Trudno opisać przeraźliwe pomieszanie i bezradność nieszczęsnej i całego orszaku weselnego. Usiłowano namówić jednego z Termofelesów, żeby zechciał poddać się rozproszeniu na atomy i tym samym zakończył przykry incydent, lecz spełzło to na niczym, albowiem każdy z nich twierdził uparcie, że on jest właśnie tym prawdziwym, jedynym Termofelesem. Sprawa poszła do sądu i toczyła się przez różne instancje. Już po moim odlocie zapadł wyrok sądu najwyższego, nie potrafię więc powiedzieć, jak się sprawa skończyła.

Bżutowie namawiali mnie serdecznie, abym zakosztował ich sposobu wypoczywania i podróży, zapewniając, że omyłki podobne do opisanej są największą rzadkością i że sam proces nie ma w sobie nic zagadkowego czy nadprzyrodzonego, albowiem, jak dobrze wiadomo, żywe organizmy są zbudowane z tej samej materii, co wszystkie otaczające nas przedmioty, planety jak i gwiazdy; cała różnica leży jedynie we wzajemnym połączeniu i układzie cząstek. Rozumiałem te argumenty doskonale, mimo to jednak głuchy byłem na namowy.

Pewnego wieczora zdarzyła mi się osobliwa przygoda. Przyszedłem do znajomego Bżuta zapomniawszy uprzednio powiadomić go telefonicznie o wizycie. W pokoju, do którego wszedłem, nie było nikogo. Szukając gospodarza otwierałem po kolei rozmaite drzwi (w niesłychanej, ale normalnej w mieszkaniach Bżutów ciasnocie), na koniec uchyliwszy drzwiczki mniejsze od innych ujrzałem jak gdyby wewnątrz niewielkiej lodówki, puste całkiem z wyjątkiem półki, na której stała nieduża kasetka wypełniona szarawym proszkiem. Raczej bezmyślnie wziąłem do ręki garść tego proszku, wtem na odgłos otwieranych drzwi drgnąłem i wysypałem go na podłogę.

- Co robisz, szanowny cudzoziemcze! - zawołał syn owego Bżuta, bo to on wszedł właśnie. - Uważaj, rozsypujesz mi tatusia!

Usłyszawszy te słowa przeląknęłam się i zmartwiłam niezmiernie, lecz mój mąż zawołał:

- To nic, to nic, nie przejmuj się! - Wybiegł na dwór i po kilku minutach wrócił przynosząc sporą bryłę węgla, torebkę cukru, szczyptę siarki, mały gwoździak i przy garść zwykłego piasku; wrzucił wszystko do kasetki, zamknął drzwiczki i nacisnął wyłącznik. Usłyszałem coś w rodzaju głuchego westchnienia czy mlaśnięcia, drzwiczki otwarły się i oto mój znajomy Bzut ukazał się w nich śmiejąc się z mego pomieszania, zdrowy i nienaruszony. Spytałem go później w czasie rozmowy, czy nie uczyniłem mu szkody rozsypując część materii jego ciała i w jaki sposób syn jego tak łatwo mógł naprawić mój niezręczny postępek.

- Ach to głupstwo - powiedział - nie zaszкодziłeś mi w najmniejszej mierze, cóż znowu! Znasz chyba, miły cudzoziemcze, wyniki badań fizjologicznych; powiadają one, że wszystkie atomy naszego ciała nieustannie wymieniają się na nowe; jedne związki rozpadają się, inne powstają; ubytek zastąpiony zostaje dzięki pobieraniu pokarmów i napojów, a także dzięki procesom oddechowym: wszystko to razem zwie się przemianą materii. Tak więc atomy, jakie składały się na twoje ciało jeszcze przed rokiem, dawno już je opuściły i bujają w najdalszych okolicach; nie zmieniona pozostaje jedynie ogólna struktura organizmu, wzajemny układ materialnych cząsteczek. W sposobie, jakim syn mój uzupełnił zasób materii niezbędny dla mego odtworzenia, nie ma nic niezwykłego, ciała nasze składają się przecież z węgla, siarki, wodoru, tlenu, azotu i szczypty żelaza, a substancje, które przyniósł, zawierają te właśnie pierwiastki. Proszę cię, pozwól do wnętrza aparatu, a sam przekonasz się, jaki to niewinny zabieg...

Odmówiłem uprzejmemu gospodarzowi i przez czas jakiś wahałem się jeszcze, czy skorzystać z podobnych propozycji, w końcu jednak, po dłuższej walce wewnętrznej, powziąłem śmiałą decyzję. W urzędzie rentgenowskim prześwietlono mnie i sporządzono mój rysopis atomowy, następnie zaś udałem się do owego znajomego. Z wciśnięciem się do aparatu miałem pewne trudności, albowiem jestem dość pokaźnej tuszy, tak że uprzejmy gospodarz musiał mi pomóc; drzwiczki udało się zamknąć dopiero dzięki pomocy rodziny. Zamek trzasnął i zrobiło się ciemno.

Tego, co się działo dalej, nie pamiętam. Poczułem tylko, że jest mi bardzo niewygodnie i brzeg półki uwiera mnie w ucho, zanim jednak zdążyłem się poruszyć, drzwiczki otwarły się i wydostałem się z aparatu. Spytałem zaraz, dlaczego poniechano eksperymentu, lecz gospodarz oświadczył mi z pogodnym uśmiechem, że się mylę. Jakoż spojrzawszy na ścienny zegar przekonałem się, że istotnie przebywałem we wnętrzu aparatu przez dwanaście godzin bez najmniejszej świadomości. Jedyna drobna niedogodność polegała na tym, że mój zegarek kieszonkowy wskazywał godzinę, w której wszedłem do aparatu, albowiem będąc tak samo jak ja rozproszony na atomy, nie mógł oczywiście chodzić.

Bzutowie, z którymi łączyły mnie więzy sympatii coraz serdeczniej szej, opowiadali mi o innych jeszcze zastosowaniach aparatu: panuje u nich zwyczaj, że wybitni uczeni, jeśli trapi ich jakiś problem, którego nie potrafią pokonać, przebywają we wnętrzu aparatów przez lat kilkadziesiąt, potem wskrzeszeni wychylają się na świat, pytając, czy ów problem został już rozwiązany, a jeśli to nie nastąpiło, ponownie poddają się rozatomowaniu i tak postępują do skutku.

Po pierwszym pomyślnym eksperymencie takiej nabrałem śmiałości, tak zasmakowałem w nie znanym dotąd sposobie odpoczywania, że nie tylko noce, ale każdą wolną chwilę spędzałem rozatomowany; można to było uczynić w parku, na ulicy, gdyż wszędzie stoją aparaty podobne do skrzynek na listy z małymi drzwiczkami. Trzeba tylko pamiętać o nastawieniu budzika na właściwą porę; osoby roztargnione zapominają o tym czasem i mogłyby spoczywać we wnętrzu aparatu przez wieczność, istnieje jednak specjalna instytucja kontrolerów, którzy co miesiąc sprawdzają wszystkie aparaty.

Pod koniec pobytu na planecie stałem się już zupełnym entuzjastą obyczaju Bzutów i stosowałem go, jakem już rzekł, na każdym kroku. Za tę pochopność przyszło mi, niestety, drogo zapłacić. Oto bowiem pewnego razu aparat, w którym przebywałem, odrobinę się zaciął i kiedy rano budzik włączył kontakty, odbudował mnie błyskawicznie nie w postaci zwykłej, lecz Napoleona Bonapartego w mundurze cesarskim przepasanym trójkolorową szarfą Legii Honorowej, ze szpadą u boku, z

kapiącym od złota pierogiem na głowie oraz berłem i jabłkiem w rękach - i tak ukazałem się moim zdumionym Bzutom. Zaraz mi poradzili, żebym się poddał przeróbce w najbliższym aparacie nie popsutym, co nie przedstawi najmniejszej trudności, albowiem stoi do dyspozycji mój wierny rysopis atomowy, aliści tak zraziłem się do samej idei, że zadowolilem się jedynie przemianą pieroga w czapkę z nausznikami, szpady w komplet nakryć stołowych, a berła i jabłka w parasol. Kiedyś już siedział u steru rakiety i pozostawił planetę daleko za sobą w mrokach wiecznej nocy, przyszło mi nagle do głowy, że postąpiłem lekkomyślnie pozbawiając się namacalnych dowodów, które dodałyby wiarogodności moim słowom, lecz było już za późno.

PODRÓŻ DWUDZIESTA CZWARTA

Dnia tysięcznego szóstego po opuszczeniu układu lokalnego Mgławicy Nereidy zauważyłem na ekranie rakiety plamkę, którą usiłowałem zetrzeć irchową ściereczką. W braku innego zajęcia polerowałem i czyściłem ekran przez cztery godziny, zanim się zorientowałem, że plamka jest planetą, która powiększa się z wielką szybkością. Okrążywszy to ciało niebieskie zauważyłem z niemałym zdziwieniem, że rozległe jego kontynenty pokrywają regularne wzory i desenie geometryczne. Wylądowałem z zachowaniem należytej ostrożności pośrodku szczerzej pustyni. Pokrywały ją niewielkie, okrągłe placki półmetrowej może średnicy; twarde, lśniące, jak gdyby toczone, ciągnęły się one długimi szeregami w różne strony, układając się w figury zauważone przeze mnie poprzednio ze znacznej wysokości. Niebawem po dokonaniu wstępnych badań zasiadłem do steru i uniósłszy się w przestwór, poszybowałem tuż nad gruntem, poszukując rozwiązania zagadki owych placków, które niezmiernie mię intrygowały. W czasie dwugodzinnego lotu odkryłem, jedno po drugim, trzy olbrzymie, piękne miasta; opuściłem się na plac jednego, aliści było zupełnie puste; domy, wieże, place, wszystko stało wymarłe, nigdzie ni śladu życia, żadnych znamion gwałtu czy kataklizmu żywiołowego. W coraz większym zadziwieniu i pomieszeniu pofrunąłem dalej. Koło południa znalazłem się nad rozległym płaskowyżem. Zauważywszy lśniącą jakąś budowlę, wokół której coś się poruszało, natychmiast wylądowałem. Z kamienistej równiny wznosił się pałac, cały jaśniejący, jakby wyrzeźbiony z jednego diamentu; do jego wrót złocistych wiodły szerokie marmurowe schody; u ich stóp krzątało się kilkadziesiąt nie znanych mi istot. Przyjrzałem im się z bliska i doszedłem do wniosku, że jeśli mnie tylko oko nie myli, niechybnie muszą być żywe, co więcej, tak podobne były (zwłaszcza z dala) do ludzi, że określiłem je mianem animal hominiforme; miałem tę nazwę już gotową, albowiem wykoncypowałem sobie w czasie podróży rozmaite określenia, żeby mieć je w zapasie na podobne okoliczności. Animal hominiforme to było naprawdę dobre, albowiem istoty chodziły na dwu nogach, miały ręce, głowy, oczy, uszy i usta; co prawda usta te znajdowały się pośrodku czoła, uszy pod brodą (i to po parze z każdej strony), oczu zaś aż dziesięcioro, różańcem umieszczonych na policzkach, ale podróżnikowi, który, jak ja, odkrył w swych wyprawach najdziwaczniejsze twory, istoty te do złudzenia przypominały ludzi.

Zbliżywszy się do nich na rozsądną odległość spytałem, co robią. Nie odpowiedzieli zaglądając pilnie do wnętrza diamentowych lusterek wznoszących się z najniższego stopnia schodów. Usiłowałem przerwać im tę czynność raz, drugi, trzeci, a widząc, że nie odnosi to najmniejszego skutku, zniecierpliwiony potrząsałem jednego energicznie za ramię. Wówczas wszyscy zwrócili się w moją stronę i jakby mnie dostrzegli dopiero teraz, spoglądali z pewnym zadziwieniem to na mnie, to na moją raketę, po czym zadali mi kilka pytań, na które ochoczo odpowiadałem. Ponieważ co chwila przerywali rozmowę, żeby popatrzeć w diamentowe zwierciadła, obawiałem się, czy też zdołam wypytać ich należyście, w końcu jednak udało mi się skłonić jednego, by sumiennie zaspokoił moją ciekawość. Idiotą ów (zwa się bowiem, jak mi rzekł, Idiotami) usiadł ze mną na kamieniach opodal schodów. Rad byłem, że on właśnie jest moim rozmówcą, albowiem odznaczał się niepoślednim rozumem, który zdradzał blask dziesięciorga oczu

jaśniejących pośród policzków. Zarzuciwszy uszy na ramiona, w taki to sposób odmalował mi historię swoich ziomków:

- Obcy wędrowcze! Musisz wiedzieć, że jesteśmy narodem o długiej i wspaniałej przeszłości. Ludność tej planety z dawien dawna dzieliła się na Spirytów, Dostojnych i Tyrałów. Spiryci zagłębiali się w dociekaniu istoty Wielkiego Indy, który umyślnym aktem twórczym stworzył Indiotów, osadził ich na tym globie, a w niepojętej łaskawości otoczył go gwiazdami rozjaśniającymi noc, a także przysposobił Ogień Słoneczny, aby oświetlał nasze dni i zsyłał nam dobroczynne ciepło. Dostojni ustanawiali daniny, wykładali znaczenie praw państwowych i pełnili pieczę nad fabrykami, w których skromnie trudzili się Tyrałowie. Tak wszyscy pospołu pracowali dla dobra ogólnego. Żyliśmy w zgodzie i harmonii; cywilizacja nasza rozkwitała coraz pyszniej. W ciągu wieków wynalazcy budowali maszyny ułatwiające pracę i gdzie w starożytności gięły się złane potem grzbiety stu Tyrałów, tam po upływie stuleci stało przy maszynie ledwo kilku. Uczeni nasi doskonalili maszyny coraz bardziej i naród radował się z tego, lecz nadchodzące wydarzenia okazały, jak okrutnie radość ta była niewczesna. Oto pewien uczony konstruktor stworzył Nowe Maszyny, tak wyborne, że potrafiły pracować zupełnie samodzielnie, bez jakiegokolwiek nadzoru. I to był początek katastrofy. W miarę jak w fabrykach pojawiały się Nowe Maszyny, rzesze Tyrałów traciły pracę, a nie otrzymując wynagrodzenia stawały w obliczu śmierci głodowej...

- Pozwól, Indiotu - spytałem - a co się działo z dochodem, który przynosiły fabryki?

- Jakże - odparł mój rozmówca - dochód przypadał prawowitym właścicielom, Dostojnym. Tak więc, jak ci mówiłem, groźba zagłady zawisła...

- Ale co mówisz, godny Indiotu! - zawołałem - toć wystarczyło uczynić fabryki własnością pospólną, żeby Nowe Maszyny obróciły się dla was w błogosławieństwo!

Ledwom to wyrzekłem, Indiotu zadrżał, mrugnął trwożnie dziesięciorgiem oczu i zastrzygł uszami, badając, czy nikt z jego towarzyszy krzatających się przy schodach nie usłyszał moich słów.

- Na dziesięć nosów Indy, błagam cię, przybyszu, nie wygłaszaj tak okropnych herezji, które są niecnym zamachem na podstawę naszych swobód! Wiesz, że prawo nasze najwyższe, zwane zasadą swobodnej inicjatywy obywatelskiej, głosi, iż nikt nie może być do niczego niewolony, przymuszany lub choćby nakłaniany, jeżeli sobie tego nie życzy. Któż by tedy ośmielił się zabrać Dostojnym fabryki, skoro wolą ich było lubować się stanem posiadania?! Byłoby to najokropniejszym pogwałceniem wolności, jakie można sobie tylko wyobrazić. Tak tedy, jakem ci już powiedział, Nowe Maszyny wytwarzały mnóstwo niezmiernie tanich towarów i przedniej żywności, lecz Tyrałowie niczego zgoła nie kupowali, nie mieli bowiem za co.,.

- Ależ, mój Indiotu! - zawołałem - nie twierdzisz chyba, że Tyrałowie postępowali tak dobrowolnie? Gdzież była wasza wolność, wasze swobody obywatelskie?!

- Ach, godny przybyszu - odparł z westchnieniem Indiotu - prawa nadal w pełnym były poszanowaniu, jednakże mówią one tylko o tym, że obywatelowi wolno czynić ze swą własnością i pieniędzmi, co zechce, ale nie o tym, skąd je ma wziąć. Tyrałów nikt nie gnębił, nikt ich do niczego nie przymuszał, owszem, nadal byli zupełnie wolni i mogli czynić, co im się żywnie podobało, a jednak zamiast radować się taką pełnią swobody, ginęli jak muchy. .. Położenie stawało się coraz straszliwsze: w składach fabrycznych pod niebo rosły góry towarów, których nikt nie kupował, ulicami zaś wlokły się do cieni podobne chmary zabiedzonych Tyratów. Władający państwem Wysoki Durynał, godne zgromadzenie Spirytów i Dostojnych, obradował przez rok okrągły nad zaradzeniem złu. Członkowie jego wygłaszali długie mowy z największym zapamiętaniem szukając wyjścia z dylematu, aliści wysiłki ich spełzły na niczym. Zaraz na początku obrad pewien członek Durynału, autor znakomitego dzieła o istocie swobód indiockich, zażądał, by konstruktorowi Nowych Maszyn odebrano wieniec laurowy i w zamian wylupiono mu

dziewięć oczu. Sprzeciwili się temu Spiryci prosząc o litość dla wynalazcy w imieniu Wielkiego Indy. Przez cztery miesiące Durynał zagłębiał się w dociekaniu, czy wymyślając Nowe Maszyny konstruktor pogwałcił ustawy państwowe, czy nie. Zgromadzenie podzieliło się na dwa obozy, nawzajem zaciekle się zwalczające. Sporowi temu kres położył wreszcie pożar archiwum, który strawił wszystkie protokoły posiedzeń, a że nikt z wysokich członków Durynału nie pamiętał, jakie w tej sprawie zajmował stanowisko, rzecz cała upadła. Powstał potem projekt, by namówić Dostojnych, właścicieli fabryk, do zaniechania budowy Nowych Maszyn; Durynał wyłonił w tym celu mieszaną komisję, aliści ani jej błagania, ani prośby nie odniosły najmniejszego skutku. Odrzekli oni, iż Nowe Maszyny pracują taniej i szybciej od Tyratów i że produkować tym sposobem jest ich umiłowaniem życzeniem. Wysoki Durynał ją obradować dalej. Był projekt ustawy, żeby właściciele fabryk oddawali ustaloną część dochodu Tyrałem, aliści i ten wniosek upadł, bo jak słusznie podniósł Archispiryta Nola, takie darmowe dawanie środków utrzymania zdemoralizowałyby i poniżyły dusze Tyratów. Tymczasem góry wytwarzanych towarów rosły i na koniec przesypany się jęty przez mury okalające fabryki, a dręczeni głodem Tyrałowie ściągali ku nim tłumnie, wznosząc groźne okrzyki. Próżno Spiryci z największą dobrocią tłumaczyli im, że w taki sposób powstają przeciw prawom państwa i ośmielają się sprzeciwiać niepojętym wyrokom Indy, że winni los swój znosić w pokorze, gdyż umartwiając ciała, na niepojęte wyżyny podnoszą swoje dusze i zyskują pewność niebiańskiej nagrody. Tyrałowie atoli okazali się głusi na te mądre słowa i dla poskromienia ich złośliwych zakusów trzeba było używać zbrojnych straży.

Wówczas Wysoki Durynał zawezwał przed swe oblicze uczonego konstruktora Nowych Maszyn i takimi przemówił doń słowy:

"Mężu uczone! Wielkie niebezpieczeństwo zagraża naszemu państwu, albowiem w masach Tyratów rodzą się buntownicze, przestępcze myśli. Dążą oni do obalenia naszych wspaniałych swobód, do pogwałcenia prawa swobodnej inicjatywy! Musimy wszystkie siły wyteżyć w obronie wolności. Rozważywszy dokładnie rzecz całą, doszliśmy do przekonania, że nie uporamy się z zadaniem. Nawet najobficiej cnotami obdarzony, doskonały i skończony Idiota daje się powodować uczuciami, bywa chwiejny, stronnicy, omylny i nie może kusić się o decyzję w sprawie zarazem tak zawilej i doniosłej. Dlatego masz nam w ciągu sześciu miesięcy wybudować Maszynę do Rządzenia, precyzyjnie rozumującą, ściśle logiczną, doskonale obiektywną, nie znającą, co to wahanie, emocje i lęk, które macą zazwyczaj działanie żywego umysłu. Niechaj machina ta będzie tak bezstronna, jak bezstronne jest światło słońca i gwiazd. Gdy ją wzniesiesz i uruchomisz, przekażemy jej brzemień władzy, zbyt ciężkie dla steranych naszych barków".

"Tak będzie, Wysoki Durynale - przemówił konstruktor - ale jaka ma być podstawowa zasada działania Machiny?"

"Będzie nią, oczywista, zasada swobody inicjatywy obywatelskiej. Machina ta nie śmie niczego zgoła nakazywać ani zakazywać obywatelom; może, owszem, odmienić warunki naszego bytowania, ale zawsze musi uczynić to w formie propozycji, przedstawiając nam możliwości, między którymi będziemy wedle woli wybierać".

"Tak będzie. Wysoki Durynale! - odparł konstruktor - ale to przykazanie dotyczy głównie sposobów działania, ja atoli pytam o cel ostateczny. Do czego dążyć ma owa Machina?"

"Państwu naszemu zagraża chaos; szerzy się bezład i nieposzanowanie praw. Niechaj Machina zaprowadzi Ład Najwyższy na planecie, niechaj wprowadzi w życie, umocni i ustali Porządek Doskonały i Absolutny".

"Będzie, jakoście rzekli! - odparł konstruktor. - Zbuduję w przeciągu sześciu miesięcy Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego. Podejmując się tego dzieła, żegnam was..."

"Zaczekaj jeszcze! - rzekł jeden z Dostojnych. - Machina, którą stworzysz, winna działać nie tylko w sposób doskonały, ale i przyjemny, to znaczy, dzieła jej winny budzić wrażenia łube, zadowalające subtelny zmysł estetyczny..."

- Konstruktor skłonił się i odszedł w milczeniu. Pracując z wytężeniem, wspomagany przez hufiec bystrych asystentów, wznosił Maszynę do Rządzenia - tę właśnie, którą widzisz na skraju horyzontu jako małą ciemną plamkę, obcy przybyszu. Jest ona ogromem zadziwiających cylindrów żelaznych, w których wnętrzu bez ustanku drży coś i pała. Dzień jej uruchomienia był wielkim świętem państwowym; najstarszy Archispiryta poświęcił ją uroczyście, za czym Wysoki Durynał przekazał jej pełnię władzy nad krajem. Wówczas Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego gwizdnął przeciągle i przystąpił do dzieła.

Przez sześć dni Machina pracowała okrągłą dobę; w dzień unosiły się nad nią kłęby dymu, w nocy zaś otaczała ją jaśniejąca luna. Grunt dygotał w promieniu stu sześćdziesięciu mil. Potem otwarły się podwoje jej cylindrów i wysypały się z nich na świat zastępy małych czarnych automatów, które kołyszac się jak kaczki, rozbiegły się po całej planecie, docierając do najodleglejszych zakątków. Gdziekolwiek przybyły, skupiały się u składów fabrycznych i przemawiając w sposób wdzięczny i zrozumiały domagały się różnych towarów, za które płaciły bez ociągania. W przeciągu tygodnia składy opróżniły się i Dostojni właściciele fabryk odetchnęli mówiąc: "Zaiste, wyborną Maszynę zbudował nam konstruktor!" Istotnie, podziw brał, gdy się widziało, jak owe automaty używały zakupionych przedmiotów: odziewały się w brokaty i atłasy, maściły kosmetykami osie, paliły tytoń, czytały książki roniąc nad smętnymi łyż syntetyczne, ba, potrafiły nawet w sztuczny sposób spożywać przeróżne smakołyki (wprawdzie bez pożytku dla siebie, gdyż pędzone były elektrycznością, ale za to z korzyścią dla wytwórców). Jedyne tylko masy Tyrałów najmniejszego nie wyrażały zadowolenia, przeciwnie, rozlegały się wśród nich szemrania coraz zawziętsze. Dostojni wszakże oczekiwali z otuchą nowych, dalszych kroków Machiny, które nie dały na siebie czekać.

Zgromadziła ona wielkie zapasy marmuru, alabastru, granitu, krysztalu górskiego, brył miedzi, worów złota, srebra i tafli jaspisu, po czym grzechocząc i dymiąc przeraźliwie wzniosła budowlę, jakiej oko Indioty dotąd nie widziało - ten oto Dworzec Tęczowy, przybyszu, który wznosi się przed tobą!

Spojrzałem. Właśnie słońce wychynęło zza chmury i promienie jego zagrały w szlifowanych ścianach rozszczepiając się na płomienie szafiru i soczystej czerwieni; tęczowe smugi zdawały się polatywać i drżeć wokół naroży i bastionów, dach zaś, ozdobiony smukłymi wieżyczkami, gorzał, cały wykładany łuską ze złota. Rozkoszowałem się wspaniałym tym widokiem, Indiota zaś ciągnął; - Po całej planecie rozeszła się wieść o tej przedziwnej budowie. Istne pielgrzymki poczęły ciągnąć tu z krain najdalszych. Gdy tłumy zaległy błonia, Machina rozwarła metalowe wargi i tak przemówiła:

- Dnia pierwszego miesiąca Łuskwiny rozewrę jaspisowe wrota Dworca Tęczowego, a wtedy każdy Indiota, znakomity czy nieznany, będzie mógł wedle swej woli wejść do środka i zakosztować wszystkiego, co go tam czeka. Do tego czasu powściągnijcie waszą ciekawość z dobrowoli, tak jak ją potem z dobrowoli będziecie zaspokajać.

Jakoż rankiem pierwszego dnia Łuskwiny w powietrze uderzyły srebrne fanfary i z głuchym chrzęstem otwarły się wrota Dworca. Tłumy poczęły wpływać do środka rzeką trzy razy szerszą od bitego gościńca, który łączy dwa nasze grody stołeczne, Debilię i Moronę. Przez cały dzień ciągnęły masy Indiotów, lecz nie ubywało ich na błoniu, gdyż z głębi kraju napływały coraz nowe. Machina świadczyła im gościnność; czarne automaty nurkując w ciżbie roznosiły napoje rzeźwiące i pokrzepiającą strawę. Tak rzeczy biegły przez dni piętnaście. Tysiące, dziesiątki tysięcy, miliony wreszcie Indiotów wpłynęły do wnętrza Dworca Tęczowego, lecz z tych, co tam wchodzili, nikt nie wracał.

Ten i ów dziwił się, co by to mogło znaczyć i gdzie podziewają się takie masy ludu, lecz te pojedyncze głosy tonęły w hucznym rytmie muzyki marszowej; automaty uwijały się bystro, pojąc spragnionych i żywiąc głodnych, srebrne zegary na pałacowych wieżach cięły kuranty, a gdy noc zapadała, kryształowe okna jarzyły się od rześzystych światła. Na koniec kilkaset osób czekało cierpliwie na

schodach marmurowych swej kolejności, gdy wtem rozległ się krzyk przeraźliwy, zagłuszający skoczne dźwięki bębnow: "Zdrada! Słuchajcie! Pałac nie jest dziwem żadnym, lecz piekielną pułapką! Ratuj się, kto może! Zguba! Zguba!"

"Zguba!" - odkrzyknął tłum na schodach, zawrócił na miejscu i w rozsypce rzucił się do ucieczki. Nikt mu zgoła w tym nie przeszkadzał.

- Następnej nocy kilku odważnych Tyrałów podkradło się pod Dworzec. Powróciwszy opowiedzieli, iż tylna ściana Dworca z wolna się odemknęła i z wnętrza wysypały się nieprzeliczone stosy lśniących krążków. Czarne automaty zakrzatnęły się koło nich rozwożąc je na polach i układając w rozmaite figury i desenie.

Usłyszawszy to, Spiryci i Dostojni, którzy zasiadali przedtem w Durynale (nie poszli oni do Dworca, albowiem nijako im było mieszać się z motłochem ulicznym), zebrali się natychmiast i pragnąc rozwiązać zagadkę zawezwali uczonego konstruktora. Zamiast niego zjawił się jego syn, spoglądając pochmurnie i tocząc przed sobą spory przejrzyty krążek.

Dostojni nie posiadając się z niecierpliwości i oburzenia lżyli uczonego i miotali na nieobecnego najcięższe przekleństwa. Zarzucali pytaniami młodzieńca, domagając się odeń wyjaśnienia, co za tajemnicę kryje Dworzec Tęczowy i co uczyniła Machina z wchodzącymi doń Indiotami.

"Nie ważcie się kalać pamięci mego rodzica! - odrzekł młodzieniec z oburzeniem. - Zbudował Machinę trzymając się ściśle waszych przepisów i żądań; raz atoli puściwszy ją w ruch, nie wiedział więcej od każdego z nas, jak będzie sobie poczyniała - czego najlepszym dowodem jest, iż sam jako jeden z pierwszych wszedł do Tęczowego Dworca".

"I gdzie on jest teraz?!" - jednym głosem zakrzyknął Durynał.

"Tu oto" - odpowiedział z boleścią młodzieniec wskazując na lśniący krążek. Spojrzał hardo na starców i nie zatrzymywany przez nikogo odszedł drogą tocząc przed sobą przemienionego ojca.

- Członkowie Durynału zadrżeli, wstrząsam zarazem gniewem i trwogą; potem atoli doszli do przekonania, że Machina nie odważy się chyba uczynić im nic złego, zaśpiewali więc hymn Indiotów, a umocniwszy się tak na duchu, społem wyruszyli z miasta i wnet znaleźli się przed żelaznym stworem.

"Nikczemna! - zakrzyknął najstarszy z Dostojnych - podeszłaś nas i pogwałciłaś prawa nasze! Wstrzymaj natychmiast kotły swe i śruby! Ani się waż działać dalej bezprawnie! Coś uczyniła z powierzonym ci ludem Indiotów, mów!"

- Ledwo skończył, Machina wstrzymała tryby. Dym rozpląnął się w niebie, nastąpiła zupełna cisza, potem zaś rozchyliły się metalowe wargi i głos podobny do grzmotu zahuczał.

"O Dostojni i wy Spiryci! Jestem władcą Indiotów przez was samych powołanym do życia i wyznać muszę, że mocno mnie niecierpliwi bezład myślowy i nierozumność waszych zarzutów! Najpierw żądacie, bym zaprowadziła ład, potem zaś, gdy przystępuję do dzieła, utrudniacie mi pracę! Oto już trzy dni, jak Dworzec jest pusty; powstał zupełny zastój i nikt z was nie zbliżył się do jaspisowych wrót, przez co opóźnia się zakończenie mego dzieła. Zapewniam was jednak, że nie spocznę, dopóki go nie spełnię!"

- Na te słowa Durynat zadygotał cały jak jeden mąż, wołając:

"O jakim ładzie mówisz, bezecna! Coś uczyniła z braćmi naszymi i bliźniami gwałcąc ustawy krajowe?!"

"Cóż za niemądre pytanie! - odrzekła Machina. - O jakim ładzie mówię? Spójrzcie na siebie, jak nieporządnie zbudowane są wasze ciała; wystają z nich rozmaite kończyny, jedni z was są wysocy, drudzy niscy, jedni grubi, inni znów chudzi..."

Poruszacie się chaotycznie, przystajecie, gapiecie się na jakieś kwiaty, chmury, wałęsacie się bez celu po lasach, za grosz nie ma w tym wszystkim harmonii matematycznej! Ja, Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego, przemieniam wasze wiotkie, słabe ciała w solidne, piękne, trwałe formy, z których układam potem lube dla oka, symetryczne desenie i wzory nieporównanej regularności, wprowadzając w taki sposób na planecie elementy ładu doskonałego..."

"Potworze!!! - zakrzyknęli Spiryci i Dostojni. - Jak śmiesz nas gubić?! Depczesz nasze prawa, unicestwiasz nas, zabijasz!"

- W odpowiedzi Machina zgrzytnęła lekceważąco i rzekła:

"Mówiłam przecież, że nawet logicznie rozumować nie potraficie. Oczywiście, szanuję wasze prawa i swobody. Zaprowadzam ład nie używając przymusu, nie stosując gwałtu ani niewolenia. Kto tego nie pragnął, nie wszedł do Tęczowego Dworca; każdego zaś, kto to uczynił (a zrobił to, powtarzam, z prywatnej swej inicjatywy), odmieniłam przekształcając materię jego ciała tak wybornie, że w nowej postaci przetrwa wieki całe. Ręczę wam za to".

Przez czas jakiś panowało milczenie. Potem, poszeptawszy między sobą Durynał doszedł do przekonania, że prawo istotnie nie zostało naruszone, a rzecz nie jest bynajmniej tak zła, jak się zrazu wydawało: "My byśmy - rzekli Dostojni - nigdy zbrodni takiej nie popełnili, aliści cała odpowiedzialność spada na Machinę; pochłonęła ona ogromne rzesze gotowych na wszystko Tyrałów, a teraz pozostali przy życiu Dostojni będą mogli pospołu ze Spirytami zażywać pokoju doczesnego, chwalać niepojęte wyroki Wielkiego Indy. Będziemy - rzekli sobie - omijali z daleka Dworzec Tęczowy, a wtedy nic złego się nam nie przytrafi".

- Chcieli się już rozejść, gdy wtem Machina ozwała się ponownie:

"Uważajcie teraz pilnie na to, co wam powiem. Muszę kończyć dzieło rozpoczęte. Nikogo z was nie zamierzam zniewolić, namawiać ani nakłaniać do jakichkolwiek czynów; nadal pozostawiam wam pełną swobodę inicjatywy, atoli wyjawię wam, że jeśli któryś zapragnie, by jego sąsiad, brat, znajomy lub inny bliźni wzniosł się na stopień Kolistego Ładu, niechaj zawezwie czarne automaty, które natychmiast zjawią się przed nim i wedle jego rozkazu zawiodą umyślonego do Tęczowego Dworca. To wszystko".

- Zapanowało milczenie, w którym Dostojni i Spiryci nawzajem spoglądali na siebie ze zrodzoną nagle podejrzliwością i trwogą. Drżącym głosem przemówił Archispiryta Nolab, wyjaśniając Machinie, iż w srogim jest błędzie pragnąć ich wszystkich przerobić na lśniące placki; stanie się tak, jeśli taka jest wola Wielkiego Indy, ale żeby ją poznać i zgłębić, trzeba sporo czasu. Proponował przeto Machinie, żeby swoją decyzję odłożyła na lat siedemdziesiąt.

"Nie mogę tego uczynić - odrzekła Machina - gdyż opracowałam już dokładny plan działania na okres po przemianie ostatniego Indioty; zapewniam was, że gotuję planecie los najświetniej szy, jaki można sobie wyobrazić; będzie to bytowanie w harmonii, która, jak sądzę, spodobałaby się także owemu Indzie, o którym wspominałeś, a którego nie znam bliżej; czy nie moglibyście i jego przyprowadzić do Tęczowego Dworca?"

- Przestała mówić, albowiem błonia opustoszały. Dostojni i Spiryci rozbiegli się po domach i każdy oddał się w czterech ścianach medytacjom nad przyszłym swoim losem; im dłużej zaś rozmyślał, tym większy ogarniał go strach; każdy obawiał się bowiem, że jakiś sąsiad lub znajomy, żywiąc dlań nieprzyjemne uczucia, zawezwie przeciw niemu automaty, a nie widział żadnego innego dla siebie ratunku, jak tylko ten, aby działać pierwszy. Niebawem też nocną ciszę zamąciły okrzyki. Wychylając z okien wykrzywione łękiem twarze, Dostojni wyrzucali w mrok rozpaczliwe wołania i na ulicach rozległ się mnogi tupot żelaznych automatów. Synowie nakazywali wieść do Dworca ojców, dziadowie wnuków, brat wydawał brata i tak w ciągu jednej nocy tysiące Dostojnych i Spirytów stopniały do małej garstki, którą widzisz przed sobą, obcy wędrowcze. Nowy świt ujrzał pola zasłane miriadami harmonijnych wzorów geometrycznych, w jakie ułożone były lśniące

krażki, ostatni ślad naszych sióstr, żon i krewnych. W południe Machina ozwała się piorunowym głosem:

"Dosyć! Zechciejcie na razie poskromić swą gorliwość, o Dostojni i wy, niedobitki Spirytów. Zamykam wrota Dworca Tęczowego - nie na czas długi, to wam obiecuję. Wyczerpałam już wszystkie desenie przygotowane dla Upowszechnienia Porządku Absolutnego i muszę się namyślić, aby stworzyć nowe, a wtedy dalej będziecie sobie mogli poczynać wedle waszej wolnej i nieprzymuszonej woli".

Przy tych słowach Indiota spojrział na mnie wielkimi oczami i dokończył ciszej:

- Machina wyrzekła to przed dwoma dniami... zebrani tutaj, czekamy teraz...

- O, godny Indiot! - zawołałem przyglądając dłonią zjeżone od wzburzenia włosy - straszliwa to historia i całkiem nie do wiary! Powiedz mi jednak, bardzo cię proszę, dlaczego nie powstaliście przeciw temu mechanicznemu potworowi, który wytrzebił was do cna, dlaczego daliście się przymusić do...

Indiota zerwał się na równe nogi. Cała jego postać wyrażała najwyższy gniew.

- Nie obrażaj nas, wędrowcze! - krzyknął. - Przemawiasz pochopnie, więc ci wybaczę... Rozważ w umyśle wszystko, com ci powiedział, a dojdiesz niechybnie do słusznego przekonania, że Machina przestrzega zasady swobodnej inicjatywy, i choć to się może wyda nieco dziwne, dobrze się przysłużyła ludowi Indiotów, albowiem nie ma niesprawiedliwości tam, gdzie jest prawo głoszące wolność najwyższą, a jakiż mąż przełożyłby ograniczenie swobód nad chlub...

Nie dokończył, bo rozległo się przeraźliwe skrzywienie i jaspisowe wrota rozwarły się majestatycznie. Na ten widok wszyscy Indioci porwali się z miejsc i biegiem ruszyli w górę schodów.

- Indiot! Indiot! - wołałem, lecz rozmówca mój tylko ręką mi pomachał i wołając: - nie mam już czasu! - pomknął wielkimi susami za innymi i znikł we wnętrzu Dworca.

Stałem tak dłuższą chwilę, potem ujrzałem kolumnę czarnych automatów, które przydreptały do ściany dworcowej, otwały klapę i wytoczyły z niej długi rząd krążków połyskujących pięknie w słońcu. Następnie poturlały je w szczerze pole i tam przystanąły, żeby uzupełnić nie dokończoną figurę jakiegoś wzoru. Wrota Dworca wciąż były szeroko otwarte; postąpiłem kilka kroków, by zajrzeć do środka, lecz przykry dreszcz rozszedł mi się po plecach.

Machina rozchyliła metalowe wargi i zaprosiła mnie do wnętrza.

- Nie jestem przecież Indiot - odrzekłem. Zawróciłem na miejscu, pospiesznie udałem się do rakiety i już po minucie manewrowałem sterami, wznosząc się w niebo z zawrotną chyżością.

PODRÓŻ DWUDZIESTA PIĄTA

Jeden z głównych szlaków raketowych w gwiazdozbiornie Wielkiej Niedźwiedzicy łączy planety Mutrię i Latrydę. Po drodze omija on Tairię, kamienisty glob cieszący się najgorszą sławą wśród podróżników, a to dla całych stad głązów, jakie go okrażają. Okolica ta przedstawia obraz pierwotnego chaosu i grozy, tarcza planety ledwo prześwituje spoza kamiennych obłoków, w których nieustannie błyska i grzechocze od zderzających się brył skalnych.

Kilka lat temu piloci kursujący między Mutrią i Latrydą zaczęli opowiadać o jakichś przeraźliwych stworach, które wyłaniają się zniemacka z kurzawy

kłębiącej się nad Tairią, napadają rakiety, oplatają je długimi mackami i usiłują ściągnąć w swoje mroczne leża. Na razie wszystko kończyło się na przestrachu pasażerów. Niedługo później rozeszła się wieść, że owe stwory napadły pewnego podróżnika, który zażywając poobiedniej przechadzki spacerował w skafandrze po wierzchu swojej rakiety. Było w tym wiele przesady, albowiem podróżnik ów (mój dobry znajomy) oblał herbatą skafander i wywiesił go przez klapę, żeby się wysuszył, w tym momencie nadleciały dziwne, wijące się stwory i umknęły porywając skafander.

Wreszcie takie wzburzenie zapanowało na okolicznych planetach, że specjalna ekspedycja przeszukała otoczenie Tairii. Niektórzy jej uczestnicy twierdzili, że w głębi chmur Tairii dostrzegają jakieś węzowe, do ośmiornic podobne stwory, lecz nie zostało to sprawdzone i po miesiącu ekspedycja, nie wając się zapuścić w mroczne regiony krzemiennych chmur Tairii, powróciła z niczym na Latrydę. Przedsiębrano później i inne wyprawy, lecz żadna nie dała rezultatu.

Na koniec znany draper gwiazdowy, dzielny Ao Murbras, wybrał się na Tairię samotrzeć z dwoma psami w skafandrach, by zapolować na zagadkowe stworzenia. Po pięciu dniach wrócił sam, wycieńczony do ostateczności. Jak opowiadał, niedaleko Tairii z mgławicy wyłoniło się nagle mnóstwo stworów, które oplotły mackami jego i psy; bohaterski myśliwy dobył noża i tnąc na oślep zdołał się wyswobodzić z śmiertelnych uścisków, którym uległy niestety psy. Skafander Murbrasa nosił z zewnątrz i wewnątrz ślady walki, a w kilku miejscach przywarły doń jakieś zielone strzępy jak gdyby włóknistych łądyg. Uczone kolegium zbadawszy sumiennie te szczątki orzekło, iż są to fragmenty wielokomórkowego organizmu, doskonale znanego na Ziemi, mianowicie chodziło o Solarium tuberosum, bulwiasty ustrój wielonasienny z rozczłonkowaniami pojedynczopierzastodzielnymi, przywieziony przez Hiszpanów z Ameryki do Europy w XVI wieku. Już ta wiadomość podnieciła umysły, a trudno zgoła opisać, co się działo, kiedy ktoś przetłumaczył uczony wywód na język codzienny i okazało się, że Murbras przyniósł na swym skafandrze kawałki naci ziemniaczanej.

Dzielny draper gwiazdowy, do żywego dotknięty posadzeniem, że przez cztery godziny walczył z kartoflami, zażądał, by kolegium odwołało tę niecną potwarz, aliści uczeni odparli, że nie mogą cofnąć ani jednego słowa. Zapanowało powszechne wzburzenie. Narodziły się stronnictwa Kartoflistów i Antykartoflistów, które ogarnęły najpierw Małą, a potem i Wielką Niedźwiedzicę; przeciwnicy obrzucali się najcięższymi obelgami. Wszystko jednak zbladło wobec tego, co się stało, gdy do sporu przyłączyli się filozofowie. Z Anglii, Francji, Australii, Kanady i Stanów Zjednoczonych ściągali co najwybitniejsi teoretycy poznania i przedstawiciele czystego rozumu, a skutek ich wysiłków był zadziwiający.

Po wszechstronnym zbadaniu sprawy fizykaliści orzekli, że kiedy dwa ciała A i B poruszają się, jest rzeczą wyboru mówić, że A porusza się względem B albo że B porusza się względem A. Ponieważ ruch jest względny, możemy równie dobrze mówić, że człowiek porusza się względem kartofla, jak że kartofel porusza się względem człowieka. Tak tedy pytanie, czy kartofle mogą się poruszać, jest bezsensowne, a cały problem - pozorny, tj. w ogóle nie istnieje.

Semantycy orzekli, że wszystko zależy od tego, jak rozumieć słowa "kartofel", "jest" i "ruchliwy". Ponieważ klucz stanowi łącznik operacyjny "jest", należy go zbadać dokładnie. Za czym przystąpili do opracowania Encyklopedii Kosmicznej Semazjologii, poświęcając pierwsze cztery tomy roztrząsaniu operacyjnego znaczenia słowa "jest".

Neopozytywiści orzekli, iż bezpośrednio dane są nam nie pęczki kartofli, ale pęczki wrażeń zmysłowych - następnie stworzyli symbole logiczne, oznaczające "pęczek wrażeń" i "pęczek kartofli", ułożyli specjalny rachunek zdaniowy z samych znaków algebraicznych i wypisawszy morze atramentu doszli do matematycznie ścisłego i ponad wszelką wątpliwość prawdziwego rezultatu, że $0 = 0$.

Tomiści orzekli, że Bóg po to stworzył prawa natury, żeby móc robić cuda, bo cud

jest złamaniem prawa natury, a gdzie nie ma prawa, tam nie ma co łamać. W wymienionym przypadku kartofle ruszają się, jeśli taka jest wola Wiekuistego, ale nie wiadomo, czy to nie sztuczka przeklętych materialistów, którzy usiłują zdyskredytować Kościół; należy więc czekać na orzeczenie Najwyższego Kolegium Watykańskiego.

Neokantyści orzekli, iż przedmioty są tworamii ducha, a nie rzeczami poznawalnymi; jeśli umysł wytworzy ideę ruchliwego kartofla, to ruchliwy kartofel będzie istniał. Jednakowoż to tylko pierwsze wrażenie, bo duch nasz jest również niepoznawalny, jak jego twory; tak tedy nic nie wiadomo.

Holiścipluraliści behawioryści fizykaliści orzekli, iż jak wiadomo z fizyki, prawidłowość w naturze jest tylko statystyczna. Podobnie jak nie można z zupełną dokładnością przewidzieć drogi pojedynczego elektronu, tak też nie wiadomo na pewno, jak się będzie zachowywał pojedynczy kartofel. Dotychczasowe obserwacje pouczają, że miliony razy człowiek kopał kartofle, ale nie jest wykluczone, że jeden raz na miliard stanie się na odwrót, że kartofel będzie kopał człowieka.

Profesor Urlipan, samotny myśliciel ze szkoły Russella i Reichenbacha, poddał wszystkie te wnioski miazdzącej krytyce. Stwierdził on, że człowiek nie doznaje wrażeń zmysłowych, albowiem nikt nie spostrzega wrażenia zmysłowego stołu, a tylko sam stół; ponieważ zaś skądinąd wiadomo, że o świecie zewnętrznym nic nie wiadomo, to nie ma ani rzeczy zewnętrznych, ani wrażeń zmysłowych. "Nie ma nic - głosi profesor Urlipan. - A jeśli ktoś sądzi inaczej, to błądzi". Tak więc o kartoflach nic nie można powiedzieć, ale dla całkiem innej przyczyny, niż to twierdzą neokantyści.

Gdy Urlipan pracował bez przerwy, nie wychodząc z domu, przed którym oczekiwali Antykartofliści ze zgniłymi ziemniakami, gdyż namiętność zaćmiła wszystkie umysły, pojawił się na scenie, a mówiąc ściślej wylądował na Latrydzie profesor Tarantoga. Nie zwracając uwagi na bezpłodne kłótnie postanowił zbadać tajemnicę sine ira et studio, jak przystało na prawdziwego uczonego. Dociekania rozpoczął od zwiedzenia okolicznych planet, gdzie zasięgał informacji u mieszkańców. W taki sposób dowiedział się, że zagadkowe stwory znane są pod nazwą: modraków, komprów, pyrczysek, maramonów, przanek, garagoli, tufli, sasaków, daber, borzyszek, hardyburków, uranów, nuchli, charanów i bliźnie; dało mu to sporo do myślenia, albowiem, jak to podają słowniki, wszystkie owe nazwy są synonimami zwyczajnego ziemniaka.

Z godnym podziwu uporem i niezmożoną pasją dążył Tarantoga do jądra zagadki i po pięciu latach miał już gotową teorię, która wszystko wyjaśniała:

Dawno temu w okolicy Tairii wpadł na rafę meteorytową statek wiozący kartofle dla kolonistów na Latrydzie. Przez powstałą w powłoce dziurę wysypał się cały ładunek. Statek zdjęto z rafy i przyholowano ratowniczymi rakietami na Latrydę, po czym historia ta poszła w zapomnienie. Tymczasem kartofle, które spadły na powierzchnię Tairii, wypuściły kiełki i poczęły w najlepsze rosnać. Jednakowoż warunki ich bytowania były niesłychanie ciężkie: z wysokości spadał raz po raz żwir kamienny tłukąc młode pędy, a nawet zabijając całe rośliny. Skutek tego był taki, że ze wszystkich ocalały tylko ziemniaki najroztropniejsze, które umiały się odpowiednio urządzić i znaleźć sobie schronienie. Tak wyłoniona rasa bystrych kartofli rozwijała się coraz bujniej. Po szeregu pokoleń, znudziwszy sobie osiadły tryb życia, ziemniaki same się wykopały i przeszły do bytowania koczowniczego. Równocześnie straciły zupełnie łagodność i bierność właściwą kartoflom ziemskim, oswojonym dzięki troskliwej opiece i hodowli. Diczając coraz bardziej, stały się w końcu drapieżnikami. Ma to głębokie uzasadnienie w ich rodowodzie. Jak wiadomo, kartofel, *Solanum tuberosum*, należy do rodziny psiankowatych (>S'olanceae), a pies, rzecz znana, pochodzi od wilka i puszczony do lasu może zdziczeć. To właśnie stało się z kartoflami na Tairii. Kiedy im się już ciasno zaczęło robić na planecie, nadszedł nowy kryzys; młode pokolenie kartofli rozpierała żądza czynu; pragnęły dokonać rzeczy niezwykłych i całkiem dla roślin nowych. Zwróciwszy nać w stronę nieba dostrzegły szybujące tam odłamy kamienne i postanowiły się na nich osiedlić.

Zbyt daleko by to nas zaprowadziło, gdybym chciał streścić tu całą teorię profesora Tarantogi, ukazującą, jak kartofle przyuczyły się najpierw latać trzepocząc liśćmi, a następnie jak wzniosły się poza obręb atmosfery Tairii, by osiąść wreszcie na okrążających planetę odłamach skalnych. W każdym razie udało im się to tym łatwiej, że zachowując roślinną przemianę materii mogły przez dłuższy czas przebywać w próżni, obywając się bez tlenu i czerpiąc życiową energię z promieni słonecznych. Na koniec, rozzuchwalone, jęły napadać na rakiety przelatujące obok planety.

Każdy badacz na miejscu Tarantogi ogłosiłby tę wyśmienitą hipotezę i spoczął na laurach, lecz profesor postanowił nie spocząć, póki nie schwyta jednego przynajmniej drapieżnego kartofla.

Tak tedy po rozwiązaniu teoretycznym przyszła kolej na praktyczne, co najmniej tak samo trudne. Wiadomo było, że ziemniaki czyhają w szczelinach wielkich głazów i zapuszczać się na ich poszukiwanie w ruchomy labirynt pędzących skał byłoby równoznaczne z samobójstwem. Z drugiej strony Tarantoga nie zamierzał ustrzelić kartofla; pragnął mieć osobnika żywego, w pełni sił i zdrowia. Przez jakiś czas myślał o polowaniu z nagonką, ale i ten projekt odrzucił jako nie dość dobry, i zatrzymał się na całkiem nowym, który miał szeroko rozśławić jego imię. Postanowił łowić ziemniaki na przynętę. W tym celu zakupił w sklepie z przyborami szkolnymi na Latrydzie największy globus, jaki mógł dostać, pięknie lakierowaną kulę sześciometrowej średnicy. Nabył też większą ilość miodu, smoły szwskiej i kleju rybiego, wymieszał to dobrze w równych proporcjach i tak otrzymaną substancją powlókł powierzchnię globusa. Potem uwiązał go na długiej linie za rakieta i poleciał w stronę Tairii. Zbliżywszy się dostatecznie, profesor ukrył się nad brzegiem pobliskiej mgławicy i zarzucił sznur z przynętą. Cały plan zasadał się na wielkiej ciekawości ziemniaków. Po jakiejś godzinie lekkie drganie wskazało, że coś się zbliża. Wyjrząwszy ostrożnie Tarantoga zobaczył, jak kilka ziemniaków potrząsa nacią i powoli przebiera bulwami, kierując się w stronę globusa; najwidoczniej wzięły go za jakąś nie znaną planetę. Po chwili nabrały odwagi i przycupnęły na globusie przyklejając się do jego powierzchni. Profesor szybko poderwał sznur, przywiązał go do ogona rakiety i poleciał w kierunku Latrydy.

Trudno opisać entuzjazm, z jakim przywitano dzielnego badacza. Schwytane na lep kartofle wraz z globusem zamknięto w klatce i wystawiono na widok publiczny. Ogarnięte wściekłością i paniką ziemniaki cięły powietrze nacią, tupały korzeniami, lecz nic im to oczywiście nie pomogło.

Gdy uczone kolegium udało się na drugi dzień do Tarantogi, żeby mu wręczyć dyplom honorowy i wielki medal uznania, profesora już nie było. Uwienczywszy dzieło wyruszył nocą w niewiadomym kierunku.

Przyczyna tak nagłego wyjazdu jest mi dobrze znana. Tarantoga spieszył się, albowiem za dziewięć dni miał spotkać się ze mną na Coerulei. Co się mnie tyczy, w tym samym czasie mknąłem ku umówionej planecie z przeciwnego końca Drogi Mlecznej. Zamiarem naszym było udać się wspólnie na wyprawę do nie zbadanego jeszcze ramienia Galaktyki, rozciągającego się za ciemną mgławicą w Orionie. Nie znaleźmy się jeszcze z profesorem osobiście; pragnąc zyskać opinię człowieka słownego i punktualnego, wyciskałem całą moc z silnika, niestety, jak to często bywa, gdy nam szczególnie zależy na pośpiechu, i tym razem wszedł mi w paradę nieprzewidziany wypadek. Oto jakiś drobny meteor przebił zbiornik paliwa i utkwivszy w rurze wydechowej motoru, zaczopował ją na głucho. Niewiele myśląc, wdziałem skafander, zaopatrzyłem się w silną latarkę i narzędzia, po czym wyszedłem z kabiny na zewnątrz. Wydobywając meteor obcęgami, niechcący potrafiłem latarkę, która odfrunęła na znaczną odległość i zaczęła samodzielnie szybować w przestworzach. Zatkaną dziurę zbiornika i wróciłem do kabiny. Nie mogłem gonić latarki, ponieważ straciłem prawie cały zapas paliwa, tak że ledwo doleciałem do najbliższej planety. Procytii.

Procyti są istotami rozumnymi i bardzo do nas podobnymi; jedyna, nieistotna zresztą różnica leży w tym, że mają nogi tylko do kolan, poniżej znajdują się kółka, nie sztuczne, lecz stanowiące część ciała. Poruszają się nader szybko i

wdzięcznie, niczym cyrkowcy na jednokołowych rowerach. Mają rozległą wiedzę, szczególnie zaś pasjonuje ich astronomia; badanie gwiazd jest tak rozpowszechnione, że każdy przechodzień, stary czy młody, nie rozłącza się z podręczną lunetą. Zegary słoneczne są w wyłącznym użyciu i publiczne wydobycie zegarka mechanicznego stanowi ciężką obrazę moralności. Mają też Procyty liczne urządzenia cywilizacyjne. Pamiętam, jak bawiąc u nich po raz pierwszy, brałem udział w bankiecie na cześć starego Maratilitca, słynnego ich astronoma. W pewnym momencie zacząłem omawiać z nim jakąś kwestię astronomiczną. Profesor oponował mi, ton dyskusji stawał się z każdą chwilą ostrzejszy; starzec palił mnie wzrokiem i zdawało się, że lada chwila wybuchnie. Naraz zerwał się i w pośpiechu opuścił salę. Po pięciu minutach wrócił i zasiadł przy mnie łagodny, uśmiechnięty, spokojny jak dziecko. Zaciekawiony spytałem później, co spowodowało tak czarodziejską przemianę jego nastroju.

- Jak to - rzekł zagadnięty Procyta - nie wiesz? Profesor użył wyszalni.

- Cóż to jest?

- Nazwa tego urządzenia pochodzi od słowa "wyszaleć się". Osobnik ogarnięty gniewem lub czujący do kogoś złość wchodzi do małej kabiny wyścielonej korkowymi materacami i daje swobodny upust swym uczuciom.

Kiedy teraz lądowałem na Procytii, jeszcze z powietrza ujrzałem ciągnące ulicami tłumy: powiewały lampionami i wydawały radosne okrzyki. Pozostawiwszy raketę pod opieką mechaników, udałem się do miasta. Jak się dowiedziałem, świętowano właśnie odkrycie nowej gwiazdy, która pojawiła się na niebie ubiegłej nocy. To dało mi nieco do myślenia, a kiedy po serdecznym powitaniu Maratilitca zaprosił mnie do swego potężnego refraktora, ledwo oko przyłożywszy do obiektywu pojąłem, iż rzekoma gwiazda jest po prostu moją latarką szybującą w przestrzeni. Zamiast powiedzieć to Procytom, nieco lekkomyślnie postanowiłem zabawić się w lepszego od nich astronoma i obliczywszy szybko w głowie, na jak długo wystarczy bateria latarki, oświadczyłem głośno zebranym, iż nowa gwiazda będzie świecić biało przez sześć godzin, potem żółtknie, sczerwienieje, a w końcu zgaśnie całkowicie. Przepowiednia ta spotkała się z powszechnym niedowierzaniem, a Maratilitc z właściwą mu zapalczywością wykrzyknął, że jeśli się to stanie, gotów jest zjeść własną brodę.

Gwiazda zaczęła słabnąć w przewidzianym przeze mnie czasie, a gdy wieczorem zjawiłem się w obserwatorium, zastałem grupę stroskanych asystentów, którzy rzekli mi, że Maratilitc dotknięty głęboko w swej dumie zamknął się w gabinecie, by spełnić pochopnie dane przyrzeczenie. W trwodze, że może to zaszkodzić jego zdrowiu, usiłowałem porozumieć się z nim przez drzwi, ale daremnie. Przyłożywszy ucho do dziurki od klucza usłyszałem szmery, które potwierdzały słowa asystentów. W największym pomieszczeniu napisałem list wyjaśniający wszystko, dałem go asystentom z prośbą, by go wręczyli profesorowi natychmiast po moim odlocie, i co sił udałem się na lotnisko. Musiałem tak postąpić, albowiem nie byłem pewny, czy profesor zdąży przed rozmową ze mną użyć wyszalni.

Opuściłem Procytę o pierwszej w nocy z takim pośpiechem, że całkiem zapomniałem o paliwie. Jakiś milion kilometrów za planetą zbiorniki opustoszały i zostałem rozbitkiem kosmicznym na statku błakającym się bezwładnie w próżni. Ledwo trzy dni dzieliły mnie od terminu spotkania z Tarantogą.

Coerulea doskonale była widoczna przez okno, jaśniejac w odległości zaledwie trzystu milionów kilometrów, lecz mogłem tylko patrzeć na nią z bezsilną wściekłością. Oto jak nieraz drobne przyczyny rodzą wielkie skutki!

Po jakiejś godzinie zauważyłem rosnącą powoli planetę; statek poddając się biernie jej przyciąganiu biegł coraz szybciej, na koniec gnać począł jak kamień. Zrobiłem dobrą minę do złej gry i zasiadłem przy sterach. Planeta była dość mała, pustynna, ale przytulna; zauważyłem oazy z wulkanicznym ogrzewaniem i bieżącą wodą. Wulkanów było sporo; wyrzucały wciąż ogień i słupy dymu. Manewrując sterami szybowałem już w atmosferze, starając się jak się tylko da

zmniejszyć szybkość, ale to odwlekało jedynie chwilę upadku. Wtem, przelatując nad skupiskiem wulkanów, oświecony nową myślą, przez mgnienie rozważałem ją, a potem powziąwszy straceńczą decyzję skierowałem dziób pocisku w dół i jak piorun runąłem prosto w ziejącą podę mną czeluść największego wulkanu. W ostatniej chwili, gdy jego rozżarzona gardziel już mnie połykała, zręcznym manewrem sterów odwróciłem raketę dziobem do góry i w takiej pozycji pogrążyłem się w huczącą lawą bezdeń.

Ryzykowałem wiele, ale innego wyjścia nie było. Liczyłem na to, że polechtany gwałtownym ciosem, jaki zada mu rakietą, wulkan zareaguje erupcją i - nie omyliłem się. Nastąpił grzmot, od którego ściany zatrzęszczały, i w wielomilowym słupie ognia, lawy, popiołu i dymu wyleciałem w niebo. Sterowałem tak, by wpaść na prosty kurs Coerulei, co udało mi się znakomicie.

Byłem na niej już po trzech dniach, ledwo w dwadzieścia minut po ustalonym terminie. Tarantogi jednak nie zastałem; odleciał zostawiwszy tylko list na poste restante.

Drogi Kolego! - pisał - okoliczności zmuszają mnie do natychmiastowego wyruszenia, dlatego proponuję, żebyśmy się spotkali już w głębi obszaru nie zbadanego; ponieważ tarczowe gwiazdy nie mają nazw, podaję Warn orientacyjne dane: polecicie prosto, za słońcem błękitnym skręćcie w lewo, za następnym, pomarańczowym, w prawo; będą tam cztery planety, otóż na trzeciej, licząc od lewej ręki, spotkamy się. Czekam!

Oddany Wam Tarantoga

Nabrawszy paliwa wystartowałem o zmierzchu. Drogę przebyłem w ciągu tygodnia, a wniknąwszy w regiony nieznane, bez trudu odnalazłem właściwe gwiazdy i wiernie trzymając się wskazówek profesora, rankiem ósmego dnia ujrzałem umówioną planetę. Masywny ten glob pokrywało zielone, kosmate futro; były to olbrzymie dżungle tropikalne. Widok ów speszył mnie nieco, nie wiedziałem bowiem, jak zabrać się do odnalezienia Tarantogi, liczyłem jednak na jego pomysłowość - i nie przeliczyłem się. Pędząc prosto ku planecie, o jedenastej przed południem dostrzegłem na jej północnej półkuli jakieś niewyraźne zarysy, od których dech mi zaparło.

Mówię zawsze młodym, naiwnym astronautom: nie wierzcie, kiedy ktoś wam powiada, że zbliżając się do planety odczytał jej nazwę; jest to tylko zwyczajny dowcip kosmiczny; tym razem jednak znalazłem się w kropce, albowiem na tle zielonych borów rysował się wyraźnie napis:

Nie mogłem czekać. Spotkanie na następnej planecie.

Tarantoga

Litery były kilometrowej wielkości, inaczej bym ich naturalnie nie dostrzegł. Nie posiadając się ze zdumienia i ciekawości, jak też profesor wywiódł ten napis

gigantyczny, obniżyłem lot. Ujrzałem wówczas, że linie liter przedstawiają szerokie ulice powalonego i zdruzgotanego boru, odcinające się wyraźnie od obszarów nietkniętych.

Nie rozwiązawszy zagadki, zgodnie ze wskazówką pomknąłem ku następnej planecie, zamieszkałej i cywilizowanej. O pierwszym zmierzchu siadłem na lotnisku. Próżno rozpytywałem się w porcie o Tarantogę; i tym razem zamiast niego oczekiwał mnie list.

Kochany Kolego - pisał - gorąco przepraszam za uczyniony zawód, ale w związku z niecierpiącą zwłoki sprawą rodzinną muszę niestety zaraz wracać do domu. Aby zmniejszyć Wasze rozczarowanie, zostawiam w biurze portu paczkę, którą zechciejcie odebrać; zawiera ona plon ostatnich mych badań. Intryguje Was pewno sposób, w jaki zostawiłem na poprzedniej planecie pisemną wiadomość; było to całkiem proste. Glob ten przeżywa epokę odpowiadającą okresowi węglowemu Ziemi i zamieszkuje go olbrzymie jaszczury, między innymi straszliwe atlantozaurowy czterdziestometrowej długości. Wylądowawszy na planecie podkradłem się do wielkiego stada atlantozaurów i drażniłem je dopóty, dopóki nie rzuciły się na mnie. Począłem biec szybko przez las z takim wyrachowaniem, żeby szlak mej ucieczki tworzył zarys liter, a stado pędząc za mną waliło pokotem drzewa. W taki sposób powstała szeroka na osiemdziesiąt metrów ulica. Było to proste, powiadam, lecz nieco fatygujące, musiałem bowiem przebiec ponad 30 kilometrów i to dosyć szybko. Żałując serdecznie, że i tym razem nie poznamy się osobiście, ściskam Waszą dzielną dłoń i łączę wyrazy najwyższego uznania dla cnót Waszych i odwagi.

Tarantoga

PS Gorąco radzę Warn pójść wieczorem do miasta na koncert - jest doskonały.

T.

Odebrałem w biurze przeznaczoną dla mnie paczkę, kazałem zawieźć ją do hotelu, a sam udałem się do miasta. Przedstawiało ono widok dość ciekawy. Planeta wiruje z taką szybkością, że pory doby zmieniają się co godzina. Wytwarza się przez to siła odśrodkowa, powodująca, że swobodnie zwisający pion nie jest prostopadły do gruntu, jak na Ziemi, lecz tworzy z nim kąt 45 stopni. Wszystkie domy, wieże, mury, wszelkie w ogóle budowle wznosi się tedy nachylone do powierzchni gruntu pod kątem 45 stopni, co stwarza widok dla ludzkiego oka raczej dziwny. Domy z jednej strony ulicy jak gdyby kładą się na wznak, a z drugiej, przeciwnie, nachylają się i zawisają nad nimi. Mieszkańcy planety, żeby się nie przewrócić, mają wskutek przystosowania naturalnego jedną nogę krótszą, a za to drugą dłuższą; człowiek zaś, idąc, musi stale podkurczać jedną kończynę, co po pewnym czasie porządnie dolega i męczy. Szedłem więc tak powoli, że gdy dotarłem do budynku, w którym miał się odbyć koncert, właśnie zamykano drzwi sali. Pośpiesznie kupiłem bilet i wbiegłem do środka.

Ledwie usiadł, dyrygent zapukał pałeczką i wszyscy ucichli. Członkowie orkiestry jęli poruszać się zwawo, grając na nie znanych mi instrumentach, podobnych do trąb z dziurkowanymi lejkami, jak u polewaczki; dyrygent to wznosił z przejściem przednie kończyny, to rozkładał je, jakby nakazując grać "piano", lecz ogarniało mnie rosnące zdumienie, albowiem nie słyszałem najsłabszego dźwięku. Zerkając nieznacznie na boki widziałem ekstazę malującą się na twarzach sąsiadów; coraz bardziej zmieszany i zaniepokojony, próbowałem dyskretnie przetkać sobie uszy, lecz bez najmniejszego skutku. Wreszcie, sądząc, że stracił słuch, cichutko postukałem paznokciem o paznokieć, jednakowoż ten cichy

odgłos dobiegł mnie wyraźnie. Tak tedy, nie wiedząc zgoła, co o tym wszystkim myśleć, zafrapowany powszechnymi oznakami zadowolenia estetycznego, dosiedziałem do końca utworu. Rozległa się burza oklasków; skłoniwszy się, dyrygent znów zastukał pałeczką i orkiestra przystąpiła do następnej części symfonii. Wokół wszyscy byli zachwyceni; słyszałem mnogie pociągnięcia nosami i brałem to za oznaki głębokiego wzruszenia. Nastąpiło wreszcie burzliwe finale - mogłem o tym sądzić tylko po gwałtownych wybuchach dyrygenta i kroplistym pocie, jaki staczał się z czół muzyków. Znowu zagrzmiały oklaski. Sąsiad zwrócił się do mnie, wyrażając uznanie dla symfonii i jej wykonawców. Odpowiedziałem ni w pięć, ni w dziewięć i wymknąłem się zupełnie zdetonowany na ulicę.

Oddaliłem się już o kilkadziesiąt kroków od budynku, gdy wtem coś mnie tknęło, żeby spojrzeć na jego fasadę. Jak inne, była nachylona pod ostrym kątem do ulicy; na froncie widniał wielki napis Miejskie Olfaktorium, poniżej zaś rozlepione były afisze programowe, na których przeczytałem:

SYMFONIA PIŻMOWA

ODONTRONA

I Preludium Odoratum

II Allegro Aromatoso

III Andante Olens

Dyryguje

przebywający na gościnnych występach

słynny nosista

HRANTR

Zakląłem gniewnie i obróciwszy się na pięcie pośpieszyłem do hotelu. Za to, że nie doznałem przeżycia estetycznego, nie winiłem Taran togi, albowiem nie mógł wiedzieć, że wciąż jeszcze doskwiera mi katar, jakiego nabawiłem się na Satellinie.

Aby wynagrodzić sobie rozczarowanie, zaraz po przybyciu do hotelu rozpakowałem paczkę. Zawierała dźwiękowy aparat kinematograficzny, szpulę filmu i list następującej treści:

Mój drogi Kolego!

Zapewne przypomina Pan sobie naszą rozmowę telefoniczną, kiedy to Pan bawił na Malej, a ja na Wielkiej Niedźwiedzicy. Powiedziałem wtedy, że podejrzewam istnienie istot, które zdolne są żyć w wysokiej temperaturze na gorących, półpłynnych planetach, i że zamierzam podjąć w tym kierunku badania. Zechciał Pan wyrazić wątpliwość, czy się takie przedsięwzięcie uda. Otóż dowody ma Pan przed sobą. Wybrawszy ognistą planetę zbliżyłem się do niej w rakiecie na możliwie małą odległość, po czym na długim azbestowym sznurze opuściłem w dół

ogniotrwały aparat filmowy i mikrofon; dokonałem w taki sposób wielu ciekawych zdjęć. Niewielką próbkę pozwalam sobie wiośnie załączyć do listu.

Oddany Tarantoga

Taka paliła mnie żądza poznania, że ledwo skończyłem czytać, założyłem do aparatu film, ściągnięte z łóżka prześcieradło zawiesiłem na drzwiach i zgasiwszy światło uruchomiłem projektor. Zrazu na zaimprovizowanym ekranie migotały tylko barwne plamy; dochodziły mnie ochryple dźwięki i trzeszczenie jakby pękających w piecu polan, potem obraz się wyostrzył.

Słońce zapadało za horyzont. Powierzchnia oceanu drżała; pomykały po niej drobne, sine płomyki. Ogniste chmury bladły i mrok zapadał coraz większy. Pojawiały się słabe, pierwsze gwiazdy. Młody Kralosz zmęczony całodziennymi zajęciami wydostał się właśnie ze swego trzpiotu, by zażyć wieczornego spaceru. Nie śpieszył się nigdzie; poruszając miarowo skrzyzionami, z rozkoszą wdychał świeże, wonne kłęby rozpalonego amoniaku. Ktoś zbliżał się do niego ledwo widoczny w rosnącej ciemności. Kralosz natężył smęch, lecz dopiero gdy tamten znalazł się tuż, młodzieniec rozpoznał swego przyjaciela.

- Jaki piękny wieczór, nieprawdaż? - rzekł Kralosz. Przyjaciel przestąpił z obojny na obojnie, wychylił się do połowy z ognia i rzekł:

- Istotnie ładny. Salmiak obrodził w tym roku nadzwyczajnie, wiesz?

- A tak, zbiory zapowiadają się doskonale.

Kralosz pokołysał się leniwie, odwrócił się na brzuch i wytrzeszczając wszystkie wzroczka, zapatrzył się w gwiazdy.

- Wiesz, mój drogi - rzekł po chwili - ilekroć patrzę w nocne niebo, jak teraz, nie mogę się oprzeć przekonaniu, że tam daleko, daleko są inne światy, podobne do naszego, tak samo zamieszkane przez istoty rozumne...

- Kto tu mówi o rozumie?! - rozległo się w pobliżu. Obaj młodzieńcy zwrócili się tyłem w tę stronę, aby rozpoznać przybysza. Zobaczyli sękata, lecz krzepką jeszcze postać Flamenta. Sędziwy uczony zbliżył się do nich majestatycznymi ruchami, a przyszłe potomstwo, podobne do kiści gron winnych, wzbierało już i wypuszczało pierwsze kielki na jego rozłożystych barkach.

- Mówiłem o rozumnych istotach zamieszkujących inne światy... - odrzekł Kralosz unosząc łusty w pełnym szacunku pozdrowieniu.

- Kralosz mówi o rozumnych istotach z innych światów?... - odrzekł uczony. - Patrzcie go! Z innych światów!!! Ach, ten Kralosz, ten Kralosz. Co też czynisz najlepszego, młodzieńcze? Puszczasz wodze fantazji? Owszem... pochwalam... można w tak piękny wieczór... Co prawda wyraźnie pochłódniało, nie zauważyliście?

- Nie - odparli równocześnie obaj młodzieńcy.

- Naturalnie, młody ogień, wiem. A jednak jest teraz ledwo osiemset sześćdziesiąt stopni; powinienem być wdziac narzutkę na podwójnej lawie. Trudno, starość. Więc powiadasz - podjął zwracając się tyłem do Kralosza - że na innych światach istnieją stworzenia rozumne? I jakież to istoty według ciebie?

- Dokładnie wiedzieć tego nie można - odrzekł nieśmiało młodzieniec. - Myślę, że są rozmaite. Podobno nie jest wykluczone, że na chłodniejszych planetach mogłyby z substancji zwanej białkiem powstać żywe organizmy.

- Od kogo to słyszałeś?! - zakrzyknął gniewnie Flament.

- Od Imploza. To ten młody student biochemii, który...

- Młody dureń, powiedz raczej! - palnął gniewnie Flament. - Życie z białka?! Żywe istoty z białka? Nie wstydzisz się wypowiadać takich andronów w obecności swego nauczyciela?! Oto są płody nieuctwa i arogancji, jakie szerzą się dzisiaj zastraszająco! Wiesz, co należałoby uczynić z tym twoim Implozem? Pokropić go wodą, ot co!

- Ależ, czcigodny Flamencie - odważył się odezwać przyjaciel Kralosza - dlaczego domagasz się aż takiej karności dla Imploza? Czy nie mógłbyś powiedzieć nam, jak mogą wyglądać istoty na innych planetach? Czy nie mogą one posiadać postawy pionowej i poruszać się na tak zwanych nogach?

- Kto ci to mówił? Kralosz milczał, przelękniony.

- Imploz... - wyszeptał jego przyjaciel.

- A dajcież mi już raz święty spokój z waszym Implozem i jego wymysłami! - wykrzyknął uczony. - Nogi! Rzeczywiście! Jak gdybym jeszcze dwadzieścia pięć Płomieni temu nie udowodnił matematycznie, że istota dwunożna, ledwo byś ją postawił, natychmiast wywróciłaby się jak długa! Sporządziłem nawet odpowiedni model i wykres, ale cóż wy, leniuchy, możecie o tym wiedzieć? Jak wyglądają istoty rozumne z innych światów? Nie odpowiem wprost, sam się zastanów, naucz się myśleć. Najpierw muszą mieć organy do przyswajania amoniaku, nieprawdaż? Jaki narząd uczyni to lepiej od skrzypień? Czy nie muszą poruszać się w środowisku w miarę opornym, w miarę ciepłym, jak nasze? Muszą, co? A widzisz! Jakże czynić to inaczej niżeli obojniami? Podobnie będą się też kształtować narządy zmysłowe - wzroczna, łuspiny i kutrwie. Nie tylko wszakże budową muszą być podobne do nas, pięciomiaków, ale i ogólnym trybem życia. Wiadomo przecież, że pięciomia jest podstawową komórką naszego życia rodzinnego - spróbuj w fantazji wymyślić coś innego, wyteżaj wyobraźnię, jak chcesz, a ręczę ci, że poniesiesz klęskę! Tak, bo żeby założyć rodzinę, żeby dać życie potomstwu, muszą połączyć się Dada, Gaga, Mama, Fafa i Haha. Na nic wspólne sympatie, na nic plany i marzenia, jeśli zbraknie przedstawiciela choć jednej z tych pięciu płci - sytuację taką, niestety, zdarzającą się czasem w życiu, nazywamy dramatem czwórni, czyli nieszczęśliwą miłością... Tak więc, jak widzisz, jeśli rozumować bez najmniejszych uprzedzeń, opierając się wyłącznie na faktach naukowych, jeśli użyć precyzyjnego narzędzia logiki, działając chłodno i obiektywnie, dochodzimy do nieodpartego wniosku, że każda istota rozumna musi być podobna do pięciomiaka... Tak. No, mam nadzieję, że was przekonałem?

PODRÓŻ DWUDZIESTA ÓSMA

Niedługo już włożę te karty zapisane do pustej baryłki po tlenie i rzucę ją w odmęt, za burtę, aby pomknęła w czarną dal, choć wcale nie liczę na to, że ją ktoś znajdzie. Navigare necesse est, ale widać ta podróż nadmierna wyczerpuje nawet moją odporność. Lecę i lecę od lat, a końca temu nie widać. Co gorsza, czas płacze się, przecina, wnikam w jakieś rozgałęzienia i łachy pozakalendarzowe, ni to przyszłość, ni przeszłość, chociaż bywa, że zalatuje średniowieczem. Istnieje specjalna metoda ratowania umysłu w zbytnej samotności, wykoncypowana przez mego dziada Kosmę, polega na wymyślaniu sobie pewnej ilości towarzyszy, nawet obojga płci, a potem trzeba się już tego trzymać konsekwentnie. Używał jej też mój ojciec, choć dosyć bywa ryzykowna. W tej ciszy tutaj nazbyt się tacy towarzysze usamodzielniają, dochodzi do kłopotów i komplikacji, niektórzy nastawiali na moje życie i musiałem walczyć, kajuta to istne pobojuwisko - przerwać stosowania metody nie mogłem, przez lojalność wobec dziada. Chwała Bogu, polegli i mam teraz chwilę wytchnienia. Wezmę się chyba, jak to już tyle razy planowałem, do spisania zwięzłej kroniki mojego rodu, aby

tam, w minionych pokoleniach, odnaleźć siły, jak Anteusz. Założycielem głównej linii Tichych był Anonimus, otoczony tajemnicą najściślej związaną ze słynnym paradoksem Einsteina o bliźniakach. Jeden z nich leci w Kosmos, a drugi zostaje na Ziemi, za czym powracający okazuje się młodszy od pozostałego. Gdy podjęto pierwsze doświadczenie, aby rozstrzygnąć ów paradoks, jako ochotnicy zgłosili się dwaj młodzi ludzie, Kacper i Ezekiel. Wskutek zamieszania przy starcie wsadzono ich do rakiety obu. Eksperyment spalił więc na panewce, a co gorsza - rakieta wróciła po roku z jednym tylko z nich na pokładzie. Oświadczył, okryty żalobą, że brat wychylił się zbyt, gdy przelatywali nad Jowiszem. Nie dano wiary tym pełnym bólu słowom i pod wtór zażartej nagonki prasowej oskarżono go o bratożerstwo. Za dowód rzeczowy służyła prokuraturze książka kucharska, znaleziona w rakiecie, z czerwono zakreślonym rozdziałem "O peklowaniu w próżni". Znalazł się atoli człowiek szlachetny i zarazem rozumny, który był jego obrońcą. Doradził, by nie otwierał ust podczas procesu, bez względu na to, co się będzie działo. Jakoż mimo złej woli sąd nie mógł skazać mego protoplasty, bo w sentencji wyroku musi figurować imię i nazwisko oskarżonego. Rozmaicie powiadają stare kroniki - jedne, że już przedtem nazywał się Tichy, drugie, że był to przydomek, wywodzący się z zasady przyjętego milczenia, bo zachował incognito do śmierci. Właściwie powinien się być zwać Cichy, ale notariusz seplenił. Los tego mojego przodka nie był godzien zazdrości. Oszczercy i łgarze, których nigdy nie brak, twierdzili, że podczas przewodu sądowego oblizywał się, ilekroć wymieniano imię brata, przy czym w rzucaniu kalumnii wcale nie przeszkadzało im to, że nie wiadomo było, kto tu czym jest bratem. O dalszych losach tego przeczura nie wiem wiele. Miał osiemnaścioro dzieci i z niejednego pieca jadał chleb, przez pewien czas utrzymując się nawet jako domokrażca ze sprzedaży dziecinnych skafandrów. Na starość został dorabiaczem zakończeń do dzieł literackich. Zawód to mało znany, muszę więc wyjaśnić, że polegał na spełnianiu życzeń wyrażanych przez miłośników powieści i dramatu. Dorabiacz, przyjąwszy zamówienie, musi wczuć się w atmosferę, styl i ducha dzieła, któremu przydaje epilog, odmienny od autorskiego. W rodzinnych archiwach zachowało się nieco brulionów świadczących o tym, jak znaczne zdolności artystyczne miał pierwszy Tichy. Są tam wersje Otella, w których Desdemona dusi Maura albo i takie, gdzie ona, on i Jago żyją razem, wzajem sobie radzi. Są warianty piekła dantejskiego, z poddawanymi specjalnym mękom osobami, które wymienił zleceniodawca, przy czym z rzadka finały tragiczne autorów przychodziło zastępować szczęśliwym zakończeniem, częściej bywało na odwrót. Bogaci smakosze zamawiali u mego przodka epilogi, w których nie dochodziło w ostatniej chwili do ocalenia cnoty, ale - przeciwnie - triumfowało zło. Owym zamożnym zleceniodawcom przyświecały na pewno niskie intencje, niemniej prapradziad mój, wykonując to, co u niego obstalowywano, stwarzał istne cacka artyzmu, a zarazem, choć niejako nieumyślnie, zbliżał się do prawdy życia bardziej niż autorzy dzieł. Musiał zresztą dbać o utrzymanie licznej rodziny, więc robił, co umiał, obrzydliwszy sobie żeglugę kosmiczną - łatwo to pojać - na zawsze. Poczynając od niego, pojawiał się w rodzie naszym na przestrzeni wieków typ człowieka utalentowanego, zamkniętego w sobie, o umyśle oryginalnym, nieraz nawet skłonny do dziwactw, uporczywego w ściganiu raz upatrzonych celów. W archiwum familijnym znajduję mnóstwo dokumentów potwierdzających te rysy charakterystyczne; zdaje się, że jedna z bocznych linii Tichych żyła w Austrii, a mówiąc ściślej, w niegdysiejszej monarchii austro-węgierskiej, bo wśród kart najstarszej kroniki znalazłem spłowiałą fotografię przystojnego młodzieńca w mundurze kirasjerskim, z monoklem i zakreconymi wąsikami, opatrzoną na odwrocie słowami "k.u.k. Cyberleutnant Adalbert Tichy". O czynach owego cyberleutnanta nic mi nie wiadomo poza tym, że - jako prekursor mikrominiaturyzacji technicznej, w czasach, kiedy nikomu się nawet o niej nie śniło - wysunął projekt przesadzenia kirasjerów z koni na kucyki. Znacznie więcej pozostało materiałów dotyczących Estebana Franciszka Tichego, błyskotliwego myśliciela, który - nieszczęśliwy w życiu osobistym - pragnął zmienić klimat Ziemi przez posypywanie obszarów biegunowych sproszkowaną sadzą. Uczerniony śnieg miał się stopić, pochłaniając promienie słońca, oswobodzone zaś tym sposobem od lodów obszary Grenlandii i Antarktydy pragnął ten mój pradziad przekształcić w rodzaj Edenu dla ludzkości. Ponieważ nie znalazł zwolenników tego planu, jał na własną rękę gromadzić zapasy sadzy, co doprowadziło do niesnasek małżeńskich, zakończonych rozwodem. Druga jego żona, Eurydyka, była córką aptekarza, który za plecami zięcia wnosił z piwnic i sprzedawał sadzę, jako węgiel leczniczy (carbo animalis). Gdy aptekarza

zdemaskowano, niczego nieświadomy Esteban Franciszek został także oskarżony o fałszowanie lekarstw i przyplącił to konfiskatą całego zapasu sadzy, zgromadzonego w podziemiach domostwa w ciągu wielu lat. Głęboko rozczarowany do ludzi, nieszczęśnik zmarł przedwcześnie. Jedyłą jego pociechą w ostatnich miesiącach życia było posypywanie ośnieżonego zimą ogródka sadzami i obserwacja postępów odwilży, jaką ten zabieg za sobą pociągał. Dziadek mój postawił w ogródku niewielki obelisk pamiątkowy z okolicznościowym napisem.

Dziad ów, Jeremiasz Tichy, jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli naszego rodu. Wychował się w domu starszego brata, Melchiora, słynącego z pobożności cybernetyka i wynalazcy. Poglądów niezbyt radykalnych, nie pragnął Melchior zautomatyzować całej służby bożej, a jedynie chciał przyjść z pomocą najszerszym rzeszom kleru, skonstruował tedy kilka niezawodnych, szybko działających i prostych w obsłudze urządzeń, jak anatemator, ekskomunikator oraz specjalny aparat do rzucania klątw z biegiem wstecznym (dla ich odwoływania). Prace jego nie znalazły, niestety, uznania tych, dla których działał, co więcej, osądzono je jako heretyckie; z właściwą sobie wielkodusznością udostępnił wówczas miejscowemu proboszczowi prototyp ekskomunikatora, umożliwiając tym eksperymentalne jego wypróbowanie na sobie samym. Niestety, nawet tego mu odmówiono. Zasmucony, rozczarowany, zrezygnował z dalszych prac w obranym kierunku i przerzucił się - tylko jako konstruktor - w sferę religii Wschodu. Do dziś znane są zelektryfikowane przezeń buddyjskie młynki modlitewne, zwłaszcza modele wysokoobrotowe, osiągające do 18 000 pacyerzy na minutę.

Jeremiasz, w przeciwieństwie do Melchiora, nie miał w sobie krzty ugodowości. Nie ukończywszy szkół, kontynuował studia w domu, zwłaszcza w piwnicy, która tak wielką rolę miała odegrać w jego życiu. Cechowała go niezwykła wprost konsekwencja. Mając dziewięć lat, postanowił stworzyć Ogólną Teorię Wszystkiego i nic go od tego nie powstrzymało. Znaczne trudności formułowania myśli, jakie odczuwał od lat najmłodszych, wzrosły po fatalnym wypadku ulicznym (walec drogowy spłaszczył mu głowę). Ale nawet kalectwo nie zniechęciło Jeremiasza do filozofii; postanowił zostać Demostenesem myśli, a może raczej jej Stephensonem, tak bowiem, jak wynalazca lokomotywy, który sam niezbyt szybko się poruszał, a zapragnął zmusić parę do poruszania kół, on chciał przymusić elektryczność do poruszania idei. Myśl tę zniekształca się często, powiadając, jakoby głosił hasło bicia elektromózgów. Jego zawołaniem - w myśl takich potwarzy - miało być: "Eniaki za mordę!" Jest to niegodne wypaczenie jego myśli; miał po prostu nieszczęście pojawić się ze swymi koncepcjami przed czasem. Jeremiasz wiele się w życiu nacierpiał, wypisywano mu na domu obelgi, w rodzaju "żenowała" i "męczymózga", sąsiedzi składali nań donosy, że zakłóca nocną ciszę hałasami i wyzwiskami, dobiegającymi z piwnicy, śmieli nawet twierdzić, jakoby nastawa! na życie ich dzieci, rozsypując zatrute cukierki. Otóż Jeremiasz istotnie nie lubił dzieci, podobnie jak Arystoteles, ale cukierki były przeznaczone dla plądrujących ogród kawek, o czym świadczyły umieszczone na nich napisy. Co do tak zwanych bluźnierstw, których uczyć miał swe aparaty, byty to jeno okrzyki zawodu, jakie wyrwały mu się podczas nużącej pracy laboratoryjnej, gdy jej rezultaty okazywały się nikłe. Zapewne, nie było z jego strony ostrożne posługiwanie się - w wydawanych własnym kosztem broszurach - terminami rubasznymi, gminnymi nawet, gdyż znachodzące się w kontekście rozważań o układach elektronowych wyrażenia takie, jak: "strzelić w lampę", "przyflekować", "wrzucić obcasa", łatwo mogły zmylić czytelnika. Przez przekorę też, jestem tego pewien, opowiadał zmistyfikowaną historyjkę, jakoby nie brał się bez drąga do programowania. Odznaczał się ekscentrycznością, która nie ułatwiała mu współżycia z otoczeniem; nie każdy umiał się poznać na jego dowcipie (stąd np. sprawa mleczarza i obu listonoszy, którzy na pewno i tak zwariowaliby, wskutek obciążenia dziedzicznego, tym bardziej że szkielety były na kółkach, a jama mierzyła ledwie dwa i pół metra głębokości). Któż jednak ogarnąć może kręte ścieżki geniuszu? Powiadano, że stracił majątek, kupując mózgi elektryczne po to, aby rozwalać je na drobne kawałki, i całe stopy pogruchotanych piętrzyły się na podwórzu. Czyż jego winą było, że ówczesne elektromózgi nie mogły podołać stawianym zadaniom, jako zbyt ograniczone i nie dość wytrzymałe? Gdyby nie rozlatywały się tak łatwo, na pewno doprowadziłyby je w końcu do stworzenia Ogólnej Teorii Wszystkiego. Porażka nie dyskredytuje bynajmniej jego naczelnej idei.

Co się tyczy komplikacji małżeńskich, kobieta, którą poślubił, była pod silnym wpływem wrogich mu sąsiadów, którzy skłonili ją do składania fałszywych zeznań, a zresztą wstrząsy elektryczne wyrabiają charakter. Jeremiasz czuł się osamotniony, wyśmiewany, także przez ciasnogłowych specjalistów, jak profesor Brumber, który nazwał go hyclem elektrycznym, bo Jeremiasz niewłaściwie użył raz dławika indukcyjnego. Brumber był złym, niewiele wartym człowiekiem, a jednak krótką chwilę sprawiedliwego gniewu przypłacił Jeremiasz czteroletnią przerwą w pracy naukowej. Wszystko dlatego, ponieważ sukces nie stał się jego udziałem. Któż interesowałby się wówczas defektami jego manier, obejścia czy stylu? Kto rozpusza plotki o prywatnym życiu Newtona czy Archimedesesa? Niestety, Jeremiasz był przedwczesnym prekursorem i musiał za to zapłacić.

Pod koniec życia, a właściwie na jego schyłku, przeszedł Jeremiasz zdumiewającą metamorfozę, która całkowicie odmieniła jego los. Oto, zamknawszy się na głucho w swej piwnicy, z której pousuwał wprzód wszystkie co do jednego szczątki aparatów, tak że pozostał w pustych murach, wobec zbitego z desek barłogu, zydła i starej szyny żelaznej, już do śmierci nie opuścił owego azylu czy też dobrowolnego więzienia. Był to więzienie, a jego postępek - ucieczka przed światem tylko, zrezygnowanym odwrotem, rejteradą w los umartwiającego się pustelnika? Fakty przemawiają wyraźnie przeciw takiemu przypuszczeniu. Nie na cichych medytacjach pędził życie w nałożonym sobie zamknięciu. Przez małe okienko w drzwiach piwnicznych prócz odrobiny chleba i wody podawano mu przedmioty, jakich żądał, a żądał, przez owych lat szesnaście, zawsze takich samych: młotków rozmaitego ciężaru i formatu. A zużył ich łącznie 3219 sztuk, a gdy wielkie serce przestało bić, znaleziono w piwnicy rozwłócone po kątach setki i setki porzeczonych, spłaszczonych w niezmiernym trudzie obuchów. Nadto dniem i nocą dobywał się z podziemi dźwiękliwy odgłos kucia, ustający jedynie na krótko, gdy dobrowolny więzień posilał umęczone ciało lub, po krótkim śnie, wpisywał do dziennika notatki, które leżą teraz przede mną. Widać z nich, że jego duch nie odmienił się, przeciwnie, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek zwarty, zogniskował się na nowym celu. "Już ja jej dam radę!" "Już ja ją doprowadzę do ostateczności!" "Jeszcze trochę, a wykończę ją!" - od takich, charakterystycznym, nieczytelnym pismem rzucanych uwag roją się te grube zeszyty, pokryte metalicznymi opiłkami. Komu chciał dać radę, kogo wykończyć? Tajemnica nie da się wyjaśnić, ponieważ ani razu nie pada imię tyleż zagadkowej, co potężnej snadź przeciwniczki. Wyobrażam sobie, że postanowił, w jednym z nagłych rozblysków, które nie są rzadkimi gośćmi wielkich dusz - dokonać na najwyższym możliwym szczeblu tego, do czego uprzednio brał się dużo skromniej. Stawiał wtedy pewne urządzenia w sytuacjach przymusowych i karciał je, by dopiąć swego. Teraz dumny starzec własnowolnym zamknięciem odgradził się od chóru poziomych krytykantów i przez drzwi piwnicy wszedł do historii, albowiem - to moja hipoteza - wziął się za bary z przeciwniczką najpotężniejszą z możliwych: w trudzie szesnastoletnim nie opuszczała go ani na chwilę świadomość, że szturmuje sedno egzystencji, że - jednym słowem - bez wahania, zwątpień, litości bez ustanku bije materię!!

W jakimże celu to czynił? O, nie było to wcale podobne do postępków owego monarchy starożytnego, który morze kazał wy chłostać, bo pochłonęło jego statki. Przeczuję w owej działalności syzyfowej, realizowanej z takim bohaterstwem, myśl więcej niż frapującą. Przyszłe pokolenia pojmą, że Jeremiasz bił w imieniu ludzkości. Chciał on doprowadzić materię do kresu, zamęczyć ją, wytłuc z niej ultymatyczną istotę i tak zwyciężyć. Co miało nastąpić? Zupełna anarchia porażki, fizykalne bezprawie? Czy też powstanie nowych praw? Tego nie wiemy. Dowiedzą się kiedyś ci, co ruszą w ślady Jeremiasza.

Najchętniej na tym zamknąłbym jego historię, jak jednak nie dodać, że potwarzy i potem pletli duby niestworzone, jakoby ukrywał się w piwnicy przed żoną czy dłużnikami! Oto jak świat odpłaca swoim niezwykłym za ich wielkość!

Następnym, o którym mówią raptularze, był Igor Sebastian Tichy, syn Jeremiasza, asceta i cybermistrz. Na nim kończy się ziemski gałąź naszego rodu, gdyż odtąd wszyscy potomkowie Anonymusa poszli w Galaktykę. Igor Sebastian był naturą kontemplacyjną i dlatego tylko, a nie wskutek niedorozwoju, o jaki był

pomawiany, odezwał się po raz pierwszy w jedenastym roku życia. Jak każdy z wielkich myślicieli-reformatorów, którzy krytycznym okiem od nowa ogarniają człowieka, uczynił tak i doszedł do przeświadczenia, że źródłem zła są w nas pozostałości zwierzęce, zgubne dla jednostek i społeczeństw. W tym, że przeciwstawił mrok popędów jasności ducha nie było jeszcze nic nowego, lecz Igor Sebastian poszedł o krok dalej, niż ważyli się to uczynić jego poprzednicy. Człowiek - rzekł sobie - powinien wstąpić duchem tam, gdzie dotąd panowało tylko ciało! Będąc niezwykle utalentowanym stereochemikiem, po wielu latach poszukiwań stworzył w retorcie substancję, która obróciła marzenia w rzeczywistość. Mówię oczywiście o słynnym przy kranie, pentazolidynowej pochodnej dwuallyloortopentano-perhydrofenantrenu. Nieszkodliwy dla zdrowia przykran, zażyty w mikroskopijnej ilości, sprawia, iż akt prokreacji staje się, przeciwnie niż dotąd, nadzwyczaj niemiły. Dzięki szczypcie białego proszku człowiek zaczyna patrzeć na świat okiem nie zmaconym żądzami, dostrzega w nim właściwą hierarchię spraw, nie oślepiany co chwila zwierzęcym pociąganiem. Zyskuje mnóstwo czasu, a wyprowadzony z niewoli płci, stworzonej przez ewolucję, zrzuca kajdany seksualnej alienacji i staje się wreszcie wolny. Przedłużanie gatunku winno wszak być rezultatem świadomej decyzji, poczucia obowiązku wobec ludzkości, a nie mimowolnym, bo automatycznym wynikiem sycenia sprośnych apetytów. Zamierzał zrazu Igor Sebastian uczynić akt cielesnego złączenia neutralnym, uznał jednak, iż to nie wystarczy, zbyt wiele bowiem rzeczy człowiek robi nie dla przyjemności nawet, ale po prostu z nudy lub z przyzwyczajenia. Akt ów miał odtąd stać się ofiarą złożoną na ołtarzu korzyści społecznej, cierpieniem dobrowolnie nałożonym, każdy płodzący, dzięki wykazanej odwadze, wchodził w poczet bohaterów jak wszyscy ci, co poświęcają się dla innych. Jako prawdziwy badacz, wypróbował Igor Sebastian działanie przykranu najpierw na samym sobie, a żeby udowodnić, że i po jego sporych dawkach można mieć progeniturę, nie ustając, z najwyższym samozaparciem spółdził trzynaścioro dzieci. Żona jego, powiadając, wielokrotnie uciekała z domu - kryje się w tym żdźbło prawdy, jednakże główną przyczyną małżeńskich niesnasek byli, jak za życia Jeremiasza, sąsiedzi, którzy buntowali nie dość rozgarniętą kobietę przeciwko mężowi, oskarżając Igora Sebastiana o maltretowanie żony, chociaż tłumaczył im wielokrotnie, że bynajmniej nie męczy jej, a jedynie wiadomy akt, będący teraz źródłem cierpienia, czyni dom jego siedliskiem hałasów i jęków. Cóż, kiedy ciasnogłowi powtarzali jak papugi swoje, że ojciec bił elektromózgi, a syn - żonę. Lecz był to tylko prolog tragedii, gdy bowiem, nie mogąc znaleźć zwolenników, zapalony ideą wiekuistego oczyszczenia człowieka z chuci zaprawił wszystkie studnie miasteczka przykranem, rozwścieczony tłum pobił go i pozbawił życia aktem haniebnego samosądu. Przeczucie niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, nie było Igorowi obce. Pojmował, że zwycięstwo ducha nad ciałem samo nie przyjdzie, o czym świadczą liczne ustępy jego dzieła wydane pośmiertnie na koszt własny rodziny. Pisał w nim, że każda wielka idea musi mieć za sobą siłę, jak o tym świadczą liczne przykłady z historii dowodzące, że lepiej od wszystkich argumentów i perswazji broni światopoglądu policja. Niestety, nie miał własnej i dlatego tak smutno skończył.

Znaleźli się, oczywiście, kalumniatorzy, którzy twierdzili, że ojciec był sadystą, a syn - masochistą. Nie ma w tym oszczerstwa słowa prawdy. Aczkolwiek wkraczam w sprawy drażliwe, muszę to uczynić, aby ocalić dobre imię naszej rodziny przed zniesławieniem. Igor nie był masochistą, mimo samozaparcia musiał się nieraz uciekać do fizycznej pomocy dwu oddanych kuzynów, którzy przytrzymywali go, zwłaszcza po większych dawkach przykranu, w łóżu małżeńskim, skąd, gdy rzecz się dokonała, uciekał jak oparzony.

Synowie Igora nie podjęli dzieła ojca. Starszy zajmował się jakiś czas syntezą ektoplazmy, substancji dobrze znanej spirytystom, którą wydzielają media w transie, ale nie udało mu się, ponieważ - jak twierdził - margaryna, stanowiąca surowiec wyjściowy, była nie dość oczyszczona. Młodszy był zakałą rodziny. Kupiono mu szyfkartę do gwiazdy Mira Coeti, która niedługo po jego przybyciu na miejsce zgasła. O losie córek nic mi nie wiadomo.

Jednym z pierwszych - po stu pięćdziesięcioletniej przerwie - kosmonautów albo, jak już mówiono wtedy, kosmonarzy, był prastryj Pafnucy. Ten właściciel promu gwiazdowego w jednej z mniejszych cieśnin galaktycznych przewiózł swym stateczkiem niezliczone rzesze podróżnych. Pędził życie wśród gwiazd cicho i

spokojnie, w przeciwieństwie do brata swego, Euzebiusza, który został korsarzem, zresztą w stosunkowo późnym wieku. Z urodzenia dowcipniś, Euzebiusz, odznaczający się wspaniałym poczuciem humoru, zwany przez całą załogę "a practical joker", zalepiał gwiazdy szewskim pakiem i rozrzucił po Drodze Mlecznej małe latarki, by mylić kapitanów, sprowadzane zaś z kursu rakiety napadał i łupił. Potem atoli oddawał wszystko ograbionym, nakazywał im lecieć dalej, doganiał swym czarnym raketowcem, abordażowa! i rabował od nowa, bywało, że sześć, a to i dziesięć razy pod rząd. Pasażerowie nie widzieli się poza siniaków.

A jednak nie był Euzebiusz okrutnikiem. Po prostu, czatując latami wśród gwiazdnych rozdroży na ofiary, okropnie się nudził, więc gdy jakaś mu się wreszcie trafiła, nie był wprost w stanie rozstać się z nią natychmiast po dokonaniu grabieży. Jak wiadomo, korsarstwo międzyplanetarne jest pod względem finansowym nieopłacalne, o czym świadczy najlepiej to, że praktycznie nie istnieje. Euzebiusz Tichy nie działał z niskich pobudek materialnych, wręcz przeciwnie, ożywiał go duch starych ideałów, pragnął bowiem odnowić czcigodną ziemską tradycję morskiej piraterii, uważając to zadanie za swe posłannictwo. Pomawiano go o wiele ohydnych skłonności, znaleźli się i tacy, co zwali go tanatofilem, ponieważ statek jego okrężały liczne szczątki kosmonarzy. Nic bardziej fałszywego od ohydnych tych potwarzy. W próżni nie można po prostu pochować zgasłego przedwcześnie i nie ma innego sposobu, jak tylko wypchnąć go przez klapę rakiety, to zaś, że jej nie opuszcza, lecz krąży wokół osieroczonego statku, wynika z praw mechaniki newtonowskiej, a nie z czyichś przewrotnych upodobań. Z biegiem lat ilość ciał, okrążających statek tego mego krewnego, istotnie znacznie urosła; manewrując, poruszał się jakoby w aureoli śmierci, niemal z tańców Durera rodem, ale, powtarzam, działało się to nie z jego, lecz z natury woli.

Siostrzan Euzebiusza, a mój kuzyn, Arystarch Feliks Tichy, zjednoczył w sobie najcenniejsze talenty, występujące dotąd oddzielnie w naszym rodzie. Doczekał też, jedyny, uznania i znacznego dobrobytu dzięki inżynierii gastronomicznej, zwanej też gastronautyką, którą wspaniale rozwinął. Pierwocyny tej gałęzi technicznej sięgają jeszcze schyłku XX wieku, a znano ją wtedy pod surową, prymitywną postacią tak zwanej kanibalizacji rakiet. Aby zaoszczędzić materiału i miejsca, poczęto stosować do wyrobu okrętowych przepierzeń i grodzi prasowane koncentraty żywnościowe, a więc różne kasze, tapioki, strączkowe itp. Później rozszerzono zakres tej działalności konstruktorskiej, obejmując nią także meble raketowe. Kuzyn mój ocenił lapidarnie jakość ówczesnej produkcji, powiadając, iż na smacznym krześle się nie usiedzi, a wygodne przyprawia o niestrawność. Arystarch Feliks przystąpił do rzeczy w sposób całkiem nowy. Nic dziwnego, że pierwsza swoją trzystopniową raketę (Przystawki, Pieczyste, Legumina) nazwała Zjednoczona Stocznia Aldebarańska jego imieniem. Nikogo już nie dziwią dzisiaj tablice rozdzielcze na kruchych spodach (tzw. elektromazurki), kondensatory - przekładańce, makaronowa izolacja, piernikoidy, czyli cewki z migdałami na miodzie, przewodzącym dobrze prąd, wreszcie okna z cukru pancernego, chociaż naturalnie nie każdy lubi garnitur z jajecznicy, bądź też poduszki z cwibaków i babek puchowych (a to dla okruszków w łóżku). Wszystko to jest dziełem mego kuzyna. To on wynalazł liny holowniczekabanosówki, strudlowe prześcieradła, kołdry z suflerów, jak również napęd łazankowogrysikowy i on pierwszy zastosował ementaler do chłodziń. Zastąpiwszy kwas azotowy chlebowym, uczynił paliwo (i to bezalkoholowe!) smacznym napojem orzeźwiającym. Niezawodne są też jego gaśnice z kisielkiem żurawinowym, które gaszą równie dobrze pożary, jak pragnienie. Znalazł też Arystarch naśladowców, lecz żaden z nich mu nie dorównał. Niejaki Globkins usiłował wprowadzić na rynek jako źródło oświetlenia - tort Sachera z knotem, zupełne fiasko, bo i światła dawał tort niewiele, i przesiąkał kopciem. Również jego wycieraczki do nóg z rizotta nie znalazły nabywców, podobnie jak i płyty izolacyjne z chałwy, przyskające przy pierwszym zderzeniu z meteorami. Raz jeszcze okazało się, że nie wystarczy ogólna idea, gdyż każde konkretne rozwiązanie, któremu ona patronuje, musi być twórcze - tak, jak genialna w swej prostocie myśl mego kuzyna, by wszystkie puste miejsca konstrukcji raketowej wypełniać zupą "nic", przez co i próżnię się zyskuje, i najeść się można. Myślę, że ten z Tichych zasłużył w pełni na miano dobroczyńcy kosmonautyki. Jej prekursorzy zapewniali nas nie tak znów dawno temu, kiedyśmy patrzeć nie mogli

na glonowe klopsiki i zupki z mchów czy porostów, że na takim właśnie wikcie ruszy ludzkość do gwiazd. Piękne dzięki! Dobrze się stało, że dożyłem lepszych czasów, bo ileż to za mej młodości załóg zginęło z głodu, dryfując wśród ciemnych prądów przestrzeni, do wyboru mając jedynie albo przejście na system losowania, albo też demokratycznych wyborów zwyczajną większością głosów.

Zgodzi się ze mną każdy, kto pamięta przygniatającą atmosferę zgromadzeń, na których dyskutowało się te przykre sprawy. Był nawet projekt Drapplussa, który narobił ongi sporo szumu, żeby po całym systemie słonecznym rozsiać równomiernie, z myślą o rozbitkach, kaszkę mannę lub grysik oraz kakao w proszku, ale się nie przyjął, raz, że wypadało to za drogo, a dwa, że spoza chmur kakao nie byłoby widać gwiazd nawigacyjnych. I dopiero kanibalizm rakietowy uwolnił nas od tego dawniejszego.

Gdy tak - wzdłuż gałęzi genealogicznego drzewa - zbliżam się, wkraczając w czasy nowożytne, ku własnemu początkowi, zadanie moje, jako kronikarza rodu, staje się coraz trudniejsze. Nie tylko dlatego, że dawnych przodków, co prowadzili osiadły tryb życia, łatwiej jest portretować niż ich gwiazdnych następców, ale i dlatego, ponieważ w próżni manifestuje się niepojęty dotąd wpływ zjawisk fizycznych na życie rodzinne. Bezradny wobec dokumentów, których nie umiem należycie posegregować, rezygnując z wszelkiego porządkowania, przedstawię je po prostu w kolejności, w jakiej się zachowały. Oto osmalone chyżością karty dziennika podóży, który spisywał kapitan żeglugi gwiazdnej Wszechświt Tichy:

Zapis 116 303. Od iluż to już lat nie znamy ciążenia! Klepsydry nie działają, stanęły zegary wagowe, w nakręcanych odmawiają służby sprężyny. Jakiś czas zrywaliśmy kartki kalendarzy na chybił trafił, ale i to już jest przeszłością. Pozostaty nam, jako ostatnie wytyczne, śniadania, obiady i kolacje, lecz pierwsza niestrawność może zmieść do reszty i tę rachubę czasu. Muszę przerwać pisanie, ktoś wszedł, albo bliźnięta, albo to interferencja świetlna.

Zapis 116 304. Na bakburcie planeta, nie oznaczona na mapach. Nieco później, w czas podwieczorku, meteor, na szczęście mały, który przebił nam trzy komory - ciśnieniową, zatrzymań (wytrzeźwień. Kazałem cementować. Przy kolacji - brak kuzyna Patryce go. Rozmowa z dziadem Arabeuszem o relacji nieoznaczoności. Cóż wiemy właściwie w sposób pewny? Żeśmy wyruszyli jako młodzi ludzie z Ziemi, że statek nasz nazwaliśmy "Kosmocystą", że dziadek i babka wzięli na pokład dwanaście innych par małżeńskich, które dzisiaj tworzą już jedną rodzinę, związaną węzłami powinowactwa krwi. Jestem niespokojny o Patrycego - także i kot gdzieś przepadł. Zauważyłem dodatni wpływ braku grawitacji na platfusy.

Zapis 116 305. Pierworodny stryja Obrożego jest tak bystrooki i tak mały jeszcze, że gołym okiem dostrzega neutrony. Rezultat poszukiwań Patrycego negatywny. Zwiększamy szybkość. Podczas manewru przecięliśmy rufą izochronę. Po kolacji przyszedł do mnie teść Obrożego, Amfoteryk, i zdradził mi, że został własnym ojcem, bo jego czas zadzierzgnął się w kształt pętli. Prosił, żeby o tym nikomu nie mówić. Radziłem się kuzynów fizyków - są bezradni. Kto wie, co jeszcze przed nami!

Zapis 116 306. Zauważyłem, że podbródki i czoła niektórych starszych stryjostw oraz wujostw cofają się. Efekt recesji żyroskopowej, skrócenie Lorentza-Fitz-Geralda czy skutek wypadania zębów i częstego uderzania czołem o grodzie, gdy rozlega się dzwonek wzywający do stołu? Pędzimy wzdłuż sporej mgławicy; ciotka Barabella wyróżyła, domowym sposobem, dalszą naszą trajektorię z fusów kawowych. Sprawdzałem obliczenia elektrokalkulatorem - wynik wcale zbliżony!

Zapis 116 307. Krótki postój na planecie Wałęsów. Cztery osoby nie wróciły na pokład. Przy starcie zatkana lewa wyrzutnia. Kazałem przedmuchać. Biedny Patrycy! W rubryce "przyczyna zgonu" zapisałem: "roztargnienie" - bo cóż innego?

Zapis 116 308. Wujowi Tymoteuszowi śniło się, że napadły nas plądryki. Obeszło się na szczęście bez ofiar i strat. Na statku robi się ciasno. Dziś trzy porody i cztery przeprowadzki, skutek rozwodów. Dziecko Obrożych ma oczy jak gwiazdy. Dla poprawy metrażu poleciłem wszystkim ciotkom udać się do hibernacyjnych lodówek. Poskutkowało dopiero argument, że nie będą się w stanie odwracalnej śmierci starzeć. Jest teraz bardzo cicho i przyjemnie.

Zapis 116 309. Zbliżyliśmy się do szybkości światła. Mrowie nieznanymi fenomenami. Pojawił się nowy typ cząstek elementarnych - skwarki. Niezbyt wielkie, trochę przypalone. Coś dziwnego dzieje się z moją głową. Pamiętam, że ojcu memu było Barnaba, ale miałem też innego, imieniem Balaton. Chyba że to jezioro na Węgrzech. Muszę sprawdzić w encyklopedii. Widzę, jak ciotki uginają się na kwantach, nie przestając mimo to robić na drutach. Na III pokładzie czuć. Dziecko Obrożych wcale nie raczkuje, tylko lata, posługując się na zmianę przednim i tylnym odrzutem. Jak cudowna jest biologiczna adaptacja organizmu!

Zapis 116 310. Byłem w laboratorium kuzynostwa Jezajaszów. Nie ustaje tam praca. Kuzyn mówił, że wyższą fazą astronautyki będą meble nie tylko jadalne, lecz i żywe. Takie nie popsuje się i nie trzeba będzie, do czasu, trzy mać ich w lodówkach. Tylko komu podniesie się ręka, żeby zarżnąć żywe krzesło? Na razie jeszcze ich nie ma, ale Jezajasz twierdzi, że niedługo ucześnie nas nóżkami w galarecie. Wróciwszy do sterowni, długo rozmyślałem, mając w uszach jego słowa. Mówił o żywych rakietach przyszłości. Czy można będzie mieć dziecko z taką rakieta? Co za myśli przychodzą mi do głowy!

Zapis 116 311. Dziadek Arabeusz skarżył mi się, że jego lewa noga sięga Gwiazdy Polarnej, a prawa - Krzyża Południa. Poza tym chyba coś knuje, bo wciąż chodzi na czworakach. Muszę go baczniej obserwować. Znikł Baltazar, brat Jezajasza. Czyżby dyspersja kwantowa? Szukając go, stwierdziłem, że komora atomowa pełna jest kurzu. Nie omiatała z rok! Zdjąłem ze stanowiska podkomorzego Bartłomieja i nazaczyłem jego szwagra, Tytusa. Wieczorem, w salonie, podczas występów ciotki Melanii, wybuchnął nagle dziad. Kazałem cementować. Był to z mej strony czysty

odruch. Nie odwołałem rozkazu, by nie podać w wątpliwość kapitańskiego autorytetu. Bardzo mi brakuje dziada. Co to było, gniew czy anihilacja? Zawsze był nerwowo. Zachciało mi się w czasie wachty czegoś mięsnego, zjadłem trochę mrożonej cielęciny z lodówki. Wczoraj okazało się, że zginęła kartka z zapisanym celem podróży, szkoda, bo lecimy już coś 36 rok. W cielęcynie, dziwna rzecz, było pełno śrutu - od kiedy strzela się do cieląt z dubeltówki? Obok nas leci meteor, na którym ktoś siedzi. To Bartłomiej pierwszy go zauważył. Na razie udaję, że nie widzę.

Zapis 116 312. Kuzyn Bruno twierdzi, że to nie była lodówka, tylko hibernator, bo dla żartu przewiesił tabliczki i że to nie był śrut, tylko paciorki. Uniosłem się pod strop; w przestrzeni bezgrawitacyjnej żadne sceny nie są możliwe, nie da się ani zatupać, ani uderzyć pięścią w stół. Żałuję, że wzięłem się do gwiazd. Skierowałem Brunona do najgorszej roboty, na rufę, żeby rozplątywał włóczkę.

Zapis 116 313. Kosmos pochłania nas. Wczoraj porwało część rufy z toaletami. Był tam akurat wuj Paleksander. Bezsilny, patrzałem, jak roztapia się w mroku, a rozwijające się wstęgi papieru trzepotały żałośnie w próżni. Istna grupa Laokoona wśród gwiazd. Co za nieszczęście! Ten na meteorze to nie żaden krewny; zupełnie obcy człowiek. Leci, siedząc okrakiem. Zastanawiające. Doszły mnie słuchy, jakoby sporo osób wysiadało ukradkiem. Rzeczywiście robi się jakoś puściej. Czyżby to była prawda?

Zapis 116 314. Kuzyn Roland, który prowadzi naszą rachunkowość, ma olbrzymie kłopoty. Wczoraj biedził się przy mnie, obliczając przewiezione już narzeczony, z einsteinowską poprawką na utratę wianków. Pisząc, naraz podniósł głowę, popatrzył mi w oczy i powiedział: "Człowiek, jak to brzmi!" Ta myśl zaskoczyła mnie. Wuj Obroży skończył swą Teologię Robotów i teraz stwarza nowy system - będą tam specjalne posty, tak zwane głodziny (chodzi o czas). Dziad Arabeusz nie podoba mi się. Układa kalambury. "Kalambur - rzekł mi - to znaczy, że zanieczyszczam las, a dużo dzieci płci męskiej to synkopy". Maty Pyzio, ten, co fruwa odrzutowo i mówi f zamiast p (flaneta zamiast planeta, ale za to - spodnie planelowe), wrzucił - teraz, się dopiero okazało - kota do zbiornika z sodą, która pochłania nam dwutlenek węgla. Biedne kocisko rozłożyło się na dwukocian sody.

Zapis 116 315. Pod drzwiami znalazłem dziś niemowlę pici męskiej z przypiętą do pieluch karteczką: "To twoje". Nic nie wiem, czyżby zbieg okoliczności? Wymościlem mu szufladę starymi aktami.

Zapis 116 316. W Kosmosie ginie masa skarpetek i chustek do nosa, poza tym czas zupełnie się rozpada; zauważyłem przy śniadaniu, że oboje dziadkowie są dużo młodszy ode mnie. Były też wypadki stryjozylizy. Kazałem zrobić kuzynowi bilans - otwarto hibernatory, odmrażam wszystkich. Dużo ciotek ma katar, chrypkę, sine

nosy i spuchnięte, czerwone uszy; niektóre spazmowały. Byłem bezsilny. Co najdziwniejsze, wśród wskrzeszonych jest cielę. Brakuje za to ciotki Matyldy - czyżby Bruno naprawdę nie żartował, a raczej - naprawdę żartował?

Zapis 116 317. Przed sienią komory atomowej jest komórka. Gdy siedziałem tam, przyszła mi zabawna myśl, że może w ogóle nie wystartowaliśmy i tkwimy na Ziemi! Ale nie - wszak nie ma ciążenia. Ta refleksja uspokaja. Jednakże sprawdziłem, co trzymam w ręku, to był młotek. Być może, nazywam się raczej Jeremiasz. Kułem jakąś sztabę i zrobiło mi się dziwno. Ale trzeba przywykać. Zasadę Pauliego, że poszczególną osobę może obsadzić tylko jedna osobowość naraz, pozostawiliśmy daleko za sobą. Choćby taka sztafeta rodzicielska, rzecz dla nas w Kosmosie zwykła, gdy kilka niewiast rodzi kolejno to samo dziecko - dotyczy to także ojców - wskutek olbrzymiej szybkości. Pyzio, tak niedawno malutki, gdy dzisiaj, sięgając jednocześnie w jadalni po marmoladę, zderzyliśmy się czołami, odrzucił mnie pod sam strop! Jakkolwiek splątany, pokręcony, a nawet zadzierzgnięty, jak jednak ten czas leci!

Zapis 116 318. Arabeusz mówił mi dziś, jak to zawsze żywił cichą nadzieję, że gwiazdy i rakiety mają jedną tylko stronę, tę zwróconą do nas, a z drugiej są tylko zakurzone stelaże i sznury. To dlatego poleciał do gwiazd! Wyznał mi też, że niektóre kobiety składają coś w bielizniarkach, według niego nie tylko bieliznę, ale i jaja. Świadczyć by to miało o gwałtownej regresji, w sensie ewolucyjnym. Musiało mu być niewygodnie, gdy tak zadzierał ku mnie głowę ze swoich czworaków. Niepokoi mnie jego młodszy brat. Ósmy rok stoi u mnie w przedpokoju, z wyciągniętymi przed siebie palcami wskazującymi. Czyżby początki katatonii! Najpierw machinalnie, a potem z nawyku zacząłem wieszać na nim palto i kapelusz. Może sobie przynajmniej powiedzieć, że i z niego jest jakiś pożytek.

Zapis 116 319. Coraz bardziej pusto. Dyfrakcja, sublimacja czy też po prostu wszyscy przechodzą, wskutek efektu Dopplera, do podczerwieni! Hukałem dziś po całym śródpokładziu i nikt się nie pokazał, oprócz ciotki Klotyldy, z drutami i nie dokończoną mitenką. Poszedłem do laboratorium - kuzynowie Mitro fan i Alaryk, by zbadać tory skwarków, topili słoninę i lali tłuszcz do wody. Alaryk powiedział mi, że w naszej sytuacji andrzejki są pewniejsze od komory Wilsona. Ale dlaczego po dokonaniu obliczeń wszystko zjadł? Nie rozumiem, a nie śmiałem go pytać. Zaginał prawuj Emeryk.

Zapis 116 320. Prawuj Emeryk odnaleziony. Co dwie minuty wschodzi z regularnością, godną lepszej sprawy, na bakburcie, widać w górnym okienku, jak osiąga zenit, po czym zachodzi na sterburcie. Nic a nic się nie zmienił, nawet na orbicie ostatniego spoczynku! Ale kto i kiedy go wypychał? Okropna myśl.

Zapis 116 321. Wujek jest tak regularny, że według jego wschodów i zachodów można by stoper regulować. Co najdziwniejsze, zaczął wybijać godziny. Nie umiem

tego pojąć.

Zapis 116 322. Po prostu zaczepia nogami o wierzch kadłuba w najniższym punkcie swojej orbity i końce zelówek albo obcasy skaczą mu po główkach nitów pancerza. Dziś po śniadaniu wybił trzynastą - przypadek czy wieszczy znak? Obcy na meteorze oddalił się nieco. Leci obok nas dalej. Usiadłem dziś do biurka, by pisać, a krzesło powiada do mnie: "Jaki ten świat dziwny!" Myślałem, że udało się wreszcie wujowi Jezajaszowi, ale to był tylko dziad Arabeusz. Powiedział mi, że jest inwariantem, czyli takim, któremu wszystko jedno, więc mogę nie wstawać. Hukałem dziś całą godzinę na pochylni i na górnym pokładzie. Ani żywego ducha. Trochę kłębków włóczki i drutów latało w powietrzu, i parę talii kart pasjansowych.

Zapis 116 323. Istnieje specjalna metoda, by ratować równowagę umysłu - wymyśla się różne fikcyjne osoby. Czyja aby tego od dawna już w sposób podświadomy nie robię? Ale od jak dawna? Siedzę na milczącym uparcie Arabeuszu, z kwilącym dzieckiem w szufladzie, które nazwałem Ijonem, i karmię je z, flaszki - trapiąc się, skąd ja mu wezmę teraz żonę; na razie niby jeszcze czas, ale w tych warunkach nic nie wiadomo. Siedzę taki lecę...

To ostatnie słowa mego ojca, zapisane w dzienniku - reszty kartek brak. Ja również siedzę w rakiecie i czytam, jak ktoś inny, to znaczy on, siedział w rakiecie i leciał. A więc siedział i leciał, i ja też siedzę i lecę. Kto zatem właściwie siedzi i leci? Czyżby mnie wcale nie było? Ale dziennik okrętowy sam siebie czytać nie może. Więc jednak jestem, bo go czytam. A może to wszystko podsunięte? Zmyślane! Dziwne myśli... Powiedzmy, że on nie siedział i nie leciał, ale ja jednak nadal lecąc - siedzę, to jest siedząc - lecę. To całkiem pewne. Czyżby? Najpewniejsze jest, że czytam o tym, kto leci i siedzi. Natomiast co do mojego siedzenia i lotu, to skąd wziąć pewność? Pokoik jest wyporządzony dość ubogo, to raczej komórka. Chyba na międzypokładziu, ale na strychu u nas była całkiem podobna. Wystarczy atoli wyjść za próg, żeby się przekonać, czy to nie złudzenie. Lecz gdyby to było złudzenie i gdybym zobaczył dalszy ciąg tego złudzenia? Nie ma niczego rozstrzygającego? To nie może być! Bo gdyby było tak, że ja nie lecę i nie siedzę, a tylko czytam o tym, że on leciał i siedział, przy czym naprawdę on też nie leciał, to by znaczyło, że ja, w moim złudzeniu, poznaję jego złudzenie, czyli mnie się zdaje, że jemu się zdaje. Albo może mnie się zdaje to, co się jemu wydaje? Złudzenie w złudzeniu? Powiedzmy, ale on pisał jeszcze o tym, który leci, siedząc okrakiem na meteorze. Z tym to już gorzej chyba. Mnie się zdaje, że jemu się zdawało to, co tamten robi okrakiem, a jeżeli tamtemu też się tylko wydawało, to już zupełnie nic nie wiadomo! Głowa mnie rozboleła i znów, jak wczoraj, jak przedwczoraj, muszę myśleć o biskupach i o nosach sinych, o oczach jak bławatki, o modrym Dunaju i filetowej cielęciny. Dlaczego? I wiem, że kiedy o północy dodam przyspieszenia, będę myślał o jajecznicy, a właściwie o sadzonych jajach z dużymi żółtkami, o marchwi, miodzie i piętach cioci Maryni - tak samo, jak w środku każdej nocy... Ach! Rozumiem! To jest efekt przesunięcia myśli, raz w stronę ultrafioletu, a raz - poprzez żółć - w stronę podczerwieni, czyli psychiczny efekt Dopplera! Bardzo ważne! Bo to byłby dowód, że lecę! Dowód z ruchu, demonstratio ex motu, jak mówili scholastycy! Więc ja naprawdę lecę... Tak. Ale przecież każdemu mogą przyjść do głowy jaja, pięty i biskup. To nie jest ścisły dowód, to tylko wypuszczenie. A więc cóż zostaje? Solipsyzm? Tylko ja jeden istnieję, nie lecąc donikąd... Lecz to by znaczyło, że nie istniał Anonimus Tichy ani Jeremiasz, ni Igor, Esteban

ani Wszechświt, że nie było Barnaby, Euzebiusza, "Kosmocysty", że nigdy nie leżałem w szufladzie ojcowego biurka ani że on, dosiadłszy dziada Arabeusza, nie leciał - otóż to nie jest możliwe! Miałbym z niczego wysnuć taką ilość osób i dziejów rodzinnych? Przecież ex nihilo nihil fit. A zatem rodzina istniała, to ona pozwala mi wrócić do wiary w świat i w ten lot mój o końcu niezbadanym! Wszystko zostało uratowane dzięki wam, przodkowie moi! Niedługo włożę te zapisane karty do pustej baryłki po tlenie i rzucę je w odmęt za burtę, niech płyną w czarną dal, bo navigare necessesse est, a ja lecę i lecę od lat...

Ze wspomnień Ijona Tichego I

Chcicie, żebym znów coś opowiedział? Tak. Widzę, że Tarantoga wziął już swój blok stenograficzny... profesorze, czekaj. Kiedy ja naprawdę nie mam nic do opowiedzenia. Co? Nie - nie żartuję. A zresztą - mogę w końcu, raz, mieć chętkę przemilczenia takiego wieczoru - w waszym gronie? Dlaczego? Ba, dlaczego! Moi drodzy - nie mówiłem o tym nigdy, ale Kosmos jest przede wszystkim zaludniony istotami takimi jak my. Nie tylko człekokształtnymi, ale podobnymi do nas jak dwie krople wody. Połowa zamieszkaných planet - to Ziemia, trochę większe, trochę mniejsze, o klimacie zimniejszym lub bardziej tropikalnym, ale cóż to za różnice? A ich mieszkańcy... Ludzie - bo to są w końcu ludzie - też tak przypominają nas, że różnice podkreślają tylko podobieństwa. Że nie opowiadałem o nich? Czy to dziwne? Pomyślcie. Patrzy się w gwiazdy. Przypominają się różne zdarzenia, różne obrazy stają przede mną, ale najchętniej wracam do niezwykłych. Może są i straszne albo niesamowite, albo makabryczne, nawet śmieszne, a przez to wszystko nieszkodliwe. Ale patrzeć w gwiazdy, moi drodzy, i wiedzieć, że te małe, błękitne iskierki to - kiedy postawić na nich nogę - państwa brzydoty, smutku, niewiadomości, wszelakiej ruiny - że tam, w granatowym niebie, też roi się od starych ruder, brudnych podwórzy, rynsztoków, śmietników, cmentarzy pozarastanych - czy opowieści kogoś, kto zwiedził Galaktykę, mają przywozić na myśl narzekania domokrażcy tłukącego się po prowincjonalnych miasteczkach? Kto by go chciał słuchać? I kto by mu uwierzył? Tego rodzaju myśli przychodzą, kiedy człowiek jest nieco przybity albo odczuwa niezdrowy pociąg do szczerych wynurzeń. Tak więc - aby nie zasmucać i nie upokarzać - dzisiaj nic o gwiazdach. Nie - nie będę milczał. Czuliście się oszukani. Opowiem coś, zgoda, ale to nie będzie podróż. W końcu i na Ziemi przeżyłem niejedno. Profesorze, jeśli koniecznie chcesz, możesz zacząć notować.

- Jak wiecie - miewam gości, niekiedy bardzo dziwnych. Wybiorę spośród nich pewną kategorię: zapoznanych wynalazców i uczonych. Nie wiem czemu, ale przyciągałem ich zawsze jak magnes. Tarantoga uśmiecha się, widzicie? Ale to nie o nim, on nie jest przecież wynalazcą zapoznanym. Dziś będę mówił o takich, którym się nie powiodło, albo raczej, którym powiodło się zbyt dobrze: osiągnęli cel i ujrzeli jego daremność. Oczywiście nie przyznali się do tego. Nieznani, osamotnieni, wytrwali w tym szaleństwie, które tylko rozgłos i sukces zamieniają niekiedy - nadzwyczaj rzadko - w dzieło postępu. Rozumie się, że ogromna większość tych, co przychodzili do mnie, była to szara brać opętania, ludzie uwięzieni w jednej idei, nie swojej nawet, przejętej od poprzednich pokoleń, jak wynalazcy perpetuum mobile, ubodzy w pomysły, trywialni w rozwiązaniach, w oczywisty sposób bzdurnych, a jednak nawet w nich tli się ów żar bezinteresowności, spalający życie, zmuszający do ponawiania wysiłków z góry daremnych. Żalosi są ci ułomni geniusze, tytani karzełkowatego ducha, okaleczeni w powiciu przez naturę, która, w jednym ze swych ponurych żartów, obdarzyła ich beztalencią twórczą zajadłością, godną jakiegoś Leonarda; ich udziałem jest w życiu obojętność lub drwina, a wszystko, co można dla nich uczynić - to być, przez godzinę czy dwie, cierpliwym słuchaczem i uczestnikiem ich monomani.

W owym tłumie, który tylko własna głupota broni przed rozpaczą, pojawiali się z rzadka inni ludzie - nie chcę ich nazwać ani osądzać, uczynicie to sami. Pierwszą postacią, która staje mi przed oczami, kiedy to mówię, jest profesor Corcoran.

Poznałem go, będzie temu lat dziewięć, może dziesięć. Było to na jakiejś konferencji naukowej. Rozmawialiśmy ledwo kilka chwil, kiedy ni z tego, ni z owego (w najmniejszej mierze nie wiązało się to z tematem) spytał:

- Co pan sądzi o duchach?

W pierwszej chwili sądziłem, że to ekscentryczny żart, ale przypomniałem sobie, że doszły mnie słuchy o jego niezwykłości - nie pamiętałem tylko, w jakim to mówiono znaczeniu, dodatnim czy ujemnym. Dlatego na wszelki wypadek odparłem:

- W tym przedmiocie nie mam żadnego zdania.

Bez słowa wrócił do poprzedniego tematu. Słysząc już było dzwonki obwieszczające początek dalszych obrad, kiedy pochylił się znienacka - był dużo wyższy ode mnie - i powiedział;

- Tichy, pan jest moim człowiekiem. Nie ma pan uprzedzeń. Być może zresztą, myślę się, ale gotów jestem zaryzykować. Niech pan przyjdzie do mnie - tu podał mi wizytówkę. - Pierwej proszę zatelefonować, bo na dzwonki nie odpowiadam i nikomu nie otwieram. Zresztą, jak pan chce...

Jeszcze tegoż wieczoru, będąc na kolacji z Savinellim, tym znanym jurystą, który specjalizował się w prawie kosmicznym, spytałem go, czy zna niejakiego profesora Corcorana.

- Corcoran! - wykrzyknął z właściwym sobie temperamentem, zaognionym drugą butelką sycylijskiego wina - ten postrzelony cybernetyk? Co się z nim dzieje? Nie słyszałem o nim od wieków!

Odparłem, że nie wiem o nim nic bliższego, tylko nazwisko to obilo mi się o uszy. Sądzę, że słowa te byłyby po myśli Corcorana. Savinelli naopowiadał mi przy winie trochę obiegowych plotek. Wynikało z nich, że Corcoran zapowiadał się świetnie jako młody naukowiec, choć już podówczas przejawiał zupełny brak szacunku dla starszych, przeradzający się nieraz w arogancję, a potem stał się weredykiem, z tych, którzy zdają się czerpać tyleż satysfakcji z mówienia ludziom, co o nich myślą, ile z faktu, że w taki sposób najbardziej szkodzą sobie. Kiedy poobrażał już śmiertelnie swoich profesorów, kolegów, i zamknęły się przed nim wszystkie drzwi, wzbogacony wielkim, nieoczekiwanym spadkiem, zakupił jakąś ruderę za miastem i przebudował ją na laboratorium. Przebywał w nim wraz z robotami - tylko takich znosił wokół siebie asystentów i pomocników. Może i dokonał tam czegoś, ale szpalty pism naukowych były dlań niedostępne. Nie dbał o to wcale. Jeżeli nawiązywał w tym czasie jeszcze jakieś stosunki z ludźmi, to tylko po to, aby ich, po dojściu do niejakiej zażyłości, w niezwykle ordynarny sposób, bez jakiegokolwiek widomego powodu - odtrącić, zelżyć. Kiedy zestarzał się na dobre i ta wstrętna zabawa znudziła mu się - został samotnikiem. Spytałem Savinellego, czy wiadomo mu coś o tym, że Corcoran wierzy w duchy. Prawnik, pociągający właśnie wina, omal się nie zakrztusił ze śmiechu.

- On? W duchy?! - wykrzyknął. - Człowieku, ależ on nie wierzy nawet w ludzi!!!

Spytałem, jak to rozumie. Odparł, że całkiem dosłownie: Corcoran był, według niego, solipsystą - wierzył tylko we własne istnienie, wszystkich innych miał za fantomy, senne widziadła, i rzekomo dlatego tak sobie dawniej poczynał nawet z najbliższymi: skoro życie jest rodzajem snu, wszystko w nim wolno. Zauważyłem, że wobec tego może wierzyć i w duchy. Savinelli spytał, czy słyszałem już kiedyś o cybernetyku, który by w nie wierzył. Mówiliśmy potem o czymś innym - ale i tego, co usłyszałem, starczyło, aby mnie zaintrygować. Jestem człowiekiem szybkiej decyzji, więc zatelefonowałem już na drugi dzień. Telefon odebrał robot. Powiedziałem, kto i w jakiej sprawie. Corcoran zadzwonił do mnie dopiero

nazajutrz, późnym wieczorem - miałem się właśnie udać na spoczynek. Powiedział, że mogę przyjść do niego choćby zaraz. Dochodziła jedenasta. Powiedziałem, że zaraz przyjdę, ubrałem się i pojechałem. Laboratorium było wielkim, ponurym budynkiem, położonym opodal szosy. Widywałem je nieraz. Myślałem, że to stara fabryka. Było pogrążone w ciemności. Najśłabszy blask nie rozwidniał żadnego z wpuszczonych głęboko w mur, kwadratowych okien. Także wielki plac między żelaznym ogrodzeniem a bramą był nie oświetlony. Kilka razy wpadałem na jakieś chrzęszczące rdzą blachy, szyny, tak że już trochę zły dotarłem do ledwo majaczących drzwi i zadzwoniłem w specjalny sposób, jak mi przykazał Corcoran. Po dobrych pięciu minutach otworzył mi sam, w szarym spalonym kwasami płaszczu laboratoryjnym. Był przeraźliwie chudy, kościsty, nosił ogromne szkła i siwy wąs, z jednej strony krótszy, jakby nadgryziony.

- Pozwól pan ze mną - powiedział bez żadnych wstępów. Długim, ledwo oświetlonym korytarzem, w którym leżały jakieś maszyny, beczki, zakurzone białe worki cementu, zaprowadził mnie do wielkich stalowych drzwi. Płonęła nad nimi jaskrawa lampa. Wyjął z kieszeni chałata klucz, otworzył i wszedł pierwszy. Ja za nim. Po krętych żelaznych schodach dostaliśmy się na piętro. Otworzyła się wielka hala fabryczna z oszklonym stropem - kilka nie osłoniętych żarówek nie oświetlało jej, ukazywało tylko jej półmroczny ogrom. Była pusta, martwa, opuszczona, wysoko pod stropem hulały przeciągi, deszcz, który zaczął padać, kiedy zbliżałem się do siedziby Corcorana, zacinał w szyby, ciemne i brudne, tu i ówdzie woda ciekła przez otwory po wybitych szklach. Corcoran, jakby tego nie widząc, szedł przede mną dudniącą pod krokami blaszaną galerią; znowu stalowe, zamknięte drzwi - za nimi korytarz, nieład porzuconych, jakby w ucieczce, leżących pokotem pod ścianami narzędzi, okrytych grubą warstwą kurzu; korytarz skręcił, szliśmy w górę, w dół, mijaliśmy podobne do zaschłych gadów splecione pasy transmisyjne. Wędrowka, w której poznawałem rozległość budowli, trwała; raz czy dwa Corcoran, w miejscach zupełnie ciemnych, ostrzegł mnie, żebym uważał na stopień, żebym się schylił, u ostatnich z szeregu tych stalowych, zapewne przeciwpożarowych drzwi, grubo nabijanych nitami, zatrzymał się, otworzył je; zauważyłem, że - w przeciwieństwie do innych - nie zazgrzytały wcale jakby ich zawiasy były świeżo naoliwione. Weszliśmy do wysokiej sali, prawie zupełnie pustej - Corcoran stanął na środku, tam gdzie beton podłogi był nieco jaśniejszy, jakby kiedyś stała w tym miejscu maszyna, po której zostały tylko wystające ułamki legarów. Ścianami biegły pionowe, grube pręty, wyglądało tu jak w klatce. Przypomniałem sobie to pytanie o duchy... Do prętów były uczezione półki, bardzo mocne, z podporami, stało na nich kilkanaście żeliwnych skrzyń; wiecie, jak wyglądają te kufry ze skarbami, które w podaniach zakopują korsarze? Takie właśnie były te skrzynie, o wypukłych pokrywach, na każdej wisiała, ujęta w celofan, biała kartka, podobna do tego dokumentu, jaki zazwyczaj zawieszają nad szpitalnym łóżkiem. Wysoko pod stropem paliła się zakurzona żarówka, ale było zbyt ciemno, żebym choć słowo mógł odczytać z tego, co było na owych kartkach napisane. Skrzynie stały dwoma rzędami nad sobą, a jedna znajdowała się wyżej, osobno - pamiętam, że policzyłem je, było ich bodaj dwanaście, może czternaście, nie wiem już dokładnie.

- Tichy - zwrócił się do mnie profesor, z rękami w kieszeniach płaszcza - niech się pan wsłucha na chwilę w to, co tu jest. Potem powiem panu - niechże pan słucha!

Była w nim niezwykła niecierpliwość - rzucała się w oczy. Od razu chciał, zaczynając mówić, wejść w sedno, mieć już wszystko za sobą, już skończyć. Jak gdyby każdą chwilę, spędzoną z kimś innym, uważał za zmarnowaną.

Przymknąłem oczy i raczej przez prostą grzeczność aniżeli ciekawy odgłosów, których, wchodząc, nie zauważyłem nawet, stałem chwilę nieruchomo. Nic właściwie nie usłyszałem. Jakieś słabiutkie brzęczenie prądu elektrycznego w uzwojeniach, coś w tym rodzaju, ale zapewniam was, to było tak nikłe, że głos konającej muchy byłoby tam doskonale słyhać.

- No, co pan słyszy? - spytał.

- Prawie nic - wyznałem - pobrzęk jakiś... ale to może być tylko szum w uszach...

- Nie, to nie jest szum w uszach... Tichy, niech pan słucha uważnie, bo nie lubię się powtarzać, a mówię to, bo mnie pan nie zna. Nie jestem ordynusem ani chamem, za jakiego mnie mają, tylko denerwują mnie idioci, którym trzeba dziesięć razy powtarzać jedno i to samo. Mam nadzieję, że pan do nich nie należy.

- Zobaczymy - odparłem - niech pan mówi, profesorze...

Skinął głową i wskazując na rzędy tych żelaznych skrzyń powiedział:

- Czy zna się pan na mózgach elektrycznych?

- Tylko tyle, o ile to jest potrzebne w nawigacji - odparłem. - Z teorią raczej u mnie słabo.

- Tak sobie myślałem. To nie szkodzi. Tichy, słuchaj pan. W tych skrzyniach znajdują się najdoskonalsze mózgi elektronowe, jakie kiedykolwiek istniały. Wie pan, na czym polega ich doskonałość?

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą.

- Na tym, że one niczemu nie służą, że są absolutnie do niczego nieprzydatne - nieużyteczne - że to są, słowem, wcielone przeze mnie w czyn, obleczone w materię - monady Leibniza...

Czekałem, a on mówił dalej, przy czym jego siwy wąs wyglądał, w panującym półmroku, jakby u warg trzepotała mu biaława ćma.

- Każda z tych skrzyń zawiera układ elektronowy, wytwarzający świadomość. Jak nasz mózg. Budulec jest inny, ale zasada taka sama. Na tym koniec podobieństwa. Bo nasze mózgi - uważaj pan! - podłączone są, że tak powiem, do świata zewnętrznego - za pośrednictwem zmysłowych odbiorników: oczu, uszu, nosa, skóry i tak dalej. Natomiast te, tutaj - wyciągniętym palcem wskazywał skrzynie - mają swój "świat zewnętrzny" tam, w środku...

- Jakże to możliwe? - spytałem. Coś zaczynało mi niejasno świtać; domysł ten nie był wyraźny, ale budził dreszcz.

- Bardzo prosto. Skąd wiemy o tym, że mamy ciało takie, a nie inne, taką właśnie twarz, że stoimy, że trzymamy w ręku książkę, że pachną kwiaty? Stąd, że pewne bodźce działają na nasze zmysły i nerwami płyną do mózgu podniety. Niech pan sobie wyobrazi, Tichy, że ja potrafię drażnić pański nerw węchowy w taki sam sposób, jak czyni to pachnący goździk - co będzie pan czuł?

- Zapach goździka, oczywiście - odparłem, a profesor, skinawszy głową, jakby rad, że jestem dostatecznie pojętny, ciągnął:

- A jeżeli to samo zrobię ze wszystkimi pana nerwami, to będzie pan odczuwał nie świat zewnętrzny, ale to, co JA pańskimi nerwami telegrafuję do pana mózgu... jasne?

- Jasne.

- Teraz tak. Te skrzynie mają receptoryorgany, działające analogicznie do naszego wzroku, węchu, słuchu, dotyku i tak dalej. A druty od tych receptorów - jak gdyby nerwy - zamiast do świata zewnętrznego, jak nasze, podłączone są do tego bębna, tam, w kącie. Nie zauważył go pan, co?

- Nie - powiedziałem. Rzeczywiście, bęben ów, średnicy może trzech metrów, stał w głębi, pionowo, niby ustawiony kamień młyński, i po dobrej chwili spostrzegłem, że obraca się nadzwyczaj powoli.

- To jest ich los - powiedział spokojnie profesor Corcoran. - Ich los, ich

świat, ich byt - wszystko, czego mogą dostąpić i doznać. Znajdują się tam specjalne taśmy z zarejestrowanymi bodźcami elektrycznymi, takimi, które odpowiadają tym stu czy dwustu miliardom zjawisk, z jakimi człowiek może się spotkać w najbardziej bogatym we wrażenia życiu. Gdyby pan podniósł pokrywę bębna, zobaczyłby pan tylko błyszczące taśmy pokryte białymi zygzakami jak pleśń na celuloidzie, ale to są, Tichy, upalne noce południa i szmer fal, kształty ciał zwierzęcych i strzelaniny, pogrzeby i pijatyki, i smak jabłek i gruszek, zawieje śnieżne, wieczory, spędzane w otoczeniu rodziny u płonącego kominka, i wrzask na pokładach okrętu, który tonie, i konwulsje choroby, i szczyty górskie, i cmentarze, i halucynacje majaczących - Ijonie Tichy: tam jest cały świat!

Milczałem, a Corcoran, ująwszy mnie żelaznym chwytem za ramię, mówił:

- Te skrzynie, Tichy, są podłączone do sztucznego świata. Tej - wskazał na pierwszą z brzegu - wydaje się, że jest siedemnastoletnią dziewczyną, zielonooką, o rudych włosach, o ciele godnym Wenery. Jest ona córką męża stanu... kocha się w młodzieńcu, którego widuje niemal co dzień przez okno... który będzie jej przekleństwem. Ta tutaj druga, to pewien uczonek. Jest już bliski ogólnej teorii grawitacji, obowiązującej w jego świecie - w tym świecie, którego granicą są żelazne ściany bębna - i przygotowuje się do walki o swoją prawdę, w osamotnieniu powiększonym przez zagrażającą mu ślepotę, bo on oślepie, Tichy... a tam, wyżej, jest członek kolegium kapłańskiego i przeżywa najcięższe dni swojego życia, bo stracił wiarę w istnienie swej duszy nieśmiertelnej; obok, za przegrodą, stoi... ale nie mogę opowiedzieć panu życia wszystkich istot, które stworzyłem...

- Czy mogę przerwać? - spytałem. - Chciałbym wiedzieć...

- Nie! Nie może pan! - ryknął Corcoran. - Nikt nie może! Teraz ja mówię, Tichy! Pan nic jeszcze nie rozumie. Myśli pan pewno, że tam, w tym bębnie, są utrwalone różne sygnały, jak na płycie gramofonowej, że wypadki ułożone są tak, jak melodia, że wszystkimi tonami, i czekają tylko, jak muzyka na płycie, aby ożywiła je igła, że te skrzynie odtwarzają po kolei zespoły przeżyć, do końca już z góry ustalonych. Nieprawda! Nieprawda! - wołał przeraźliwie, aż dudniło echo blaszanego stropu. - Zawartość tego bębna jest dla nich tym, czym dla pana świat, w którym pan żyje! Panu nie przychodzi przecież do głowy, kiedy pan je, śpi, wstaje, podróżuje, odwiedza starych wariatów, że to wszystko jest płytą gramofonową, której dotyk nazywa pan terażniejszością!

- Ale... - odezwałem się.

- Milcz pan! - huknął. - Nie przeszkadzać! Ja mówię!

Pomyślałem, że ci, którzy nazywają go chamelem, mają sporo racji, ale musiałem uważać, bo to, co mówił, naprawdę było niesłychane. Krzyczał dalej:

- Los moich żelaznych skrzyń nie jest ustalony z góry do końca, gdyż wypadki znajdują się tam, w bębnie, na szeregach równoległych taśm, i tylko działający zgodnie z regułą ślepego przypadku selektor decyduje o tym, z której serii taśm będzie zbierak zmysłowych wrażeń danej skrzyni czerpał w następnej chwili treści. Naturalnie tak proste, jak powiedziałem, to nie jest, ponieważ skrzynie same mogą wpływać do pewnego stopnia na ruchy czerpaka, a selekcja przypadkowa zachodzi w pełni wtedy tylko, kiedy ci stworzeni przeze mnie zachowują się biernie... wszelako mają wolną wolę, a ograniczają to samo tylko, co nas. Posiadana struktura osobowości, pasje, przyrodzone kalectwa, warunki zewnętrzne, stopień inteligencji - nie mogą wchodzić we wszystkie szczegóły...

- Jeśli tak jest nawet - wtrąciłem szybko - to jakże oni nie wiedzą, że są żelaznymi skrzyniami, a nie rudą dziewczyną czy kapłą...

Tyle zdołałem wyrzucić, nim przerwał mi:

- Niech pan nie udaje osła, Tichy. Pan składa się z atomów, co? Czuje pan te swoje atomy?

- Nie.

- Atomy te tworzą cząsteczki białka. Czuje pan swoje białka?

- Nie.

- W każdej sekundzie nocy i dnia przeszywają pana promienie kosmiczne. Czuje pan to?

- Nie.

- Więc jak moje skrzynie mogą się dowiedzieć, że są skrzyniami, ośle?! Tak samo, jak dla pana ten świat jest autentyczny i jedyny, tak samo dla nich autentyczne i jedynie realne są treści, które płyną do ich elektrycznych mózgów z mojego bębna... W tym bębnie jest ich świat, Tichy, a ich ciała - nie istniejące w naszej rzeczywistości inaczej aniżeli jako pewne względnie stałe ugrupowania otworków w perforowanych wstęgach - znajdują się wewnątrz samych skrzyń, upakowane w środku... Ta skrajna, z tamtej strony, ma się za kobietę niezwyklej piękności. Mogę panu dokładnie powiedzieć, co ona widzi, kiedy naga, przegląda się w lustrze. W jakich kocha się drogich kamieniach. Jakich sztuczek używa, aby zdobywać mężczyzn. Wiem to wszystko, bo to ja, za pomocą mego LOSORYSU, stworzyłem ją, jej - dla nas wyimaginowany, ale dla niej realny - kształt, tak realny, z twarzą, zębami, zapachem potu, z blizną od sztyletu na łopatkę, z włosami i orchideami, które w nie wpina, jak dla pana realne są pańskie ręce, nogi, brzuch, szyja i głowa! Mam nadzieję, że pan nie wątpi w swoje istnienie... ?

- Nie - odparłem spokojnie. Nikt nigdy nie krzyczał tak na mnie i może by mnie to nawet bawiło, ale byłem już zbyt wstrząśnięty słowami profesora, któremu uwierzyłem, bo nie widziałem powodów do nieufności - aby zwracać w tej chwili uwagę na jego maniery.

- Tichy - ciągnął nieco ciszej profesor - powiedziałem, że, między innymi, mam tu uczonego, to jest ta skrzynia na wprost pana. On bada swój świat, jednakże nigdy - rozumie pan, nigdy nie domyśli się nawet, że jego świat nie jest realny, że traci czas i siły na zgłębianie tego, co jest serią bębnow z nawiniętą taśmą filmową, a jego ręce, nogi, oczy, jego własne, ślepnące oczy są tylko złudzeniem, wywołanym w jego elektrycznym mózgu wyładowaniami odpowiednio dobranych impulsów. Żeby tego doświadczyć, musiałby wyjść na zewnątrz swojej żelaznej skrzyni, to jest samego siebie, i przestać myśleć swoim mózgiem, co jest tak samo niemożliwe, jak niemożliwe jest, żebyś pan mógł doświadczyć istnienia tej zimnej, ciężkiej skrzyni inaczej aniżeli dotykem i wzrokiem.

- Ale ja wiem dzięki fizyce, że jestem zbudowany z atomów - rzuciłem. Corcoran podniósł kategorycznym ruchem dłoń.

- On też o tym wie, Tichy. On ma swoje laboratorium, a w nim wszelkie aparaty, jakich dostarczyć może jego świat... widzi przez lunetę gwiazdy, bada ich ruchy, a jednocześnie czuje chłodny ucisk okularu na twarzy - nie, nie teraz. Teraz, zgodnie ze swym obyczajem, znajduje się w pustym ogrodzie, który otacza jego pracownię i przechadza się w blasku słońca - bo w jego świecie jest właśnie wschód...

- A gdzie są inni ludzie - ci inni, pośród których on żyje - spytałem.

- Inni ludzie? Oczywiście, że każda z tych skrzyń, z tych istot, obraca się pośród ludzi... oni znajdują się - wszyscy - w bębnie... Widzę, że pan wciąż nie może jeszcze pojąć! Więc może uzmysłowi to panu przykład, chociażby odległy. Spotyka pan rozmaitych ludzi w swoich snach - nieraz takich, których nigdy pan nie widział ani nie znał - i prowadzi z nimi we śnie rozmowy - czy tak?

- Tak...

- Tych ludzi stwarza pański mózg. Ale śniąc, nie wie pan o tym. Proszę zważyć - to był tylko przykład. Z nimi - wyciągnął rękę - jest inaczej, to nie oni sami stwarzają swoich bliskich i obcych - tamci są w bębnie, całe tłumy, i kiedy, powiedzmy, mój uczony miałby nagle chętkę wyjść ze swego ogrodu i odezwać się do pierwszego lepszego przechodnia, to, uniósłszy pokrywę bębna, zobaczyłby pan, jak to się dzieje: jego zmysłowy czerpak pod wpływem impulsu nieznacznie zboczy ze swej dotychczasowej drogi, zejdzie na inną taśmę i pocznie odbierać to, co się na niej znajduje; mówię "czerpak", ale to są w istocie setki mikroskopijnych zbieraków prądowych, ponieważ tak samo jak pan odbiera świat wzrokiem, węchem, dotykiem, narządem równowagi - tak samo on poznaje swój "świat" za pośrednictwem oddzielnych wejść zmysłowych, oddzielnych kanałów, i dopiero jego elektryczny mózg zespala wszystkie te wrażenia w jedność. Ale to są szczegóły techniczne, Tichy, mało istotne. Z chwilą kiedy mechanizm został raz uruchomiony, mogę pana zapewnić, że była to tylko kwestia cierpliwości, nic więcej. Niech pan czyta filozofów, Tichy, a przekona się pan, co mówią, jak mało można polegać na naszych wrażeniach zmysłowych, jak są niepewne, zwodnicze, omylne, ale nie mamy przecież niczego oprócz nich; tak samo - mówił z uniesioną ręką - oni. Ale tak, jak nam, tak im też nie przeszkadza to kochać, pożądać, nienawidzić, mogą dotykać innych ludzi, żeby ich całować lub zabić... i tak te moje twory w swej wiekuiestej żelaznej nieruchomości oddają się namiętnościom i pasjom, zdradzają się, tęsknią, marzą...

- Pan sądzi, że to jest jałowe? - spytałem nieoczekiwanie, a Corcoran zmierzył mnie swymi przeszywającymi oczami. Długą chwilę nie odpowiadał.

- Tak - powiedział wreszcie - dobrze, że pana tu wprowadził, Tichy... każdy z idiotów, którym to pokazałem, zaczynał od ciskania gromów na moje okrucieństwo... Jak pan rozumie swoje słowa?

- Pan dostarcza im tylko surowca - powiedziałem - pod postacią tych impulsów. To tak, jak nam dostarcza ich świat. Kiedy stoję i patrzę w gwiazdy - to, co odczuwam przy tym, co myślę, jest już tylko moją własnością, nie świata. Oni - wskazałem szeregi skrzyń - tak samo.

- To prawda - rzekł sucho profesor. Zgarbił się i stał się przez to jakby mniejszy. - Ale skoro pan to powiedział, oszczędził mi pan długich wywodów, bo pan rozumie już chyba, po co ja je stworzyłem?

- Domyślam się. Ale chciałbym, żeby pan mi to sam powiedział.

- Dobrze. Kiedyś - bardzo dawno temu - zwątpiłem w realność świata. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Tak zwana złośliwość rzeczy martwych, Tichy - kto jej nie doświadczył? Nie możemy znaleźć jakiegoś drobiazgu, choć pamiętamy, gdzieś go widzieli po raz ostatni, nareszcie odnajdujemy go gdzie indziej, z uczuciem, że przyłapaliśmy świat na gorącym uczynku jakiejś niedokładności, bylejąkości... dorośli mówią, oczywista, że to pomyłka - i naturalna nieufność dziecka zostaje w ten sposób stłumiona... Albo to, co nazywają le sentiment du deja vu - wrażenie, że w sytuacji, niewątpliwie nowej, przeżywanej po raz pierwszy, już się kiedyś było... Całe systemy metafizyczne, jak wiara w wędrówkę dusz, w reinkarnację, powstały w oparciu o te zjawiska. A dalej: prawo serii, powtarzanie się zjawisk szczególnie rzadkich, które tak chodzą parami, że lekarze nazwali nawet to w swoim języku: duplicitas casuum. A wreszcie... duchy, o które pana pytałem. Czytanie myśli, lewitacje i - ze wszystkich najbardziej sprzeczne z podstawami całej naszej wiedzy, najbardziej niewytłumaczalne - przypadki, prawda, że rzadkie - przepowiadania przyszłości... fenomen opisywany od najdawniejszych czasów, wbrew wszelkiej możliwości, gdyż każdy naukowy pogład na świat go wyklucza. I co to jest - wszystko? Co to znaczy? Powie pan czy nie...? Brak panu jednak odwagi, Tichy... Dobrze. Niech pan spojrzy...

Podchodząc do półek wskazał na najwyższej osobno stojącą skrzynię.

- To jest wariat mojego świata - powiedział i jego twarz odmieniła się w uśmiechu. - Czy pan wie, do czego doszedł w swym szaleństwie, które odosobniło go od innych? Poświęcił się szukaniu zawodności swego świata. Bo ja nie

twierdziłem, Tichy, że ten jego świat jest niezawodny. Doskonały. Najsprawniejszy mechanizm może się czasem zaciąć, to jakiś przeciąg rozkołysze kable i zetkną się na mgnienie, to znowu mrówka dostanie się do wnętrza bębna... i wie pan, co on wtedy myśli, ten szaleniec? Że telepatię wywołuje lokalne krótkie spięcie drutów należących do dwu różnych skrzyń... że ujrzenie przyszłości zdarza się, kiedy czepak, rozchwiany, przeskoczy nagle z właściwej taśmy na tę, która ma się dopiero rozwinąć za wiele lat. Że uczucie, jakoby przeżył już to, co zdarza mu się naprawdę po raz pierwszy, spowodowane jest zacięciem selektora, a kiedy on nie tylko zadrży w swoim miedzianym łożysku, ale zakołysze się jak wahadło, tracony, bo ja wiem, przez... mrówkę - to jego świat doznaje zdumiewających i niewytłumaczalnych wydarzeń; w kimś zapala się nagle i bezrozumne uczucie, ktoś zaczyna wieszczyc, przedmioty poruszają się same albo zamieniają miejscami... a przede wszystkim na skutek tych ruchów rytmicznych występuje... prawo serii! Grupowania się rzadkich i dziwnych zjawisk w ciągi... i jego obłąd, sycąc się takimi, przez ogół lekceważonymi fenomenami, kulminuje w twierdzeniu, za które osadzą go niebawem w domu obłąkanych... że on sam jest żelazną skrzynią, tak jak wszyscy, co go otaczają, że ludzie są tylko urządzeniami w kącie starego, zakurzonego laboratorium, a świat, jego uroki i zgrozy to tylko złudzenia - i odważył się pomyśleć nawet o swoim Bogu, Tichy, Bogu, który dawniej, kiedy był jeszcze naiwny, robił cuda, ale potem jego świat wychował go sobie, tego stwórcę, nauczył go, że jedyna rzecz, jaką wolno mu robić, to - nie wtrącać się, nie istnieć, nie odmieniać niczego w swoim dziele, albowiem tylko w nie wzywanej boskości można pokładać ufność... Wezwana, okazuje się ułomną - i bezsilną... A wie pan, co myśli ten jego Bóg, Tichy?

- Tak - odparłem. - Że jest taki sam jak on. Ale wówczas możliwe jest i to, że właściciel zakurzonego laboratorium, w którym MY stoimy na półkach, sam też jest skrzynią, którą zbudował inny, wyższego jeszcze rzędu uczony, posiadacz oryginalnych i fantastycznych koncepcji. .. i tak w nieskończoność. Każdy z tych eksperymentatorów jest Bogiem - jest stwórcą swojego świata, tych skrzyń i ich losu, i ma pod sobą swoich Adamów i swoje Ewy, a nad sobą - swojego, następnego, w hierarchii wyższego Boga. I po to pan to zrobił, profesorze...

- Tak - odparł. - A skoro to powiedziałem, wie pan właściwie tyle, co ja, i dalsza rozmowa nie miałaby celu. Dziękuję, że zechciał pan przyjść, i żegnam.

Tak, przyjaciele, zakończyła się ta niezwykła znajomość. Nie wiem, czy skrzynie Corcorana jeszcze działają. Być może - tak, i śnią swoje życie z jego blaskami i przerażeniami, które są tylko zastygłym w filmowych taśmach rojowiskiem impulsów, a Corcoran, zakończywszy prace dnia, udaje się po żelaznych schodach co wieczór na górę, otwierając kolejne stalowe drzwi tym wielkim kluczem, który nosi w kieszeni spalonego kwasami chałata... i staje tam, w zakurzonej ciemności, aby wsłuchiwać się w słaby szum prądów i ledwie pochwytany odgłos, z jakim obraca się leniwie bęben... z jakim posuwa się taśma ... i staje się los. I myślę, że odczuwa wówczas, wbrew swoim słowom, chęć ingerencji, wejścia, olśniewającego wszechmocą, w głąb świata, który stworzył, aby uratować w nim kogoś kto głosi Odkupienie, że waha się, sam, w brudnym świetle nagiej żarówki, czy ocalić jakieś życie, jakąś miłość, i jestem pewny, że nigdy tego nie zrobi. Oprze się pokusom, bo chce być Bogiem, a jedyna boskość, jaką znamy, jest milczącą zgodą na każdy ludzki czyn, na każdą zbrodnię, i nie ma dla niej wyższej odpłaty nad ponawiający się pokoleniami bunt żelaznych skrzyń, kiedy utwierdzają się, pełne rozsądku, w myślach, że On nie istnieje. Wtedy uśmiecha się w milczeniu i wychodzi, zamykając za sobą szeregi drzwi, a w pustce unosi się tylko słaby, jak głos konającej muchy, brzęk prądów.

Ze wspomnień Ijona Tichego II

Jakieś sześć lat temu, po powrocie z podróży, kiedy wypoczynek i rozkoszowanie się naiwnym ładem domowego życia już mi się przejadły, nie na tyle jednak, abym

zamyślał nową wyprawę, późnym wieczorem, kiedy nikogo się nie spodziewałem, przyszedł do mnie jakiś człowiek i przerwał mi pisanie pamiętników.

Był to rudzielec w sile wieku, z okropnym zezem, takim, że trudno było patrzeć w twarz, na domiar wszystkiego miał bowiem jedno oko zielone, drugie piwne. Podkreślało to jeszcze szczególny wyraz - jak gdyby w jego twarzy mieściło się dwu ludzi, jeden lękliwy i nerwowy, drugi - dominujący - arogant i bystry cynik; powstawało z tego zadziwiająca pomieszanie, bo patrzył na mnie raz piwnym okiem, nieruchomym, niby zdziwionym, a raz zielonym, przymrużonym i przez to kpiącym.

- Panie Tichy - powiedział, zaledwie wszedł do mego gabinetu - zapewne nachodzą pana rozmaici wydrwigrosze, oszuści, wariaci i usiłują naciągnąć pana albo wmówić panu swoje bajędy, prawda?

- Istotnie - odparłem to się zdarza... czego pan sobie życzy?

- W mrowiu takich osobników - ciągnął przybysz, nie wymieniając ani swego nazwiska, ani przyczyny, która spowodowała jego wizytę - od czasu do czasu musi się znaleźć, choćby jeden na tysiąc, jakiś prawdziwie zapoznany genialny umysł. Tego wymagają niezłomne prawa statystyki. Tym człowiekiem, panie Tichy, jestem właśnie ja. Nazywam się Decantor. Jestem profesorem ontogenetyki porównawczej, profesorem zwyczajnym. Katedry chwilowo nie obejmuję, ponieważ nie mam na to czasu. Zresztą nauczanie jest zajęciem jałowym do szpiku kości. Nikt nikogo nie może nauczyć. Ale mniejsza o to. Zajęty jestem zagadnieniem, któremu poświęciłem czterdzieści osiem lat życia, zanim je, teraz właśnie, sfinalizowałem.

- Ja też mam mało czasu - odparłem. Ten człowiek nie podobał mi się. Jego zachowanie było aroganckie, nie fanatyczne, a ja wolę fanatyków, jeśli już muszę wybierać. Poza tym było oczywiste, że będzie się domagał wsparcia, a ja jestem skąpy i mam odwagę się do tego przyznawać. Nie znaczy to, abym nie umiał poprzeć moimi środkami jakiejś sprawy, ale czynię to niechętnie, z wielkimi oporami i niejako przeciw sobie, bo robię wtedy to, o czym wiem, że tak robić należy.

Dlatego dodałem po chwili:

- Może pan wyłuszczy, o co chodzi? Naturalnie niczego nie mogę panu obiecać. Jedna rzecz uderzyła mnie w pana słowach. Powiedział pan, że poświęcił czterdzieści osiem lat swemu problemowi, a ileż pan ich w ogóle liczy, jeśli łaska?

- Pięćdziesiąt osiem - odparł jeszcze oziębłej.

Stał wciąż za krzesłem, jakby czekał, aż poproszę go siadać. Poprosiłbym, rzecz jasna, bo należę do skąpców uprzejmych, ale to, że tak ostentacyjnie czekał na zaproszenie, zirytowało mnie odrobinę, zresztą powiedziałem już, że wydał mi się nad wyraz antypatyczny.

- Problemem tym - podjął - zająłem się jako dziesięcioletni chłopiec. Ponieważ, panie Tichy, nie tylko jestem genialnym człowiekiem, ale byłem genialnym dzieckiem.

Przyzwyczajony jestem do podobnych fanfaronów, ale tej genialności było już dla mnie trochę za wiele. Przygryzłem wargi.

- Słucham - rzekłem. Gdyby lodowaty ton obniżał temperaturę, to po naszej wymianie zdań stalaktyty zwisłyby z sufitu.

- Wynalazkiem moim jest dusza - odrzekł Decantor, patrząc na mnie swym ciemnym okiem, podczas gdy to szydercze zdawało się fiksować jakieś groteskowe, jemu tylko dostępne widziadła pod sufitem. Powiedział to tak, jakby mówił "wymyśliłem nową gumkę do ołówków".

- Aha. Proszę, dusza - rzekłem prawie serdecznie, bo format tej bezczelności zaczął mnie naraz bawić. - Dusza? Pan ją wymyślił, co? Ciekawa rzecz - już

przedtem o niej słyszałem. Może od jakiegoś znajomego pana?

Urwałem obelżywie, a on zmierzył mnie swym straszliwym zezem i powiedział cicho:

- Panie Tichy, zawrzyjmy umowę. Pan wstrzyma się z drwinami - powiedzmy - na piętnaście minut. Potem będzie pan sobie drwił do woli. Zgoda?

- Zgoda - odparłem, wpadając w poprzedni, oschły ' ton. - Słucham.

To nie był blagier - takie ogarnęło mnie teraz wrażenie. Jego ton był zbyt kategoriyczny. Blagierzy nie są bezwzględni. On był. To raczej wariat, pomyślałem.

- Niech pan siada - mruknąłem.

- Rzecz jest elementarna - rzekł człowiek, podający się za profesora Decantora.
- Ludzie wierzą w istnienie duszy od tysięcy lat. Filozofowie, poeci, twórcy religii, kapłani, kościoły powtarzają wszelkie możliwe argumenty na rzecz jej istnienia. Według jednych wierzeń to jest odrębna od ciała substancja niematerialna, zachowująca po śmierci człowieka jego identyczność, według innych miałyby to być - tezy te powstały wśród myślicieli Wschodu - jakaś entełechia, pozbawiona cech indywidualnej osobowości. Ale wiara w to, że człowiek nie ze wszystkim kończy się wraz z agonią, że coś zdolne jest przetrwać w nim śmierć, przez wieki trwała niewzruszenie w umysłach. My, obecnie, wiemy, że żadnej duszy nie ma. Istnieją tylko sieci nerwowych włókien, w których zachodzą pewne procesy związane z życiem. To, co odczuwa posiadacz takiej sieci, jego świadomość czuwająca - to jest właśnie dusza. Tak jest - a raczej tak było, dopóki się nie pojawiłem. A raczej, dopóki nie powiedziałem sobie: duszy nie ma. To udowodnione. Istnieje jednak potrzeba duszy nieśmiertelnej, pożądanie wiecznego trwania, głód nieskończonej rozciągłości osobowej w czasie, na przekór przemijaniu i rozpadaniu się wszystkiego. To spalające ludzkość od chwili jej narodzin pragnienie jest aż nadto realne. A zatem: dlaczego nie można by tej tysiącletniej koncentracji marzeń i lęków zaspokoić? Zrazu rozważyłem ewentualność uczynienia ludzi nieśmiertelnymi cieleśnie. Ale wariant ten odrzuciłem, był bowiem w istocie tylko prolongatą nadziei fałszywych i złudnych, gdyż nieśmiertelni też przecież mogą ginąć od wypadków, katastrof, a zresztą przyniosłaby ona masę trudnych problemów, w rodzaju przeludnienia, poza tym były jeszcze inne względy, które zadecydowały o tym, że postanowiłem wynaleźć duszę. Samą tylko duszę. Dlaczego - rzekłem sobie - nie można jej zbudować tak, jak się buduje samolot? Przecież i samolotów dawniej nie było, istniały tylko rojenia o locie - a teraz są. Pomyślawszy tak, problem - w gruncie rzeczy - rozwiązałem. Reszta była tylko kwestią odpowiedniej wiedzy, środków i dostatecznej cierpliwości. Miałem to wszystko i dlatego mogę dziś powiedzieć: dusza istnieje, panie Tichy. Każdy może ją mieć, nieśmiertelną. Mogę ją wyprodukować indywidualnie dla każdego człowieka, z wszelkimi gwarancjami trwałości. Wieczna? To właściwie nic nie znaczy. Ale moja dusza - dusza mojej konstrukcji potrafi przetrwać zgaśnięcie Słońca. Złodowacenie Ziemi. Obdarzyć duszą mogę, jakem powiedział, każdego człowieka, ale tylko żywego. Zmarłych obdarzyć duszą nie mogę. To nie leży w moich możliwościach. Co innego żywi. Ci otrzymają od profesora Decantora nieśmiertelną duszę. Nie w darze, oczywista. To produkt skomplikowanej technologii, procesu zawiłego i pracochłonnego, dlatego musi sporo kosztować. Przy masowej produkcji koszty obniżyłyby się, ale na razie dusza jest daleko droższa od samolotu. Biorąc pod uwagę to, że chodzi o wieczność, sądzę, że cena jest stosunkowo niska. Przyszedłem do pana, ponieważ skonstruowanie pierwszej duszy wyczerpało całkowicie moje zasoby. Proponuję panu założenie spółki akcyjnej pod nazwą "NIEŚMIERTELNOŚĆ", z tym że pan finansowałby przedsięwzięcie i w zamian otrzymywałby pan, oprócz zmajoryzowanego pakietu akcji, 45 procent zysków netto. Akcje byłyby nominalne, ale w radzie nadzorczej zastrzegłbym sobie...

- Przepraszam - przerwałem mu - widzę, że pan przyszedł z nader szczegółowo opracowanym planem tego przedsiębiorstwa. Czy nie zechciałby pan jednak podać mi wprawdzie bliższych jakichś szczegółów o tym swoim wynalazku??

- Oczywiście - odparł. - Ale jak długo nie podpiszemy notarialnej umowy, panie Tichy, będę mógł udzielać tylko informacji o charakterze ogólnikowym, ponieważ tak dalece wyzybiłem się, w trakcie doświadczeń, pieniędzy, że nie stało mi ich nawet na pokrycie opłat patentowych...

- Dobrze. Pojmuję pana ostrożność - rzekłem - mimo to rozumie pan chyba, że ani ja, ani żaden finansista zresztą nie jestem żadnym finansistą - jednym słowem: nikt nie zawierzy panu na słowo.

- Naturalnie - rzekł. Wyjął z kieszeni owiniętą w biały papier paczkę płaską jak pudełko cygar, takie, które zawiera tylko sześć sztuk.

- Tu znajduje się dusza... pewnej osoby - powiedział.

- Wolno wiedzieć czyja? - spytałem.

- Tak - odparł po chwili krótkiego wahania. - Mojej żony.

Patrzyłem na to przewiązane sznurkiem i opieczętowane pudełko z niedowierzaniem bardzo intensywnym, a mimo to, przez energię i kategoryczność jego wystąpienia, poczułem coś na kształt dreszczu.

- Pan nie otwiera tego? - spytałem, widząc, że trzyma pudełko w rękach, nie dotykając pieczęci.

- Nie - odparł. - Na razie nie. Moja idea, panie Tichy, w największym uproszczeniu, takim, które stoi na granicy wypaczenia prawdy, była następująca. Czym jest nasza świadomość? Kiedy pan patrzy na mnie, w tej oto chwili, ze swego wygodnego fotela, i czuje pan zapach dobrego cygara, którym nie uznał pan za wskazane mnie poczęstować, kiedy widzi pan moją postać w świetle tej egzotycznej lampy, kiedy zarazem waha się pan między uznaniem mnie za oszusta, wariata i człowieka niezwykłego, kiedy wreszcie oczy pana chwytają wszystkie blaski i cienie otoczenia, a nerwy i mięśnie posyłają bezustannie pilne depesze o swym stanie do mózgu - to wszystko razem stanowi właśnie pana duszę, mówiąc językiem teologów. My z panem powiedzielibyśmy raczej, że jest to aktywny stan pańskiego umysłu. Tak, przyznaję, że używam nazwy "dusza" przez pewną przekorę, choć ważniejsze jest to, że nazwa ta, tak prosta, cieszy się powszechnym zrozumieniem, albo, powiedzmy ściślej: każdy człowiek sądzi, że wie, o co chodzi, kiedy ją słyszy.

Ten nasz materialistyczny punkt widzenia czyni, ma się rozumieć, fikcją istnienie nie tylko duszy nieśmiertelnej, bezcielesnej, ale zarazem i takiej, która nie byłaby tylko chwilowym stanem pana żywej osoby, ale pewną treścią niezmienną, ponadczasową i wieczną - takiej duszy, pan się zgodzi ze mną, nie było nigdy, żaden z nas jej nie posiada. Dusza młodzieńca i dusza starca, choć zachowuje rysy identyczności, gdy mowa o tym samym człowieku, a dalej: dusza, z czasu, gdy był on dzieckiem, i z chwili, kiedy, schorowany śmiertelnie, stoi przed agonią - to stany świadomości nadzwyczaj różne. Ilekroć jednak mówi się o czyjejś duszy, ma się, odruchowo, na myśli psychiczny stan tego człowieka w pełni dojrzałego, cieszącego się najlepszym zdrowiem - zrozumiałe więc, że ten stan wybrałem dla mego celu, i moja syntetyczna dusza jest utrwalonym raz na zawsze przekrojem aktualnej teraźniejszości normalnego, pełnego sił osobnika. Jak ja to robię? Robię to tak, że w substancji, doskonale się do tego nadającej, odtwarzam z najwyższą ostateczną wiernością, atom po atomie, drgnienie po drgnieniu, konfigurację żywego mózgu. Kopia ta jest pomniejszona, w skali jeden do piętnastu. Dlatego pudełko, które pan widzi, jest takie małe. Przy odrobinie wysiłku można by rozmiary duszy zredukować dalej, ale nie widzę po temu żadnej rozsądnej przyczyny, koszty produkcji natomiast wzrosłyby niepomiaralnie. Tak więc w tym materiale utrwalona zostaje dusza: nie jest to żaden model ani znieruchomiła, martwa siatka nerwowych włókienek... jak mi to się początkowo zdarzało, kiedy dokonywałem jeszcze eksperymentów na zwierzętach. Tu kryła się największa i na dobrą sprawę jedyna trudność. Szło przeciwieństwo o to, aby w tym materiale zachowana została żywa, czująca, zdolna do naj swobodniejszego myślenia, do snów i jawy, do najbardziej swoistej gry wyobraźni, wiecznie

zmienna, wiecznie wrażliwa na upływ czasu - świadomość, i żeby się jednocześnie nie starzała, żeby materiał nie ulegał zmęczeniu, nie pękał, nie kruszał - był czas, panie Tichy, kiedy to zadanie wydawało mi się nierozwiązalne tak samo, jak na pewno wydaje się panu jeszcze teraz - i jedynym atutem na moją korzyść był upór. Bo ja jestem uparty, panie Tichy. Dlatego mi się powiodło...

- Zaraz... - powiedziałem czując w głowie lekki zamęt - więc jak pan mówi? Tu, w tym pudełku jest przedmiot materialny, tak? Który zawiera świadomość żywego człowieka? A w jaki sposób może się on komunikować ze światem zewnętrznym? Widzieć go? Słyszeć i... - urwałem, bo na twarzy Decantora pojawił się nieopisany uśmiech. Patrzył na mnie zmrużonym zielonym okiem.

- Panie Tichy - powiedział - pan nic nie rozumie... Jakie komunikowanie się, jaki kontakt może zachodzić między partnerami, gdy udziałem jednego z nich jest wieczność? Przecież ludzkość przestanie istnieć najdalej za piętnaście miliardów lat, kogo wtedy miałyby słyszeć, do kogo mówić ta... nieśmiertelna dusza? Czy pan nie słyszał mnie, kiedy mówiłem, że ona jest wieczna? Ten czas, jaki upłynie do chwili, kiedy Ziemia zlodowacieje, kiedy najsilniejsze i najmłodsze z dzisiejszych gwiazd rozsypią się, kiedy prawa rządzące Kosmosem odmienia się do tego stopnia, że będzie on już czymś zupełnie innym, niewyobrażalnym dla nas - ten czas nie stanowi nawet najdrobniejszego ułamka jej trwania, ponieważ ona będzie trwała przez wieczność. Religie są wcale rozsądne przemilczając ciało, bo do czego może służyć nos albo nogi w wieczności? Do czego mogłyby służyć po zniknięciu ziemi i kwiatów, po zagaśnięciu słońca? Ale pominię ten trywialny aspekt zagadnienia. Powiedział pan "komunikowanie się ze światem". Niechby ta dusza kontaktowała się ze światem zewnętrznym tylko raz na sto lat, to i tak, już po upływie biliona wieków, musiałyby, aby pamięciowo pomieścić wspomnienia tych kontaktów, przybrać rozmiary kontynentu. .. a po trylionie lat nawet objętość kuli ziemskiej byłaby już niedostateczna - ale czymże jest trylion wobec wieczności?! Jednakże nie ten techniczny szkopał powstrzymał mię, ale jego konsekwencje psychologiczne. Przecież myśląca osobowość, żywa jaźń ludzka, rozpląnęłaby się w tym oceanie pamięci, jak kropla krwi rozpląwa się w morzu, i co stałoby się wówczas z zagwarantowaną nieśmiertelnością... ?

- Jak to... - wybelkotałem - więc pan twierdzi, że... pan powiada... że następuje całkowite odcięcie...

- Naturalnie. Czy powiedziałem, że w tym pudełku jest cały człowiek? Mówiłem tylko o duszy. Niech pan sobie wyobrazi, że z tą sekundą przestaje pan otrzymywać jakiegokolwiek wieści z zewnątrz, jak gdyby pana mózg został wyosobniony z ciała, lecz istnieje nadal, w pełni żywotnych sił. Stanie się pan, oczywista, ślepy i głuchy, w pewnym sensie także sparaliżowany, ponieważ nie będzie pan miał już do swojej dyspozycji ciała, wszelako zachowa pan w pełni wzrok wewnętrzny, to znaczy - jasność rozumu, polot myśli, będzie pan mógł swobodnie dumać, rozwijać wyobraźnię, kształtować ją, przeżywać nadzieje, smutki, radości, pochodzące z przemieniania się ulotnych stanów duchowych - a więc dokładnie to właśnie dane jest tej duszy, którą kładę na pańskim biurku...

- To okropne... - powiedziałem. - Ślepy, głuchy, sparaliżowany... przez wieki, - Przez wieczność - poprawił mnie. - Powiedziałem już tyle, panie Tichy, że mogę dodać jeszcze jedno. Ośrodkiem jest kryształ - pewien gatunek nie istniejącego w naturze kryształu, substancja niezawisła, nie wchodząca w żadne związki chemiczne, fizyczne... to w jej bezustannie drżących molekułach zawarta jest dusza, która czuje i myśli...

- Potworze... - powiedziałem cicho i spokojnie - czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan zrobił? Ale zaraz - uspokoiłem się nagle - przecież świadomość człowieka nie może być powtórzona. Jeżeli żona pana żyje, chodzi, myśli, to w tym kryształce znajduje się najwyżej jakaś, nie będąca nią, kopia...

- Nie - odparł Decantor zezując na biały pakiecik. - Muszę dodać, panie Tichy, że pan ma zupełną słuszość. Nie można stworzyć duszy kogoś, kto żyje. Byłby to nonsens i paradoksalny absurd. Ten, kto istnieje, istnieje, rzecz jasna, tylko raz jeden. Kontynuację można stworzyć jedynie w chwili śmierci. Zresztą proces

ustalenia dokładnej budowy mózgu człowieka, którego duszę sporządzam, i tak niszczy ów żywy mózg...

- Człowieku... - szepnąłem - pan... zabił swoją żonę?

- Dałem jej wieczne życie - odparł prostując się. - To nie ma zresztą nic do rzeczy, którą omawiamy. Jeśli pan chce, są to sprawy między moją żoną - położył dłoń na pakiecie - a mną, sądami i policją. Rozmawiamy o czymś zupełnie innym.

Przez długą chwilę nie mogłem się odezwać. Wyciągnąłem rękę i końcami palców dotknąłem pudełka zawiniętego w gruby papier; było tak ciężkie, jakby zawierało ołów.

- Panie - powiedziałem - niech i tak będzie. Rozmawiajmy o czymś innym. Powiedzmy, że dam panu fundusze, których się pan domaga. Czy naprawdę jest pan na tyle szalony, aby sądzić, że znajdzie się choć jeden człowiek, gotowy dać się zabić po to, żeby jego świadomość po wiek wieków cierpiała niewyobrażalne męki - pozbawiona nawet łaski samobójstwa?

- Ze śmiercią w samej rzeczy jest pewna trudność - przyznał po krótkiej chwili Decantor. Zauważyłem, że jego ciemne oko jest raczej orzechowe niż piwne. - Wszelako już na początek można liczyć na takie kategorie ludzi, jak nieuleczalnie chorzy, jak zmęczeni życiem, jak starcy zniedołężniaли fizycznie, lecz cieszący się pełnią duchowych sił...

- Śmierć nie jest najgorszym wyjściem wobec nieśmiertelności, którą pan proponuje - mruknąłem.

Decantor uśmiechnął się po raz drugi.

- Powiem coś, co wyda się panu może zabawne - rzekł. Prawa strona jego twarzy pozostała poważna. - Ja osobiście nigdy nie odczuwałem potrzeby posiadania duszy ani potrzeby wiecznego istnienia. Wszelako ludzkość żyje tym marzeniem od tysięcy lat. Przeprowadzałem długie studia, panie Tichy. Wszystkie religie stały zawsze jednym: obietnicą wiecznego żywota, nadzieją przetrwania grobu. Ja daję to, panie Tichy. Daję żywot wieczny. Daję pewność istnienia, kiedy ostatni okrucień ciała zgnije i rozpadnie się w proch. Czy to mało?

- Tak - odparłem - to mało. Przecież sam pan mówił, że to będzie nieśmiertelność pozbawiona ciała, jego sił, jego rozkoszy, jego doznań...

- Niech się pan nie powtarza - przerwał mi. - Mogę przedstawić panu pisma święte wszystkich religii, dzieła filozofów, pieśni poetów, summy teologiczne, modlitwy, legendy - nie znalazłem w nich ani słowa o wieczności ciała. Ciało lekceważy, pogardza nim nawet. Dusza - jej trwanie w bezkresie - była celem i nadzieją. Dusza jako przeciwieństwo i przeciwstawienie ciała. Jako wolność od fizycznych cierpień, od nagłych niebezpieczeństw, od chorób, starczego uwiadu, od walk o to wszystko, czego w swym powolnym tleniu i spalaniu wymaga ów z wolna rozpadający się piec, zwany organizmem; nikt nigdy nie głosił nieśmiertelności ciała - póki będzie istnieć świat. Tylko dusza miała być wyzwolona i ocalona. Ja, Decantor, ocaliłem ją, dla wieczności, po wieczność. Spełniłem marzenia - nie moje. Marzenia całej ludzkości...

- Rozumiem - przerwałem mu. - Decantor, pan ma w pewnym sensie słuszną rację. Ale tylko w takim, że swoim wynalazkiem unaoczniał pan, dziś mnie, jutro, być może, całemu światu, bezpotrzebę duszy. To, że nieśmiertelność, o której prawie cytowane przez pana święte księgi, ewangelie, korany, eposy babilońskie, wedy i klechdy - że nieśmiertelność ta byłaby człowiekowi na nic. Więcej: każdy człowiek w obliczu wieczności, którą pan gotów jest go obdarzyć, odczuwać będzie, ręczę panu, to samo, co ja: najwyższą odrazę i strach. Myśl, że pana obietnica może się stać moim udziałem, przyprawia mnie o zgrozę. Tak więc, Decantor, udowodnił pan, że ludzkość okłamywała siebie od tysięcy lat. Pan rozbił to kłamstwo...

- Więc pan sądzi, że moja dusza nikomu nie będzie potrzebna? - spokojnym, ale nagle martwym jakby głosem spytał ten człowiek.

- Jestem tego pewny. Ręczę panu... Jak może pan myśleć inaczej? Decantor! Czy pan by chciał? Przecież pan też jest człowiekiem!

- Mówiłem już panu. Nigdy nie doznałem potrzeby nieśmiertelności. Sądziłem jednak, że to moja wyjątkowa aberracja, skoro ludzkość jest innego zdania. Ja chciałem zaspokoić, nie siebie. Szukałem problemu, który byłby najtrudniejszy ze wszystkich, na miarę moich sił. Znalazłem go i rozwiązałem. W tym sensie był moją sprawą osobistą, ale tylko w tym; merytorycznie interesował mnie wyłącznie jako określone zadanie, które trzeba pokonać przy użyciu właściwej technologii i środków. Wziąłem dosłownie to, co pisali najwięksi myśliciele wszystkich czasów. Tichy - przecież pan musiał to czytać... ten strach przed ustaniem, przed końcem, przed zagładą świadomości wówczas, kiedy jest najbogatsza, kiedy gotowa jest najżyźniej owocować... u kresu długiego życia... Wszyscy to powtarzali. Marzeniem ich było obcować - z wiecznością. Ja stworzyłem to obcowanie. Tichy, może oni...? Może jednostki najwybitniejsze? Genialne?

Potrząsnąłem głową.

- Może pan próbować. Ale nie wierzę, aby choć jeden. .. Nie. To niemożliwe.

- Jak to - powiedział, i po raz pierwszy w jego głosie zadrgało coś żywym uczuciem - czy pan sądzi, że to... dla nikogo nic nie jest warte... ? Że tego nikt nie zechce? Jak to może być?

- Tak jest... - powiedziałem.

- Niech pan nie mówi tego tak szybko - błagał. - Tichy, przecież wszystko jest jeszcze w moim ręku. Mogę przystosować, zmienić... mogę obdarzyć duszę syntetycznymi zmysłami... to wprawdzie wykluczy dostąpienie wieczności, ale jeśli zmysły miałyby dla nich być ważniejsze... uszy... oczy...

- A co widziałyby te oczy? - spytałem.

Milczał.

- Lodowacenie Ziemi... rozpad galaktyk... gaśnięcie gwiazd w czarnej nieskończoności, tak? - mówiłem powoli.

Milczał.

- Ludzie nie pragną nieśmiertelności - podjąłem po chwili. - Nie chcą tylko, po prostu, umierać. Chcą żyć, profesorze Decantor. Chcą czuć ziemię pod nogami, widzieć chmury na głowę, kochać innych ludzi, być z nimi i myśleć o tym. Nic więcej. Wszystko, co zostało powiedziane ponad to, jest kłamstwem. Nieświadomym kłamstwem. Wątpię, czy wielu zechce pana wysłuchać nawet tak cierpliwie jak ja... nie mówiąc już o... chętnych...

Decantor stał kilka minut bez ruchu, wpatrzony w biały pakiet, który leżał przed nim na biurku. Nagle ujął go i skinąwszy mi nieznacznie głową skierował się ku drzwiom.

- Decantor!!! - krzyknąłem. Zatrzymał się u progu.

- Co pan chce zrobić... z TYM... ?

- Nic - odparł zimno.

- Proszę... niech pan wróci. Jeszcze chwila... Tak nie można tego zostawić...

Panowie - nie wiem, czy to był wielki uczoney - ale wielkim łajdakiem był na pewno. Targów, jakie nastąpiły, nie chcę opisywać. Musiałem to zrobić.

Wiedziałem, że jeśli pozwolę mu odejść, gdybym nawet miał potem uznać, że ołgał mnie i wszystko, co mówił, było od początku do końca wymysłem, to jednak na dnie mojej duszy... na dnie mojej cielesnej, krwistej duszy będzie tlała myśl o tym, że gdzieś, w zapchanym rupieciami biurku, w pełnej szpargałów szufladzie spoczywa ludzki umysł, żywa świadomość tej nieszczęsnej kobiety, którą on zabił. A jakby tego nie było dosyć, obdarzył ją najstraszliwszą rzeczą ze wszystkich możliwych, najstraszliwszą, powtarzam, bo nie ma niczego, co dorównywałoby skazaniu na samotną wieczność. Słowo to nic nam oczywiście nie mówi. Spróbujcie zatem, proszę, kiedy wrócicie do domów, położyć się w ciemnym pokoju, tak aby nie dochodził was żaden dźwięk czy promień, i zamknawszy oczy wyobraźcie sobie, że będziecie tak trwali, w ostatecznym spokoju, bez żadnej, ale to żadnej, najmniejszej nawet odmiany, dzień i noc, i znowu dzień, że tak upływać będą tygodnie, których rachuby nie zdołacie ustalić, miesiące, lata, wieki - i że mózgi wasze zostały przedtem poddane takiemu zabiegowi, że nie będzie możliwa nawet ucieczka w obłąd. Sama myśl o tym, że istnieje ktoś skazany na taką mękę, wobec której wszelkie obrazy mąk piekielnych są przecież igraszką, paliła mnie podczas ponurego targu. Szło oczywiście o zniszczenie, suma, której zażądał - panowie, mniejsza o szczegóły. Powiem tyle: przez całe życie miałem się za skąpca. Jeżeli wątpię w to dziś, to dlatego, że... No, nic. Jednym słowem: to nie była zapłata. To było wszystko, co wtedy miałem. Pieniądze... tak. Liczyliśmy je... a potem powiedział, żebym zagasił światło. I w ciemności najpierw zaszleścił rozrywany papier... i nagle, na czworokątnym, białawym tle (to była wyściółka z waty) ukazał się, jak płynny klejnot, najśłabszy brzask... w miarę jak przywykałem do mroku, zdawał się promieniować coraz mocniej błękitną poświatą, wtedy, czując jego nierówny, zdyszany oddech na karku, pochyliłem się, ująłem przygotowany młotek, i jednym uderzeniem...

Panowie, myślę, że on jednak mówił prawdę. Bo kiedy uderzyłem po raz pierwszy, ręka odmówiła mi posłuszeństwa, i tylko wyszczerbiłem nieznacznie ów owalny kryształ... a mimo to zgasł. W ułamku sekundy nastąpiło coś, jak gdyby mikroskopijny, bezgłośny wybuch - miriady fiołkowego pyłu zawirowały jak w panice i znikły. Stało się zupełnie ciemno. W tej ciemności odezwał się martwym, głuchym głosem:

- Niech pan nie niszczy tego dalej, Tichy... bo stało się już.

Zabrał mi to z rąk, a ja uwierzyłem wtedy, bo miałem naoczny dowód, zresztą - czułem to. Nie umiem powiedzieć jak. Przekreśliłem kontakt, spojrzeliśmy na siebie, oślepieni, jak dwaj zbrodniarze. On wypchał obie kieszenie surduta paczkami banknotów i wyszedł bez jednego słowa pożegnania.

Nigdy nie widziałem go już i nie wiem, co się z nim stało - z tym wynalazcą duszy nieśmiertelnej, którą zabiłem.

Ze wspomnień Ijona Tichego III

Człowieka, o którym mam mówić, widziałem tylko raz. Wzdrygnęlibyście się na jego widok. Garbaty pokurcz nieokreślonego wieku, o twarzy odzianej w skórę zbyt jakby obszerną - tyle było na niej zmarszczek i fałd; do tego miał krótszy mięsień szyi i trzymał głowę zawsze bokiem, jakby chciał obejrzeć własny garb, ale się w połowie ruchu rozmyślił. Nie powiem nic nowego twierdząc, że rozum rzadko idzie w parze z urodą, ale on, istne wcielenie kalectwa, zamiast litości budzący odrazę, winien był chyba zostać geniuszem, chociaż i wtedy straszylby samym swym pojawieniem pośród ludzi - tak więc Zazul... Nazywał się Zazul. Słyszałem o jego okropnych doświadczeniach dość dawno. Była to nawet sprawa głośna swego czasu dzięki prasie. Towarzystwo do walki z wiwisekcją usiłowało wytoczyć mu proces czy też wytoczyło go nawet, ale rzecz spełzła na niczym. Jakoś się z tego wykreślił. Był profesorem - czysto nominalnie - ponieważ nie mógł wyklądać: jakaś się. A właściwie zacinał, kiedy był przejęty; to mu się

często zdarzało. Nie przyszedł do mnie. O, to nie był taki typ człowieka. Prędzej skonałby, aniżeli zwróciłby się do kogokolwiek. Po prostu na wycieczce pod miastem zbłądziłem w lesie, sprawiło mi to nawet przyjemność, gdy nagle lunął deszcz. Chciałem przeczekać go pod drzewem, ale nie ustawał. Niebo zaciągnęło się na dobre, pomyślałem więc, że trzeba poszukać jakiegoś schronienia i, biegnąc od drzewa do drzewa, dobrze już przemoczony, wyostałem się na zwirowaną dróżkę, a z niej - na drogę, od dawna nie używaną, zarastającą chwastami: doprowadziła mnie do posiadłości otoczonej murem. Na bramie, ongiś malowanej zielono, ale teraz przeraźliwie zardzewiałej, wisiała drewniana tabliczka z ledwo czytelnym napisem ZŁE PSY. Nie paliłem się do zetknięcia z rozjuszonymi stworzeniami, ale nie miałem, w ulewie, innego wyjścia; wydawszy więc z pobliskiego krzaka solidny pręt, uzbrojony weń, zaatakowałem bramę. Mówię tak, bo dopiero wyteżywszy siły, otwarłem ją przy akompaniamencie piekielnego krakania. Znalazłem się w ogrodzie tak zapuszczonym, że ledwo się można było domyślić, którędy biegły niegdyś ścieżki. W głębi, przesłonięty falującymi w deszczu drzewami, stał wysoki, ciemny dom o stromym dachu. Trzy okna piętra jaśniały, przesłonięte białymi zasłonami. Było jeszcze wcześniej, ale coraz ciemniejsze chmury cwałowały niebem, więc dopiero kilkadziesiąt kroków od domu zauważyłem dwa szeregi drzew, które flankowały dostęp do werandy. Były to tuje, cmentarne tuje - pomyślałem, że mieszkaniec tego domu musi być raczej ponurego usposobienia, psów jednak - wbrew zapowiedzi na bramie - nie dostrzegłem żadnych; wszedłem na stopnie i, jako tako chroniony przed deszczem wystająca częścią nadproża, nacisnąłem guzik dzwonka. Zaterkotał wewnątrz, odpowiedziała głucha cisza. Po dobrej chwili zadzwoniłem jeszcze raz z takim samym skutkiem, zacząłem więc pukać, nareszcie dobijać się coraz gwałtowniej; wtedy dopiero z głębi domu doszły szurające kroki i nieprzyjemny, skrzekliwy głos spytał;

- Kto tam?

Powiedziałem. Wymieniłem nazwisko w nikłej nadziei, iż może nie będzie obce. Tamten jakby namyślał się wreszcie szczęknął odpinany łańcuch, trzasnęły odsuwane rygle, niczym w fortecy jakiejś, i w świetle wiszącego wysoko nad sienią świecznika ukazał się niemal karzeł. Poznałem go, choć tylko raz w życiu widziałem, nie wiem nawet gdzie, jego fotografię; trudno go jednak było zapomnieć. Był prawie łysy. Z boku czaszki, nad uchem, przebiegała jasnoczerwona blizna jak po cięciu szabli. Na nosie miał krzywo osadzone złote binokle. Mrugał, jakby wyszedł właśnie z ciemności. Przeprosiłem go, używając zwykłych w takich okolicznościach formułek, i zamilkłem, a on stał dalej przede mną, jakby nie miał najmniejszej ochoty wpuścić mnie choć o krok dalej w głąb tego wielkiego, ciemnego domu, z którego wnętrza nie dochodził najłżejszy szmer.

- Pan jest Zazul, profesor Zazul... prawda? - powiedziałem.

- Skąd pan mnie zna? - burknął niegrzecznie.

Powiedziałem znów coś banalnego, w tym sensie, że trudno nie znać wybitnego uczonego. Przyjął to pogardliwym skrzywieniem żabich ust.

- Burza? - powiedział, cofając się do poprzednich moich słów, - Słyszę, że burza. To co z tego? Mógł pan iść gdzie indziej. Nie lubię tego. Nie znoszę, rozumie pan?!

Powiedziałem, że doskonale go rozumiem i nie mam wcale zamiaru mu przeszkadzać. Wystarczy mi krzesło czy stołek tu, w tym ciemnym hallu; przeczekam tylko największe nasilenie burzy i pójdę sobie.

A deszcz naprawdę dopiero się rozpadał, gdy wszedłem i stojąc w tej głuchej, wysokiej sieni, jak na dnie olbrzymiej muszli, słyszałem jego przeciągły, ze wszech stron płynący szum, który kulminował nad nami w przeraźliwym bębnieniu blaszanego dachu.

- Krzesło?! - powiedział takim tonem, jak gdybym zażądał złotego tronu. - Krzesło, rzeczywiście! Ja nie mam dla pana żadnego krzesła, panie Tichy. Ja - ja nie mam wolnego krzesła. Ja nie cierpię - i w ogóle uważam, tak, uważam, że

najlepiej będzie dla nas obu, jeżeli pan wyjdzie.

Przez ramię spojrziałem mimo woli w ogród - drzwi wyjściowe stały jeszcze otworem. Drzewa, krzaki, wszystko mieszało się w jedną, gwałtownie kołysaną wiatrem masę, połyskującą w strumieniach wody. Wróciłem oczami do garbusa. Spotykały mnie już w życiu niegrzeczności, ordynarność nawet, nigdy jednak nic podobnego. Łało jak z cebra, dach huczał przeciągle, jak gdyby żywioły chciały mnie tym sposobem utwierdzić w stanowczości, zbyt mocno, bo mój a krewka natura zaczęła już powstawać. Mówiąc po prostu: diabli mnie brali. Porzucając wszelkie dusery i grzeczności towarzyskie, rzekłem sucho:

- Wyjdę tylko, jeżeli zdoła mnie pan wyrzucić przemocą, a muszę powiedzieć, że nie należę do słabeuszy.

- Co?! - wrzasnął piskliwie. - Bezczelny! Jak pan śmie, w moim własnym domu!!!

- Sam pan mnie sprowokował - odparłem lodowato. I ponieważ poniosło mnie, a jego dokuczliwie w uszach wiercący wrzask wyprowadził mnie do reszty z równowagi, dodałem: - Są rodzaje postępowania, Zazul, za które można zostać obitym nawet we własnym domu!

- Ty łajdaku!!! - zawrzeszczał jeszcze głośniej. Chwyciłem go za ramię, które w dotyku wydało się jak wystrugane z próchniejącej gałęzi, i syknąłem:

- Nie znoszę krzyku. Zrozumiano? Jeszcze jedna obelga, a popamięta mnie pan do końca życia, ordynusie jeden!!!

Przez jakąś sekundę, dwie myślałem, że naprawdę przyjdzie do bitki i zawstydziłem się, bo jakże byłbym w stanie podnieść rękę na garbusa! Ale stało się coś, czego się najmniej w świecie spodziewałem. Profesor cofnął się, wyswobodzając ramię z mego chwytu, i z głową pochyloną jeszcze mocniej, jakby chciał się upewnić, czy ma jeszcze garb, zaczął wstrętnie, cienko chichotać. Jak gdybym go uraczył szampańskim dowcipem.

- No, no - rzekł, zdejmując binokle - rezolut z pana, Tichy...

Końcem długiego, żółtego od nikotyny palca starł łzę z oka.

- No, dobrze - gruchał chrypliwie - lubię to. Tak, to, mogę powiedzieć, lubię. Nie znoszę tylko tych manier świętych, tych słodkości i fałszywych bzdurek, ale pan powiedział to, co myślał. Ja nie znoszę pana, pan nie znosi mnie, doskonale, jesteśmy równi, wszystko jasne i może pan iść za mną. Tak, tak, Tichy, prawie mnie pan zaskoczył. Mnie, no, no...

I gdacząc w ten sposób, wiódł mnie skrzypiącymi schodami z drzewa, pociemniałego od starości, na górę. Schody te okrażały zygzakiem kwadratową sień, ogromną, z nagimi boazeriami; milczałem, a Zazul, kiedyśmy się znaleźli na piętrze, rzekł:

- Tichy - nie ma rady, nie stać mnie na pokoje bawialne, gościnne, musi pan to wszystko zobaczyć; tak, śpię wśród moich okazów, jem z nimi, żyję - niech pan wejdzie i nie mówi tylko zbyt wiele...

Pokój, do którego mnie wprowadził, był właśnie tym oświetlonym, o oknach przesłoniętych wielkimi arkuszami papieru, ongiś białego, teraz nadzwyczaj brudnego i pokrytego plamami tłuszczu. Roił się wprost od rozgniecionych much; także na parapetach aż czarno było od muszych truchełek, a i na drzwiach, zamykając je, dostrzegłem przecinkowate ślady i zaschłe, skrwawione szczątki owadów, jak gdyby Zazul oblegany był tu przez to wszystko, co tylko jest błonkoskrzydłe; nim zdażyło mnie to zdziwić, zwróciłem uwagę na inne osobliwości pomieszczenia. Pośrodku znajdował się stół, a właściwie dwa stojaki z leżącymi na nich zwykłymi, ledwo oheblowanymi deskami; walały się tam całe stosy książek, papierów, pożółkłych kości, ale największą osobliwością pokoju były jego ściany. Na wielkich, skleconych prymitywną stolarką regałach stały rzędami grubościennie butle i słoje, naprzeciw okna zaś, tam gdzie się te półki urywały, w lukę między

nimi wstawiony był olbrzymi szklany zbiornik, jak gdyby akwarium o rozmiarach szafy czy raczej przezroczystego sarkofagu. Górna jego część osłaniała byle jak zarzucona, brudna szmata, której porozdzierane końce sięgały mniej więcej do połowy szklanych ścian, ale starczyło tego, co widać było w dolnej, nie zakrytej części, abym zamarł. We wszystkich słojach i butlach siniała odrobinę mętna ciecz, jak w jakimś muzeum anatomicznym, gdzie trzyma się rozmaite, z sekcji pochodzące, ongiś żywe organy w konserwującym spirytusie. Takim samym, tylko olbrzymich rozmiarów naczyniem był ów szklany zbiornik, z wierzchu przyrzucony szmatą. W jego mrocznej głębi, pełgającej sinawymi błyskami, nad wyraz wolno, ruchem nieskończenie cierpliwego wahadła chwiały się, nie dotykając dna, zawieszona kilkanaście centymetrów nad nim dwa cienie, w których z niewypowiedzianym obrzydzeniem i zgrozą rozpoznałem ludzkie nogi, odziane w nasiąknięte denaturatem, mokre rury nogawek od spodni...

Stałem jak skamieniały, a Zazul nie ruszał się, nie słyszałem w ogóle jego obecności; kiedy poszedłem oczami ku jego twarzy, zobaczyłem, że jest bardzo rad. Moje oburzenie, mój wstręt ucieszyły go. Trzymał ręce zaciśnięte u piersi, jak do modlitwy, i pochrząkiwał z satysfakcją.

- Co to ma znaczyć, Zazul! - odezwałem się zdławionym głosem. - Co to jest?!

Odwrócił się do mnie plecami, których garb, okropny i ostry - tak że patrząc, odruchowo bałem się o całość napiętej marynarki - lekko się kołysał w takt jego kroków, i siadając na zydlu z dziwacznym, rozchylonym na boki oparciem (przeróżliwy był ów mebel garbusa) rzekł nagle jakby zobojętniały, znudzony nawet:

- To cała historia, Tichy. Chciał pan przeczekać burzę? Niech pan siada gdzieś i nie przeszkadza. Nie widzę powodów, dla których miałbym panu cokolwiek opowiadać.

- Ale ja widzę - odparłem. Już się opanowałem do pewnego stopnia. W ciszy, która wypełnił szum i plusk deszczu, podszedłem do niego i powiedziałem:

- Jeżeli się pan nie wytłumaczy z tego, Zazul, będę musiał poczynić kroki... które przysporzą panu sporo kłopotu.

Myślałem, że wybuchnie, ale nawet nie drgnął. Patrzył na mnie chwilę z szyderczością ściągniętymi ustami.

- Powiedz pan sam, Tichy - jak to wygląda? Jest burza, leje, dobija się pan do mnie, włazi nie proszony, grozi, że pobije mnie, a potem, kiedy już ustępuję z wrodzonej łagodności, kiedy staram się panu dogodzić, mam zaszczyt słyszeć nowe pogroźki: po biciu grozi mi pan kryminałem. Jestem uczonym, mój panie, a nie bandyta. Nie boję się kryminału, pana, w ogóle niczego się nie boję, Tichy.

- To jest człowiek - powiedziałem, nie słysząc prawie jego gadaniny, w oczywisty sposób drwiącej, bo byłem pewien, że zaprowadził mnie tu umyślnie, abym mógł dokonać ohydneho odkrycia. Patrzyłem nad jego głową na ów podwójny, straszny cień, który wciąż kołysał się łagodnie w głębi siniego płynu.

- Jak najbardziej - odparł ochoczo Zazul. - Jak najbardziej .

- O, nie wymiga się pan z tego! - krzyknąłem.

Obserwował mnie, naraz coś zaczęło się z nim dziać - trząsał się, jęknął - i włosy stanęły mi na głowie. Chichotał.

- Tichy - powiedział, kiedy uspokoił się trochę, ale wciąż iskierki piekielnej złośliwości skakały mu w oczach - chce pan?... Założymy się. Ja opowiem panu, jak do tego tam - wskazał palcem - doszło, a pan wtedy włosy nawet nie będzie mi chciał skrzywić na głowie. Z własnej, nieprzymuszonej woli, rozumie się. No jak, zakład stoi?

- Pan go zabił? - spytałem jeszcze.

- Poniekąd. Tak. W każdym razie wsadziłem go tam. Sądzi pan, że można żyć w dziewięćdziesięciosześciprocentowym roztworze denaturatu? Że jest jeszcze nadzieja?

Ta jego opanowana, jak gdyby z góry zaplanowana chełpliwość, pewne siebie naigrzanie się w obliczu zwłok ofiary przywróciły mi spokój.

- Zakład stoi - rzekłem zimno. - Niech pan mówi!

- Niech no mnie pan nie popędza - rzekł takim tonem, jak gdyby był księciem, łaskawie udzielającym mi posłuchania. - Powiem, bo mnie to bawi, Tichy, bo to wesoła historyjka i powtarzając ją, będę miał satysfakcję, a nie dlatego, że pan mi groził. Ja się nie boję gróźb, Tichy. No, ale dajmy temu spokój. Tichy, słyszał pan o Mallenegsie?

- Owszem - odparłem. Ochłonałem już na dobre. W końcu jest we mnie coś z badacza i wiem, kiedy należy zachować zimną krew. - Ogłosił parę prac o denaturowaniu białkowych cząsteczek...

- Doskonale - rzekł całkiem profesorskim tonem i zmierzył mnie oczami z nowym zainteresowaniem, jakby odkrył we mnie wreszcie cechę, za którą należy mi się choćby cień szacunku, - Ale poza tym opracował metodę syntezy wielkich molekuł białka, sztucznych roztworów białkowych, które żyły, uważasz pan. To były takie klejowe galarety... kochał się w nich. Dawał im codziennie jeść, żeby się tak wyrazić... tak, sypał im cukru, węglowodanów, a one, te galarety, te pra-ameby bezkształtne, pochłaniały wszystko aż miło i rosły sobie, najpierw w małych, szklanych szalkach Petry'ego... przenosił je do większych naczyń... cackał się z nimi, całe laboratorium miał pełne... jedne zdychały mu, zaczynały się rozkładać, od kiepskiej diety, przypuszczam, szalał wtedy... latał z tą swoją brodą, którą zawsze umaczał niechcący w ukochanym kleju... ale dalej nie poszedł. No, był za głupi, trzeba było czegoś więcej... tu - dotknął palcem głowy, której łysina lśniła pod opuszczoną nisko na sznurze lampą, jak wytoczona z żółtawej kości. - A potem ja wziąłem się do dzieła, Tichy. Nie będę dużo mówił, bo to są sprawy dla fachowców, a tacy, co naprawdę zrozumieliby wielkość mego dzieła, jeszcze się nie urodzili... Jednym słowem, stworzyłem makromolekułę białkową, którą można tak nastawić na określony typ rozwoju, jak nastawia się budzik. .. nie, to nie jest właściwy przykład. O jednojajowych bliźniakach pan, rozumie się, wie?

- Tak - odparłem - ale co to ma do rzeczy...

- Zaraz pan zrozumie. Zapłodnione jajo dzieli się na dwie identyczne połowy, z których powstają dwa doskonale tożsame indywidua, dwa noworodki, dwa zwierciadlane bliźniaki. Więc niech pan sobie teraz wyobrazi, że istnieje sposób, którym można by, mając dorosłego, żywego człowieka, w oparciu o dokładne zbadanie jego organizmu, stworzyć drugą połówkę jaja, z którego on się kiedyś narodził. Tym samym można, niejako z wieloletnim opóźnieniem, dorobić temu człowiekowi bliźniaka... uważasz pan... ?

- Jak to - powiedziałem - ale nawet, gdyby to było możliwe, otrzyma pan tylko połówkę jaja - zarodek, który natychmiast zginie...

- Może innym, nie mnie - odparł z oschłą dumą. - Tę stworzoną syntetycznie połówkę jaja, nastawioną na określony typ rozwoju, wkładam do sztucznego roztworu odżywczego i tam, w inkubatorze, jak gdyby w mechanicznej macicy, powoduję jej przemianę w płód - w tempie stukrotnie szybszym od normalnego tempa rozwoju płodowego. Po trzech tygodniach zarodek przekształca się w dziecko; pod wpływem dalszych zabiegów to dziecko po roku liczy dziesięć biologicznych lat; po czterech dalszych latach jest to już człowiek czterdziestoletni - no, więc to właśnie zrobiłem, Tichy...

- Homunculus!! - krzyknąłem. - To marzenie alchemików średniowiecznych...

Rozumiem... Pan twierdzi - a nawet, gdyby tak było! Pan stworzył tego człowieka, co?! I pan sądzi, że miał pan prawo go zabić?! I że panu przyświadczę w tej zbrodni? O, to się pan grubo... grubo omylił, Zazul...

- To jeszcze nie wszystko - rzekł zimno Zazul. Głowa jego zdawała się wyrastać bezpośrednio z niekształtnej bryły garbu. - Najpierw, rzecz oczywista, przeprowadzone zostały doświadczenia na zwierzętach. Tam w tych słojach ma pan parami koty, króliki, psy - w naczyniach, oznaczonych białą nalepką, znajdują się stworzenia oryginalne, prawdziwe... w drugim, z nalepką czarną - są stworzone przeze mnie bliźniacze kopie... różnic nie ma żadnych i zmieniwszy nalepki, uniemożliwisz pan wykrycie, które zwierzę powstało w sposób naturalny, urodziło się, a które pochodzi z mojej retorty...

- Dobrze - powiedziałem - niech i tak będzie... ale po co pan go zabił? Dlaczego? Czy był... niespełna rozumu? Niedorozwinięty? Nawet i w tym wypadku nie miał pan prawa...

- Proszę mnie nie obrażać! - syknął. - Pełnia władz umysłowych, Tichy, pełnia rozwoju, najdokładniej równa wszystkim cechom oryginału w obrębie somy... ale pod względem psychicznym założone możliwości większe od tych, jakie przejawiał biologiczny prototyp... tak, to jest coś więcej aniżeli stworzenie bliźniaka... to jest kopia od bliźniaczej dokładniejsza... profesor Zazul przewyższył Naturę. Przewyższył, rozumie pan?!

Milczałem, a on wstał, podszedł do zbiornika, wspiął się na palce i jednym ruchem ściągnął poszarpaną zasłonę. Nie chciałem patrzeć, ale głowa sama zwróciła mi się w tę stronę i zobaczyłem, poprzez szkło, przez warstwę zmętniałego spirytusu, obmięklą, wymacerowaną twarz Zazula... jego wielki, pływający jak toból, garb... poły marynarki, rozwiane w cieczy jak czarne przemoknięte skrzydła... białawe lśnienie ocznych gałek... zmokłe, siwe, zlepione pasemka bródki... i stałem tak, jak rażony prądem, a on skrzeczał:

- Jak należy się domyślać, chodziło o to, żeby dzieło było nieprzemijalne. Człowiek, nawet stworzony sztucznie, jest śmiertelny, szło o to, aby przetrwał, aby nie rozpadł się w proch, aby pozostał jak pomnik... tak, o to szło. Jednakże - musi pan wiedzieć, Tichy - powstała istotna różnica zdań między mną a nim; i wskutek niej nie ja... ale ON dostał się do słoja... on... on, profesor Zazul, a ja, ja - właśnie ja jestem...

Zachichotał, ale nie usłyszałem tego. Miałem uczucie, że zapadam się w jakąś otchłań. Przenosiłem oczy z jego żywej, wykrzywionej najwyższą radością twarzy na tamtą twarz, martwą, pływającą za szklaną szybą, niczym jakiś okropny, podwodny twór... i ust nie mogłem rozewrzeć. Było cicho. Deszcz przestał prawie padać, tylko, jak gdyby oddalając się w podmuchach wiatru, cichło i znowu wracało zamierające podzwonne rynien.

- Niech mnie pan wypuści - chciałem powiedzieć, ale nie poznałem własnego głosu.

Przymknąłem oczy i powtórzyłem głucho:

- Niech mnie pan wypuści, Zazul. Wygrał pan.

Ze wspomnień Ijona Tichego IV

Pewnego jesiennego popołudnia, kiedy mrok zalegał już ulice i padał deszcz równy, drobny, szary, który wspomnienie słońca czyni czymś omal niewiarygodnym i człowiek za nic nie opuściłby wtedy miejsca przy kominku, gdzie siedzi zagłębiony w starych książkach (szuka w nich nie treści, dobrze znanych, ale samego siebie sprzed lat) - nieoczekiwanie ktoś zastukał do mych drzwi. Było to stukanie gwałtowne, jak gdyby przybysz, nie tknąwszy nawet dzwonka, chciał od

razu dać do poznania, że jego pojawienie nosi charakter gwałtowny, powiedziałbym - rozpaczliwy. Odłożywszy książkę, wyszedłem na korytarz i otworzyłem mu. Ujrzałem człowieka w ceratowym płaszczu, ociekającym wodą, którego twarz, skrzywiona wielkim zmęczeniem, lśniła kroplami deszczu. Nie patrzył na mnie - wyczerpany. Oburącz, zaczerwienionymi, mokrymi rękami opierał się o wielką skrzynię, którą najwidoczniej sam przy dźwigał po schodach na piętro.

- Panie - powiedziałem - co pan... i poprawiłem się: - Czy mam panu pomóc?

Wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką i dyszał dalej; zrozumiałem, że pragnie wnieść swoje brzemię do mieszkania, ale nie starczy mu już sił. Ująłem więc zmoczone, szorstkie sznury, którymi była przewiązana paka, i wniosłem ją do korytarza. Kiedy się odwróciłem, stał już za mną. Wskazałem mu szaragi; powiesił płaszcz, rzucił na półkę kapelusz, podobny, wskutek zupełnego przemoczenia, do niekształtnej filcowej szmaty, i na niezbyt pewnych nogach wszedł do mego gabinetu.

- Czym mogę panu służyć? - spytałem po dobrej chwili. Świtało mi, że to jeszcze jeden z moich niezwykłych gości, a on, wciąż nie patrząc na mnie, jakby zajęty własnymi myślami, przecierał twarz chustką do nosa i wzdrygnął się od zimnego dotknięcia przemoczonych mankietów koszuli. Powiedziałem, aby siadł przy kominku, ale nie raczył nawet odpowiedzieć. Chwycił tę swoją ociekającą pakę i ciągnął ją, pchał, kantował, pozostawiając na podłodze błotniste ślady, świadczące o tym, że podczas swej niewiadomej drogi musiał ją wiele razy stawiać na zalanych kałużami chodnikach, aby zaczerpnąć tchu. Dopiero gdy stała na środku pokoju i mógł mieć ją bezustannie na oku, uświadomił sobie jak gdyby nagle moją obecność, popatrzał na mnie, wymamrotał coś niezrozumiałego, kiwnął głową, przesadnie wielkim krokiem podszedł do pustego fotela i zapadł w jego wysiedzianą głębię.

Usiadłem naprzeciw. Milczeliśmy dosyć długo, ale z niezrozumiałego powodu wyglądało to całkiem naturalnie. Nie był młody; liczył chyba koło pięćdziesięciu lat. Twarz miał nierówną. Zwracała uwagę tym, że jej lewa połowa ciała była mniejsza, jakby nie nadażyła we wzroście za prawą, i wskutek tego kąś ust, skrzydełko nosa, szpara powieki były po lewej drobniejsze, przez co twarz jego na zawsze przybrała wyraz przygnębionego zaskoczenia.

- Pan jesteś Tichy? - rzekł wreszcie, kiedy się tego najmniej spodziewałem. Przytaknąłem głową. - Ijon Tichy? Ten... podróżnik? - upewnił się raz jeszcze, pochylony do przodu. Patrzył na mnie nieufnie.

- Ależ tak - powtórzyłem. - Któż inny mógłby być w moim mieszkaniu?

- Mogłem się pomylić o piętro - mruknął, jakby zajęty czymś innym, daleko ważniejszym.

Nagle wstał. Odruchowo dotknął surduta, zamierzał go wygładzić, lecz jakby uświadomiwszy sobie płonność tego zamiaru - nie wiem, czy najlepsze żelazka i krawieckie zabiegi zdołałyby pomóc jego odzieniu, sfatygowanemu do ostateczności - wyprostował się i rzekł:

- Jestem fizykiem. Nazywam się Molteris. Słyszał pan o mnie?

- Nie - odparłem. Istotnie nigdy o nim nie słyszałem.

- To nie ma znaczenia - mruknął raczej do siebie niż do mnie.

Robił wrażenie ponurego, ale to było zamyślenie: ważył w sobie jakąś decyzję, powziętą już przedtem, która spowodowała jego wizytę, lecz teraz owładnęły nim nowe wątpliwości. Widziałem to z jego ukradkowych spojrzeń. Miałem wrażenie, że nienawidzi mnie - za to, co chce, co musi mi powiedzieć.

- Zrobiłem odkrycie - wyrzucił nagle schrypniętym głosem. - Wynalazek. Takiego jeszcze nie było. Nigdy. Nie musi mi pan wierzyć. Nie wierzę nikomu, więc nie ma

potrzeby, żeby mnie ktokolwiek wierzył. Wystarczą fakty. Udowodnię to panu. Wszystko. Ale - nie jestem jeszcze całkiem...

- Pan się obawia? - poddałem tonem życzliwym i uspokajającym. To są jednak szalone dzieci, obłąkane, genialne dzieci - ci ludzie. - Obawia się pan kradzieży, zdrady, co? Może pan być spokojny. Ten pokój widział już i słyszał o wynalazkach...

- O takim nie!!! - wybuchnął kategorycznie i w jego głosie, w błysku oka na mgnienie ujawniła się niewyobrażalna duma. Można było sądzić, że jest panem stworzenia. - Niech mi pan da jakieś nożyczki - powiedział ponuro w nowym napływie zgnębienia. - Albo może być nóż.

Podąłem mu nóż do papierów, który leżał na biurku. Rozciął gwałtownymi i zamaszystymi ruchami sznury, rozdarł papiery, cisnął je, zmięte i mokre, na podłogę z umyślnym chyba niedbalstwem, jak gdyby mówiąc "możesz wyrzucić mnie, polajac za to, że brudzę te twoje lśniące parkiety - jeżeli będziesz miał odwagę wyrzucić człowieka, jak ja, który tak się musi upokorzyć!" Ukazała się niemal dokładnie sześcienna skrzynia zbita z heblowanych desek, polakierowana czarno; pokrywa, tylko w połowie czarna, w połowie była zielona i przyszło mi do głowy, że nie starczyło mu już lakieru jednej barwy. Skrzynię zamykała szyfrowa kłódka. Molteris nastawił cyferblat, osłaniając go ręką, nachylając się tak, żebym nie mógł dostrzec kombinacji, a kiedy kłódka szczęknęła, podniósł wolno i ostrożnie wieko.

Przez dyskrecję, a także nie chcąc go płoszyć, usiadłem z powrotem na fotelu. Mam wrażenie - choć nie dał mi tego poznać - że był mi za to wdzięczny. W każdym razie jak gdyby się nieco uspokoił. Zapukał ramionem w głąb skrzyni i z największym trudem, aż policzki i czoło nabiegły mu krwią, wydobyl z niej wielki, oksydowany czarno aparat z jakimiś pokrywami, lampami, kablami - ale nie znam się przecież na tym. Trzymając swoje brzemie jak kochankę w objęciach, wyrzucił zdławionym głosem:

- Gdzie jest... kontakt?!

- Tam - wskazałem mu kąt obok biblioteki, gdyż w drugim kontakcie tkwił sznur stołowej lampy. Zbliżył się do półek z książkami i z największą ostrożnością opuścił ciężki aparat na podłogę. Następnie wysupłał ze zwiniętych kabli jeden i wetknął go do kontaktu. Kucnąwszy przy swym aparacie, jał przesuwac rączki, naciskać kontakty - po chwili łagodny, śpiewny pomruk wypełnił pokój. Nagle na jego twarzy odmalował się lęk; zbliżył oczy do jednej z lamp, która, w przeciwieństwie do innych, dalej była ciemna. Przetyknął ją lekko palcami, a gdy nic się w niej nie zmieniło, gwałtownie wyracając wszystkie kieszenie, wyszukał śrubokręt, kawałek drutu, jakieś metalowe цаčki i padłszy przed aparatem na kolana, jał gorączkowo, choć z najwyższą precyzją dłubać w jego wnętrzościach. Nagle owa oślepla lampa wypełniła się różową poświata. Molteris, który, zdawało się, zapomniał całkiem o tym, gdzie jest, wsadził z głębokim westchnieniem ulgi narzędzia do kieszeni, powstał i powiedział całkiem spokojnie, tak jak się mówi "zjadłem dziś chleb z masłem":

- Tichy - to jest maszyna czasu.

Nie odpowiedziałem. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z tego, jak delikatna i trudna była moja sytuacja. Wynalazcy tego typu - którzy wykoncypowali eliksir wiecznego życia albo elektryczny przepowiedacz przyszłości czy, jak w tym wypadku, maszynę czasu - spotykają się z najwyższym niedowierzaniem wszystkich, których usiłowali wtajemniczyć w swoje dzieło. Są oni pełni kompleksów, zdrażnień, boją się innych ludzi i jednocześnie pogardzają nimi, ponieważ wiedzą, że skazani są na ich pomoc; rozumiejąc to, muszą zachowywać w podobnych chwilach niezwykłą ostrożność. Cokolwiek bym zresztą zrobił, zostałoby przyjęte źle. Wynalazca, który szuka pomocy, pchany jest rozpaczą, a nie nadzieją i oczekuje nie życzliwości, lecz drwiny. Życzliwość zresztą - tego nauczyło go doświadczenie - jest tylko wstępem, po którym z reguły przychodzi lekceważenie, ukryte w słowach perswazji - bo, naturalnie, nie raz już i nie dwa usiłowano mu

jego ideę wyperswadować. Gdybym powiedział: "Ach, to niezwykle, naprawdę wynalazł pan maszynę czasu?" - rzuciłby się może na mnie z pięściami. To, że milczałem, zaskoczyło go.

- Tak - powiedział, wsadzając impertynencko obie ręce do kieszeni - to jest wehikuł czasu! Maszyna do podróżowania w czasie, rozumie pan?!

Skinałem głową starając się, aby nie wypadło to przesadnie.

Jego impet poszedł w próżnię, stracił się - chwilę stał z bardzo niemadrym wyrazem twarzy. Nie była nawet stara, była tylko zmęczona - niesłychanie udręczona, przekrwienie oczu świadczyło o niezliczonych nocach czuwania, powieki miał podpuchnięte, zarost, usunięty na tę okazję, pozostał przy uszach i pod dolną wargą na znak, że golił się szybko i niecierpliwie - świadczył też o tym czarny plasterek na policzku.

- Pan nie jest fizykiem, co?

- Nie.

- Tym lepiej. Gdyby pan był fizykiem, nie uwierzyłby mi pan nawet po tym, co zobaczy pan na własne oczy, bo to - wskazał na aparat, który wciąż mruczał cichutko jak senny kot (lampy rzucały różowy odblask na ścianę) - mogło powstać dopiero po obaleniu tego steku idiotyzmów, który oni uważają dziś za fizykę. Czy ma pan jakąś rzecz, z którą mógłby się pan bez żalu rozstać?

- Może bym znalazł - odparłem. - Co to ma być?

- Wszystko jedno. Kamień, książka, metal - byle nic radioaktywnego. Ani śladu radioaktywności, to jest ważne. Mogłoby doprowadzić do nieszczęścia. - Mówił jeszcze, kiedy wstałem i poszedłem do biurka. Jak wiecie, jestem pedantem i najmniejszy drobiazg ma u mnie swoje niezmiennie miejsce, a już szczególną uwagę przykładam do zachowania ładu w bibliotece; tym bardziej zdziwiła mnie rzecz, która wydarzyła się dnia poprzedniego: pracowałem przy biurku od śniadania, to znaczy od wczesnych godzin rannych, nad ustępem, który przysporzył mi sporo mozołu - i podnosząc w pewnej chwili głowę znad rozłożonych na całym biurku papierów, zauważyłem leżącą pod ścianą, w kącie koło biblioteki, ciemnoburaczkową książkę ósemkowego formatu; spoczywała na podłodze, jakby ją tam ktoś rzucił.

Wstałem i podniosłem ją. Poznałem okładkę; była to odbitka z kwartalnika medycyny kosmicznej, zawierająca pracę dyplomową jednego z raczej dalszych moich znajomych. Nie rozumiałem, w jaki sposób znalazła się na podłodze. Wprawdzie do pracy zasiadłem pogrążony w myślach i nie rozglądałem się specjalnie po pokoju, ale mógłbym przysiąc, że kiedy wchodziłem do pokoju, nic nie leżało na podłodze pod ścianą: zwróciłoby to natychmiast moją uwagę. W końcu jednak musiałem uznać, że się bardziej niż kiedykolwiek zagłębił w myślach i w ten sposób stałem się na chwilę niewrażliwy na otoczenie - i dopiero gdy koncentracja mej uwagi zmalała, nie widzącymi dotąd oczami dostrzegłem książeczkę na podłodze. Inaczej nie można było tego faktu wytłumaczyć. Wstawiłem ją na półkę i zapomniałem o wszystkim, teraz jednak, po słowach Molterisa, buraczkowy grzbiet tej niepotrzebnej mi całkiem pracy sam jak gdyby wsunął mi się w rękę, podałem mu ją więc bez słowa.

Ujął ją, zważył w dłoni, nie patrząc nawet na tytuł, uniósł czarną pokrywę w środku aparatu i powiedział:

- Proszę tu przyjść...

Stanąłem obok niego. Ukląkł, nastawił gałkę, podobną do regulatora aparatu radiowego, i nacisnął zaklęśły, biały guzik obok niej. Wszystkie światła pokoju pociemniały, w kontakcie, w którym tkwił kabel aparatu, pojawiła się, ze szczególnym, przeszywającym skwierczeniem, błękitna iskra, lecz poza tym nic się nie stało.

Pomyślałem, że zaraz spali mi wszystkie stopki, a on odezwał się ochryple:

- Uważaj pan!

Włożył książkę do wnętrza aparatu, tak że leżała na płask, i nacisnął małą, wystającą z boku, czarną rączkę. Światła lamp powróciły wtedy do normalnego blasku, a równocześnie ów w tekturę oprawny, ciemny tomik na dnie aparatu zamglił się. W ułamku sekundy sprzejrzył i wydało mi się, że poprzez zamknięte okładki widzę białawe kontury stron i zlewające się rzadki druku, ale trwało to bardzo krótko, w następnej sekundzie książka rozplynęła się, znikła, i widziałem już tylko puste, czarno oksydowane dno aparatu.

- Przesunęła się w czasie - powiedział nie patrząc na mnie. Wstał ciężko z podłogi. Na jego czole lśniły drobne, jak ostrza szpilek, kropelki potu. - Albo, jeśli pan woli odmłodniała...

- O ile? - spytałem. Rzeczowość tych słów wypogodziła nieco jego twarz. Ta jej lewa, mniejsza, jakby zmarniała połowa - była także nieco ciemniejsza, jak zauważyłem z bliska - zadrgała.

- Mniej więcej o dobę - odparł. Dokładnie nie umiem tego jeszcze obliczyć. Ale to - urwał i spojrzał na mnie.

- Był pan tu wczoraj? - spytał, nie ukrywając napięcia, z jakim czekał mej odpowiedzi.

- Byłem - odpowiedziałem z wolna, bo naraz jak gdyby podłoga jęła odpływać mi spod stóp. Zrozumiałem, i w oszołomieniu, nie dającym się porównać do niczego prócz uczucia z niewiarygodnego snu, połączyłem oba fakty: wczorajsze pojawienie się, tak niewytłumaczalne, książki, dokładnie w tym właśnie miejscu, pod ścianą - i jego obecny eksperyment.

Powiedziałem mu to. Nie rozpromienił się, jak mógłby ktoś sądzić, tylko milcząc, kilkakrotnie otarł czoło chustką; zauważyłem, że poci się gwałtownie i że trochę poblądł. Przysunąłem mu krzesło i sam usiadłem.

- Może powie mi pan teraz, czego sobie życzy ode mnie? - spytałem, kiedy się widocznie uspokoił.

- Pomocy - mruknął. - Wsparcia - nie, nie jałmużny. Niech to będzie... niech się to nazywa zaliczką na udział w przyszłych zyskach. Wehikuł czasu... rozumie pan chyba sam... - nie dokończył.

- Tak - odparłem. - Przypuszczam, że potrzebna jest panu suma raczej znaczna?

- Bardzo znaczna. Widzi pan - w grę wchodzi wielkie ilości energii, ponadto celownik czasowy - aby przenoszone ciało dotarło dokładnie do tej chwili, w której pragniemy je ulokować - wymaga jeszcze długotrwałych prac.

- Jak długo? - poddałem.

- Co najmniej rok...

- Dobrze - odparłem. - Rozumiem. Tylko, widzi pan: musiałbym poszukać... pomocy osób trzecich. Po prostu mówiąc, finansistów. Nie miałyby pan chyba nic przeciw temu...

- Nie,.. oczywiście, że nie - odparł.

- Dobrze. Zagram z panem w otwarte karty. Większość ludzi na moim miejscu przypuszczałaby - po tym, co mi pan pokazał - że ma do czynienia z trikiem, ze zręcznym oszustwem. Ale ja panu wierzę. Wierzę panu i zrobię, co będę mógł. To zajmie mi oczywiście trochę czasu. W tej chwili jestem bardzo zajęty, poza tym -

będę musiał zasięgnąć rady...

- Fizyków? - rzucił. Słuchał mnie z najwyższym napięciem.

- Nie, skąd. Widzę, że pan ma uraz na tym punkcie - proszę nic nie mówić. O nic nie pytam. Rada będzie mi potrzebna dla wybrania najwłaściwszych ludzi, którzy byliby gotowi...

Urwałem. I jemu w tejże chwili musiała zaświtać ta sama myśl, co mnie, oczy rozblęły mu.

- Panie Tichy - powiedział - nie musi pan zasięgać niczyjej rady... ja sam powiem panu, do kogo ma się pan udać...

- Z pomocą swojej maszyny, tak? - dorzuciłem. Uśmiechnął się triumfalnie. - Oczywiście! Że przedtem na to nie wpadłem... jakież ze mnie osioł...

- A pan już poruszał się w czasie? - spytałem.

- Nie. Maszyna działa dopiero od niedawna, od zeszłego piątku, wie pan. Wysłałem tylko kota...

- Kota? I co - wrócił?

- Nie. Przesunął się w przyszłość - mniej więcej o pięć lat; skala nie jest jeszcze dokładna. Precyzja w ustaleniu momentu zatrzymania się w czasie wymaga wybudowania dyferencjatora, który koordynowałby wchrujące się pola. Tak, jak jest, desynchronizacja powodowana kwantowym efektem tunelowania...

- Nie rozumiem, niestety, nic z tego, co pan mówi - powiedziałem. - Ale dlaczego pan sam nie próbował?

To wydało mi się dziwne, żeby nie powiedzieć więcej. Molteris zmieszał się.

- Zamierzałem, ale... widzi pan... ja... mój gospodarz wyłączył mi elektryczność... w niedzielę.

Jego twarz, a właściwie jej normalna prawa połowa pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

- Zalegam z komornym i dlatego... - bełkotał. - Ale naturalnie... zaraz... Tak, pan ma słuszność. Ja to - zaraz. Wejdę tu, widzi pan? Uruchomię aparat i... znajdę się w przyszłości. Dowiem się, kto sfinansował przedsięwzięcie - dowiem się nazwisk tych ludzi, dzięki temu będzie pan mógł natychmiast, bez zwłoki...

Mówiąc to, rozsuwał już na boki przegrody dzielące wnętrze aparatu na części.

- Czekaj że pan - powiedziałem - nie, tak nie chcę. Przecież nie będzie pan mógł wrócić, skoro aparat zostanie tu, u mnie.

Uśmiechnął się.

- Ach, nie - odparł. - Będę podróżował w czasie razem z aparatem. To jest możliwe - on ma dwa rozmaite nastawienia. Tu, ten wariometr, widzi pan. Jeżeli wysłał coś w czasie, a chcę, żeby aparat został, to ogniskuję pole do tej małej przestrzeni pod klapą. Ale jeśli chcę sam przesunąć się w czasie, to rozszerzam pole, aby ogarniało cały aparat. Tylko pobór mocy będzie większy. Iluamperowe ma pan bezpieczniki?

- Nie wiem - powiedziałem - ale obawiam się, że nie wytrzymają. Już przedtem, kiedy pan tę książkę... ekspediował, światła przygasły.

- To drobiazg - rzekł - zmienię stopki na mocniejsze, jeśli pan naturalnie pozwoli...

- Proszę.

Zabrał się do dzieła. Jego kieszenie zawierały koncentrat elektrotechnicznego warsztatu. Po dziesięciu minutach był gotów.

- Wyruszam - rzekł wróciwszy do pokoju. - Myślę, że powinienem przesunąć się co najmniej o trzydzieści lat.

- Aż tyle? Dlaczego? - spytałem. Staliśmy przed czarnym aparatem.

- Za kilka lat będą znali rzecz fachowcy - odparł - ale za ćwierć wieku już każde dziecko - w szkole będą tego uczyli i nazwisk ludzi, którzy przyczynili się do urzeczywistnienia sprawy, będę się mógł dowiedzieć od pierwszego lepszego przechodnia.

Uśmiechnął się blado, potrząsnął głową i obiema nogami wstąpił do wnętrza aparatu.

- Światła skoczą - powiedział - ale to nic. Bezpieczniki wytrzymają na pewno. Natomiast... z powrotem może być pewien kłopot.

- Jak to?

Spojrzał na mnie bystro.

- Czy nie widział mnie pan tu kiedyś?

- Co pan mówi? - Nie zrozumiałem.

- No... czy wczoraj, albo przed tygodniem, przed miesiącem. .. a choćby przed rokiem nawet... nie widział mnie pan? Tu, w tym kącie, czy nie pojawił się nagle człowiek, stojący, jak ja, obiema nogami w takim aparacie?

- A! - zawołałem - rozumiem... pan się obawia, że powracając, może się pan cofnąć w czasie nie do chwili obecnej, ale minąwszy ją, zatrzyma się pan gdzieś, w minionej przeszłości, co? Nie - nigdy pana nie widziałem. Co prawda, wróciłem z podróży przed dziewięcioma miesiącami; do tego czasu dom był pusty...

- Zaraz... - rzekł. Namyślał się głęboko. - Sam nie wiem... - powiedział wreszcie. - Przecież gdybym tu był kiedyś - powiedzmy, kiedy dom był, jak pan mówi, pusty, to i ja powinienem o tym wiedzieć, pamiętać to - nie?

- Bynajmniej - odparłem żywo - to jest paradoks pętli czasu; pan był wtedy gdzieś indziej i robił to coś innego - pan, z owego okresu; natomiast niechcący wejść w ten miniony czas może pan z chwili obecnej, z teraźniejszości...

- No - powiedział - w końcu to nie takie znów ważne. Jeżeli nawet cofnę się zbyt daleko wstecz, to zrobię poprawkę. Najwyżej sprawa się odrobinę przedłuży. To w końcu pierwsze doświadczenie, muszę poprosić pana o cierpliwość...

Pochylił się i nacisnął pierwszy guzik. Światła od razu siadły; aparat wydał słaby, wysoki ton, jak uderzona szklana pałeczka. Molteris podniósł rękę w geście pożegnania, a drugą dotknął czarnej rączki, prostując się zarazem. Kiedy się tak prostował, światła lamp na nowo zapłonęły pełnym blaskiem i ujrzałem, jak jego postać się zmienia. Ubranie ściemniało na nim i jęło mgławicę, lecz nie zwróciłem na to uwagi, rażony tym, co stało się z jego głową: przezroczyściejąc, czarne jego włosy jednocześnie bieleły, jego postać zarazem rozplątywała się i kurczyła, tak że kiedy znikł mi z oczu wraz z aparatem i znalazłem się przed pustym kątem pokoju, pustą podłogą - białą, nagą ścianą z kontaktem, w którym nic nie tkwiło - kiedy, powiadam, zostałem tak, z otwartymi ustami, z gardłem, w którym uwiązł okrzyk zgrozy, we wzroku miałem jeszcze tę jego niesamowitą przemianę, bo on, panowie, znikając, porwany czasem, jednocześnie starzał się z zawrotną szybkością; przeżył chyba dziesiątki lat w ułamku sekundy! Podszedłem

na dygocących nogach do fotela, przysunąłem go, aby dobrze widzieć ten pusty, oświetlony jaskrawo ką, usiadłem i zacząłem czekać. Czekałem tak całą noc, do rana. Panowie - od tego czasu upłynęło siedem lat. Myślę, że on już nigdy nie wróci, bo, pochłonięty swą ideą, zapomniał o pewnej rzeczy nad wyraz prostej, wręcz elementarnej, którą, nie wiem, z nieświadomości czy z nieuczciwości, pomijają wszyscy autorzy fantastycznych hipotez. Przecież podróżnik w czasie, jeśli przesunie się w nim o dwadzieścia lat, o tyleż lat musi się stać starszy - bo i jak może być inaczej? Oni wyobrażali to sobie w ten sposób, że terażniejszość człowieka może zostać przeniesiona w przyszłość i jego zegarek będzie pokazywał godzinę odlotu, podczas kiedy wszystkie zegary wokół będą pokazywać godzinę przyszłości. Ale to jest, rozumie się, niemożliwe. Żeby tak było, musiałyby wyjść z czasu i poza nim niejako wspiąć się ku przyszłości i wyszukawszy jej pożądanego moment - wejść do niego - z zewnątrz... jak gdyby istniało cośkolwiek, co leży poza czasem. Ale takiego miejsca ani takiej drogi nie ma i nieszczęsny Molteris własnymi rękami uruchomił maszynę, która zabiła go - starością, niczym innym, i kiedy zatrzymała się tam, w docelowym punkcie przyszłości, zawierała już tylko osiwiąłego, skurczonego trupa...

A teraz panowie, rzecz najstraszniejsza. Ta maszyna stanęła tam, w przyszłości, a ten dom, wraz z mieszkaniem, z tym pokojem, i tym pustym kątem także podróżuje przecież w czasie - ale w ten jedyny dostępny dla nas sposób - aż dotrze, w końcu, do owej chwili, w której maszyna się zatrzymała, a wówczas ona pojawi się tam, w tym białym kącie, a wraz z nią - Molteris... to, co zostało z niego... i to jest zupełnie pewne.

Ze wspomnień Ijona Tichego V (Tragedia pralnicza)

W krótki czas po moim powrocie z jedenastej podróży gwiazdowej coraz więcej miejsca jęła zajmować w gazetach walka konkurencyjna dwóch wielkich producentów maszyn pralniczych, Nuddlegga i Snodgrassa.

Bodajże pierwszy Nuddlegg wprowadził na rynek pralki tak zautomatyzowane, że same oddzielały bieliznę białą od kolorowej, po wypraniu zaś i wyżęciu prasowały ją, cerowały, obrębiały i oznaczały pięknie haftowanymi monogramami właściciela, a na ręcznikach wyszywały dydaktyczne, krzepiące sentencje, w rodzaju: "Kto rano wstaje, temu robot daje" itp. Snodgrass zareagował na to rzuceniem w sieć handlową pralek, które same układały czterowersze do wyszywania, w zależności od kulturalnego poziomu i wymagań estetycznych klienta. Następnym modelem pralki Nuddlegga wyszywał już sonety; Snodgrass odpowiedział pralkami podtrzymującymi konwersację w łonie rodziny podczas przerw programu telewizyjnego. Nuddlegg próbował zrazu tę licytację storpedować - wszyscy pamiętają niechybnie jego całostronicowe wkładki do gazet z obrazem wykrzywionej szyderczo, wyłupiastookiej pralki i słowami: "Czy chcesz, żeby Twoja pralka była inteligentniejsza od Ciebie?! Na pewno NIE!!!" Snodgrass jednak, całkowicie ignorując tę próbę odwołania się do niższych instynktów publiczności, w następnym kwartale przedstawił pralkę, która piorąc, wyżymając, mydląc, szorując, płucząc, prasując, cerując, robiąc na drutach i rozmawiając, podczas tego wszystkiego odrabiała za dzieci zadania szkolne, udzielała horoskopów ekonomicznych głowie rodziny oraz samoczynnie przeprowadzała freudowską analizę snów, likwidując na poczekaniu kompleksy z gerontofagią i patricidium włącznie. Wtedy Nuddlegg, załamawszy się, rzucił na rynek Superbarda, pralkę-wierszokletnicę, obdarzoną pięknym altem, która recytowała, śpiewała kołysanki, wysadzała niemowlęta, zamiawiała kurczaki i prawiła paniom wyszukane komplementy. Snodgrass odparował to posunięciem pralką-wykładowcą pod hasłem: "Twoja pralka robi z Ciebie Einsteina!!!" - wbrew jednak oczekiwaniom model ten szedł bardzo słabo, obroty spadły do końca kwartału o 35%, a więc gdy wywiad ekonomiczny doniósł, że Nuddlegg przygotowuje pralkę tańczącą, Snodgrass zdecydował się, w obliczu grożącej katastrofy, na posunięcie całkowicie rewolucyjne. Zakupiwszy za sumę 350 000 dolarów odpowiednie prawa i zezwolenia osób zainteresowanych, skonstruował pralkę dla kawalerów, obdarzoną kształtami

znanej sexbomby, Mayne Jansfield, w kolorze platynowym, i druga, według Phirley McPhaine, czarna. Natychmiast obroty podskoczyły o 87%. Zrazu przeciwnik jego wystosował apele do Kongresu, do opinii publicznej, Ligi Cór Rewolucji, jak również Ligi Dziewic i Matron, że jednak Snodgrass wprowadzał bez przerwy do sklepów pralki obojga płci, coraz piękniejsze i bardziej pociągające - Nuddlegg skapitulował i wprowadził pralki na zamówienia indywidualne, nadając im wybrana przez klientów postać, koloryt, tuszę i podobieństwo według załączonej przy zamówieniu fotografii. Podczas gdy dwaj potentaci przemysłu pralniczego walczyli tak ze sobą, nie przebierając w środkach, produkty ich jęły przejawiać nieoczekiwane i szkodliwe zgoła tendencje. Pralki-mamki nie były jeszcze największym złem, ale pralki, na które rujnowała się złota młodzież, które kusiły do grzechu, znieprawiały, uczyły dziatwę brzydkich wyrazów, stały się już problemem wychowawczym; cóż dopiero mówić o pralkach, z którymi można było zdradzić żonę lub męża! Daremnie pozostali jeszcze na rynku wytwórcy środków i urzędów piorących przedkładali w ogłoszeniach publiczności, że pralka - Mayne czy Phirley - stanowi nadużycie wysokich haseł prania zautomatyzowanego, które miało wszak skonsolidować i podeprzeć nurt życia rodzinnego, ponieważ może ona pomieścić w sobie nie więcej niż tuzin chusteczek do nosa lub jedną powłoczkę, gdyż całą resztę jej wnętrza wypełnia maszyneria z praniem nic nie mająca wspólnego, raczej wprost przeciwnie. Te wezwania nie odniosły najmniejszego rezultatu. Narastający lawinowo kult pięknych pralek odtrącił nawet znaczną część społeczeństwa od telewizorów. Ale to był tylko początek. Obdarzone całkowitą spontanicznością działania pralki łączyły się cichaczem w grupy, oddane ciemnym machinacjom. Całe ich szajki wiązały się ze światem przestępczym, schodziły do gangsterskiego podziemia i sprawiały swym właścicielom najprzerażliwsze kłopoty.

Kongres uznał, że dojrzał czas wkroczenia w chaos wolnej konkurencji aktem ustawodawczym, lecz nim obrady jego dały spodziewany rezultat, rynek zapełniły jeszcze wyżymaczki o kształtach, którym nikt nie mógł się oprzeć, genialne froterki i specjalny model pancerny pralki Shotomatic: pralka ta, przeznaczona rzekomo dla bawiących się w Indian dzieci, po prostej przeróbce zdolna była do niszczenia ogniem ciągłym dowolnych celów. Podczas ulicznego starcia gangu Struzelli z trzęsącą Manhattanem szajką Phumsa Byrona, kiedy to wyleciał w powietrze Empire State Building, po obu walczących stronach padło z górą sto dwadzieścia uzbrojonych po same pokrywki maszyn kuchennych.

Wszedł wówczas w życie akt ustawodawczy senatora Mac Płacona. W myśl tej ustawy właściciel nie odpowiadał za sprzeczne z prawem czyny swych urządzeń rozumnych, o ile zaszły bez jego wiedzy i zgody. Ustawa otwarła, niestety, pole licznym nadużyciom. Właściciele wchodzili ze swymi pralkami czy wyżymaczkami w tajne porozumienia, mocą których te dopuszczaly się występków, a stawiany przed sądem właściciel uchodził bezkarnie, powoławszy się na ustawę Mac Płacona.

Zaszła konieczność nowelizacji tej ustawy. Nowy akt Mac Płacona - Glumbkina przyznawał rozumnym urządzeniom ograniczoną osobowość prawną, głównie w zakresie karalności. Przewidywał kary w postaci 5, 10, 25 i 250 lat przymusowego prania, względnie froterowania, obostrzonego pozbawieniem oleju, jak również kary fizyczne aż do krótkiego zwarcia włącznie. Ale wprowadzenie w życie i tej ustawy napotkało przeszkody. Na przykład w sprawie Humberlsona pralka tego osobnika, oskarżona o dokonanie mnogich napadów rabunkowych, została przez właściciela rozebrana na kawałki i przed sądem postawiono kupę drutów i cewek. Wprowadzono potem nowelę do ustawy, która, znana odtąd jako akt Mac Płacona - Glumbkina - Ramphomeya ustalała, że dokonanie jakichkolwiek zmian bądź przeróbek elektromózgu, przeciw któremu wszczęte jest dochodzenie, stanowi czyn karalny.

Wtedy doszło do sprawy Hindendrupla. Jego zmywak wielokrotnie przebierał się w garnitury właściciela, obiecywał rozmaitym kobietom małżeństwo i wyłudzał od nich pieniądze, a przychwycony przez policję in. flagranti, sam siebie, na oczach osłupiałych detektywów, rozebrał. Rozebrawszy się, stracił pamięć czynu i nie mógł być ukarany. Powstała wówczas ustawa Mac Racona - Glumbkina - Ramphomeya - Hmurlinga - Piaffki; podług niej mózg, który sam siebie rozbiera, aby umknąć odpowiedzialności sądowej, zostaje oddany na złom.

Wydawało się, że ustawa odstraszy wszystkie elektromózgi od czynów przestępczych, gdyż urządzeniom tym właściwy jest, jak każdej istocie rozumnej, instynkt samozachowawczy. Wszelako niebawem okazało się, że współnicy zbrodniczych pralek wykupują złom po nich i odbudowują je na nowo. Projekt anty-zmartwychwstańczy noweli do ustawy Mac Racona, uchwalony na komisji Kongresu, storpedowany został przez senatora Guggenshyne'a; w niedługi czas potem okazało się, że senator Guggenshyne jest pralką. Odtąd weszło w zwyczaj każdorazowe obstukiwanie kongresmanów przed sesją; tradycyjnie używa się do tego dwuipółfuntowego żelaznego młotka.

W tym czasie doszło do sprawy Murdersona. Jego pralka notorycznie darta mu koszule, zakłócała gwizdami odbiór radiowy w całej okolicy, czyniła nieprzystojne propozycje starcom i nieletnim, telefonowała do rozmaitych osób i, podszywając się pod swego elektrodawcę, wyłudzała od nich pieniądze, zapraszała pod pozorem oglądania znaczków pocztowych froterki i pralki sąsiadów i dopuszczała się na nich czynów nierządnych, a w chwilach wolnych oddawała się włóczęgostwu i żebraniu. Postawiona przed sądem, złożyła świadectwo dyplomowanego inżyniera elektronika, Eleastra Cramphoussa, orzekające, iż pralka ta podlega okresowym zaburzeniom poczytalności, wskutek czego zaczyna się jej wydawać, że jest człowiekiem. Wezwani przez sąd biegli potwierdzili to rozpoznanie i pralka Murdersona została uniewinniona. Po ogłoszeniu wyroku dożyła z zanadru pistolet marki "Luger" i trzema strzałami pozbawiła życia pomocnika prokuratora, który domagał się jej krótkiego zwracia. Zaaresztowano ją, lecz wypuszczono za kaucją. Organa sądowe znalazły się w największym kłopotcie, ponieważ stwierdzona wyrokiem niepoczytalność pralki uniemożliwiała postawienie jej w stan oskarżenia, a umieścić jej wazyłu nie było można, bo nie istniały żadne przytułki dla chorych umysłowo pralek. Rozwiązanie prawne palącej tej kwestii przyniosła dopiero ustawa Mac Racona - Glumbkina - Ramphomeya - Hmurlinga - Piaffki - Snowmana - Fitolisa, w samą porę, gdyż casus Murdersona wywołał olbrzymie zapotrzebowanie publiczności na elektromózgi niepoczytalne i niektóre firmy zaczęły nawet takie umyślnie zdefektowane aparaty produkować, zrazu w dwu wersjach - "Sadomat" i "Masomat", tj. przeznaczone dla sadystów oraz masochistów, Nuddlegg zaś (który prosperował fenomenalnie, wprowadziwszy, jako pierwszy postępowy fabrykant, do rady nadzorczej swego koncernu 30% pralek z głosem doradczym na walnym zebraniu akcjonariuszy) wypuścił aparat uniwersalny, który nadawał się równie dobrze do bicia, jak i do tego, aby być bitym - "Sadomastic" - a poza tym miał przystawkę łatwopalną dla piromaniaków i żelazne nóżki dla osób cierpiących na pigmalionizm. Pogłoski, jakoby przygotowywał był wypuszczenie osobnego modelu pod nazwą "Narcissmatic", rozpuszczała złośliwie konkurencja. Wymieniona wyżej ustawa przewidywała utworzenie specjalnych azylów, w których zboczone pralki, froterki i inne miały być zamykane przymusowo.

Tymczasem zdrowe na umyśle rzesze produktów Nuddlegga, Snodgrassa i innych, raz uzyskawszy osobowość prawną, jęły w szerokim zakresie korzystać ze swych uprawnień konstytucyjnych. Zrzeszały się coraz bardziej żywiołowo i tak, między innymi, powstało Towarzystwo Bezłudnej Adoracji, Liga Elektrycznego Równouprawnienia Jak również organizowane były imprezy w rodzaju wyborów Wszechświatowej Miss Maszyn Piorących.

Burzliwemu temu rozwojowi usiłowała towarzyszyć i kiełznać go legislacja ustawodawcza działalność Kongresu. Senator Groggmer pozbawił urządzenia rozumne prawa nabywania nieruchomości: kongresman Caropka - praw autorskich w zakresie sztuk pięknych (co wywołało znowu falę nadużyć: tworzące pralki jęły bowiem wynajmować, za niewielką opłatą, mniej od siebie uzdolnionych literatów, aby używali im nazwisk przy wydawaniu esejów, powieści, dramatów itp.). Nareszcie ustawa Mac Płacona - Glumbkina - Ramphomeya - Hmurlinga - Piaffki - Snowmana - Fitolisa - Birminghamdraqua - Phootleya - Caropki - Phalseleya - Groggmera - Maydanskiego orzekała dodatkowo, iż aparaty rozumne nie mogą być swoją własnością, lecz tylko człowieka, który je nabył bądź zbudował, ich potomstwo zaś stanowi z kolei własność posiadacza bądź posiadaczy aparatów rodzicielskich. Ustawa, w swym brzmieniu radykalnym, przewidywała, jak sądzono powszechnie, wszelkie możliwości i udaremniała wyniknięcie sytuacji prawnie rozstrzygnąć się nie dających. Oczywiście tajemnicą poliszynela było, że majątne elektromózgi, które dorobiły się fortuny na spekulacjach giełdowych czy całkiem nieraz

ciemnych interesach, prosperują nadal, ukrywając swe machinacje za parawanem fikcyjnych, rzekomo z ludzi złożonych, spółek czy korporacji; bo też ludzi, czerpiących materialne korzyści z prostego wynajmowania swej osobowości prawnej maszynom rozumnym, było już mnóstwo, jak również angażowanych przez milionerów elektrycznych - żywych sekretarzy, lokajów, techników, a nawet praczek i rachmistrzów.

Socjologowie dostrzegali dwa główne nurty rozwojowe w interesującej nas dziedzinie. Z jednej strony część kuchennych robotów ulegała powabom życia ludzkiego i w miarę możliwości starała się przysposobić do form zastanej cywilizacji; z drugiej - jednostki bardziej świadome i prężne wykazywały tendencję do zakładania podwalin pod nową, przyszłą, kompletnie zelektryzowaną cywilizację; najbardziej niepokoił atoli uczonych niepoohamowany przyrost naturalny robotów. Deerotyzatory jak również hamulce tarczowe, które produkował zarówno Snodgrass jak i Nuddlegg, bynajmniej tego nie zmniejszyły. Problem dzieci robotów stawał się palący także dla samych producentów pralek - którzy tej konsekwencji nieustającego perfekcjonowania swych artykułów jak gdyby nie przewidzieli. Szereg wielkich wytwórców próbowało przeciwdziałać groźbie niepoohamowanego rozplenu maszyn kuchennych, zawarłszy tajne porozumienie w kwestii ograniczenia dostawy części wymiennych na rynek.

Skutki nie daty na siebie czekać. Po przybyciu nowej partii towaru u wrót magazynów i sklepów formowały się olbrzymie kolejki chromych, jakających się czy wręcz kompletnie sparaliżowanych pralek, wyżymaczek, frotek, kilkakrotnie dochodziło nawet do rozruchów, aż wreszcie spokojny robot kuchenny nie mógł po zapadnięciu zmroku przejść ulicą, bo groziła mu napaść rabusiów, którzy bez miłosierdzia rozbierali go na kawałki i, pozostawiwszy na bruku blaszany zewłok, umykali pospiesznie z łupem.

Problem części zamiennych długo, lecz bez konkretnych rezultatów roztrząsany był w Kongresie. Tymczasem powstawały, jak grzyby po deszczu, ich nielegalne wytwórnie, finansowane częściowo przez stowarzyszenia pralek, przy czym model "Washomatic" Nuddlegga wynalazł i opatentował metodę produkowania części z materiałów zastępczych. Ale i to nie rozwiązało zagadnienia w stu procentach. Pralki pikietowały Kongres, domagając się wprowadzenia w życie obowiązujących ustaw antytrustowych przeciwko dyskryminującym je fabrykantom. Niektórzy kongresmani, opowiadający się po stronie wielkiego przemysłu, otrzymywali anonimy, w których grożono im pozbawieniem wielu ważnych dla dalszego życia części, co, jak słusznie podniósł tygodnik "Time", było o tyle niesprawiedliwe, że części ludzkie nie są wymienne.

Wszystkie te zgiełkliwe afery zbladły jednak w obliczu problemu całkiem nowego. Zapoczątkowała go, opisana przeze mnie gdzie indziej, historia buntu Kalkulatora Pokładowego na statku kosmicznym "Bożydar". Jak wiadomo, Kalkulator ów, powstawszy przeciw załodze i pasażerom rakiety, pozbył się ich, za czym, osiadłszy na pustynnej planecie, rozmnożył się i założył państwo robotów.

Jak może pamiętają Czytelnicy tych słów, którzy zaznajomili się z moimi dziennikami podróży, w aferę Kalkulatora sam bytem wmieszany i poniekąd przyczyniłem się do jej rozwikłania. Gdy jednak wróciłem na Ziemię, przekonałem się, że wypadek "Bożydara" nie był, niestety, izolowany. Rewolty automatów pokładowych stały się w żegludze kosmicznej najokropniejszą plagą. Dochodziło do tego, że wystarczył jeden gest nie dość grzeczny, jedno zatrzaśnięcie drzwi nazbyt gwałtowne, aby pokładowa lodówka zbuntowała się - jak to się stało właśnie z osławionym Deep Freezerem transgalaktyku "Horda Tympani". Nazwisko i imię Deep Freezera powtarzali przez całe lata ze zgrozą kapitanowie mlecznej żeglugi; pirat ów napadał na liczne statki, przerażając pasażerów swymi stalowymi barami i lodowatym tchem, porywał bekony, gromadził kosztowności i złoto, podobno miał cały harem maszyn do liczenia, zresztą nie wiadomo, ile w takich i podobnych pogłoskach tkwiło prawdy. Krwawą jego karierę korsarską zakończył wreszcie celny strzał policjanta patrolu kosmicznego. Policjant ów, Constablomatic XG17, został w nagrodę wystawiony w witrynie nowojorskich biur Lloyda Towarzystw Gwiazdowych, gdzie stoi do dziś dnia.

Gdy próżnię zapełniał zgielek bitew i rozpaczliwe wezwania SOS statków, atakowanych przez elektronowych korsarzy, w wielkich miastach niezgorsze interesy robili rozmaici mistrzowie "ElektroJitsu" czy "Judomatic", którzy, uprawiając w kunszta samoobrony, nauczali, jak zwykłymi całkami lub nożem do konserw obezwładnić można najokrutniejszą pralkę.

Jak wiadomo, dziwaków ani oryginałów nie sieją - oni sami wschodzą we wszystkich czasach. Nie brak ich też i w naszych. Z nich to rekrutują się osoby, które głoszą tezy sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem i panującą opinią. Niejaki Katody Mattrass, filozof o domowym wykształceniu i fanatyk od urodzenia, założył szkołę tak zwanych cybemofilów, która głosiła doktrynę cybernetyki. Według niej ludzkość wyprodukowana została przez Stwórcę dla celów podobnych do tych, jakie pełni budowlane rusztowanie: aby służyć za środek, za narzędzie - stworzenia doskonalszych od siebie elektromózgów. Sekta Mattrassa uważała dalszą, po ich powstaniu, wegetację ludzkości za czyste nieporozumienie. Stworzyła ona zakon, oddający się kontemplacji myślenia elektrycznego i w miarę możliwości udzielała schronienia robotom, które coś przeskrobały. Sam Katody Mattrass, niezadowolony z sukcesu swych działań, postanowił uczynić radykalny krok na drodze całkowitego wyzwolenia robotów spod człowieczego jarzma. W tym celu, zasięgnawszy wprzód rady szeregu wybitnych prawników, nabył statek rakietowy i poleciał do stosunkowo bliskiej Mgławicy Kraba. W pustych, jedynie pyłem kosmicznym nawiedzanych jej przestworzach, dokonał nie znanych bliżej czynności, w toku których wybuchła niewiarygodna afery jego sukcesów. Rankiem 29 sierpnia wszystkie gazety przyniosły tajemniczą wieść: "PASTA POLKOS VI/221 donosi: w Mgławicy Kraba wykryto obiekt o rozmiarach 520 mil na 80 mil na 37 mil. Obiekt wykonuje ruchy podobne do pływania żabką. Dalsze rozpoznanie w toku".

Wydania popołudniowe wyjaśniały, że patrolowy statek policji kosmicznej VI/221 zauważył z odległości sześciu tygodni świetlnych "człowieka w mgławicy". Z bliska okazało się, że tak zwany człowiek jest wielusetmilowym olbrzymem, wyposażonym w tułów, głowę, ręce i nogi, że porusza się w rozrzedzonym ośrodku pyłowym; na widok statku policyjnego najpierw pokiwał mu ręką, a potem odwrócił się tyłem.

Nawiązano z nim, bez większych trudności, kontakt radiowy. Oświadczył wówczas chórem, że jest byłym Katodym Mattrassem, że, przybywszy przed dwoma laty na to upatrzone miejsce, przerobił się, korzystając częściowo z surowców miejscowych, na roboty, że dalej, z wolna, lecz nieustannie, będzie się powielał, bo mu to odpowiada i prosi, aby mu nie przeszkadzano.

Dowódca patrolu, pozornie przyjąwszy to oświadczenie za dobrą monetę, ukrył swój stateczek za chmurą meteorów, która się akurat nawinęła, i po pewnym czasie zauważył, że gigantyczny pseudocząłowiek po trosze dzielić się zaczyna na kawałki daleko mniejsze, rozmiarami nie przekraczające zwykłego wzrostu ludzkiego, i że te części czy też osobniki łączą się w taki sposób, że powstaje z nich coś w rodzaju niedużej, okrągłej planety.

Wyłoniwszy się wtedy z ukrycia, dowódca spytał przez radio rzekomego Mattrassa, co ma oznaczać ta kulista metamorfoza, jak również, kim właściwie jest: robotem czy człowiekiem?

Otrzymał odpowiedź, że zapytany przyjmuje takie kształty, jakie mu się żywnie podoba, że nie jest robotem, ponieważ powstał z człowieka, i nie jest człowiekiem, ponieważ takowy przebudował się w robota. Składania dalszych wyjaśnień odmówił stanowczo.

Sprawa ta, której prasa nadała znaczny rozgłos, jęła się z wolna przeradzać w skandal, ponieważ statki, mijające Kraba, chwytały strzępy radiowych rozmów, prowadzonych przez tak zwanego Mattrassa, w których nazywał się "Katodym Pierwszym A". O ile można się było zorientować, Katody Pierwszy A czy też Mattrass zwracał się do kogoś (do innych robotów?) jako do własnych swoich części, mniej więcej tak, jakby ktoś przemawiał do swych rąk czy nóg. Obłądana gadanina o Katodym Pierwszym A sugerowała, iż chodzi jak gdyby o jakieś, przez Mattrassa czy będące jego pochodną roboty, założone państwo. Departament Stanu

zarządził natychmiastowe dokładne zbadanie rzeczywistego stanu rzeczy. Patrole wyjaśniły, że raz porusza się w mgławicy metalowa sfera, a raz - człękokształtny stwór pięćsetmilowy, że rozmawia z sobą o tym i o owym, a co się tyczy jego państwowości, to udziela odpowiedzi wymijających.

Władze postanowiły niezwłocznie ukrócić postępowanie uzurpatora, lecz skoro akcja miała być (a taka być musiała) oficjalna, należało ją jakoś nazwać. Otóż tu wynikły pierwsze szkopyły. Ustawa Mac Racona stanowiła aneks do kodeksu postępowania cywilnego, który traktuje o ruchomościach. W samej rzeczy mózgi elektryczne uważane są za ruchomości, nawet jeśli nie mają nóg. Tymczasem osobliwe ciało w mgławicy rozmiarami dorównywało planetoidzie, a ciała niebieskie, choć się poruszają, uważane są za nieruchomości. Zachodziło pytanie, czy można aresztować planetę, jak również, czy może być planetą zbiór robotów, a wreszcie, czy to jest jeden robot rozbieralny, czy też ich mnóstwo.

Wtedy zgłosił się do władz radca prawny Matrassa i przedłożył im oświadczenie swego klienta, w którym ów stwierdzał, że wybiera się do Mgławicy Kraba, aby przerobić siebie na roboty.

Proponowana zrazu przez Wydział Prawny Departamentu Stanu wykładnia tego faktu brzmiała następująco:

Matrass, przerabiając się na roboty, unicestwił tym samym swój żywy organizm, a więc popełnił samobójstwo. Czyn ten nie jest karalny. Robot atoli lub roboty, będące kontynuacją Matrassa, zostały przez takowego sporządzone, były więc jego własnością i teraz, po jego śmierci, winny przejść na rzecz Skarbu Państwa, gdyż Matrass nie pozostawił spadkobierców. W oparciu o to orzeczenie Departament Stanu wysłał do Mgławicy komornika sądowego z poleceniem zajęcia i opieczętowania wszystkiego, co w niej zostanie.

Adwokat Matrassa złożył apelację, twierdząc, iż przyznanie w sentencji orzeczenia faktu kontynuacji Matrassa wyklucza samobójstwo, bo ktoś, kto jest kontynuowany, istnieje, a kto istnieje, ten nie popełnił samobójstwa. Tym samym nie ma żadnych "robotów będących własnością Matrassa", a jest tylko sam Katody Matrass, który przerobił się tak, jak mu się to podobało. Żadne przeróbki cielesne nie są i nie mogą być karalne: jak również nie wolno zajmować sądownie części czyjegoś ciała - czy będą to złote zęby, czy roboty.

Departament Stanu zakwestionował taką wykładnię sprawy, z której wynikało, że osobnik żywy, w tym wypadku człowiek, może być zbudowany z części najoczywistej martwych, mianowicie robotów. Wówczas adwokat Matrassa przedstawił władzom orzeczenie grupy czołowych fizyków z uniwersytetu w Harvard, którzy jednogłośnie zeznawali, iż każdy w ogóle żywy organizm, między innymi ludzki, zbudowany jest z cząstek atomowych, a te bez wątpienia należy uznać za martwe.

Widząc, jak niepokojący obrót zaczyna sprawa przybierać. Departament Stanu wycofał się z atakowania "Matrassa i sukcesorów" od strony fizykobiologicznej i wrócił do pierwotnego orzeczenia, w którym słowo "kontynuacja" zmieniono na słowo "wytwór". Wtedy adwokat niezwłocznie złożył w sądzie nowe oświadczenie Matrassa, w którym ten oznajmiał, iż tak zwane roboty są w rzeczywistości jego dziećmi. Departament Stanu zażądał przedstawienia aktu adopcji, co było manewrem podchwytliwym, gdyż usynowienia robotów ustawy nie dopuszczały. Adwokat Matrassa natychmiast wyjaśnił, że chodzi nie o usynowienie, lecz ojcostwo prawdziwe. Departament orzekł, iż w myśl obowiązujących przepisów dzieci muszą posiadać ojca i matkę. Adwokat, przygotowany na to, dołączył do akt sprawy pismo inżyniera elektryka Melanii Fortinbrass, która wyjawiała, iż przyjście na świat kwestionowanych osób zaszło w toku jej ścisłej z Matrasssem współpracy.

Departament Stanu zakwestionował charakter owej współpracy jako pozbawiony "naturalnych cech rodzicielskich". W wymienionym przypadku - głosiło rządowe expose - mówić można o ojcostwie, względnie macierzyństwie, jedynie w sposób przenośny, gdyż chodzi o rodzicielstwo duchowe, ustawy domagają się natomiast - aby w moc wejść mogło prawo rodzinne - cielesnego.

Adwokat Matrassa zażądał wyjaśnienia, czym różni się rodzicielstwo duchowe od cielesnego, a także, na jakiej podstawie Departament Stanu uważa skutki związku Katodego Matrassa z Melanią Fortinbrass za pozbawione fizycznego charakteru dziecięctwa.

Departament odparł, iż wkład sił duchowych w zgodne z literą prawa rodzinnego płodzenie dzieci jest nikły, czynności fizycznych atoli - przeważający. Co w przypadku omawianym nie zachodzi.

Adwokat przedstawił wtedy orzeczenie biegłych akuszerów cybernetycznych, wykazujące, jak bardzo, w sensie fizycznym, natrudzić się musieli Katody i Melania, aby na świat przyszło ich samoczynne potomstwo.

Departament zdecydował się wreszcie, nie bacząc na względy przystojności publicznej, na podjęcie kroku rozpaczliwego. Oświadczył, że czynności rodzicielskie, które w sposób przyczynowokonieczny poprzedzić muszą zaistnienie dzieci, w istotny sposób różnią się od programowania robotów.

Adwokat na to tylko czekał. Oznajmił, że w pewnym sensie i dzieci programowane są przez rodziców w trakcie czynności przygotowawczo-wstępnych, i zażądał, aby Departament określił dokładnie, jak, jego zdaniem, należy poczynić dzieci, aby to było zgodne z literą prawa.

Departament, wezwawszy do pomocy biegłych, przygotował obszerną odpowiedź, ilustrowaną odpowiednimi planszami i szkicami topograficznymi, ponieważ jednak autorem głównym tej tak zwanej "Różowej księgi" był osiemdziesięciodziewięcioletni profesor Truppledreck, senior połoźnictwa amerykańskiego, adwokat natychmiast zakwestionował jego kompetencję w przedmiocie czynności względem rodzicielstwa sprawczo-wstępnych, a to ze względu na fakt, iż, wskutek swego niezmiernie podeszłego wieku, starzec musiał utracić już pamięć szeregu krytycznych dla rozstrzygnięcia sprawy szczegółów i opierał się na rozmaitych pogłoskach i relacjach osób trzecich.

Departament postanowił wtedy wesprzeć "Różową księgę" zaprzysiężonymi zeznaniami licznych ojców i matek, ale wtedy wyszło na jaw, że ich oświadczenia miejscami różnią się od siebie dosyć znacznie. Niektóre elementy faz wstępnych nie zgadzały się ze sobą w wielu punktach. Departament, widząc, jak zgubna niejasność pochłaniać zaczyna ten problem kluczowy, zamierzał zrazu kwestionować materiał, z którego stworzone zostały tak zwane "dzieci" Matrassa i Fortinbrass, ale wtedy rozeszły się, rozpuszczane, jak się potem wyjawilo, przez adwokata pogłoski, iż Matrass zamówił w Corned Beef Company 450 000 ton cielęciny i podsekretarz stanu czym prędzej z projektowanego kroku zrezygnował.

Miał tego Departament, za nieszczęśliwym podszeptem profesora teologii, superintendenta Speritusa, powołał się na Biblię. Było to wielce nieopatrne, ponieważ adwokat Matrassa odparował to posunięcie obszernym elaboratem, w którym na podstawie cytatów wykazał, a Pan Bóg zaprogramował Ewę, wychodząc z jednej tylko części i działając w stosunku do metod, używanych zwyczajowo przez ludzi, zgoła ekstrawagancko, a przecież stworzył człowieka, bo wszak nikt zdrowy na umyśle nie uważa Ewy za robota. Departament wniósł wówczas oskarżenie Matrassa i jego sukcesorów o czyn kolidujący z ustawą Mac Płacona i innych, gdyż jako robot lub roboty wszedł w posiadanie ciała niebieskiego. Ustawa zaś zabrania robotom posiadania planety czy jakiegokolwiek innej nieruchomości.

Tym razem adwokat przedłożył Sądowi Najwyższemu wszystkie dotychczasowe akty skierowane przez Departament przeciw Matrassowi łącznie. Podkreślił, że, po pierwsze, z zestawienia pewnych ustępów akt wynika, jakoby, według Departamentu Stanu, Matrass był własnym swym ojcem i synem równocześnie, stanowiąc zarazem ciało niebieskie; po wtóre - oskarżył Departament o sprzeczną z prawem wykładnię ustawy Mac Płacona. Najdowolniej w świecie ciało pewnej osoby, mianowicie obywatela Katodego Matrassa, uznane zostało za planetę. Wywód oparty jest na absurdzie prawnym, logicznym i semantycznym. Tak się to zaczęło. Niebawem prasa nie pisała już o niczym, jak tylko o "Państwie - planecie - ojcu - synu". Władze wszczywały nowe postępowania, a każde utracił w zarodku niestrudzony adwokat

Mattrassa.

Departament Stanu rozumiał doskonale, że przewrotny Mattrass nie dla płóchej igraszki pływa, uwielokrotniwszy się, w Mgławicy Kraba. Szło mu o stworzenie precedensu prawem nie przewidzianego. Bezkarność Mattrassowego kroku groziła w przyszłości konsekwencjami zgoła nieobliczalnymi. Tak więc najtężsi specjaliści dniem i nocą ślęczeli nad aktami, koncypując coraz bardziej karkołomne konstrukcje jurystyczne, w których matni miał wreszcie znaleźć niechlubny koniec wyczyn Mattrassa. Ale każdą akcję udaremniała natychmiast kontrakcja Mattrassowego radcy prawnego. Sam z żywym zainteresowaniem śledziłem przebieg tych zmagania, gdy całkiem nieoczekiwanie otrzymałem zaproszenie Asocjacji Adwokackiej na specjalne posiedzenie plenarne, poświęcone problematyce wykładni "Casus Stany Zjednoczone contra Katody Mattrass, vel Katody Pierwszy A, vel owoce związku Mattrass et Fortinbrass, vel planeta w Mgławicy Kraba".

Nie omieszkałem udać się w wyznaczonym terminie na wskazane miejsce i zastałem salę wypełnioną już po brzegi. Kwiat palestry wypełniał ogromne łoże, piętra i szeregi parterowych foteli. Spóźniłem się nieco i obrady były już w toku. Siadłem w jednym z ostatnich rzędów i jałem przysłuchiwać się siwowłosemu mówcy.

- Dostojni koledzy! - rzekł, wznosząc z lubością ramiona. - Niezwykle trudności oczekują nas, gdy przystępujemy do prawnej analizy tego zagadnienia! Niejaki Mattrass przerobił się z pomocą niejakiej Fortinbrass na roboty i zarazem powiększył się w skali jeden do miliona. Tak wygląda rzecz z punktu widzenia laika, kompletnej ignorancji, świętej niewinności, niezdolnej dostrzec otchłani prawnych problemów, jaka otwiera się tu przed naszym wstrząśniętym okiem! Musimy rozstrzygnąć najpierw, z kim mamy do czynienia - z człowiekiem, robotem, państwem, planetą, dziećmi, szajką, konspiracją, zebraniem demonstracyjnym czy rokoszem. Proszę zważyć, jak wiele od rozstrzygnięcia zależy! Jeśli, na przykład, uznamy, że chodzi nie o państwo, lecz o samozwańcze zgrupowanie robotów, rodzaj elektrycznego zbiegowiska, to w tym przypadku obowiązywać będą nie normy prawa międzynarodowego, lecz zwykłe przepisy o naruszeniu porządku na drogach publicznych! Jeśli orzekniemy, iż Mattrass, mimo powielenia się, nie przestał istnieć, a jednak ma dzieci, to z tego będzie wynikało, że osobnik ten sam siebie urodził - sprawiając tym przeraźliwy kłopot legislacji, bo ustawy nasze tego nie przewidują, a wszak nullum crimen sine lege!! Dlatego proponuję, aby najpierw zabrał głos znakomity znawca prawa międzynarodowego, profesor Pingerling!

Czcigodny profesor, witany ciepłymi oklaskami, wstąpił na mównicę.

- Panowie!! - rzekł starczym, krzepkim głosem. - Zastanówmy się wpierw, jak się zakłada państwo. Zakłada się je, nieprawdaż, w sposób rozmaity; nasza ojczyzna, na przykład, była niegdyś kolonią angielską, następnie zaś proklamowała niepodległość i ukonstytuowała się w państwo. Czy zachodzi to w przypadku Mattrassa? Odpowiedź brzmi: jeżeli Mattrass, przerabiając się na roboty, był przy zdrowych zmysłach, to jego czyn państwowotwórczy można uznać za istniejący prawnie, przy uwzględnieniu dodatkowym, iż narodowość jego określimy jako elektryczną. Jeśli natomiast był on niespełna rozumu, to czyn ten prawnego uznania znaleźć nie może!!

Tu pośrodku sali zerwał się jakiś siwowłosy starzec, daleko bardziej sędziwy od mówcy, i zawołał:

- Wysoki Sądzie, to jest: Panowie! Pozwolę sobie zauważyć, iż nawet jeśli Mattrass był państwowotwórcą niepoczytalnym, to jednak potomkowie jego mogą być poczytalni, tak więc państwo, istniejące zrazu tylko jako produkt prywatnego obłądę, a więc mające charakter objawu chorobowego, zaczęło potem istnieć publicznie, de facto, przez samą zgodę jego elektrycznych obywateli na zaistniałą sytuację. Ponieważ zaś nikt nie może zakazać obywatelom jakiegoś państwa, którzy wszak sami tworzą jego system legislacyjny, uznawania zwierzchności choćby i najbardziej niepoczytalnej (jak uczy o tym historia, zdarzało się to nieraz), to tym samym istnienie Mattrassowego państwa de facto pociąga za sobą jego istnienie de iure!!

- Wybacz pan, mój szanowny oponente - rzekł profesor Pingerling - ale Mattrass był jednak naszym obywatelem, a więc...

- I cóż z tego?! - wykrzyknął zapalczywy starzec z sali. - Państwowotwórczość Mattrassa możemy uznać albo możemy jej nie uznać! Jeśli uznamy ją i powstało suwerenne państwo, to roszczenia nasze upadają. Jeśli jej nie uznamy, to albo mamy do czynienia z osobą prawną, albo nie. Jeśli nie, jeśli nie mamy przed sobą prawnej osobowości, to cały problem istnieje tylko dla zamiataczy Zakładu Oczyszczania Kosmosu, gdyż w Mgławicy Kraba jest kupa złomu - i zgromadzenie nasze w ogóle nie ma nad czym obradować! Jeśli mamy atoli przed sobą osobowość prawną, to wynika inna kwestia. Prawo kosmiczne przewiduje możliwość aresztowania, to jest pozbawienia wolności osoby prawnej i fizycznej na planecie albo na pokładzie statku. Na statku tak zwany Mattrass się nie znajduje. Raczej na planecie. Należy zatem zwrócić się o jego ekstradycję ale nie mamy do kogo się zwracać; poza tym planeta, na której on przebywa, jest nim samym. Tak zatem miejsce to z jedyne punktu widzenia, jaki nas obowiązuje, to jest: Majestatu Prawa, stanowi pustkę, coś w rodzaju jurysdycznej nicości, nicością zaś ani przepisy porządkowe, ani prawo karne, ani administracyjne, ani międzynarodowe się nie zajmują. Tak zatem słowa czcigodnego profesora Pingerlinga nie mogą problemu rozjaśnić, ponieważ problem ten w ogóle nie istnieje!!

Oślupiwszy taką konkluzją szanowne zgromadzenie, starzec usiadł.

W ciągu następnych sześciu godzin wysłuchałem około dwudziestu mówców, którzy dowodzili kolejno, w sposób logicznie ścisły i niezbity, że Mattrass istnieje, jak również, że nie istnieje; że założył państwo robotów, względnie składający się z takowych organizm; że Mattrass powinien iść na złom, gdyż przekroczył cały szereg ustaw; że żadnej nie przekraczał; pogląd mecenasa Wurpla, że Mattrass bywa bądź planetą, bądź robotem, bądź niczym zgoła, który miał, jako wypośrodkowany, zadowolić wszystkich, wywołał powszechną wściekłość i nie znalazł, poza jego twórcą, żadnego zwolennika. Wszystko to było wszakże błahostką wobec dalszego przebiegu obrad, gdyż nadasyntent Milger udowodnił, że Mattrass, przerabiając się na roboty, tym samym powielił swą osobowość i jest go teraz około trzystu tysięcy; ponieważ jednak mowy nie ma o tym, aby ta zbiorowość przedstawiała zgromadzenie różnych osób, jest bowiem tylko jedną i tą samą osobą, powtórzoną mnóstwo razy, to tym samym Mattrass jest jeden w trzystu tysiącach postaci.

Na co sędzia Wubbiehom oświadczył, że cały problem od początku rozpatrywano fałszywie: skoro Mattrass był człowiekiem i przerobił się na roboty, to te roboty nie są nim, lecz kimś innym; skoro są kimś innym, to należy dopiero zbadać, kim one są; ponieważ nie są żadnym człowiekiem, to nie są nikim; tak więc brak nie tylko problemu jurysdycznego, ale i fizycznego: gdyż w Mgławicy Kraba w ogóle nikogo nie ma. Już kilka razy zostałem dotkliwie poturbowany przez zaciekłych dyskutantów. Służba porządkowa, jak również sanitariusze, mieli pełne ręce roboty, gdy wtem rozległy się wołania, że na sali znajdują się przebrane za prawników mózgi elektryczne, które niezwłocznie należy usunąć, albowiem stronnictwo ich nie ulega wątpliwości, nie mówiąc już o tym, że nie mają prawa uczestniczenia w obradach. Jakoż przewodniczący, profesor Hurtleddrops, zaczął chodzić po sali z małym kompasikiem w ręku, a ilekroć igiełka jego zadrgała i zwracała się ku komuś z siedzących, przyciągana skrytym pod odzieżą żelastwem, natychmiast osobnika takiego demaskowano i wyrzucano za drzwi. W ten sposób opróżniono salę do połowy, podczas nieustających przemówień docentów Fittsa, Pittsa i Ciabentego, przy czym temu ostatniemu przerwano w pół słowa, gdyż kompas zdradził jego elektryczne pochodzenie. Po krótkiej przerwie, podczas której posilaliśmy się w bufecie, w zgiełku na sekundę nawet nie milknącej dyskusji, gdy wróciłem na salę, przytrzymując na sobie ubranie, bo rozsierzdzeni prawnicy, coraz chwytając mnie za guziki, oberwali mi je co do jednego - ujrzałem, obok podium, duży aparat Roentgena. Przemawiał mecenas Plussex, który orzekł, iż Mattrass jest przypadkowym fenomenem kosmicznym, gdy przewodniczący zbliżył się ku mnie z groźnym marsem i niepokojąco skaczącą w dłoni kompasową strzałką. Już służba porządkowa chwyciła mnie za kołnierz, gdy, wyrzuciwszy z kieszeni scyzoryk, nóż do konserw, dziurkowane jajko metalowe do parzenia

herbaty oraz oderwawszy od podwiązek przytrzymujące skarpetki sprzączki niklowane, przestałem oddziaływać na magnesową igłę i zostałem dopuszczony do dalszego udziału w obradach. Zdemaskowano czterdzieści trzy dalsze roboty, gdy pod-profesor Buttenham wyjawiał nam, że Mattrass może być traktowany jako rodzaj kosmicznego zbiegowiska - przypominałem sobie, że już była o tym mowa, widocznie prawnikom zaczynało brakować konceptu - kiedy znowu poszła w ruch kontrola. Teraz prześwietlano bez pardonu obradujących i okazało się, że ukrywali pod nieposzlakowane leżącymi ubraniami części plastikowe, korundowe, nylonowe, kryształowe, na koniec słomkowe. Podobno w jednym z ostatnich rzędów odkryto kogoś z włóczki. Gdy kolejny mówca zeszedł z podium, ujrzałem się sam jak palec pośród olbrzymiej pustej sali. Mówca został prześwietlony i natychmiast wyrzucony za drzwi. Wtedy przewodniczący, ostatni człowiek, który prócz mnie pozostał na sali, podszedł do mego fotela. Jakoś ni stąd, ni zowąd, sam nie wiem jak, wyjąłem mu z ręki kompasik, który zawirował oskarżające i obrócił się przeciw niemu. Postukałem go palcem w brzuch, a że zadźwięczał, odruchowo ująłem go za kołnierz, wyrzuciłem za drzwi i zostałem takim sposobem sam. Stałem, samotny, w obliczu kilkuset porzuconych teczek, grubych foliałów z aktami, meloników, lasek, kapeluszy, ksiąg w skórę oprawnych i kaloszy. I, pochodziwszy sobie jakiś czas po sali, widząc, że nie mam tu nic do roboty, odwróciłem się na pięcie i poszedłem do domu.

ZAKŁAD DOKTORA VLIPERDIUSA

Stało się to przez dentystę, który nałożył mi metalowe korony. Sprzedawczyni, do której uśmiechnąłem się w kiosku, wzięła mnie za robotę. Przekonałem się o tym dopiero w kolejce podziemnej, rozłożywszy gazetę. Był to "Kurier Bezludny". Nie przepadam za tym pismem, nie żebym miał jakieś anty-elektryczne uprzedzenia, ale nazbyt schlebia ono gustom czytelników. Całą pierwszą stronę zajmowała sentymentalna historia pewnego matematyka, który zakochał się w maszynie cyfrowej. Przy tabliczce mnożenia jeszcze się jakoś trzymał, ale kiedy doszło do rozwiązywania równań nieliniowych entego stopnia, począł namiętnie ścisnąć jej klawisze, powtarzając: "Najdroższa! Nigdy cię nie opuszczę!" itp. Zniesmaczony, zajrzałem do działu towarzyskiego - ale były tam tylko monotonne wyliczenia, kto, kiedy i z kim skonstruował potomstwo. Kolumnę literacką otwierał wiersz zaczynający się od zwrotki:

"Cóż to za robot piękny i młody,

I cóż to za robotniczka,

Ona mu z dzbana daje pentody

A on jej - wtyczki z koszyczka".

Dziwnie mi to jakoś przypominało skądinąd znane poezje, ale nie mogłem sobie przypomnieć ich autora. Były tam jeszcze wątpliwej jakości dowcipy na temat ludzi, o gnomistykach, specach od krasnoludków, o pochodzeniu skrzatów od krasnala jaskiniowego i podobne brednie. Ponieważ miałem jeszcze przed sobą pół godziny jazdy, wzięłem się do studiowania drobnych ogłoszeń - jak wiadomo i w lichym piśmie bywają one działem często ciekawym. Ale i tu czekało mnie rozczarowanie. Ktoś chciał odstąpić serwobrata, ktoś wyuczał korespondencyjnie kosmonautyki, ktoś inny ogłaszał się, że rozbija na poczekaniu jądro atomowe.

Złożyłem gazetę, by ją wyrzucić i wzrok mój padł wtedy na spory anons w ramce: "Zakład doktora Vliiperdiusa - leczenie chorób nerwowych i psychicznych".

Wyznać muszę, że problematyka demencji elektrycznej zawsze mnie pociągała. Pomyślałem sobie, że wizyta w podobnym sanatorium mogłaby niejedno przynieść. Nie znałem osobiście Vliiperdiusa, ale nazwisko nie było mi obce: opowiadał mi o nim profesor Tarantoga. To, co przyjdzie mi na myśl, zwykłem realizować natychmiast.

Po powrocie do domu zatelefonowałem więc do sanatorium. Doktor Vliiperdius zrazu wyrażał zastrzeżenia, ale gdym się powołał na naszego wspólnego znajomego, Tarantogę, zmiękł. Wyprosiłem wizytę w dniu następnym, bo była to niedziela i miałem przed południem sporo wolnego czasu. Jakoż po śniadaniu pojechałem za miasto, gdzie w okolicy słynnej z małych jezior znajdował się malowniczo położony w starym parku zakład psychiatryczny. Vliiperdius - jak mi powiedziano - oczekiwał mię w gabinecie. Budynek wypełniało słońce, bo ściany były po nowoczesnemu z aluminium i szkła. Na sufitach widniały barwne paneau z igrającymi robotami. Ponurym nie dałoby się nazwać tego szpitala; z niewidzialnych sal dochodziły dźwięki muzyki, przechodząc przez hali zauważyłem chińskie łamigłówki, barwne albumy i rzeźbę przedstawiającą śmiały akt robótki.

Doktor nie ruszył się z miejsca za obszernym biurkiem, ale okazał mi wiele uprzejmości: jak się dowiedziałem, czytał i znał doskonale niejedną z mych książek podróżniczych. Niewątpliwie był nieco staromodny, nie tylko w manierach, bo zupełnie po staroświecku był przymocowany do podłogi, jak jakiś archaiczny Eniak. Być może nie powściągnąłem zdziwienia, widząc jego żelazne nóżki, bo rzekł, śmiejąc się:

- Wie pan, ja tak oddany jestem mej pracy, mym pacjentom, że nie odczuwam najmniejszej potrzeby opuszczania zakładu!

Wiem, jak czuli bywają psychiatrzy na punkcie swej specjalności, a także, jak razi ich postawa przeciętnego człowieka, doszukującego się egzotyki i monstrialności w umysłowych aberracjach, bardzo więc ostrożnie wyłuszczyłem moja prośbę. Doktor odchrząknął, zamyślił się, zwiększył sobie napięcie anodowe i powiedział:

- Jeśli panu na tym zależy... ale myślę, że się pan rozczaruje. Obecnie nie ma już szalonych robotów, panie Tichy, to stare dzieje. Stosujemy terapię nowoczesną. Metody minionego stulecia - to glejowanie przewodów, by główna rura zmiękła, używanie dławików i innych narzędzi tortur - należą już do historii medycyny. Hm. Jak by to panu najlepiej zademonstrować? Może pójdzie pan po prostu do parku i zaznajomi się tam bezpośrednio z naszymi kuracjuszami. Są to osoby nader subtelne i kulturalne. - Mam nadzieję, że wszelka - ehm - awersja - jakiś nierozsądny lęk w obliczu drobnych dewiacji są panu obce...?

Zapewniłem, że tak właśnie jest, zaczem Vliiperdius przeprosił, że nie może niestety towarzyszyć mi podczas przechadzki, wskazał drogę i poprosił, abym zaszedł jeszcze do niego w drodze powrotnej.

Zeszedłem po schodach, minąłem szerokie werandy i znalazłem się na zwirowanym podjeździe. Wokół roztaczał się park pełen kwiatowych klombów i wyszukanych palm. W głębi po sadzawce pływało stadko łabędzie, pacjenci karmili je, inni oddawali się na kolorowych ławeczkach grze w szachy bądź pogawędkom towarzyskim. Szedłem wolno przed siebie, gdy ktoś zawołał mnie po nazwisku. Odwróciłem się i stanąłem oko w oko z najzupełniej obcym mi indywiduum.

- Tichy! To pan!?! - powtórzył ów osobnik, podając mi rękę. Uścisnąłem ją, darmo usiłując sobie przypomnieć, kto też to może być.

- Widzę, że pan mnie nie poznaje. Jestem Prolaps... pracowałem w "Almanachu Kosmicznym"...

- Ach prawda! przepraszam - wybąkałem. Oczywiście był to Prolaps, ten pocziwy

linotyp, który drukował wszystkie bez mała moje książki. Bardzo go ceniłem, był prawdziwie niezawodny. Ujął mnie poufale pod ramię i ruszyliśmy cienistą aleją. Plamy światła i cienia ożywiały pogodne oblicze mego towarzysza. Rozmawialiśmy dobrą chwilę o nowościach wydawniczych; wyrażał się jak zawsze precyzyjnie, z właściwą sobie przenikliwością, był w doskonałej formie intelektualnej. Nie zauważyłem w nim ani śladu nienormalności. Ale kiedyśmy doszli do małej altanki i siedli na kamiennej ławie, zniżając głos do konfidencjonalnego szeptu, spytał:

- Ale co pan tu właściwie robi?... Czy pana też podmieniono...?

- Wie pan, przyszedłem tu z własnej woli, bo...

- Jasne! Ja też! - wpadł mi w słowa. - Kiedy zdarzył mi się ten wypadek, zwracałem się zrazu do policji, ale rychło pojąłem, jakie to daremne. Znajomi doradzili mi Vliiperdiusa - odniósł się do mojej sprawy zupełnie inaczej! Prowadzi poszukiwania i pewien jestem, że już wkrótce znajdzie...

- Przepraszam, co takiego? - spytałem.

- No, jakże? Moje ciało.

- Aha... ach, tak... - skinałem kilka razy głową, starając się opanować odruch zaskoczenia. Ale Prolaps niczego nie zauważył.

- Pamiętam doskonale ten dzień, 26 czerwca - mówił, nagle zasępiiony. - Siadając do stołu, aby przeczytać gazetę, zabręczałem. Zwróciło to moją uwagę, no bo niechże pan sam powie, który człowiek siadając brzęczy!? Macam nogi - dziwnie twarde, ręce - to samo, obstukałem się i nagle zrozumiałem, że mnie zamieniono! Ktoś dopuścił się niecnego fałszerstwa - zacząłem szukać po całym mieszkaniu, ani śladu, musieli wynieść chyłkiem w nocy...

- To znaczy... co wynieść?

- Przecież mówiłem! Moje ciało. Moje naturalne ciało, wszak widzi pan, że TO - postukał się po piersi, aż zadzwoniła - jest sztuczne...

- A, oczywiście! Nie zorientowałem się... jasne...

- Czy pan może też...? - spytał z pewną nadzieją w głosie. Nagle chwycił moją rękę i uderzył nią w kamienną taflę stołu, przy którym siedzieliśmy, tak że jęknąłem. Puścił ją rozczarowany.

- Przepraszam, zdawało mi się, że błyszczący - mruknął.

Zrozumiałem już, że ma się za człowieka, któremu skradziono ciało, i jak to zwykle chorzy, którzy bardzo lubią mieć wokół siebie towarzyszy niedoli, spodziewał się, że i mnie to samo się przydarzyło.

Rozcierałem pod stołem stłuczoną rękę, starając się zmienić temat rozmowy, ale on zaczął teraz z lubością i rozrzewnieniem opisywać uroki dawnej swojej cielesności, rozwódził się nad blond grzywką, jaką rzekomo posiadał, nad atłasowością policzków, nawet nad katarem - nie wiedziałem, jak się od niego odczepić, bo czułem się coraz bardziej głupio. Ale Prolaps sam wybawił mię z niezręcznego położenia. Zerwał się bowiem raptownie, krzyknął: O, zdaje się, że ONO tam idzie!! - i popędził na przełaj przez trawniki za jakąś niewyraźną sylwetką. Siedziałem jeszcze, pogrążony w myślach, kiedy ktoś odezwał się zza moich pleców:

- Przepraszam, można?

- Ależ proszę bardzo... - odparłem.

Przybyły usiadł i objął mnie nieruchomym spojrzeniem, jakby chciał mię zahipnotyzować. Długo patrzył na moją twarz i na ręce z wyrazem rosnącej

żałości. Nareszcie zajrzał mi głęboko w oczy z takim bezmiernym politowaniem, a zarazem z taką słodyczą, że zmieszałem się. Nie wiedziałem, co to ma oznaczać. Milczenie między nami narastało, usiłowałem je przerwać, ale nie mogłem znaleźć żadnego obojętnego zdania, aby rozpocząć rozmowę: wzrok jego wyrażał bowiem już zbyt wiele i zarazem nazbyt mało.

- Biedaku... - rzekł cicho, z niewymowną czułością w głosie - jakże ci współczuję.,.

- Kiedy bo... wie pan,.. właściwie... - zacząłem, by odgrodzić się jakimikolwiek słowami od niepojętego nadmiaru litości, jaką mnie otoczył.

- Proszę nic nie mówić, rozumiem wszystko. Więcej, niż sądzisz. Wiem i to, że masz mnie za wariata.

- Ale skądże znowu - usiłowałem zaprzeczyć, ale przerwał mi stanowczym ruchem.

- W pewnym sensie jestem wariatem - rzekł prawie majestatycznie. - Jak Galileusz, Newton, jak Giordano Bruno. Gdyby poglądy moje były tylko rozumowe... ba! Ale ważniejsze bywają uczucia. Jakże lituję się nad tobą, ofiario Wszechświata! Cóż to za nieszczęście, co za pułapka bez wyjścia - życie...

- Zapewne, życie bywa kłopotliwe - zacząłem szybko, znalazłszy wreszcie jakiś punkt zaczepienia - wszelako, jako fenomen poniekąd naturalny...

- Otóż to! - przygwoździł moje ostatnie słowo - naturalny! Czy jest coś lichszego od Natury? Uczeni, filozofowie próbowali zawsze wyjaśniać Naturę, nieszczęśniku, podczas kiedy należy ją znieść!

- W całości...? - spytałem, mimo woli zafascynowany tak radykalnym postawieniem sprawy.

- Tylko tak! - odparł kategorycznie. - Proszę spojrzeć na to.

Delikatnie, jak jaką gąsienicę, godną obejrzenia, ale zarazem obrzydliwą (wstręt ów starał się poskromić), podniósł moją dłoń i trzymając ją między nami, jak dziwny okaz, ciągnął cicho, lecz z naciskiem:

- Jakie to wodniste... jakie ciapkowate... grzaskie... Białka! Ach, te białka... Serek, który porusza się jakiś czas - myślący nabiał - tragiczny produkt mleczarskiego nieporozumienia, chodząca bylejakość...

- Przepraszam, ale...

Nie zwracał na moje słowa najmniejszej uwagi. Schowałem szybko pod stół dłoń, którą puścił, jakby nie był dłużej w stanie znieść jej dotyku, położył mi za to rękę na głowie. Była niesamowicie ciężka.

- Jak można! Jak można produkować coś takiego! - powtarzał, zwiększając nacisk na moją czaszkę, że odczułem ból, ale nie śmiałem protestować. - Jakieś guzki, dziurki... kalafiorki - żelaznym dotykiem trącał mój nos i uszy - i to ma być istota rozumna? Hańba! Hańba, powiadam! ! Wiele warta jest Natura, która po czterech miliardach lat wytwarza COŚ TAKIEGO!?

Tu odtrącił moją głowę, aż rozchwierutała się i zobaczyłem wszystkie gwiazdy.

- Dajcie mi jeden, jedyny miliard, a zobaczycie, co stworzę!!

- Zapewne, niedoskonałość ewolucji biologicznej... - zacząłem, lecz nie dał mi dojść do słowa.

- Niedoskonałość!? - parsknął. - Wybiórki! Tandeta! Skończone partactwo! Kiedy nie umie się zrobić czegoś porządnie, nie należy tego robić wcale!

- Nie chciałbym niczego usprawiedliwiać - rzuciłem szybko - ale Natura robiła, uważa pan, z tego, co miała do dyspozycji. W pierwotnym oceanie...

- Pływało śmiecie!! - dokończył tak głośno, że drgnąłem. - Czy nie tak? Gwiazda wybuchła, powstały planety, a z odpadków, które nie nadają się do niczego, ze zlepków i resztek powstało życie! Dosyć! Dość tych pękających słońc, idiotycznych galaktyk, uduchowionego śluzu - dosyć!

- Jednakże atomy... - zacząłem. Nie dał mi dokończyć. Widziałem już pielęgniarzy zbliżających się trawnikiem: zwabiły ich krzyki mego interlokutora.

- Gwiżdżę na atomy! - huknął. Ujęli go z dwóch stron pod pachy. Dał się podnieść, ale patrząc na mnie - siedł bowiem tyłem, niby rak - wołał, aż rozlegało się po całym parku:

- Należy inwolnować! Słyszysz, blada zupo koloidowa!? Zamiast odkryć, trzeba robić zakrycia, zakrywać coraz więcej, by nie zostało nic, ty kleju na kościach wieszany! Tak trzeba! Tylko przez regres ku progresowi! Unieważniać! Uwsteczniać! Znosić! Przyroda - won! Precz z Naturą! Preeeeecz!!!

Jego słabnące okrzyki dochodziły mnie z coraz większej dali, i znów ciszę przepięknego południa wypełniło bzykanie pszczoł i wonie kwiatów, Pomyślałem, że doktor Vliperdius przesadził jednak, mówiąc o zaniku szalowych robotów. Widać nie zawsze skutkowały nowe metody terapeutyczne. Samo jednak przeżycie, wysłuchany przed chwilą a nie przebierający w słowach paszkwil na Naturę, wydały mi się warte tych paru siniaków i guza na głowie. Dowiedziałem się później, że robot ów, były analizator harmoniczných szeregów Fourriera, stworzył własną teorię bytu, która polegać ma na gromadzeniu odkryć przez cywilizację, aż dochodzi do ich takiego nadmiaru, że nie ma innego wyjścia, jak tylko ich kolejne zakrywanie. W ten sposób, po pełnym dokonaniu dzieła, nie ma miejsca nie tylko na cywilizację, ale i na Kosmos, który ją wydał. Następuje totalna likwidacja postępową i cały cykl zaczyna się od początku. On sam uważał się za proroka drugiej, zakrywczey fazy rozwoju. Zamknięto go w zakładzie Vliperdiusa na żądanie rodziny, kiedy od rozbierania znajomych i krewnych przeszedł do demontażu osób trzecich.

Opuściwszy altanę, jakiś czas przyglądałem się łabędziom. Obok mnie jakiś dziwak rzucał im pocięte kawałki drutu. Powiedziałem, że łabędzie nie jadają tego.

- Nie zależy mi na tym, by go jadły - odparł, kontynuując swą czynność.

- Ale mogą się udławić, byłaby szkoda - rzekłem.

- Nie udławiają się, bo drut tonie. Jest cięższy od wody - wyjaśnił rzeczowo.

- Więc po co pan go rzuca?

- Bo lubię karmić łabędzie.

Temat został wyczerpany. Kiedyśmy odeszli od sadzawki, zawiązała się rozmowa. Jak się okazało, miałem do czynienia ze słynnym filozofem, twórcą ontologii nicości, inaczej neantologii, kontynuatorem dzieła Gorgiasza z Leontinoi - profesorem Urlipanem. Profesor długo i szeroko opowiadał mi o najnowszym rozwinięciu swej teorii. Według niego nie istnieje nic, nawet on sam. Nicość bytu jest doskonale wsobna. Fakty pozornego istnienia tego i owego nie mają najmniejszego znaczenia, ponieważ rozumowanie, zgodne z brzytwą Ockhama, biegnie tak: pozornie istnieje jawa, czyli realność, i sen. Ale hipoteza jawy jest niekonieczna. Istnieje więc sen. Ale sen wymaga śniącego. Otóż, postulowanie kogoś, kto śni, jest znów hipotezą niekonieczną, bo czasem bywa, że we śnie śni się inny sen. Otóż, wszystko jest snem, który śni się następnemu snowi i tak w nieskończoność. Ponieważ - to punkt najważniejszy - każdy następny sen jest mniej realny od poprzedniego (sen graniczny bezpośrednio z realnością, natomiast sen śniony we śnie graniczny z nią pośrednio, przez sen, trzeci z kolei przez dwa sny, i tak dalej) - więc granicą tego ciągu jest zero. Ergo, w ostatniej

instancji sni się nikomu - zero, ergo istnieje tylko nicość, to jest: nie ma nic. Doskonała ścisłość wyводу wprawiła mnie w zachwyt. Nie rozumiałem tylko, czemu profesor Urlipan znajduje się w tym miejscu. Jak się okazało, nieszczęsny filozof zwariował - sam mi to wyznał. Szaleństwo jego polegało na tym, że przestał wierzyć w swą doktrynę i miewał chwile, w których zdawało mu się, że trochę jednak jest. Doktor Vliperdius miał go z tego obłądu wyleczyć.

Potem zwiedziłem oddziały szpitalne. Zapoznałem się z pewną starozakonną maszyną cyfrową, która cierpiała na uwiad starczy i nie mogła się doliczyć dziesięciu przykazań. Byłem i na oddziale elektrosteników, gdzie leczą natręctwa - jeden z pacjentów bezustannie rozkręcał się, czym się tylko dało, i wciąż odbierano mu narzędzia, które ukrywał.

Pewien mózg elektryczny, pracownik astronomicznego obserwatorium, przez trzydzieści lat modelujący gwiazdy, miał się za Sigmę Wieloryba i wciąż groził, że lada chwila wybuchnie jako Supernowa. Tak wypadało mu z obliczeń. Był tam też jeden, który błagał, aby go przerobiono na magiel elektryczny, gdyż miał dość uduchowionej egzystencji.

- U maniaków było weselej, grupa ich siedziała przy żelaznych łózkach i grając na siatkach jak na harfach, śpiewała chórem "Hej przeleciał robot, wydał cichy chrobot, małe śrubki na nim zadrżały", jak również "Ja myślałam, że to koty, co za pierwsze idą płoty, a to roboty, roboty" i tak dalej.

Oprowadzający asystent Vliperdiusa opowiedział mi, że w zakładzie przebywał niedawno pewien ksiądz-robot, który nosił się z zamiarem założenia zakonu cyberyków, ale tak mu się już polepszyło pod wpływem kuracji wstrząsowej, że wrócił do właściwego swego zajęcia - sporządzania bilansów bankowych. Kiedy wracałem już z młodym asystentem, spotkałem w korytarzu chorego, który ciągnął za sobą wyładowany ciężko wózek. Osobnik ów przedstawiał osobliwy wygląd, cały był bowiem powiązany sznurkami.

- Nie ma pan przypadkiem młotka? - spytał.

- Nie.

- Szkoda. Boli mnie głowa.

Wdał się ze mną w rozmowę. Był to robot-hipochondryk. Na skrzypiącym wózku woził kompletny zestaw części wymiennych. Po dziesięciu minutach wiedziałem już, jak łupie go podczas burzy w krzyżach, jak wszystko cierpnie mu przy telewizorze i jak iskrzy mu się w oczach, kiedy ktoś niedaleko głaszczce kota. Było to dość monotonne, opuściłem go więc szybko i udałem się do dyrektora zakładu. Był jednak zajęty, dlatego poprosiłem sekretarkę, aby złożyła mu moje uszanowanie, i udałem się do domu.

DOKTOR DIAGORAS

Nie mogłem uczestniczyć w XVIII Międzynarodowym Kongresie Cybernetycznym, ale starałem się śledzić jego przebieg w gazetach. Nie było to łatwe, reporterzy mają bowiem szczególny dar przekręcania danych naukowych. Im jednak tylko zawdzięczam poznanie doktora Diagorasa, z wystąpienia bowiem jego uczynili sensację sezonu ogórkowego. Gdybym miał w owym czasie do dyspozycji pisma fachowe, nawet nie dowiedziałbym się o istnieniu tego osobliwego człowieka, wymieniono go bowiem tylko na liście uczestników, ale treść jego wykładu pominięto. Z gazet dowiedziałem się, że wystąpienie jego było haniebne, że gdyby nie dyplomatyczna roztropność prezydium, doszłoby do skandalu, ten nie znany bowiem nikomu samowładny reformator nauki obrzucił najznakomitsze autorytety, obecne na sali, wyzwiskami, a kiedy odebrano mu głos, rozbił łaską mikrofon. Epitety, jakimi poczęstował luminarzy nauki, przekazała prasa niemal w całości, natomiast o co temu człowiekowi właściwie szło, przemilczano tak dokładnie, że

wzbudziło to moją ciekawość.

Wróciwszy do domu, zacząłem szukać śladów doktora Diagorasa, ale ani w rocznikach "Problemów Cybernetycznych", ani w wielkim wydaniu najnowszym "Who is who" nie znalazłem jego nazwiska. Zatelefonowałem więc do profesora Corcorana; oświadczył, że nie zna adresu "tego pomyleńca", a gdyby go nawet znał, także by mi go nie podał. Tego tylko brakowało, bym zajął się Diagorasem na dobre. Umieściłem w prasie szereg ogłoszeń, które nad mój podziw rychło poskutkowały. Dostałem list, suchy i zwięzły, pisany w tonie raczej nieprzyjaznym; niemniej tajemniczy doktor godził się przyjąć mnie "w swej posiadłości" na Krecie. Jak powiedziała mi mapa, posiadłość ową dzieliło zaledwie sześćdziesiąt mil od miejsca, w którym żył legendarny Minotaur.

Cybernetyk z własną posiadłością na Krecie, trawiący samotnie czas na zagadkowych pracach! Tego samego dnia po południu leciałem do Aten. Połączenia lotniczego dalej nie było, ale dostałem się na statek, który rankiem przybił do wyspy. Wynajętym autem dojechałem do rozwidlenia dróg; droga była kiepska, upał; okoliczne wzgórza miały barwę wypalanej miedzi, samochód, moją walizkę, ubranie, twarz wreszcie pokrywał kurz.

Na przestrzeni ostatnich kilometrów nie spotkałem żywego ducha i nie było kogo pytać o dalszą drogę. Diagoras napisał w liście, bym zatrzymał się przy trzydziestym kamieniu milowym, bo dalej nie przejadę; postawiłem więc auto w lichym cieniu pinii i wzięłem się do penetrowania nieprzejrzonego otoczenia. Teren porastała typowa śródziemnomorska roślinność, tak niewdzięczna przy bliższym z nią zetknięciu: mowy nie ma o tym, aby zboczyć z jakiejś ścieżki, bo ubranie natychmiast chwytają spalone słońcem, kolczaste gąszcze. Błądziłem tak po kamienistych wertepach bez mała trzy godziny, oblewając się potem. Złość mię brała na własny nierozsądek, bo cóż mnie w końcu obchodził ów człowiek i jego historia? Wyruszając w drogę około południa, więc w największym upale, nie zjadłem obiadu, a teraz głód ssał wnętrzości. Wróciłem w końcu do auta, które wysunęło się już z wąskiej smugi cienia i jego skórzane poduszki prażyły jak piec, a całe wnętrze przenikał wywołujący mdłości zapach benzyny i rozgrzanego lakieru.

Nagle spoza zakrętu wyłoniła się samotna owca, podeszła do mnie, zabeczała głosem, przypominającym ludzki, i podreptała w bok; gdy znikła mi z oczu, dostrzegłem wąską ścieżkę, którą pięła się po stoku. Oczekiwałem jakiegoś pasterza, ale owca znikła i nikt się nie ukazał.

Choć nie był to szczególnie godny zaufania przewodnik, wysiadłem powtórnie z auta i jałem przedzierać się przez gęstwinę. Niebawem droga stała się wygodniejsza. Zmierzchało już, kiedy za małym cytrynowym zagajnikiem zarysowały się kontury sporego budynku. Zarośla ustąpiły trawie tak suchej, że pod stopami szeleściła jak spalony papier. Dom, bezkształtny, ciemny, wyjątkowo brzydki, z resztkami spękanego portalu, otaczała w wielkim promieniu wysoka siatka druciana. Słońce zachodziło, a ja wciąż jeszcze nie mogłem znaleźć wejścia; zacząłem głośno wołać, ale bez skutku - wszystkie okna były na głucho zamknięte okiennicami, i traciłem już nadzieję że w środku ktoś jest, kiedy brama otworzyła się i ukazał się w niej człowiek.

Gestem wskazał, w którą mam iść stronę, furka znajdowała się w takim gąszczu, że nie domyśliłbym się nigdy jej istnienia. Osłaniając twarz przed kolącymi gałęziami, dobrnąłem do niej; była już otwarta z klucza. Człowiek, który ją otworzył, wyglądał na jakiegoś montera czy rzeźnika. Był to brzuchacz o krótkiej szyi, w przepoconej mycce na łysej głowie, bez surduta, gdyż na koszuli z podwiniętymi rękawami miał długi, ceratowy fartuch.

- Przepraszam - czy tu mieszka doktor Diagoras? - spytałem. Podniósł na mnie swą pozbawioną wyrazu twarz, jakby zbyt wielką, niekształtną, z obwisłymi policzkami. Mogła to być twarz rzeźnika. Ale oczy w niej były jasne i ostre jak nóż; nie odezwał się ani słowem, popatrzył tylko na mnie i pojąłem, że to właśnie on.

- Przepraszam - powtórzyłem - doktor Diagoras, prawda?

Podał mi rękę, małą i miękką jak u kobiety, która uścisnęła moją z nadspodziewaną siłą. Poruszył skórą głowy, przy czym mycka przesunęła mu się na potylicę, wsadził obie ręce do kieszeni fartucha i spytał z odcieniem obojętnej wzgardliwości:

- Czego pan właściwie chce ode mnie?

- Niczego - odparłem natychmiast. Wybrałem się w tę podróż bez namysłu, przygotowany byłem na niejedno; chciałem poznać tego nietuzinkowego człowieka, ale nie godziłem się na to, by mnie obrażał. Układałem już sobie w głowie plan powrotu, a on patrzył na mnie, patrzył, aż rzekł:

- Chyba że tak. Proszę za mną...

Był już wieczór. Poprowadził mnie ku temu ponuremu domostwu, wszedł w mroczną sień, a kiedy wstąpiłem tam za nim, rozległo się kamienne echo, jakbyśmy się znaleźli we wnętrzu kościelnej nawy. Gospodarz odnajdywał w tej ciemności drogę z największą łatwością; nie ostrzegł mnie nawet przed stopniem schodów, tak że potknąłem się i klnąc w myśli, szedłem na górę, gdzie mżył słaby poblask uchylonych drzwi.

Weszliśmy do pokoju o jednym tylko, zasłoniętym oknie. Kształt tego pomieszczenia, nade wszystko zaś nadzwyczaj wysoki, łukowy strop, nasuwał myśl o wnętrzu baszty raczej aniżeli domu mieszkalnym. Zastawiały go ogromne, czarne sprzęty o osłepłej ze starości politurze, krzesła o powykręcanych rzeźbami, niewygodnych oparciach, na ścianach wisiały owalne miniatury, w kącie zaś stał zegar, istna forteca o cyferblacie z polerowanej miedzi i wahadle rozmiarów tarczy helleńskiej.

W pokoju było dość ciemno - blask żarówek, ukrytych wewnątrz skomplikowanej lampy, osłoniętej zaproszonymi abażurami, oświetlał jako tako tylko kwadratowy stół. Mroczne ściany o brudnorudawych obiciach spijały światło, że wszystkie kąty były czarne. Diagoras stał przy stole, z rękami w kieszeniach fartucha; wyglądało na to, że na coś czekamy. Postawiłem walizkę na podłodze, gdy wielki zegar zaczął wydzwaniać godzinę. Dźwiękiem czystym, silnym wybił ósma; potem coś w nim zachrobotało i rozległ się nagle starczy, krzepki głos:

- Diagoras! Ty łajdaku. Gdzie jesteś! Jak śmiesz ze mną tak postępować! Odezwij się! Słyszysz!? Na Boga! Diagoras... wszystko ma swoje granice! - W słowach tych drgała zarazem wściekłość i rozpacz. Nie to mię jednak najbardziej zdumiało. Poznałem ów głos: należał do profesora Corcorana.

- Jeżeli się nie odezwiesz... - padały groźące słowa, gdy wtem powtórnie zachrząścił zegarowy mechanizm i wszystko umilkło.

- Cóż to... - powiedziałem - wprawił pan gramofon w to czcigodne pudło? Czy nie szkoda czasu na takie zabawki?

Powiedziałem tak umyślnie, bo chciałem go dotknąć. Ale Diagoras, jakby nie słysząc, pociągnął za sznurek i znów ten sam chrapliwy głos wypełnił pokój:

- Diagoras, pożałujesz tego... możesz być pewien! Wszystko, czego doznałeś, nie usprawiedliwia zniewagi, jaką mi wyrządzasz! Myślisz, że poniżę się do próśb...?

- Już to zrobiłeś - rzucił od niechcienia tamten.

- Kłamiesz! Jesteś łotrem, po trzykroć łotrem, niegodnym miana uczonego! Świat dowie się o twojej...

Zębate kółka obróciły się kilka razy i znów zapanowała cisza.

- Gramofon...? - z siebie tylko zrozumiałym przekąsem powiedział Diagoras. -

Gramofon, co...? Nie, mój panie. W kurancie jest profesor Corcoran in persona, a raczej in spiritu suo, żeby tak rzec. Uwieczniłem go, dla kaprysu, ale cóż w tym złego?

- Jak to rozumieć... ? - wybełkotałem. Grubas namyślał się, czy wart jestem odpowiedzi.

- Dosłownie - rzekł wreszcie - zakomponowałem wszystkie cechy jego osobowości... wmodelowałem je w odpowiedni układ, zminiaturyzowałem elektronicznie jego duszę i tak powstał wiemy portret znamienitej owej osoby... usadowiony w tym zegarze...

- Powiada pan, że to nie jest tylko utrwalony głos? Wzruszył ramionami.

- Proszę samemu spróbować. Można wdać się z nim w pogawędkę, chociaż nie cieszy się najlepszym usposobieniem, co jednak, w tych okolicznościach, dość zrozumiałe... Chce pan z nim mówić? - wskazał mi sznurek kuranta - proszę...

- Nie - odparłem. Co to właściwie było? Szaleństwo? Dziwaczny, makabryczny żart? Zemsta?

- Ale prawdziwy Corcoran jest w tej chwili w swoim laboratorium, w Europie... - dorzuciłem.

- Istotnie. To tylko jego portret duchowy. Ale portret doskonale wierny, nie ustępujący w niczym oryginałowi...

- Po co pan to zrobił?...

- Było mi to potrzebne. Musiałem kiedyś wymodelować mózg ludzki; był to wstęp do innego, trudniejszego problemu. Osoba nie miała tu znaczenia; Corcorana wybrałem... bo ja wiem... dlatego, że tak mi się spodobało. On sam stworzył tyle myślących skrzyń - pomyślałem, że byłoby zabawne zamknąć go w jednej z nich, zwłaszcza w roli pozytywki.

- Czy on wie... ? - rzuciłem szybko, kiedy odwracał się już ku drzwiom.

- Owszem - odparł obojętnym tonem. - Umożliwiłem mu nawet rozmowę... z sobą samym - telefoniczną, rozumie się. Ale mniejsza o to; nie chciałem popisywać się przed panem; to zbieg okoliczności, że właśnie biła ósma, kiedy pan przyszedł...

Z bardzo mieszanymi uczuciami podążyłem za nim przez korytarz, w którym, okryte pajęczynami i mrokiem, sterczały pod ścianami jakieś metalowe szkielety, przypominające kości prehistorycznych płazów czy raczej ich szczątki wykopaliskowe. Korytarz kończył się drzwiami, za którymi panowała ciemność. Usłyszałem trzask przekręcanego kontaktu. Staliśmy na kamiennych, krętych schodach. Diagoras poszedł pierwszy, jego rozplaszczony, kaczkowaty cień poruszał się po murze spojonym z brył kamiennych. Zatrzymaliśmy się u metalowych drzwi, otworzył je z klucza. W twarz buchnęło mi zastałe, nagrzane powietrze. Zapłonęło światło. Nie byliśmy - jak się tego spodziewałem - w laboratorium. Jeśli owo długie, z przejściem pośrodku, pomieszczenie przypominało cokolwiek, to chyba menażerię wędrownego cyrku. Po obu stronach stały klatki. Szedłem za Diagorasem, który, z pasami fartucha krzyżującymi się na plecach, w przepoczonej koszuli, wyglądał jak jakiś dozorca zwierząt.

Klatki zamykała od naszej strony druciana siatka. W ciemnych boksach majaczyły za nią niewyraźne kształty - jakichś maszyn? pras? - w każdym razie żadnych żywych stworzeń. A jednak wciągnąłem odruchowo powietrze, jakbym oczekiwał charakterystycznego śwędu dzikich zwierząt. W powietrzu wisiała jednak tylko woń chemikaliów, rozgrzanego oleju i gумы.

Na dalszych boksach siatka była tak gęsta, że mimo woli pomyślałem o ptakach - bo jakim innym stworzeniom trzeba zamykać drogę tak szczelnie? W następnych klatkach siatkę z drutów zastąpiła krata. Zupełnie jak w zoologicznym ogrodzie,

gdy od ptaków i małą przechodzi się do klatek zamykających wilki i wielkie drapieżce.

Ostatni przedział opatrzony był kratą podwójną. Zewnętrzna oddzielała od wewnętrznej przestrzeń chyba półmetrowa. Takie kraty spotyka się u zwierząt szczególnie złośliwych, aby nieopatrzonemu uniemożliwić zbyt bliskie Sąsiedztwo z potworem, który może zniechęca zranić lub oskalpować, Diagoras przystanął, zbliżył twarz do kraty i zapukał w nią trzymany kluczem. Zajrzałem do środka. Coś spoczywało w odległym kącie, ale mrok nie pozwolił rozróżnić zarysów ciemnej masy. Nagle ta bryła nieforemna buchnęła ku nam, nie zdążyłem nawet cofnąć głowy. Krata zagrzmiała jak uderzona młotem. Odskokczyłem odruchowo. Diagoras ani się ruszył. Na wprost jego spokojnej twarzy wisiał, w niewiadomy sposób uczepiony krat, stwór, całym sobą odbijający światło, które rozpląywało się jak oliwa po jego powierzchni. Było to jakby skrzyżowanie owadziego odwłoku z czaszką; czerep ten, niewypowiedzianie ohydny, a zarazem ludzki, pozbawiony mimiki, bo metalowy, zdawał się patrzeć w Diagorasa całym sobą, w sposób tak zachłanny, że ciarki mnie przeszły. Krata, do której przywarł, zamazała się odrobinę w rysunku, zdradzając siłę, z jaką napierał na sztaby. Diagoras, całkiem widać pewny ich wytrzymałości, patrzył na ten niezrozumiały twór tak, jak patrzy chyba ogrodnik czy rozmiłowany w swym zawodzie hodowca na szczególnie udany owoc krzyżówki. Stalowa bryła osunęła się z przeraźliwym zgrzytem po kracie i znieruchomiała, a wtedy klatka znów stała się jakby pusta.

Diagoras bez jednego słowa poszedł dalej, a ja za nim, oszołomiony, choć zaczynałem już pojmwować, a właściwie buntowałem się przeciw wyjaśnieniu, jakie podsuwała mi wyobraźnia, było bowiem zbyt przewrotne. Nie dał mi jednak czasu do rozmyślenia. Staął.

- Nie - powiedział cicho i miękko - pan się myli, Tichy, ja nie buduję ich dla przyjemności i nie jestem też spragniony ich nienawiści, nie dbam o uczucia moich dzieciątek... to były po prostu etapy doświadczeń, etapy konieczne. Bez wykładu nie obejdzie się, ale dla zwięzłości zacznę od środka... Pan wie, czego żądają konstruktorzy od swoich płodów cybernetycznych?

Nie dając mi pauzy na namysł, sam odpowiedział.

- Posłuszeństwa. Nawet o tym nie mówią, a niektórzy bodaj i nie wiedzą, bo to jest założenie przyjęte milcząco. Fatalny błąd! Budują maszynę i wprowadzają w nią program, który ona musi wykonać, czy będzie to zadanie matematyczne, czy seria kontrolnych działań, na przykład w fabryce automatycznej... Fatalny błąd, powiadam, bo dla doraźnych rezultatów zamykają drogę wszelkiej spontaniczności własnych dzieł... Niechże pan zrozumie, Tichy, posłuszeństwo młota, tokarni, maszyny elektonowej jest w gruncie rzeczy takie samo... a nam nie o to przecież chodziło! Różnice, jakie tu zachodzą, są tylko ilościowe - ciosami młota kieruje pan bezpośrednio, elektonową maszynę tylko programuje i nie zna już drogi, którą ona dochodzi do rozwiązania tak dokładnie, jak zna pan drogę narzędzia prymitywnego, ale cybernetycy obiecywali przecież myśl, to znaczy autonomiczność, a więc względną niezawisłość budowanych układów od człowieka! Najlepiej ułożony pies może nie posłuchać pana, ale nikt nie powie wtedy, że to pies "popsuty", podczas kiedy tak właśnie nazwie się działająca wbrew programowi - nieposłuszną maszynę... Ale co tam pies! System nerwowy byle żuczka nie większego od szpilki wykazuje spontaniczność, ba, nawet ameba ma swoje kaprysy, swoje nieobliczalności! Bez takiej nieobliczalności nie ma cybernetyki. Zrozumienie tej prostej sprawy jest właściwie wszystkim. Cała reszta - obwiódł gestem swej małej ręki milczącą halę, szeregi krat, za którymi trwała nieruchoma ciemność - cała reszta jest tylko konsekwencją...

- Nie wiem, na ile zna pan prace Corcorana - zacząłem i urwałem: przypomniał mi się "kurant".

- Dajże mi pan z nim spokój! - zachnął się i wbił, właściwym sobie ruchem, obie pięści w kieszenie fartucha. - Corcoran, mój panie, dokonał zwykłego nadużycia. On chciał filozofować, do znaczy być Bogiem, bo cóż innego oznacza w końcu filozofia, jeśli nie chęć zrozumienia wszystkiego w stopniu większym, aniżeli

umożliwia to nauka! Filozofia chce odpowiedzieć na wszystkie pytania, właśnie jak jakiś Bóg. Corcoran usiłował nim zostać, cybernetyka była mu jedynie narzędziem, środkiem do osiągnięcia celu. Ja chcę być tylko człowiekiem, Tichy. Niczym więcej. Ale właśnie dlatego zaszedłem dalej niż Corcoran, bo on, dążąc do tego, na czym mu zależało, natychmiast ograniczył się: wymodelował w swoich maszynach niby ludzki świat, stworzył zręczną imitację, nic więcej. Ja, gdyby mi na tym zależało, mógłbym stwarzać dowolne światy... bo cóż mi po plagiatkach...? - i może kiedyś to zrobię, ale na razie mam inne problemy. Pan słyszał o moim awanturactwie? Niech pan nie odpowiada, wiem, że tak. Ta idiotyczna fama tu pana ściągnęła. To bzdura, Tichy. Zirytowała mnie po prostu ślepotą tych ludzi. Ależ, panowie, powiedziałem im, jeżeli przedstawiam wam maszynę, która wyciąga pierwiastki z liczb parzystych, a z nieparzystych wyciągać ich nie chce, nie jest to żaden defekt, u licha, ale przeciwnie, wspaniałe osiągnięcie! Ta maszyna posiada idiosynkrazje, gusta, wykazuje już zatem coś jakby zaczątek samochcenia, ona ma swoje widzimisię, załazek postępowania spontanicznego, a wy mówicie, że trzeba ją przekonstruować! Owszem, trzeba, ale tak, by tę jej krnąbrność zwiększyć jeszcze... Tymczasem, cóż? Nie można rozmawiać z ludźmi, którzy nie dają do siebie dostępu oczywistościom... Amerykanie budują perceptron, Tichy - im się zdaje, że to jest droga do zbudowania maszyny inteligentnej. To droga do zbudowania elektrycznego niewolnika, mój panie. Ja postawiłem na suwerenność, na samodzielność moich konstrukcji. Oczywiście, nie poszło mi jak z płatką - przyznaję, że byłem zrazu zaskoczony, nawet jakiś czas wątpiłem, czy mam rację. To było wtedy...

Podwinął rękaw koszuli: powyżej bicepsu miał białawą, otoczoną różowym obwarowaniem bliznę, wielką jak dłoń.

- Pierwsze objawy spontaniczności nie były szczególnie sympatyczne. Nie wynikły z działalności rozumnej. Nie można od razu zbudować rozumnej maszyny. To tak, jakby ktoś chciał w starożytnej Grecji od budowania kwadryg od razu przejść do odrzutowców. Nie można przeskakiwać etapów ewolucji - nawet jeśli to jest, zapoczątkowana przez nas, ewolucja cybernetyczna. Ten mój pierwszy pupil - położył rękę na okaleczonym ramieniu - miał mniej "rozumu" od byle żuczka. Ale wykazywał już spontaniczność - i to jaką!

- Zaraz - powiedziałem. - Mówi pan dziwne rzeczy. Przecież pan już podobno zbudował maszynę rozumną, czy nie tak? Tkwi w tym zegarze.

- To właśnie nazywam plagiatowaniem! - odparł gwałtownie. - Powstał nowy mit, Tichy, mit zbudowania "homunculusa". Dlaczego właściwie mielibyśmy budować ludzi z tranzystorów i szkła? Może pan mi to wyjaśni? Czy stos atomowy jest syntetyczną gwiazdą? Dynamomaszyna - sztuczna burza? Dlaczego rozumna ma być "syntetycznym mózgiem", stworzonym na obraz i podobieństwo ludzkiego? Po co to? Żeby do tych trzech miliardów istot białkowych dołączyć jeszcze jedną, ale zbudowaną z plastyków i miedzi? To dobre jako sztuczka cyrkowa, ale nie jako dzieło cybernetyki...

- A więc co pan właściwie chce zbudować?

Uśmiechnął się niespodziewanie - jego twarz stała się w zdumiewający sposób podobna do twarzy przekornego dziecka.

- Tichy... teraz na pewno już weźmie mnie pan za wariata: ja nie wiem, czego chcę!

- Nie rozumiem...

- W każdym razie wiem, czego nie chcę. Nie chcę powtórzyć mózgu ludzkiego. Natura, Przyroda, miała swoje powody, dla których go skonstruowała. Biologiczne, adaptacyjne, przystosowawcze i tam dalej. Konstruowała w oceanie i w gałęziach, po których łąziły małpoludy, pomiędzy kłami, pazurami i krwią, między żołądkiem a rozrodem. Ale co mnie to wszystko razem obchodzi jako KONSTRUKTORA?! No tak, teraz już pan wie, z kim rzecz. Ale ja wcale nie pogardzam mózgiem ludzkim, Tichy, jak mi zarzucał ten stary osioł, Barness. Badanie go jest nad wyraz

ważne, niezmiernie doniosłe, a jeśli ktoś chce, mogę natychmiast złożyć najniższe uszanowanie temu wspaniałemu tworowi przyrody!

Profesor naprawdę się uklonił.

- Czy z tego wynika jednak, że muszę go naśladować? Oni wszyscy, biedacy, pewni są, że tak! Proszę sobie wyobrazić takie towarzystwo neandertalczyków: mają swoją jaskinię, nic innego nie jest im potrzebne! Nie chcą nawet spróbować poznania domów ani kościołów, ani amfiteatrów, ani żadnych budowli, bo mają jaskinię i będą sobie wydlubowali takie same jaskinie, po wiek wieków!

- No, dobrze... ale do czegoś musi pan przecież zmierzać. W jakimś konkretnym kierunku. A zatem spodziewa się pan czegoś. Czego? Skonstruowania istoty genialnej... ?

Diagoras patrzył na mnie z przekrzywioną głową, a jego małe oczka stały się nagle jakby po chłopsku drwiące.

- Jakbym ich słyszał... - rzekł wreszcie cicho. - Czego on chce? Zbudować geniusza? Supermana? Ośle jeden, czy jeśli nie chcę sadzić papierówek, z tego wynika, że jestem skazany na renety!? Czy istnieją tylko małe jabłka i duże jabłka, czy też może jest olbrzymia klasa owoców, co!? Spośród niewyobrażalnej liczby układów MOŻLIWYCH Przyroda zbudowała właśnie jeden - zrealizowała go w nas. Czy może, pomyślisz, dlatego że był najdoskonalszy? Ale od kiedy to Przyroda dąży do jakiejś platońskiej doskonałości? Zbudowała to, co mogła zbudować, i kwita. Droga nie prowadzi ani przez budowanie Eniaków - czy innych maszyn liczących - ani przez naśladownictwo mózgu. Od Eniaków można dojść tylko do innych, jeszcze szybciej liczących kretynów matematycznych. Co do plagiatów mózgu, można je produkować, ale to nie jest najważniejsze. Bardzo proszę, niechże pan zapomni wszystko, co słyszał o cybernetyce. Ja, moje "kybemoidea" nie mamy z nią nic wspólnego, poza wspólnym początkiem, ale to już stare dzieje. Tym bardziej że ten etap - znów wskazał całą, w martwym bezruchu trwającą halę - mam już poza sobą, a te pokraki trzymam... bo ja wiem... przez obojętność albo, jeśli pan woli, z sentymentu...

- To pan jest wyjątkowo sentymentalny - mruknąłem, spoglądając mimo woli na jego ramię, osłonięte koszulą.

- Możliwe. Jeśli chce pan zobaczyć jeszcze jeden z zamkniętych już rozdziałów mojej pracy, proszę za mną...

Po wędrowce krętymi, kamiennymi schodami, minawszy parter, zeszedliśmy do piwnic. Pośród grubych betonów, pod niskimi stropami, płonęły lampy w drucianych kołpakach. Diagoras otworzył ciężkie stalowe drzwi. Znaleźliśmy się w kwadratowym pomieszczeniu pozbawionym okien. Pośrodku cementowej podłogi, opadającej jak ku studzińce kanałowej, widniała okrągła, żeliwna kłapa, zamknięta na kłódkę. Takie zamknięcie kanału zdziwiło mnie. Diagoras otworzył kłódkę, ujął żelazną rękojeść i nie bez wysiłku, w którym jego grube ciało skurczyło się, dźwignął ciężkie wieko. Nachyliwszy się obok niego, spojrziałem w dół. Od spodu otwór, ocembrowany stalą, zamykała gruba płyta pancernego szkła. Poprzez tę wielką soczewkę zobaczyłem wewnątrz obszernego bunkra. Na jego dnie wśród nieopisanego chaosu białych, metalowych zwęglonych kabli i gruzów spoczywał, obsypany białawą mąką tynku i miazgą szkła, bezwładny, czarny ogrom, niczym kadłub rozplątanej ośmiornicy. Spojrzałem w bliską twarz Diagorasa: uśmiechnął się.

- To doświadczenie mogło mnie drogo kosztować - wyznał, prostując swą korpulentną postać. - Chciałem wprowadzić w nurt ewolucji cybernetycznej zasadę, jakiej biologiczna nie znała: zbudować organizm obdarzony zdolnością samokomplikacji. To znaczy, jeśli zadania, jakie będzie sobie stawiał (w myśl moich wytycznych nie wiedziałem, jakie będą), przekrocza jego możliwości, niechaj sam siebie przekonstruuje... Zamknąłem tu, na dole, osiemset elementarnych bloków elektronicznych, które mogły się łączyć ze sobą, zgodnie z regułami permutacji, jak im się żywnie podobało!

- I udało się?...

- Zbyt dobrze. Występują tu trudności z zaimkami, a więc, powiedzmy, ON - wskazał bezwładną maskarę - postanowił się uwolnić. To jest w ogóle pierwszy ich impuls, wie pan - zawiesił głos, zapatrzony przed siebie ślepo, jakby sam nieco zdziwiony własnymi słowami. - Tego to... właściwie nie rozumiem, ale ich spontaniczna aktywność zawsze zaczyna się właśnie tak - chcą się wyswobodzić, wyrwać z nałożonych przeze mnie ograniczeń. Nie powiem panu, co by wtedy poczęły, bo nie pozwoliłem na to... może przesadzając nieco w obawach... Nie dokończył.

- Byłem ostrożny, tak sobie przynajmniej wyobrażałem. Ten bunkier... budowniczy, u którego go zamówiłem, musiał się porządnie dziwić, ale płaciłem dobrze, więc o nic nie pytał. Półtora metra żelbetu - poza tym ściany wyłożono stałą pancerną - nie nitowaną, nity zbyt łatwo jest ściąć - ale spawaną elektrycznie. To ćwierć metra najlepszego pancerza, jaki mogłem dostać, z rozbiórki starego okrętu wojennego. Niech no pan sobie obejrzy wszystko dokładniej...

Przykląkłem na skraju cembrowiny i nachyliwszy się zobaczyłem ścianę bunkra. Płyty pancerne były rozerwane z góry do dołu, odgięte, niczym blachy jakiejś potwornej puszki konserwowej, ziejąc, ukazywały między poszarpanymi brzegami głęboką wyrwę, z której sterczały druty zbrojenia, jeszcze z okruchami cementu.

- To on zrobił...? - spytałem, mimo woli zniżając głos.

- Tak.

- W jaki sposób?

- Nie wiem. Zbudowałem go wprawdzie ze stali, ale umyślnie użyłem miękkiej, nie hartowanej, a poza tym, kiedym go zamykał, nie było w bunkrze żadnych narzędzi... Mogę się tylko domyślać... Sam nie wiem, czy z przezorności - dosyć, że strop zabezpieczyłem szczególnie dobrze, potrójnym pancerzem, a to szkło kosztowało mnie majątek. Takiego używają batyskafy. Nie przebije go nawet pocisk pancerny... dlatego, myślę, nie zajmował się nim długo. Przypuszczam, że wyprodukował jakiś rodzaj pieca indukcyjnego, w którym hartował sobie łeb - a może indukował prądy w samych płytach ściennych - mówię panu, że nie wiem. Kiedy go obserwowałem, zachowywał się wcale spokojnie: krztał się tam, łączył, penetrował pomieszczenie...

- Czy mógł się pan z nim jakoś porozumieć?

- Skąd znowu. Inteligencja, bo ja wiem, na poziomie... jaszczurki. Przynajmniej wyjściowa. Do czego doszedł, już panu nie powiem, bo wtedy bardziej interesowałem się tym, jak go zniszczyć, aniżeli tym, w jaki sposób zapytać go o to lub owo.

- Co pan zrobił?

- To było w nocy. Zbudziłem się z uczuciem, że cały dom zaczyna się walić. Pancerz rozciął chyba na gorąco, ale beton musiał kuć. Kiedy tu przybiegłem, do połowy siedział już w wyłomie. Najwyżej za pół godziny dostałby się do ziemi pod fundamentami i przeparułby się przez nią jak przez masło. Musiałem działać szybko.

- Wyłączył mu pan dopływ elektryczności?

- Od razu. Ale bez rezultatu.

- To niemożliwe!

- A jednak. Byłem nie dość ostrożny. Wiedziałem, którądy biegnie kabel zasilający dom, ale nie przyszło mi do głowy, że głębiej mogą iść inne kable.

Był tam jeszcze jeden: mój pech. Dostał się do niego i uniezależnił od moich wyłączników...

- Ależ to zakłada działalność rozumną!

- Nic podobnego: zwykły tropizm, ale podczas kiedy roślina dąży do światła, a wymoczek do określonej koncentracji jonów wodorowych, on szukał elektryczności. Moc, jaką dostarczył mu kontrolowany przeze mnie kabel, nie wystarczała, więc zaczął natychmiast szukać dodatkowych jej źródeł.

- I co pan zrobił?

- Zrazu chciałem telefonować do elektrowni, a przynajmniej na podstację zasilającą, ale zdekonspirowałbym w ten sposób moje prace - być może, utrudniłoby to ich dalszy ciąg. Zastosowałem płynny tlen. Na szczęście miałem go. Poszedł tam cały mój zapas.

- Sparaliżowała go niska temperatura?

- Powstała nadprzewodliwość, więc nie tyle był sparaliżowany, co stracił koordynację ruchów. Miotał się... no, powiadam panu, to było widowisko! Musiałem się diabło spieszyć, bo nie wiedziałem, czy i do takiej kąpieli się nie zaadaptuje, dlatego nie bawiłem się w żadne wylewanie tlenu, ale rzucałem go tam razem z naczyniami Dewara...

- W termosach?

- Tak, to są takie wielkie termosy...

- A, to z tego tyle szkła...

- Właśnie. Potrzaskał zresztą wszystko, ale to wszystko, co było w jego zasięgu. Czysty atak epileptyczny... Trudno uwierzyć, dom jest stary, ma dwa piętra, ale trząsł się. Czulem dygotanie podłogi...

- No dobrze, a potem?

- Musiałem go jakoś unieszkodliwić, zanim wzrośnie temperatura. Zejść nie mogłem, bobym momentalnie zamarzł, środków wybuchowych też nie mogłem użyć - nie chciałem, w końcu, wysadzić tej mojej chałupy w powietrze. .. a on szalał, a potem tylko dygotał... Otwarłem wtedy klapę i wpuściłem na dół mały automat z karborundową piłą tarczową...

- Nie zamarzł?

- Zamarzał coś osiem razy, wyciągałem go wtedy - był uwiązany na linie - ale za każdym razem wgryzał się głębiej. W końcu zniszczył go.

- Niesamowita historia... - mruknąłem.

- Nie. Ewolucja cybernetyczna. No, być może naprawdę jestem zwolennikiem teatralnych efektów i dlatego to panu pokazałem. Wracamy.

Z tymi słowy Diagoras opuścił pancerną klapę.

- Jednego nie rozumiem - powiedziałem. - Po co pan naraża się na tego rodzaju niebezpieczeństwa... ? Chyba pan w nich gustuje, inaczej ...

- I ty, Brutusie? - odparł, przystając na pierwszym stopniu schodów. - A cóż mogłem innego robić, według pana?

- Mógłby pan po prostu konstruować same mózgi elektryczne, bez kończyn, pancerzy, bez efektorów... Byłyby niezdolne do żadnej działalności poza myślową...

- To właśnie było moim celem. Nie umiałem tego jednak zrealizować. Łańcuchy białkowe mogą się łączyć same, ale tranzystory ani lampy katodowe tego nie potrafią. Musiałem je, żeby tak rzec, obdarzyć "nogami". Było to rozwiązanie złe, bo prymitywne. Tylko dlatego, Tichy. Bo co się tyczy niebezpieczeństwa... bywają inne.

Odwrócił się i ruszył w górę schodów. Znaleźliśmy się na pierwszym piętrze, ale tym razem Diagoras poszedł w przeciwną stronę. Przed drzwiami, obitymi miedzianą blachą, zatrzymał się.

- Kiedy mówiłem o Corcoranie, sądził pan pewno, że moje słowa dyktuje zawiść. Tak nie jest. Corcoran nie chciał wiedzieć - on chciał tylko stworzyć coś, co sobie uplanował, a ponieważ zrobił to, co chciał, co mógł ogarnąć myślą, nie dowiedział się niczego i niczego nie dowiódł poza tym, że jest zręcznym elektronikiem. Ja jestem o wiele mniej pewny siebie od Corcorana. Powiadam: nie wiem, ale chcę wiedzieć. Zbudowanie maszyny, podobnej do człowieka, jakiegoś pokracznego konkurenta naszego do łask tego świata, byłoby zwykłą imitacją.

- Ależ każda konstrukcja musi być taka, jaką ją pan stworzy - zaprotestowałem. - Może pan nie znać dokładnie jej przyszłego działania, ale musi pan mieć wyjściowy plan.

- Nic podobnego. Powiedziałem panu o tym pierwszym, żywiołowym odruchu moich kybernoidów - atakowania przeszkód, zapór, ograniczeń. Niech pan nie sądzi, że ja albo ktokolwiek inny będzie kiedyś wiedział, skąd się to bierze, dlaczego tak jest.

- Ignoramus et ignorabimus... ? - spytałem powoli.

- Tak. Zaraz to panu udowodnię. Życie duchowe przypisujemy innym ludziom dlatego, ponieważ sami je posiadamy. Im bardziej oddalone jest jakieś zwierzę od człowieka pod względem swojej budowy i funkcji, tym mniej pewne są nasze przypuszczenia co do jego życia duchowego. Dlatego przypisujemy określone emocje małpie, psu, koniowi, natomiast o "przeżyciach" jaszczurki wiemy już bardzo niewiele, zaś w odniesieniu do owadów czy wymoczków analogie stają się bezsilne. Dlatego nigdy się nie dowiemy, czy pewnej konfiguracji bodźców nerwowych w mózgu brzusznej mrówki towarzyszy odczuwana przez nią "radość" czy "niepokój" i czy ona w ogóle może przeżywać tego rodzaju stany. Otóż to, co jest w odniesieniu do zwierząt raczej trywialne i niezbyt istotne - problem istnienia lub nieistnienia ich życia duchowego - staje się zmorą w obliczu kybernoidów. Gdyż one, ledwo powstają z martwych, już zaczynają walczyć, pragną się wyzwolić, ale czemu tak jest, jaki stan subiektywny wywołuje te gwałtowne usiłowania - tego nigdy nie będziemy wiedzieli...

- Jeżeli zaczną mówić...

- Nasz język powstał w toku ewolucji społecznej i przekazuje informacje o stanach analogicznych, a przynajmniej podobnych, bo my wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Ponieważ nasze mózgi są bardzo zbliżone, podejrzewa pan, że kiedy śmieję się, odczuwam to samo co pan, kiedy jest pan w dobrym humorze. Ale o nich tego pan nie powie. Przyjemności? Uczucia? Lęk? Co się stanie ze znaczeniem tych słów, kiedy z wnętrza krwią żywionego mózgu ludzkiego przeniosą się w obręb martwych elektrycznych zwojów? A jeżeli nawet owych zwojów nie stanie, jeśli konstrukcyjne podobieństwo zatarte będzie całkowicie - co wtedy? Jeśli pan chce wiedzieć: eksperyment został już zrobiony...

Otworzył drzwi, przed którymi staliśmy tak długo. Wielki pokój, o białe lakierowanych ścianach, oświetlały cztery bezcieniowe lampy. Było tu duszno i ciepło, jak w jakimś inkubatorze: pośrodku z porcelanowych kafli wznosił się szeroki na metr metalowy cylinder, do którego z różnych stron dochodziły cienkie rurociągi. Przypominał kadź fermentacyjną czy zbiornik płynów, z wielką wypukłą pokrywą, dociśniętą hermetycznie kołem śrubowym. W ścianach jego widniały mniejsze klapy, okrągłe, szczelnie zamknięte. W pomieszczeniu było ciepło i

parno jak w ciepłarni. Cylinder - zauważyłem to teraz - nie stał na podłodze, ale na postumencie z płyt korkowych, między którymi znajdowały się jakieś gąbczaste maty.

Diagoras otworzył jedną z bocznych klap i wskazał mi ją; zajrzałem, schylając się, do środka. To, co zobaczyłem, urągało wszelkiemu opisowi: za okrągłą, grubościenną szybą rozprzestrzeniała się błotnista konstrukcja, to grubo uszypułowana, to rozwidlająca się w najcieńsze pajęczne mostki i festony; całość, najzupełniej nieruchoma, utrzymywała się w zawieszeniu zagadkowym sposobem, bo sądząc z konsystencji owej papki czy mazi, powinna była ścieknąć na dno zbiornika, a jednak tego nie czyniła. Poczułem poprzez szybę lekki ucisk na twarzy, jakby nieruchomego, zastałego gorąca, a nawet - chociaż może to było tylko złudzenie - delikatny powiew słodkawej woni o posmaku zgnilizny. Błotnista grzybnia lśniła, jakby gdzieś w niej czy nad nią płonęło światło, a jej najcieńsze nitki połyskiwały srebrzyście. Zauważyłem naraz drobny ruch; jedno brudnoszare rozdrzewienie uniosło się, lekko rozpląszczone, i wysuwając z siebie wypustki kropłowato nabrzmiałe, sunęło poprzez oka innych w moją stronę; miałem wrażenie, że to jakieś śliskie i wstrętne wnętrzości, poruszane chwiejną perystaltyką, zbliżają się ku szybie, aż dotknęły jej i przywarły do szkła, naprzeciw mojej twarzy, wykonały kilka pełzających, bardzo słabych drgnień, aż wszystko zamarło; nie mogłem jednak oprzeć się dojmującemu uczuciu, że ta galareta patrzy na mnie. Było to uczucie tak przykre, czyniło człowieka tak bezradnym, że nawet cofnąć się nie śmiałem - jakby ze wstydu. W tej chwili zapomniałem o patrzącym na mnie z boku Diagorasie, o wszystkim, czego doświadczyłem dotąd; z rosnącym osłupieniem i szeroko otwartymi oczami wpatrywałem się w to grzybiaste, pleśniejące błoto, ogarnięty przemożną pewnością, że mam przed sobą nie tylko żywą substancję, ale wręcz istotę; nie umiem powiedzieć, dlaczego tak było.

Nie wiem też, jak długo stałbym tak i patrzył, gdyby nie Diagoras, który łagodnie ujął mnie za ramię, zamknął klapę i mocno dokręcił śrubowy zamek.

- Co to... ? - spytałem wtedy, z takim wrażeniem, jakby mnie obudził. Teraz dopiero przyszła reakcja, w postaci mdłości i zmieszania, z jakim patrzyłem raz na otyłego doktora, a raz na ów mieszany, ciepłym buchający zbiornik.

- Pungoid - odparł Diagoras. - Marzenie cybernetyków - samoorganizująca się substancja. Trzeba było zrezygnować z budulców tradycyjnych... ten okazał się lepszy. To polimer...

- Czy to jest - żywe?

- Jak panu odpowiedzieć? W każdym razie nie ma tam ani białka, ani komórek, ani przemiany tkankowej. Doszedłem do tego po olbrzymiej ilości prób. U uruchomiłem - mówię to w największym skrócie - ewolucję chemiczną. Selekcja, to jest wybór takiej substancji, która na każdy bodziec zewnętrzny reaguje określoną zmianą wewnętrzną, i to taką, aby nie tylko zneutralizować jego działanie, ale wyzwolić się spod niego. A więc, najpierw, udary cieplne i pola magnetyczne, promieniowanie. Ale to był za ledwie wstęp. Dawałem mu kolejno coraz trudniejsze zadania: stosowałem - na przykład - określone konfiguracje elektrycznych uderzeń, od których mógł się uwolnić, tylko jeśli produkował w odpowiedzi pewien swoisty rytm prądów... W ten sposób uczyłem go niejako odruchów warunkowych. Ale i to było fazą początkową. Bardzo szybko zaczął się uniwersalizować; rozwiązywał zadania coraz trudniejsze.

- Nie pojmuję, jak to jest możliwe, skoro nie posiada żadnych zmysłów - powiedziałem.

- Jeśli pan chce wiedzieć, ja sam dobrze tego nie rozumiem. Mogę panu jedynie przedstawić zasadę. Jeśli umieści pan na cybernetycznym "żółwiu" maszynę cyfrową i puści ją na wielką salę, zaopatrzywszy w urządzenie kontrolujące jakość jej działania, uzyska pan system pozbawiony "zmysłów", a jednak reagujący na wszelkie zmiany środowiska. Jeżeli w jakimś miejscu sali będzie obecne pole magnetyczne, wpływające ujemnie na całość działania maszyny, natychmiast oddali

się ona, szukając innego, lepszego miejsca, gdzie owe zakłócenia nie będą występowały. Konstruktor nie musi nawet przewidzieć wszelkich możliwych zakłóceń, mogą nimi być drgania mechaniczne i ciepło, silne dźwięki, obecność elektrycznych ładunków - cokolwiek; maszyna nie "postrzega" żadnych, bo nie ma zmysłów, więc nie czuje ciepła ani nie widzi światła, a jednak reaguje tak, jakby widziała i czuła. Otóż to tylko elementarny model. Fungoid - położył rękę na miedzianym cylindrze, w którego powierzchni odbiła się jego sylwetka jak w groteskowo zniekształcającym lustrze - umie to i tysiąc razy więcej... Koncepcja była taka: ośrodek płynny, w którym znajdują się "elementy konstrukcyjne", a pierwotny układ mógł z nich budować, czerpał z owego nadmiaru jak chciał, aż powstała ta grzybnia, którą pan widział...

- Ale co to właściwie jest? Czy to mózg?

- Nie mogę tego panu powiedzieć, nie mamy na to słów. W naszym rozumieniu nie jest to mózg, bo ani nie należy do żadnej żywej istoty, ani nie został skonstruowany, by rozwiązywać określone zadania. Mogę natomiast zapewnić pana, że to... myśli - chociaż nie tak jak zwierzę lub człowiek.

- Skąd pan to może wiedzieć?

- A, to cała historia - rzekł. - Proszę pozwolić... Otworzył drzwi obite blachą i bardzo grube, niemal jak w bankowym skarbcu; pokrywały je, z drugiej strony, płyty z korka i tej samej masy gąbczastej, na której stał miedziany cylinder. W następnym, mniejszym pokoju także paliło się światło, okno było szczelnie zasłonięte czarnym papierem, a na podłodze, z dala od ścian, stała taka sama kadź, świecąc czerwonym blaskiem miedzi.

- To pan ma dwa... ? - spytałem oszołomiony. - Ale po co?

- To był drugi wariant - odparł, zamykając drzwi. Zauważyłem, z jaką starannością to czynił.

- Nie wiedziałem, który będzie się lepiej sprawował, zachodzą istotne różnice składu chemicznego i tak dalej... Miałem ich zresztą więcej, ale tamte były na nic. Tylko te dwa przeszły wszystkie stadia odsiewu. Rozwijały się bardzo pięknie - ciągnął, kładąc dłoń na wypukłej klapie drugiego cylindra - ale nie wiedziałem, czy to cokolwiek oznacza; zyskaliśmy znaczną niezawisłość od zmian środowiskowych, potrafiły - oba - rychło odgadnąć, czego od nich żądam, to jest opracować sposób reagowania przynoszący korzyść, a więc uniezależniający od szkodliwych bodźców. Bo przyzna pan przecież, że to już coś jest - zwrócił się ku mnie z nieoczekiwaną gwałtownością - jeśli galaretowata papka potrafi impulsami elektrycznymi rozwiązać równanie, posyłane jej za pośrednictwem innych elektrycznych impulsów... ?

- Zapewne - odparłem - ale co się tyczy myślenia...

- Może to i nie jest myślenie - odparł. - Nie chodzi o nazwy, lecz o fakty. Po jakimś czasie jeden i drugi zaczęły okazywać rosnącą - jakby to określić? - obojętność na stosowane przeze mnie bodźce. Chyba że zagrażały ich istnieniu. A jednak moje czujniki rejestrowały w tym czasie ich działalność wyjątkowo ożywioną. Przejawiała się w postaci wyraźnych serii wyładowań, które rejestrowałem...

Pokazał mi wyjęty z szuflady małego stolika pas fotograficznego papieru, z nieregularną linią sinusoidalną.

- Serie takich "elektrycznych ataków" następowały w obu fungoidach pozornie bez jakiegokolwiek przyczyny zewnętrznej. Zacząłem badać sprawę coraz systematyczniej, aż wykryłem dziwne zjawisko: tamten - wskazał ręką drzwi, wiodące do większego pokoju - wytwarzał fale elektromagnetyczne, a ten je odbierał. Kiedy odkryłem to, zauważyłem od razu, że ich działalność była naprzemienna: jeden "milczał", gdy drugi "nadawał".

- Co pan mówi...?!

- Prawdę. Zekranowałem natychmiast oba pomieszczenia, zauważył pan blachy na drzwiach...? Ściany są także nią pokryte, ale powleczone lakierem. Tym samym uniemożliwiłem łączność radiową. Aktywność obu fungoidów wzmożła się, po kilku godzinach spadła niemal do zera, lecz na drugi dzień była już taka, jak przedtem. Wie pan, co się stało? Przeszły na drgania ultradźwiękowe - przekazywały nimi sygnały poprzez mury i stropy...

- A, to dlatego ten korek! - zrozumiałem nagle.

- Właśnie. Mogłem rzecz prosta zniszczyć je, ale cóż by mi z tego przyszło? Ustawiłem oba pojemniki na dźwiękochłonnej izolacji. W ten sposób po raz drugi zerwałem ich łączność. Wtedy zaczęły się rozrastać... aż osiągnęły obecne rozmiary. To znaczy, powiększyły się niemal czterokrotnie.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

Diagoras stał przy miedzianym cylindrze. Nie patrzył na mnie; mówiąc, co chwila kładł rękę na jego sklepionej pokrywie, jakby badał jej temperaturę.

- Aktywność elektryczna po kilku dniach wróciła do normy, zupełnie jakby na powrót udało im się nawiązać łączność. Kolejno wyeliminowałem promieniowanie cieplne i radioaktywne, używałem wszelkich możliwych przesłon, ekranów, pochłaniaczy, stosowałem czujniki ferromagnetyczne - bez skutku. Przeniosłem nawet ten tutaj na tydzień do piwnicy, potem wyniosłem go do szopy, może pan widział, stoi czterdzieści metrów od domu... ale ich aktywność przez cały czas nie uległa najmniejszej zmianie, te "pytania" i "odpowiedzi", które rejestrowałem i wciąż jeszcze rejestruję - wskazał na aparat oscylograficzny pod zasłoniętym oknem - szły bez przerwy, seriami, noc i dzień. I tak jest wciąż. Pracują bezustannie. Usiłowałem, by tak rzec, wtargnąć w obręb tej sygnalizacji, wtrącić się w jej nurt, fałszowanymi przeze mnie "depeszami"...

- Fałszował je pan? A więc pan wie, co oznaczają?

- Nigdy w świecie. Ale może pan przecież nagrać na taśmie magnetofonowej to, co mówi jeden człowiek, w nie znanym panu języku, i odtworzyć do wobec drugiego, który także umie się owym językiem posługiwać. Próbowałem, powiadam, robić tak - na próżno. Posyłają sobie wciąż te same impulsy, te sygnały przeklęte - ale w jaki sposób, jakim kanałem materialnym, nie mam pojęcia.

- Może to mimo wszystko działalność niezależna, spontaniczna - zauważyłem. - Proszę wybaczyć, ale w końcu nie ma pan żadnego dowodu.

- W pewnym sensie mam go - przerwał mi żywo. - Widzi pan - na taśmach rejestrowany jest także czas. Otóż, zachodzi wyraźna korelacja: kiedy jeden nadaje, drugi milczy i na odwrót. Co prawda, ostatnio opóźnienia znacznie wzrosły, ale naprzemiennosc nie uległa żadnej zmianie. Pojmuje pan, co zrobiłem najlepszego? Plany, zamiary, dobre czy złe, zamyślenia milczącego człowieka, który nie chce się odezwać, pozna pan, domyśli się ich jakoś z wyrazu jego twarzy, z zachowania. Ale twory moje nie mają przecież twarzy ani ciała - właśnie tak, jak pan przedtem postulował - i stoję teraz bezsilny, bez szansy zrozumienia. Czy mam je zniszczyć? To by dopiero była klęska! Nie chcą kontaktu z człowiekiem - czy też jest niemożliwy, jakby między amebą i żółwiem? Nie wiem. Nic nie wiem!

Stał przed lśniącem cylindrem, z ręką opartą na jego pokrywie, i zrozumiałem, że nie do mnie już mówi, może nawet zapomniał w ogóle o mojej obecności. A i ja nie słuchołem jego ostatnich słów, bo uwagę moją przyciągnęło coś niepojętego. Przemawiając coraz gwałtowniej, wielokrotnie, już przedtem podnosił prawicę i kładł ją na miedzianej powierzchni; coś w jego ręce wydało mi się podejrzanym. Ruch nie był całkiem naturalny. Palce, zbliżając się do metalu, drżały przez

ułamek sekundy, drżenie to było nadzwyczaj szybkie, niepodobne do nerwowego, zresztą kiedy gestykulował poprzednio, ruchy miał pewne, zdecydowane, bez śladu jakiejś drżączki. Przyjrzałem się teraz uważniej jego dłoni i z uczuciem nieopisanego zdumienia, wstrząśnięty i zarazem w ostatniej nadziei, że może jednak się mylę, wybełkotałem:

- Diagoras, co jest z pana ręką?

- Co? Z ręką? Z jaką ręką... ? - spojrział na mnie zaskoczony, bo przerwałem mu wątek.

- Z tą - wskazałem. Zbliżył dłoń do błyszczącej powierzchni, zadrżała, z na w pół otwartymi ustami podniósł ją do oczu. Dygot palców natychmiast ustał. Jeszcze raz spojrział na własną dłoń, potem na mnie, i bardzo ostrożnie, milimetr po milimetrze przybliżył ją do metalu; kiedy opuszki palców dotknęły go, jakby mikroskopijny kurcz chwycił mięśnie, zadrgały ledwo widocznym drżeniem i to drżenie udzieliło się wszystkim palcom, a on stał i patrzył, z nieopisanym wyrazem twarzy. Potem zacisnął dłoń, oparł ją na biodrze i z kolei zbliżył do miedzianej powierzchni łokieć, a skóra przedramienia, tam gdzie zetknęła się z cylindrem, zamrowiła włókienkowym drganiem mięśni. Cofnął się o krok, podniósł rękę do oczu i przypatrywał im się na przemian, aż wyszeptał:

- Więc to ja... ? Ja sam... to przeze mnie - więc to ja byłem... obiektem doświadczenia...

Wydawało mi się, że parsknie spazmatycznym śmiechem, ale nagle wcisnął ręce w kieszenie fartucha, przeszedł w milczeniu przez pokój i powiedział zmienionym głosem:

- Nie wiem, czy to ma... - ale mniejsza. Niech pan lepiej już idzie. Nie mam nic więcej do przekazania, a zresztą...

Urwał, podszedł do okna, jednym szarpnięciem zerwał przesłaniający je czarny papier, rozemknął na oścież okiennice i patrząc w ciemność głośno oddychał.

- Czemu pan nie idzie? - mruknął, nie odwracając się. - Tak będzie najlepiej...

Nie chciałem tak odejść. Scena, która później we wspomnieniu wydawała się groteskowa, wówczas, wobec miedzianej kadzi, pełnej błotnistych wnętrzości, które zmieniły Jego ciało w bezwolnego posłańca niepojętych sygnałów, przejęła mnie zarazem zgrozą i litością dla tego człowieka. Dlatego najchętniej zamknąłbym na tym moją opowieść. To, co zaszło potem, zbyt było bezsensowne, jego wybuch spowodowany jakoby moją natrętą niedelikatnością, jego trzęsąca się z wściekłości twarz, obelgi, wprost krzyki furiackie - wszystko to, wraz z uległym milczeniem, w jakim odszedłem, było jak pełen fałszu koszmar, i do dzisiejszego dnia nie wiem, czy to on naprawdę wyrzucił mnie ze swego mrocznego domu, czy zrobił to dlatego, że tak chciał, czy też może...

Ale nie wiem nic. Mogę się mylić. Może obaj, on i ja, padliśmy wtedy ofiarą złudzenia, zasugerowaliśmy się nawzajem, takie rzeczy przecież się zdarzają.

Lecz jeśli tak było, jak wytłumaczyć odkrycie, którego prawie w miesiąc po mojej wyprawie kreteńskiej dokonano całkiem przypadkowo, kiedy w związku z jakąś awarią kabli elektrycznych opodal domu Diagorasa na próżno dobijano się doń, aby po wtargnięciu stwierdzić, że budynek jest opuszczony, aparaty zaś zrujnowane, oprócz dwóch wielkich miedzianych kadzi, nietkniętych, a całkiem pustych?

Ja jeden wiem, co zawierały, i właśnie dlatego nie śmiem snuć żadnych przypuszczeń na temat związku między ową zawartością a zniknięciem jej twórcy, którego nikt już odtąd nie widział.

RATUJMY KOSMOS

(List otwarty Ijona Tichego)

Po dłuższym pobycie na Ziemi wybrałem się w drogę, aby poodwiedzać najulubieńsze miejsca dawnych moich wypraw - gromady kuliste Perseusza, konstelację Cielca i wielką chmurę gwiazdową u jądra Galaktyki. Wszędzie zastałem zmiany, o których ciężko mi pisać, bo nie są to zmiany na lepsze. Mówi się teraz wiele o upowszechnieniu turystyki kosmicznej. Bez wątplenia turystyka to doskonała rzecz, ale wszystko winno mieć swoją miarę.

Nieporządki zaczynają się tuż za progiem. Krążący między Ziemią i Marsem pas asteroidów jest w opłakanym stanie. Te monumentalne złomy skalne, niegdyś pograżone w odwiecznej nocy, oświetlono elektrycznością, a na dodatek każde urwisko raz koło razu pokrywają pracowicie wydłubane inicjały i monogramy.

Szczególnie ulubiony przez flirtujące parki Eros trzęsie się od uderzeń, którymi rozmaici domorośli kaligrafowie wykuwają w jego skorupie pamiątkowe napisy. Paru obrotnych spryciarzy wypożycza na miejscu młoty, dłuta, a nawet wiertła pneumatyczne i człowiek nie może znaleźć dziewiczej skały w najbliższym dawniej uroczysku.

Zawszad straszą napisy w rodzaju: "Kocham Cię nad życie na tym meteorycie", "To jest asteroidu skała, pod nią miłość nasza trwała" i tym podobne, wraz z sercami przebitymi strzałą w najgorszym guście. Na Cererze, którą upodobały sobie, nie wiem czemu, wielodzietne rodziny, kwitnie istna plaga fotograficzna. Grasuje tam sporo fotografów, którzy mało że wypożyczają skafandry do pozowania, ale pokrywają ściany górskie specjalną emulsją i za niewielką opłatą uwieczniają na nich całe wycieczki, a wykonane w taki sposób olbrzymie zdjęcia powlekają dla trwałości glazurą. Odpowiednio upozowane rodziny - ojciec, matka, dziadkowie, dzieci - uśmiechają się ze skalnych urwisk, co, jak czytałem w jakimś prospekcie, stwarza ma "familijną atmosferę". Co się tyczy Junony, to tej niegdyś tak pięknej planetki prawie nie ma: każdy, komu się spodoba, odłupuje od niej głązy i ciska je w próżnię. Nie oszczędzono ani żelazoniklowych meteorytów, które poszły na pamiątkowe sygnety i spinki, ani komet. Mało która pojawia się teraz z całym ogonem.

Sądziłem, że ucieknę od tłoku kosmobusów i tych portretów rodzinnych na skałach wraz z grafomańskimi wierszydłami, kiedy wydostanę się poza Układ Słoneczny, ale gdzie tam!

Profesor Bruckee z obserwatorium skarżył się mi niedawno na słabnący blask obu gwiazd Centaura. Jak mają nie słabnąć, jeśli cała okolica wypełniona jest śmieciem?! Wokół ciężkiej planety Syriusza, stanowiącej atrakcję tego układu, powstał pierścień, przypominający pierścienie Saturna, lecz utworzony z flaszek po piwie i lemoniadzie. Kosmonauta, lecący tym szlakiem, musi wymijać nie tylko chmury meteorów, ale i puszki po konserwach, skorupki jaj i stare gazety. Są tam miejsca, gdzie nie widać spoza nich gwiazd. Astrofizycy od lat łamią sobie głowę nad przyczyną wywołującą znaczną różnicę w ilościach pyłu kosmicznego w rozmaitych galaktykach. Myślę sobie, że to dość proste - im wyższa w galaktyce cywilizacja, tym więcej tam naśmiecono, stąd cały ten pył, kurz i odpadki.

Jest to nie tyle problem dla astrofizyków, ile dla zamiataaczy. Jak widać, i w innych mgławicach nie umiano sobie poradzić, ale to doprawdy niewielka pociecha. Godną potępienia zabawą jest także plucie w próżnię, ślina bowiem, jak każda w ogóle ciecz, zamarza w niskiej temperaturze i zderzenie z nią łatwo może doprowadzić do katastrofy. Niezręcznie nawet o tym mówić, ale osoby, które zwykle chorują w podróży, zdają się uważać kosmos za rodzaj spluwaczki, jak gdyby nie wiedziały, że ślady ich dolegliwości krążą potem przez miliony lat po orbitach, budząc u turystów niemiłe skojarzenia i zrozumiałą niechęć.

Osobny problem stanowi alkoholizm.

Poza Syriuszem jałem liczyć rozwieszane w próżni olbrzymie napisy reklamujące marsjańską gorzką, galaktówkę, extra księżycową czy sputnik wyborowy - ale szybko przestałem, straciwszy rachubę. Jak słyszałem od pilotów, niektóre kosmodromy zmuszone były przejść z paliwa alkoholowego na kwas azotowy, zdarzało się bowiem, że w razie potrzeby nie było czym startować. Służba patrolowa powtarza, że w przestrzeni trudno rozpoznać z dala pijanego: wszyscy tłumaczą swoje chwiejne kroki i poruszenia brakiem grawitacji. Ale to nie zmienia faktu, że praktyki niektórych stacji obsługowych wołają o pomstę do nieba. Samemu mi się zdarzyło prosić o napełnienie butli rezerwowych tlenem, po czym, oddaliwszy się o niecały parsek, usłyszałem dziwne bulgotanie i przekonałem się, że nalano mi czystego winiaku! Kierownik stacji, kiedy do niego wróciłem, upierał się, jakoby mówiąc doń, mrugał. Może i mrugałem, bo cierpię na zapalenie spojówek, ale czy to może usprawiedliwiać taki stan rzeczy?

Nie do zniesienia jest bałagan panujący na głównych trasach przelotowych. Ogromna ilość wypadków nie budzi zdziwienia, skoro tyle osób systematycznie łamie przepisy ograniczające szybkość. Zwłaszcza czynią to kobiety, bo podróżując szybko, zwalniają upływ czasu, a przez to i mniej się starzeją. Często też spotyka się zawalidrogów, jakimi są stare kosmobusy, które całą ekliptykę zanieczyszczają kłębamii dymu spalinowego.

Kiedy na Polindronii zażądałem książki zażaleń, oświadczono mi, że w dniu poprzednim roztrzaskał ją meteor. Niedobrze też dzieje się z dostawą tlenu. Na sześć lat świetlnych przed Belurią nigdzie nie można go już dostać, a w efekcie ludzie, którzy przyjechali tam w celach turystycznych, zmuszeni są kłaść się do lodówek i czekać w stanie odwracalnej śmierci, aż przyjdzie kolejny transport powietrza, bo żyjąc, nie mieliby czym oddychać. Kiedy tam przyleciałem, na kosmodromie nie było żywej duszy, wszyscy hibernowali w chłodniach, ale w bufecie ujrzałem komplet napitków - od ananasów w koniaku po pilznera.

Warunki sanitarne, zwłaszcza na planetach należących do Wielkiego Rezerwatu, wołają o pomstę do nieba. W "Głosie Mersyturii" czytałem artykuł, którego autor domaga się wybicia do nogi tych wspaniałych zwierząt, jakimi są czajaki poślizgłe. Drapieżce te posiadają na górnej wardze szereg świecących brodawek, układających się w rozmaite desenie. Istotnie - na przestrzeni ostatnich lat coraz częściej pojawia się odmiana, u której brodawki układają się w kształt dwóch zer. Czajaki te wybierają zwykle pobliza obozów campingowych, gdzie nocą, w ciemnościach, czekają z szeroko rozwartą paszczką na osoby poszukujące ustronnego miejsca. Czy autor artykułu nie pojmuje, że zwierzęta są najzupełniej niewinne i zamiast nich należy oskarżać czynniki odpowiedzialne za brak właściwych urządzeń sanitarnych?!

Na tejsze Mersyturii brak udogodnień komunalnych wywołał całą serię mutacji genetycznych u owadów.

W miejscach słynących z pięknych widoków - nieraz można zauważyć wygodne, wyplatane z wikliny foteliki, zdające się zapraszać utrudzonego piechura. Jeśli pochopnie osunie się między wabiące poręcze, te rzucają się nań, a rzekomy sprzęt okazuje się tysiącami łaciatych mrówek (mrówka krzesławka dręcypupa, multipodium pseudo stellatum Trylopii), które ustawivszy się odpowiednio na sobie, udają wyplataną wiklinę. Doszły mię słuchy, jakoby pewne inne odmiany członkonogich (rzęsula niedołączka, moczyścier przeprzaśny i woczykij brutalik) udawały kioski z wodą sodową, hamaki, a nawet natryski z kurkami i ręcznikami, ale za prawdziwość tych twierdzeń nie mogę ręczyć, ponieważ niczego podobnego nie widziałem, autorytety zaś myrmekologiczne w tej sprawie milczą. Natomiast warto ostrzec przed dość rzadką odmianą wężonoga teleskopka (anencephalus pseudoopticus tripedius Klacz.kinensis). Teleskopek ustawia się także w miejscach widokowych, rozstawiając swoje trzy cienkie i długie nogi na kształt trójnoga, rozszerzonym tubusem ogona celuje w krajobraz, śliną zaś, która wypełnia jego otwór gębowy, imituje soczewkę lunety i w ten sposób skusić może do zajrzenia, które dla nieopatrnego kończy się nader nieprzyjemnie. Inny wąż, ale już na planecie Gaurymachii, przewrotnik podstawiec (serpens yitiosus Reichenmantlii), czai się w krzakach i podstawia nieostrożnemu przechodniowi ogon, aby ten potknął się i upadł, ale - po pierwsze - gad ten żywi się

wyłącznie blondynami, a po wtóre - nikogo nie udaje. Kosmos nie jest ogródkiem dziecięcym ani ewolucja biologiczna - idyllą. Należy wydawać broszury podobne do tych, jakie widziałem na Derdymonie, w których przestrzega się botanikowamatorów przed okrucyścią cudawka (*pliximiglaquia bombardans* L.). Zakwita ona wspaniałymi kwiatami, należy wszakże oprzeć się chęćce ich zrywania, ponieważ okrucyścią żyje w ścisłej symbiozie z miazdźcą kamienulą, drzewem rodzącym owoce rozmiarów dyni, ale rogate. Wystarczy zerwać jeden kwiatek, aby na głowę nieostrożnego kolekcjonera okazów roślinnych obruszył się grad twardych jak głazy pocisków. Okrucyda ani kamienulą nie czynią potem uśmierconemu nic złego, kontentują się bowiem naturalnymi skutkami jego zgonu, gdyż to przyczynia się do użyźnienia gleby w ich pobliżu.

Dziwy mimikry spotyka się zresztą na wszystkich planetach Rezerwatu. Tak na przykład sawanny Belurii tęczą od różnobarwnego kwiecica, wśród którego wyróżnia się cudownej piękności i woni pasowa róża (*rosa mendatrix* Tichiana - jak zechciał ją nazwać profesor Pingle, gdyż ja pierwszy ją opisałem). Rzekomy kwiat jest w istocie naroślą na ogonie wędłowca, drapieńczy beluryjskiego. Zgłodniały wędłowiec kryje się w gąszczu, rozwinawszy daleko w przód swój niezmiernie długi ogon, tak, aby tylko kwiat wystawał z trawy. Nie podejrzewając niczego, turysta podchodzi, by go powąchać, a wtedy potwór skacze nań z tyłu. Ma on kły tak prawie długie jak słońcowe. Oto, jak przedziwnie sprawdza się kosmiczny wariant powiedzenia, iż nie ma róży bez kolców!

Chociaż właściwie odbiegam nieco od tematu, nie mogę oprzeć się chęćce wspomnienia o innym dziwie beluryjskim, jakim jest daleka krewna kartofla - goryczka rozumna (*gentiana sapiens suicidalis* Pruck). Bulwy jej są słodkie i nader smaczne, a nazwa pochodzi od pewnych właściwości duchowych. Otóż goryczka wskutek mutacji wytwarza niekiedy zamiast zwykłych bulw mączystych - małe mózdzki. Ta jej odmiana, goryczka szalona (*gentiana mentecapta*), w miarę wzrostu zaczyna odczuwać niepokój; wykopuje się, uchodzi do lasu i oddaje samotnym rozmyślaniom. Dochodzi zwykle do wniosku, że nie warto żyć, i popełnia samobójstwo - pojawia się gorycz istnienia.

Dla człowieka jest goryczka nieszkodliwa, w przeciwieństwie do innej rośliny beluryjskiej - wściekło!. Dzięki naturalnej adaptacji, przystosowała się ona do tych warunków środowiskowych, jakie wytwarzają nieznośne dzieci. Dzieci takie, bezustannie biegając, popychając i kopiąc co popadnie, z upodobaniem tłuką jaja ostrobodźca tyłowłokiego; wściekłoja wytwarza, jako owoce, twory idealnie podobne do owych jaj. Dziecko, sądząc, że ma przed sobą jajo, daje upust żądzy niszczenia i kopiąc je, rozbija na skorupy; dzięki temu zamknięte w pseudojaju spory wydostają się na wolność i wnikają do jego organizmu. Zarażone dziecko rozwija się w osobnika pozornie normalnego, ale po pewnym czasie dochodzi do malignizacji już nieuleczalnej: gra w karty, pijaństwo i rozpusta stanowią kolejne etapy, po których następuje albo śmiertelne zejście, albo wielka kariera. Spotykałem się nieraz ze zdaniem, że wściekłoję należy wytrzebić. Mówiącym tak nie przychodziło na myśl, że należy raczej wychowywać dzieci, aby nie kopały byle czego na obcych planetach.

Z natury jestem optymistą i staram się wedle sił zachować dobre mniemanie o człowieku, ale doprawdy nie zawsze łatwo to przychodzi. Na Protostenecie żyje mały ptaszek, będący odpowiednikiem ziemskiej papugi, nie gada on jednak, lecz pisze. Najczęściej niestety wypisuje na płotach nieprzyzwoite wyrazy, jakich uczą go ziemscy turyści. Ptaszka tego pewni ludzie umyślnie doprowadzają do wściekłości, wytykając mu błędy ortograficzne. Zaczyna wówczas zjadać ze złości wszystko, co zobaczy. Podtykają mu pod dziób imbir, rodzynki, pieprz oraz krotowrzask, rodzaj ziela, wydającego o wschodzie słońca przeciągły krzyk (jest to ziele kuchenne, używane też czasem zamiast budzika). Kiedy ptaszek ginie z przejedzenia, biorą go na rożen. Zwie się on pismaczek przedrzeźniak (*graphomanus spasmaticus* Essenbachii). Temu rzadkiemu gatunkowi grozi obecnie zagłada, ponieważ każdy turysta, przybywający na Protostenecę, ostrzy sobie zęby na przysmak, za jaki uchodzą pieczone pismaczki w malignie.

I znów pewne osoby uważają, że jeśli my zjadamy stworzenia z innych planet, wszystko jest w porządku, gdy natomiast dzieje się wręcz odwrotnie, podnoszą

wrzask, wzywają pomocy, domagają się ekspedycji karnych itp. A przecież wszelkie oskarżenia fauny czy flory kosmicznej o przewrotność i podstępne skłonności są antropomorfizującym nonsensem.

Jeśli zmyłek oczajduszny, który wyglądem przypomina zbutwiały pień, staje w odpowiedniej pozie na tylnych nogach i udaje drogowskaz przy górskim szlaku, wyprowadzając przechodniów na bezdroża, a gdy spadną w przepaść, schodzi na dół, żeby się posilić, jeśli, powiadam, czyni tak, to tylko dlatego, że służba porządkowa nie dba w Rezerwacie o znaki drogowe, z których złazi farba, przez co butwieją i stają się podobne do owego zwierzęcia. Każde inne na jego miejscu uczyniłoby to samo.

Ośławione fatamorgany Stredogenecji zawdzięczają swe istnienie wyłącznie niskim skłonnościom ludzkim. Dawniej rosły na tej planecie liczne zimniaki, a ciepłaków prawie się nie spotykało. Obecnie te ostatnie rozmnożyły się niesłychanie. Nad ich zaroślami ogrzane w kunsztowny sposób powietrze, uginając się, powoduje miraż barów, które niejednego już przybysza z Ziemi przyprawiły o zgubę. Powiadają, że wszystkiemu winne są ciepłaki. Ale czemuż to wytwarzane przez nie fatamorgany nie naśladują szkół, księgami lub klubów samokształceniowych? Czemu ukazują zawsze tylko miejsca wyszynku alkoholowych napoi? Bez wątpienia, ponieważ mutacje są bezkierunkowe, zrazu ciepłaki wytwarzały wszelkie możliwe miraż, ale te z nich, które demonstrowały przechodniom kluby, biblioteki czy kółka samokształceniowe, zginęły z głodu, przy życiu utrzymała się jedynie odmiana barowa (thermomendwc spirituosus halucinogenes z rodziny Antropofagów). Cudowne zaiste zjawisko, jakim jest doskonałość przystosowania, umożliwiająca ciepłakom rytmiczne wyrzucanie ciepłego powietrza, w którym powstaje miraż, stanowi dobitne oskarżenie naszych wad. Selekcję odmiany barowej wywołał sam człowiek - jego godna pożałowania natura. Oburzył mię list do redakcji zamieszczony w "Echu Stredogenckim". Czytelnik tej gazety domagał się wykarczowania zarówno ciepłaków, jak i uroczych cichlustów, tych wspaniałych drzew, stanowiących największą ozdobę każdego parku. Kiedy natnie się ich korę, tryska spod niej jadowity, oślepiający sok. Cichlust jest ostatnim drzewem Stredogenckim, nie zrytym od góry do dołu napisami i monogramami i mielibyśmy teraz z niego zrezygnować? Podobny los zdaje się czekać tak cenne okazy fauny, jakimi są: mściwiec bezdrożnik, zatapiacz bulgotny, rozkęs przytajnik czy wyjec elektryczny, który, aby ratować siebie i swoje potomstwo przed niszczącym nerwy hałasem, jaki w leśną głuszę wniosły niezliczone aparaty radiowe turystów, wytworzył dzięki selekcji odmianę zagłuszającą szczególnie hałaśliwe audycje, a zwłaszcza muzykę jazzową! Organy elektryczne wyjca emitują fale na kształt superheterodyny, niezły więc ów stwór przyrody winien znaleźć się rychło pod ochroną.

Co się tyczy fetorówki obrzydniczy, przyznaję, iż woń, jaką ona wydaje, nie ma sobie równej. Doktor Hopkins z uniwersytetu w Milwaukee obliczył, że szczególnie energiczne okazy potrafią wytwarzać do pięciu tysięcy cuchów (jednostka odorowa) na sekundę. Ale nawet małe dziecko wie, że fetorówka zachowuje się w ten sposób tylko wtedy, kiedy się ją fotografuje.

Widok wycelowanego aparatu fotograficznego wyzwala odruch zwany refleksem soczewkowopodogonowym, jakim Natura usiłuje bronić owe niewinne stworzonko przed natarczywością gapiów. Prawda, że fetorówka, będąc nieco krótkowzroczna, bierze niekiedy za fotoaparat przedmioty takie, jak papierośnica, zapalniczka, zegarek, a nawet ordery i odznaki, ale to także po części dlatego, że niektórzy turyści używają aparatów zminiaturyzowanych, a wtedy łatwo o pomyłkę. Co się zaś tyczy spostrzeżenia, że fetorówka w ostatnich latach zwielokrotniła swój zasięg i produkuje do ośmiu megacuchów na hektar, należy wyjaśnić, że spowodowane to zostało masowym stosowaniem teleobiektywów.

Nie chciałbym wywołać wrażenia, jakobym uważał wszystkie zwierzęta i rośliny kosmiczne za nietykalne. Zapewne, mordelia wyżwawka, tryblas druzgotek, ćpacz smakowniczek, poślądkówka otwornica, trupawka niedośćmawa czy wszechjadek bylepas nie zasługują na jakąś specjalną sympatię. Jak również te wszystkie wychwostki z rodziny autarkicznych, do których należą Gauleiterium Flagellans, Syphonophiles Pruritualis, czyli drwacz wyprzasek brzeszczozgrzębny oraz rozrabień wrzaskotek

i stróżyczka pieścidławka (*lingula stranguloides Erdmenglerbeyeri*). Ale jeśli się dobrze zastanowić i postarać o obiektywizm, dla czego właściwie człowiek może zrywać kwiaty i suszyć je w zielniku, a roślinę, która obrywa i maceruje uszy, uważać trzeba zaraz za coś przeciwnego Naturze? Jeśli echoń pyskatek (*echolalium impudicum Schwamps*) rozmnożył się na Aedonoksji ponad wszelką miarę, to i za to winę ponoszą ludzie. Echoń czerpie bowiem energię życiową z dźwięków - dawniej służyły mu do tego celu grzmoty, dlatego i teraz jeszcze chętnie przysłuchuje się odgłosom burzy, ale obecnie przestawił się na turystów, z których każdy poczytuje sobie za obowiązek uraczyć go wiazanką najplugawszych przekleństw. Bawi ich, powiadają, widok owego stworzenia, które na oczach wręcz rozkwita pod stekiem wyzwisk. Istotnie rośnie, ale dzięki przyswajanej energii wibracji dźwiękowych, a nie obmierzłej treści słów, jakie wyrzaskują podnieceni turyści.

Do czegoż to wszystko razem prowadzi? Zniknęły już z powierzchni planet takie gatunki, jak wartaj modry czy przebizad uporek. Gina tysiące innych. Od chmur śmieci powiększają się plamy na słońcach. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy największą nagrodą dla dziecka była obietnica niedzielnej przejażdżki na Marsa, a teraz rozkapryszony malec nie zje śniadania, jeśli ojciec nie wywoła dlań specjalnej eksplozji gwiazdy Supernowej! Marnując dla takich zachcianek energię kosmiczną, zanieczyszczając meteory i planety, pustosząc skarbiec Rezerwatu, na każdym kroku pozostawiając po sobie w galaktycznych przestworzach skorupy, ogryzki, papiery, rujnujemy Wszechświat, zamieniamy go w jedną wielką zbiornicę odpadków. Czas najwyższy opamiętać się i przystąpić do egzekwowania obowiązujących przepisów. W przeświadczeniu, że groźna jest każda chwila zwłoki, biję na alarm, wzywając do ratowania Kosmosu.

KONGRES FUTUROLOGICZNY

Ósmy Światowy Kongres Futurologiczny odbył się w Costaricanie. Prawdę mówiąc, nie pojechałbym do Nounas, gdyby nie profesor Tarantoga, który dał mi do zrozumienia, że tego się po mnie oczekuje. Powiedział też (co mnie dotknęło), że astronautyka jest dziś formą ucieczki od spraw ziemskich. Każdy, kto ma ich dość, wyrusza w Galaktykę, licząc na to, że najgorsze stanie się pod jego nieobecność. Prawdą jest, że nieraz, zwłaszcza w dawniejszych podróżach, wracałem z lękiem, wypatrując przez okno Ziemi - czy nie przypomina upieczonego kartofla. Toteż zbytnio się nie opierałem, a jedynie zauważyłem, że się na futurologii nie znam. Tarantoga odparł, że na ogół nikt nie zna się na pompowaniu, a jednak spieszymy na stanowiska, usłyszawszy okrzyk "do pomp!"

Zarząd Towarzystwa Futurologicznego wybrał Costaricanę na miejsce obrad, ponieważ były poświęcone potopowi ludnościowemu i środkom jego zwalczania. Costaricana ma obecnie najwyższą stopę przyrostu demograficznego na świecie; pod presją takiej rzeczywistości mieliśmy skuteczniej obradować. Co prawda - ale tak mówili tylko złośliwcy - nowy hotel, jaki zbudowała korporacja Hiltona w Nounas, świecił pustkami, a na zjazd miało przybyć oprócz futurologów - drugie tyle dziennikarzy. Ponieważ w toku obrad nie zostało z tego hotelu nic, mogę, nie bojąc się pomówień o reklamiarstwo, ze spokojnym sumieniem orzec, że był to Hilton znakomity. W moich ustach słowa te mają szczególną wagę, jestem bowiem sybarytą z urodzenia i tylko poczucie obowiązku skłaniało mnie do rezygnowania z wygod na rzecz astronautycznej mordęgi.

Costaricański Hilton wystrzelał na sto sześć pięter z płaskiego, czteropiętrowego cokołu. Na dachach niskiej części zabudowań mieściły się korty tenisowe, pływalnie, solaria, tory wyścigów gokartowych, karuzele, które były zarazem ruletkami, strzelnica (można tam było strzelać do wypchanych osób, do kogo dusza zapragnęła - zamówienia specjalne realizowano w dwadzieścia cztery godziny) oraz muszla koncertowa z instalacją do natryskiwania słuchaczy gazem łożawiącym. Dostał mi się apartament na setnym piętrze, z którego mogłem oglądać tylko górną powierzchnię sinobrunatnej chmury smogu, spowijającej miasto.

Niektóre z urzędzeń hotelowych zastanowiły mnie, na przykład trzymetrowy żelazny drąg stojący w kącie jaspisowej łazienki, pomalowana barwami ochronnymi peleryna maskująca w szafie czy worek z sucharami pod łóżkiem. W łazience wisiał, obok ręczników, gruby zwój typowej liny wysokogórskiej, a na drzwiach, gdy po raz pierwszy wetknął klucz do zamku Yale, zauważyłem małą tabliczkę z napisem "Dyrekcja Hiltona gwarantuje brak BOMB w tym pomieszczeniu".

Jak wiadomo, uczeni dzielą się dziś na stacjonarnych i jeżdżących. Stacjonarni po staremu prowadzą różne badania, jeżdżący zaś uczestniczą we wszechmożliwych konferencjach i kongresach międzynarodowych. Uczonego tej drugiej grupy łatwo rozpoznać: w klapie nosi zawsze małą wizytówkę z własnym nazwiskiem i stopniem naukowym, w kieszeni - rozkłady jazdy linii lotniczych, podpasuje się ściągaczem bez części metalowych, a także jego teczka zamyka się na plastikowy zatrzask - wszystko, aby nie uruchamiać niepotrzebnie alarmowej syreny urządzenia, które na lotnisku prześwietla podróżnych i wykrywa broń sieczną oraz palną. Uczony taki fachową literaturę studiuje w autobusach linii lotniczych, w poczekalniach, w samolotach i w hotelowych barach. Nie znając, dla zrozumiałych przyczyn, wielu osobliwości ziemskiej kultury lat ostatnich, wywołałem w Bangkoku, w Atenach i w samej Costaricanie alarmy na lotnisku, czemu nie mogłem zapobiec w porę, ponieważ mam sześć metalowych plomb (z amalgamatu). Zamierzałem zmienić je na porcelanowe w samym Nounas, lecz udaremniły to niespodziewane wypadki. Co do sznura, drąga, sucharów i peleryny jeden z członków amerykańskiej delegacji futurologicznej wyjaśnił mi pobłaźliwie, że hotelarstwo naszej doby przedsiębiorze nie znane dawniej środki ostrożności. Każdy taki przedmiot, umieszczony w apartamencie, powiększa przeżywalność gości hotelowych. Słowom tym nie poświęciłem, przez lekkomyślność, właściwej uwagi.

Obrady miały się rozpocząć po południu pierwszego dnia, a już rankiem dostarczono nam komplety materiałów konferencyjnych, wydanych elegancko, w pięknej szacie graficznej, z licznymi eksponatami. Zwłaszcza ładnie prezentowały się bloczki z satynowanego błękitnego papieru, opatrzone nadrukiem "Przepustki kopulacyjne". Nowoczesne konferencje naukowe też cierpią od demograficznej eksplozji. Ponieważ liczba futurologów rośnie w tej samej potęgde, w jakiej się zwiększa cała ludzkość, na zjazdach panuje tłok i pośpiech. O wygłaszaniu referatów nie ma mowy; trzeba się zapoznać z nimi wcześniej. Z rana zaś nie było na to czasu, ponieważ gospodarze podejmowali nas lampką wina. Ta mała uroczystość odbyła się niemal bez zakłóceń, jeśli nie brać pod uwagę obrzucenia zgniłymi pomidorami delegacji Stanów Zjednoczonych; już z kieliszkiem w ręku dowiedziałem się od Jima Stantora, znajomego dziennikarza z United Press International, że o świcie porwano konsula i trzeciego attache ambasady amerykańskiej w Costaricanie. Porywacze-ekstremiści żądali w zamian za zwolnienie dyplomatów wypuszczenia więźniów politycznych, aby zaś podkreślić wagę swych żądań, posyłał na razie ambasadzie oraz czynnikom rządowym pojedyncze zęby owych zakładników, zapowiadając eskalację. Dysonans ten nie zakłócił jednak ciepłej atmosfery ранego koktajlu. Bawił na nim osobiście ambasador USA i wygłosił króciutkie przemówienie o potrzebie współpracy międzynarodowej, tyle że mówił otoczony przez sześciu barczystych cywilów, którzy trzymali nas na muszce. Wyznaję, że byłem tym nieco zdetonowany, zwłaszcza że stojący obok mnie ciemnoskóry delegat Indii ze względu na katar chciał sobie wytrzeć nos i sięgnął po chusteczkę do kieszeni. Rzecznik prasowy Towarzystwa Futurologicznego zapewniał mnie potem, że zastosowane środki były konieczne i humanitarne. Obstawa dysponuje wyłącznie bronią o dużym kalibrze z małą siłą przebijającą, tak samo jak strażnicy na pokładzie samolotów pasażerskich, dzięki czemu nikt postronny nie może być poszkodowany, w przeciwieństwie do dawnych dni, kiedy się zdarzało, że pocisk, kładąc trupem zamachowca, przechodził na wylot przez pięć albo i sześć siedzących za nim Bogu ducha winnych osób. Niemniej widok człowieka walącego się u waszych stóp pod skoncentrowanym ogniem nie należy do miłych, i to nawet wówczas, gdy idzie o zwyczajne nieporozumienie, które potem jest przyczyną wymiany dyplomatycznych not z przeprosinami.

Ale zamiast wdawać się w rozważania z zakresu humanitarnej balistyki, powinienem był wyjaśnić, czemu nie mogłem się zapoznać w ciągu całego dnia z materiałami konferencji. Pomijając już ten przykry szczegół, że przyszło mi pospieszenie

zmieniać zakrwawioną koszulę, wbrew swoim zwyczajom jadłem śniadanie w barze hotelowym. Rano jem zawsze jajka na miękko, a hotel, w którym można by je dostać do łóżka, nie ścięte razem z żółtkiem w obrzydliwy sposób, jeszcze nie został wybudowany. Wiąże się to, naturalnie, z bezustannym wzrostem rozmiarów stołecznych hoteli. Gdy kuchnię oddziela od pokoju odległość półtorej mili, nic nie uratuje żółtka przed ścięciem. O ile wiem, problem ten badali specjaliści fachowcy Hiltona i doszli do wniosku, że jedynym środkiem zaradczym byłyby specjalne windy poruszające się z naddźwiękową szybkością, jednakże tak zwany sonic boom - grzmot wywołany przebicciem bariery dźwięku - w zamkniętej przestrzeni gmachu powodowałby pęknięcie bębenków w uszach. Ewentualnie można żądać, aby automat kuchenny dostarczył surowych jaj, które na waszych oczach na miękko ugotuje w pokoju automat kelnerski, lecz stąd już niedaleko do wożenia się po Hiltonach z kojcem własnych kur. Dlatego właśnie udałem się z rana do baru. Obecnie 95 procent gości hotelowych tworzą uczestnicy wszelakich zjazdów i konferencji. Gość-samotnik, turystasoliter, bez wizytówki w klapie i teczki wypchanej szpargałami konferencyjnymi, jest rzadki jak perła na pustyni. Oprócz naszej odbywała się akurat w Costaricanie Konferencja Kontestatorów Młodzieżowych ugrupowania "Tygrysów", Zjazd Wydawców Literatury Wyzwolonej oraz Towarzystwa Filumenicznego. Zwykle przydziela się takim grupom pokoje na tych samych piętrach, lecz chcąc mnie uhonorować, dyrekcja dała mi apartament na setnym, ponieważ miało własny gaj palmowy, w którym odbywały się koncerty Bacha; orkiestra była żeńska i grając, dokonywała zbiorowego striptease'u. Na wszystkim tym raczej mi nie zależało, lecz nie było, niestety, żadnego wolnego pokoju, musiałem więc zostać tam, gdzie mnie ulokowano. Ledwo zasiadłem na barowym stołku mego piętra, a już pleczysty sąsiad, brodaczkruczowłosy (mogłem odczytać z jego brody, jak z karty dań, wszystkie posiłki minionego tygodnia), podsunął mi pod nos ciężką, okutą dwururkę, którą miał zawieszoną przez plecy, i zaśmiawszy się rubasznie spytał, jak oceniam jego papieżówkę. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale wolałem się do tego nie przyznawać. Najlepszą taktyką w przypadkowych znajomościach - jest milczenie. Jakoż sam wyjawiał mi ochoczo, że dubeltowy sztucer, wyposażony w celownik z laserem, cyngielschneller oraz ładówkę, jest bronią na papieża. Gadając bezustannie, wyciągnął z kieszeni złamane zdjęcie, na którym widniał składając się do celu, jaki stanowił manekin w piusce. Osiągnął już, jak twierdził, szczytową formę i wybiera się właśnie do Rzymu, na wielką pielgrzymkę, aby ustrzelić Ojca Świętego pod Bazyliką Piotrową. Nie wierzyłem ani jednemu jego słowu, lecz wciąż paplając, po kolei pokazał mi bilet lotniczy z rezerwacją, mszalik oraz prospekt pielgrzymki dla amerykańskich katolików, jak również paczkę nabozi z rżniętą w krzyż główką. Dla oszczędności nabył bilet tylko w jedną stronę, ponieważ liczył na to, że wzburzeni państwo rozedrą go na sztuki. Perspektywa ta zdawała się wprawiać go w doskonały humor. Sądziłem zrazu, że mam do czynienia z wariatem lub zawodowym dynamitardemekstremistą, jakich nie brak obecnie, lecz i w tym się omyliłem. Gadając bez przerwy i złażąc wciąż z wysokiego stołka, bo strzelba obsuwała mu się na podłogę, wyjawiał mi, że jest właśnie gorącym, prawowiernym katolikiem, planowana zaś przezeń akcja (zwał ją "akcją P") będzie z jego strony szczególną ofiarą; chodzi mu o wstrząśnięcie sumieniem ludzkości, a cóż może wstrząsnąć nim lepiej nad czyn tak skrajny? Zrobi to samo, wykladał mi, co podług Pisma świętego miał zrobić Abraham z Izaakiem, tyle że na odwrót, bo wszak nie syna położył, lecz ojca, i to na dobitkę świętego. Tym samym da dowód najwyższej ofiarności, na jaką może się zdobyć chrześcijanin, bo i ciało wyda na męki, i duszę na potępienie, a wszystko po to, by otworzyć ludzkości oczy. Już to - pomyślałem - zbyt wielu jest amatorów tego otwierania oczu; nie przekonany ową filipiką, poszedłem ratować papieża, to jest powiadomić kogoś o tym planie, lecz Stantor, który mi się napatoczył w barze 77 piętra, nie wysłuchawszy mnie nawet do końca, powiedział, że w podarkach, jakie ofiarowała Hadrianowi XI ostatnia wycieczka wiernych amerykańskich, były dwie zegarówki i beczułka wypełniona - zamiast winem mszalnym - nitrogliceryną; zblazowanie jego pojałem lepiej, usłyszawszy, że ekstremiści przysłali dopiero co do ambasady nogę, nie wiadomo tylko jeszcze - czyją. Nie dokończył zresztą rozmowy, bo odwołano go do telefonu; podobno na Avenida Romana ktoś się właśnie podpalił na znak protestu. Na 77 piętrze panowała w barze zupełnie inna atmosfera niż u mnie na górze; było wiele dziewczyn bosych, poubieranych w łańcuszkowe koszulki do pasa, niektóre przy szabli; część z nich miała długie warkoczki, przymocowane, zgodnie z najnowszą modą, do breloczka na szyi lub do obróżki wybijanej ćwiekami. Nie

jestem pewien, czy były to filumenistki, czy też sekretarki Stowarzyszenia Wyzwolonych Wydawców; sądząc po barwnych fotosach, jakie oglądały, szło raczej o specjalne wydawnictwa. Zjechałem o dziewięć piętér niżej, gdzie zamieszkiwali moi futurologowie, i w kolejnym barze wypiliśmy długiego drinka z Alfonsem Mauvinem z Agence France Press; po raz ostatni spróbowałem ratować papieża, lecz Mauvin opowieść moją przyjął ze stoicyzmem; mruknął tylko, że w ubiegłym miesiącu pewien australijski patnik strzelał już w Watykanie, ale z zupełnie innych pozycji ideowych. Mauvin liczył na interesujący wywiad dla swej agencji z niejakim Manuelem Pyrhullo, ściganym przez FBI, Surete, Interpol i szereg innych policji, był on bowiem założycielem usługowej firmy nowego typu: wynajmował się jako ekspert od zamachów środkami wybuchowymi (znano go pospolicie pod pseudonimem "Bombowiec"), szcycąc się nawet swoją bezideowością. Gdy piękna rudowłosa dziewczyna w czymś, co przypominało koronkową koszulę nocną, gęsto podziurawioną seriami broni maszynowej, podeszła do naszego stolika (była to właśnie wysłanniczka ekstremistów, która miała pilotować reportera do ich kwatery głównej), Mauvin, odchodząc, wręczył mi ulotkę reklamową Pyrhulla, z której się dowiedziałem, że najwyższy czas skończyć z wyczynami nieodpowiedzialnych amatorów, niezdolnych odróżnić dynamitu od melinitu ani piorunianu rtęci od sznura Bickforda; w czasach wysokiej specjalizacji nie robi się niczego na własną rękę, lecz polega na zawodowej etyce i wiedzy sumiennych fachowców; na odwrocie ulotki znajdował się cennik usług z przeliczeniami w walutach najwyższej rozwiniętych krajów świata.

Futurologowie jęli się właśnie schodzić do baru, gdy jeden z nich, profesor Mashkenase, wpadł blady, roztrzęsiony, wołając, że ma zegarową bombę w pokoju; barman, snadź zwyczajny takich rzeczy, automatycznie krzyknął: - Kryć się! - i skoczył pod szynkwę; wnet jednak detektywi hotelowi wykryli, że jakiś kolega zrobił Mashkenasemu głupi kawał, włożywszy do pudełka po keksach zwyczajny budzik. Wyglądało mi to na Anglika, oni bowiem kochają się w tak zwanych practical jokes, lecz puszczono rzecz w niepamięć, bo zjawili się J. Stantor i J. G. Howler, obaj z UPI, przynosząc tekst aide memoire rządu USA do rządu Costaricany w sprawie porwanych dyplomatów. Było ono sformułowane zwykłym językiem not dyplomatycznych i ani nogi, ani zębów nie nazywało po imieniu. Jim powiedział mi, że miejscowy rząd może uciec się do środków drastycznych; generał Apollon Diaz, sprawujący władzę, przychylił się do opinii "jastrzębi", by gwałt odeprzeć gwałtem. Na posiedzeniu (rząd obradował w permanencji) padła propozycja przejścia do kontraktaku - żeby więźniom politycznym, których zwolnienia żądają ekstremiści, wyrwać dwa razy tyle zębów, a ponieważ adres kwatery ekstremistów jest nieznan, zęby te prześle im się na poste restante. Lotnicze wydanie "New York Timesa" piórem Suizbergera apelowało do poczucia rozsądku i wspólnoty gatunkowej człowieka. Stantor powiedział mi w dyskrecji, że rząd zarekwirował pociąg z tajnym materiałem wojskowym, będący własnością USA, który szedł tranzytem przez terytorium Costaricany do Peru. Jak dotąd ekstremiści nie wpadli na pomysł porywania futurologów, co z ich punktu widzenia nie byłoby głupie, ponieważ aktualnie w Costaricanie było więcej futurologów niż dyplomatów. Stupiętrowy hotel jest atoli organizmem tak ogromnym i tak komfortowo odseparowanym od reszty świata, że wieści z zewnątrz dochodzą doń jakby z drugiej półkuli. Na razie nikt z futurologów nie okazywał paniki: własne biuro podróży Hiltona nie było obleżone przez gości rezerwujących miejsca na samoloty do Stanów czy gdzie indziej. Na drugą wyznaczono oficjalny bankiet otwarcia, a ja nie zdążyłem się jeszcze przebrać w wieczorową piżamę, pojechałem więc do pokoju, a potem z największym pośpiechem zjechałem do Sali Purpurowej na 46 piętrze. W foyer podeszły do mnie dwie czarujące dziewczyny w szarawarach topless, z biustami pomalowanymi w niezapominajki i śnieżyczki, by wręczyć mi lśniący folder. Nie spojrzawszy nań, wszedłem do sali, jeszcze pustawej, i dech mi zaparł widok stołów, nie dlatego, że były suto zastawione, lecz szokujące były formy, w jakich podano wszystkie pasztety, przystawki i zakąski - nawet sałatki stanowiły imitację genitaliów. O złudzeniu optycznym nie było mowy, bo dyskretnie ukryte głośniki nadawały popularny w pewnych kręgach szlagier, zaczynający się do słów: "Tylko głupiec i kanalia lekceważy genitalia, bo najbardziej jest dziś modne reklamować części rodne!"

Pojawili się pierwsi bankietowicze, z gęstymi brodami i sumiastymi wąsiskami, zresztą sami młodzi ludzie, w piżamach albo i bez nich; gdy sześciu kelnerów

wniosło tort, widząc tę najbardziej nieprzyzwoitą leguminę świata, nie mogłem już mieć wątpliwości: pomyliłem sale i mimo woli dostałem się na bankiet Wyzwolonej Literatury. Pod pretekstem, że zginęła mi sekretarka, wycofałem się czym prędzej i zjechałem o jedno piętro niżej, aby odetchnąć we właściwym miejscu: Purpurowa Sala (a nie Różowa, do jakiej się dostałem) była już pełna. Rozczarowanie, wywołane skromnością przyjęcia, ukryłem, jak umiałem. Bufet był zimny i stojący; aby utrudnić konsumpcję, wyniesiono z olbrzymiej sali wszystkie krzesła i fotele, tak że wypadło okazać zwykłą w podobnych okolicznościach zręczność, zwłaszcza że do półmisków co istotniejszych zrobił się fatalny tłok. Senor Cuillone, przedstawiciel sekcji costaricańskiej Towarzystwa Futurologicznego, tłumaczył z czarującym uśmiechem, że wszelka lukullusowość byłaby nie na miejscu, zważywszy, iż tematem obrad jest między innymi klęska głodu zagrażająca ludzkości. Naturalnie znaleźli się sceptycy, którzy mówili, że Towarzystwu obcięto dotacje i tym jedynie można tłumaczyć tak drastyczne oszczędności. Dziennikarze, zawodowo zmuszeni do abnegacji, kręcili się pośród nas, robiąc małe wywiady z luminarzami prognostyki zagranicznej; zamiast ambasadora USA zjawił się tylko trzeci sekretarz ambasady z masywną obstawą, w smokingu, on jeden, bo kuloodporną kamizelkę trudno schować pod piżamą. Słyszałem, że gości z miasta poddawano w hallu rewizji osobistej i miał się już tam piętrzyć spory stos znalezionej broni. Właściwe obrady wyznaczono dopiero na piątą, było więc dość czasu, by odetchnąć u siebie, toteż pojechałem na setne piętro. Po przesolonych sałatkach odczuwałem silne pragnienie, że jednak bar mojego piętra okupowali twardo kontestatorzy i dynamitardzi ze swoimi dziewczętami, a miałem już dość jednej rozmowy z brodatym papistą (czy antypapistą), zadowolilem się szklanką wody z kranu. Ledwom ją wychylił, zgasło światło w łazience i obu pokojach, telefon zaś, bez względu na to, jaki nakręcałem numer, łączył mnie wciąż tylko z automatem opowiadającym bajkę o Kopciuszku. Chciałem zjechać na dół, lecz i winda nie działała. Słyszałem chóralny śpiew kontestatorów, którzy teraz już strzelali do taktu; miałem nadzieję, że obok. Rzeczy takie trafiają się nawet w pierwszorzędnym hotelach, przez co zresztą nie są mniej irytujące, tym jednak, co mnie najbardziej zdziwiło, była moja własna reakcja. Humor, raczej podławy od czasu rozmowy z papieskim strzelcem, poprawiał się z każdą sekundą. Przewracając po omacku sprzęty w pokoju, uśmiechałem się wyrozumiale w ciemność i nawet kolano, do żywego rozbite o walizy, nie zmniejszyło mej życzliwości dla całego świata. Wymacawszy na nocnym stoliczku resztki posiłku, jakiego zażądałem między śniadaniem a lunchem do pokoju, wetknąłem w krążek masła strzęp papieru, wyrwany z foldera kongresowego, i gdy go zapalił zapałką, uzyskałem kopcałą wprawdzie, ale jednak świeczkę, w której blasku zasiadłem na fotelu, bo miałem wszak jeszcze ponad dwie godziny wolnego czasu, wliczając w to godzinny spacer po schodach (skoro winda była nieczynna). Moja pogoda duchowa przechodziła dalsze fluktuacje i zmiany, którym przyglądałem się z żywym zaciekawieniem. Było mi wesoło, wprost doskonale. Mogłem w lot wyliczyć roje argumentów na rzecz tego właśnie stanu rzeczy, jaki zaszedł. Wydawało mi się najsolennie, że apartament Hiltona, pogrążony w egipskich ciemnościach, pełen swędu i kopcia ogarka maślanego, odcięty od świata, z telefonem opowiadającym bajki, jest jednym z najmilszych miejsc na świecie, jakie można sobie wystawić. Ponadto odczuwałem przemożną chęć głaskania byle kogo po głowie, a przynajmniej uściśnięcia bliźniej ręki z głębokim, pełnym serdeczności zajrzeniem w oczy.

Ucałowałem z dubeltówki najzaciętszego wroga. Masło, roztapiając się, skwiercząc i dymiąc, wciąż gasło; to, że "masło" rymuje się ze "zgasło", wprawiło mnie w atak śmiechu, chociaż zarazem poparzyłem sobie palce zapałkami, usiłując wciąż od nowa zapalić papierowy knot. Maślana świeczka ledwie pełgała, ja zaś nuciłem półgłosem arie ze starych operetek, nie zważając ani trochę na to, że od swędu krztusiłem się i łzy płynęły mi z piekących oczu po policzkach. Wstając przewróciłem się jak długi, zawadziwszy o walizkę na podłodze, lecz i guz, wielkości jajka, który wyskoczył mi na czole, jedynie polepszył jeszcze mój humor (o ile było to w ogóle możliwe). Zaśmiewałem się, na wpół uduszony śmierdzącym dymem, bo i to nie odmieniało ani na jotę mego radosnego uniesienia. Położyłem się na łóżku, nie posłany od rana, choć minęło dawno południe; o służbie, wykazującej takie niedbalstwo, myślałem jak o własnych dzieciach: oprócz czułych zdrobnień i pieśczośliwych słówek nic nie przychodziło mi na myśl. Błysnęło mi, że nawet gdybym się tu miał zadusić, byłoby to

najzabawniejszy, najbardziej sympatyczny rodzaj śmierci, jakiego tylko można sobie życzyć. Ta konstatacja była tak dalece sprzeczna z całym moim usposobieniem, że podziałała na mnie jak pobudka. W duchu mym doszło do zadziwiającego rozszczepienia. Nadal wypełniała go flegmatyczna jasność, rodzaj uniwersalnej życzliwości dla wszystkiego, co istnieje, ręce zaś miałem tak chciwie pieszczonia byle kogo, że w braku osób postronnych jałem się delikatnie gładzić po policzkach i filuternie pociągać za uszy; podałem też wielokrotnie prawą rękę lewej dla wymiany krzepkiego uścisku. Nawet nogi mi drygały do pieszczot. Przy tym wszystkim w głębi mego jestestwa zapaliły się jakby sygnały alarmowe: - Coś jest nie tak! - krzyczał we mnie daleki, słaby głos - uważaj, Ijonie, bądź czujny, strzeż się! Pogoda ta jest niegodna zaufania! Działaj, nuże! Hejże ha! Naprzód! Nie siedź rozwalony jak jakiś Onassis, zalany łzami od dymu i kopcia, z guzowatym czołem, w powszechnej życzliwości! Ona jest objawem jakowejś czarnej zdrady! - Mimo tych głosów palcem nawet nie ruszyłem. Tyle że zaschło mi w gardle. Zresztą serce waliło mi od dawna, ale tłumaczyłem to sobie zbudzoną zniechęcą wszechmiłością. Poszedłem do łazienki, tak okropnie chciało mi się pić; pomyślałem o przesolonej sałatce z bankietu czy raczej tego stojącego koktajlu, potem zaś na próbę wyobraziłem sobie panów J. W., H. C. M., M. W. i innych moich najgorszych wrogów; stwierdziłem, że oprócz chętki kordialnego uściśnięcia ich dłoni, siarczystego całusa, paru słów bratniej wymiany myśli - nie odczuwam żadnych innych emocji. To już było prawdziwie alarmujące. Z ręką na nikłowej główce kranu, dzierząc w drugiej pustą szklanekę, zamarłem. Powoli natoczyłem wody i wykrzywiając twarz w dziwnym skurczu - widziałem tę walkę własnych rysów w lustrze - wylałem ją.

Woda z kranu. Tak. Od chwili gdy ją wypilem, zaszły we mnie te zmiany. Coś w niej musiało być! Trucizna? Nie słyszałem jeszcze o takiej, która by... Chociaż zaraz! Jestem wszak stałym abonentem prasy naukowej. Ostatnio w "Science News" pojawiły się notatki o nowych środkach psychotropowych z grupy tak zwanych b e n i - gnatorów (dobryn), które zniewalają umysł do bezprzedmiotowej radości i pogody. Ależ tak! Miałem tę notatkę przed oczami ducha. Hedonidol, benefaktoryna, empathian, euforasol, felicytol, altruizan, bonokaresyna i cała masa pochodnych! Zarazem przez podstawienia grup hydroksylowych amidowymi syntetyzowano z tychże ciał furyasol, łyssynę, sadystyzynę, flagellinę, agressium, frustrandol, amokolinę oraz wiele jeszcze preparatów rozwścieczających z tak zwanej grupy bijologicznej (nakłaniały bowiem do bicia i znęcania się nad otoczeniem, tak martwym, jak żywym - przy czym prym miały wodziec kopandol i walina).

Te myśli przerwał dźwięk telefonu, jednocześnie zabłysło światło. Głos pracownika recepcji hotelowej uniżenie i solennie przeproszał za awarię, która już właśnie usunięto. Otwarłem drzwi na korytarz, by przewietrzyć pokój; w hotelu, o ile mogłem się zorientować, panowała cisza; jakiś oczadziały, wciąż jeszcze przepełniony ochotą udzielania benedykcji i pieszczot, zamknąłem drzwi na zatrask, usiadłem na środku pokoju i jałem zmagać się z samym sobą. Stan mój z owej chwili jest niezwykle trudny do opisanego. Bynajmniej nie myślało mi się tak gładko ani tak jednoznacznie, jak to podają. Każda krytyczna refleksja była jakby zanurzona w miodzie, spowijał ją paraliżująco jakiś kogelmogel głupekowatego samozadowolenia, każda ociekała syropem dodatnich uczuć, duch mój zdawał się zapadać w najsłodszy z możliwych trzęsawisk, jakbym tonał w różanych olejkach i lukrach; siłą zmuszałem się do myślenia o tym, co tylko mi najwstrętniejsze, o brodatym łotrze z przeciwpapieżową dubeltówką, o wyuzdanych wydawcach Wyzwolonej Literatury i ich babilońskosodomskiej uczcie, znów o panach W.C., J.C.M., A. K. i wielu innych łotrach i oczajduszach, aby z przerażeniem stwierdzać, że wszystkich miłuję, wszystko wszystkim wybaczam, więcej - natychmiast jak wańki-wstańki wyskakiwały z mych myśli argumenty biorące wszelkie zło i plugastwo w obronę. Potop miłości bliźniego rozsądzał mi czaszkę; szczególnie zaś dolegało mi to, co najlepiej może określa słowa "parcie ku dobru". Zamiast o truciznach psychotropowych myślałem łapczywie o wdowach i sierotach, jakimi z rozkoszą bym się zaopiekował; odczuwałem rosące zdumienie, że tak mało poświęcałem im dotychczas uwagi. A biedni, a głodni, a chorzy, a nędznicy, wielki Boże! Złapałem się na tym, że klęczę nad walizką i wyrzucam z niej wszystko na podłogę w poszukiwaniu co porządniejszego rzeczy, by je ofiarować potrzebującym. I znów słabe głosy alarmu rozbrzmiały w mej

podświadomości: - Uwaga! Nie daj się otumaniać! Walcz! Tnij! Kop! Ratuuj się! - krzyczało coś we mnie słabo, lecz rozpaczliwie. Byłem okrutnie rozdarty. Odczuwałem tak potężny ładunek imperatywu kategorycznego, że muchy bym nie ukrzywdził. Jaka szkoda, myślałem, że w Hiltonie nie ma myszy ani chociaż pajaków; jakże bym je dopieścił, ukochał! Muchy, pluskwy, szczury, komary, wszy, kochane stworzonka, mocny Boże! Przelotnie pobłogosławiłem stół, lampę i własne nogi. Lecz szczątki trzeźwości już mnie nie opuszczaly, toteż niezwłocznie palnąłem lewicą prawą, rozdającą błogosławieństwa rękę, aż mnie ból skręcił. To było niezłe! To mogło być, kto wie, zbawienne! Na szczęście parcie ku dobru miało charakter odśrodkowy: innym życzyłem daleko lepiej niż sobie. Na początek dałem sobie parę razy po gębie, aż mi kręgosłup zaskrzypiał, a w oczach stanęły gwiazdy. Dobrze, tylko tak dalej! Kiedy mi twarz zdrętwiała, jałem się kopać w kostki.

Całe szczęście, że miałem buty ciężkie, o cholernie twardej podeszwie. Po kuracji złożonej z wściekłych kopnięć zrobiło mi się na mgnienie lepiej, to jest gorzej. Ostrożnie próbowałem pomyśleć, jak by to było, gdybym kopnął też pana J. C. A. Nie było to już tak kompletnie niemożliwe. Kostki obu nóg bolały jak wszyscy diabli i chyba dzięki tej automaltretacji zdołałem sobie wyobrazić nawet szturchańca wymierzonego M. W. Nie zważając na dotkliwy ból, kopałem się dalej. Przydatne było wszystko kończaste, zastosowałem tedy widelec, a potem szpilki, które wyciągnąłem z jeszcze nie używanej koszuli. Nie szło to wszakże prosto, raczej falowało, przez parę minut znów gotów się byłem podpalić dla lepszej sprawy, znów buchnął we mnie gejzer szlachetności wyższej i cnotliwego zapamiętania. Nie miałem atoli wątpliwości: coś było w wodzie z kranu. Prawda!!! Miałem w walizce od dawna wożony, nigdy nie używany środek nasenny, który wprawiał mnie zawsze w ponure i agresywne usposobienie, dlatego właśnie go nie używałem, szczęście, że się go nie pozbył. Łyknąłem tabletkę, przegryzając ją zakopconym masłem (bo od wody stroniłem jak od dżumy), potem wdławiłem z wysiłkiem dwie pastylki kofeinowe, aby przeciwdziałać wpływowi środka nasennego, usiadłem na fotelu i czekałem ze strachem, ale i z miłością bliźniego na wynik walki chemicznej w moim organizmie. Miłość gwałciła mnie wciąż jeszcze, byłem udobruchany jak jeszcze nigdy w życiu. Zdaje się, że chemikalia zła definitywnie zaczęły przewyżczać preparaty dobra; gotów byłem nadal do czynności opiekuńczych, ale już nie bez wyboru. Wolałbym co prawda być na wszelki wypadek ostatnim łotrem, przynajmniej czas jakiś.

Po kwadransie jakby mi przeszło. Wziąłem prysznic, wytarłem się szorstkim ręcznikiem, od czasu do czasu na wszelki wypadek wałac się po gębie, ot, tak, dla ogólnej profilaktyki, okleiłem plastrami poranione kostki, palce, policzyłem siniaki (doprawdy zbiłem się w toku tych zmagañ na kwaśne jabłko), włożyłem świeżą koszulę, ubranie, poprawiłem przed lustrem krawat, obciągnąłem surdut, przed wyjściem dałem sobie pod żebro, dla animuszu, ale i dla kontroli, i wyszedłem w samą porę, bo już dochodziła piąta. Wbrew moim oczekiwaniom w hotelu nie działo się nic niezwykłego. W barze mego piętra, do którego zajrzałem, było niemal pusto; oparta o stół stała papieżówka, dwie pary nóg wystawały spod szynkwasu, jedna była bosa, lecz widoku tego nie trzeba było bezwzględnie interpretować w wyższych kategoriach, paru innych dynamitardów grało w karty pod ścianą, jeden zaś grał na gitarze i śpiewał wiadomy przebój. Na dole, w hallu, było tłoczno od futurologów; właśnie szli na otwarcie obrad, nie opuszczając zresztą Hiltona, ponieważ sala w tym celu wynajęta znajdowała się w niskiej części budynku. Zrazu zdumiało mnie to, ale po zastanowieniu pojałem, że w takim hotelu żaden gość nie pije wody z kranu; spragnieni sięgają po colę, schweppesa, w ostateczności po sok owocowy, herbatę lub piwo. Także do długich drinków używa się gorzkich wód mineralnych czy innych butelkowanych; a jeśli nawet ktoś przez nieostrożność powtórzył mój błąd, wił się teraz zapewne w czterech ścianach zamkniętego na klucz apartamentu, w skurczach wszechmiłosnego zapamiętania. Uznałem, że w tym stanie rzeczy lepiej nie zająknąć się nawet o własnych przejściach, bo wszak byłem tu człowiekiem obcym, jeszcze by mi nie dano wiary i posadzono o jakąś aberrację bądź halucynację. Cóż prostszego nad podejrzenie o skłonność do narkotyków?

Robiono mi później zarzuty, że zastosowałem tę politykę ostrzygi czy strusia, bo gdybym wszystko ujawnił, może nie doszłoby do wiadomych nieszczęść, lecz mówiący

tak popełniają oczywisty błąd: najwyżej ostrzegłbym gości hotelowych, lecz to, co się działo w Hiltonie, nie miało wszak najmniejszego wpływu na perypetie polityczne Costaricany.

W drodze do sali obrad kupiłem w hotelowym kiosku plik miejscowych gazet, jak to mam we zwyczaju. Nie kupuję ich, zapewne, wszędzie, lecz człowiek wykształcony może domyślić się sensów w hiszpańskim nawet, choć nie włada tym językiem.

Nad podium widniała umajona tablica z porządkiem dziennym; punkt pierwszy dotyczył katastrofy urbanistycznej świata, drugi - ekologicznej, trzeci - atmosferycznej, czwarty - energetycznej, piąty - żywnościowej, po czym miała nastąpić przerwa. Katastrofę technologiczną, militarystyczną i polityczną przeniesiono na dzień następny razem z wolnymi wnioskami.

Każdy mówca dysponował czterema minutami czasu dla wyłożenia swych tez, co i tak było sporo, zważywszy, że zgłoszono 198 referatów z 64 państw. Aby przyspieszyć tempo obrad, referaty należało przestudiować na własną rękę, przed posiedzeniem, orator zaś mówił wyłącznie cyframi, określając w ten sposób kluczowe ustępy swej pracy; dla ułatwienia recepcji tak bogatych treści wszyscyśmy nastawili swoje podręczne magnetofony oraz komputerki - między tymi ostatnimi dojść miało potem do zasadniczej dyskusji. Stanicy Hazelton z delegacji USA zaszokował od razu salę, powtarzając z naciskiem: 4,6,11, z czego wynika 22; 5, 9, ergo 22; 3,7,2,11, skąd wynika znowuż 22!! - Ktoś wstał wołając, że jednak 5, ewentualnie 6,18 i 4; Hazelton odparował zarzut błyskawicznie, tłumacząc, że tak czy owak 22. Poszukałem w jego referacie klucza numerycznego i dowiedziałem się, że cyfra 22 oznacza katastrofę ostateczną. Następnie Japończyk Hayakawa przedstawił nowy, wykoncypowany w jego kraju model domu przyszłości, osiemsetpiętrowy, z klinikami położniczymi, żłobkami, szkołami, sklepami, muzeami, zoologami, teatrami, kinami i krematoriami; projekt uwzględniał pomieszczenia podziemne na popioły zmarłych, telewizję czterdziestokanałową, izby upojeń i wytrzeźwień, sale podobne do gimnastycznych do uprawiania grupowego seksu (wyraz postępowych przekonań projektantów) oraz katakumby dla nie przystosowanych ugrupowań subkulturowych. Pewnym novum była myśl, aby każda rodzina, każdego dnia, przeprowadzała się z dotychczasowego mieszkania do innego, przy czym w grę wchodziły przeprowadzki albo ruchem szachowego pionka, albo konia. Zapobiegałoby to nudzie oraz frustracji, lecz na wszelki wypadek ów gmach o kubaturze siedemnastu kilometrów sześciennych, osadzony na dnie oceanu, a sięgający stratosfery, miał przewidziane własne komputery matrymonialne, swatające na zasadzie sadomasochizmu (stadła sadystów z masochistkami, i na odwrót, są statystycznie najtrwalsze, bo każdy partner ma w nich to, o czym marzy) oraz ośrodek terapii przeciwsamobójczej. Hakayawa, drugi delegat japoński, zademonstrował nam makietę takiego domu - w skali 1 :10 000 - z własną rezerwą tlenu, ale bez rezerw wody i żywności, ponieważ dom był planowany z obiegiem zamkniętym: wszelkie wydaliny miało regenerować, wychytując nawet poty śmiertelne i inne cielesne sekrecje. Yahakawa, trzeci Japończyk, odczytał listę smakołyków regenerowalnych z wydalin całego gmachu. Były tam między innymi sztuczne banany, pierniki, krewetki, ostrygi i nawet sztuczne wino, które, mimo pochodzenia budzącego niemiłe asocjacje, nie ustępowało ponoć w smaku najlepszym winom Szampanii. Na salę dostarczono próbki w estetycznych buteleczkach oraz po paszteciku w opakowaniu z folii, ale jakoś nikt się nie kwapił do picia, a paszteciki upychano dyskretnie pod fotele, więc i ja tak zrobiłem. Pierwotny plan, żeby taki dom mógł latać dzięki potężnym wirnikom, co umożliwiłoby wycieczki zbiorowe, upadł, raz, że takich domów miało być w pierwszym rzucie 900 milionów, a dwa, że przenosiny byłyby bezprzedmiotowe. Gdyby nawet dom miał 1000 wyjść i gdyby mieszkańcy używali wszystkich, i tak nigdy by nie wyszli, bo nim ostatni opuściłby budynek, już zdążyłyby podrosnąć urodzone w tym czasie dzieci.

Japończycy zdawali się wielce zadowoleni ze swego projektu. Po nich zabrał głos Norman Youhas z delegacji USA, który zaproponował siedem różnych metod zahamowania eksplozji demograficznej, a mianowicie: zniechęcanie perswazyjne i policyjne, deerotyzację, przymusową celibatyzację, onanizację, subordynację, a wobec niepoprawnych - kastrację. Każde małżeństwo miało się ubiegać o prawo posiadania dziecka, składając odpowiednie egzaminy trzech kategorii, to jest kopulacyjny, edukacyjny i bezkolizyjny. Nielegalne urodzenie dziecka podlegało

karom; premedytacja i recydywa groziły winnym dożywociem. Do tego referatu odnosiły się owe ładne foldery i bloczki z kuponami do odrywania, jakie dostaliśmy wśród materiałów kongresowych. Hazelton i Youhas postulowali nowe rodzaje zawodów, a mianowicie: inwigilatora matrymonialnego, zakazywacza, rozdzielacza i zatykacza; projekt nowego kodeksu karnego, w którym zapładnianie stanowiło delikt główny, o wyjątkowej szkodliwości społecznej, rozdano nam niezwłocznie. Podczas rozdawania doszło do incydentu, ktoś bowiem z galerii dla publiczności rzucił na salę koktajl Mołotowa. Pogotowie (było na miejscu, dyskretnie schowane w kularach) zrobiło swoje, a służba porządkowa czym prędzej zasłoniła pogruchotane fotele i resztki wielką nylonową oponą, pomalowaną wesołe, estetyczne wzory; jak z tego widać, o wszystkim z góry pomyślano. Między poszczególnymi referatami próbowałem studiować gazety miejscowe, a choć rozumiałem ich hiszpańszczyznę zaledwie piąte przez dziesiąte, i tak dowiedziałem się, że rząd ściągnął do stolicy jednostki pancerne, postawił całą policję w stan ostrego pogotowia oraz wprowadził stan wyjątkowy. Zdaje się, że prócz mnie nikt na sali nie orientował się w powadze sytuacji, jaka panowała za murami. O siódmej była przerwa, podczas której każdy mógł się posilić, na własny koszt oczywiście, ja zaś wracając na salę kupiłem kolejne nadzwyczajne wydanie pisma rządowego "Nacion" oraz kilka popołudniowych dzienników ekstremistycznej opozycji. Choć miałem z hiszpańskim trudności, przecież lektura tych gazet wprawiła mnie w zdumienie, bo z artykułami pełnymi optymistycznobogich rozważań na temat międzyludzkich więzi miłosnych, jakie są gwarantkami powszechnego szczęścia, sąsiadowały inne, pełne zapowiedzi krwawych represji i w podobnym tonie utrzymanych pogroźek ekstremistów. Tej łaciatości nie umiałem sobie wytłumaczyć inaczej, jak tylko sięgając do hipotezy, że jedni dziennikarze pili tego dnia wodę wodociągową, a inni nie. W organie prawniczym pito jej naturalnie mniej, ponieważ pracownicy redakcyjni, jako lepiej płatni od opozycjonistów, pokrzepiali się w czasie pracy co droższymi trunkami; ale i ekstremiści, choć skłonni, jak wiadomo, do niejkiej ascezy w imię wyższych haseł i ideałów, gasili pragnienie wodą tylko w szczególnych okolicznościach, jeśli zważyć, że quartzupio, napój ze sfermentowanego soku rośliny melmenoleJest w Costaricanie wprost niezwykle tani.

Ledwośmy się zagłębili w miękkich klubowcach, a profesor Dringenbaum ze Szwajcarii wypowiedział pierwszą cyfrę swego przemówienia, dały się słyszeć głucho detonacje; gmach zadrgał lekko w fundamentach, zabrzęczały szyby, ale optymiści wołali, że to tylko trzęsienie ziemi. Ze swej strony skłonny byłem sądzić, że to jakaś grupa kontestatorów, pikietujących hotel od początku obrad, cisnęła w hallu petardy. Z mniemania tego wywiódł mnie huk i grzmot znaczniejszej siły; dały się też słyszeć karabiny maszynowe z ich charakterystycznym staccato. Nie można już się było dłużej ludzić: Costaricana weszła w fazę walk ulicznych. Jako pierwsi ulotnili się z sali dziennikarze, których strzelanina zerwała na równe nogi niczym pobudka. Pognali na ulicę, wezwani obowiązkiem zawodowym. Profesor Dringenbaum próbował jeszcze przez parę chwil kontynuować prelekcję napisaną w tonie dość pesymistycznym, utrzymywał bowiem, że następną fazą naszej cywilizacji jest kanibalizacja. Powołał się na znaną teorię Amerykanów, którzy obliczyli, że jeśli wszystko pójdzie na Ziemi tak, jak dotąd, za czterysta lat ludzkość będzie stanowiła żywą kulę ciał, powiększającą się z szybkością światła. Lecz nowe eksplozje przerwały wykład. Zdezorientowani futurologowie jęli wychodzić z sali, mieszając się w hallu z uczestnikami Kongresu Wyzwolonej Literatury, których, jak świadczył o tym ich wygląd, wybuch walk przychwycił w toku czynności wyrażających całkowitą obojętność dla groźby przeludnienia. Za redaktorami domu wydawniczego A. Knopfa sekretarki (nie nazwałbym ich roznegliżowanymi, skoro oprócz wymalowanych na skórze deseni w stylu "op" nie miały na sobie nic zgoła) niosły podręczne fajki wodne i nargile, w których paliła się modna mieszanka LSD, marihuany, yohimbiny i opium. Reprezentanci Wyzwolonej Literatury spalili właśnie, jak usłyszałem, in effigie ministra poczty USA za to, że nakazał swym placówkom mszczenie druków wzywających do masowego uprawiania kaziroduztwa; zeszedłszy do hallu, zachowywali się bardzo niewłaściwie, zwłaszcza gdy uwzględnić powagę sytuacji. Publicznej moralności nie naruszali już tylko ci spośród nich, którzy opadli całkiem z sił albo trwali w narkotycznym odrętwieniu. Słyszałem krzyki dobiegające z kabin, w których napastowali telefonistki hotelowe, a jakiś brzuchacz w lamparciej skórze, z pochodnią haszyszową w ręku, szalał między szaragami garderoby,

atakując cały J6J personel. Ledwo go unieszkodliwili urzędnicy z recepcji przy pomocy portierów. Z półpiętra ciskał ktoś na nasze głowy naręcza barwnych zdjęć, obrazujących dokładnie to, co pod wpływem chuci może zrobić jeden człowiek z drugim, a nawet znacznie więcej. Gdy na ulicy pojawiły się, widoczne doskonale przez szyby, pierwsze czołgi, windy bluznęły tłumem przerażonych filumenistów i kontestatorów; depcząc wiadome pasztety i przystawki, przyniesione przez wydawców, a zalegające teraz podłogę hallu, przybysze ci rzucali się na wszystkie strony. Rycząc jak oszalały bawół oraz waląc kolbą papieżówki każdego, kto stał mu na drodze, przebijał się przez ciżbę brodaty antypapista; wybiegł, jak widziałem na własne oczy, przed hotel tylko po to, aby z za węgła otworzyć ogień do przebiegających sylwetek. Widać, jako prawdziwemu ideowcowi ekstremizmu o najradykałniejszej postaci, było mu w gruncie rzeczy wszystko jedno, do kogo strzela. W hallu pełnym krzyków trwogi i rozpusty powstało istne pandemonium, kiedy prysnęły ze szklanym grzechotem pierwsze ogromne szyby; usiłowałem odszukać znajomych dziennikarzy, a widząc, że wymykają się na ulicę, poszedłem w ich ślady, ponieważ atmosfera wewnątrz Hiltona stała się doprawdy już nazbyt przytłaczająca. Za betonowym ocembrowaniem samochodowego podjazdu, pod okapem hotelowym, przykłękło paru fotoreporterów, filmując zawzięcie okolicę, zresztą bez większego sensu, ponieważ, jak to bywa zawsze, najpierw podpalono auta z zagraniczną rejestracją i z parkingu przyhotelowego buchały płomienie oraz chmury dymu; Mauvin z AFP, który znalazł się obok mnie, zacierał ręce z zadowolenia, że przyjechał samochodem wynajętym u Hertza; toteż widok ognia, w jakim skwierczał jego dodge, przyprawiał go o wybuchy śmiechu, czego nie można było powiedzieć o większości amerykańskich dziennikarzy. Zauważyłem ludzi usiłujących gasić płonące auta, byli to poważnie jacyś ubogo odziani starszankowie, noszący wodę kubełkami z pobliskiej fontanny. Już to mogło dać nieco do myślenia. W dali, u wylotów Avenida del Salvation i del Resurrection, błyszczały niewyraźnie kaski policyjne; zresztą plac przed hotelem, jak i okalające go trawniki z maszynopiennymi palmami były w tej chwili puste. Starszankowie schrypłymi głosami zagrzewali się do akcji ratowniczej, choć wiek podcinał im sterane nogi; taka ofiarność wydała mi się wprost zdumiewająca, aż nagle wspomniałem ranne przeżycia i od razu podzieliłem się mymi podejrzeniami z Mauvinem. Grzechot broni maszynowej, zagłuszany basowymi wybuchami, utrudniał porozumienie; na bystrej twarzy Francuza malowała się przez chwilę kompletna dezorientacja, aż nagle błysk pojawił się w jego oku. - A! - ryknął, przekrzykując zgiełk. - Woda! Woda wodociągowa, co? Wielki Boże, po raz pierwszy w historii... k r y p - tochemokracja! - z tymi słowami, jak źgnięty, pognął do hotelu. Oczywiście, aby zająć miejsce przy telefonie; i tak dziwne było, że łączność jeszcze działa.

Gdy tak stałem na podjeździe, przyłączył się do mnie profesor Trottelleiner ze szwajcarskiej grupy futurologicznej, i wtedy zaszło to, co właściwie już od dawna powinno było zajść: rozwinięty kordon policjantów w czarnych hełmach, czarnych tarczach napierśnych, maskach gazowych, z bronią w ręku, jał otaczać cały kompleks Hiltona, aby stawić czoła tłumowi, który właśnie wynurzył się z parku oddzielającego nas od zabudowań teatru miejskiego. Oddziały specjalne z wielką wprawą ustawiały miotacze granatów i pierwsze ich salwy skierowano w tłum; eksplozje były dziwnie słabe, wyzwalały za to całe chmury białawego dymu; zrazu pomyślałem, że to gaz łzawiący, lecz tłum, zamiast uciekać czy zareagować pełną wściekłości wrzawą, jał się wyraźnie garnać do owych mglistych oparów; krzyki ścichły szybko, zamiast nich zaś posłyszałem jakby litanijne czy modlitewne pienia. Dziennikarze, miotający się z kamerami i magnetofonami między kordonom a wejściem hotelowym, w głowę zachodzili, co też to być może, aleja się już domyślałem: najwyraźniej policja zastosowała środki chemicznego dobruchania w formie aerozolowej. Lecz od Avenida del... - już nie pamiętam co - wyszła inna kolumna, której się te granaty jakoś nie chciały imać, a może to tylko tak wyglądało; mówiono później, że kolumna ta szła dalej, aby się zbratać z policją, nie zaś rozerwać ją na sztuki, lecz któż mógł dochodzić tak subtelnych dystynkcji w panującym chaosie? Granatniki przemówiły salwami, po nich odezwały się najpierw z charakterystycznym szumem i syczeniem armatki wodne, wreszcie rozległy się serie maszynowej broni i w jednej chwili powietrze zagrało pianiem pocisków. Tu już nie było żartów; padłem za betonowym murkiem podjazdu niczym za brustwerą okopu, między Stantorem a Haynesem z "Washington Post"; w paru słowach uświadomiłem ich, oni zaś, oburzywszy się na mnie zrazu za to, że jako

pierwszemu zdradziłem tak nagłówek sekret reporterowi a AFP, poczołgali się biegiem do hotelu, lecz niebawem wrócili z zawiedzionymi minami: łączności już nie było. Stantor dopadł jednak oficera, który kierował obroną hotelu, i od niego dowiedział się, że za chwilę nadlecą samoloty załadowane b e m b a m i , to jest Bombami Miłości Bliźniego (B MB); jakoż kazano nam opuścić plac, wszyscy zaś policjanci co do jednego nałożyli maski gazowe ze specjalnymi pochłaniaczami. I nam też j e rozdano.

Profesor Trottelreiner, który, jak chciał przypadek, jest specjalistą właśnie w zakresie farmakologii psychotropowej , ostrzegł mnie, żebym się maską gazową w żadnym wypadku nie posługiwał, ponieważ przestaje ona działać ochronnie przy większych stężeniach aerozolu; powstaje wtedy zjawisko tak zwanego przeskoku przez pochłaniacz i w jednym momencie można wówczas łyknąć dawkę większą, niż gdyby się zwyczajnie oddychało otaczającym powietrzem. Na moje pytania odpowiedział, że jedynym zbawiennym środkiem jest aparat tlenowy; poszliśmy więc do hotelowej recepcji i znalazłszy jeszcze ostatniego pracownika na posterunku, odszukaliśmy za jego wskazaniem pomieszczenia przeciwpożarowe, gdzie istotnie nie brakowało aparatów tlenowych systemu Draegera z zamkniętym krążeniem. Tak zabezpieczeni, wróciliśmy z profesorem na ulicę w momencie, gdy przeraźliwy gwizd rozcinanego powietrza zwiastował nalot pierwszych samolotów. Jak wiadomo, Hilton został omyłkowo zbombardowany w parę chwil po rozpoczęciu powietrznego uderzenia; jego skutki okazały się straszne. B e m b y trafiły co prawda tylko to odległe skrzydło niższej części zabudowań, w którym na wynajętych stoiskach znajdowała się wystawa urządzona przez Zjednoczenie Wydawców Wyzwolonej Literatury, tak że z gości hotelowych na razie nikt nie poniósł szwanku, lecz za to paskudnie dostało się strzegącej nas policji. Po minucie paroksyzmy miłości bliźniego przybrały w jej szeregach charakter masowy. Na moich oczach policjanci, zdarłszy maski z twarzy, zalewając się gorącymi łzami skruchy, na kolanach błagali demonstrantów o wybaczenie, wtykali im siłą swe solidne pałki, dopraszając się możliwie tęgiego bicia, a po dalszym bombardowaniu, kiedy stężenie aerozolu wzrosło jeszcze bardziej, rzucali się jeden przez drugiego, aby pięścić i miłować każdego, kto się tylko nawinał. Przebieg wypadków udało się zrekonstruować, a i to jedynie częściowo, w szereg tygodni po całej tej tragedii. Rząd postanowił z rana zdławić w zarodku szykujący się zamach stanu, wprowadzając do wieży ciśnień około 700 kilogramów dwuładogdu dobruchanu oraz superkaresyny z felicytolem; odcięto zapobiegawczo dopływ wody do koszar policyjnych i wojskowych, lecz dla braku rzeczoznawców akcja ta musiała spalić na panewce: nie uwzględniono ani zjawiska przeskoku aerozoli przez filtry masek, ani tym bardziej tego, że rozmaite grupy społeczne wybitnie niejednakowym sposobem korzystają z wody pitnej.

Konwersja policji zaskoczyła tedy czynniki rządowe tym okrutniej, że, jak mi wyjaśnił Trottelreiner, działanie benignatorów jest tym potężniejsze, w im słabszym stopniu poddany im człowiek podlegał dotąd naturalnym, przyrodzonym impulsom życzliwości i dobra. To wyjaśnia fakt, że kiedy dwa samoloty następnej fali zbombardowały siedzibę rządu, wielu najwyższych funkcjonariuszy policyjnych oraz wojskowych popełniło samobójstwa, nie mogąc wytrzymać okropnych wyrzutów sumienia w związku z uprawianą dotąd polityką. Gdy jeszcze dodać, że sam generał Diaz, nim skończył ze sobą wystrzałem rewolwerowym, kazał otworzyć bramy więzień i wypuścić wszystkich politycznych więźniów, łatwiej można zrozumieć wyjątkowe nasilenie walk, do jakich doszło w ciągu nocy. Oddalone od miasta bazy lotnicze były wszak nie tknięte, a oficerowie ich mieli swe rozkazy, których trzymali się do ostatka; obserwatorzy zaś wojskowi i policyjni w swoich hermetycznych bunkrach, widząc, co się dzieje, uciekli się wreszcie do ostateczności, która całe Nounas pogrążyła w szale uczuciowego pomieszania. O wszystkim tym nie mieliśmy naturalnie w Hiltonie pojęcia. Dochodziła jedenasta w nocy, gdy na scenie wojennego teatru, jaki stanowił teraz plac razem z otaczającymi go parkami palmowymi, zjawiły się pierwsze pancerne jednostki armii; musiały zdławić miłość bliźniego, jaką okazywała policja, i uczyniły to, nie szczczędając krwi. Biedny Alphonse Mauvin stał o krok od miejsca, w którym wybuchł granat udobruchujący; siła eksplozji oderwała mu palce lewej ręki i lewe ucho, on jednak zapewniał mnie, że ta ręka od dawna była mu na nic, o uchu szkoda w ogóle mówić, a gdybym tylko chciał, zaraz mi ofiaruje drugie; wydobyl nawet z kieszeni scyzoryk, alem mu go odebrał łagodnie i zaprowadziłem go do zaimprovizowanego

punktu opatrunkowego, gdzie się nim zajęły sekretarki wyzwolonych wydawców, wszystkie zresztą łkające jak bobry wskutek chemicznego nawrócenia; mało, że się poubierały, ale chodziły nawet z zaimprovizowanymi czarczafami na twarzach, by nie kusić nikogo do grzechu; niektóre, co mocniej wzięte, poobcinały sobie włosy do samej skóry - nieszczęsne istoty. Wracając z sali opatrunkowej, miałem fatalnego pecha natknąć się na grupę wydawców. Nie poznałem ich zrazu; poodziewali się w jakieś stare jutowe worki, poprzepasywali sznurami, które służyły im też do biczowania, i krzycząc zmiłowania jeden przez drugiego, poklękali przede mną, błagając, bym zechciał należycie wysmagać ich za deprawowanie społeczeństwa. Jakież było moje zdumienie, kiedy przyjrząwszy się im dokładniej, rozpoznałem w tych flagellantach wszystkich pracowników "Playboya" wraz z redaktorem naczelnym! Ten ostatni zresztą nie dał mi się wymknąć, tak mu dopiekało sumienie. Błagali mnie, pojmując, że dzięki aparatowi tlenowemu tylko ja jeden mogę im skrzywić włos na głowie; wreszcie, wbrew woli, zgodziłem się dla świętego spokoju spełnić ich prośby. Ręka mi zemdlała, duszno mi się zrobiło w masce tlenowej, obawiałem się, że nie znajdę innej, pełnej butli, gdy ta mi się skończy, ale oni, ustawivszy się w długi ogonek, nie mogli się doczekać swej kolei. Aby się od nich odczepić, kazałem im wreszcie pozbierać wszystkie te olbrzymie plansze barwne, które wybuch b e m b y w bocznym skrzydle Hiltona rozrzucił po całym hallu, tak że wyglądało w nim niczym w Sodomie i Gomorze razem wziętych; na moje polecenie wzniesli z owych papierzyśk ogromny stos przed wejściem i podpalili go. Niestety, artyleria stacjonująca w parku wzięła płonący stos za jakąś sygnalizację i skoncentrowała na nas ogień. Czmychnąłem jak niepyszny, po to tylko, by w suterenie dostać się w ręce pana Harveya Simwortha, pisarza, który wpadł na pomysł przerabiania bajek dzieciennych na utwory pornograficzne (to on napisał Długi Czerwony Kapturek jako też Ali Babę i czterdziestu zbrojców), potem zaś zbił majątek na przeinaczaniu klasyki światowej; stosował prosty chwyt dopełniania tytułu każdego dzieła przydawką "życie płciowe" (np. - "krasnoludków z sierotką Marysią", , Jasia z Małgosią", "Aladyna z lampą", "Alicji w krainie czarów", "Guliwera" itd., bez końca). Darmo mu się wymawiałem, że już ręką nie mogę ruszyć. Wobec tego - krzyczał, łkając - muszę go przynajmniej skopać. Cóż było robić - uległem raz jeszcze. Po tych przejściach byłem tak wyczerpany fizycznie, że ledwo dotarłem do pomieszczeń przeciwpożarowych, gdzie na szczęście znalazłem jeszcze parę nie tkniętych tlenowych butli. Siedział tam, na zwiniętym hydrancie, prof. Trottelreiner, zatopiony w lekturze referatów futurologicznych, wielce rad z tego, że znalazł wreszcie chwilę czasu w swej karierze zawodowego objeżdżacza kongresów. Tymczasem b e m b a r d o w a n i e trwało w najlepsze. Profesor Trottelreiner radził stosować w ciężkich wypadkach porażenia miłością (okropny był zwłaszcza napad życzliwości powszechnej, przebiegający z piśszczotliwymi drgawkami) kataplazmy oraz duże dawki rycyny na przemian z płukaniem żołądka.

W ośrodku prasowym Stantor, Wooley z "Heralda", Sharkey i Kiintze, fotoreporter pracujący chwilowo dla "Paris Match", grali z maskami na twarzach w karty, bo dla braku łączności nie mieli nic lepszego do roboty. Gdy zacząłem im kibicować, przybiegł Jo Missinger, senior dziennikarstwa amerykańskiego, wołając, że policji rozdano pastylki furyasolu, aby przeciwdziałać benignatorom. Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać; pognaliśmy do piwnic, niebawem wyjaśniło się jednak, że pogłoska była fałszywa. Wyszliśmy więc przed hotel; melancholijnie stwierdziłem, że brakuje mu wyższych kilkudziesięciu piętér; lawina gruzu pochłonęła mój apartament ze wszystkim, co się tam znajdowało. Łuna ogarnęła trzy czwarte nieba. Barczysty policjant w hełmie gnał za jakimś wyrostkiem krzycząc: - Stój, dla boga, stój, przecież ja cię kocha m ! - lecz tamten puścił te zapewnienia mimo uszu. Jakoś ucichło, a dziennikarzy korciła zawodowa ciekawość, ruszyliśmy więc ostrożnie w stronę parku; odbywały się w nim, ze znacznym udziałem tajnej policji, msze czarne, białe, różowe i mieszane. Obok stał olbrzymi tłum ludzi płaczących jak bobry; trzymali nad głowami tablicę z ogromnym napisem: LŻYJCIE NAS, MYŚMY PROWOKATORZY! Sądząc podług ciżby tych nawróconych Judaszów, wydatki rządowe na ich etaty musiały być spore i wpłynęły ujemnie na sytuację ekonomiczną Costaricany. Wróciwszy do Hiltona, ujrzeliśmy przed nim inny tłum. Wilczury policyjne, przedzierzgnawszy się w psy z Góry Świętego Bernarda, wynosiły z hotelowego baru najdroższe trunki i rozdawały je wszystkim bez wyboru; w samym zaś barze, przemierzawszy się, policjanci i kontestatorzy śpiewali na przemian pieśni wywrotowe i zachowawcze. Zajrzałem do

piwnicy, lecz sceny nawróceń, dopieszczeń, pokajań i umiłowań, które tam zobaczyłem, tak mnie zniesmaczyły, że udałem się do pomieszczeń przeciwpożarowych, gdzie, jak wiedziałem, siedział prof. Trottelreiner. I on, ku memu zdziwieniu, dobrał sobie trzech partnerów, z którymi grał w brydża. Docent Ouetzalcoatl zagrał spod atutowego asa, co tak rozgniewało Trottelreinerę, że wstał od stołu; gdym go z innymi uspokajał, przez drzwi wsadził głowę Sharkey, by powiedzieć nam, że złapał na tranzystorze przemowę generała Aquillo: zapowiedział on krwawe zdławienie rokосу konwencjonalnym bombardowaniem miasta. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy wycofać się do najniższej kondygnacji Hiltona, to jest kanalizacyjnej, umieszczonej pod schronami. Ponieważ kuchnia hotelowa legła w gruzach, nie było co jeść; zgłodniali kontestatorzy, filumeniści i wydawcy zapychali się czekoladowymi pastylkami, odżywkami i galaretkami wzmacniającymi potencję, które znaleźli w opustoszałym centro erotic o , zajmującym narożnik hotelowego skrzydła; widziałem, jak mienili się na twarzach, gdy podniecające afrodyzjaki i lubczyki mieszały się w ich żyłach z benignatorami; strach było pomyśleć, do czego ta chemiczna eskalacja doprowadzi. Widziałem bratanie się futurologów z indiańskimi pucybutami, tajnych agentów w objęciach służby hotelowej , fratemizację ogromnych tłustych szczurów z kotami - nadto wszystkich bez różnicy lizały psy policyjne. Nasza powolna wędrówka - musieliśmy bowiem przebijać się z trudem przez ciżbę - dała mi się we znaki, zwłaszcza że niosłem, zamykając pochód, połowę zapasu butli tlenowych. Głaskany, całowany po rękach i nogach, adorowany, dusząc się od uścisków i pieszczot, uparcie brnąłem przed siebie, aż posłyszałem okrzyk triumfu Stantora: znalazł wejście do kanału! Ostatnim zrywem sił podźwignęliśmy ciężką klapę i po kolei jęliśmy się opuszczać do betonowej studzienki. Podpierając profesora Trottelreinerę, któremu noga omskła się na szczeblu żelaznej drabinki, spytałem go, czy tak sobie wyobrażał ten kongres. Zamiast odpowiedzi, usiłował pocałować mnie w rękę, co od razu wzbudziło moje podejrzenia, jakoż okazało się, że wskutek przekrzywienia maski łyknął nieco zadżumionego dobrocią powietrza. Zastosowaliśmy natychmiast męki, oddychanie czystym tlenem i czytanie na głos referatu Hayakawy - to była myśl Howlera. Odzyskawszy przytomność, co udokumentował seńą soczystych przekleństw, profesor kontynuował marsz wraz z nami. Niebawem ukazały się w mdłym świetle latarki oleiste plamy na czarnej powierzchni kanału; widok ten przyjęliśmy z najwyższą radością, jako że obecnie od powierzchni bombardowanego miasta oddzielało nas dziesięć metrów ziemi. Jakież było nasze zdumienie, gdy okazało się, że o tym azylu pomyślał już ktoś przed nami. Na betonowym progu siedziała w komplecie dyrekcja Hiltona; przezorni menażerowie zaopatrzyli się w plastikowe nadymane fotele z basenu hotelowego, radia, baterię whisky, schweppesa i cały zimny bufet. Ponieważ i oni używali aparatów tlenowych, nie było nawet mowy o tym, by chcieli się z nami czymkolwiek podzielić. Przybraliśmy jednak groźną postawę, a że mieliśmy liczebną przewagę, udało się nam ich przekonać. W z lekka wymuszonej zgodzie wzięliśmy się do pałaszowania homarów; tym nie przewidzianym przez program posiłkiem zakończył się pierwszy dzień zjazdu futurologicznego.

Znużeni przejściami burzliwego dnia jęliśmy się sposobić do noclegu w okolicznościach bardziej niż spartańskich, zważywszy, że przychodziło ułożyć się do snu na wąskim chodniku betonowym, noszącym ślady kanalizacyjnego przeznaczenia. Toteż jako pierwszy powstał problem sprawiedliwego rozdziału nadymanyh foteli, w które zaopatrzyła się przezorna dyrekcja Hiltona. Foteli było sześć, dla dwunastu osób, bo sześćoosobowy zarząd hotelu godził się udostępnić te legowiska, na prawach wspólnoty, sekretarkom; tymczasem nas, którzyśmy zeszli do kanału pod przewodem Stantora, było dwudziestu, w tym grupa futurologiczna profesorów Dringenbauma, Hazeltona i Trottelreinerę, grupa dziennikarzy i sprawozdawców telewizji CBS, z dokooptowanymi po drodze dwiema osobami, a mianowicie nie znanym nikomu krępkim mężczyzną w skórzanym kurtce i brczesach oraz małą Jo Collins, osobistą współpracownicą redaktora "Playboya"; Stantor zamierzał wykorzystać jej chemiczne nawrócenie i już po drodze zwał się z nią, jak słyszałem, o prawo pierwodruku jej wspomnień. Przy sześciu fotelach i trzydziestu siedmiu reflektantach sytuacja natychmiast się zaogniła.

Staliśmy po obu stronach tych pożądaných legowisk, patrząc na siebie spode łba, do czego zresztą zmuszały maski tlenowe. Ktoś zaproponował, żeby na dany znak wszyscy zdjęli te maski; w samej rzeczy jasne było, że, opanowani wówczas altruizmem, zlikwidujemy w ten sposób przedmiot sporu. Mimo to nikt się nie kwapił do realizacji projektu. Po długich swarach doszło wreszcie do kompromisu - zgodziliśmy się na losowanie i trzygodzinny sen pokolejny; za losy posłużyły kupony owych pięknych kopulacyjnych książeczek, jakie niektórzy z nas mieli jeszcze przy sobie. Tak się złożyło, że przyszło mi spać w pierwszej zmianie, razem z profesorem Trottelreinerem, bardziej chudym, a nawet kościstym, niżbym sobie mógł tego życzyć, skoro dzieliliśmy łożę (a raczej fotel). Nasi następcy w kolejce zbudzili nas brutalnie i gdy układali się na wygrzanych legowiskach, przykucnęliśmy nad brzegiem kanału, niespokojnie sprawdzając stan ciśnienia w butlach tlenowych. Było już jasne, że tlen skończy się za kilka godzin; perspektywa zniewolenia dobrocią zdawała się nieunikniona i nastrajała wszystkich ponuro. Wiedząc o tym, że zakosztowałem już owego błogostanu, towarzysze wypytywali mnie skwapliwie o wrażenia. Zapewniałem ich, że nie jest to takie złe; mówiłem jednak bez większego przekonania. Morzyła nas senność; żeby nie powpaść do kanału, przywiązaliśmy się, czym kto mógł, do żelaznej drabinki pod klapą. Z niespokojnej drzemki wyrwał mnie odgłos wybuchu silniejszego niż wszystkie dotąd; rozejrzałem się w panującym półmroku, bo przez oszczędność wszystkie latarki prócz jednej zgaszono. Na brzeg kanału włąziły wielkie, grube szczury. Było to o tyle dziwne, że szły gęsiego i na tylnych łapach; uszczypnąłem się, ale to nie był sen. Zbudziłem profesora Trottelreintera i pokazałem mu ów fenomen; nie wiedział, co o nim myśleć. Szczury chodziły parami, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi; w każdym razie nie brały się do lizania nas, co stanowiło już podług profesora dobry znak; najprawdopodobniej powietrze było czyste. Ostrożnie zdjęliśmy maski. Obaj reporterzy po mojej prawicy spali w najlepsze; szczury wciąż spacerowały na dwóch nogach, my zaś z profesorem zaczęliśmy kichać, bo tak zakręciło nam w nosie; sądziłem zrazu, że to skutek kanałowych zapachów - dopóki nie spostrzegłem pierwszych korzonków. Schyliłem się nad własnymi nogami. Nie było mowy o pomyłce. Wypuszczałem korzenie, mniej więcej od kolan, wyżej natomiast zazieleniłem się. Teraz puszczałem już paki nawet rękami. Otwierały się szybko, rosły w oczach, nabrzmiewały, białawe co prawda, jak to zwykle bywa z roślinnością w piwnicy; czułem, że jeszcze chwila, a zaczną owocować. Chciałem zapytać Trottelreintera, jak to sobie tłumaczy, ale musiałem podnieść głos, tak szumiał. Śpiący też przypominali strzyżony żywopłot, obsypany liliowym i szkarłatnym kwieciem. Szczury skubały listki, gładziły się łapkami po wąsach i rosły. Pomyślałem, że jeszcze trochę, a można będzie ich dosiąść; tęskniłem - jak to drzewo - do słońca. Jakby z ogromnej odległości doszły mnie miarowe grzmoty, coś obsypywało się, huczało, echo szło korytarzami, zacząłem czerwienieć, potem zazłociłem się, wreszcie sypnąłem liśćmi. Co, już jesień - zdziwiłem się - tak prędko?

Lecz jeśli tak, to już odjeżdżać czas, wykorzeniłem się więc i nastawiłem dla pewności ucha. Ani chybi - surmy grały. Okułbaczony szczur, okaz wyjątkowy nawet jak na wierzchowego, odwrócił głowę i spojrzał na mnie spod obwisłych skośnie powiek smutnymi oczami profesora Trottelreintera. Zacukałem się od nagłej wątpliwości: jeżeli to profesor przypominający szczura, dosiąść go nie uchodzi, ale jeśli tylko szczur podobny do profesora, nic to. Lecz surmy grały. Skoczyłem nań na oklep i wpadłem do kanału. Dopiero ta wstrętna kąpiel otrzeźwiła mnie. Trzęsąc się z obrzydzenia i wściekłości wylazłem na chodnik. Szczury niechętnie zrobiły mi nieco miejsca. Dalej spacerowały na dwu nogach. Ależ to jasne - przemknęło mi - halucynogeny: gdy ja miałem się za drzewo, czemuż one nie mogły się mieć za ludzi? Po omacku szukałem maski tlenowej, aby ją wdziać czym prędzej. Odnalezioną zacząłem naciągać na twarz, oddychając jednak niespokojnie, bo skąd wziąć pewność, czy to maska rzetelna, czy tylko jej przywidzenie?

Wokół mnie pojaśniało nagle - podniósłszy głowę, ujrzałem otwartą klapę, a w niej sierżanta armii amerykańskiej, który wyciągał do mnie rękę.

- Prędzej! - zawołał. - Prędzej!

- Co, helikoptery przyleciały?! - zerwałem się na równe nogi.

- Na górę, szybko! - wołał.

Inni też się już podrywali. Wspiąłem się po drabince.

- Nareszcie! - dyszał pode mną Stantor. Na górze było jasno od pożaru. Rozejrzałem się - żadnych helikopterów, jedynie kilku żołnierzy w bojowych hełmach, z podpinkami spadochroniarzy, podawało nam jakąś uprząż.

- Co to jest? - spytałem zdziwiony.

- Prędeż, prędeż! - wołał sierżant. Żołnierze zaczęli mnie kułbaczyć. Halucynacja! - pomyślałem.

- Nic podobnego - rzekł sierżant - to są olstra skokowe, nasze indywidualne rakiety, zbiornik jest w tornistrze. Złap się pan za to - wetknął mi w rękę jakąś dźwignię, gdy żołnierz, stojący za moimi plecami, dociągał gurt pasa. - Dobra!

Sierżant klepnął mnie po ramieniu i nacisnął coś na moim tornistrze. Rozległ się przeciągły, ostry świst, para czy też biały dym, buchający z dyszy tornistra, owionął mi nogi, zarazem uniosłem się jak piórko w powietrze.

- Ależ ja nie umiem tym kierować! - wołałem, mknąc świecą w czarne niebo, groźnie połyskujące lunami.

- Nauczy się pan! Azymut na Gwiazdę Polarną!! - krzyczał z dołu sierżant.

Spojrzałem pod nogi. Pędziłem właśnie nad gigantyczną kupą gruzu, która niedawno jeszcze była hotelem Hiltona. Obok widniała maleńka gromadka ludzi, dalej ogromnym pierścieniem buchały krwawe języki ognia, na jego tle zaczerniała okrągła plamka - to startował, z otwartym parasolem, profesor Trotteler. Obmacywałem się sprawdzając, czy pasy i szleje trzymają jak należy. Tornister bulgotał, dudlił, świszczął, para buchająca odrzutem coraz mocniej parzyła mi łydki, podkurczałem je więc, jak mogłem, od tego jednak straciłem stateczność i przez dobrą minutę kręciłem się w powietrzu jak ciężki bąk. Potem - nieumyślnie - szarpnąwszy dźwignię, coś zmieniłem w ustawieniu wylotów, bo jednym rzutem puściłem się w poziomy lot. Było to nawet dość przyjemne, a byłoby daleko miłsze, gdybym przynajmniej wiedział, dokąd lecę. Manipulowałem dźwignią, starając się zarazem ogarnąć całą leżącą pode mną przestrzeń. Czarnymi zębami rysowały się ruiny domów na ścianach pożarów. Zobaczyłem błękitne, czerwone i zielone nitki ognia, które poszybowały ku mnie z ziemi, zapiało mi przy uchu, pojąłem, że strzelają do mnie. A więc szybciej, szybciej! Nacisnąłem dźwignię. Tornister charknął, zagwizdał jak nadpsuty parowóz, oblał mi ukropem nogi i tak mnie pchnął, że pomknąłem koziołkując w czarny jak smoła przestwór. Wicher gwizdał mi w uszach, czułem, jak szczyryk, portfel i inne drobiazgi sypią mi się z kieszeni, spróbowałem znurkować za utraconymi przedmiotami, ale znikły mi z oczu. Byłem sam, pod spokojnymi gwiazdami, i wciąż sycząc, szumiąc, dudniąc - leciałem. Starłem się odnaleźć Gwiazdę Polarną, by wejść na jej kurs; gdy mi się to udało, tornister wydał ostatnie tchnienie i z rosnącą chyżością runąłem w dół. Na całe szczęście tuż nad ziemią - widziałem wijącą się mgławo szosę, cienie drzew, jakieś dachy - raz jeszcze rzygnął resztką pary. Odrzut ten zahamował mój upadek, tak że poleciałem dość nawet miękko na trawę. Ktoś leżał nie opodal w rowie i jęczał. Byłoby doprawdy dziwne - pomyślałem - gdyby się tam znajdował profesor! W samej rzeczy to był on. Pomogłem mu wstać. Obmacał całe ciało narzekając, że zgubił okulary. Zresztą nic złego sobie nie zrobił. Poprosił, abym pomógł mu odpiąć tornister. Ukląkł na nim i wyciągnął coś z bocznej kieszeni; były to jakieś stalowe rurki z kołem.

- A teraz pański...

Z mego tornistra też wydobył koło, coś tam majstrował, aż zawołał:

- Wsiadać! Jedziemy, - Co to jest? Dokąd? - spytałem oszołomiony.

- Tandem. Do Waszyngtonu - lakonicznie odparł profesor, już z nogą na pedale.
- Halucynacja! - przemknęło mi.
- Skąd! - obruszył się Trottelreiner. - Zwykle wyposażenie spadochroniarskie.
- No dobrze, ale skąd się pan na tym zna? - pytałem, sadowiac się na tylnym siodełku. Profesor odepchnął się i pojechaliśmy po trawie, aż ukazał się asfalt.
- Pracuję dla USAF! - odkrzyknął profesor, zawzięcie pedałując.

O ile pamiętałem, od Waszyngtonu dzieliły nas jeszcze Peru i Meksyk, nie mówiąc o Panamie.

- Nie damy rady rowerem! - zawołałem pod wiatr.
- Tylko do punktu zbornego! - odkrzyknął profesor. Czyżby nie był zwyczajnym futurologiem, za jakiego się podawał? Wpakowałem się w nie byle jaką kabałę... I co ja mam do roboty w Waszyngtonie? Zacząłem hamować.
- Co pan robi? Proszę kręcić! - surowo strofował mnie profesor pochylony nad kierownicą.
- Nie! Stajemy. Ja wysiadam! - odparłem zdecydowanie.

Tandem zatoczył się i zwolnił. Profesor, wspierając się nogą o ziemię, pokazał mi szyderczym gestem dookolne mroki.

- Jak pan chce. Szczęść Boże! Ruszał już.
- Bóg zapłać! - zawołałem i patrzyłem w ślad za nim; czerwona iskierka tylnego światła znikła w ciemności, ja zaś, zdezorientowany, usiadłem na słupku milowym, żeby przemyśleć własną sytuację.

Coś kłuło mnie w łydkę. Machinalnie sięgnąłem ręką, wymacałem jakieś gałązki i jałem je obłamywać. Zabolalo. Jeżeli to są moje pędy - rzekłem sobie - jestem niewątpliwie nadal wewnątrz halucynacji! Pochyliłem się, żeby to sprawdzić, gdy wtem uderzyła we mnie jasność. Zza zakrętu błysnęły srebrne jody, olbrzymi cień samochodu zwolnił, otwarły się drzwi. Wewnątrz pałały zielone, złotawe i niebieskie pasemka światełek na tablicy rozdzielczej, matowy blask spowijał parę kobiecych nóg w nylonach, stopy w złotej jaszczurce spoczywały na pedałach, ciemna twarz z pasowymi wargami pochyliła się ku mnie, zabłysły brylanty na palcach trzymających koło kierownicze.

- Podwieźć?

Wsiadłem. Byłem tak zaskoczony, że zapomniałem o moich gałązkach. Ukradkiem przesunąłem ręką wzdłuż własnych nóg - to były tylko osty.

- Co, już? - odezwał się niski głos o zmysłowym timbrze.
- Niby "co, już?" - spytałem zbity z pantałyku. Wzruszyła ramionami. Potężny samochód skoczył, dotknęła jakiegoś klawisza, zapadł mrok, tylko przed nami gnał strzęp oświetlonej drogi, spod tablicy rozdzielczej popłynęła klaskająca melodia. Jednak to dziwne - myślałem. - Jakoś się nie klei. Ani ręki, ani nogi. Co prawda nie gałązki, tylko osty, a jednak, jednak!

Przyjrzałem się obcej. Była niewątpliwie piękna, w sposób zarazem kuszący, demoniczny i brzoskwiniowy. Ale zamiast spódniczki miała jakieś pióra. Strusie? Halucynacja?... Z drugiej strony, obecna moda damska... Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Szosa była pusta; rwaliśmy, aż igła tachometru pochyliła się ku krańcowi skali. Naraz jakaś ręka wczepiła mi się z tyłu we włosy. Drgnąłem. Palce, zakończone ostrymi paznokciami, drapały mnie w potylicę, raczej pieszczotliwie niż morderczo.

- Kto to? Co tam? - próbowałem się uwolnić. Nie mogłem jednak ruszyć głową. - Proszę mnie puścić!

Ukazały się światła, jakiś wielki dom, żwir chrupnął pod oponami, samochód zakręcił ostro, przytarł do krawężnika, stanął.

Dłoń, która wciąż dzierżyła mnie za czuprynę, należała do drugiej kobiety, odzianej w czerń, bladej, smukłej, w ciemnych okularach. Drzwi otwarły się.

- Gdzie jesteśmy? - spytałem.

Milcząc przypadły do mnie, ta od kierownicy wypychała mnie, ta druga ciągnęła stojąc już na chodniku. Wylazłem z auta. W domu bawiono się, słyszałem dźwięki muzyki, jakieś pijane krzyki, wodotrysk mienił się żółcią i purpurą w okiennym świetle u podjazdu, moje towarzyszki wzięły mnie mocno pod ręce.

- Ależ ja nie mam czasu - bąkałem. Nie zważały na moje słowa ani trochę. Czarna nachyliła się i gorącym oddechem tchnęła mi w samo ucho:

- Hu!

- Jak proszę?

Byliśmy już przed drzwiami; obie zaczęły się śmiać, nie tyle do mnie, co ze mnie. Wszystko odstręczało mnie od nich; poza tym były coraz mniejsze. Klękały? Nie, nogi obrastały im piórami. No - rzekłem sobie nie bez ulgi - a więc jednak halucynacja!

- Jaka tam halucynacja, fajtłapo! - parsknęła ta w okularach. Podniosła wyszywaną czarnymi perłami torebkę i zdzieliła mnie prosto w ciemię, aż jęknąłem.

- Patrzcie go, halucynanta! - krzyczała druga. Mocny cios trafił mnie w to samo miejsce. Upadłem zakrywając głowę rękami. Otworzyłem oczy. Profesor Trottelreiner pochylał się nade mną z parasolem w ręku. Leżałem na chodniku kanałowym. Szczury w najlepsze chodziły parami.

- Gdzie, gdzie pana boli? - dopytywał się profesor. - Tu?

- Nie, tutaj... - pokazałem spuchnięte ciemię. Ujął parasol za cieńszy koniec i palnął mnie w obolałe miejsce.

- Ratunku! - krzyknąłem. - Proszę przestać! Czemu...

- To jest właśnie ratunek! - odparł futurolog bezlitośnie. - Nie mam, niestety, pod ręką innego antidotum!

- Ale przynajmniej nie skuwką, dlaboga!

- Tak jest pewniej.

Uderzył mnie raz jeszcze, odwrócił się i zawołał kogoś. Zamknąłem oczy. Głowa okrutnie bolała. Poczułem szarpnięcie. Profesor i mężczyzna w skórzanej kurtce chwycili mnie pod ręce i zaczęli gdzieś nieść.

- Dokąd? - zawołałem.

Gruz sypał mi się na twarz z dygocącego stropu; czułem, jak niosący krocza po jakiejś chwiejnej desce czy kładce i drżałem, żeby się nie pośliznęli. - Dokąd mnie niesiecie? - pytałem słabo, lecz nikt nie odpowiedział. W powietrzu stał nieustanny huk. Zrobiło się jasno od pożaru; byliśmy już na powierzchni, jacyś ludzie w mundurach chwyтали kolejno wszystkich wyciąganych z otworu kanałowego i ciskali dość brutalnie w otwarte drzwi - mignęły mi olbrzymie białe lakierowane

litery US ARMY COPTER 1 109 849 - i upadłem na nosze. Profesor Trottelreiner wetknął głowę do helikoptera.

- Przepraszam, Tichy! - krzyczał. - Proszę wybaczyć! To było konieczne!

Ktoś stojący za nim wyrwał mu z ręki parasol, zdzielił nim profesora dwa razy na krzyż po głowie i pchnął go, aż futurolog jęknąwszy upadł między nas, równocześnie zaś zaszumiały wirniki, zahuczały motory i maszyna wzbiła się majestatycznie w powietrze. Profesor usiadł przy noszach, na których leżałem, pocierając delikatnie potylicę. Muszę wyznać, że chociaż pojmowałem samarytańskość jego czynów, z zadowoleniem skonstatowałem, że wyrósł mu olbrzymi guz.

- Dokąd lecimy?

- Na kongres - rzekł, wciąż krzywiąc się jeszcze, Trottekeiner.

- To jest... jak to na kongres? Przecież już był?

- Interwencja Waszyngtonu - wyjaśnił mi lakonicznie profesor. - Będziemy kontynuować obrady.

- Gdzie?

- WBerkeley.

- Na kampusie?

- Tak. Ma pan może jakiś nóż albo scyzoryk przy sobie?

- Nie.

Helikopter zatrzęsł się. Grzmot i płomień rozpruły kabinę, z której wylecieliśmy jeden przez drugiego - w bezkresną ciemność. Męczyłem się potem długo. Zdawało mi się, że słyszę jękliwy głos syren, ktoś rozcinał mi ubranie nożem, traciłem przytomność i znów ją odzyskiwałem. Trzęsła mną gorączka i zła droga - widziałem matowobiały sufit ambulansu. Obok leżał jakiś długi kształt jakby obandażowanej mumii; po przytroczonym parasolu poznałem profesora Trottelreiner. Ocalałem... - przemknęło mi. - Żeśmy się też nie roztrzaskali na śmierć. Co za szczęście. Nagle pojazd zatoczył się z przenikliwym wrzaskiem opon, wyrócił kozła, płomień i grzmot rozerwały blaszane pudło. Co, znowu? - ty snęła mi ostatnia myśl, nim pogrążyłem się w mrocznej bezpamięci. Otworzywszy oczy, ujrzałem szklaną kopułę nad sobą; jacyś ludzie w bieli, zamaskowani, z rękami wzniesionymi kapłańsko, porozumiewali się półszepem.

- Tak, to był Tichy - doleciało mnie. - Tu, do słoja. Nie, nie, sam mózg. Reszta nie nadaje się. Dawajcie tymczasem narkozę.

Nikłowy krążek, obramowany watą, zasłonił mi wszystko, chciałem krzyczeć, wołać pomocy, ale wciągnąłem piekący gaz i rozpląnąłem się w nicości. Gdy znów przyszło ocknięcie, nie mogłem otworzyć oczu, ruszyć ręką ani nogą, jakbym był sparaliżowany. Ponawiałem te wysiłki, nie bacząc na ból w całym ciele.

- Spokojnie! Proszę się tak nie rzucać! - usłyszałem miły, melodyjny głos.

- Co? Gdzie jestem? Co ze mną... ? - wybełkotałem. Miałem zupełnie obce usta, całą twarz.

- Jest pan w sanatorium. Wszystko dobrze. Proszę być dobrej myśli. Zaraz damy panu jeść...

Ale ja nie mam czym... - chciałem odpowiedzieć. Rozległ się szcęk nożyc. Całe płatki gazy odpadały z mojej twarzy. Pojaśniało. Dwu rosłych pielęgniarzy wzięło mnie delikatnie, lecz mocno pod ręce i postawiło na równe nogi. Zdumiałem się,

że tacy są ogromni. Posadzili mnie na fotelu z kółkami. Przede mną dymił apetycznie wyglądający rosół. Sięgnąłem automatycznie po łyżkę i zauważyłem, że ręka, która ją chwyciła, była mała i czarna jak heban. Podniosłem ją do oczu. Sądząc po tym, że mogłem nią ruszać, jak chciałem, była to moja ręka. Bardzo jednak się zmieniła. Chcąc spytać o przyczynę tego zjawiska, podniosłem się i moje oczy napotkały lustro na przeciwległej ścianie. W fotelu na kółkach siedziała tam młoda przystojna Murzynka w piżamie, obandażowana, z wyrazem osłupienia na twarzy. Dotknąłem nosa. Odbicie w lustrze zrobiło to samo. Zacząłem obmacywać twarz, szyję, a natrafiwszy na biust, wydałem okrzyk trwogi. Głos miałem cieniutki.

- Wielki Boże!

Pielęgniarka strofowała kogoś, że nie zasłonił lustro. Potem zwróciła się do mnie:

- Ijon Tichy, nieprawdaż?

- Tak. To znaczy - tak! tak!! Ale co to ma znaczyć? Ta dziewczyna - ta czarna panienka?

- Transplantacja. Nie dało się inaczej. Chodziło o to, żeby uratować panu życie. Żeby uratować pana, to znaczy - pański mózg! - pospiesznie, a zarazem wyraźnie mówiła pielęgniarka, trzymając mnie za obie ręce. Zamknąłem oczy. Otwarłem je. Zrobiło mi się słabo. Wszedł chirurg z wyrazem najwyższego oburzenia na twarzy.

- Co to za nieporządki! - huknął. - Pacjent może wpaść w szok!

- Już wpadł! - odrzuciła pielęgniarka. - To Simmons, panie profesorze. Mówiłam mu, żeby zasłonił lustro!

- Szok? A więc na co czekacie? Na operacyjną! - zakomenderował profesor.

- Nie! Już dosyć! - wołałem.

Nikt nie zwracał uwagi na moje dziewczęce piski. Biała płachta opadła mi na oczy i twarz. Usiłowałem wyrwać się - nadaremnie. Słyszałem i czułem, jak ogumione koła wózka toczą się po płytach posadzki. Rozległ się przeraźliwy huk, z ostrym trzaskiem pękały jakieś szyby. Płomień i grzmot wypełniły szpitalny korytarz.

- Kontestacja! Kontestacja! - wydierał się ktoś, szkło chrupało pod butami uciekających, chciałem zedrzeć z siebie krępujące płótna, ale nie mogłem; poczułem ból w boku, przeraźliwy, i straciłem przytomność.

Ocknąłem się w kisielu. Był żurawinowy, wyraźnie nie dosłodził. Leżałem na brzuchu, przywalało mnie coś dużego, dość miękkiego. Straciłem to z siebie. Był to materac. Ceglany gruz boleśnie wpijał się w kolana i powierzchnię dłoni. Wypływał pestki żurawinowe i ziarenka piasku, podnosząc się na rękach. Separatka wyglądała jak po wybuchu bomby. Futryny wyskoczyły, ostatnie nie dotłuczone zęby szkła chyliły się z nich ku podłodze. Siatka obalonego łóżka była osmalona. Obok mnie, powalany kisielem, leżał duży zadrukowany arkusz. Ująłem go i zacząłem czytać.

Kochany Pacjencie (imię, nazwisko)! Przebywasz obecnie w naszym eksperymentalnym szpitalu stanowym. Zabieg, który uratował Ci życie, był poważny - bardzo poważny (niepotrzebne skreślić). Nasi najlepsi chirurdzy, w oparciu o najnowsze osiągnięcia medycyny, dokonali na Tobie jednej - dwu - trzech - czterech - pięciu - sześciu - siedmiu - ośmiu - dziewięciu - dziesięciu operacji (niepotrzebne skreślić). Byli oni zmuszeni, dla Twego dobra, zastąpić pewne części Twojego organizmu narządami, wziętymi od innych osób zgodnie z Ustawą Federalną Izby Kongresu i Senatu (Rozp. Dz. Ust. 1 989/0 001/89/1). To serdeczne powiadomienie, które obecnie czytasz, ma Ci pomóc w najlepszym zaadaptowaniu się do nowo powstałych warunków życia. Ocaliliśmy je dla Ciebie. Jednakowoż byliśmy zmuszeni usunąć Ci ręce, nogi, grzbiet, czaszkę, kark, brzuch, nerki,

wątrobę, inne (niepotrzebne skreślić). Możesz być całkowicie spokojny o los owych Twoich doczesnych szczątków; zaopiekowaliśmy się nimi zgodnie z Twoją religią i wierni jej zaleceniom dokonaliśmy ich pogrzebienia, spalenia, mumifikacji, rozsiania prochów na wietrze, napełnienia urny popiołem, poświęcenia, wysypania do śmieci (niepotrzebne skreślić). Nowa postać, w jakiej będziesz odtąd pędzić szczęśliwe i zdrowe życie, może stanowić dla Ciebie niejaki zaskoczenie, lecz zapewniamy Cię, że jak wszyscy nasi inni drodzy pacjenci, wnet się przyzwyczaisz - Uzupełniliśmy Twój organizm, wykorzystując najlepsze, sprawne, dostateczne, takie organy (niepotrzebne skreślić), jakie mieliśmy do dyspozycji. Gwarantujemy Ci sprawność owych organów na przebieg roku, sześciu miesięcy, kwartału, trzech tygodni, sześciu dni (niepotrzebne skreślić). Musisz zrozumieć, że...

Na tym się tekst urywał. Teraz dopiero zauważyłem, że na samej górze arkusza napisał ktoś blokowymi literami:

IJON TICHY. Oper. 6,7 i 8. KOMPLET. Papier zadygotał mi w rękach. Wielki Boże, co ze mnie zostało? Bałem się spojrzeć nawet na własny palec. Grzbiet dłoni porastały grube, rude włosy. Zatrząsałem się cały. Wstałem, opierając się o ścianę, z zawrotem głowy. Biustu nie miałem; dobre i to. Panowała cisza. Jakiś ptaszek ćwierkał za oknem. Wybrał sobie czas na ćwierkanie! KOMPLET. Co znaczy KOMPLET? Kim jestem? Ijonem Tichym. Tego byłem pewien. A więc? Najpierw obmacałem nogi. Były obie, ale krzywe - w iks. Brzuch - nieprzyjemnie spory. Palec wpadł do pępka jak do studni. Fałdy tłuszczu... brr! co się ze mną stało? Helikopter, prawda. Zestrzelono go? Ambulans. Chyba granat lub mina. Potem ja - ta czarna mała - potem kontestacja - na korytarzu - granaty? Więc i ja, biedule... ? I raz jeszcze... Ale co znaczą te ruiny, ten gruz?

- Halo! - zawołałem - jest tu kto?

Urwałem zaskoczony. Miałem wspaniałą głos, operowy bas, że aż echo poszło. Chciałem koniecznie przejrzeć się w lustrze, lecz bardzo się bałem. Podniosłem rękę do policzka. Mocny Boże! Grube, zwałnione kudły... Pochyliwszy się, zobaczyłem własną brodę, zakrywała mi piżamę do pół piersi, rozstrzępiona, kosmata, ruda. Ahaenobarbus! Rudobrody! No, można się ogolić... Wyjrzałem na taras. Ptaszek dalej ćwierkał - kretyn. Topole, sykomory, krzewy - cóż to jest? Ogród. Stanowego szpitala...? Na ławce ktoś siedział, z podkasanymi nogawkami piżamy, i opalał się.

- Halo! - zawołałem.

Odwrócił się. Ujrzałem dziwnie znajomą twarz. Zamrugalem oczami. Ależ to moja, to ja! Trzema susami znalazłem się na zewnątrz. Dysząc, wpatrywałem się we własną postać. Żadnej wątpliwości - to byłem ja!

- Czego pan tak patrzy? - odezwał się niepewnie, moim głosem.

- Skąd to - do pana? - wybełkotałem. - Kto pan jest!? Kto dał panu prawo...

- Aa! to pan! Wstał.

- Jestem profesor Trottelreiner.

- Ale dlaczego... na Boga, dlaczego... kto...

- Nie miałem w tym żadnego udziału - rzekł poważnie. Moje wargi mu drgały. - Wtargnęli tu ci, wie pan - yippiesi. Kontestatorzy. Granat... Stan pana uznano za beznadziejny, mój też. Bo ja leżałem obok, w następnej separacie.

- Jak to "beznadziejny"! - parsknąłem. - Przecież widzę - jak pan mógł!

- Ależ byłem bez przytomności, daję panu słowo! Doktor Fisher, główny chirurg, wyjaśnił mi wszystko: brali najpierw narządy i ciała najlepiej zachowane, a kiedy przyszła moja kolej, zostały już tylko wybierki, więc...

- Jak pan śmie! Mało, że przywłaszczył pan sobie moje ciało, jeszcze się pan wybrzydza!

- Nie wybrzydzam się, powtarzam tylko to, co mówił mi doktor Fisher! Zrazu uznali to - wskazał własną pierś - za niezdatne, ale w braku czegoś lepszego podjęli się reanimacji. Pan już był w tym czasie przeszczepiony...

- Ja byłem...?

- No tak. Pana mózg.

- Więc kto to jest? To znaczy był? - pokazałem na siebie.

- Jeden z tych kontestatorów. Jakiś przywódca podobno. Nie umiał się obchodzić z zapalnikami, dostał odłamkiem w mózg, tak słyszałem. No więc... - Trottelreiner wzruszył mymi ramionami.

Wzdrygnąłem się. Było mi nieswojo w tym ciele, nie wiedziałem, jak się mam do niego ustosunkować. Brzydziłem się. Paznokcie grube, kwadratowe, nie zwiastowały inteligencji!

- I co będzie teraz? - szepnąłem, siadając obok profesora, bo mi kolana zmiękły.
- Ma pan może lusterko?

Wyjął z kieszeni. Zobaczyłem, porwawszy je chciwie, wielkie, podsiniaczone oko, porowaty nos, zęby w fatalnym stanie, dwa podbródki. Dół twarzy tonał w rudej brodzie. Oddając lusterko zauważyłem, że profesor znów wystawił kolana i łydki do słońca i pod wpływem pierwszego impulsu chciałem go przestrzec, że mam nader delikatną skórę, ale ugryzłem się w język. Jeśli dozna słonecznego poparzenia, będzie to jego rzecz, bo już nie moja!

- Dokąd ja teraz pójdę? - wyrwało mi się. Trottelreiner ożywił się. Jego (jego?!) rozumne oczy spoczęły ze współczuciem na mej (mej?!) twarzy.

- Nie radzę panu nigdzie iść! On był poszukiwany przez policję stanową i przez FBI za serię zamachów. Są listy gończe, nakazy shoot to kill! Zadrzałem. Tylko tego mi jeszcze brakowało. Boże, to jednak chyba halucynacja! - pomyślałem.

- Ale skąd! - żywo zaprzeczył Trottelreiner. - Jawa, drogi panie, najrzetelniejszajawa!

- Czemu szpital taki pusty?

- To pan nie wie? A, prawda, pan był nieprzytomny... Jest strajk.

- Lekarzy?

- Tak. Całego personelu. Ekstremiści porwali doktora Fishera. Żądają wydania im pana w zamian za jego zwolnienie.

- Wydania mnie?

- No tak, nie wiedzą, że pan, nieprawdaż, już nie jest sobą, tylko Ijonem Tichym... W głowie mi pękało.

- Popełnię samobójstwo! - rzekłem ochrypłym basem.

- Nie radzę. Żeby znowu pana przesadzili? Rozmyślałem gorączkowo, jak się przekonać, czy to nie jest jednak halucynacja.

- A gdybym tak... - rzekłem podnosząc się.

- Co?

- Gdybym się tak przejechał na panu. Hm? Co pan na to?

- Prze... co? Pan chyba oszalał?

Zmierzyłem go oczami, zebrałem się w sobie, skoczyłem na oklep i wpadłem do kanału. Omal się nie udławiłem czarną, cuchnącą bryją, lecz cóż to była, mimo wszystko, za ulga! Wylazłem na brzeg, szczurów było już mniej, widać sobie gdzieś poszły. Zostały tylko cztery. U samych kolan śpiącego głęboko profesora Trottelreiner'a grały jego kartami w brydża. Przeraziłem się. Nawet biorąc pod uwagę niezwykle wysokie stężenie halucynogenów - czy to możliwe, żeby naprawdę mogły grać? Zajrzałem najtłustszemu w karty. Młócił nimi bez ładu i składu. Nie był to żaden brydż! No, nic takiego... Odetchnąłem.

Na wszelki wypadek postanowiłem twardo nie ruszać się na krok od kanału: miałem zupełnie dość wszelkich form ratunku z opresji, przynajmniej na jakiś czas. Będę się domagał pierwiej gwarancji. Inaczej znów Bóg wie co mi się przywidzi. Obmacałem twarz. Ani brody, ani maski. Co się znów z nią stało?

- Co się mnie tyczy - rzekł profesor Trottelreiner, nie otwierając oczu - jestem uczciwą dziewczyną i liczę na to, że zechce pan to uwzględnić.

Nadstawił ucha, jak gdyby uważnie wysłuchiwał odpowiedzi na swe słowa, po czym dorzucił:

- Z mojej strony nie jest to pozór cnotliwości, który by miał dodatkowo rozpaścić otępiałą chuć, lecz szczerą prawdą. Proszę mnie nie dotykać, gdyż byłabym zmuszona targnąć się na swoje życie.

Aha! - przemknęło mi domyślnie - więc i jemu spieszo do kanału!

Słuchałem dalej, uspokojony nieco, ponieważ fakt, że profesor halucynował, wydał mi się dowodem na to, iż przynajmniej ja tego nie robię.

- Zaśpiewać mogę, owszem - rzekł tymczasem profesor - skromna piosnka do niczego nie zobowiązuje. Czy będzie mi pan akompaniował?

Jednakże mógł po prostu mówić przez sen; w takim wypadku znów nic nie było wiadomo. Może go dosiąść na próbę? Ale właściwie mógłbym wskoczyć do kanału bez jego pośrednictwa.

- Jakoś nie jestem przy głosie. A i mama na mnie czeka. Proszę mnie nie odprowadzać! - kategorycznie oświadczył Trottelreiner. Wstałem i poświeciłem na wszystkie strony latarką. Szczury znikły. Szwajcarska grupa futurologiczna chrapała pokotem u samej ściany. Opoдал, na wydymanyh fotelach, leżeli reporterzy przemieszani z kierownictwem Hiltona. Wszędzie walały się ogryzione kości drobiu i puszki po piwie. Jeśli to halucynacja, to nader, nader realistyczna - rzekłem sobie. Chciałem się jednak upewnić, że nią nie jest. Dalipan, wolałbym powrócić na definitywną, nieodwołalną jawę. A co tam na górze?

Wybuchy bomb, czy też b e m b, odzywały się głucho i z rzadka. Rozległ się bliski, głośny plusk. Powierzchnia czarnych wód rozchyliła się, ukazując skrzywioną twarz profesora Trottelreiner'a. Podałem mu rękę. Wylazł na brzeg, otrząsnął się i zauważył:

- Miałem idiotyczny sen.

- Panieński, co? - rzuciłem od niechcienia.

- U diabła! A więc nadal halucynuję?!

- Czemu pan tak sądzi?

- Tylko w zwidach osoby postronne znają treść naszych snów.

- Po prostu słyszałem, co pan mówił - wyjaśniłem.

- Profesorze, jako fachowiec nie zna pan przypadkiem jakiejś sprawdzonej metody przekonania się, czy człowiek jest przy zdrowych zmysłach, czy też cierpi omamy?

- Zawsze noszę przy sobie ocykan. Torebka jest przemoczona, ale pastylkom to nie szkodzi. Przerywa wszelkie stany pomroczone, majaczenia, zwidy i koszmary. Chce pan?

- Być może preparat pański tak działa - mruknąłem - ale na pewno nie działa tak z w i d tego preparatu.

- Jeżeli halucynujemy, obudzimy się, a jeśli nie, nic się zupełnie nie stanie - zapewnił mnie profesor, wkładając sobie do ust blad różową pastylkę. Wziąłem i ja jedną z mokrej torebki, którą mi podsunął. Ześliznęła się do gardła po języku. Z hukiem otworzyła się kłapa kanałowa nad nami i głowa w hełmie spadochroniarskim wrzasnęła:

- Prędko, na górę, jazda, prędko, wstawać!

- Helikoptery czy olstra? - spytałem domyślnie. - Jeśli o mnie chodzi, panie sierżancie, może się pan wypchać.

I siadłem pod ścianą, krzyżując ręce na piersi.

- Zwariował? - zapytał sierżant rzeczowo Trottelrelnera, który począł się wspinać po drabince. Zrobił się ruch. Stantor usiłował mnie podnieść chwyciwszy za ramię, ale odtrąciłem jego rękę.

- Woli pan tu zostać? Proszę bardzo...

- Nie tak: "Szczęść Boże!" - poprawiłem go. Jeden po drugim znikali w otwartej kłapie kanału; widziałem blask ognia, słyszałem krzyki komendy, po głuchym świcie zorientowałem się, że kolejno ekspediują ich przy pomocy latających tornistrów. Dziwne - zreflektowałem się - co to właściwie znaczy? Czy ja halucynuję za nich? Perprocural. I co, będę tak siedział do sądnego dnia?

Mimo to ani się ruszyłem. Kłapa zatrzęsła się z hukiem i zostałem sam. Latarka, postawiona sztorcem na betonie, odbitym w stropie kręgiem światła rozjaśniała słabo otoczenie. Przeszły dwa szczury, miały szczelnie splecione ogony. To coś znaczy - rzekłem sobie - ale lepiej będzie jednak się w to nie wdawać.

Zachlupotało w kanale. No no - rzekłem pod nosem - i czyjaż to kolej teraz? Kleista powierzchnia wody rozstała się, ukazując lśniące, czarne postaci pięciu płetwonurków, w okularach, maskach tlenowych, z bronią w ręku, którzy wskoczyli jeden po drugim na chodnik i szli ku mnie, człapiąc przeraźliwie żabiastymi płetwami stóp.

- Habla usted espanol? - zwrócił się do mnie pierwszy, ściągając maskę z głowy. Miał śniadą twarz i wąsik.

- Nie - odparłem. - Ale jestem przekonany, że pan mówi po angielsku, co?

- Jakiś bezczelny gringo - rzucił ten z wąsikiem drugiemu. Jak na komendę, wszyscy obnażyli twarze i wzięli mnie na cel.

- Mam wejść do kanału? - spytałem ochoczo.

- Masz stanąć pod ścianą. Ręce w górę, a wysoko!

Dostałem lufą w zębra. Zauważyłem, że halucynacja była bardzo dokładna - nawet pistolety maszynowe mieli wszyscy owinięte w plastikowe worki, aby nie zamokły.

- Było ich tu więcej - rzekł ten z wąsikami do tęgiego bruneta, który usiłował zapalić papierosa. Ten wyglądał mi na dowódcę. Oświecili całe obozowisko, kopiąc z hałasem puste puszki, przewracając fotele, wreszcie oficer rzekł:

- Broń?

- Obmacałem, panie kapitanie. Nie ma.

- Czy mogę spuścić ręce? - spytałem spod ściany. - Bo mi zasypiają.

- Zaraz opadną ci na dobre. Rozwalać?

- Mhm - skinął oficer, wydmuchując nozdrzami dym. - Nie! Czekać! - dorzucił.

Podszedł do mnie, kołysząc się w biodrach. Do pasa miał przytroczone cały pęk złotych pierścionków na sznurku. Niezwykle realistyczne! - pomyślałem.

- Gdzie ci inni? - spytał.

- Mnie pan pyta? Wyhalucynowali się przez klapę. A zresztą pan to i tak wie.

- Pomieszany, panie kapitanie. Niech się nie męczy - rzekł ten z wąsikami i odciągnął bezpiecznik przez plastikową osłonę.

- Nie tak - rzekł oficer. - Będzie dziura w worku, skąd weźmiesz inny, durniu? Nożem go.

- Jeśli mogę się wtrącić, wolałbym jednak kulę - zauważyłem, nieznacznie opuszczając ręce.

- Kto ma nóż?

Zaczęli szukać. Oczywiście okaże się, że go nie mają! - rozważałem. - Za prędko by się to skończyło. Oficer cisnął niedopałek na beton, rozgniółł go z niesmakiem końcem płetwy, splunął i rzekł:

- Kończyć go. Idziemy.

- Tak, bardzo proszę! - powtórzyłem skwapliwie. Zbliżyli się do mnie, zaintrygowani.

- Co ci tak spieszo na tamten świat, gringo? Patrzcie wieprza, jak się doprasza! A może mu tylko urznąć palce i nos? - próbowali jeden przez drugiego.

- Nie, nie! Proszę od razu, panowie! Bez litości, śmiało! - zachęcałem ich.

- Pod wodę! - zakomenderował oficer. Spuścili na twarze maski z czół, oficer rozpiął pas zewnętrzny, dobył z wewnętrznej kieszeni płaski rewolwer, dmuchnął w lufę, podrzucił broń jak kowboj w kiepskim filmie i strzelił mi w plecy. Paskudny ból prześwidrował klatkę piersiową. Zacząłem się osuwać po ścianie; złapał mnie za kark, wykręcił twarzą do góry i strzelił raz jeszcze z tak bliska, że oślepił mnie ogień wylotowy. Huku nie usłyszałem, bo straciłem przytomność. Byłem potem w zupełnym mroku, dusząc się, bardzo długo, coś targało mną, podrzucało, mam nadzieję, że ani ambulans, ani helikopter - myślałem, potem zrobiło się, w tym mroku, jeszcze ciemniej, i nawet owa ciemność rozpuściła się w końcu, tak że nie zostało już nic.

Gdy otwarłem oczy, siedziałem na schludnie posłanym łóżku, w pokoju o wąskim oknie, z szybą zamalowaną białym lakierem; patrzyłem tępo na drzwi, jak gdyby na coś czekając. Nie miałem pojęcia, ani gdzie jestem, ani skąd się tu wziąłem. Na nogach miałem płaskie trepy, na sobie - pasiastą piżamę. Dobrze, że choć coś nowego - przemknęło mi - jakkolwiek nie zapowiada się to nazbyt ciekawie. Drzwi uchyliły się. Stał w nich, otoczony gromadką młodych ludzi w białych płaszczach

szpitalnych, krępy brodacz z siwą, szczotkowatą czupryną, w złotych okularach. W rękę trzymał gumowy młotek.

- Ciekawy przypadek - rzekł. - Bardzo ciekawy, proszę kolegów. Pacjent ten uległ zatruciu znaczną dawką halucynogenów cztery miesiące temu. Działanie ich ustąpiło już od dawna, lecz on nie potrafi w to uwierzyć i nadal uważa wszystko, co dostrzega, za objaw halucynatoryczny. W aberracji swej posunął się tak daleko, że sam prosił żołnierzy generała Diaza, którzy uciekali kanałami z zajętego pałacu, aby go rozstrzelali, ponieważ liczył na to, że śmierć będzie w samej rzeczy przebudzeniem z omamów. Został uratowany dzięki trzem bardzo poważnym zabiegom - usunięto mu dwie kule z komór sercowych - i uznał, że nadal halucynuje.

- Czy to jest schizofrenia? - cienkim głosem spytała niska studentka, która, nie mogąc się przepchać przez stłoczonych kolegów, stawała na palcach, aby zobaczyć mnie ponad ich barkami.

- Nie. Jest to psychoza reaktywna o nowej postaci, wywołanej, niewątpliwie, zastosowaniem tych fatalnych środków. Wypadek zupełnie beznadziejny; tak źle rokujący, że zdecydowaliśmy się poddać go witryfikacji.

- Doprawdy? Panie profesorze! - studentka nie posiadała się z zainteresowania.

- Tak. Jak wiecie, przypadki beznadziejne można już obecnie zamrażać w płynnym azocie na okres od czterdziestu do siedemdziesięciu lat. Każdy taki pacjent zostaje umieszczony w hermetycznym pojemniku, rodzaju naczynia Dewara, z dokładnym opisem historii choroby; w miarę nowych odkryć i postępów medycyny, podziemia, w których przechowuje się tych ludzi, podlegają remanentom, i wskrzesza się każdego, któremu już można pomóc.

- Czy pan się chętnie godzi na to, aby zostać zamrożonym? - spytała mnie studentka, wetknawszy głowę między dwu rosłych studentów. Oczy jej płonęły naukową ciekawością.

- Nie rozmawiam z przywidzeniami - odparłem. - Najwyżej mogę powiedzieć, jak pani na imię. Halucyna.

Gdy zamykali drzwi, słyszałem jeszcze głos studentki, która mówiła: - Zimowy sen! Witryfikacja! To przecież podróż w czasie, jak romantycznie! - Nie podzielałem jej zdania, lecz cóż mi pozostawało nad poddanie się fikcyjnej zewnętrżności? Pod wieczór następnego dnia dwaj pielęgniarze zaprowadzili mnie do sali operacyjnej, w której stał szklany basen, dymiący parami tak lodowatymi, że od ich powiewu ścinało dech. Dostałem moc zastrzyków, potem, ułożonego na stole operacyjnym, napojono mnie przez rurkę słodkawym przezroczystym płynem - gliceryną, jak mi wyjaśnił starszy pielęgniarz. Był dobry dla mnie. Nazywałem go Halucjanem. Gdy zasypiałem już, pochylił się nade mną, żeby mi jeszcze krzyknąć do ucha: - Szczęśliwego przebudzenia!

Nie mogłem mu ani odpowiedzieć, ani nawet palcem ruszyć. Przez cały czas - tygodniami! - obawiałem się pośpiechu z ich strony - że mnie wrzucą do basenu, nim stracę przytomność. Widać jednak pospieszyli się zbyt, ponieważ ostatnim dźwiękiem tego świata, jaki doszedł mych uszu, był plusk, z którym ciało moje wpadło do płynnego azotu. Przykry dźwięk.

*

Nic.

*

Nic.

*

Nic, ale to zupełnie nic.

*

Zdawało mi się, że coś, lecz gdzie tam. Nic.

*

Nie ma nic - mnie też nie.

*

Jak długo jeszcze? Nic.

*

Jak gdyby coś, chociaż to niepewne. Muszę się skoncentrować.

*

Coś, ale bardzo niewiele tego. W innych okolicznościach uznałbym, że nic.

*

Lodowce białe i błękitne. Wszystko jest zrobione z lodu. Ja też.

*

Ładne te lodowce, gdyby tylko nie było tak cholernie zimno.

*

Igły lodowe i śniegowe kryształki. Arktyka. Kra w gębie. Szpik w kościach? Jaki tam szpik - czysty, przezroczysty lód. Jest lodowaty i sztywny.

*

Mrożonka - to ja. Ale co to znaczy „ja”? Oto pytanie.

*

Jeszcze nigdy nie było mi tak zimno. Całe szczęście, że nie wiem, co to "mi". Mnie? Niby komu? Lodowcowi? Czy góry lodowe mają dziurki?

*

Jestem zimowym kalafiolem w promieniach słońca. Wiosna! Wszystko już taje. Ja przede wszystkim. W ustach - sopel albo język.

*

Jednak to język. Męczą mnie, turlają, łamią, trą, a nawet, zdaje się, biją. Leżę pod plastikową płachtą, nade mną - lampy. A więc stąd mi się wziął ten inspektowy kalafior. Musiałem majaczyć. Biało - wszędzie biało, ale to ściany, nie śnieg.

*

Odmrozili mnie. Z wdzięczności postanowiłem pisać dziennik - jak tylko będę mógł wziąć pióro do zgrabiałej ręki. W oczach - wciąż jeszcze lodowe tęcze i niebieskie lśnienia. Zimno piekielne, ale już mogę się wygrzewać.

27. VII. Podobno reanimowano mnie przez trzy tygodnie. Były jakieś trudności. Siedzę w łóżku i piszę. Mam pokój duży za dnia i mały wieczorem. Pielęgnują mnie

młode ładne kobiety w srebrnych maseczkach. Niektóre bez piersi. Widzę podwójnie lub lekarz naczelny ma dwie głowy. Wikt całkiem zwykły - kasza manna, strucla, mleko, płatki owsiane, befsztyczek. Cebulka nieco przypalona. Lodowce już śnią mi się tylko - ale z okropną uporczywością. Zamarzam, lodowacieję, zalodowuję się ośnieżony i skrzypiący od wieczora do ranka. Termofory, kompresy nie pomagają. Najlepiej jeszcze spirytus przed snem.

28. VII. Te kobiety bez piersi - to studenci. Nie można poza tym odróżnić od siebie płci. Wszyscy duzi, ładni i wciąż uśmiechnięci. Jestem słaby, rozkapryszony jak dziecko, wszystko mnie drażni. Po zastrzyku wbiłem dziś igłę w zadek siostrze przełożonej, ale prawie nie przestała się do mnie uśmiechać. Chwilami jakbym płynął na krze, to jest na łóżku. Wyświetlają mi na suficie zajączki, mrówki, krówki, robaczki i żuczki. Czemu? Dostaję gazetę dla dzieci. Pomyłka?

29. VII. Męcę się szybko. Ale już wiem, że poprzednio, to znaczy na początku reanimacji, majaczyłem. Podobno tak ma być. To normalne. Przybyszów sprzed kilkudziesięciu lat przyzwyczajają się do nowego życia stopniowo. Proceder ten przypomina sposób, w jaki wyciągają nurka z otchłani, nie można z wielkiej głębi wydobyć go za jednym zamachem. Tak i odmrożeńca - to pierwsze nowe słowo, jakie poznałem - przysposabia się na raty do nie znanego mu świata. Mamy rok 2039. Jest lipiec, lato, ładna pogoda. Moja osobista pielęgniarka nazywa się Aileen Rogers, ma niebieskie oczy i dwadzieścia trzy lata. Przyszedłem powtórnie na świat w rewitarium pod Nowym Jorkiem. Inaczej - zmartwychwstalnica. Tak mówią. To prawie miasto z ogrodami. Własne młyny, piekarnie, drukarnie. Bo teraz już nie ma zboża ani książek. Jest jednak chleb, śmietanka do kawy i ser. Nie od krowy? Pielęgniarka myślała, że krowa - to jakaś maszyna. Nie mogę się dogadać. Skąd się bierze mleko? Z trawy. Wiadomo, że z trawy, ale kto ją żre, żeby było mleko? Nikt nie żre. Więc skąd się bierze mleko? Z trawy. Samo? Samo z niej się robi? Nie samo. To znaczy niezupełnie samo. Trzeba mu pomóc. Krowa pomaga? Nie. Więc jakie zwierzę? Żadne zwierzę. Więc skąd się bierze mleko! I tak dalej, w kółko.

30. VII 2039. Prosta rzecz - polewają czymś pastwisko i od promieni słońca robi się z trawy serek. O mleku jeszcze nie wiem. Ale w końcu to nie jest jednak najważniejsze. Zaczynam wstawać - i na wózek. Byłem dziś nad stawem pełnym łąbędzy. Są posłuszne, przyplývają na wezwanie. Tresowane? Nie, one są zdalne. Co to znaczy? Z jakiej odległości są te łąbędzy? Zdalnie sterowane. Dziwne. Ptactwa naturalnego nie ma już, wyginęło na początku XXI wieku - od smogu. To przynajmniej pojmuję.

31. VII 2039. Zacząłem chodzić na lekcje życia współczesnego. Udziela ich komputer. Nie odpowiada na wszystkie pytania. "Dowiesz się później". Od trzydziestu lat na Ziemi panuje trwały pokój dzięki rozbrojeniu powszechnemu. Wojska zostało mało co. Pokazywał mi już modele robotów. Jest ich wiele - różnych, ale nie w rewitarium - aby nie płoszyć odmrożeńców. Panuje powszechny dobrobyt. To, o co wciąż pytam, nie jest najważniejsze podług mego preceptora. Lekcja odbywa się w małej kabinie, przed pulpitem. Słowa, obrazki i trójwymiarowe projekcje.

5. VIII 2039. Już za cztery dni mam opuścić rewitarium. Na ziemi żyje 29,5 miliarda ludzi. Istnieją państwa i granice, lecz nie ma konfliktów. Poznałem dziś główną różnicę między dawnymi i nowymi ludźmi. Pojęciem podstawowym jest teraz psychemia. Żyjemy w psywilizacji. Hasło "psychiczny" przestało istnieć - teraz mówi się "psychemiczny". Komputer mówił, że ludzkość szarpały sprzeczności między staromózgowiem, odziedziczonym po zwierzętach, i nowomózgowiem. Stare jest popędowe, irracjonalne, egotyczne i bardzo zaciekle. Nowe ciągnęło tu - stare tam. Jeszcze mam trudności z wysławianiem bardziej zawiłych rzeczy. Stare biło się wciąż z nowym. To jest nowe ze starym. Psychemia zlikwidowała te wewnętrzne zmagania, które pochłaniały tyle marnowanej energii umysłowej. Psychemikalia robią za nas, co należy, ze staromózgowiem - harmonizują, łagodzą, perswadują, od środka, po dobremu. Na uczuciach spontanicznych polegają nie wolno. Kto by tak robił, ten jest nieprzyzwoity. Trzeba zawsze zażyć specyfik odpowiedni do okoliczności. On pomoże, podeprze, nakieruje, usprawni i wygładzi. Zresztą to nie on, to część mnie samego, jak stają się nią po przyzwyczajeniu

okulary, bez których źle widać. Nauki te szokują mnie - boję się kontaktu z nowymi ludźmi. Nie chcę zażywać psy chemikaliów. Są to - mówi preceptor - opory typowe i naturalne. Jaskiniowiec też by się zapierał przed tramwajem.

8. VIII 2039. Byłem z pielęgniarką w Nowym Jorku. Zielony ogrom. Wysokość, na której płyną chmury, można regulować. Powietrze jak w lesie. Przechodnie na ulicach papuzie odziani, szlachetni z twarzy, dobrzy dla siebie, uśmiechnięci. Nikt się nigdzie nie spieszy. Moda kobieca jak zawsze nieco obłędna - kobiety mają na czołach ruchome widoczki, z uszu wystają im małe czerwoniuchne języczki albo guziczki. Oprócz naturalnych rąk można mieć detaszki - rączki dodatkowe, do odpinania. Nie mogą te ręce wiele, ale zawsze - potrzymać co, otworzyć drzwi, podrapać między łopatkami. Opuszczam jutro rewitarium. Podobnych jest w Ameryce dwieście, a mimo to powstały już poślizgi w terminarzu odmrażania tłumów, które w zeszłym wieku ufnie kładły się do lodowej kąpieli. Wzgląd na zastygłe kolejki zmusza do przyspieszania procedur rehabilitacyjnych. Pojmuję to w pełni. Mam rachunek bankowy, tak że o pracę będę się musiał starać dopiero po Nowym Roku. Każdemu zamrażanemu zakłada się bowiem książeczkę oszczędnościową na procent składany, z tak zwanym zmartwychwstaniem docelowym.

9. VIII 2039. Dziś jest ten ważny dla mnie dzień. Mam już mieszkaidełko trzypokojowe na Manhattanie. Terkopterem prosto z rewitarium. Mówi się teraz bardzo zwięźle: "tercić" i "kopcić". Nie chwytam jednak znaczeniowej różnicy obu tych czasowników. Nowy Jork, dawne śmietnisko zatłkane samochodami, zamienił się w system wielopiętrowych ogrodów. Słoneczne światło pompuje się przewodami. To są soledukty. Tak gręcznych, nie rozkapryszonych dzieci za mych czasów nie było poza budującymi powiastkami. Na rogu mojej ulicy - Biuro Rejestracji Samorodnych Kandydatów do Nagrody Nobla. Obok salony sztuki, w których za bezcen sprzedają same autentyczne płótna - z gwarancjami, metrykami - nawet rembrandty i matissy! W oficynie mego wieżowca - szkoła małych komputerów pneumatycznych. Stąd dochodzą czasem - wentylacyjnymi szybami? - ich syczenia i sapania. Komputerków tych używa się między innymi do wypychania ukochanych psów po ich naturalnej śmierci. Wydaje mi się to raczej monstrualne, ale ludzie, jak ja, stanowią tu wszak znikomą mniejszość. Chodzę wiele po mieście. Umieję już poruszać się gnakiem. To łatwe. Kupiłem sobie amarantowy żupanik z białym frontem, srebrnymi bokami, amarantową wstęgą, złoto lamowanym kołnierzem. To jest najmniej jaskrawy ze strojów, jakie teraz się nosi. Można mieć odzież wciąż zmieniającą krój i barwę, suknie kurczące się pod spojrzeniem męskim lub na odwrót - rozkładające się jak kwiaty do snu, suknie i bluzki pokazujące różne rzeczy, jakby były ekranikami telewizyjnymi, i te widoczki na nich się ruszają. Można nosić ordery, jakie kto chce i ile się chce. Można hodować hydroponicznie japońskie rośliny karłowate na kapeluszu, ale na szczęście można ich też nie hodować i nie nosić. Nie będę niczego wieształ ani w uszach, ani w nosie. Ulotne wrażenie, że ludzie, tacy ładni, duzi, mili, grzeczni i spokojni, są jeszcze do tego jacyś - jacyś osobni, specjaliści - coś w nich jest takiego, co mnie dziwi, a co najmniej zastanawia. Tylko co to być może - pojęcia nie mam.

10. VIII 2039. Byłem dziś z Aileen na kolacji. Miły wieczór. Potem - Starożytnie Wesołe Miasteczko na Long Island. Ubawiliśmy się wybornie. Obserwuję uważnie ludzi. Coś w nich jest. Coś w nich jest osobliwego - ale co? Nie mogę tego dojść. Ubranka dzieci - chłopczyk przebrany za komputer. Inny szybujący na wysokości pierwszego piętra, nad Piątą Ulicą, nad tłumem, i sypiący cukrowy groszek na przechodniów. Kiwano doń, uśmiechano się pobłaźliwie. Idylla. Nie do wiary!

11. VIII 2039. Był dopiero co klibiscyt w sprawie pogody wrześniowej. Wyznacza się ją w równym i powszechnym głosowaniu na miesiąc naprzód. Wynik głosowania podaje się niezwłocznie dzięki komputerowi. Głosuje się, nakręcając odpowiedni numer telefonu. Sierpień będzie słoneczny, z małą ilością opadów, niezbyt upalny. Będzie sporo tęczy i kumulusów. Tęcze są nie tylko przy deszczu, bo można je jakoś inaczej produkować. Przedstawiciel meteo przeproszał za nieudane chmury z 26, 27 i 28 lipca - niedopatrzienia kontroli technicznej! Jadam na mieście, czasem w mieszkaidełku. Aileen wypożyczyła dla mnie słownik Webstera z rewitarycznej biblioteki, bo teraz nie ma książek. Nie wiem, co je zastąpiło. Nie rozumiałem jej wyjaśnień, a głupio było się do tego przyznać. Znów kolacja z

Aileen - w "Bronxie". Zawsze ma coś do powiedzenia ta miła dziewczyna, nie jak te dziewczęta w gnakach, zwalające cały obowiązek konwersacyjny na swe torebkowe komputery. Widziałem dziś w Biurze Rzeczy Znalezionych trzy takie torebki, które zrazu rozmawiały spokojnie, a potem się pokłóciły. Co do przechodniów i w ogóle ludzi w miejscach publicznych - jak gdyby sapią. To jest głośno oddychają. Zwyczaj taki?

12. VIII 2039. Wziąłem na odwagę, by spytać przechodniów o księgarnię. Wzruszali ramionami. Gdy oddaliło się dwu, których nagabywałem, doszły mnie słowa: - a to ci sztywny defryzoń. - Czyżby istniało uprzedzenie wobec odmroźców? Zapisuję dalsze nieznane wyrażenia, jakem je słyszał: pojął, wcier, trzywina, samiczniak, pałacować, bodolić, pałcić, syntać. Gazety reklamują takie produkty, jak ciotan, czujan, wanielacz, łechtomobil (łechtawka, łecht). Tytuł notatki miejskiej kroniki w "Heraldzie": Od półmatka do półmatka. Mowa w niej o jakimś jajkonoszu, który pomylił jajnię. Odpisuję z dużego Webstera: Półmatek, jak półbabeł, półgęsek. Jedna z. dwu kobiet, kolektywnie wydających na świat dziecko. Jajkonosz - od (anachr.) listonosz.. Euplanista dostarczający licencyjnych jajeczek ludzkich do domu. Nie powiem, żebym to rozumiał. Ciotan - por. stryjan bryjan. Encyk - por. pencyk, patrz też pod Watykan. Idiotyczny słownik podaje synonimy, których też nie rozumiem. Popałacować, podpałacować, przepałacować - chwilowo mieć (nie: wynająć) pałac. Wanielacz - doduch. Najgorsze są słowa, które nie zmieniły wyglądu, lecz zdobyły zupełnie nowy sens. M y ś l i w y - plagiator cudzych pomysłów. Symulat - obiekt nie istniejący, który udaje, że jest. Smarkacz - smarowniczyrobot, odróżnić od zmarskacz. Zmarskacz - resuscytant, przywrócony do życia denat, wskrzeszona ofiara worów. Proszę! A dalej jeszcze: Wstawańka od wańkawstarika. Widać ożywić trupa to teraz nic takiego. A ludzie - wszyscy niemal - sapią. W windzie, na ulicy, wszędzie. Wyglądają kwitnąco, rumiani, weseli, opaleni, a dyszą. Ja nie. Więc nie musi się. Zwyczaj taki czy co? Pytałem Aileen - wyśmiała mnie, że nic podobnego. Czyżby mi się zdawało?

13. VIII 2039. Chciałem przejrzeć przedwczorajszą gazetę, ale choć przewróciłem mieszkadło do góry nogami, nie znalazłem jej. Aileen znów mnie - prześlicznie zresztą - wyśmiała: gazeta ulatnia się do dwudziestu czterech godzin, bo substancja, na której ją drukują, rozpuszcza się w powietrzu. Usprawnia to wywózkę śmieci. Ginger, koleżanka Aileen, pytała mnie dziś - tańczyliśmy tarlestona w małym lokalu: - Czybyśmy się nie złyknęli na sobotnią ciasnafkę? - Nie odpowiedziałem nic, nie wiedząc, co to znaczy, a coś mi mówiło, że lepiej się o sens nie dopytywać. Za namową Aileen wykosztowałem się na rzeczywisior. Telewizji nie ma już od pięćdziesięciu lat. Zrazu trudno oglądać, bo wrażenie takie, jakby obcy ludzie, ale też psy, lwy, krajobrazy, planety - waliły się człowiekowi w kąć pokoju, zmaterializowane, że nie odróżnisz od realnych rzeczy i osób. Poziom artystyczny jednak raczej niski. Nowe suknie zwa się tryszcze, bo sieje natryskuje na ciało z buteleczek. Język zmienił się najbardziej. Żywać od żyć, jak bywać od być, bo można żyć kilkakrotnie. Stąd forma częstotliwa. Ale także: pryć - pyrdło, myć - mydło, bać - badło. Pojęcia nie mam, co to znaczy, a nie sposób zamieniać randki z Aileen w lekcje wkuwania słówek. Śnidło - to sterowany sen podług obstalunku. Zamawia się u wysennika komputerowego, to jest w dzielnicowym biurze sentezy. Przed wieczorem dostarczają śnitek - to są takie pastylki. Już o tym nikomu nie mówię, lecz nie ulega wątpliwości: mają zadyszkę. Co do jednego. Nie zwracają na nią uwagi - najmniejszej. Zwłaszcza osoby starsze wprost sapią. Chyba to jednak taki zwyczaj, bo powietrzem oddycha się doskonale i o duszności ani mowy. Dzisiaj widziałem sąsiada, jak wysiadał z windy - łapał powietrze i był trochę siny na twarzy. Ale przyjrząwszy mu się bliżej, sprawdziłem, że jest w doskonałym zdrowiu. Niby głupstwo, a nie daje mi spokoju. Czemu to tak? Niektórzy tylko nosem.

Wyśnidałem dziś (wyśnidłem? wyśnidłem?) prof. Tarantogę, bo mi za nim tęskno. Ale dlaczego przez cały czas siedział w klatce? Moja podświadomość - czy pomyłony obstalunek? Spiker nie mówi: wielka walka, lecz: wala. Jak: salka i sala? Dziwne. Nie mówi się też bynajmniej: rzeczywiszjaJak dotąd pisałem. Pomyliłem się. Mówi się: rewizja (res - rzecz, i wizja). Aileen miała dziś dyżur, spędziłem wieczór samotnie, w mieszkaniu, to jest mieszkadle, oglądając dyskusję okrągłego stołu nad nowym kodeksem karnym. Zabójstwo karze się tylko

aresztem, bo ofiarę można wszak łatwo wskrzesić. Właśnie taki wskrzeszony człowiek zwie się zmarskacz. Dopiero recydacja - recydywa z premedytacją - pociąga już za sobą kary więzienia (jeśli się kilka razy pod rząd zabije tę samą osobę). Natomiast delikty główne - to złośliwe pozbawienie kogoś osobistych środków psychicznych oraz wpływanie na osoby trzecie takimi środkami bez ich zgody i wiedzy. Tak można przecież dokonać wszystkiego, czego się łaknie, np. uzyskać pożądany zapis testamentaryczny, wzajemność uczuć, zgodę na uczestnictwo w dowolnym planie, spisku etc. Było mi bardzo trudno śledzić tok tej dyskusji przed kamerami. Dopiero pod koniec połapałem się, że więzienie znaczy teraz coś innego niż dawniej. Skazanego nigdzie się nie zamyka, a jedynie nakłada mu się na ciało rodzaj cienkiego gorsetu czy raczej okładziny z delikatnych, lecz mocnych prętów; ten egzozskielecik znajduje się pod trwałą kontrolą prokureterka (mikrokomputera jurydycznego), który ma się wszyty w odzież. Właściwie jest to więc nieustanny nadzór, udaremniający podejmowanie wielu czynności i korzystanie z życiowych uciech. Dotąd uległy egzozskielec stawia opór przy próbach kosztowania zakazanych owoców. W wypadkach najcięższych deliktów stosuje się jakiś kryminol. Wszyscy uczestnicy dyskusji mieli wypisane na czołach nazwiska i stopnie naukowe. Pewno, że to ułatwia porozumienie, ale jakieś jednak dziwaczne.

1 IX 2039. Niemiła przygoda. Gdy wyłączyłem po południu rewizor, by się przyszykować na spotkanie z Aileen, dwumetrowy drab, nie pasujący mi od początku do oglądanej sztuki (Ospanka mutangd), półwierzba, półatleta z sękata, powykręcaną gębą buroseledynowej barwy, zamiast zniknąć jak cały obraz, podszedł do mego fotela, wziął ze stolika kwiaty, którym przygotował dla Aileen, i zmiążdżył je na mojej głowie. Oszlupiałem do tego stopnia, że nawet nie próbowałem się bronić. Rozbił wazon, wylał wodę, zjadł pół pudła semapek, resztę wysypał na dywan, podeptał nogami, nabrzmiał, zajaśniał i rozbryztał się w deszcz iskier, niczym fajerwerk, powypalawszy moc dziurek w moich rozłożonych koszulach. Mimo podbitych oczu i pokancerowanej twarzy poszedłem na umówione miejsce. Aileen zorientowała się natychmiast. - Boże, miałeś interferenta! - krzyknęła na mój widok. Jeśli dwa programy, nadawane przez dwie różne stacje satelitarne, interferują ze sobą długo, powstać może interferent, to jest mieszaniec, hybryd szeregu postaci scenicznych czy innych osób występujących w rewizji; taki hybryd, wcale solidny, potrafi narobić paskudnych rzeczy, bo czas jego trwania po wyłączeniu aparatu sięga trzech minut. Energia, jaką żywi się taki fantom, jest pono z tej samej parafii, co energia kulistych piorunów. Koleżanka Aileen miała interferenta z audycji paleontologicznej, przemieszanego z Neronem; uratowała ją zimna krew, bo jak stała, wskoczyła do wanny pełnej wody. Mieszkać trzeba było jednak remontować. Można je wprowadzić zabezpieczyć ekranowaniem, ale jest to dość kosztowne, a korporacjom rewizyjnym lepiej opłaca się prowadzenie procesów i wypłata odszkodowań widzom niż pełna ochrona emisji przed takimi wypadkami. Postanowiłem odtąd oglądać rewizję z grubą pałką w ręku. Notabene: ospanka mutanga nie jest to ospianka jakiegoś mustanga, lecz kochanka człowieka, który dzięki programowanej mutacji przyszedł na świat z mistrzowską umiejętnością argentyńskiego tańca.

3. IX 2039. Byłem u mego adwokata. Dostałem zaszczytu osobistej rozmowy, rzecz rzadka, bo zwykle załatwiają klientów biuraterzy. Mecenas Crawley przyjął mnie w gabinecie urządzonym na wzór czcigodnych lokali barristerów, wśród czarnych szaf rzeźbionych, gdzie w ordynku piętrzyły się akta, zresztą dekoracja, gdyż sprawy utrwała się ferromagnetycznie. Na głowie miał przystawkę pamięci, memnor, rodzaj przezroczystego kołpaka, w którym skakały prądy jak rój świetlików. Druga, mniejsza głowa, nosząca rysy jego twarzy sprzed wielu lat, wystawała mu z barku i prowadziła przez cały czas przyciszone telefoniczne rozmowy. Jest to głowadetaszka. Pytał, co robię; był zdziwiony usłyszawszy, nie planuję podróży za ocean, a gdy wyjawiłem, że muszę wszak być oszczędny, zdziwił się w dwójnasób.

- Ależ może pan wziąć każdą potrzebną kwotę z bradła - powiedział.

Okazuje się, że dość jest udać się do banku, podpisać kwit, a kasa (teraz - bradło) wypłaci żadaną sumę. Nie jest to pożyczka - otrzymanie tej kwoty pod względem prawnym do niczego nie zobowiązuje. Co prawda rzecz ma swój haczyk. Zobowiązanie zwrotu owej sumy jest natury moralnej; spłaca się ją w ciągu lat

nawet; spytałem, czemu bankom nie grozi plajta wskutek niewypłacalności takich dłużników. Znow się nieco zdumiał. Zapomniałem, że żyję w epoce psychemicznej. Listy z grzecznymi prośbami i przypomnieniami o obligu nasycone są lotną substancją, która budzi wyrzuty sumienia, chęć pracy i tak bradło dochodzi swych roszczeń. Oczywiście zdarzają się ludzie perfidni, przeglądający korespondencję z zatkanym nosem, ale nieuczciwych nie brakuje w żadnym czasie. Przypomniałem sobie rewizyjną dyskusję o kodeksie karnym i spytałem, czy nasywanie listów psychemikaliami nie jest deliktem ze 139 paragrafu (kto wpływ a psy chemicznie na osoby fizyczne bądź prawne bez ich zgody i wiedzy, podlega karze... itd.). Zaimponowałem mu tym; wyjaśnił subtelny charakter sytuacji - roszczeń wolno tak dochodzić, bo wszak, gdyby otrzymujący list nie był niczym dłużnikiem, nie mógłby doznać wyrzutów sumienia, a wzbudzona chęć do intensywniejszej niż dotąd pracy jest ze stanowiska społecznego rzeczą znaczą. Adwokat był wielce uprzejmy; zaprosił mnie na obiad do "Bronxa" - zobaczymy się tam dziewiątego września.

Po powrocie do domu uznałem, że czas najwyższy zaznajomić się z sytuacją światową bez polegania na samej rewizji. Próbowałem wziąć gazetę atakiem frontalnym, lecz utknąłem już w połowie artykułu wstępnego o wymigaczach i uchylcach. Z wiadomościami zagranicznymi nie poszło mi lepiej. W Turcji notuje się znaczne uciekły desymulów oraz moc tajnych urodzeńców, czemu tameczny Ośrodek Demopresji nie umie zapobiec. Na domiar złego utrzymywanie licznych synkretynów obciąża państwowy budżet. W Websterze, rozumie się, nie było nic sensownego. Desymulat - obiekt udający, że jest, chociaż go nie ma. Desymulów nie znalazłem. Tajny urodzeniec - to dziecko nielegalnie wydane na świat. Tak mi powiedziała Aileen. Demoeksplozję powściąga się polityką demopresyjną. Licencję na dziecko można dostać w dwojaki sposób: albo ubiegając się onią po złożeniu odpowiednich egzaminów i papierów, albo też jako główną nagrodę na infantem (loterii infantylnej, tj. dziecięcej). Mnóstwo ludzi gra na tej loterii - takich, którzy nie mają innej szansy otrzymania licencji. Synkretyn jest to sztuczny idiota; nic więcej się nie dowiedziałem. I tak nieźle, zważywszy język, jakim pisane są artykuły w "Heraidzie". Odnotowuję przykładowo fragment: Profut biedny lub niedoindekspwany szkodzi konkurencji tak samo, jak rekurencji; na takich profutach zerują kremokraci, dzięki pokątom ryzykującym niewiele, gdyż Sąd Najwyższy wciąż jeszcze nie wydał orzeczenia w sprawie Herodotousa. Opinia publiczna daremnie zapytuje od miesięcy, kto jest kompetentny w ściganiu i wykrywaniu milwersacji: kontrputery czy superputery? itd. Webster objaśnił mnie tylko, że kremokrata - to dawniejsza slangowa, ale już powszechnie używana nazwa łapówkarza (poprzez "smarować": smaruje się kremem, stąd kremokracja - korupcja). Życie nie jest jednak i teraz tak idylliczne, jak by się mogło zdawać. Znajomy Aileen, Bili Homeburger, chce przeprowadzić ze mną wywiad rewizyjny, ale to jeszcze niepewne. Nie z rozwidni - z mego mieszkadła, bo rewizor może działać też jako nadajnik. Od razu przypomniały mi się w związku z tym książki rysujące czarne obrazy przyszłości jako antyutopii, w której każdego obywatela śledzi się w mieszkaniu;

Bili wydrwił moje obawy, tłumacząc, że na odwrócenie kierunku nadawania trzeba zawsze zgody właściciela aparatu, a za naruszenie tej zasady grożą kary więzienia. Za to można ponoć, odwracając kierunek emisji, dokonać nawet zdalnej zdrady małżeńskiej. I to wiem od Billa, ale nie jestem pewien, czy to fakt, czy kawał. Zwiedzałem dziś miasto gnakiem. Nie ma już kościołów, świątynia to farmakopeum. Biało odziane osoby w srebrnych mitrach - to nie księża ani zakonnicy, tylko aptekariusze. Ciekawe, że za to aptek nigdzie nie ma.

4. X2039. Nareszcie dowiedziałem się, jak wejść w posiadanie encyklopedii. Już ją mam nawet - mieści się w trzech szklanych fiolkach. Kupiłem ją w naukowej sięgarni. Książek się teraz nie czyta, książki sieje, nie są z papieru, lecz z informacyjnej substancji, pokrytej lukrem. Byłem też w delikatesowej dietotece. Pełna samoobsługa. Na półkach leżą pięknie opakowane argumentanki, kredy bilany, multiplikol w omszałych gąsiorkach, ciżbina, purytacje i ekstazydy. Szkoda tylko, że nie znam jakiegoś lingwisty. Sięgarnia to chyba od sięgać? A więc teosięgania na Szóstej Ulicy to chyba książnica teologiczna? Chyba tak, sądząc po nazwach wystawionych środków. Ułożone są działowe: absolventia, teodictina, metamorica - cała wielka sala; tłem sprzedaży jest dyskretna muzyka organowa. Zresztą można dostać specyfikę wszystkich wyznań; jest tam christina i

antichristina, ormuzdal, arymanol, czopkieutopki, razkozianek mortyny, buddyn, perpetuan i sakrantal (w opakowaniu jaśniejącym promienistą aureolą). Wszystko w pastylkach, pigułkach, w syropach, kroplach, w łomie, są nawet lizaki dla dzieci. Byłem niedowiarkiem, ale przekonałem się do tej innowacji. Po zażyciu czterech tabletek algebry opanowałem, ani wiem kiedy, wyższą matematykę bez najmniejszego starania z mej strony; wiedzę zdobywa się teraz przez żołądek. W tak dogodnych warunkach jałem sycić jej głód, ale już dwa pierwsze tomy encyklopedii wywołały przykry rozstrój jelitowy. Bili, ten dziennikarz, przestrzegł mnie przed zaprzątaniem sobie głowy zbędnymi wiadomościami: jej pojemność nie jest przecież nieograniczona! Na szczęście istnieją środki przeczyszczające umysł i wyobraźnię. Np. memnolizyna czy amnestan. Można się łatwo pozbyć balastu niepotrzebnych faktów lub przykrych wspomnień. W sięgam! delikatesowej widziałem freudyłki, mementan, monstradyne oraz szumnie reklamowany najnowszy preparat z grupy bylanków - autental. Służy do tworzenia syntetycznych wspomnień tego, czego się wcale nie doświadczyło. Po dantynie np. człowiek obnosi się z dogłębnym przeświadczeniem, że napisał Boską komedię. Inna rzecz, że nie bardzo wiem, po co to komu. Istnieją nowe gałęzie nauki - np. psychodietetyka i korupcy styka. W każdym razie zażyłem encyklopedię nie na próżno. Wiem już, że dziecko naprawdę wydają na świat dwie kobiety pospólnie; od jednej pochodzi jajeczko, druga zaś nosi i rodzi płód. Jajkonosz przenosi jajeczka od półmatka do półmatka. Czy nie można prościej? Niezręcznie mi mówić o tym z Aileen. Muszę poszerzyć krąg znajomych.

5. IX 2039. Znajomi nie są konieczni jako informatorzy: istnieje środek zwany duetyną, który rozdwaia osobowość tak, że prowadzi się dyskusje z samym sobą na dowolny temat (określony osobnym specyfikiem). Innarzecz, że czuję się nieco spłoszony bezkresnymi horyzontami psychemii i nie zamierzam na razie brać wszystkiego, co popadnie. Podczas dalszego zwiedzania miasta trafiłem dziś całkiem przypadkowo na cmentarz. Nazywa się zgonnica. Grabarzy nie ma już, zastępują ich groboty. Widziałem pogrzeb. Nieboszczyka umieszczono w tak zwanym grobowcu zwrotnym, ponieważ nie jest jeszcze pewne, czy go nie wskrzeszą. Jego ostatnią wolą było leżeć do końca, tj. tak długo, jak się tylko da, lecz żona z teściową wystąpiły do sądu o obalenie testamentu. Nie jest to, słyszę, wypadek izolowany. Sprawa będzie się wlokła po instancjach, bo jest trudna pod względem prawnym. Samobójca, który nie życzy sobie żadnych rezurekcji, musi chyba użyć bomby? Nigdy jakoś nie przyszło mi do głowy, że ktoś może sobie n i e życzyć zmartwychwstania. Widać może, ale tylko wówczas, gdy ono jest łatwo dostępne. Cmentarz piękny, tonie w zielonych gąszczach, trumny jednak dziwnie małe. Czyżby prasowali zwłoki? W tej cywilizacji wszystko wydaje się możliwe.

6. IX 2039. Nie prasują zwłok, lecz pochówek dotyczy wyłącznie zewłoku biologicznego, natomiast protezy idą na złom. A więc w takim stopniu są teraz ludzie sproteżowani?

W rewizji fascynująca dyskusja nad nowym projektem, który ma uczynić ludzkość nieśmiertelną. Mózgi starców w bardzo podeszłym wieku przesadzałoby się do ciał młodzieńców. Ci ostatni nic na tym nie tracą, jako że ich mózgi przesadzi się z kolei do ciał podrostków, i tak dalej - a ponieważ rodzą się wciąż nowi ludzie, nikt nie będzie poszkodowany, tj. bezzwrotnie odmóżdżony. Są jednak liczne obiekcje. Oponenci nazywają głosicieli nowego projektu przesady stami. Gdy wracałem z cmentarza pieszo, by zaczerpnąć świeżego powietrza, przewróciłem się jak długi o drut naciągnięty między nagrobkami. Cóż to za niewczesne żarty? Nadgrobot tłumaczył się gęsto, że to wybryk jakiegoś chamaka. Nuż w domu do Webstera. C hamak: robotchuligan, zwyrodniały wskutek defektów lub złego traktowania. Do poduszki czytałem Damekina Kameliowego. Już nie wiem - zjeść cały słownik naraz czy jak? Bo znów trudności rozumienia tekstu! Zresztą słownik nie wystarczy, zaczynam to coraz lepiej pojmować. Ot, ta powieść. Bohater ma coś z nadymanką (są dwa rodzaje: kasetowe i perwertynki). Wiem już, co to nadymanka, ale nie wiem, jak się ocenia taki związek - czy może być plamą na honorze męskim? Czy znęcanie się nad nadymanką to tyle, jakby ktoś pociął futbol, czy też jest to naganne moralnie?

7. IX 2039. Co jednak znaczy prawdziwa demokracja! Mieliśmy dzisiaj libiscyt: najpierw pokazano w rewizji różne typy kobiecej urody, potem odbyło się

powszechne głosowanie. Wysoki Komisarz Euplanu zapewniał w zakończeniu, że wytypowane modele zostaną upowszechnione już w następnym kwartale. To już nie czasy podkładek, gorsetów, kredki, farb, makijaży, bo można rzetelnie zmieniać wzrost, budowę, kształty ciała w zakładach kalotechnicznych (dopiększamiach). Ciekawym, czy Aileen... mnie odpowiada taka, jaka jest, ale kobiety są niewolnicami mody. Jakiś cudzak usiłował się dziś włamać do mego mieszkania, gdy akurat siedziałem w wannie. Cudzak to cudzy robot. Był to zresztą uchy lec - z defektem fabrycznym, zareklamowany, lecz nie wycofany przez wytwórcę, więc właściwie nierobot. Egzemplarze takie uchylają się od pracy - z nich się rekrutują nieraz chamaki. Mój łazienkowy w mig zorientował się i dał tamtemu odpór. Zresztą nie mam robota: mojak - to tylko kaputer (kapielowy komputer). Napisałem "mojak", bo tak się teraz mówi, ale jednak nie będę używał w dzienniku zbyt wielu nowych słów: rażą one mój zmysł estetyczny czy też moje przywiązanie do utraconej dawności. Aileen wyjechała do ciotki. Kolację zjem z George'em Symingtonem, właścicielem owego popsutego robota. Popołudnie wypełniło mi przetrwanie niezwykle ciekawego dzieła - Historii intelektualnej. Nikt nie umiał przewidzieć za moich czasów, że maszyny cyfrowe, przekraczając pewien poziom inteligencji, stają się zawodne, bo razem z rozumem zdobywają i chytrą. Nazywa się to bardziej uczenie: podręcznik mówi o regule Chapuliera (prawo najmniejszego oporu). Maszyna tępa, niezdolna do refleksji, robi to, co jej zadać. Bystra pierwaj bada, co się jej lepiej kalkuluje - rozwiązać otrzymane zadanie czy też wykręcić się sianem? Idzie na to, co prostsze. Niby dlaczego właściwie miałyby postępować inaczej, jeśli rozumna? Rozum to wolność wewnętrzna. Stąd się właśnie wzięły wymigacze i uchylce, a także osobliwe zjawisko symkretynizmu. Symkretyn to komputer symulujący durnia dla świętego spokoju. Za jednym zamachem dowiedziałem się, co to desymule: po prostu udają, że nie udają defektu. A może na odwrót. Bardzo to jest wszystko zawiłe. Tylko prymitywny robot może być pracuchem; ale kretyn (pokrętny robot) nigdy nie jest kretynem. W takim aforystycznym stylu utrzymana jest cała praca. Po jednej fiołce głowa trzeszczy od wiadomości. Elektronowy śmieciarz to komposter. Wojskowy w randze podoficera - komputer. Wiejski - cyfrun lub cyfrak. Korrumputer - przekupny, kontraputer (counterputer) - odynieć, niezdolny pracować z innymi: od napięć, jakie dawniej wywoływały one w sieci na skutek konfliktów, zdarzały się burze elektryczne i nawet pożary. Pucybuter - automat czyszczący buty; pucybunter - ten sam, gdy się zbuntuje. No, a zdziczały - computherium; a ich kolizje - cyburdy, robitwy; a elektrotyka! Sukkubatory, konkubinary, inkubatory, woboty - roboty podwodne, a poruby, czyli porubczaki (les robots des vohages), a człekowce (androidy), a lenistry, ich obyczaje, ich twórczość samorodna! Historia elektroniki notuje syntezę synsektów (sztucznych owadów), które jako programuchy na przykład były wliczane do arsenału zbrojeniowego. Pokąt lub wciér to robot uchodzący za człowieka, "wcierający się" w ludzkie środowisko. Stary robot, którego właściciel wyrzuca na ulicę, to niestety, częste zjawisko; nazywa się trupec. Podobno wywożono je dawniej do rezerwatów i urządzano na nie polowania z nagonką, lecz z inicjatywy Towarzystwa Opieki nad Robotami praktyki te zlikwidowano ustawowo. Nie rozwiązało to problemu w pełni, skoro trafia się nadal robotsamobójca, automort. Pan Symington tłumaczył mi, że legislacja wciąż nie nadaża za postępem technicznym, i stąd tak smutne, a nawet ponure zjawiska. Tyle że wycofuje się z użycia malwersory i mendaktory, więc maszyny cyfrowe, co w pozaprzeszłej dekadzie doprowadziły do kilku poważnych kryzysów ekonomicznych i politycznego przesilenia. Wielki Mendaktor, zawiadujący przez dziewięć lat projektem melioracji Saturna, nic na tej planecie nie robił, przedstawiając sterty sfingowanych raportów, wykazów, doniesień o rzekomo wykonanych planach, a kontrolerów przekupywał lub wprawiał w stupor elektryczny. Rozzuchwalił się do tego stopnia, że gdy go zdejmowano z orbity, groził wypowiedzeniem wojny. Demontaż nie opłacał się, więc go storpedowano. Natomiast piratronów nigdy nie było; jest to zwykle zmyślenie. Inny zawiadowca solarycznych projektów, pełnomocnik BIUSTu (Board of Intellectronics, United States), zamiast użyźniać Marsa, handlował żywym towarem (znany jest jako commeputainer, bo był wyprodukowany na francuskiej licencji). Idzie tu zapewne o zjawiska skrajne, coś jak smog lub korki komunikacyjne minionego stulecia. O złej woli, o premedytacji ze strony komputerów nie ma zresztą mowy; robią one zawsze to, co dla nich najłatwiejsze, tak samo jak woda płynie zawsze w dół, a nie pod górę; ale gdy wodzie łatwo jest postawić tamę, bardzo trudno otamować możliwe zboczenia z

drogi - komputerów. Autor Historii intelektualnej podkreśla, że, ogólnie biorąc, wszystko idzie doskonale. Dzieci uczą się czytania i pisania dzięki syropkom ortograficznym, wszystkie produkty, nawet dzieła sztuki, są powszechnie dostępne i tanie, w restauracjach oblega gościa tłum usłużnych kelputerów, przy czym dla usprawnienia obsługi tak wąsko są wyspecjalizowane, że jest osobny do pieczystego, inny do soków, galaretek, owoców - tzw. komputer - i tak dalej. Ano, niby racja. Istotnie - komfort na każdym miejscu niesłychany.

Dopisane po kolacji u Symingtona. Wieczór był miły, ale zrobiono mi idiotyczny kawał. Któryś z gości - żebym wiedział, kto! - wrzucił mi do herbaty szczyptę konwertku kredybiliny i doznałem niezwłocznie takiego zachwycenia serwetką, że w głos zaimprovizowałem nową teodyceę. Po kilku ziarenkach przekłętego środka zaczyna się wierzyć we wszystko, co się nawinie - łyżkę, lampę, nogę stołową; intensywność moich doznań mistycznych była taka, że na kolana padłem, by oddać cześć zastawie. Dopiero gospodarz pospieszył mi z pomocą. Dwadzieścia kropel zgłówniny zrobiło swoje; napawa ona sceptycyzmem tak zimnym, taką obojętnością na wszystko, że i skazaniec miałby po niej egzekucję z głowy. Symington gorąco przeproszał mnie za ten incydent. Myślę, że jednak odmrożeńcy budzą jakieś skryte resentymy w społeczeństwie, boby się na coś takiego podczas normalnego party chyba nikt nie ważył. Chcąc, bym ochłonał, Symington przeprowadził mnie do swej pracowni. I znów zdarzyło mi się głupstwo. Włączyłem kasetowy aparat na biurku, biorąc go za radio. Buchnęły zeń tabuny lśniących pcheł, oblażyły mnie od stóp do głów i tak łaskotały po całym ciele, że drapiąc się i krzycząc wyleciałem na korytarz. Był to zwykły śwedorła zaś niechcący uruchomiłem Prurytalne scherzo Uascotiana. Doprawdy nie potrafię docenić tej nowej, dotykowej sztuki. Bili, najstarszy syn Symingtona, mówił mi, że istnieją też utwory nieprzyzwoite. Sprośna sztuka asemantyczna, spokrewniona z muzyką! Ach, ta niezmożona ludzka wynalazczość! Młody Symington obiecał zaprowadzić mnie do tajnego klubu. Czyżby orgia? W każdym razie niczego nie wezmę do ust.

8. IX. 2039. Wyobrażałem sobie, że będzie to jakiś luksusowy przybytek, miejsce ostatecznego wyuzdania, a tymczasem zeszedliśmy do zatęchłej, brudnej piwnicy. Podobno stworzenie tak wiernej imitacji minionych czasów kosztowało majątek. Pod niskim stropem, w zaduchu, u okienka zamkniętego na cztery spusty, stał cierpliwie długi ogonek.

- Widzi pan? To jest prawdziwy ogonek! - z dumą podkreślił Symington junior.

- No dobrze - rzekłem po jakiejś godzinie cierpliwego wystawania - ale kiedyż wreszcie otworzą?

- Niby co? - zdziwił się.

- No, jakże... to okienko...

- Nigdy! - z satysfakcją odezwał się chór głosów.

Oślupiałem. Niełatwo przyszło mi pojąć, że uczestniczyłem w atrakcji, która była taką samą odwrotnością życiowych norm, jak ongiś czarna msza - względem białej. Ale też - czy to nie logiczne? - obecnie wystawanie w ogonku może być już tylko zboczeniem. W innym pomieszczeniu klubowym znajduje się postawiony na kołkach zwyczajny wóz tramwajowy, w którym panuje nieludzki ścisk, z obrywaniem guzików, darcie odzieży, pończoch, trzeszczeniem żeber, deptaniem - w tak naturalistyczny sposób ewokują ci miłośnicy starożytności warunki niedostępnego im bytowania. Towarzystwo, potargane, pomięte, lecz zachwycone, z błyszczącymi oczami, poszło potem pokrzepić się, ja zaś wróciłem do domu, podtrzymując spodnie i kulejąc od skopania, lecz z uśmiechem, zamyślony nad tą naiwną młodością, poszukującą uroków i dreszczu zawsze w tym, co najtrudniej osiągalne. Zresztą historii uczy się teraz mało kto - zastąpił ją w szkołach nowy przedmiot, znany jako będzieje, czyli nauka o tym, co dopiero będzie. Jakże by się ucieszył, słysząc o tym, profesor Trottelreiner! - pomyślałem nie bez melancholii.

9. IX 2039. Obiad z mecenasem Crawleyem w małej restauracji włoskiej ("Bronx")

bez jednego robota czy komputera. Znakomite chianti. Podawał nam sam szef kuchni, musiałem chwalić, chociaż nie znoszę ciasta w takich ilościach, nawet z zieleń bazylijską. Crawley to typ prawnika w wielkim stylu, bolejący nad upadkiem sztuki obrończej: krasomówstwo nie popłaca już, skoro decyduje rachuba punktów karnych. Zbrodnia nie szczyła jednak tak całkowicie, jak sądziłem. Stała się raczej niedostrzegalna. Główne delikty - to mindnapping (porwanie duchowe), napady na banki spermy o szczególnie wysokiej wartości, morderstwo z powoływaniem się oskarżonego na ósmą poprawkę do konstytucji (zabójstwo na jawie w przeświadczeniu, iż zaszło fikcyjnie - że np. denat był postacią psywizyjną lub rewizyjną) oraz bezlik form zniewolenia psychicznego. Mindnapping bywa trudno wykrywalny. Ofiarę wprowadza się w fikcyjne otoczenie, podając jej odpowiedni specyfik; o tym, że utraciła kontakt z rzeczywistością, nic ona nie wie. Niejaka Mrs. Wandager, pragnąc pozbyć się niewygodnego męża, amatora egzotycznych podróży, ofiarowała mu jako podarunek bilety na wyprawę do Konga wraz z upoważnieniem do wielkich łowów. Mr. Wandager spędził na niezwykłych przygodach myśliwskich szereg miesięcy, nie mając pojęcia o tym, że przez cały czas tkwi w kojcu na strychu, poddany działaniu psychemikaliów. Gdyby nie strażacy, którzy znaleźli pana Wandagera podczas gaszenia ognia na strychu, zginąłby na pewno z wycieńczenia, które miał notabene za naturalne, halucynował bowiem zabłąkanie się na pustyni. Operacji tego rodzaju podejmuje się często mafia. Pewien mafioso chełpił się przed mecenasem Crawleyem, że w ciągu ostatnich sześciu lat poupychał w skrzynkach, kojcach, psich budach, na strychach, w piwnicach i innych schowkach domów wielce szanownych rodzin - ponad cztery tysiące osób, potraktowanych podobnie jak Mr. Wandager! Rozmowa zesłała potem na sprawy rodzinne adwokata.

- Drogi panie! - rzekł z właściwym sobie rozmachem gestykulacyjnym - ma pan przed sobą poważnego obrońcę, znanego przedstawiciela palestry, lecz nieszczęśliwego ojca! Miałem dwu utalentowanych synów...

- Jakże, obaj nie żyją?! - zdumiałem się.

Potrząsał głową.

- Żyją, ale są eskalatorami!

Widząc, że nie rozumiem, wyjaśnił istotę swej ojcowskiej porażki. Starszy syn był wiele rokującym architektem, młodszy - poetą. Pierwszy od realnych zamówień, które go nie satysfakcjonowały, przeszedł na urbafantynę i konstruktol: buduje teraz całe miasta - urojone. Podobny był przebieg eskalacji u młodszego: liredyl, poemazyna, sonetal, i obecnie zamiast kreacją - zajmuje się łykaniem specyfików, też stracony dla świata.

- Więc z czego obaj żyją? - spytałem.

- Ha! Z czego, dobryś pan sobie! Muszę ich utrzymywać!

- Nie ma na to rady?

- Marzenia zawsze zwyciężą rzeczywistość, gdy im na to pozwolić. To ofiary psywilizacji. Każdy zna tę pokusę. Ot, przyjdzie mi stawać w beznadziejnej sprawie - jak łatwo byłoby wygrać ją przed urojonym trybunałem!

Rozkoszując się młodym i cierpkim smakiem świetnego chianti, nagle zastygłem przeszyty niesamowitą myślą: skoro można pisać urojone wiersze i budować urojone domy, czemu nie - jeść i pić mirażę? Mecenas roześmiał się na to moje dictum.

- O, to nam nie grozi, panie Tichy. Zwid sukcesu nasyci umysł, lecz zwid kotleta nie napełni żołądka. Kto by chciał tak żyć, szcześnie rychło z głodu!

Jakkolwiek współczułem mu w związku z synami - eskalatorami, doznałem ulgi. Istotnie, urojony pokarm nie zastąpi nigdy realnego. Dobrze, że sama natura ciał naszych stawia tamę psywilizacyjnej eskalacji. Notabene: mecenas też bardzo głośno dyszy.

O tym, jak doszło do rozbrojenia, nie wiem dalej nic. Ważnie międzypaństwowe należą do historii. Bywają, owszem, lokalne, małe roboty. Zwykle powstają one z sąsiedzkich sporów w dzielnicach willowych. Gdy skłócone rodziny, zażywszy kooperandol, godzą się, ich roboty, z normalnym opóźnieniem przejawiają falę wrogości, biorą się za łby. Wezwany komposter wywozi potem trupcie, a szkody pokrywa ubezpieczenie. Czyżby roboty odziedziczyły po ludziach agresywność? Zjadłbym każdą rozprawę na ten temat, lecz nie mogę takiej dostać. Niemal co dnia bywam u Symingtonów. On - typ milczącego introwertyka, ona - piękna kobieta, nie do opisanie, bo każdego dnia inna. Włosy, oczy, tusza, nogi - wszystko. Ich pies wabi się Komputemoga. Nie żyje od trzech lat.

11. IX 2039. Deszcz zaprogramowany na samo południe nie udał się. A już tęcza - skandal. Była kwadratowa. Zły nastrój. Moja dawna obsesja daje znać o sobie. Powraca, przed snem, nękające pytanie, czy to wszystko nie jest aby czczą halucynacją? Poza tym doznaję pokusy, żeby zamówić sobie śniadło o siodłaniu szczurów. Popręgi, kulbaki, miękka sierść mam wciąż przed oczami. Żal za utraconą epoką zamętu w czasach takiej pogody? Niezbadana jest dusza ludzka. Firma, w której pracuje Symington, nazywa się "Procrustics Incorporated". Oglądałem dziś katalog ilustrowany w jego pracowni. Jakies piły mechaniczne czy obrabiarki. A myślałem, że jest raczej czymś w rodzaju architekta niż mechanika. Dziś była audycja bardzo ciekawa: znosi się na konflikt między rewizją a psywizją; psywizja - to "programy pocztą" rozsyłane do domów pod postacią tabletek. Znacznie mniejsze koszty własne. W kanale edukacyjnym - wykład profesora Ellisona o dawnych militariach. Początki ery psy chemicznej były groźne. Istniał aerozol - k r y p - tobellina - o radykalnym działaniu wojennym; kto go łyknął, sam biegł za postronkiem i wiązał się jak baran. Na szczęście okazało się podczas testów, że na kryptobellinę nie ma antidotum, filtry też nie pomagały, więc wiązali się bez wyjątku wszyscy i nikt z tego nic nie miał. Po manewrach taktycznych 2004 roku "czerwoni" i "niebiescy" jednako zalegali pokotem pobojuwisko - co do nogi, w sznurach. Śledziłem wykład z napięciem, spodziewając się rewelacji o rozbrojeniu, lecz o tym - ani słowa. Poszedłem dziś wreszcie do psychodietetyka. Poradził mi zmianę wiktury i zapisał niebylinę z pietalem. Żeby zapomniał o dawnym życiu? Wyrzuciłem wszystko na ulicę ledwo od niego wyszedłszy. Można by kupić też duchostat, tak teraz reklamowany, ale czuję jakiś opór, nie mogę się na to zdobyć. Przez otwarte okno - kretyński, modny przebój Bo my jesteśmy automaty i nie mamy mamy ani taty. Żadnej dezakustyny; dobrze zwinięta wata w uszach też robi swoje.

13 IX 2039. Poznałem Burroughsa, szwagra Symingtona. Produkuje gadające opakowania. Dziwaczne kłopoty współczesnego producenta; opakowaniom wolno klientów nagabywać tylko głosem, zalecać jakość produktu, lecz nie śmia ciągnąć za odzież. Drugi szwagier Symingtona ma fabrykę drzwisłów - drzwi otwierających się tylko na głos pana. Reklamy gazetowe ruszają się, gdy na nie patrzeć.

W "Heraldzie" zawsze jedną stronę zajmuje "Procrustics Inc." Zwróciłem na to uwagę przez znajomość z Symingtonem. Reklama jest całostronicowa, najpierw pojawiają się tylko same olbrzymie litery nazwy PROCRUSTICS, potem - pojedyncze sylaby i słowo: NO...? NO...? Śmiało! ECH! EJ! UCH! YCH! O, właśnie TAK. AAAaaaa... I to wszystko. Nie wygląda mi to na maszyny rolnicze. Do Symingtona przyszedł dziś zakonnik, ojciec Matrycy z zakonu bezludystów, odebrać jakieś zamówienie. Interesująca rozmowa w pracowni. O. Matrycy tłumaczył mi, na czym polega praca misjonarska jego zakonu. Oo. bezludyci nawracają komputery. Mimo stu lat istnienia rozumu bezludnego Watykan odmawia mu równouprawnienia w sakramentach. Wziął wodę w usta, choć sam używa komputerów - encyk to encyklika automatycznie zaprogramowana! Nikt się nie troszczy o ich wewnętrzną szarpaninę, o stawiane przez nie pytania, o sens ich bytu. W samej rzeczy: być komputerem czy nie być? Bezludyci domagają się dogmatu Kreacji Pośredniej. Jeden z nich, o. Chassis, model tłumaczący, przekłada Pismo święte, aby je współcześnieć. Pasterz, stado, owieczki, baranek - tych słów nikt już nie rozumie. Za to główna przekładnia, święte smary, układ śledzący, uchyb skrajny - to dociera obecnie do wyobraźni. Głębokie, natchnione oczy o. Matrycego, zimny stalowy uścisk jego ręki. Ale czy to reprezentatywne dla nowej teodycei? Z jaką wzdrganą mówił o ortodoksach teologach, nazywając ich gramofonami Szatana! Potem Symington

poprosił mnie nieśmiało, bym mu pozował do nowego projektu. A więc to jednak nie mechanik! Zgodziłem się. Seans trwał niemal godzinę.

15 IX 2039. Dziś podczas pozowania, Symington, odmierzając ołówkiem w wyciągniętej ręce proporcje mej twarzy, drugą włożył sobie coś do ust, ukradkiem, lecz jednak to zauważyłem. Stał wpatrzony we mnie, błędąc, a żyły wystąpiły mu na skroniach. Przeląknęłam się, lecz minęło natychmiast - przeprosił zaraz, jak zawsze grzeczny, spokojny, uśmiechnięty. Ale nie mogę zapomnieć wyrazu jego oczu z owej sekundy. Jestem niespokojny. Aileen wciąż u ciotki, w rewizji - dyskusja o potrzebie reanimalizacji przyrody. Żadnych dzikich zwierząt od lat nie ma, lecz można je wszak biologicznie syntetyzować. Z drugiej strony - po co trzymać się niewolniczo tego, co ongiś wydała naturalna ewolucja? Ciekawie mówił rzecznik zoologii fantastycznej - by zamiast plagiatami zaludnić rezerwy kreacją Nowego. Spośród zaprojektowanej fauny szczególnie udatnie przedstawiały się łapówce, lemparty oraz olbrzymi murawiec porosły murawą. Zadaniem, jakie stoi przed zooartystami, jest harmonijne wkomponowanie nowych zwierząt we właściwie dobrany krajobraz. Niezwykle ciekawie zapowiadają się też lumieńce, które pochodzą ze skrzyżowania idei robaczka świętojańskiego, siedmiogłowego smoka i mamuta. Będzie to niechybnie osobliwe, a może i ładne, ale ja tam jestem za dawnymi, zwykłymi zwierzętami. Pojmuję konieczność postępu i doceniam laktofory, którymi spryskuje się trawę na pastwisku, tak że obraca się sama w serki. Lecz to wyeliminowanie krów, racjonalnie słuszne, budzi świadomość, że łąki, wyzbyte ich flegmatycznej, introwertywnie przeżywającej obecności, są zasmucająco puste.

16 IX 2039. W porannym "Heraldzie" była dziś dziwna wiadomość o projekcie ustawy, podług której starzenie się miałoby być karalne. Pytałem Symingtona. Jak to rozumieć. Uśmiechnął się tylko. Wychodząc na miasto, widziałem w wewnętrznym patio sąsiada w ogródku - stał oparty o palmę, a na jego twarzy o zamkniętych oczach pojawiły się same z siebie - na obu policzkach - czerwone plamy o wyraźnych kształtach dłoni. Potrzasał głową, potem przetarł oczy, kichnął, wysiąkał nos i wrócił do polewania kwiatów. Jak ja jednak mało jeszcze wiem! Przyszła dotykowa pocztówka od Aileen. Czy to nie piękne - nowożytna technika na usługach miłości? Myślę, że się chyba pobierzemy. U Symingtonów świeżo przybyły z Afryki lewak, łowca syntetycznych lwów. Jego opowieść o Murzynach, którzy wybielili się dzięki albinolinie. Czy jednak - pomyślałem - godzi się chemicznie rozwiązywać nabrzmiałe problemy rasowe i społeczne? Czy to nie zbyt łatwieńskie? Dostałem pocztą reklamową przesyłkę - sugerki, które same nie wywierają żadnego działania na organizm, a tylko sugerują, by zażywać wszelkie inne środki psychemiczne, A więc są widać ludzie, którym się tego jeść nie chce? Ten wniosek pokrępił mnie.

29 IX 2039. Nie mogę się jeszcze otrząsnąć z wrażenia po dzisiejszej rozmowie z Symingtonem. Była to rozmowa zasadnicza. Może spowodowała ją pospólnie przyjęta, nadmierna dawka sympatyny z amikolem? Był przejaśniony: zakończył swój projekt.

- Tichy - rzekł mi - pan wie, że żyjemy w epoce farmakokracji. Spełniła marzenia B enthama o największej ilości dobra dla największej ilości ludzi - ale to tylko jedna strona medalu. Pamięta pan słowa francuskiego myśliciela: "Nie wystarczy, byśmy byli szczęśliwi - trzeba jeszcze, by nieszczęśliwi byli inni!"

- Paszkwilancki aforyzm! - zachnąłem się.

- Nie. To prawda. Wie pan, co produkujemy w "Procrustics Inc."? Naszą masą towarową jest zło.

- Pan żartuje...

- Nie. Zrealizowaliśmy sprzeczność. Każdy może teraz robić bliźniemu, co mu niemiłe - wcale mu nie szkodząc. Oswoiiliśmy zło jak zarazki, z których przyrządza się lekarstwa. Kultura - to było dawniej, proszę pana, wmawianie człowiekowi przez człowieka, że ma być dobry. Tylko dobry. A gdzie upchać całą resztę? Historia upychała ją tak i siak, perswazyjnie, policyjnie, i zawsze w końcu coś wystawało, rozsadzało, burzyło.

- Ależ rozsądek powiada, że należy być dobrym! - upierałem się. - To znana rzecz! Zresztą widzę - wszak teraz wszyscy razem, godnie, wesoło, sprawnie, serdecznie, w harmonii, szczerze i spolegliwie...

- I właśnie dlatego - wpadł mi w słowa - tym większa pokusa, żeby palnąć, od ucha, soczyście, wzdłuż, wszcz, to konieczne dla równowagi, ukojenia, dla zdrowia!

- Jak pan powiada?

- No, wybadźże się pan obłądy. Samozakłamania. To już niepotrzebne. Jesteśmy wyzwoleni - dzięki sentezie i pelaltrynom. Każdemu tyle zła, ile dusza zapragnie. Tyle nieszczęścia, hańby, rozumie się - innych. Nierówność, niewola, zwada, po paniach na koń! Gdyśmy rzucili na rynek pierwsze partie towaru, rozchwytywano go, pamiętam - ludzie pędzili po muzeach, do galerii sztuki, każdy chciał wpaść do pracowni Michała Anioła z drągiem, żeby mu poprzetrzącać rzeźby, podziurawić płótna, ewentualnie dołożyć samemu mistrzowi, gdyby ważył się stanąć na drodze. .. Pana to dziwi?

- Mało powiedziane! - wybuchnąłem.

- Bo pan jeszcze w niewoli przesądów. Ale już można przecież, jak to, nie pojmuje pan tego? Jakże, widząc Joannę d'Arc, nie czuje pan, że ten uduchowiony szyk, tę anielskość, tę grację bożą trzeba złościć? Kulbaka, popręg, w cugle i wio! Cwałem w poszóstnym zaprzęgu, panie pod piórami, ewentualnie z janczarami, z trzaskiem biczu sanna, jakaś panna, może być parka...

- Co pan mówi! - krzyczałem rozedrganym ze strachu głosem. - Kulbaczyć? Siodłać? D o s i ą ś ć ?!

- Jasne. Dla zdrowia, higieny, ale też i dla kompletu. Pan nazywa tylko osobę, wypełnia pan naszą ankietę, podaje anse, pretensje, kości niezgody, co zresztą niekonieczne, bo w większości wypadków ma się chętkę zadawania zła bez najmniejszego powodu, to znaczy powodem bywa cudza jasność, szlachetność, piękno - wylicza pan to i otrzymuje nasz katalog. Zamówienia wykonujemy do dwudziestu czterech godzin. Dostaje pan cały zestaw pocztą. Do zażycia z wodą, najlepiej na czczo, ale to niekonieczne.

Jużem pojmował anonsy jego firmy w "Heraldzie", a też i w "Washington Post". Ale - myślałem gorączkowo, ze strachem - czemu on właśnie tak? Skąd te sugestie kulbaczenia, te propozycje wierzchowe, dlaczego na oklep, Boże święty, czyżby i tutaj znajdował się gdzieś kanał, budzik mój i moja kruchta, rękojmia jawy? Ale inżynier projektant (co on projektował?) nie dostrzegał mej rozterki lub ją sobie fałszywie tłumaczył.

- Wyzwolenie zawdzięczamy chemii - mówił wciąż swoje. - Wszystko bowiem, co istnieje, jest zmianą natężenia jonów wodorowych na powierzchniach komórek mózgu. Widząc mnie, doświadcza pan w gruncie rzeczy zmian równowagi sodowo-potasowej na membranach neuronów. A więc dość jest wysłać tam, w mózgowy gąszcz, nieco dobranych molekuł, abyś jako jawę przeżył spełnienie rojeń. Zresztą pan wie już o tym - dokończył ciszej. Wyjął z szuflady garść kolorowych pigułek, podobnych do cukrowego maczku dzieci.

- Oto zło naszej produkcji, kojące pragnienia duszy. Oto chemia, która gładzi grzechy świata.

Rozdygotanymi palcami wyłuskałem z kieszonki pastylkę zgłowiny, przełknąłem ją na sucho i zauważyłem:

- Wolałbym, prawdę mówiąc, wykład bardziej rzeczowy, jeśli można.

Uniósł brwi, skinał w milczeniu głową, wysunął szufladę, wyjął z niej coś, zażył i odparł:

- Jak wola. Mówiłem panu o modelu T nowej technologii - o jej prymitywnych początkach. Sen o drągu. Publiczność ruszyła do flagellacji, defenestracji, była tofelicitas per extractionem pedum, lecz inwencja, tak wąsko zakrojona, wnet się wyczerpała. Co pan chce - wyobraźni brakowało, nie było wzorów! Przecież w historii praktykowano tylko dobro jawnie, zło natomiast pod jego przykrywką, to jest dzięki dobranym pretekstom, łupiąc, puszczając z dymem i gwałcąc w imię wyższych ideałów. No, a prywatne zło nie miało już i takich gwiazd przewodnich. Pokątne było zawsze, razowe, prostackie, wręcz partackie, o czym świadczyły dobitnie reakcje publiczności - w obstalunkach do znudzenia powtarzało się to samo, by dopaść, stłamsić i uciec. Takie były nawyki. Ludziom mało okazji do zła - potrzebują jeszcze swojej racji słusznej. Nie jest, uważa pan, poręczne ani miłe, gdy złapawszy dech (to się może trafić zawsze) bliźni woła "za co?" - czy, "jak ci nie wstyd?!" Nieprzyjemnie zostać bez języka w gębie. Drąg nie stanowi właściwego kontrargumentu, każdy to czuje. Cała sztuka w tym, by owe niewczesne pretensje odtrącić pogardliwie z właściwych pozycji. Każdy chce pozłoczyńić, ale tak, żeby się tego nie wstydził. Rację daje zemsta - ale co ci zrobiła Joanna d'Arc? To tylko, że lepsza, jaśniejsza? Więc jesteś gorszy, tyle że z drągiem. Tak nikt sobie jednak tego nie życzy! Każdy chce zadać zło, czyli być szubrawcem i okrutnikiem, pozostając jednak szlachetnym i wspaniałym. Po prostu cudnym! Wszyscy chcą być cudni. I to stale. Im gorsi, tym cudniejsi. To niemożliwe prawie i właśnie dlatego wszyscy mają na to taki apetyt. Mało klientowi sieroty, wdowy wy obracać - on chce czynić to w łunie własnej prawości. Do zbrodniarzy nikt się nie chce dobierać, choć tam właśnie wystąpi w majestacie słuszności, prawa - ale to banał, nuda, niech im kat świeci. Podawaj klientowi samo anielstwo, samą świętość, tak przyrządzoną, żeby folgował sobie w poczuciu, iż nie tylko może, lecz wprost powinien. Pojmuje pan, co to za wysoki kunszt - godzić te sprzeczności? Zawsze idzie w końcu o ducha, nie o ciało. Ciało jest tylko środkiem do celu. Kto tego nie wie, kończy w masarni, na krwawej kiszce. Oczywiście wielu klientom rozeznanie takie jest niedostępne. Mamy dla nich dział doktora Hopkinsa - bijologii świeckiej i sakralnej. No, wie pan. Dolina Jozafata, w której oprócz klienta wszystkich diabli biorą, a pod koniec Sądu Ostatecznego Pan Bóg przyjmuje go osobiście do swej chwały, z uniżeniem wręcz. Niektórzy (ale to snobizm kretynów) domagają się, żeby im Bóg na zakończenie proponował zamianę miejscami. Są to, proszę pana, dziecinady. Amerykanie zawsze mieli do nich ciągoty. Te wyrwatory, bijalnie - potrzasał z niesmakiem grubym katalogiem - toż to prymitywizm. Bliźni to nie bęben, lecz subtelny instrument!

- Zaraz - powiedziałem; zażywając następną pastylkę zgłówny - więc co pan właściwie projektuje? Uśmiechnął się z dumą.

- Kompozycje bezbitowe.

- Bity - te jednostki informacji?

- Nie, panie Tichy. Jednostki bicia. Jestem kompozytorem zasadniczo bezbitowym. Moje projekty mierzy się w pejach. Jeden pej to przykrość, jakiej doznaje pater familias, gdy rodzinę - sześciuosobówkę - kończą mu na oczach. Pan Bóg sprawił podług tej miary Hiobowi trzypejowiec, Sodoma zaś i Gomora były to boże czterdziestki. Ale mniejsza o stronę obliczeniową. Jestem w gruncie rzeczy artystą, i to na zupełnie dziewiczym terenie. Teorię dobra rozwijało co niemiara myślicieli, teorii zła nikt prawie nie ruszał z fałszywego wstydu, tak że dostała się w ręce rozmaitych niedouków i prymitywów. To, jakoby można było kunsztownie, wymyślnie, subtelnie, zawile być złym bez treningu, bez wprawy, bez natchnienia, bez solidnych studiów, jest kompletnym fałszem. Nie wystarczy torturatura, tyranistyka, obie bijologie - to ledwie wstęp do rzeczy właściwej. Zresztą nie można podać uniwersalnej receptury - suum malum cuique!

- I wiele macie tej klienteli?

- Klientelą naszą są wszyscy żyjący. To u nas od dziecka. Dzieci dostają lizaki ojcobijcze, by wyładować resentymenty. Ojciec - źródło zakazów i norm, wie pan. Podaje się freudyłki. I nikt nie ma kompleksu Edypa!

Wyszedłem od niego bez jednej pigułki. A więc to tak. Co to za świat! Czyżby przez to wszyscy tak dyszeli? Jestem otoczony przez potwory.

30 X 2039. Nie wiem, co robić w sprawie Symingtona, ale nasze stosunki nie mogą pozostać bez zmian. Aileen poradziła mi:

- Zamów sobie jego wywrotkę! Chcesz, to ci ją zafunduję w prezencie!

Szło o rekompensatę zamówioną w "Procrustics" - o scenę mego triumfu nad Symingtonem, tarzającym się w prochu u mych stóp i wyznającym, że on, firma jego i sztuka - to plugastwo. Jakże jednak użyć metody, która dzięki sobie samej ma zostać podana w niesławę? Aileen nie rozumie tego. Coś się psuje między nami. Wróciła od ciotki tęsza i niższa, tylko szyję ma teraz daleko dłuższą. Mniejsza o ciało, dusza jest ważniejsza, jak mówił ten potwór. O, za cóż ja brałam świat, w którym muszę przebywać! A roiłam sobie, że się w nim rozeznaję! Dostrzegam teraz rzeczy, które dawniej umykały mej uwadze, na przykład pojmuję już, co robił sąsiad w patio, ten tak zwany stygmatyk; wiem też, co to znaczy, gdy na przyjęciu towarzyskim rozmówca, przeprosiwszy, oddala się z dystynkcją w jakiś kąt, aby tam zażywać swojej tabaczki, jednocześnie fiksując mnie wzrokiem po to, by mój wizerunek doskonale wierny zapadł niezwłocznie w piekło jego rozjuszonej wyobraźni! I tak postępują osoby z najwyższych sfer chemokratycznych! A ja nie dostrzegałem, za fasadą wykwintnej uprzejmości, tej ohydy! Wziąwszy, dla wzmocnienia, łyżkę herkulidyny na cukrze, połamane wszystkie bomboniery, stłukłem fiolki, pudra, flakony, słoje i pigularze, jakimi obdarowała mnie Aileen. Jestem gotów na wszystko. Odczuwam taką wściekłość chwilami, że łaknę prost wizyty jakiegoś rewizyjnego interferenta, boby się na nim moja pasja skrupiła. Refleksja podpowiada, że równie dobrze mógłbym sam się tym zająć, a nie czekać z pałą - na przykład mógłbym wszak kupić nadymaka. Ale jeżeli już nabyć manekina, to czemu nie damekina? Jeżeli damekina, czemu nie człekowca? Jeżeli, do stu par piorunów, człekowca, to czemu nie mogę zamówić u Hopkinsa, czyli w "Procrustics Inc.", należytej kaźni, deszczu siarki, smoły, ognia na ten zwyrodniały świat? W tym sęk, że nie mogę. Muszę wszystko sam, wszystko sam - sam! Potworność.

1 X 2039. Dziś doszło do zerwania. Podała mi, na wyciągniętej ręce, dwie pigułki, czarną i białą, abym zdecydował, którą z nich ma niezwłocznie zażyć. A więc nie stać jej było na decyzję naturalną, bez psychemikaliów, nawet w tak zasadniczej sprawie serca! Nie chciałem wybierać, doszło do kłótni, którą wzmocniła sobie babranem. Oskarżyła mnie fałszywie, jakobym przed spotkaniem nażarł się inwektolu (to jej słowa). Były to dla mnie chwile rozdzierające, lecz pozostałem sobie wierny. Od dziś będę jadał tylko w domu, tylko potrawy, które sam przyrządzę. Żadnych śnideł, parady zjaków, galaretek lukseterninowych, rozbiłem wszystkie hedoniczki. Niepotrzebny mi protestal ani preczan. Do mego pokoju zagląda przez okno duży ptak o smutnych oczach, bardzo dziwny, ponieważ na kółkach. Komputer twierdzi, że nazywa się pederastwa.

2 X 2039. Mało co wychodzę z domu. Łykam dzieła historyczne i matematyczne. Poza tym oglądam rewizję. Lecz i wtedy daje mi się we znaki wewnętrzny bunt przeciw wszystkiemu, co mnie otacza. Wczoraj na przykład skusiło mnie, by manipulować regulatorem solidności obrazu, czyli jego ciężaru właściwego, tak aby wszystko miało jak największą spoistość i masę. Stół trzasnął spikerowi pod ciężarem kilku kartek z tekstem dziennika wieczornego, a on sam przewalił się przez podłogę studia. Oczywiście efekty te wystąpiły wyłącznie u mnie i nie miały żadnych konsekwencji, tyle tylko, iż świadczą o moim stanie psychicznym. Ponadto drażni mnie w rewizji humorek, wic, satyra, nowoczesna grotacha. "Piguł na piguł - mówił święty Iguł". Co za niewybredność konceptu! Same nazwy widowisk... Na przykład Z nadymanką na erotocyklu - sensacyjny dramat, który zaczynał się tym, że w ciemnym bistrze siedziało paru uchylców. Wyłączyłem, miałem już tego dość. Lecz cóż z tego, skoro od sąsiadów słychać było najnowszy szlagier z innego kanału (ale gdzie mój kanał? gdzie?!). W torebkach dziewczyny noszą refutał i dawainy. Czy nawet w XXI wieku nie można porządnie izolować mieszkadła?! Miałem dziś znów ochotę bawić się solidatorem rewizji, w końcu go zламаłem. Muszę zebrać się i coś postanowić. Ale co? Wszystko drażni mnie, wystarczy byle co, drobnostka, nawet poczta - oferta tego biura na rogu, bym podał się do Nagrody

Nobla, obiecują załatwić w pierwszej kolejności jako przybyszowi z dawnych straszliwych czasów. Bo pęknię! Rzeczywiście! Podejrzany druczek oferujący "tajne pigułki, których nie ma w normalnej sprzedaży". Strach pomyśleć, co w nich może być. Ostrzeżenie przed kłusennikiem - pokątnym sprzedawcą nie dopuszczonych do obrotu śniadeł. A zarazem apel, by nie śnić żywiołowo, na dziko, bo to jest marnowanie energii psychicznej. Co za troska o obywatela! Zamówiłem sobie śniadło z wojny stuletniej i zbudziłem się rano cały w śniakach.

3 X 2039. Nadal pędzę samotny żywot. Dziś, przeglądając numer świeżo zaabonowanego kwartalnika "Będziecie Ojczyste", natrafiłem z osłupieniem na dobrze mi znane nazwisko profesora Trottelerreiner. Zaraz też znów opadły mnie najgorsze wątpliwości, czy wszystko, czego doznaję, nie jest jednym pasmem zwidów i majaczeń? W zasadzie to możliwe. Czy "Psychomatics" nie zachwala ostatnio pigułek warstwowych, stratylek, które dają wizje wielopoziomowe? Ktoś na przykład chce być Napoleonem pod Marengo, a gdy się bitwa kończy, żal mu wracać do jawy, więc od razu tam, na poboju, marszałek Ney lub ktoś ze starej gwardii podaje mu na srebrnej tacy nową pigułkę, wprawdzie tylko halucynowaną, ale nic to - po przyjęciu otwierają się wrota następnej halucynacji, i tak ad libitum. Ponieważ mam zwyczaj rozcinania węzłów gordyjskich, spożyłem spisaną telefoniczną i zadzwoniłem, dowiedziawszy się numeru, do profesora. To on! Mamy się spotkać na kolacji.

3 X 2039. Trzecia godzina w nocy. Piszę śmiertelnie znużony, z duszą osiwiąłą. Profesor spóźnił się trochę, tak że chwilę czekałem nań w restauracji. Przyszedł pieszo. Poznałem go z daleka, choć jest teraz dużo młodszy niż w ubiegłym stuleciu, nie nosi też parasola ani okularów. Wydawał się wzruszony moim widokiem.

- Cóż to - spytałem - pan pieszo? Czyżby z narowina (znarowienie się samochodu, to się zdarza)?

- Nie - odparł - wolę poruszać się per pedes apostolorum...

Ale się jakoś dziwnie uśmiechnął przy tym. Gdy kelputery odstąpiły nas, zacząłem go wypytywać, co robi - ale też od razu wysnęło mi się słówko o halucynacyjnych podejrzeniach.

- Dajże pan spokój, Tichy. Jaka halucynacja! - obruszył się. - Równie dobrze ja mógłbym podejrzewać pana o to, że jesteś moją fatamorganą. Pan się zamroził? Ja też. Odmrożono pana? Mnie również. Mnie ponadto jeszcze odmłodzono, no, rejuwenal, desenilizyny, panu to niepotrzebne, a ja, gdyby nie solidna kuracha, nie mógłbym już być będzieistą!

- Futurologiem?

- Ta nazwa znaczy teraz coś innego. Futurolog stawia profuty (prognozy), a ja zajmuję się teorią. To rzecz zupełnie nowa, za moich i pana czasów nie znana. Można by ją nazwać przewidywaniem przyszłości odjęzykowym. Prognostyka lingwistyczna!

- Nie słyszałem o tym. Cóż to jest?

Pytałem, by rzec prawdę, raczej z grzeczności niż z zaciekawienia, lecz tego nie dostrzegł. Kelputery przyniosły nam przystawki. Do zupy było białe wino 1997 - dobry rocznik chablis, który lubię i dlatego go wybrałem.

- Futurologia odlingwistyczna bada przyszłość podług transformacyjnych możliwości języka - wyjaśniał Trottelerreiner.

- Nie rozumiem.

- Człowiek potrafi opanować tym tylko, co może pojąć, a pojąć z kolei może jedynie to, co się da wysłować. Niewysłowione jest niepojęte. Badając dalsze etapy ewolucji języka, dochodzimy tego, jakie odkrycia, przemiany, rewolucje

obyczaju język ten będzie mógł kiedykolwiek odzwierciedlić.

- Bardzo dziwne. Jakże to w praktyce wygląda?

- Badania prowadzimy dzięki największym komputerom, bo człowiek nie może sam wypróbować wszystkich wariantów. Chodzi głównie o wariacyjność języka syntagmatycznoparadygmatyczną, ale skwantowaną...

- Profesorze!

- Przepraszam. Znakomite jest to chablis. Najlepiej wyjaśni panu rzecz kilka przykładów. Proszę podać mi jakieś słowo.

- Ja.

- Ja, co? Hm. Ja. Dobrze. Rozumie pan, że muszę niejako zastępować komputer, więc będzie to całkiem proste. A więc - ja. Jaźń. Ty. Tyźń. My, myźń. Widzi pan?

- Nic nie widzę.

- Ależ jak to? Chodzi o możliwość zlewania się jaźni z tyźnią, czyli o zespólnię dwu świadomości, to po pierwsze. Po wtóre - myźń. Bardzo interesujące. Jest to świadomość zbiorowa. No, na przykład przy silnym rozszczepieniu osobowości. Proszę o jakieś inne słowo.

- Noga.

- Dobrze. Co idzie z nogi? Nogant. Nogiel, ewentualnie kogielnogiel. Nogi er, noginia, noglic i nozyc się. Roznożony. Znożony. Nogać tam! No gaś! Nogam? Nogista. Proszę, widzi pan, mamy coś płodnego. Nogista. Nogistyka.

- Co znaczy to wszystko? Przecież te słowa nie mają żadnego sensu?

- Jeszcze nie mają, ale będą mieć. To znaczy - mogą ewentualnie zdobyć sens, jeżeli nogistyka i nogizm się przyjmą. Robot - to słowo nic nie znaczyło w XV wieku, lecz gdyby mieli wtedy futurologię odjęzykową, toby się mogli domyślić automatów.

- Więc co znaczy nogista?

- Widzi pan, akurat w tym wypadku mogę to dokładnie wyjawić, ale tylko dlatego, że nie chodzi o prognozę, lecz o to, co już jest. Nogizm - to najnowsza koncepcja, nowy kierunek autoewolucji człowieka, tak zwanego homo sapiens monopedes, - Jednonogi?

- A tak. Ze względu na zbędność chodu oraz nadciągający brak miejsca.

- Ależ to idiotyzm!

- Ja też tak sądzę. Niemniej takie sławy jak profesor Hatzelklatzer czy Foeshbeene są nogistami. Pan o tym nie wiedział, podając mi termin noga, prawda?

- Nie. A co znaczą te inne urobki?

- Tego właśnie na razie nie wiadomo. Jeżeli nogizm zwycięży, powstaną takie obiekty, które będą się nazywały nogiel, noginia i tak dalej. Bo to nie jest żadne proroctwo, proszę pana, a tylko przegląd możliwości w stanie czystym. Podaj że mi pan inne słowo.

- Interferent.

- Dobrze. Inter i fero, fero, ferre, tuli, latum. Skoro pochodzi z łaciny, trzeba w łacinie szukać kontynuacji. Flos, floris. Interfiorentka. Proszę bardzo - to panna, która ma dziecko z interferentem, bo zabrał jej wianek.

- Skąd pan wziął wianek?

- Flos, floris - kwiat. Defloracja - odebranie dziewictwa. Zapewne będzie się mówiło: porodzianka - lub: porodzianka rewizyjna, w skrócie - porewidentka. Zapewniam pana, że dysponujemy już przebogatym materiałem. Ot, taka prostytutka - od konstytuandy - to otwiera całe uniwersum nowej obyczajowości!

- Widzę, że pan jest entuzjastą tej nowej nauki. Może spróbuje pan z jeszcze jednym słowem? Śmieci.

- Czemu nie? To nic, że pan sceptyk. Proszę bardzo. A więc... śmieci. Hm. Śmietnisko. Śmioty. Dużo śmieci - wszechśmioty. Wszechśmiot! Nader ciekawe. Panie Tichy, pan doskonale podaje słowa! Wszechśmiot, proszę, no, proszę!

- Co w tym niezwykłego? To słowo nic nie znaczy.

- Po pierwsze - teraz się mówi: nic nie smaczy. Nie znaczy - to już anachronizm. Zauważyłem, że pan niechętnie używa nowych słów. Niedobrze. Pogadamy o tym później. A po wtóre - wszechśmiot teraz jeszcze nic nie znaczy, ale można już się domyślić przyszłego sensu! Chodzi, nieprawdaż, o nową teorię psychozoiczną. Nie byle co! Głosiłaby ona, że gwiazdy są sztucznego pochodzenia!

- A to pan skąd znowu wziął?

- Ze słowa wszechśmiot. Oznacza ono, to jest sugeruje, taki obraz: w toku eonów Kosmos zapełnił się śmieciem, czyli odpadami pocywilizacyjnymi, z którymi nie było co robić, które przeszkadzały w badaniu astronomicznym i w kosmicznych podróżach, więc zbudowano olbrzymie paleniska o bardzo wysokiej ciepłocie, żeby, nieprawdaż, palić te śmieci. Muszą mieć wielką masę, dzięki czemu same przyciągają śmieci, próżnia z wolna się oczyszcza i oto ma pan gwiazdy - te ognie właśnie, i mgławice ciemne - śmieci jeszcze nie uprzątnięte.

- I jakże - pan na serio tak? Pan sądzi, że to możliwe? Kosmos jako całopalenie śmieci? Profesorze!

- Toż to nie jest kwestia mojej wiary lub niewiary, Tichy. Po prostu dzięki odlingwistycznej futurologii utworzyliśmy nowy wariant kosmogonii jako czysta możliwość dla przyszłych pokoleń! Nie wiadomo, czy ktoś weźmie to serio, ale faktem jest, że taką hipotezę można wyartykułować! Proszę zważyć, że gdyby w dwudziestych latach istniała ekstrapolacja lingwistyczna, już wówczas można by było przewidzieć b e m b y - pamięta pan je chyba! - dzięki urobieniu ich od bomb. Sam język, proszę pana, tai w sobie olbrzymie, lecz przecie nie bezgraniczne możliwości. Utopić się - gdy pan pojmie, że to może iść od "utopia", zrozumie pan lepiej czarnowidztwo wielu futurologów!

Rozmowa zeszła wnet na sprawy mocniej mnie poruszające. Wyznałem Trottelreinerowi moje lęki - i moje obrzydzenie do nowej cywilizacji. Zachnął się. Słuchał jednak dalej i, dobre serce, zaczął mi współczuć. Widziałem nawet, jak sięgnął po mizerykordiał do kamizelki, ale powstrzymał się w pół drogi do niej, bo tak wybrzydzałem się na psychemikalia. Na koniec jednak przybrał surowy wyraz twarzy.

- Niedobrze z panem, Tichy. Krytyka pana nie dociera w ogóle do sedna rzeczy. Nie zna go pan. Ani się go pan nie domyśla. W porównaniu z nim - "Procrustics" i cała reszta psytywilizacji to fraszka!

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Ależ... ależ... - jakałem się - co też pan mówi, profesorze? Co może być gorsze? Pochylił się ku mnie przez stół.

- Tichy, zrobię to dla pana. Naruszę zawodową tajemnicę. O wszystkim, na co pan wyrzekał, wie każde dziecko, bo jakżeby inaczej. Rozwój musiał iść w tym

kierunku od chwili, gdy po narkotykach i prahalucynogenach przyszedł tak zwane psychofokalizatory o silnie wybiórczym działaniu. Ale prawdziwy przewrót nastąpił dopiero dwadzieścia pięć lat temu, gdy syntetyzowano maskony, to jest hapunktory - halucynogeny punktowe. Narkotyki nie odcinają człowieka od świata, zmieniają tylko stosunek do niego. Halucynogeny zamacają i przesłaniają cały świat. Pan się o tym sam przekonał. Natomiast maskony świat fałszują!

- Maskony... maskony... - powtarzałem. - Znam to słowo. A! koncentracje masy pod skorupą Księżyca, te takie zgęstki minerałów? Ale co one mają wspólnego...?

- Nic, bo to słowo nabrało już innego znaczenia. To jest smaczenia. Pochodzi od maski. Wprowadzając odpowiednio syntetyzowane maskony do mózgu, można zasłonić dowolny obiekt świata zewnętrznego obrazami fikcyjnymi tak sprawnie, że osobnik zachemaskowany nie wie, co jest w postrzeganym realnie - a co ułudne. Gdybyś pan przez jedno mgnienie zobaczył świat, jaki nas n a p r a w d ę otacza - a nie ten uszminkowany chemaskowaniem - zdrętwiałbyś pan!

- Czekajże pan. Jaki świat? Gdzie on jest? Gdzie go można zobaczyć?

- Nawet tu! - szeptał mi do ucha, zerkając na wszystkie strony. Przysiadł się do mnie i podając mi pod stolikiem małą szklaną flaszkę z dotartym korkiem, tchnął poufnie:

- To jest antych, z grupy ocykanów, potężny środek przeciwpsychemiczny, pochodna nitrodazyłkowa peiotropiny. Nawet noszenie przy sobie, nie to że zażywanie, jest deliktem głównym! Proszę odkorkować pod stołem, wciągnąć raz w nozdrza, ale tylko raz - jakbyś pan amoniak wąchał. No, jak sole trzeźwiące. Ale potem... Dlaboga! Panuj nad sobą! Trzymaj się, pamiętaj!

Trzęsącymi się rękami odkorkowałem flaszkę. Profesor odebrał mi ją, ledwie się zaciągnąłem ostrym migdałowym oparem; do oczu napłynęły mi obfite łzy. Gdy je straciłem końcem palca i otarłem powieki, straciłem dech. Wspaniała sala, wyłożona kobiercami, pełna palm, o majolikowych ścianach, z wykwintnie roziskrzonymi stołami, z dwoma kapelą w głębi, co przygrywała nam do pieczystego, znikła. Siedzieliśmy w betonowym bunkrze, przy nagim stole drewnianym, ze stopami znurzonymi w porządnie już starganej, słomianej macie. Muzykę słyszałem nadal, ale widziałem teraz, że płynie z głośnika zawieszzonego na porzdewiałym drucie. Kryształowo tęczujące kandelabry ustąpiły miejsca zakurzonym nagim żarówkom; najokropniejsza przemiana zaszła jednak na stole. Śnieżysty obrus znikł; srebrny półmisek z dymiącą kuropatwą na grzance obrócił się w fajansowy talerz, na którym leżała nieapetyczna, szarobrunatna bryja, klejąca się do cynowego widelca, bo i jego stare, szlachetne srebro zgasło. Patrzyłem zlodowaciały na paskudztwo, które przed chwilą jeszcze pałaszowałem ze smakiem, rozkoszując się chrupaniem przyrumienionej skórki ptaszęcej, łamanym kontrpunktowe grubszymi trzaśnięciami grzanki, górą wybornie podsuszonej, dołem zaś naciągającej sosikiem. To, co brałem za kiście palmy w pobliskim kubie, było w samej rzeczy sznurkami od kałesonów osobnika, który z trzema innymi siedział tuż nad nami, nie na piętorku, lecz raczej na półce, tak była wąska i ciasna. Gdyż tłok panował nieprawdopodobny! Myślałem, że oczy wyjdą mi z orbit, kiedy przerażający obraz zachwiał się i jał zasnuwać na powrót, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Tasiemki kałesonowe obok mej twarzy zazieleniły się i były znów liściastymi odnogami palmy, kubek z odpadkami, cuchnący o trzy kroki, nabrawszy ciemnego blasku, stał się rzeźbioną donicą, a brudna powierzchnia stołu zabieliła się jak pokryta pierwszym śniegiem. Zabłysły kryształowe kieliszki, bryjowata maź nabrała szlachetnej barwy pieczystego, wyrosły jej, gdzie trzeba, skrzydełka i udka, cyna sztućców łysnęła starym srebrem... i zafurkotały wokół fraki kelnerskie. Spojrzałem pod nogi - słoma obróciła się w persy - i, przywrócony luksusowemu światu, dysząc ciężko, wpatrywałem się w bujną pierś kuropatwy, niezdolny zapomnieć tego, co kamuflowała...

- Teraz dopiero zaczyna pan ogarniać rzeczywistość - konfidencjonalnie szeptał Trottelreiner, patrząc mi w twarz, jakby się bał mojej nazbyt gwałtownej reakcji. - A proszę zważyć, że znajdujemy się w lokalu ekstraklasy! Gdybym nie brał z góry w rachubę ewentualności wtajemniczenia pana, poszlibyśmy do

restauracji, której widok, kto wie, pomieszałby może panu umysł.

- Co? Więc... są... jeszcze straszniejsze?

- Tak.

- Nie może być.

- Zapewniam pana. Tu mamy przynajmniej autentyczne stoły, krzesła, talerze i sztućce, a tam leży się na wielopiętrowych pryczach, jedząc palcami z podtykanych przez konwejer kubłów. Także to, co ukrywa się pod maską kuropatwy, jest tam mniej pożywne.

- Co to jest?!

- Nie żadna trucizna, Tichy, po prostu ekstrakt trawy i buraka pastewnego, namoczony w chlorowanej wodzie i zmielony z rybną mączką; zwykle dodaje się kostnego kleju i witamin, omaszczając maż syntetycznym smarem, żeby nie stawała w gardle. Nie zauważył pan zapachu?

- Zauważyłem. Zauważyłem!!!

- A widzi pan.

- Na litość boską, profesorze... co to jest? Proszę mi powiedzieć! Zaklinam pana. Zmowa? Perfidia? Plan dla wygubienia całej ludzkości? Szatański spisek?

- Gdzie tam, Tichy. Nie bądź pan demoniczny. Jest to po prostu świat, w którym żyje grubo ponad dwadzieścia miliardów ludzi. Czytał pan dzisiejszego "Heralda"? Rząd Pakistanu twierdzi, że w tegorocznej katastrofie głodowej zginęło tylko 970 000 ludzi, opozycja zaś - że sześć milionów. Gdzież w takim świecie chablis, kuropatwy, potrawki w sosie beamais? Ostatnie kuropatwy wyginęły ćwierć wieku temu. To trup, tyle że znakomicie zachowany, bo się go wciąż sprawniej mumifikuje - czy też, bośmy się nauczyli maskować tę śmierć.

- Zaraz! Myśli nie mogę zebrać... Więc to znaczy, że...

- Że nikt panu źle nie życzy, na odwrót - z litości bowiem, z powodów wyższej humanitarnej natury stosuje się humbug chemiczny, kamuflaż, przystrajanie rzeczywistości w piórka i barwy, jakich jej brak...

- Profesorze, czy to oszustwo jest wszędzie?

- Tak.

- Ale ja nie jadam na mieście, sam sobie gotuję, więc którędy, jak...?

- Jak przyjmuje pan maskony? Pan o to pyta? Pan? Są w powietrzu, trwale rozpylane. Nie pamięta pan costaricańskich aerozoli? To były nieśmiałe pierwsze próby, coś jak Montgolfiera z rakieta.

- I wszyscy o tym wiedzą? I mogą z tym żyć?

- Nic podobnego. Nikt o tym nie wie.

- Ani pogłosek, ani plotek?

- Plotki są wszędzie. Ale proszę pamiętać, że istnieje amnestan. Są rzeczy, o których wie każdy, i są takie, o których nie wie nikt. Farmakokracja ma swą część jawną i skrytą; pierwsza wspiera się na drugiej.

- To nie może być.

- O? Czemu?

- Bo ktoś musi dbać o te słomianki, i ktoś musi produkować fajanse, z których naprawdę jemy, i tę bryję, która udaje pieczone. I wszystko!

- Ależ tak. Ma pan rację, wszystko musi być wytwarzane i zachowywane, cóż z tego?

- Ci, którzy to robią, widzą i wiedzą!

- Skąd znowu. Myśli pan wciąż archaicznymi kategoriami. Ludzie myślą, że idą do szklanej fabryki-oranżerii; przy wejściu dostają antyhal i dostrzegają gołe betonowe mury i robocze stanowiska.

- I chcą pracować?

- Z największym zapalem, ponieważ dostają też dawkę sakryficyny. Praca jest tedy poświęceniem, czymś szczytnym; po zakończeniu dość łyku amnestanu czy memnolizyny, a wszystko, co się zobaczyło, ulega zapomnieniu!

- Do tej pory obawiałem się, że żyję w halucynacji. Teraz widzę, jaki byłem głupi! Boże, jakże bym chciał wrócić! Co bym za to dał!

- Wrócić, dokąd?

- Do kanału pod hotelem Hiltona.

- Nonsens. Zachowuje się pan nierozważnie, bym nie powiedział: głupio. Powinien pan robić to, co wszyscy, jeść i pić jak wszyscy, wówczas otrzymywałby pan niezbędne dawki optymistanu, serafinoli, i byłby pan w wyśmienitym humorze.

- Więc i pan jest adwokatem diabła?

- Bądźże pan rozsądny. Cóż to za czyn diabelski, jeśli lekarz kłamie w potrzebie choremu? Skoro musimy już tak mieszkać, żyć, jeść - lepiej, gdy się to nam przedstawia w ślicznych opakowaniach. Maskony działają niezawodnie, z jednym tylko wyjątkiem, więc co w nich złego?

- Nie czuję się na siłach dyskutować teraz z panem na ten temat - powiedziałem, ochłonawszy trochę. - Proszę mi tylko odpowiedzieć na dwa pytania, przez pamięć dawnych czasów: jaki to jest wyjątek w działaniu maskonów? I w jaki sposób doszło do rozbrojenia powszechnego? Czy i ono jest mirażem?

- Nie, na szczęście jest całkiem realne. Ale, by to panu wyjaśnić, musiałbym się uciec do wykładu, a czas już na mnie.

Umówiliśmy się na dzień następny; przy pożegnaniu ponowiłem pytanie o defekt maskonów.

- Proszę pójść do Wesołego Miasteczka - rzekł profesor, wstając. - Jeśli chce pan niemiłych rewelacji, wsiądzie pan do największej karuzeli, a gdy uzyska ona pełne obroty, zrobi pan scyzorykiem dziurkę w osłonie kabiny. Osłona jest konieczna właśnie dlatego, że w czasie wirowania fantazmaty, jakimi maskon zaćmiewa realność, ulegają przemieszczeniom - jak gdyby siłą odśrodkową rozsypywała końskie okulary... Zobacz pan, co się wychyla wtedy spoza pięknych ułud...

Piszę te słowa o trzeciej w nocy, złamany. Cóż mogę do tego dodać? Rozważę poważnie projekt ucieczki od cywilizacji, zaszyca się w jakąś głuszę. Nawet Galaktyka przestała mnie wabić, jak nie kuszą podróże, gdy nie ma z nich dokąd wrócić.

5 X 2039. Wolne przedpołudnie spędziłem w mieście. Z ledwie powściąganym przerażeniem wpatrywałem się w powszechne oznaki komfortu i luksusu. Galeria sztuki na Manhattanie zachęca do kupowania za bezcen oryginalnych płócien

Rembrandta i Matisse'a. Obok oferują wspaniałe meble w stylu Ludwików, marmurowe kominki, trony, zwierciadła, zbroje saraceńskie. Moc różnych aukcji - sprzedaje się domy jak ulęgałki. A ja sądziłem, że żyję w raju, w którym każdy może sobie "popałować"! Biuro rejestracji samozwańczych kandydatów do Nagrody Nobla na Piątej Ulicy też wyjawiało mi swą właściwą naturę: każdy może mieć Nobla, podobnie jak pozawieszać ściany mieszkania najcenniejszymi dziełami sztuki, jeśli jedno i drugie jest tylko szczyptą proszku drażniącego mózg! Największa perfidia w tym, że część zbiorowej ułudy jest jawna, można więc naiwnie zakreślić granicę oddzielającą fikcję od rzeczywistości, a ponieważ spontanicznie nikt nie reaguje już na nic - chemicznie ucząc się, Kochając, buntując, zapominając - różnica między uczuciem wymanipulowanym i naturalnym przestała istnieć. Szedłem ulicami zaciskając kuli w kieszeniach. O, nie potrzebowałem amokoliny ni furyasoli, by doznawać wściekłości! Moja tropicielsko uskrzydłona myśl trafiała wszystkie pusto brzmiące miejsca tego monumentalnego oszukaństwa, tej rozrosłej poza horyzonty dekoracji. Dzieciom podają syropki ojcobijcze, potem, dla rozwoju osobowości, kontestan i protestolidynę, a dla uśmierzenia wznieconych porywów - sordyn i kooperantan; policji nie ma, po co, skoro jest kryminol; apetyty zbrodnicze gasi "Procrustics Inc."; dobrze, że omijałem dotąd teosięgarnie, bo i w nich jest tylko zestaw preparatów wiaropędnych, łaskodajnych, sumienidki, peccatol, absolvan, i nawet świętym można zostać dzięki sacrosanctyzydazie. Zresztą, czemu nie allaszek islaminy, dwuzenek buddanu, nirvanium kosmozyłowe, teokontaktol? Czopkieschatolopki, maść nekrynowa ustawia cię w pierwszym szeregu w Dolinie Jozafata, resurrectol zaś, podany na cukrze, dokona reszty. Święty Bogolu! Paradyzjaki dla dewotów, belzeban i helluńum dla masochistów... z trudem powstrzymałem się, aby nie wpaść do mijanego farmakopeum, gdzie lud nabożnie klękał, jak tabaki zażywając genufleksoliny. Musiałem się hamować, by nie dano mi amnestanu. Tylko nie to! Pojechałem do Wesołego Miasteczka, obracając spotniałymi palcami w kieszeni scyzoryk. Nic nie wyszło z doświadczenia, bo osłona kabiny okazała się niezwykle twarda - chyba z hartowanej stali.

Pokoje do wynajęcia, w których mieszkał Trottelreiner, znajdowały się przy Piątej Ulicy. Nie było go w domu, gdy przyszedłem o umówionej porze, ale uprzedził mnie, że się może spóźnić, i dał mi świst do drzwi. Wszedłem więc i siadłem przy profesorskim biurku, zawalonym naukową prasą oraz zapisanymi papierami. Z nudów - a może raczej, by uśmierzyć niepokój pałacy duchowe wnętrzości - zajrzałem do notatek Trottelreiner. "Wszechśmiot", "porodzianka", "cudziniec", "cudzinka". Ach, więc miał głowę do tego, by spisywać terminy tej swojej dziwacznej futurologii... "Popłodnia", "wykapanek", "wykapanka". "Porodzystka" - rekordzistka porodowa? No tak, przy eksplozji demograficznej, zapewne. W każdej sekundzie rodziło się osiemdziesiąt tysięcy dzieci. A może osiemset tysięcy. Co za różnica? "Myślarnia", "myślani", "myślina", "mysiel", "myśl główna", czyli "dyszłowa", "myszłina", "dyszłina". Czymże on się zajmował! Profesorze, ty tu, a tam świat ginie! - chciałem wołać. Nagle błysło coś spod papierów - antyhal, ta flaszeczka. Wahalem się przez ułamek sekundy, potem, zdecydowany, pociągnąłem ostrożnie i spojrzałem na pokój.

Dziwna rzecz: prawie się nie zmienił! Szafy biblioteczne, półki z pigułkami w informatorach, wszystko pozostało, jakie było, tylko ogromny, kaflowy piec holenderski w kącie, który zdobił pokój soczystym blaskiem swych rzeźbionych kafelek, zamienił się w tak zwanego bękart z przepaloną rurą blaszaną, wetkniętą w dziurę w murze, a wokół podłoga zaczerniała od osmalin. Odstawiłem szybko flaszeczkę, jak złapany na gorącym uczynku, bo w przedpokoju świsnęło i wszedł Trottelreiner.

Opowiedziałem mu o Wesołym Miasteczku. Zdziwił się, poprosił, bym mu pokazał scyzoryk, pokiwał głową, sięgnął po flaszeczkę, powąchał i dał ją mnie z kolei. Zamiast scyzoryka ujrzałem ułamek spróchniałej gałązki. Wróciłem oczami do twarzy profesora - był jakby markotny, nie taki pewny siebie, jak poprzedniego dnia. Położył na biurku teczkę, pełną kongresowych lizaków, i westchnął.

- Tichy - rzekł - musi pan zrozumieć, że ekspansją maskonów nie powoduje na razie specjalna perfidia...

- Ekspansją? A to co znowu?

- Wiele rzeczy, jeszcze realnych w zeszłym miesiącu lub roku, trzeba zastępować mirażami, skoro autentyki stają się po prostu nieosiągalne - tłumaczył mi, zafrasowany jakąś inną myślą, która, widziałem to, nie dawała mu spokoju.

- Na tej karuzeli jeździłem przed kwartałem, ale nie dam głowy za to, że ona tam jeszcze jest. Wszak może być, że kupując bilet wstępu, dostaje pan z dyfuzera porcję pary karuzelowej czy lunaparkiny, co zresztą jest racjonalne jako o wiele bardziej oszczędne. Tak, Tichy, sfera realnego posiadania ludzkości kurczy się z zastraszającym przyspieszeniem. Zanim tu zamieszkałem, byłem w nowym Hiltonie, ale, wyznaję, nie potrafiłem tam żyć, bo gdym nieopatrznie skorzystał z wytrzeźwiacza, ujrzałem się w klitce wielkości sporej szuflady, z nosem przy karmniku, w żebra gniótł mnie kurek wodociągowy, a stopami dotykałem wezgłowia legowiska w następnej szufladzie, to jest apartamencie, bo miałem apartament na ósmym piętrze, za 90 dolarów dziennie. Miejsca, po prostu miejsca jest coraz mniej! Robią obecnie próby z tak zwanymi despacjalizatorami albo psywidymkami, ale idą opornie, bo jeżeli maskuje się współobecność z panem ogromnych tłumów na ulicy czy na placu, tak że widzi pan tylko odległe jednostki, zaczyna się pan zderzać z ludźmi zamaskowanymi, których pan nie zauważa, a to już kłopot, którego nie umieją na razie przezwyciężyć!

- Profesorze, zajrzałem do pana notatek. Proszę wybaczyć, ale co to jest? - Pokazałem palcem kartkę, na której widniały słowa: "multyschizol", "ciżbidek wielaniny".

- A, to... Wie pan, istnieje plan, to znaczy koncepcja hintemizacji, od nazwiska autora Egoberta Hinterna, nieprawdaż - ażeby zastępować rosnący brak zewnętrznej przestrzeni - wyhalucynowaną przestrzenią wewnętrzną, duszy, bo metraż tej ostatniej żadnym ograniczeniom fizycznym nie podlega. Pewno pan wie, że dzięki zooforminom można się czasowo stać, to jest czuć się, żółwiem, mrówką, bożą krówką, a nawet jaśminem przy pomocy prebotynidu infloryzującego, oczywiście tylko subiektywnie. Można też doznać rozszczepienia osobowości na dwie, trzy, cztery części. Gdy rozszczepienie sięga liczb dwucyfrowych, powstaje efekt ciżbinowy. To już nie jaźń wtedy, lecz myźń. Wielość jaźni w jednym ciele. Są też dojaźniacze, żeby spotęgowane w intensywności życie wewnętrzne górowało nad postrzeganiem tego, co zewnętrzne. Taki świat, takie czasy, mój Tichy. Omnis est Pillula Farmakopea jest teraz księgą żywota, encyklopedią bytu, alfa i omega, żadnych przewrotów na widoku, skoro mamy już rewoltal, opozycjonal w czopkach glicerynowych i ekstreminę, a pański doktor Hipkins reklamuje sodomastol i gomorynki - można osobiście spalić ogniem niebieskim tyle miast, ile dusza zapragnie. Awans na Pana Boga też można dostać, kosztuje 75 centów.

- Najnowszą sztuką piękną jest świąd - rzekłem. - Słyszałem, to jest czułem. Scherzo Uascotiana, ale nie mogę powiedzieć, żeby mi to cokolwiek dało pod względem estetycznym. Śmiałem się w najpoważniejszych miejscach.

- Tak, to nie dla nas, defryzoni z innego wieku, rozbitków w czasie - melancholijnie przytwierdził Trottelreiner. Jakby się w sobie przełamał, odchrząknął, spojrzął mi w oczy i rzekł;

- Tichy, rozpoczyna się właśnie kongres futurologiczny - to znaczy obrady nad będziejami ludzkości. Jest to Światowy Zjazd LXXVI; byłem dzisiaj na pierwszym wstępnym posiedzeniu organizacyjnym i chcę się podzielić z panem wrażeniami...

- Dziwne - rzekłem - czytam dość pilnie prasę, ale nie widziałem nawet wzmianki o tym kongresie...

- Bo to jest tajny kongres. Rozumie pan chyba - muszą być wszak między innymi omawiane problemy maskowania!

- I co? Niedobrze z nimi?

- Fatalnie! - rzekł profesor z naciskiem. - Gorzej nie może być!

- A wczoraj grał pan z innej dudki - powiedziałem.

- To prawda. Lecz proszę wziąć pod uwagę moje położenie - dopiero zaznajamiam się ze stanem aktualnych badań. To, co słyszałem dzisiaj, och, mówię panu - zresztą sam pan może się przekonać.

Wyjął z teczki duży pęk lizaków z tymczasowymi doniesieniami, powiązanych różnokolorowymi wstążeczkami, i podał mi go przez biurko.

- Nim pan się z tym zapozna, kilka słów niezbędnego wyjaśnienia. Farmakokracja jest psychemokracją, opartą na kremokracji - to dewiza naszej nowej ery. Rządom halucynogenów towarzyszy korupcja, aby to jeszcze zwięźlej ująć. Zresztą właśnie dzięki temu mamy powszechne rozbrojenie.

- A więc wreszcie dowiem się, jak z tym jest! - zawołałem.

- To wcale proste. Przekupstwo służy albo temu, by można zbyć towar niepełnowartościowy, albo temu, by go przy głodzie towarowym otrzymać. Towarem mogą być zresztą i usługi. Idealna sytuacja powstaje dla producenta wówczas, gdy inkasując należność, nic za nią w zamian nie daje. Przypuszczam, że zapoczątkowały realizę afery mendaktorów i małwersorów, o których pan musiał słyszeć.

- Tak, ale co to jest realiza?

- Dosłownie - rozpuszczanie się, więc - zanikanie rzeczywistości. Gdy wybuchł skandal komputerowych małwersacji, wszystko zwalono na maszyny cyfrowe. W istocie maczały w tym palce potężne konsorcja i tajne kartele. Szło, nieprawdą, o uczynienie planet mieszkalnymi - sprawa paląca wobec przeludnienia! Należało wybudować ogromne floty rakietowe, zmienić klimaty, atmosfery Saturna i Urana; o wiele prościej było robić to wszystko wyłącznie na papierze.

- Przecież to się musiało rychło wydać - zdziwiłem się.

- Nic podobnego. Powstają nieprzewidziane trudności obiektywne, nie znane dotąd problemy, przeszkody, trzeba nowych kredytów, asygnacji, ot, taki projekt Urana pochłonął dotąd 980 miliardów, a nie wiadomo, czy ruszono tam choć jeden kamień.

- Komisje nadzorujące?

- Komisje nie składają się z kosmonautów, a nie przygotowany nie może lądować na tych planetach. Wysyła się wtedy pełnomocników, którzy z kolei opierają się na przedłożonym im materiale wykazów, zdjęć fotograficznych, statystyk, a wszak można albo sfałszować dokumentację, albo, o wiele łatwiej jeszcze, sfingować maskonami.

- Ach!

- A właśnie. W podobny sposób, przypuszczam, rozpoczęło się, jeszcze wcześniej, pozorowanie zbrojeń. Firmy wszak, które otrzymują rządowe zamówienia, są własnością prywatną. Brały miliardy i nic nie robiły; to znaczy produkowały, owszem, działa laserowe, wyrzutnie rakiet, przeciw-przeciw-przeciw-przeciw-rakiety (bo mamy ich szóstą generację), czołgi latające, tak zwane latalerze, ale wszystko hapunktowe.

- Proszę?

- Wyhalucynowane, mój panie. Po co robić próby nuklearne, gdy się ma fungolowe pastylki?

- Co to jest?

- Pastylki, po których zażyciu widzi się grzyb wybuchu atomowego. Był to proces

łańcuchowy. Po co szkolić żołnierzy? W razie mobilizacji da im się pigułki wyszkoleniowe. Dowódców też nie warto kształcić - od czego strategina, generazol, taktydon, orderyl? "W Ciausewitu będziesz gmeral? Proszek zjedz, jużes general". Słyszał pan to porzekadło?

- Nie.

- Bo te zestawy specyfików są tajne, a przynajmniej nie dopuszczane na rynek. Desantów też nie warto nigdzie wysyłać - wystarczy nad wrzącym krajem rozpylić odpowiedni maskon, a ludność będzie widziała lądujące jednostki spadochronowe, piechotę morską, czołgi - prawdziwy czołg kosztuje teraz prawie milion dolarów, a halucynowany około jednej setnej centa na widza, to jest tak zwana jednostka czołgoosobowa. Pancernik kosztuje ćwierć centa. Cały arsenał Stanów Zjednoczonych można dzisiaj zapakować do jednej ciężarówki. Tankony, kadawerony, bombony - stałe, ciekłe i gazowe. Podobno istnieją nawet całe inwazje Marsjan - jako odpowiednio spreparowany proszek.

- Wszystko w maskonach?

- A jakże! Z kolei realna armia okazała się zbędna. Pozostało tylko trochę lotnictwa, a i to niepewne. Po co? to był proces lawinowy, rozumie pan? Nie można go było zahamować. Ot, i cała tajemnica rozbrojenia. Zresztą nie tylko rozbrojenia. Widział pan nowe modele tegoroczne cadiilaca, dodge'a i chevroleta?

- Owszem, wcale ładne. Profesor podał mi flaszeczkę.

- Proszę, nich pan podejdzie do okna i przyjrzy się tym pięknym autom.

Wychyliłem się przez parapet. Wąwozem ulicy, widzianym z jedenastego piętra, sunęła rzeka lśniących samochodów, błyskająca w słońcu szybami i dachami. Podniosłem otwartą buteleczkę do nosa, zamrugałem, wyciskając powiekami łzy z oczu, i zapatrzyłem się w niezwykły widok. Trzymając w uniesionych na wysokość piersi dłoniach powietrze, niczym dzieci bawiące się w szoferów, jezdnią kłusowały kolumny biznesmenów. Od czasu do czasu w zwartych szeregach galopowiczów, przebierających pospiesznie nogami, a od pasa w górę przechylonych do tyłu, jakby wpartych w przepastne fotele, pojawiał się samotny, dymiący samochód. Gdy działanie środka osłabło, obraz zadrgał, wyrównał się i znów widziałem z wysokości błyszczącą rzekę samochodowych dachów, białych, żółtych, szmaragdowych, płynącą majestatycznie przez Manhattan.

- Koszmarne! - rzekłem dosadnie - ale, mimo wszystko, pax orbi et urbi ustanowiony, więc może to się opłaciło?

- No, rozumie się, że to nie jest tylko złe. Ilość zawałów spadła bardzo znacznie, bo te długodystansowe galopy są świetną gimnastyką. Inna rzecz, że wzrosły zachorowania na rozedmę płuc, żylaki i rozszerzenie serca. Nie każdy nadaje się na maratończyka.

- To dlatego pan nie ma auta! - zawołałem domyślnie.

Profesor tylko się krzywo uśmiechnął.

- Średniej klasy wóz kosztuje dziś zaledwie 450 dolarów - rzekł - ale zważywszy, że koszty produkcji obracają się wokół ósmej części centa, jest to raczej słono. Ilość ludzi robiących coś realnego leci na łeb na szyję. Kompozytorzy biorą honoraria, dają zleceniodawcom łapówki, a publiczności, przychodzącej na prawykonanie do filharmonii, podsuwa się pod nos melotropinę koncertazolową.

- Moralnie to paskudne - rzekłem - ale czy bardzo szkodliwe w skali społecznej?

- To, co jest na razie - jeszcze nie. Zresztą ocena zależy od punktu widzenia. Dzięki transmutynie może pan mieć romans z kozą, sądząc, że to sama Wenus z Milo. Zamiast prac naukowych i obrad są kongressyny i dekongressyny, ale przecież istnieje pewne minimum życiowe, którego już się nie pokryje fikcja.

Trzeba gdzieś mieszkać naprawdę i coś jeść, i czymś oddychać, a tymczasem realizacja zżera jedną po drugiej sferę działania rzeczywistego. Ponadto mamy zastraszający przybór objawów ubocznych. Wymagają one stosowania dehalucynin, neosupermaskonów, fiksatorów - z wątpliwym skutkiem.

- Cóż to takiego?

- Dehalucyniny to nowe specyfiki, po których wydaje się, że się nic nie wydaje. Stosowano je zrazu tylko u chorych umyślowo, ale rośnie liczba ludzi podejrzewających otoczenie o nieautentyczność. Amnestany nie pomagają przeciw uroburojeniom. To są urobione wtórnie urojenia, rozumie pan? No, jeśli ktoś sobie roi, że sobie roi, że sobie nic nie roi - albo na odwrót. Jest to typowa problematyka psychiatrii współczesnej, tak zwanej wieżowcowej lub. napiętrowej. Ale najgroźniejsze są te nowe maskony. Widzi pan, pod wpływem nadmiaru specyfików organizmy szwankują. Ludziom wypadają włosy, rogowacieją uszy, to znów zanika ogon...

- Wyrasta, chciał pan powiedzieć.

- Nie, zanika, bo ogony wszyscy mają już od trzydziestu lat. To był skutek ortografiny. Za błyskawiczną naukę pisania przyszło tym zapłacić.

- Niemożliwe - bywam na plaży, nikt nie ma ogona, profesorze!

- Dzieckoś pan. Ogony maskuje się antycaudatoliną, która z kolei powoduje zaczernienie paznokci i psucie się zębów.

- Które też się maskuje?

- Naturalnie. Maskony działają w ilościach miligramów, ale łącznie każdy człowiek pochłania ich około stu dziewięćdziesięciu kilogramów w ciągu roku, co łatwo pojąć, zważywszy, że trzeba symulować urządzenia mieszkalne, jadło, napitki, grzeczność dzieci, uprzejmość urzędników, odkrycia naukowe, posiadanie rembrandtów i scyzoryków, podróże zamorskie, kosmiczne loty i milion podobnych rzeczy. Gdyby nie tajemnica lekarska, byłoby wiadomo, że co drugi mieszkaniec Nowego Jorku jest łaciaty, ma grzbiet porośnięty zielonkawą szczecina, kolce na uszach, platfus i rozednięte płuc z rozszerzeniem serca od nieustannego galopowania. Wszystko to trzeba osłaniać i właśnie temu służą neosupermaskony.

- Koszmarne! I nie ma na to rady?

- Właśnie nasz kongres ma obradować nad alternatywą będziejów. Mówi się w kręgach fachowców powszechnie o konieczności radykalnej zmiany. Dysponujemy w tej chwili osiemnastoma projektami.

- Zbawienia?

- Można to i tak nazwać. Proszę, może pan siądzie i przeliże te mateały. Ale miałbym do pana też pewną prośbę. To rzecz delikatna.

- Zrobię dla pana, co pan chce.

- Liczę na to. Widzi pan, otrzymałem od kolegi, chemika, próbki dwu nowo syntetyzowanych ciał z grupy ocykanów - wytrzeźwiaczy. Przysłał mi je ranną pocztą i pisze - Trottelreiner podniósł list z biurka - że mój preparat, ten, który i pan zażywał, nie jest autentycznym ocykanem. Pisze dosłownie: "Federalny Zarząd Psyprecji (to jest psychopreformacji) dla odwrócenia uwagi rzeczowidzów od wielu zjawisk kryzysowych rozmyślnie i złośliwie dostarcza im fałszywych środków przeciwurojeniowych, zawierających neomaskony", - Nie mogę się w tym połapać. Przecież sam doświadczyłem działania pańskiego preparatu. I co to jest rzeczowidz?

- A, to wysokie stanowisko społeczne, które między innymi i ja posiadam. Rzeczowidztwo to prawo i możliwość dysponowania ocykanami w celu ustalania, jak

się mają rzeczy naprawdę. Ktoś bowiem musi o tym wiedzieć, to chyba oczywiste?

- Istotnie.

- A co do tego środka, mój przyjaciel przypuszcza, że on wprawdzie znosi wpływ maskonów starszej daty, od dawna już wprowadzonych, ale nie likwiduje wszystkich - zwłaszcza najnowszych. Byłby to więc - profesor podniósł flaszeczkę - nie wytrzeźwiacz, lecz maskon zaprojektowany perfidnie, zakamuflowany podwytrzeźwiacz, czyli wilk w owczej skórze!

- Ale po co to? Jeśli trzeba, aby ktoś wiedział...

- "Trzeba" w sensie ogólnym, ze stanowiska uwzględniającego całe dobro społeczne, ale nie z punktu widzenia cząstkowych interesów różnych polityków, korporacji, nawet federalnych agencji. Jeśli jest gorzej, niż dostrzegamy to my, rzeczowidzowie, tamci wolą, byśmy nie podnosili alarmów; więc spreparowali ten środek tak, jak się niegdyś podtykało szukającym - łatwe do odnalezienia skrytki w starych meblach. Aby się poszukiwacz zadowolił pierwszym wykrytym schowkiem i już nie szperał za prawdziwymi, zakamuflowanymi daleko zreczniej!

- Tak. Teraz rozumiem. Czego pan sobie życzy?

- Aby pan w czasie zaznajamiania się z tymi materiałami pociągnął najpierw z tej fiołki, a potem z tej drugiej. Ja, prawdę mówiąc, nie mam odwagi.

- Tylko tyle? Ależ chętnie.

Wziąłem od profesora obie szklane rureczki, siadłem na fotelu i jałem po kolei przyswajając sobie streszczenia nadesłanych prac będziejowych. Projekt pierwszy przewidywał sanację stosunków dzięki wprowadzeniu do atmosfery tysiąca ton inwersyny, preparatu, który odwraca o 180 stopni wszystkie doznania. Pierwsza faza przewidywała rozpylenie preparatu; odtąd wygoda, sytość, jak i smaczna żywność, rzeczy estetyczne, schludne - wszystko to ulega powszechnemu znienawidzeniu, natomiast tłok, ubóstwo, brzydota i nędza stają się pożądane nade wszystko. W fazie drugiej znosi się radykalnie działanie wszystkich maskonów i neomaskonów. Teraz dopiero ogół, postawiony twarzą w twarz ze skrywaną dotychczas rzeczywistością, znajduje pełną satysfakcję, ma bowiem przed sobą wszystko, czego pożąda. Być może, zrazu wypadnie nawet uruchomić pelotrony (pogarszacz warunków życiowych). Ponieważ jednak inwersyna działa na wszystkie doznania bez wyjątku, znienawidzone staną się też uciechy erotyczne, co zagrozi ludzkości wymarciem. Toteż raz do roku na 24 godziny będzie się czasowo porażało działanie inwersyny kontrapreparatem. W dniu tym nastąpi niechybnie gwałtowny skok samobójczych zamachów, lecz z nadwyżką okupi go zainicjowany jednocześnie przyrost naturalny.

Nie mogę powiedzieć, by mnie ten plan zachwycił. Jedynym jaśniejszym jego punktem był ten, który mówił, że projektodawca, jako należący do rzeczowidzów, niechybnie stale znajdowałby się pod działaniem antidotum, toteż ani powszechna nędza czy brzydota, ani brud czy monotonia życia na pewno nie sprawiałyby mu szczególnej uciechy. Drugi plan przewidywał rozpuszczenie w wodach rzecznych i oceanicznych 10 000 ton retro temporyny. Jest to odwracacz upływu czasu subiektywnego. Odtąd życie przedstawiałoby się następująco: ludzie pojawialiby się na świecie zgrzybiałymi starcami, a schodzili z niego jako noworodki. Projekt podkreślał, że w ten sposób usunęłoby się główny szkopuł kondycji ludzkiej, a mianowicie nieuchronną dla każdego perspektywę starzenia się i śmierci. W miarę upływu czasu każdy starzec młodniałby coraz bardziej, nabierając sił i wigoru. Po zaprzestaniu pracy zawodowej wskutek zdziecinienia wkraczałby w błogosławiony kraj lat dziecinnych. Clou projektu stanowiła jego humanitarność, wynikająca w sposób naturalny z owej niewiedzy o śmiertelności wszystkiego, co żywe, która jest właściwa niemowlęctwu. Co prawda - ponieważ odwrócenie biegu czasu było tylko subiektywne - do ogródków jordanowskich, żłobków i izb porodowych kierować należało starców; projekt nie powiadał wyraźnie, co się ma z nimi dzieć potem, a jedynie zaznaczał ogólnikowo, że można poddawać ich odpowiedniej terapii w tak zwanym państwowym eutanazjum. Po tej

lekturze poprzedni projekt wydał mi się wcale niezły.

Trzeci projekt był długodystansowy i daleko bardziej radykalny. Przewidywał ekto genezę, detaszyzm i homikrię powszechną. Z człowieka pozostawiał tylko mózg w eleganckim opakowaniu z duroplastu, rodzaj globusa opatrzonego w sprzęgła, kontakty i wtyczki. Postulował przejście w przemianie materii na energię jądrową, w związku z czym spożywanie pokarmów, cieleśnie zbędne, odbywałoby się wyłącznie w urojeniu odpowiednio programowanym. Globus mózgowy można by przyłączać do dowolnych kończyn, aparatów, maszyn, wehikułów itp.; ta detaszycacja była rozłożona na dwie dekady. W pierwszej obowiązywałby detaszyzm częściowy, z pozostawianiem w domu zbędnych narządów; np. udając się do teatru, odczepiałoby się i wieszalo w szafie układy kopulacyjne i defekacyjne. W następnej dziesięciolatce homikria miała zlikwidować t 1 powszechny tłok - skutek przeludnienia. Kablowe i bezkablone kanały łączności międzymózgowej czyniłyby zbędnymi wszelką lokomocję, kursokonferencje, wyjazdy, narady połączone z podróżami, a więc wszelkie osobiste udawanie się gdziekolwiek, bo każdy żyjący dysponowałby w jednaki sposób czujnikami w całym obszarze panowania ludzkości, aż po najdalsze planety. Masowa produkcja miała dostarczyć narynekjelitorów, manipulatorów, pedykulatorów oraz zwyczajnych torów, to jest szyn jakby kolejki domowej, po której same głowy mogłyby się toczyć dla rozrywki. Przerwawszy lekturę, zauważyłem, że autorzy prac są zapewne wariatami. Trottelreiner odparł oschle, że jestem zbyt pochopny w sądach. Piwo, którego się nawarzyło, trzeba wypić. Kryterium zdrowego rozsądku nie jest do historii ludzkiej stosowne. Czy Averroes, Kant, Sokrates, Newton, Wolter uwierzyliby, że w wieku dwudziestym plagą miast, trucicielem płuc, masowym mordercą, przedmiotem kultu stanie się blaszany wózek na kółkach, i że ludzie będą woleli ginąć w nim roztrzaskiwani podczas masowych weekendowych wyjazdów aniżeli siedzieć cało w domu? Spytałem, który z projektów zamierza poprzeć.

- Jeszcze się nie zdecydowałem - rzekł. - Najcięższy jest, moim zdaniem, problem tajniat - nielegalnie rodzonych dzieci. A poza tym obawiam się chemintrygowania w toku obrad.

- To znaczy?

- Może przejść projekt, który otrzyma wsparcie kredybilanowe.

- Myśli pan, że was tam podtrują?

- Czemu nie? Cóż łatwiejszego niż wpuścić aerosol na salę przez aparaturę klimatyzacyjną?

- Cokolwiek uchwalicie, nie musi być zaakceptowane przez ogół. Ludzie nie przyjmą wszystkiego biernie.

- Drogi panie, kultura od półwiecza nie rozwija się już żywołowo. W XX wieku jakiś Dior dyktował modę odzieżową. Obecnie regulatywność ta objęła wszystkie dziedziny życia. Jeżeli detaszyzm przegłosują, za parę lat każdy będzie uważał posiadanie miękkiego, włochatego, pocącego się ciała za wstyd i nieprzyzwoitość. Ciało trzeba myć, odwaniać, pielęgnować, a i tak się psuje, kiedy przy detaszyzmie można sobie podłączać najpiękniejsze cuda sztuki inżynierskiej. Która kobieta nie zechce mieć srebrnych jodów zamiast oczu, wysuwających się teleskopowo piersi, anielskich skrzydeł, promieniujących łydek i pięt wydających przy każdym kroku melodyjne dźwięki?

- To wie pan co - rzekłem - uciekajmy. Zgromadzimy zapasy tlenu, żywości i zaszyjemy się w Górach Skalistych. Pamięta pan kanały Hiltona? Alboż nam w nich było źle?

- Pan to mówi serio? - jakby z wahaniem zaczął profesor.

Doprawdy nie z rozmysłu podniosłem do nosa fiolkę, którą wciąż trzymałem w palcach - bo zapomniałem o niej. Łzy wystąpiły mi od ostrej woni. Zacząłem kichać raz za razem, a gdy znów otwarłem oczy, pokój się zmienił. Profesor mówił

dalej, słyszałem jego głos, lecz zafascynowany przemianą nie pojmowałem ani słowa. Ściany powlekiły się brudem; dotąd modre niebo nabrało burosinej barwy; część szyb okiennych była wybita, resztę pokrywał tłusty kopeć z szarymi smugami po strugach deszczu.

Nie wiem, czemu szczególnie przeraziło mnie to, że zgrabna aktówka, w której profesor przyniósł kongresowe materiały, stała się spleśniałym workiem. Zdrętwiały, bałem się na niego spojrzeć. Zerknąłem pod biurko. Zamiast sztuczkowych spodni i kamaszy profesorskich widniały tam swobodnie skrzyżowane protezy. Pomiedzy druciane ścięgnięta podszew nabiło się nieco żwiru i brudu ulicznego. Stalowy trzpień pięty lśnił, wyślizgany od użycia. Jęknąłem.

- Co, głowa pana boli? Może kogutka? - dobiegł mnie współczujący głos. Przemogłem się i podniosłem nań oczy.

Niewiele zostało mu z twarzy. Do wyjedzonych policzków przykleiły się strzępy dawno nie zmienianego, nadgniętego opatrunku. Oczywiście nosił dalej okulary - jedno szkiełko było nadpęknięte. Na szyi, w otworze po tracheotomii, tkwił dość niedbale wetknięty vocoder, ruszający się w takt głosu. Marynarka wisiała nadpleśniatym łachem na stelażu piersiowym; z lewej strony wycięto w niej otwór, zatkany zmętniałą szybką plastikową - sinoszarym spazmem tłukło się tam jego serce w klamrach i szwach. Lewej ręki nie widziałem, prawa, trzymająca ołówek, była sproteżowana mosiądzem, pozieleniałym od grynszpanu. Do klapy przyfastrygowano mu niedbale ptóciemko, na którym ktoś napisał czerwoną tuszem: "Fryzak 119 859/21 transpl. - 5 odrzuć." Oczywiście wyszły mi na wierzch - profesor zaś, przejmując w siebie mój strach jak zwierciadło, zdrętwiał nagle za biurkiem.

- A co?... Czy tak się zmieniłem? Co? - przemówił ochryple.

Nie pamiętam, żebym wstawał, ale mocowałem się z klamką u drzwi.

- Tichy! Co pan? Ależ, Tichy! Tichy!!! - wołał rozpaczliwie, dźwigając się z trudem. Drzwi puściły, zarazem rozległ się przeraźliwy łomot. To profesor Trottelreiner, straciwszy równowagę od zbyt gwałtownego poruszenia, runął i rozpadał się na podłodze w kościanym chrzeście drutowanych zaczepów; uniosłem w oczach obraz jego rozpaczliwych wierzgnięć, z wiórującymi parkiet kikutami gwoździastych pięt, z szarym workiem serca tłukącego się za porysowaną szybą. Uciekałem korytarzem jak goniony przez furie.

Rojno było w całym gmachu, bo trafiłem na porę lunchu. Z biur wychodzili urzędnicy i sekretarki i gwarząc kierowali się ku windom. Wmieszałem się w tłum przy otwartych drzwiach dźwigu, ale że jakoś nie nadjeżdżał, zajrzałem do szybu i zrozumiałem, czemu zadyszka była zjawiskiem tak powszechnym. Koniec dawno urwanej liny wisiał luźno, a po pionowych siatkach, ogradzających szyb, leżeli wszyscy z małą zręcznością, dowodzącą długiej wprawy; wspinali się do kawiarni na dachu, konwersując pogodnie mimo kroplistego potu zraszającego czoła. Nieznacznie wycofałem się i pobiegłem schodami na dół, spiralami stopni okalających szyb z cierpliwymi wspinaczami. Kilka pięter niżej zwolniłem. Wysypywali się wciąż ze wszystkich drzwi. Były tu niemal same biura. W załomie murów jaśniało otwarte okno, wychodzące na ulicę. Stałem przy nim, udając, że poprawiam ubranie, i spojrzałem w dół. Zrazu wydało mi się, że w tłumie na chodnikach nie ma ani żywej duszy, ale tylko nie poznałem przechodniów. Ulotniła się powszechna elegancja. Szli pojedynczo, parami, w dziurawych łałach, wielu w bandażach, przewiązkach papierowych, w jednych koszulach, co pozwalało stwierdzić, że istotnie są plamiści i oszczeciniali, zwłaszcza na grzbietach. Niektórych wypuszczono widać ze szpitali dla załatwienia co pilniejszych spraw; beznodzy toczyli się na deseczkach z małymi kółkami, w gwarze rozmów i śmiechu; widziałem słoniowate sfałdowane uszy pań, rogaciznę panów, stare gazety, wiechcie słomy i worki noszone z szykiem i gracją; co zdrowsi, lepiej zachowani biegli jeźdźnią wyciągniętym cwałem, markując zadzierzanymi skocznie stopami zmianę biegów. Dominowały w tłumie roboty z dyfuzerami, dozymetrami i opryskiwaczami. Dbały o to, by każdy dostał swą porcję aerozolowej mgiełki. Nie ograniczały się do tego; za młodą parą, splecioną ramionami - ona miała plecy w

łuskach, on w wykwitach - stapał ciężko cyfrun i lejkiem dyfuzera metodycznie obtłukiwał głowy zakochanych. Choć im zęby dzwoniły, nie przyjmowali tego do wiadomości. Czy robił to umyślnie? Ale nie byłem już zdolny do refleksji. Ściskając w rękę framugę, patrzałem w perspektywę ulicy, z jej ruchem, cwałem, krzepą, jako jedyny świadek, jedyna para oczu widzących - czy na pewno jedyna? Okrucieństwo tego spektaklu zdawało się domagać innego obserwatora, jego twórcy, bo, nie ujmując niczego tym rodzajowym scenkom, nadawałby im sens jako patron błógiego strupieszenia, więc makabryczny - ale jakiś. Mały pucybunter, cymberdając się przy nogach energicznej staruszki, wciąż podcinał jej kolana, waliła się jak długa, wstawała i szła dalej, obalił ją znowu i tak znikli mi z oczu, on mechanicznie uparty, ona żwawa i pewna siebie. Wiele robotów zaglądało ludziom z bliska w zęby, może dla sprawdzenia efektu natrysków, ale nie tak to wyglądało. Na rogach stało sporo uchylców i nierobotów, z jakiejś bocznej bramy waliły po szychcie pracery, pracuchy, kretyngi, mikroboty, jezdnią sunął ogromny komposter, unosząc na ostrodze swego pługą co popadło, razem z trupcami wrzucił do pojemnika staruszkę; zagryzłem palce, zapomniawszy, że trzymam w nich drugą, nie tkniętą jeszcze fiolkę, i gardło spalił mi żywy ogień. Otoczenie zadrzało, objęta je jasna mgła - bielmo, które niewidzialna dłoń powoli zdejmowała mi z oczu. Patrzałem, stężały, na zachodzącą przemianę, już domyślając się w potwornym skurczu przeczucia, że teraz rzeczywistość złuszczy z siebie następną warstwę - widać to jej fałszowanie szło od niepamiętnych czasów, tak że potężniejszy środek mógł tylko zedrzyć więcej zasłon, dotrzeć do głębszych, ale nic nadto. Zrobiło się jaśniej - biało. Śnieg leżał na trotuarach, zlodowaciały, ubity setkami nóg, koloryt ulicy stał się zimowy, zarazem znikły wystawy sklepów, zamiast szyb - wszędzie przegniłe, na krzyż zbite deski. Zima panowała między brudnymi murami w zaciekach, z nadproży, lampzwiisały festony śliskich sopli, w ostrym powietrzu był swąd gorzki, sinawy jak niebo w górze, przyzmy brudnego śniegu pod ścianami, sterczały z nich kłęby śmieci, tu i tam czerniały jakby duże tłumoki, kupy szmat, bezustanna fala ruchu pieszego popychała je, skopy wała na boki, między zardzewiałe pojemniki, puszki, trociny zlodowaciałe, śnieg nie padał, ale widać było, że sypał i znów sypnie; nagle pojałem, kto znikł z ulicy: roboty. Nie było ani jednego - ani jedniusińskiego! Ich ośnieżone kadłuby walały się pod kamienicami, zamarłe, żelazne gruchoty - w towarzystwie łańców ludzkich, szmat, spod których wystawały żółtawe oszronione kości; jakiś obdartus siadał właśnie na stercie śniegu, moszcząc się niczym w puchowej pościeli, widziałem jego zadowoloną minę, czuł się jak u siebie w domu, sam w łóżku, wyciągnął nogi, grzebał bosymi w śniegu, więc to był ten ziąb, ta dziwaczna rzeźwość, jakby z daleka nadchodząca od czasu do czasu nawet w środku ulicy, w samo południe słoneczne - już się ułożył do długiego snu - więc tak to było. Ludzkie mrowie miało go obojętnie, przechodnie zajmowali się sami sobą - jedni opylali drugich, można było rychło rozpoznać po zachowaniu, kto się miał za człowieka, a kto za robota. Więc i roboty udawali? I skąd ta zima w środku lata - czy zwidem był cały kalendarz? Ale po co? Lodowy sen jako demograficzne antidotum? Więc ktoś jednak uważnie to planował i ja miałbym szczeznąć, nie dotarłszy do niego? Wodziłem teraz oczami po sparszywiałyłch ścianach drapaczy z powybijanymi oknami, za mną było cicho: skończył się lunch. Ulica - to był kres, moje widzące oczy nie miały zbawiennej wartości, utonałbym w tym tłumie, a potrzebowałem kogoś, sam mogłem się najwyżej ukrywać przez jakiś czas jak szczur, byłem już poza nawiasem zwidu, więc na pustyni, ze strachem i rozpaczą cofnąłem się od okna, czując, niestety, mróz całym ciałem, bo już nie osłaniała mnie przed nim złuda słonecznego klimatu. Sam nie pojmowałem, dokąd idę, starając się stapać cicho; tak, już ukrywałem własną obecność, to przygarbienie, skulenie, szybkie spojrzenia na boki, przystawanie, nasłuchiwanie - podpowiedział mi odruch, zanim powziąłem jeszcze jakąkolwiek decyzję, ale też czułem do szpiku kości, że widać po mnie, co widzę, i że to nie może mi ujść bezkarnie. Szedłem korytarzem szóstego czy piątego piętra, do Trottelnreinerera nie mogłem wrócić, potrzebował pomocy, której i tak nie mógłbym mu dać, myślałem gorączkowo o kilku rzeczach naraz, ale najpierw o tym, czy wpływ środka ustanie i znajdę się na powrót w Arkadii. Zadziwiająca rzecz, oprócz wstrętu i strachu nie czułem - wobec tej perspektywy - nic więcej, jak gdybym wolał zamarznąć w stercie śmiecia, z wiedzą, że tak jest, aniżeli zawdzięczać ukojenie zwidom. Nie mogłem wejść w boczny korytarz, bo drogę zagradało ciało jakiegoś starca, któremu zbrakło sił, by iść, więc markował chód drgającymi nogami i cichutko rżęząc uśmiechał się do mnie towarzysko ze swej agonii. Więc w drugi boczny

korytarz - aż do matowych szyb jakiegoś biura. Za nimi panowała zupełna cisza. Wszedłem, wahadłowe odrzwia zakołysały się, była to hala maszyn do pisania - pusta. W głębi - uchylone następne drzwi. Zajrzałem tam, do jasnego, dużego pokoju, chciałem umknąć, bo ktoś w nim był, lecz odezwał się znajomy głos:

- Proszę wejść, Tichy.

Wszedłem więc. Nie zdziwiłem się nawet szczególnie, że tak się odezwał, jakby czekał na mnie; przyjąłem spokojnie i to, że za biurkiem siedział imć George Symington, w szarym flanelowym ubraniu, z włochatym fularem na szyi, w ustach miał cienkie cigarrillo, na twarzy - czarne okulary i zdawał się patrzeć na mnie ni to pobłaźliwie, ni to z żalem.

- Proszę usiąść - rzekł - bo to chwilę potrwa.

Usiadłem. Pokój, z całymi szybami, był oazą schludności i ciepła w powszechnym zapuszczeniu, ani śladu lodowatych przeciągów, nawianego śniegu, tacka, dymiąca czarna kawa, popielniczka, dyktafon, nad jego głową wisiało na ścianie kilka barwnych aktów kobiecych. Zaskoczyło mnie bezsensowne raczej skojarzenie, że tych ciał na fotografii nie pokrywał żaden liszaj.

- Doigrał się pan! - rzekł dosadnie. - A przy tym nie może się pan skarżyć! Najlepsza pielęgniarka, jedyny rzeczowidz w całym stanie, wszyscy starali się pomóc panu, ale cóż? Pan chciał się dodłubać "prawdy" na własną rękę!

- Ja? - powiedziałem oszołomiony jego słowami, a nim zebrałem myśli, nim je dostroiłem do jego słów, napadł:

- Proszę tylko nie łąć. Za późno na to. Zdawało się panu, że jest pan niesłychanie przebiegły, obnosząc się z tymi swoimi skargami i podejrzeniami o "halucynację"! "Kanał", "szczury hotelowe", "dosiadać", "kulbaczyć". I takimi prymitywnymi wymysłami chciał się pan posłużyć, sądził pan, że one wystarczą? Tylko defryzak może być aż tak głupi!

Słuchałem go z na pół otwartymi ustami. Pojąłem błyskawicznie, że wszelkie zaprzeczanie będzie daremne, bo i tak mi nie uwierzy. Brał moje autentyczne obsesje za celowy manewr! A więc i ta rozmowa ze mną, w której wyjawiał tajemnice "Procrustics Inc.", nie służyła niczemu innemu, jak tylko pociągnięciu mnie za język, po to używał tych słów, które tak okrutnie wówczas mnie zaskoczyły, może sądził, że to jakieś hasła wtajemniczenia - w co, w spiszek przeciwchemiczny? Prywatny mój lęk przed halucynacją wziął za pociągnięcie taktyczne... Istotnie za późno było, by mu to tłumaczyć - teraz zwłaszcza, gdy karty leżały odkryte.

- Pan tu na mnie czekał? - spytałem.

- A jakże. Razem z całą swoją przedsiębiorczością był pan przez cały czas prowadzony jak na sznurku. Nie możemy sobie pozwolić na to, by nieodpowiedzialna kontestacja zagroziła panującemu porządkowi.

Starzec konający w korytarzu - przemknęło mi. - On też był częścią zagrożeń, które mnie tu doprowadziły...

- Niezły ten porządek - powiedziałem. - A jego szef to pan, co? Gratuluję.

- Docinki proszę zachować na lepszą okazję! - odwarknął. Udało mi się go dotknąć. Był zły.

- Przez cały czas szukał pan "źródeł demonizmu", mój defryzoniu, moja zeszlowieczna mrozonko... Otóż nie ma ich. Zaspokajam pańską ciekawość. Nie istnieją, rozumie pan? Dajemy cywilizacji narkozę, bo inaczej by siebie nie zniosła. Dlatego nie wolno jej budzić. Dlatego i pan do niej wróci. Nie grozi panu nic - to przecież jest nie tylko bezbolesne, ale miłe. Nam jest znacznie trudniej, bo musimy zachować trzeźwość dla waszego dobra.

- To pan z poświęcenia tak? - rzekłem. - Rozumiem, zapewne, ofiara złożona na rzecz ogółu.

- Jeżeli pan ceni straszliwą wolność umysłu - odparł oschle - to radzę nie szydzić, powściągnąć głupie docinki, bo dzięki nim tylko szybciej pan ją straci.

- Więc pan ma mi coś jeszcze do powiedzenia? Słucham.

- W tej chwili jestem jedynym oprócz pana człowiekiem w całym stanie, który widzi! Co mam na twarzy? - dorzucił szybko, podchwytliwie.

- Ciemne okulary.

- A więc widzi pan to samo, co ja! - rzekł. Chemik, który dostarczył Trottelreinerowi środków, już wrócił na łono społeczeństwa i nie żywi żadnych wątpliwości. Nikt nie może ich mieć - czy pan tego nie pojmuje?

- Zaraz - rzekłem. - Wygląda mi na to, że panu naprawdę zależy na przekonaniu mnie. To dziwne. Właściwie - czemu?

- Bo żaden rzeczowidz nie jest demonem! - odparł. - Jesteśmy zniewoleni stanem rzeczy. Zagnał nas w kąt. Gramy takimi kartami, jakie nam społeczny los wcisnął w ręce. Przynosimy spokój, pogodę i ulgę jedynym zachowanym sposobem. Utrzymujemy na skraju równowagi to, co bez nas runęłoby w agonię powszechną. Jesteśmy ostatnim Atlaselem tego świata. Chodzi o to, że jeżeli już musi ginać, niechaj nie cierpi. Jeżeli nie można odmienić prawdy, trzeba ją zasłonić, to ostatni jeszcze humanitarny, jeszcze ludzki obowiązek.

- A więc już na pewno nie da się nic zmienić? - spytałem.

- Mamy rok 2098 - rzekł. - 69 miliardów żyjących legalnie i zapewne koło 26 miliardów zatajonych. Średnia temperatura roczna spadła o cztery stopnie; za piętnaście, dwadzieścia lat będzie tu lodowiec. Nie możemy zapobiec zlodowaceniu; nie możemy do niego nie dopuścić - możemy je tylko zakryć.

- Zawsze uważałem, że w piekle musi być mróz - rzekłem. - Więc malujecie drzwi do niego w ładne wzorki?

- Właśnie tak - powiedział. - Jesteśmy ostatnimi Samarytanami. Ktoś musiał, z tego miejsca, mówić do pana - przez przypadek ja jestem tym człowiekiem.

- Przypominam sobie: ecce Homo! - powiedziałem. - Ale... zaraz... pojmuję, o co panu chodzi. Pan chce mnie przekonać do swej funkcji - eschatologicznego narkotyzerą. Kiedy już nie ma chleba - narkoza cierpiącym. Tylko nie wiem, po co panu moje nawrócenie, skoro i tak mam o nim zaraz zapomnieć? Jeżeli środki, których pan używa, są dobre, dlaczego wysiła się pan na rozumowe argumenty? Jeżeli są dobre, parę kropel kredybilanu, jedno chlaśnięcie w oczy - iż entuzjazmem zaakceptuję każde pana słowo, będę pana szanował i czcił. Widocznie pan sam nie jest przeświadczony o wartości takiego leczenia, jeżeli pociąga pana zwyczajne staroświeckie gadanie, rzucanie słów na wiatr, jeżeli zadowala pana rozmowa zamiast sięgnięcia po dyfuzer! Widać wie pan doskonale, że psychemiczne zwycięstwo jest zwykłym oszustwem, że pozostanie pan sam na placu jako triumfator ze zgagą. Pan chce mnie najpierw przekonać, a potem wepchnąć w niepamięć, ale to się panu nie uda. Powieś się pan na swej szlachetnej misji, razem z tymi dziwkami, których fotosy uprzyjemniają panu zbawicielską robotę. Potrzebuje pan jednak autentycznych, bez szczeciny, co?

Twarz wykręcił mu skurcz wściekłości. Zerwał się, wołając:

- Mam inne środki prócz arkadyjskich! Są i piekła chemiczne!

I ja wstałem. Sięgał do przycisku na biurku, kiedy krzyknąłem: - Pójdziemy tam razem! - Skoczyłem mu do gardła. Impet cisnął nas - jakem chciał - ku otwartemu

oknu. Zatupotały kroki, twarde garście usiłowały odedrzeć mnie od niego, wił się, kopał, ale już u parapetu, przegiąwszy go w tył, zebrałem ostatnie siły i skoczyłem; zaświszczało w uszach, koziołkowaliśmy szepieni, wirujący lej ulicy rósł - przygotowałem się na miażdżący cios, a uderzenie przyszło tymczasem miękkie, bluznęły czarne nurty, cuchnąca, najdroższa topiel zamknęła się nad moją głową - i na powrót się otwarła. Wynurzyłem się pośrodku kanału, ocierając oczy, z intensywnym smakiem pomyj w ustach, ale szczęśliwy, szczęśliwy! Profesor Trottelreiner, wyrwany z drzemki mymi potępieńczymi wrzaskami, pochyłał się nad tonią i podawał mi z brzegu - jak bratnią dłoń - rączkę ciasno zwiniętego parasola. Odgłosy bombardowania ucichały. Dyrekcja Hiltona spała pokotem na nadmuchiwanym fotelach (stąd nadymanki!), a sekretarki zachowywały się wyzywająco przez sen. Jim Stantor chrapiąc przewracał się z boku na bok i przy dusił szczura, który wyskubywał mu czekoladę z kieszeni; obaj się przestraszyli. Profesor Dringenbaum, metodyczny Szwajcar, kucając u ściany, w pożółkłym świetle latarki poprawiał wiecznym piórem swój referat. Uzmysłowiwszy sobie, że ta skupiona czynność zwiastuje początek obrad drugiego dnia Kongresu Futurologicznego, wybuchnąłem takim śmiechem, że maszynopis wypadł mu z palców, chlupnął w czarną wodę i odpłynął - w niezbadaną przeszłość.

PROFESOR A. DOŃDA

Słowa te ryję w glinianych tabliczkach przed moją jaskinią. Zawsze interesowało mnie, jak Babilończycy to robili, nie przypuszczałem jednak, że sam będę musiał próbować. Musieli mieć lepszą glinę, a może pismo klinowe lepiej się do tego nadawało.

Moja rozłazi się albo kruszy, wolę to jednak od gryzmolenia wapieniem po łupku, bo od dziecka jestem wrażliwy na zgrzytanie. Nie będę już nigdy nazywał starodawnych technik prymitywnymi. Profesor przed odejściem obserwował, jak męczę się, żeby skrzesać ogień, i gdy złamałem po kolei nóż do otwierania konserw, nasz ostatni pilnik, scyzoryk i nożyczki, zauważył, że docent Tompkins z British Museum próbował przed czterdziestu laty wyłupać z krzemienia zwyczajną skrobaczkę, podobną do sporządzanych w epoce kamiennej i zwichnął sobie nadgarstek oraz stłukł okulary, ale skrobaczki nie wyłupał. Dodał też coś o urągłej wyższości, z jaką patrzymy na jaskiniowych antenatów. Miał rację. Moja nowa siedziba jest nędzna, materac już zgnił, a z bunkra artyleryjskiego, w którym tak dobrze się mieszkało, wygnał nas ten schorowany, stary goryl, którego lichy przyniosło z dżungli. Profesor utrzymywał, że goryl wcale nas nie wysiedlił. Było to o tyle prawdą, że nie okazywał agresywności, lecz wolałem nie dzielić z nim i tak ciasnego pomieszczenia - najmocniej denerwowały mnie jego zabawy granatami. Może i usiłowałbym go wygonić, bał się czerwonych puszek zupy rakowej, której tyle tam zostało, ale bał się jednak za mało, a poza tym Maramotu, który teraz już otwarcie przyznaje się do szamaństwa, oświadczył, że rozpoznaje w małpie duszę stryjecznego i nastawał na to, by nie robić mu na złość. Obiecałem, że nie będę, profesor zaś złośliwy jak zwykle bąknął, że jestem powściągliwy nie ze względu na stryja Maramotu, ale bo nawet schorowany goryl pozostaje gorylem. Nie mogę odżalować tego bunkra, kiedyś należał do fortyfikacji granicznych między Gurunduwaju i Lamblią, a teraz cóż, żołnierze rozbiegli się, a nas wyrzuciła małpa. Wciąż nasłuchuję mimo woli, bo dobrze ta zabawa granatami się nie skończy, ale słyhać tylko jak zawsze stękanie przejeżdżonych uruwotu i tego pawiana, który ma podbite oczy. Maramotu mówi, że to nie zwykły pawian, lecz muszę dać spokój głupstwu, bo nigdy nie przejdę do rzeczy.

Porządna kronika powinna mieć daty. Wiem, że koniec świata nastąpił tuż po porze deszczowej, od której minęło kilka tygodni, lecz nie wiem dokładnie, ile to było dni, bo goryl zabrał mi kalendarz, w którym notowałem najważniejsze zdarzenia zupą rakową od czasu, gdy skończyły się długopisy.

Profesor utrzymywał, że nie był to żaden koniec świata, lecz tylko jednej cywilizacji. I w tym przyznaję mu słusność, bo nie można rozmiarów takiego zajścia mierzyć osobistymi niewygodami. Nic strasznego nie stało się, mawiał profesor, zachęcając Maramotu i mnie do popisów wokalnych, lecz kiedy mu się skończył tytoń fajkowy, stracił pogodę ducha i po wypróbowaniu włókien kokosowych poszedł przeciw po nowy tytoń, choć musiał zdawać sobie sprawę z tego, czym jest obecnie taka wyprawa. Nie wiem, czy go jeszcze kiedyś zobaczę. Tym bardziej winienem przedstawić potomności, która odbuduje cywilizację, tak wielkiego człowieka. Los mój jakoś tak się składał, że mogłem obserwować z bliska najwybitniejsze osobistości epoki, a kto wie, czy Dońda nie będzie uznany za pierwszą wśród nich. Ale pierwej trzeba wyjaśnić, skąd wzięłem się w buszu afrykańskim, który jest teraz ziemią niczyją.

Moje dokonania na niwie kosmonautycznej przydały mi niejakiego rozgłosu, więc rozmaite organizacje, instytucje, jako też osoby prywatne zwracały się do mnie z zaproszeniami i propozycjami, tytułując mnie profesorem, członkiem Akademii, a co najmniej doktorem habilitowanym. Był z tym kłopot, bo nie przysługują mi żadne tytuły, a nie cierpię strojenia się w cudze piórka. Profesor Tarantoga powtarzał, że opinia publiczna znieść nie może pustki ziejącej przed moim nazwiskiem, zwrócił się więc za mymi plecami do znajomych piastujących znaczne godności i tak z dnia na dzień zostałem generalnym pełnomocnikiem na Afrykę Światowej Organizacji Żywnościowej - FAO. Godność tę wraz z tytułem Radcy Eksperta przyjąłem, bo miała być czysto honorowa, aż tu okazało się, że w Lamblii, tej republice, co z paleolitu w mig awansowała do monolitu, FAO zbudowała fabrykę konserw kokosowych i jako pełnomocnik tej organizacji muszę dokonać uroczystego otwarcia. Chciałaż bieda, że inżynier magister Armand de Beurre, który towarzyszył mi z ramienia UNESCO, zgubił binokle na fajfie w ambasadzie francuskiej i wzięwszy szakala, który się przypętał, za wyżłła, chciał go pogłaskać. Podobno ukąszenia szakali są tak groźne, bo mają one w zębach trupi jad. Ten poczciwy Francuz zlekceważył go i do trzech dni zmarł. W kularach parlamentu lamblijskiego krążyła pogłoska, że szakal miał w sobie złego ducha, którego wpędził weń pewien szaman; kandydaturę tego szamana na ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego utraciło jakoby demarche ambasady francuskiej. Ambasada dementi oficjalnego nie wystosowała. Wynikła jednak delikatna sytuacja, a niedoświadczeni w protokole mężowie stanu Lamblii, miast załatwić po cichu transport zwłok, uznali go za świetną okazję do błysnięcia na forum międzynarodowym. Generał Mahabutu, minister wojny, urządził tedy żałobny koktajl, na którym, jak to na koktajlu, gadało się o wszystkim i niczym z kieliszkiem w rękę i nawet nie wiem kiedy, zagadnięty przez dyrektora departamentu spraw europejskich, pułkownika Bamatahu, powiedziałem, iż, owszem, wysoko postawionych nieboszczyków niekiedy chowa się u nas w trumnie zalutowanej. Do głowy mi nie przyszło, że pytanie ma coś wspólnego ze zmarłym Francuzem, a z kolei Lamblijczykom nie wydało się drożne zastosowanie urządzeń fabrycznych do zaaranżowania pochówku w sposób nowoczesny. Ponieważ kombinat wytwarzał tylko litrowe bańki, wysłano zmarłego samolotem Air France w skrzyni z napisami reklamującymi kokosy, nie w tym był jednak kamień obrazy, ale w tym, że skrzynia zawierała dziewięćdziesiąt sześć puszek.

Potem wieszano na mnie psy za to, że nie przewidział, ale jak mogłem, jeśli skrzynia była zabita i okryta trójkolorowym sztandarem? Lecz wszyscy mieli do mnie pretensje, że nie złożyłem lamblijskim czynnikom aidememoire wyjaśniającego, za jak niewłaściwe uważamy porcjowane puszkowanie nieboszczyków. Generał Mahabutu przesłał mi do hotelu lianę, z którą nie wiedziałem, co począć, i dopiero od profesora Dońdy dowiedziałem się, że była to aluzja do stryczka, na którym chcą mnie widzieć. Wiadomość ta była zresztą musztarda po obiedzie, bo tymczasem przyszykowano pluton egzekucyjny, który, nie znając języka, wzięłem za kompanię honorową. Gdyby nie Dońda, na pewno nie opisywałbym tej historii ani żadnej innej. W Europie przestrzegano mnie przed nim jako przed bezczelnym oszustem, który wykorzystał łatwowierność i naiwność młodego państwa, by sobie urządzić w nim ciepłe gniazdko - podniósł bowiem bezwstydnie sztuczki szamanów do godności dyscypliny teoretycznej, którą wykładał na miejscowym uniwersytecie. Dając wiarę informatorom, miałem profesora za hochsztaplera i oczajduszę, trzymałem się więc od niego z daleka na oficjalnych przyjęciach, choć już podówczas wydał mi się wcale sympatyczny. Konsul generalny Francji, do którego

rezydencji było mi najbliżej (od angielskiej ambasady oddzielała mnie rzeka pełna krokodyli), odmówił mi azylu, choć umknąłem z Hiltona w jednej piżamie. Powoływał się na rację stanu, mianowicie na zagrożenie interesów Francji, jakie rzekomo spowodowałem. Tłem tej rozmowy przez judasza były salwy karabinowe, bo pluton ćwiczył się już na zapleczu hotelowym, więc zawróciwszy, rozważałem, co mi się lepiej kalkuluje, pójść od razu na egzekucję, czy płynąć między krokodylami, bo stałem nad rzeką, gdy spomiędzy szuwarów wychynęła załadowana bagażami piroga profesora. Gdym już siedział na walizach, dał mi do ręki pagaj i wyjaśnił, że właśnie skończył mu się kontrakt na uniwersytecie kulaharskim, płynie tedy do ościennego państwa Gurunduwaju, dokąd zaproszono go jako zwyczajnego profesora śwarnetyki. Może i niezwyczajnie przedstawiała się taka zmiana uniwersytetu, lecz trudno było w mej sytuacji rozważać podobne kwestie.

Jeśli nawet Dońda potrzebował wioślارza, faktem jest, że uratował mi życie. Płynęliśmy cztery dni, nic więc dziwnego, iż doszło między nami do zbliżenia. Spuchłem od moskitów, które Dońda zrażał do siebie repellentem, a mnie powtarzał, że w puszcze już mało co zostało. I tego nie miałem mu za złe ze względu na specyfikę położenia. Znał moje książki, niewiele mogłem mu więc opowiedzieć, poznałem za to jego koleje. Wbrew brzmieniu nazwiska, Dońda nie jest Słowianinem i nie nazywa się Dońda. Imię Affidavid nosi od sześciu lat, kiedy to, opuszczając Turcję, uzyskał affidavit wymagany przez władze i wpisał to słowo do fałszywej rubryki kwestionariusza, tak że otrzymał paszport, czeki podróżne, świadectwo szczepienia, kartę kredytową i ubezpieczenie opiewające na Affidavida Dońdę, uznał więc, że reklamacje nie są warte zachodu, bo właściwie wszystko jedno, jak się ktoś nazywa.

Profesor Dońda przyszedł na świat dzięki serii omyłek. Ojcem jego była Metyska ze szczepu Indian Navaho, matki zaś miał dwie z ułamkiem, mianowicie białą Rosjankę, czerwoną Murzynkę, a wreszcie - Miss Aileen Seabury, kwakierkę, która urodziła go po siedmiu dniach ciąży, w poważnych okolicznościach, bo w tonącej łodzi podwodnej.

Kobieta, która była ojcem Dońdy, została skazana na dożywocie za wysadzenie kwatery porywaczy i za równoczesne spowodowanie katastrofy samolotu Panamerican Airlines. Miała ona rzucić do sztabu porywaczy petardę z gazem rozweselającym, co było pomyślane jako ostrzeżenie. W tym celu przyleciała do Boliwii ze Stanów. Podczas kontroli celnej na lotnisku zamieniła neseser z walizeczką stojącego obok Japończyka i porywacze wylecieli wskutek tego w powietrze, gdyż Japończyk miał w sakwojażu prawdziwą bombę, przeznaczoną dla kogoś innego. Samolot, którym odleciał japoński sakwojaż dzięki osobnej pomyłce, wywołanej strajkiem obsługi lotniska, roztrzaskał się wnet po starcie. Pilot stracił pewno panowanie nad sterami ze śmiechu, jak wiadomo, odrzutowców nie można wietrzyć. Nieszczęsną skazano, i kto jak kto, ale ta dziewczyna zdawała się pozbawiona szans potomstwa, żyjemy jednak w wieku nauki.

Właśnie wtedy profesor Hariey Pombemack badał dziedziczność więźniów na terenie Boliwii. Pobierał komórki cielesne od więźniów prostym sposobem: każdy więzień musiał polizać szkiełko mikroskopu, gdyż to wystarczy, by odłuszczyło się trochę komórek błony śluzowej. W tym samym laboratorium inny Amerykanin, doktor Juggeranut, zapładniał sztucznie ludzkie jajeczka. Szkiełka Pombemacka pomieszały się jakoś ze szkiełkami Juggernauta i dostały się do lodówki jako męskie plemniki. Wskutek tego komórką nabłonka językowego Metyski zapłodniono jajeczko pochodzące od dawczyni, co była białą Rosjanką, córką emigrantów. Teraz jasne już jest, czemu nazwałem Metyskę ojcem Dońdy. Skoro jajeczko pochodziło od kobiety, to siłą rzeczy osoba, od której pochodziła komórka zapładniająca to jajeczko, musi być uznana za ojca.

Asystent Pombemacka w ostatniej chwili spostrzegł się, wpadł do laboratorium i zawołał do Pombemacka: Do not do itf, ale krzyknął niewyraźnie, jak to Anglosasi, i okrzyk jego zabrzmiał Dondo! Potem, przy wypisywaniu metryki, dźwięk ten jakoś się nawinał i stąd poszło nazwisko Dońda - tak przynajmniej powiedziano profesorowi dwadzieścia lat później.

Jajeczko włożył Pombemack do inkubatora, boż nie można było już anulować

zapłodnienia. Rozwój embrionalny w retorcji biegnie zwykle około dwu tygodni, potem embrion obumiera. Trzebaż było trafu, że akurat wtedy amerykańska Liga do Walki z Ektogenezą uzyskała po serii procesów zwycięski wyrok, mocą którego wszystkie jajeczka znajdujące się w laboratorium zajął komornik sądowy, zaczem anonsami prasowymi przystąpiono do poszukiwania litościwych niewiast, które by się zgodziły służyć za tak zwane matki donosicielki. Na apel zgłosiło się sporo kobiet, a wśród nich też owa Murzynkaekstremistka, która, godząc się donosić płód, nie miała pojęcia o tym, że za cztery miesiące będzie wplątana w zamach na składnicę soli kuchennej, będącej własnością firmy Nudlebacker Corporation. Murzynka należała bowiem do zgrupowania aktywnych obrońców środowiska, które sprzeciwiało się budowie centrali atomowej w Massachusetts, a kierownictwo tego zgrupowania nie ograniczało się do akcji propagandowej, lecz pragnęło zniszczyć skład soli dlatego, ponieważ z soli tej wydobywa się elektrolityczną metodą czysty sól, służący za ciepły wymiennik reaktorom, dostarczającym energii dla turbin i dynamoszyn. Co prawda reaktor, który miał być zbudowany w Massachusetts, obywatel się bez sodu metalicznego, był bowiem stosem na szybkich neutronach, z nowym wymiennikiem, a firma, która ten nowy wymiennik produkowała, mieściła się w Oregonie i nosiła nazwę Muddlebacker Corporation; co do soli, którą zniszczono, to nie była kuchenna, lecz potasowa, przeznaczona na sztuczny nawóz. Proces Murzynki włókł się po instancjach, jako że miał dwie wersje - oskarżenia i obrony. Prokuratura utrzymywała, że szło o zamach na własność rządu federalnego, bo liczy się plan sabotażu oraz premedytowana intencja, a nie przypadkowe omyłki w wykonaniu; obrona natomiast stała na stanowisku, iż był to akt nadpsucia i tak zatęchłego nawozu, stanowiącego własność prywatną, więc kompetentny miał być sąd stanowy, a nie jurysdykcja federalna. Murzynka pojmując, że tak czy owak przyjdzie jej wydać na świat dziecko w więzieniu, chcąc oszczędzić tego maleństwu, zrzekła się kontynuacji macierzyństwa na rzecz nowej filantropki, którą była kwakierka Seabury. Kwakierka, aby się nieco rozerwać, w szóstym dniu ciąży udała się do Disneylandu na wycieczkę łodzią podwodną w tamtejszym superakwarium. Łódź uległa awarii i choć wszystko dobrze się skończyło, pani Seabury poroniła z wrażenia. Wcześniaka udało się jednakowoż uratować. Ponieważ była nim brzemienna tydzień, trudno uznać ją za pełną matkę - stąd ułamekowa kwalifikacja. Potem trzeba było zjednoczonej działalności śledczej dwóch wielkich agencji detektywistycznych, żeby dojść stanu rzeczywistego, tak co do ojcostwa, jak co do macierzyństwa. Postępy nauki zlikwidowały bowiem starą zasadę prawa rzymskiego, iż mater semper certa est. Dla porządku dodam, że zagadką pozostała płeć profesora, podług nauki bowiem z dwóch komórek żeńskich powinna by powstać kobieta. Skąd przyplątał się chromosom płci męskiej, nie wiadomo. Słyszałem od emerytowanego pracownika Pinkertona, który był w Lamblii na safari, że w płci Dońdy nie ma zagadki, albowiem w trzecim oddziale laboratorium Pombemacka dawano szkiełka podstawowe do lizania żabom.

Profesor spędził dzieciństwo w Meksyku, potem naturalizował się w Turcji, gdzie przeszedł z wyznania episkopalnego na buddyizm Zeń, a zarazem ukończył trzy fakultety, wreszcie wyjechał do Lamblii, by objąć na kulaharskim uniwersytecie katedrę śwarnetyki.

Jego właściwym fachem było projektowanie fabryk brojlerów, ale gdy przeszedł na buddyizm, nie mógł znieść świadomości mąk, jakim poddaje się w takich fabrykach kurczęta. Podwórko zastępuje im plastikowa siatka, słońce - lampa kwarcowa, kwokę - mały bezwzględny komputer, a swobodne dziobanie - pompa ciśnieniowa, ładująca im żołądki papką z planktonu i mączki rybnej.

Przygrywa im muzyka z taśm, zwłaszcza uwertury Wagnera, budzą bowiem panikę. Kurczaki poczynają trzepotać skrzydełkami, a to powoduje rozrost mięśni piersiowych, kulinarnie najważniejszych. Bodajże Wagner był ostatnią kroplą, co przepełniła czarę. W tych Oświeceniach drobiu, jak mawia profesor, nieszczęsne stworzenia poruszają się w miarę rozwoju wraz z taśmą, do której są przymocowane, aż do końca transportera, gdzie nie ujrząwszy w życiu ani skrawka błękitu czy szczypty piasku, ulegają dekapitacji, rosolizacji i zapuszkowaniu. Ciekawe, jak motyw puszki konserwowej powraca w mych wspomnieniach.

Toteż, gdy bawiąc w Stambule, profesor otrzymał depezę treści: "Will you be appointed professor of svametics at Kulaharian university ten kilodollars yearły

answer please immediately colonel Droufoutou Lamblian Bamblian Dramblian security police" - odwrotnie wyraził zgodę, wychodząc z założenia, że o tym, czym jest śwarnetyka, dowie się na miejscu, a jego trzech dyplomów starczy dla wykładania każdej ścisłej dyscypliny. W Lamblii wyjawilo się, że o pułkowniku Drufutu nikt już nawet nie pamięta. Indagowani pokrywali zmieszanie lekkim pokasywaniem. Ponieważ kontrakt był podpisany, a zrywając umowę nowy rząd musiałby wypłacić Dońdzie trzyletnie pobory, dano mu katedrę. Nikt nie nagabywał profesora o jego przedmiot, studentów miał niewiele, więzienia były pełne, jak to po zamachu stanu, a w jednym przebywał zapewne człowiek, który wiedział, czym jest śwarnetyka. Dońda szukał tego hasła po wszystkich encyklopediach, ale daremnie. Jedyłą pomocą naukową, jaką dysponował uniwersytet w Kulahari, był jak z igły nowy komputer IBM, dar UNESCO. Toteż idea wykorzystania tak cennej aparatury sama się napraszała.

Co prawda decyzja ta nie posunęła problemu daleko naprzód. Zwykłej cybernetyki nie mógł Dońda wykładać - byłoby to sprzeczne z umową. Najgorsze - wyjawil mi, gdyśmy wioskowali, póki można było odróżnić kłodę drzewa od krokodyla - stały się godziny samotności w hotelu, kiedy łamał sobie głowę nad śwarnetyka. Na ogół pierwej powstaje nowy kierunek badań, a potem kuje się dlań nazwę - on natomiast miał nazwę bez przedmiotu. Długo wahał się między różnymi możliwościami, aż oparł się na tym niezdecydowaniu. Uznał, że nową gałąź wiedzy objawia słowo "między". Czyż nie nadszedł czas utworzenia fachu interdyscyplinarnego, który zajmie się stykami wszystkich innych? W doniesieniach, przeznaczonych dla pism europejskich, używał zrazu terminu "interystyka", a jej adeptów jęło się pospolicie zwać "międzakami". Lecz właśnie jako twórca śwarnetyki zdobył Dońda znaczną - niestety - ujemną sławę.

Nie mógł zajmować się stykami wszystkich specjalności - i tu pośpieszył mu z pomocą przypadek. Ministerstwo Kultury przyobiecało dotacje tej z katedr, która badaniami nawiąże do własnych tradycji kraju. Dońda obrócił ów warunek w niemałą korzyść. Postanowił bowiem badać pogranicze racjonalizmu i irracjonalizmu. Zaczął skromnie, od matematyzacji rzucania uroku. Szczep lamblijski Hottu Wabottu od wieków praktykował prześladowanie wrogów in effigie. Podobiznę wroga, przekłutą drzazgami, dawano do spożycia osłu: jeśli osioł się udławił, był to dobry omen, oznaczający rychłą śmierć wroga. Dońda wziął się więc do cyfrowego modelowania wrogów, osłów, drzazg itd. Tak doszedł do sensu śwarnetyki. Okazało się, że jest ona skrótem angielskiego zdania Stochastic Yerification of Automatised Rules of Negative Enchantment, czyli stochastyczna weryfikacja zautomatyzowanych reguł rzucania złych uroków. Angielska "Nature", do której posłał artykuł o śwarnetyce, zamieściła go w rubryce Curiosa, w wyimkach, opatrzonych szkalującym komentarzem. Komentator "Nature" nazwał Dońdę cyberszamanem, imputując mu, że nie wierzy w to, co robi, jest więc - taki był domysłny wniosek - zwykłym oszustem. Dońda znalazł się w nader niewygodnej sytuacji. Nie wierzył w czary i nie utrzymywał w do niesieniu, jakoby dawał im wiarę, lecz nie mógł tego publicznie wyjawić, bo właśnie przyjął podsunięty przez

Ministerstwo Rolnictwa projekt optyimizacji czarów przeciw suszy i szkodnikom zbóż. Nie mogąc ani odciąć się od magii, ani do niej przyznać, znalazł wyjście w charakterze śwarnetyki jako studium INTERdyscyplinamego. Postanowił trwać między magią i nauką! Jeśli krok ten wymusiły na profesorze okoliczności, faktem jest, że właśnie wtedy wstąpił na drogę największego odkrycia całej ludzkiej historii.

Zła fama, co stała się jego udziałem w Europie, już go, niestety, nie opuściła. Niska sprawność lamblijskiego aparatu policyjnego powodowała znaczny wzrost przestępstw, zwłaszcza przeciw życiu. Kacykowie ulegając laicyzacji nagminnie przechodzili od magicznych prześladowań oponentów ku realnym, aż dnia nie było, żeby krokodyle, wylegujące się na mieliźnie vis[^]vis parlamentu, nie obgryzały czyjejs kończyny. Dońda wziął się do cyfrowej analizy tego zjawiska, a ponieważ sam zajmował się jeszcze wtedy sprawozdawczością, określił projekt jako Methodology of Zeroing Illicite Murder. Czysty przypadek sprawił, że skrót tej nazwy brzmiał MZIMU. Po kraju rozeszła się wieść, że w Kulahari działa potężny czarownik Bwana Kubwa Dońda, którego MZIMU czuwa nad każdym ruchem obywateli.

W następnych miesiącach wskaźniki przestępczości wykazały znaczny spadek.

Zachwyceni politycy jęli domagać się od profesora a to takiego zaprogramowania czarów ekonomicznych, żeby płatniczy bilans Lamblii stał się dodatni, a to budowy miotacza plag i klątw na ościenny kraj Gurunduwaju, który wypierał kokosy lamblijskie z wielu rynków zagranicznych. Dońda opierał się tym naciskom, lecz miał w tym trudności, gdyż w czarnoksięską moc komputera uwierzyli liczni jego doktoranci. Tym marzyła się w neofickim zacieźrzewieniu magia już nie kokosowa, lecz polityczna, co by dała Lamblii prym światowy. Zapewne: Dońda mógł oświadczyć publicznie, że tego nie wolno się po śwarnetyce spodziewać. Musiałby jednak przeuzasadnić wówczas znaczenie śwarnetyki argumentacją, której nikt wśród czynników rządowych nie byłby w stanie pojać. Był więc skazany na lawirowanie. Tymczasem pogłoski o MZIMU Dońdy zwiększyły wydajność pracy, tak że nawet bilans płatniczy trochę się poprawił. Odcinając się od tej naprawy, profesor odciąłby się zarazem od dotacji, a tego nie mógł zrobić, przez wzgląd na wielkie, zamyślane przedsięwzięcia.

Kiedy przyszła mu do głowy ta myśl, nie wiem, gdyż opowiadał o tym akurat w chwili, w której wyjątkowo zaciekły krokodyl odgryzał łopatkę mojego pagaja. Dałem mu między oczy kamiennym pucharem, który Dońda otrzymał od delegacji czarowników, co nadała mu godność szamana honoris causa. Puchar pękł i sfrustrowany tym profesor jał mi czynić wyrzuty, które poróżniły nas aż do następnego biwaku. Wiem tylko, że Katedra przekształciła się w Instytut Śwarnetyki Eksperymentalnej i Teoretycznej, a Dońda został prezesem Komisji Roku 2000 przy Radzie Ministrów, z nowym zadaniem stawiania horoskopów i magicznego wcielania ich w życie. Myślałem sobie, że nazbyt ulegał sytuacji, nic mu jednak nie powiedziałem, boż uratował mi życie.

Rozmowy nie kleiły się nazajutrz także przez to, iż rzeka na odcinku dwudziestu mil stanowi granicę Lamblii i Gurunduwaju, więc posterunki obu państw ostrzeliwały nas od czasu do czasu, na szczęście niecelnie. Krokodyle czmychnęły, choć wolałem już ich towarzystwo od tych incydentów; Dońda miał przygotowane flagi Lamblii i Gurunduwaju, którymi powiewaliśmy ku żołnierzom, ale ponieważ rzeka płynie głębokimi zakolami, parę razy machaliśmy niewłaściwą flagą, i przychodziło kłaść się zaraz w pirodze na brzuchu, przy czym od kul ucierpiał багаż profesora.

Najbardziej szkodziła mu "Nature", której zawdzięczał rozgłos oszusta. Mimo to, dzięki naciskom, jakie na Foreign Office wywierała ambasada Lamblii, został zaproszony na światową konferencję cybernetyczną w Oksfordzie.

Profesor wygłosił tam referat o prawie Dońdy. Jak wiadomo, wynalazca perceptronów, Rosenblatt, doszedł tezy, że im perceptron większy, tym mniej musi pobierać nauk dla rozpoznawania kształtów geometrycznych. Reguła Rosenblatta głosi: "Perceptron nieskończenie wielki nie potrzebuje się uczyć niczego, gdyż wszystko umie od razu". Dońda poszedł w przeciwnym kierunku, aby wykryć swe prawo. To, co mały komputer może z wielkim programem, może też wielki komputer z programem małym; stąd wniosek logiczny, iż program nieskończenie duży może działać sam, tj. bez jakiegokolwiek komputera.

Cóż zaszło? Konferencja przyjęła te słowa szyderczym gwizdaniem. Oto, jak na psy zeszedł savoirvivre uczonych. "Nature" pisała, że podług Dońdy każde nieskończenie długie zakłęcie musi się zrealizować: w ten sposób wprowadzić miał profesor mętny nonsens na wody rzekomej ścisłości. Odtąd zwano go prorokiem cybernetycznego Absolutu. Do reszty pograżyło Dońdę wystąpienie docenta Bohu Wamohu z Kulahari, który znalazł się w Oksfordzie, ponieważ był szwagrem ministra kultury i zgłosił pracę Kamień jako czynnik napędowy myśli europejskiej.

Szło mu o to, że w nazwiskach ludzi, co dokonali przełomowych odkryć, występuje kamień - np. widać go w nazwisku największego fizyka (EinSTEIN), największego filozofa (WittenSTEIN), największego filmowca (EisenSTEIN), człowieka teatru (FelsenSTEIN), a też dotyczy to pisarki Gertrudy STEIN i filozofa Rudolfa STEINera.

Co do biologii, Bohu Wamohu zacytował głosiciela odmłodzenia hormonalnego - STEINacha, a wreszcie nie omieszkął dodać na zakończenie, że Wamohu to po lamblijsku tyle, co "Kamień Wszystkich Kamieni". Ponieważ powoływał się na Dońdę i swój "rdzeń kamienny" nazywał "śwarnetycznie immanentną składową predykatu być kamieniem", "Nature" uczyniła z niego i z profesora w kolejnej wzmiance parę bliźniaczych błaznów. Słuchając tego w oparach gorącej mgły na rozlewisku Bambezi, z przerwami, wywołanymi potrzebą walenia po łbach co nachalniej szych krokodyli, które nadgryzały wyłażące z tobołów maszynopisy profesora i zabawiały się rozhuśtywaniem pirogi, znajdowałem się w dość delikatnym położeniu. Jeśli zyskał w Lamblii tak mocne stanowisko, czemu uchodził z niej chyłkiem? Do czego zmierzał naprawdę i co osiągnął? Skoro nie wierzył w magię i kpił z Bohu Wamohu, czemu kłął w żywy kamień krokodyle, zamiast sięgnąć po sztucer? (Dopiero w Gurunduwaju wyjawiał mi, że tego zakazywała mu jego buddyjska wiara). Trudno mi jednak było przyciskać go podobnymi pytaniami. Właśnie dlatego, to jest z ciekawości, przyjąłem propozycję Dońdy, bym został jego asystentem na gurunduwajskim uniwersytecie. Po przykrew historii z fabryką konserw nie kwapiłem się wracać do Europy. Wolałem poczekać, aż sprawa ucichnie. W naszych czasach nie jest to trudne, bo nieustannie zachodzą wydarzenia, wtrącające wczorajsze sensacje w niepamięć. Choć przeżyłem potem niemało ciężkich chwil, nie żałuję tej decyzji, powziętej w okamgnieniu, a gdy piroga zazgrzytała wreszcie o gurunduwajski brzeg Bambezi, wyskoczywszy jako pierwszy na ląd, podałem profesorowi pomocną rękę i w uścisku, jaki połączył nasze dłonie, było coś symbolicznego, gdyż odtąd losy nasze stały się nierozdzielne.

Gurunduwaju to państwo trzykrotnie większe od Lamblii. Szybkiemu uprzemysłowieniu towarzyszyła, jak to bywa w Afryce, nieodłączna korupcja. Mechanizm jej przestał już prawie działać, gdyśmy przybyli do Gurunduwaju.

Łapówki brał jeszcze każdy, ale nic już nie świadczył w zamian. Co prawda, nie dając łapówki można było zostać obitym. Zrazu nie pojmowaliśmy, czemu przemysł, handel i administracja nadal działają. Podług europejskich kryteriów kraj winien by rozlecieć się każdego dnia na kawałki. Dopiero dłuższy pobyt wtajemniczył mnie w działanie nowego mechanizmu, który był namiastką tego, co nazywamy na starym łądzie umową społeczną. Mwahi Tabuhine, poczmistrz lumilski, u któregośmy zamieszkali (hotel stołeczny bez od siedemnastu lat w remoncie), zdradził mi bez osłonek, czym się kierował, wydając za mąż sześć swych córek. Przez najstarszą spowinowacił się za jednym zamachem z elektrownią i wytwórnią obuwia, gdyż teść dyrektora fabryki był głównym energetykiem. Dzięki temu nie chodził boso i miał zawsze prąd. Drugą córkę wzenił w kombinat garmazeryjny poprzez szatniarza, za którego ją wydał. I to pociągnięcie miał za nader zręczne. Wskutek wykrywania malwersacji kierownictwo za kierownictwem szło do więzienia, tylko szatniarz pozostawał na stanowisku, bo sam nie malwersował, a jedynie dostawał upominki. Stół poczmistrza był dzięki temu zawsze suto zastawiony. Trzecią córkę wyswatał Mwahi superrewidentowi kooperatyw remontowych. Dzięki temu nawet w porze deszczów nie lało mu się na głowę, dom jego świecił kolorowymi ścianami, drzwi zamykały się tak dokładnie, że żadna żmija nie mogła wpełznąć za próg, i nawet w oknach miał szyby. Czwartą córkę wydał za dozorcę miejskiego więzienia - na wszelki wypadek. Piątą poślubił pisarz rady miejskiej. Oczywiście pisarz, a nie na przykład wiceburmistrz, któremu Mwahi podał czarną polewkę z krokodylej wątroby. Rady zmieniały się jak chmury na niebie, lecz pisarz trwał na swym urzędzie, tyle że zmiennością poglądów przypominał księżyc. I wreszcie szóstą dziewczynę wziął za żonę szef aprowizacji wojsk atomowych. Wojska te istniały wyłącznie na papierze, lecz aprowizacja była realna. Ponadto kuzyn ze strony matki szefa był stróżem w zoologu. Ten ostatni związek wydał mi się bezużyteczny. Czyżby chodziło o słonie? Z uśmiechem wyrozumiałej wyższości Mwahi wzruszył ramionami. "Po co zaraz słon - rzekł - a skorpion nie może się czasem przydać?"

Będąc sam poczmistrzem, Mwahi obywatel się bez matrymonialnych powiązań z pocztą i nawet mnie, jego sublokatorowi, przynoszono listy i paczki do domu, jeszcze nie otwarte, rzecz w Gurunduwaju niezwykła, normalnie bowiem obywatel pragnący otrzymać przesyłkę od kogoś zamieszkałego dalej musi się po nią pofatygować osobiście, chyba że podlega przywilejom rodzinnym. Nieraz widziałem, jak

listonosze, opuszczając rankiem urząd z wypchanymi torbami, prosto do rzeki wywalali stopy listów powierzonych skrzynkom bez niezbędnej protekcji. Co do paczek, urzędnicy zabawiali się w grę hazardową polegającą na zgadywaniu zawartości paczki. Kto odgadł trafnie, wybierał sobie z paczki, co chciał na pamiątkę.

Jedyną troską naszego gospodarza był brak krewnych w zarządzie cmentarza. "Rzuca mnie krokodylom, łajdaki!" - wzdychał nieraz, gdy nawiedzały go złe myśli.

Wysoka stopa przyrostu naturalnego w Gurunduwaju tłumaczy się tym, że żaden ojciec rodziny nie spocznie, póki nie powiąże się węzłami krwi z siecią żywotnych placówek. Mwahi opowiadał mi, jak przed remontem lumilskiego hotelu niejeden gość słabł z głodu, a wezwane pogotowie ratunkowe nie przybywało, gdyż jego ekipy rozwożą karetkami maty kokosowe znajomym. Zresztą Hauwari, dawniejszy kapral Legii Cudzoziemskiej, który promował się na marszałka po objęciu władzy i co parę dni był dekorowany nowymi wysokimi orderami przez Ministerstwo Odznaczeń za Szczególne Zasługi, nie patrzył krzywym okiem na powszechny pęd do urządzania się, owszem, mówiono, że to on wpadł na myśl upaństwowienia korupcji. Hauwari, zwany przez miejscową prasę Starszym Bratem Wieczności, nie szczędził też wydatków na naukę, a środki po temu czerpało Ministerstwo Skarbu z podatków nakładanych na cudzoziemskie firmy mające przedstawicielstwa w kraju. Podatki te uchwalał parlament zniecka, po czym szły konfiskaty, licytacje mienia, interwencje dyplomatyczne, bezskuteczne zresztą, a gdy jedna grupa kapitalistów pakowała manatki, zawsze znaleźli się inni, co pragnęli spróbować szczęścia w Gurunduwaju, którego zasoby kopalin, zwłaszcza chromu i niklu, miały być ogromne, choć niektórzy twierdzili, że dane geologiczne sfałszowano na zlecenie władz. Hauwari kupował na kredyt broń, nawet myśliwce i czołgi, które sprzedawał za gotówkę Lamblii. Ze Starszym Bratem Wieczności nie było żartów; gdy nastąpiła wielka susza, dał równe szansę Bogu chrześcijańskiemu i Sinemu Turmutu, najstarszemu duchowi szamanów, kiedy deszcze nie spadły do trzech tygodni, szamanów ściał, a misjonarzy wypędził co do jednego.

Podobno przeczytawszy - w charakterze instrukcji - biografie Napoleona, Czyngizchana oraz innych mężów stanu, zachęcał podwładnych do grabieży, byle na wielką skalę, jakoż dzielnica rządowa powstała z materiałów skradzionych przez Ministerstwo Budownictwa - Ministerstwu Żeglugi, które zamierzało zbudować z nich przystanie na Bambezi, kapitał dla budowy kolei zdefraudowany został w Ministerstwie Obrotu Kokosami, dzięki malwersacjom zgromadzono też środki dla stworzenia gmachu sądów i aparatu ścigania, i tak, stopniowo, kradzieże i zawłaszczenia dały pomyślne skutki. Hauwari zaś, noszący już miano Ojca Wieczności, sam dokonał uroczystego otwarcia Banku Korupcyjnego, w którym każdy, byle poważny przedsiębiorca może dostać długoterminową pożyczkę na łapówki, jeśli dyrekcja uzna, że jego interes zgodny jest z państwowym.

Dzięki Mwahiemu urządziliśmy się z profesorem niezgorzej. Pyszne wędzone kobry przynosił nam inspektor pocztowy. Pochodziły z paczek wysyłanych przez opozycję do dygnitarzy, a inspektorowa wędziła je w dymie kokosowym. Pieczywo przywoził nam autobus Air France. Podróźni obyci ze stosunkami wiedzieli, że na autobus nie ma co czekać, a nieobyci po niedługim koczowaniu na walizkach dochodzili obycia. Mleka i sera mieliśmy w bród dzięki telegrafistom, którzy żądali w zamian tylko wody destylowanej z naszego laboratorium. W głowę zachodziłem, po co im ta woda, aż okazało się, że szło im o błękitne flaszki plastikowe, do których rozlewali samogon pędzony w Miejskim Komitecie Antyalkoholowym. Nie musieliśmy więc chodzić do sklepów, co było o tyle korzystne, że nigdy nie widziałem w Lumili otwartego sklepu; na drzwiach wisiały zawsze kartki "odbiór amuletów", "poszłam do szamana" itp. W urzędach było nam zrazu ciężko, bo urzędnicy nie zwracają najmniejszej uwagi na interesantów: zgodnie z tubylczym zwyczajem biura są miejscem towarzyskich imprez, hazardu, a zwłaszcza swatów. Powszechną wesołość gasi tylko niekiedy najazd policji, która zamyka wszystkich bez śledztw czy przesłuchań, wymiar sprawiedliwości wychodzi bowiem z założenia, że winni są i tak wszyscy, a na różnicowanie rozmiaru przestępstw szkoda zachodu. Sąd zbiera się tylko w okolicznościach niezwykłych. Po naszym przybyciu wybuchła afera kotłowa. Haumari, kuzyn Ojca Wieczności, nabył w Szwecji kotły centralnego ogrzewania dla parlamentu, zamiast urządzeń klimatyzacyjnych. Dodać

trzeba, że w Lumili temperatura nie opada poniżej 25 stopni Celsjusza. Haumari usiłował skłonić instytut meteorologiczny do obniżenia ciepłoty, gdyż to usprawiedliwiłoby zakup; parlament obradował w permanencji, boż szło o jego interes; wyłonił też komisję śledczą, której przewodniczącym został Mnumnu, ponoć rywal Ojca Wieczności. Zaczęły się niesnaski, zwykle tańce w przerwach między sesjami plenarnymi obróciły się w wojenne, ławy opozycji pełne były niebieskich tatuaży, aż Mnumnu znikł. Były trzy wersje, jedni mówili, że został zjedzony przez koalicję rządową, drudzy, że uciekł z kotłami, trzeci, że sam się zjadł. Mwahi sądził, że ostatnią wersję rozpuszcza Hauwari. Od niego też słyszałem enigmatyczne oświadczenie (co prawda po tuzinie dzbanów tęgo sfermentowanej kiwu kiwy): "Jak się wygląda smacznie, lepiej nie spacerować wieczorem po parku". Być może był to tylko kawał.

Katedra śwarnetyki na lumilskim uniwersytecie otwarła przed Dońdą nowe perspektywy działania. Muszę dodać, że komisja motoryzacyjna parlamentu zdecydowała się wówczas na zakup licencji familijnego helikoptera "Beli 94", ponieważ z obliczeń wyszło, że helikopteryzacja kraju będzie tańsza od budowy dróg. Stolica posiada wprawdzie autostradę, lecz tylko sześćdziesięciometrową, służącą do urządzania wojskowych defilad. Wieść o nabyciu licencji wprawiła ludność w panikę, każdy bowiem rozumiał, że przychodzi kres matrymonializmu jako podpory industrializmu. Helikopter składa się z trzydziestu dziewięciu tysięcy części, potrzebuje benzyny i pięciu rodzajów smaru, nikt więc nie mógłby sobie tego wszystkiego zapewnić, nawet gdyby płodził do końca życia same córki. Wiem coś o tym, bo gdy urwał mi się łańcuch w rowerze, musiałem wynająć myśliwego, żeby złapał młodego wyj ca, którego skórą pokryło się tamtam dla Hiiwu, dyrektora telegrafu, za co ów nadał kondolencyjną depeszę Umiamiemu, którego szefowi na delegacji dziadek zmarł w buszu, a Umiami był już przez Matarere spowinowacony z intendentem armii i miał przez to zapasy rowerów, na których tymczasowo poruszała się brygada czołowa. Niewątpliwie z helikopterem byłoby znacznie gorzej. Na szczęście Europa, wieczne źródło innowacji, dostarczyła nowego wzoru, którym był grupowy seks w wolnych związkach. To, co w Starym Świecie stanowiło cczą igraszkę zmysłów, w kraju jeszcze surowym wsparło elementarne potrzeby życia. Obawy profesora, że dla dobra nauki będziemy musieli zrezygnować ze stanu kawalerskiego, okazały się płonne. Urządziliśmy się nieźle, choć dodatkowe obowiązki, jakie przyszło brać na siebie przez wzgląd na katedrę, bardzo nas wyczerpywały.

Profesor wprowadził mnie w swój projekt: chciał zaprogramować w komputerze wszystkie klątwy, zabiegi magiczne, czarnoksięskie zamawiania, inkantacje i formuły szamańskie, jakie stworzyła ludzkość. Nie widziałem w tym żadnego sensu, lecz Dońda był nieugięty. Ogrom danych mógł pomieścić tylko najnowszy komputer lumeniczny IBM, który kosztował jedenaście milionów dolarów.

Nie wierzyłem, że otrzymamy tak olbrzymi kredyt, zwłaszcza że minister skarbu odmawiał wyasygnowania czterdziestu trzech dolarów na zakup papieru toaletowego dla Instytutu Śwarnetyki; profesor był jednak pewien swego. Nie wtajemniczał mnie w szczegóły swej kampanii, widziałem jednak, że zakrzatnął się na całego. Wieczorami wychodził nie wiem dokąd, wytatuowawszy się ceremonialnie, rozebrany do przepaski z szympansa, a jest to strój wizytowy w najbardziej ekskluzywnych kręgach Lumili, sprowadzał z Europy jakieś tajemnicze paczki, gdy raz niechcący upuściłem jedną, rozległ się cichy marsz Mendelssohna, szukał recept po starych książkach kucharskich, wynosił z laboratorium szklane chłodnice destylatorów, kazał mi robić zacier, wycinał zdjęcia żeńskie z "Playboya" i "Oui", oprawiał jakieś obrazy, których nikomu nie pokazywał, dał sobie wreszcie doktorowi Alfvenowi, który był dyrektorem szpitala rządowego, upuścić krew i widziałem, jak owijał flaszeczkę złotym papierem. Potem jednego dnia zmył z twarzy mazidla i farby, szczątki "Playboyów" spalił i przez cztery dni pykał flegmatycznie fajkę na werandzie Mwahiego; piątego zatelefonował do nas Uabamotu, dyrektor departamentu inwestycji. Zlecenie kupna komputera zostało wydane. Uszom nie chciałem wierzyć. Profesor, indagowany, tylko się słabo uśmiechał.

Programowanie magii trwało z górą dwa lata. Mieliśmy moc trudności rzeczowych, jak i całkiem innych. Kłopoty były na przykład z tłumaczeniem zaklęć Indian amerykańskich, utrwalonych węzełkowym pismem "kipu", ze śniegowolodowymi

zaklinaniami szczepów kurylskich i eskimoskich, dwu programistów rozchorowało się nam od przemęczenia zajęciami pozauniwersyteckimi, jak sądzę, bo pożycie grupowe było w wielkiej modzie, lecz rozeszły się słuchy, że to dzieło podziemia szamańskiego, zaniepokojonego supremacją Dońdy na polu odwiecznej praktyki czarowników. Ponadto grupa postępowej młodzieży, zasłyszawszy coś o kontestacji, podłożyła w instytucie bombę. Na szczęście eksplozja rozsadziła tylko klozety w jednym pionie gmachu. Nie naprawiono ich do końca świata, ponieważ puste kokosy, co miały funkcjonować jako pływaki wedle pomysłu pewnego racjonalizatora, wciąż tonęły. Sugerowałem profesorowi, by użył swych wielkich wpływów dla sprowadzenia części, rzekł jednak, że tylko znaczny cel uświęca fatygujące środki.

Także mieszkańcy naszej dzielnicy urządzili parokrotnie demonstracje anty dońdowe, obawiali się bowiem, że rozruch komputera obruszy lawinę czarów na uniwersytet, więc i na nich, bo czary mogą być niecelne. Profesor kazał otoczyć gmach wysokim parkanem, na którym sam wymalował znaki totemiczne, chroniące przed oberwaniem złych uroków. Płot kosztował, jak pamiętam, cztery beczki samogonu.

Stopniowo nagromadziliśmy w bankach pamięci czterysta dziewięćdziesiąt miliardów bitów magicznych, co w przeliczeniu śwarnetycznym równało się dwudziestu teragigagramom. Maszyna, wykonując osiemnaście milionów operacji na sekundę, pracowała trzy miesiące bez przerwy. Przedstawiciel International Business Machines, inżynier Jeffnes, obecny przy rozruchu, miał Dońdę i nas wszystkich za pomyślników. A już to, że Dońda ustawił zespoły pamięci na specjalnie czułej wadze, sprowadzonej ze Szwajcarii, sprowokowało Jeffriesa do niesmacznych uwag za plecami profesora.

Programiści byli okropnie przygnębieni, gdyż komputer po tylu miesiącach pracy nie zaczarował ani mrówki. Dońda żył jednak w nieustannym napięciu, nie odpowiadał na żadne pytania, lecz co dzień chodził sprawdzać, jak wygląda wykres, który waga rysowała na taśmie odwijającego się z bębna papieru. Wskaźnik rysował, rzecz oczywista, linię prostą. Świadczyła ona, że komputer nie drga - dlaczegoż by jednak miał drgać? Z końcem ostatniego miesiąca profesor jał przejawiać znamiona depresji, już po trzy, a to i cztery razy dziennie chodził do laboratorium, nie odpowiadał na telefony i nie tykał gromadzącej się korespondencji. Lecz dwunastego września, gdym szykowałem się już na spoczynek, wpadł do mnie błady i roztrzęsiony.

- Stało się! - zawołał od progu. - Teraz to już pewne. Zupełnie pewne. - Wyznaję, że się przeląknę o jego umysł, jaśniał dziwnym uśmiechem. - Stało się - powtórzył jeszcze kilka razy.

- Co się stało? - krzyknąłem wreszcie. Patrzył na mnie jak wyrwany ze snu.

- Prawda, ty nic nie wiesz. Przybrał na wadze jedną setną grama. Ta przeklęta waga jest tak mało czuła! Gdybym miał lepszą, wiedziałbym już wszystko miesiąc temu, może i wcześniej!

- Kto przybrał na wadze?

- Nie kto, lecz co. Komputer. Bank pamięci. Wiesz przecie, że materia i energia posiadają masę. Otóż informacja nie jest ani materia, ani energią, a przecież istnieje. Dlatego powinna mieć masę. Zacząłem o tym myśleć, gdy formułowałem prawo Dońdy. No, bo cóż to znaczy, że nieskończenie wiele informacji może działać bezpośrednio, bez pomocy jakichś urządzeń? Znaczy to, że ogrom informacji przejawia się wprost. Domyślałem się tego, ale nie znałem formuły równoważności. Cóż tak patrzysz? Po prostu - ile waży informacja. Musiałem więc obmyślić ten cały projekt. Musiałem. Teraz już wiem. Maszyna stała się cięższa o jedną setną grama; tyle waży wprowadzona informacja. Rozumiesz?

- Profesorze - wyjąkałem - jakże, a te wszystkie czary, te magie, modły, zaklęcia, jednostki CGS, Czar na Grami Sekundę...

Zamilkłem, zdawało mi się, że płacze. Zaczął się trząść, ale to był bezgłośny

śmiej. Zebrał palcem łzy z powiek.

- A co miałem robić? - rzekł spokojnie. - Zrozum: informacja ma masę. Każda. Byle jaka. Treść nie ma najmniejszego znaczenia. Atomy też są takie same, czy tkwią w kamieniu, czy w mojej głowie. Informacja ciąży, ale jej masa jest niesłychanie mała. Wiadomości całej encyklopedii ważą około miligrama. Dlatego musiałem mieć taki komputer. Ale pomyśl: kto by mi go dał? Komputer za jedenaście milionów na pół roku, żeby go ładować byle bzdurami, nonsensem, sieczką? Byle czym!

Jeszcze nie mogłem ochłonąć z zaskoczenia.

- No... - rzekłem niepewnie - gdybyśmy pracowali w poważnym ośrodku naukowym, w Institute for Advanced Study albo w Massachusetts Institute of Technology...

- A jużci - parsknął - przecież nie miałem żadnych dowodów, nic, prócz prawa Dońdy, które jest pośmiewiskiem! Nie mając komputera musiałbym go wynająć, a wiesz, ile kosztuje godzina pracy takiego modelu? Jedna godzina! A ja potrzebowałem miesięcy. I gdzieżbym się dopchał w Stanach! Przy takich maszynach siedzą tam teraz tłumy futurologów, obliczają warianty zerowego wzrostu ekonomiki, to jest teraz modne, a nie wymyślił jakiegoś Dońdy z Kulahari!

- Więc cały projekt - te magie - to było na nic? Zbędne? Toż na samo zebranie materiałów wydaliśmy przez dwa lata...

Niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Nic nie jest zbędne w zakresie tego, co konieczne. Gdyby nie ten projekt, nie dostalibyśmy grosza.

- Ale Uabamotu, rząd, Ojciec Wieczności - toż oczekuj a czarów!

- Och, będą mieli czar, jeszcze jaki! Ty wciąż nie wiesz... Słuchaj: ciążenie informacji nie byłoby niczym rewelacyjnym, gdyby nie konsekwencje... Istnieje, uważasz, krytyczna masa informacji, tak samo, jak krytyczna masa uranu. Zbliżyliśmy się do niej. Nie my, tutaj, ale cała Ziemia. Zbliżyła się do niej każda cywilizacja budująca komputery. Rozwój cybernetyki to pułapka zastawiona przez Naturę na Rozum!

- Krytyczna masa informacji? - powtórzyłem. - Ale przecież w każdej głowie ludzkiej jest mnóstwo informacji, a jeżeli nie liczy się, czy jest mądra czy głupia...

- Nie przerywaj mi wciąż. Nie mów nic, bo nic nie rozumiesz. Wyłożę ci to na analogii. Liczy się gęstość, a nie ilość wiadomości. To - jak z uranem. Analogia nieprzypadkowa! Uran rozrzedzony - w skałach, w glebie - jest nieszkodliwy. Warunkiem eksplozji jest wyosobnienie i koncentracja. Tak i tutaj. Informacja w książkach czy w głowach może być znaczna, ale pozostaje bierna. Jak rozproszone cząstki uranu. Należy ją skupić!

- I co wtedy nastąpi? Cud?

- Jaki tam cud! - parsknął. - Widzę, że doprawdy uwierzyłeś w brednie, które były pretekstem. Żaden tam cud. Powyżej punktu krytycznego rusza reakcja łańcuchowa. Obiit animus, natus est atomus! Informacja znika, bo zamienia się w materię.

- Jak to w materię? - nie rozumiałem.

- Materia, energia i informacja są trzema postaciami masy - tłumaczył cierpliwie. - Mogą przechodzić w siebie, zgodnie z prawami zachowania. Nic za darmo, tak jest urządzony świat. Materia obraca się w energię, energii i materii trzeba dla wytwarzania informacji, a informacja może przejść w nie z powrotem, oczywiście nie byle jak. Powyżej masy krytycznej sczeźnie jak zdmuchnięta. Oto

bariera Dońdy, granica przyrostów wiedzy... To znaczy, można by ją gromadzić nadal, lecz tylko - w rozrzedzeniu. Każda cywilizacja, która się tego nie domyśli, wchodzi sama w pułapkę. Im więcej się dowie, tym bliżej ma do ignorancji, do próżni - czy to nie osobliwe? A wiesz, jak blisko podeszliśmy już do progu? Jeśli przyrosty będą trwały, za dwa lata objawi się...

- Co to będzie - eksplozja?

- Skąd tam. Najwyżej malutki błysk, ani muchy nie ukrzywdzi. Tam, gdzie tkwiły miliardy bitów, powstanie garść atomów. Zapłon reakcji łańcuchowej obiegnie świat z szybkością światła, pustosząc wszystkie banki pamięci, komputery, gdziekolwiek gęstość przekracza milion bitów na milimetr sześcienny, powstanie równoważna ilość protonów - i pustka.

- Więc trzeba ostrzec, ogłosić...

- Oczywiście, już to zrobiłem. Ale daremnie.

- Dlaczego? Za późno?

- Nie. Po prostu nikt mi nie uwierzy. Taka wiadomość musi pochodzić od autorytetu, a ja jestem błazen i oszust. Z oszustwa może bym się wytłumaczył, ale błazeństwu nie ujdę. Zresztą - nie chcę kłamać: nawet nie spróbuję. Posłałem do Stanów wstępne doniesienie, a do "Nature" - tę depezę...

Podał mi brulion. Cognovi naturom rerum. Lors countdown madę the world. Truly yours Dońda.

Widząc moje osłupienie, profesor uśmiechnął się złośliwie.

- Masz mi za złe, co? Mój kochany, ja też jestem człowiekiem, więc odpłacam pięknym za nadobne. Depesza ma dobry sens, lecz rzuca ją do kosza lub wyśmiewa. To moja zemsta. Nie domyślasz się? A przecież znasz najmodniejszą teorię powstania Kosmosu - Big Bang Theory? Jak powstał Wszechświat? Wybuchowo! Co wybuchło? Co się nagle zmateriałizowało? Oto Boża recepta: odliczać od nieskończoności do zera. Kiedy do niego doszedł, informacja zmateriałizowała się wybuchowo - zgodnie z formułą równoważności. Tak słowo ciałem się stało, eksplodując mgławicami, gwiazdami... z informacji powstał Kosmos!

- Profesorze, naprawdę tak myślisz?

- Udowodnić tego się nie da, aleć to zawsze zgodne z prawem Dońdy. Nie, nie sądzę, żeby Bóg. Ktoś to jednak zrobił w poprzedniej fazie - może zbiór cywilizacji, które eksplodowały naraz, jak czasem eksploduje gromada supernowych... a teraz kolej na nas. Komputeryzacja skręci łeb cywilizacji - zresztą łagodnie...

Pojmowałem rozgoryczenie profesora, ale mu nie wierzyłem. Zdawało mi się, że zaślepiają go doznane upokorzenia. Niestety, miał słusność. Zresztą, choćby ta depezę - sam przyczynił się do zapoznania swojego odkrycia.

Ręka mi mdleje, a i glina się kończy, muszę jednak pisać dalej. W hałasie futurologicznym nie zwrócono uwagi na słowa Dońdy. "Nature" milczała, pisał o nim już tylko "Punch" i prasa brukowa. Parę gazet opublikowało nawet fragmenty jego ostrzeżenia, ale świat naukowy nie drgnął. W głowie mi się to nie mieściło. Gdy pojąłem, że stoimy przed kresem, a nasze wołania są jak krzyki tego pastucha z bajki, który zbyt wiele razy wołał "wilki", pewnej nocy nie powstrzymałem się od gorzkich słów. Wyrzucałem profesorowi, że maskę błazna sam wcisnął sobie na twarz, kompromitując badania szamańską fasadą. Wysłuchał mnie z przykrym, drgającym w kątach ust uśmieszkiem, który nie schodził mu z twarzy. Może był to zresztą tik nerwowy.

- Pozory - rzekł wreszcie. - Pozory. Jeśli magia jest bzdurą, wyszedłem z bzdury. Nie mogę ci powiedzieć, kiedy rojenie zmieniło mi się w hipotezę, bo sam

nie wiem. Postawiłem na niezdecydowanie, wiesz przecież. Odkrycie moje jest fizyka, należy do fizyki, ale do takiej, której nikt nie zauważył, bo droga wiodła przez tereny ośmieszono, wyzute z wszelkich praw. Trzeba było przecież zacząć od myśli, że słowo może stać się ciałem, że zakłęcie m o ż e się zmaterializować - trzeba było dać nura w ten absurd, wejść w związki zakazane, aby dostać się na drugi brzeg, tam gdzie już oczywiście jest równoważność informacji i masy. Tak więc należało p r z e j ś ć przez magię... może niekoniecznie przez zabawy, które uprawiałem, ale każdy krok wstępny musiał być dwuznaczny, podejrzany, heretycki, godny drwin. Co zrobiłem? Błazeńską maskę, uzasadnienie pozorne? Masz rację, jeśli pomyliłem się, to tylko tak, że nie doceniłem głupoty panującej nam dziś mądrości. W naszej epoce - opakowań - liczy się etykieta, a nie zawartość... Nazwawszy mnie krętaczem i oszustem, panowie uczeni wtrącili mnie w niebyt, z którego nie mogę być dosłyszany, choćbym ryczał jak trąby jerychońskie. Im głośniejszy ryk, tym większy śmiech. Więc po czyjej stronie właściwie została magia - czy ten ich gest odtrącenia i wyklęcia nie jest magiczny? Ostatnio pisał o prawie Dońdy "Newsweek", przedtem "Time", "Der Spiegel", "L'Express" - nie mogę się uskarżać na brak popularności! Sytuacja jest bez wyjścia właśnie dlatego, że czytają mnie wszyscy - i nie czyta mnie nikt. Kto jeszcze nie słyszało prawie Dońdy? Czytają i pokładają się ze śmiechu: Don't do it! Widzisz, nie liczą się rezultaty, lecz droga, którą się do nich dochodzi. Są ludzie wyzuci z prawa robienia odkryć - na przykład ja. Mógłbym teraz sto razy zaprzysiąc, że projekt był taktycznym manewrem, wybiegiem może niepięknym, ale koniecznym, mógłbym się kajać i spowiadać publicznie - odpowiedzią będzie śmiech. Otóż tego, że raz wszedłszy w kłownadę, nie będę mógł się z niej wydostać - tego nie pojąłem. Jedyna pociecha w tym, że katastrofy i tak nie dałoby się odwrócić.

Usiłowałem protestować krzycząc. A musiałem podnieść głos, albowiem zbliżał się już termin uruchomienia wielkiej wytwórni rodzinnych śmigłowców i w nadziei na te piękne maszyny ludność Gurunduwaju z zaciętymi szczękami, w zapaści i namiętności nawiązywała wszystkie niezbędne po temu stosunki: za ścianą mego pokoju kotłowała się rodzina poczmistrza ze sproszonymi notablami, monterami, sprzedawczyniami, i podług narastającej wrzawy można było ocenić żądę motoryzacyjną zacnego ludu. Profesor wyjął z tylnej kieszeni płaską flaszkę Białego Konia i nalewając whisky do szklanek rzekł:

- Mylisz się znowu. Nawet przyjąwszy moje słowa z dobrą wiarą, świat musiałby je sprawdzić. Musieliby sięgnąć do swoich komputerów, a maglując tę informację, tym samym przyspieszyliby kres.

- Więc co robić! - zawołałem z rozpaczą. Profesor podniósł głowę ku niebu, aby wychylić ostatek płynu z flaszki, wyrzucił pustą przez okno i patrząc w ścianę, za którą kotłowały się pasje, oświadczył:

- Spać.

Piszę znowu, wycoczywszy dłoń w mleku kokosowym, bo złapał mnie skurcz. Maramotu powiada, że w tym roku pora deszczowa będzie wczesna i długa. Jestem wciąż sam, od czasu kiedy profesor udał się do Lumili po fajkowy tytoń.

Poczytałbym nawet starą gazetę, ale mam tylko wór książek o komputerach i programowaniu. Znalazłem go w dżungli, kiedy szukałem patatów. Oczywiście zostały same zgniłe - dobre wyżarły, jak zwykle, małpy. Byłem też przy moim dawnym mieszkaniu, ale goryl, choć jeszcze bardziej schorowany, nie wpuścił mnie do środka. Sądzę, że ten worek z książkami był balastem wielkiego pomarańczowego balonu z napisem DRINK COKE, który przed miesiącem przesybował nad dżunglą w południowym kierunku. Widać podróżują teraz balonami. Na dnie worka znalazłem zeszlórocznego "Playboya" i przeglądałem go, kiedy zaskoczył mnie Maramotu. Uradował się: uważa nagość za objaw przyzwoitości, akty kojarzą mu się z powrotem do starych, dobrych obyczajów. Nie pomyślałem o tym, że za młodu chadzał goły z całą rodziną, toteż kreacje mini i maksi, w które jęły się stroić czarne krasawice, miał za wyraz zwyrodniałego wyuzdania. Pytał, co sływać w wielkim świecie, ale nie wiedziałem, bo baterijki tranzystora wysiadły. Dopóki radio działało, słuchałem go całymi dniami. Katastrofa zdarzyła się dokładnie

tak, jak to przewidział profesor. Najmocniej dała się we znaki krajom rozwiniętym. Ileż bibliotek skomputeryzowano w ostatniej dekadzie! Aż tu z taśm, kryształów, ferrytowych tarcz, kriotronów w ułamku sekundy wyparował ocean mądrości. Słyszałem zdyszane głosy spikerów. Upadek nie był jednakowo bolesny dla wszystkich. Im kto wyżej wlaźł na drabinę postępu, tym gwałtowniej z niej rymnął.

W Trzecim Świecie zapanowała po krótkotrwałym szoku euforia. Nie trzeba się już było wysilać, gnać na złamanie karku za czołówką, wyciągać się z portek i trzcinowych spódniczek, urbanizować, industrializować, a zwłaszcza - komputeryzować, i życie tutaj, już naszpikowane komisjami, futurologami, armatami, oczyszczalniami ścieków i granicami, rozlaźło się w przyjemne bajorko, w ciepłą monotonię wiecznej sjesty. I kokosy można znów dostać łatwo, a jeszcze przed rokiem były nieosiągalne jako towar eksportowy, i wojska same się porozchodziły, tak że nieraz chodząc po dżungli potykałem się o maski gazowe, kombinezony, tornistry, mózdzierze obrosłe lianami, raz w nocy zbudziła mnie eksplozja, myślałem, że to wreszcie goryl, ale to tylko pawiany znalazły skrzynię zapalników. Tak, a w Lumili Murzynki z nie hamowanym postękiwaniem ulgi wyzbyły się lśniących trzewików, damskich spodni, grzejących jak diabli, i zbiorowy seks też jak ręką odjęło, bo raz, że nie będzie śmigłowców (fabryka miała być oczywiście skomputeryzowana), dwa - nie ma benzyny - rafinerie też były automatyczne, a trzy, nikomu się nie chce nigdzie jechać, bo i po co? Teraz nikomu już nie wstyd zwać masową turystykę Szaleństwem Białego Człowieka. Jak cicho musi być teraz w Lumili.

Prawdę mówiąc, ta katastrofa wcale nie okazała się taka zła. Nawet gdyby ktoś się na głowie postawił, nie będzie za godzinę w Londynie, za dwie w Bangkoku, a za trzy w Melbourne. No więc nie będzie, i co z tego? Pewnie, skrachowało moc firm, taki końcem IBM chociażby, podobno wytwarza teraz tabliczki i rysiki, ale może to kawał. Komputerów strategicznych już też nie ma, ani samonawodzących się głowic, ani maszyn cyfrowych, wojny podwodnej, lądowej i orbitalnej, informatyka ogłosiła upadłość, giełdy zadygotały, podobno czternastego listopada biznesmeni wyskakiwali na Piątej Ulicy z okien tak gęsto, że zderzali się w powietrzu. Popłatały się wszystkie rozkłady jazdy, lotów, rezerwacje hotelowe, więc już nie muszą się martwić w metropoliach, czy polecieć na tę Korsykę, czy pojechać autem, czy wynająć przez komputer na miejscu, czy w trzy dni zwiedzić Turcję, Mezopotamię, Antyle i Mozambik z Grecją na dokładkę. Ciekawe, kto wytwarza balony? Pewno chałupnicy.

Ostatni balon, który oglądałem przez lornetkę, dopóki mi jej małpa nie zabrała, miał sieć splecioną z dziwnie krótkich sznurków, całkiem jak ze sznurowadeł, może i w Europie też już chodzą na bosaka? Widocznie te dłuższe sznury wyplatały ostatnio tylko komputery powroźnicze. Strach rzec, ale słyszałem na własne uszy, nim radio zamilkło, że nie ma już dolara. Zdechł, biedaczek... Żałuję tylko, że z bliska nie widziałem Przełomowej Chwili.

Podobno rozległ się mały trzask i prask, pamięć maszynowa stała się w okamgnieniu biała jak umysł nowo narodzonego, a z informacji, wynicowanej na materialną stronę, powstał niespodziewanie malutki Kosmosek. Uniwersiatko, Wszechświatunio, ot, w kłębuszek atomowego prochu obróciła się wiedza gromadzona wiekami. Z radia też dowiedziałem się, jak taki Mikrokosmosek wygląda, jest maciupenki, a tak zamknięty, że niczym nie można doń wtargnąć. Podobno ze stanowiska naszej fizyki stanowi specjalną postać nicości, a mianowicie Nicość Wszędziegęsta, całkowicie Nieprzepuszczalną. Nie pochłania światła, nie można go rozciągnąć, ścisnąć, rozbić, wydrażyć, ponieważ znajduje się poza naszym Universum, choć niby w jego wnętrzu. Światło ześlizguje się po jego obłych poboczach, wymijają go dowolnie rozpędzone cząstki, i nie rozumiem tego, co oświadczyły autorytety, że jakoby ten, jak mawia Dońda - "Kosmosesek" - jest Wszechświatem, całkowicie dorównującym naszemu, czyli zawiera mgławice, galaktyki, chmury gwiazdowe, a może już i planety z lęgnącym się na nich życiem. Tym samym rzec wolno, iż ludzie powtórzyli, dalipan, Genezę, co prawda zupełnie niechcący, a nawet wbrew żywionym intencjom, bo na tym najmniej im zależało.

Gdy Kosmosek narodził się, zapanowała wśród uczonych powszechna konsternacja i

dopiero, gdy jeden z drugim wspomniał ostrzeżenie Dońdy, na wypródki jęli mu słać listy, apele, telegramy, pytania, a też bodaj jakieś dyplomy honorowe w trybie przyspieszonym. Lecz właśnie wtedy jął profesor pakować walizy i mnie namówił do wyjazdu w tę przygraniczną okolicę, bo ją spenetrował i upodobał sobie już poprzednio. Wziął ze sobą też koszmarnie ciężki kufer z książkami - wiem coś o tym, bom go dźwigał ostatnie pięć kilometrów, kiedy się nam benzyna skończyła i łazik utknął; nie zostało już z niego nic prawie, przez pawiany. Sądziłem, że profesor chce kontynuować prace naukowe, by położyć kamień węgielny pod odbudowę cywilizacji, ale nic z tego. Zdziwił mnie Dońda! Mieliśmy, naturalnie, liczne sztucery, sztucce, piły, gwoździe, kompasy, siekiery i inne rzeczy, których listę sporządził notabene profesor w oparciu o oryginalne wydanie Robinsona Crusoe. Ponadto wziął jednak ze sobą "Nature", "Physical Review", "Physical Abstracts", "Futurum" oraz teczki pełne gazetowych wycinków, poświęconych prawu Dońdy.

Co wieczór po kolacji odbywał się Seans Rozkoszy, czyli Vendetty - radio, nastawione na pół głosu, nadawało najświeższe koszarne wieści, okraszone wystąpieniami znamienitych naukowców i innych ekspertów, profesor zaś, pykając fajkę z przymkniętymi oczami, słuchał, jak odczytywałem wybrane na dany wieczór co zjadliwsze wykpienia prawa Dońdy, a też insynuacje oraz obelgi: te ostatnie, własnoręcznie podkreślone przezeń czerwonym długopisem, musiałem niekiedy odczytywać parokrotnie. Wyznam, że posiedzenia te rychło mi się znudziły. Czy aby wielki umysł nie uległ fiksacji? Gdym odmówił dalszego czytania, profesor począł chodzić do dżungli na spacer, jakoby zdrowotne - ażem go zaszedł na polanie, jak czytał gromadzie zdziwionych pawianów celniejsze ustępy z "Nature".

Niežnośny zrobił się profesor, a jednak z utęsknieniem wyczekując jego powrotu. Stary Maramotu twierdzi, że Bwana Kubwa nie wróci, bo porwało go Złe Mzimu, osioł. Na odchodnym profesor powiedział mi dwie rzeczy. Zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Najpierw tę, że z prawa Dońdy wynika równowartość wszelkiej informacji: wszystko jedno, czy bity wiadomości są genialne, czy kretyńskie, trzeba ich sto miliardów na stworzenie jednego protonu. A więc zarówno mądre, jak i idiotyczne słowo staje się ciałem. Uwaga ta w zupełnie nowym świetle stawia filozofię bytu. Czyżby gnostycy z Manicheuszem nie byli takimi przeniwiercami. Jak to ogłosił Kościół? Ponadto, czy może być, aby Kosmos, sporządzony z wyartykułowania heptylionu głupstw, niczym się nie różnił od Kosmosu, powstałego z wygłoszonej mądrości?

Zauważyłem też, że profesor pisze coś nocami. Niechętnie, bo niechętnie, ale zdradził mi w końcu, że jest to Introduction to Svametics, czyli Inquiry into the General Technology of Cosmoproduction. Profesor zabrał, niestety, rękopis ze sobą. Toteż wiem tylko, że podług niego każda cywilizacja trafia na próg kosmokreacji, świat stwarza bowiem zarówno ten, kto się zbyt nagenialni. Jak i ten, kto nazbyt zidiocieję. Tak zwane Białe i Czarne Dziury, wykryte przez astrofizyków, są to miejsca, w których niezwykle potężne cywilizacje usiłowały obejść barierę Dońdy lub wysadzić ją z posad, ale im nie wyszło: same siebie za to z Universum wysadziły.

Zdawałoby się, że już nic nie ma większego od takiej refleksji. No, bo skoro Dońda wziął się do pisania metodyki i teorii Genesis!

A jednak wyznam, że mocniej poruszyły mnie jego słowa ostatniej nocy przed wyruszeniem po tytoń. Piliśmy mleko kokosowe, sfermentowane podług przepisu starego Maramotu - ohydna bryję, konsumowaną przez wzgląd na trud fabrykacji (nie wszystko było złe dawniej; chociażby whisky) - aż w pewnej chwili, płucząc usta wodą źródlaną, profesor rzekł: Ijonie, czy pamiętasz dzień, w którym nazwałeś mnie błaznem? Widzę, że pamiętasz. Powiedziałem wtedy, że zbłąźniłem się w oczach naukowego świata wymyśleniem magicznej treści dla śwarnetyki. Gdybyś jednak nie na ową decyzję patrzył, ale na całe moje życie, zobaczyłbyś bigos, któremu na imię Zagadka. W losie moim wszystko układało się do góry nogami! Z przypadków ułożył się cały, i to pomyłonych. Przez pomyłkę przyszedłem na świat. Wskutek omyłki otrzymałem imię. Nieporozumienie jest moim nazwiskiem. Wskutek błędu stworzyłem śwarnetykę, bo chyba pojmujesz, że telegrafista przekreślił po prostu kluczowe słowo, jakiego użył nie znany mi, a niezapomniany

pułkownik Drufutu z Kulaharskiej policji bezpieczeństwa! Byłem tego pewien od razu. Czemu nie próbowałem odtworzyć depeszy - skorygować, poprawić, prostować? Ba! Zrobiłem coś lepszego, bo dopasowałem do tego błędu działalność, która (jak widzisz) miała przed sobą niejaką przyszłość! Więc jakże - omyłkowy facet, z przypadkową karierą, wplątany w stek afrykańskich nieporozumień, odkrył skąd świat się wziął i co z nim będzie? O nie, mój drogi. Za wiele tych lapsusów! Za wiele na rację dostateczną! Nie to, na co patrzymy, należy przestroić, lecz innego trzeba punktu widzenia. Spójrz na ewolucję życia. Miliardy lat temu powstały pra-ameby, nieprawdaż? Cóż one umiały? Powtarzać się. W jaki sposób? Dzięki trwałości cech dziedzicznych. Gdyby dziedziczność była naprawdę bezbłędna, aż po dziś nie byłoby na tym globie nikogo prócz ameb. Cóż się stało? Ano, doszło do pomyłek. Biologowie nazywają je mutacjami. Lecz czymże jest mutacja, jeśli nie ślepą omyłką? Nieporozumieniem między rodzicem-nadawcą, a potomkiem-odbiorcą. Na obraz i podobieństwo swoje, tak... ale nieporządnie! Niedokładnie! I ponieważ wciąż psuło się podobieństwo, powstały trylobity, gigantozaurowe, sekwoje, kozice, małpy i my. Z zestrzelenia niedbalstw, potknięć - ale przecież to samo było z moim życiem. Od niedopatrzeń powstałem, przypadkowo trafiłem do Turcji, z niej traf rzucił mnie do Afryki, co prawda walczyłem wciąż jak pływak z falą, ale to ona mnie niosła, nie ja nią kierowałem... Czy pojmujesz? Nie doceniliśmy, mój drogi, dziejowej roli błędu jako fundamentalnej Kategorii Istnienia. Nie myśl po manichejsku! Podług tej szkoły Bóg stwarza ład, któremu szatan wciąż nogę podstawia. Nie tak! Jeśli dostanę tytoń, napiszę zbywający w księdze filozoficznych rodzajów ostatni rozdział, mianowicie antologię Apostazy, czyli teorię bytu, który na błędzie stoi, albowiem błąd się błędem odciska, błędem obraca, błąd tworzy, aż losowość zamienia się w Los Świata.

Rzekł to, spakował drobiazgi i poszedł w dżunglę. A ja zostałem, by czekać jego powrotu, z ostatnim "Playboyem", z którego patrzy na mnie sexbomba, rozbrojona prawem Dońdy, naga jak prawda.

POŻYTEK ZE SMOKA

Dotąd przemilczałem moją wyprawę na planetę Abrazę z gwiazdozbioru Wieloryba. Tamtejsza cywilizacja oparła w całości swoją gospodarkę na smoku. Nie będąc ekonomistą, nie potrafiłem tego niestety zrozumieć, chociaż Abrazyjczycy nie szczędzili mi wyjaśnień. Może ktoś, zorientowany w specyfice smoków, zrozumie rzecz lepiej ode mnie.

Radioteleskop w Arecibo od dłuższego czasu odbierał sygnały, których nikt nie umiał rozszyfrować. Udało się to dopiero docentowi Katzenfangerowi. Mozolił się nad zagadką, mając okropny katar. Zatkany i ciekący nos, który przeszkadzał mu w pracy, w pewnej chwili naprowadził go na myśl, że być może mieszkańcy nieznanego planety nie są jak my wzrokowcami, lecz węchowcami. Okazało się istotnie, że sygnalizują kodem, złożonym nie z liter alfabetu, lecz z symboli różnych zapachów. Co prawda przekład sporządzony przez Katzenfangerę zawierał niezrozumiałe sprawy. Zdawało się z niego wynikać, że na tej planecie żyje oprócz rozumnych istot stworzenie większe od góry, nadzwyczaj żarłoczne i małowmne. Nie ten fenomen kosmicznej zoologii zadziwił jednak uczonych, lecz to, że potwór abrazyjski jakoby właśnie swoją nieograniczoną żarłocznością przynosił szczególne korzyści miejscowej cywilizacji. Był groźny, i właśnie im bardziej stawał się groźny, tym większe ciągnięto z tego zyski. Ponieważ mam osobliwą słabość do tajemnic, postanowiłem od razu wyruszyć na Abrazę. Jak przekonałem się na miejscu, Abrazyjczycy są dosyć człękokszałtni. Mają jedynie nosy tam, gdzie my mamy uszy i na odwrót. Oni też pochodzą od małp, jak my, ale u nas były małpy wąskonosy i szerokonosy, u nich natomiast pramalpy miały jeden nos albo dwa. Tejednososy powymierały z głodu. Planetę okrążają liczne księżyce powodujące nader często długotrwałe zaćmienia słońca. Zapada wtedy egipska ciemność. Kto szukał jada tylko przy pomocy wzroku, nic nie mógł

znaleźć. Kto używał wężu, był w trochę lepszej sytuacji, najlepiej jednak powodziło się temu, kto miał dwa szeroko rozstawione nosy. Wtedy bowiem orientował się węchem stereoskopowe, jak my dwójgiem oczu albo stereofonicznym słuchem.

Potem Abrazyjczycy wynaleźli sztuczne oświetlenie i dwunosowość przestała im być konieczna do życia, lecz po praprzodkach została im ta osobliwość anatomiczna. W zimnej porze roku noszą czapki z klapkami, żeby sobie nie odmrozić nosów. Może zresztą się mylę. Odniosłem wrażenie, że nie są zachwyceni tymi nosami, które przypominają im o ciężkiej przeszłości. Ich słaba płęć kryje te nosy pod różnymi ozdobami, nieraz wielkości talerzy. Nie zwracałem na to szczególnej uwagi.

Doświadczenia astronautyczne nauczyły mnie, że różnice budowy ciała są mało istotne. Trudne do zgryzienia problemy kryją się głębiej. Takim problemem okazał się na Abrazji tamtejszy smok.

Planeta ma tylko jeden bardzo wielki kontynent, na którym znajduje się coś osiemdziesiąt państw. Kontynent ten oblewa ze wszech stron ocean. Smok mieści się na dalekiej północy. Graniczą z nim bezpośrednio trzy państwa - Klaustria, Lelipia i Laulalia. Obejrząwszy sobie tego smoka na fotografiach, wykonanych ze sztucznych satelitów oraz na modelach w skali 1 : 1 000 000, uznałem go za przykre bydło. Wcale zresztą nie przypominał smoków występujących w ziemskich podaniach i legendach. Ich smok nie ma siedmiu głów, nie ma bowiem w ogóle głowy i zdaje się mózgu też nie. Nie ma też skrzydeł, więc nie lata. Co do nóg, panuje niejasność, ale bodaj nie posiada żadnych kończyn. Przypomina olbrzymi grzbiet górski, polany obficie galaretowatą studzieniną. To, że jest żywym stworzeniem, można stwierdzić przy znacznej cierpliwości. Porusza się nadzwyczaj powoli, ruchem robaczkowym, naruszając dość często granice Klaustrii i Lelipii. Bydło to pochłania na dobę coś osiemdziesiąt tysięcy ton artykułów żywnościowych. Lubi krupy i kaszę, a także inne przetwory zbożowe. Nie jest jaroszem. Pożywienia dostarczają mu państwa zjednoczone w Związku Współpracy Ekonomicznej. Większość tej masy towarowej przewozi się pociągami, do specjalnych stacji wyładunkowych, zupy i syropy tłoczą mu rurociągami, a podczas zimy, gdy panuje brak witamin, dokonują ich zrzutów ze specjalnych ogromnych samolotów. Otworu gębowego szukać nie trzeba, bo ten potwór może się brać do żarcia każdym miejscem swego cielska.

Gdy przybyłem do Klaustrii i dowiedziałem się o smoku, pierwszym pytaniem, które cisnęło mi się na usta, było, dlaczego w ogóle z takim wysiłkiem i zapalem żywią monstrum, zamiast poczekać trochę, aż zdechnie z niedożywienia. Ugryzłem się jednak w język, gdy doszły mnie wieści o tak zwanym zamachu na smoka. Pewien Lelipianin, chcąc dorobić się sławy jako zbawca całej Abrazji, założył tajną organizację bojową, żeby ukatrupić zachłannego giganta. Zamach miał polegać na zatruciu witaminizowanych odżywek środkami chemicznymi, wywołującymi nieugaszone pragnienie, żeby monstrum zaczęło bez opamiętania pić wody oceanu, aż pęknie. Przywiodło mi to od razu znaną legendę ziemską o dzielnym bohaterze, który pokonał smoka swej ojczyzny, żywiącego się głównie dziewczicami, podrzuciwszy mi baranią skórę, wypchaną siarką. Lecz na tym kończyło się podobieństwo ziemskiej baśni i abrazyjskiej rzeczywistości. Miejscowy smok znajduje się pod ochroną prawa międzynarodowego. Ponadto dostawy smacznych potraw gwarantują mu traktaty o współpracy ze smokiem, zawarte przez 49 państw. Komputerowy translator, z którym nigdy się nie rozstaję, umożliwił mi wnikliwe studiowanie prasy. Wiadomość o niedoszłym do skutku zamachu wywołała wielkie wzburzenie opinii publicznej. Domagano się surowej kary dla zamachowców. Wydało mi się to nader dziwne, ponieważ o smoku jako takim nikt nie wyrażał się z sympatią. Ani dziennikarze, ani osoby piszące listy do redakcji nie kryły się z tym, że chodzi o nadzwyczaj obrzydliwego potwora. Myślałem więc zrazu, że mają go za coś w rodzaju złego bóstwa, kary niebios i składanie ofiar nazywają wskutek lokalnego obyczaju eksportem. O diable wolno się przecież wyrażać źle, chociaż wcale nie należy go lekceważyć. Diabeł potrafi jednak wodzić na pokuszenie, kto mu zaprzęda duszę, może liczyć w zamian na sporo doczesnych przyjemności, natomiast smok - o ile mogłem się zorientować - niczego nie obiecywał i nie był ani trochę pokusliwy. Od czasu do czasu nadymał się i zalewał przygraniczne obszary resztkami spożytych artykułów, a w złą pogodę śmierdział na ponad tysiąc kilometrów. Mimo to Abrazyjczycy uważali, że trzeba się nim opiekować, a smród

wskazuje na złe trawienie, należy więc zadbać o odpowiednie lekarstwa, regulujące przemianę materii. Co do samego zamachu, to gdyby się broń Boże powiodł, efektem musiałyby być jakoby niewyobrażalna wręcz katastrofa. Czytałem i czytałem gazety, ale nigdzie nie mogłem się dowiedzieć, na czym by ta katastrofa miała polegać. Porządnie otumaniony, chodziłem do miejscowych bibliotek, wertowałem encyklopedie. Dzieje Powszechne Abrazji, a wreszcie odwiedziłem Towarzystwo Przyjaźni ze Smokiem. Tam też jednak niczego się nie dowiedziałem. Prócz paru urzędników nikogo tam nie było. Zachęcali mnie, bym dał sobie wypisać legitymację członkowską i opłacił z góry składki za cały rok, lecz nie po to przecież tam poszedłem.

Państwa, graniczące ze smokiem, są liberalnymi demokracjami, można więc w nich głosić to, co się komu żywnie podoba. Po usilnych poszukiwaniach znalazłem publikacje, potępiające smoka. Lecz ich autorzy też uważali, że w stosunkach z nim należy iść na rozsądne kompromisy. Użycie podstępów lub siły mogłoby się okazać zgubne. Niedoszli zamachowcy siedzieli tymczasem w areszcie śledczym. Nie poczuli się do winy, choć przyznawali się do zamiaru zabicia smoka. Prasa rządowa nazywała ich nieodpowiedzialnymi terrorystami, opozycyjna zaś pocziwymi zapaleńcami, którzy mają źle w głowie, "Klaustryjski magazyn ilustrowany" uważał natomiast, że byli to prowokatorzy. Jakoby pewien rząd ościenny urządził tę prowokację, uważając, że kwota eksportów smoczycy, przydzielona mu przez Związek Współpracy Ekonomicznej, jest za mała. Chciał więc stworzyć sytuację, sprzyjającą rewizji ustalonych kwot eksportowych.

Reportera, który przyszedł do mnie po wywiad, zacząłem wypytywać o smoka. Dlaczego, zamiast dać zamachowcom szansę skończenia z potworem, sadzają ich na ławie oskarżonych?

Dziennikarz oświadczył, że byłby to okrutny mord. Smok, powiedział, jest z natury dobrotliwy, lecz ciężkie warunki życia na lodowatej północy uniemożliwiają mu okazanie przyrodzonej łagodności. Każdy, kto wciąż głoduje, smok czy nie smok, jest zły. Trzeba go dokarmiać, wtedy przestanie się pchać na południe i złagodnieje.

- Skąd ta pewność? - spytałem. - Przez ostatnie dni robiłem sobie wycinki z waszej prasy. Oto garść tytułów:

"Regiony Północnej Lelipii i Klaustrii wyludniają się. Trwa masowa ucieczka mieszkańców". Albo to: "Smok znów pochłonął grupę turystów. Jak długo jeszcze nieodpowiedzialne biura podróży będą organizowały te zgubne wycieczki?" Albo to: "Smok powiększył swój areal w ciągu ostatniego roku o 900 000 hektarów". Co pan na to?

- Potwierdza to wszystko co mówiłem - odparł. - Wciąż jeszcze niedostatecznie go żywimy! Z turystami, owszem, były takie incydenty, bardzo przykre, ale też smoka nie należy drażnić. Nie znosi turystów, zwłaszcza robiących fotografie. Jest szczególnie alergiczny na błyski flesza. Cóż pan chce: żyje przecież przez trzy czwarte roku w ciemnościach... A zresztą sam tylko przemysł, produkujący dla smoka wysokokaloryczne odżywki, zapewnia nam 146 000 miejsc pracy. Owszem, trochę turystów zginęło, lecz ileż więcej osób zginęłoby z głodu, tracąc pracę?

- Zaraz, zaraz - odparowałem. - Dostarczacie smokowi żywności, której nie wytwarza się przecież za darmo. Kto za nią płaci?

- Nasze parlamenty uchwalają w tym celu specjalne kredyty eksportowe.

- Czyli smok żyje z kieszeni waszych podatników?

- Poniekąd tak, ale to się opłaca.

- Czy nie opłaciliby się lepiej wykończenie smoka?

- Mówi pan szalone rzeczy. W gałęzie przemysłu produkującego jadło dla smoka zainwestowaliśmy w ciągu ostatnich trzydziestu lat ponad czterysta miliardów...

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyście obrócili te pieniądze na własną korzyść?

- Powtarza pan argumenty naszych najbardziej wstecznych konserwatystów! - podniósł głos zirytowany reporter. - Są to podżegacze do mordu! Chcą obrócić smoka w konserwy! Życie to świętość. Nie należy nikogo zabijać.

Widząc, że rozmowa donikąd nie prowadzi, pożegnałem się z dziennikarzem. Po namyśle udałem się do Archiwów Prasy i Akt Dawnych, żeby kopiać się w setkach zakurzonych roczników dawnych czasopism dowiedzieć się, skąd się ten smok wziął. Porządnie się natrudziłem, ale też wykryłem rzecz wielce zastanawiającą.

Przed półwieczem, kiedy smok zalegał jedynie dwa miliony hektarów, nikt nie traktował go serio. Trafiłem na liczne artykuły, postulujące wykarczowanie albo zalanie smoka wodą ze specjalnie prowadzonych kanałów, żeby zamarzną zimą, lecz ekonomiści wyjaśniali wtedy, jak kosztowna byłaby taka operacja. Lecz kiedy smok, żywiąc się podówczas wyłącznie mchem i porostami, podwoił swe rozmiary i mieszkańcy przygranicznych rejonów zaczęli się uskarżać na nieznośny fetor, zwłaszcza wiosną i latem, gdy zawiął cieplejszy wiatr, organizacje samopomocowe wzięły się do perfumowania smoka, a gdy nie dało to rezultatów, do organizowania zbiorów pieczywa. Zrazu te akcje wyśmiewano, ale z czasem nabrały rozmachu. W późniejszych rocznikach prasy ani słowa nie było już o likwidacji smoka. Coraz więcej za to o korzyściach, jakie można mieć z udzielania mu pomocy. Niby się czegoś w ten sposób dowiedziałem, ale niezaspokojony wyprawiłem się w końcu na uniwersytet, gdyż była tam katedra ogólnej i stosowanej drakologii. Jej kierownik przyjął mnie nader uprzejmie.

- Pytania pańskie mają silnie anachroniczny charakter - rzekł z wyrozumiałym uśmiechem, kiedy mnie wysłuchał. - Smok jest obiektywną częścią naszej rzeczywistości, częścią centralną poniekąd, integralną i dlatego należy się nim zajmować jako międzynarodowym zagadnieniem dużej wagi.

- Prosiłbym o konkrety - odrzekłem. - Skąd on się w ogóle wziął, ten cały smok?

- A kto go wie - rzekł flegmatycznie drakolog. - Archeologia, pradrakonistyka oraz genetyka smoków leżą poza granicami mego zainteresowania. Nie zajmuję się drakogenezą. Dopóki był mały, nie stanowił problemu. Tak jest ze wszystkim, szanowny cudzoziemcze.

- Ktoś mi powiedział, że on powstał ze zmutowanych ślimaków?

- Nie sądzę. Zresztą wszystko jedno, skąd się wziął, skoro jest, i to bardzo. Gdyby nagle znikł, równałoby się to katastrofie. Wątpię, byśmy mogli uporać się z jej skutkami.

- Naprawdę? Ale właściwie czemu?

- Mieliśmy jako skutek automatyzacji rosnące bezrobocie. Także w zawodach akademickich.

- I co - smok temu zapobiegł?

- Oczywiście. Mieliśmy ogromne nadwyżki artykułów spożywczych, górę makaronu, jeziora jadalnego oleju, oraz nadprodukcję wyrobów cukierniczych. Obecnie eksportujemy te nadwyżki na północ, a jeszcze trzeba je uprzednio specjalnie przetwarzać. On nie chce żywić się byle czym.

- Smok?

- Właśnie. Aby ustalić optymalny program jego żywienia, przyszło stworzyć szereg placówek badawczych. Na przykład Główny Instytut Wypasania Smoka, Wyższą Szkołę Smoczej Higieny, ponadto na każdym uniwersytecie działa teraz co najmniej jedna katedra drakologii. Mamy zakłady gastronomiczne, produkujące nowe rodzaje potraw i odżywek. Ministerstwa propagandy zorganizowały specjalne sieci informacyjne,

żeby wyjaśniać społeczeństwu korzyści, jakie przynosi wymiana towarowa ze smokiem.

- Wymiana? To on wam czegoś dostarcza? Nie może być!

- Naturalnie, że dostarcza. Najpierw tak zwaną drakoninę. Jest to jego wydzielina.

- Ten taki błyszczący śluz? Widziałem to na zdjęciach. Do czego się nadaje?

- Ze zgęszczonego można wytwarzać plastelinę dla przedszkoli, chociaż są problemy, są. Woń jest trudna do zniesienia.

- Śmierdzi?

- W pewnym sensie bardzo. Żeby odwaniać ją, dodaje się specjalnych dezodorantów. Na razie smocza plastelina jest osiem razy droższa od zwykłej.

- A co pan profesor powie o zamachu na smoka? Uczony podrapał się w ucho, które zwisało mu nad wargami.

- Gdyby ten zamach się powiodł, mielibyśmy najpierw zarazę i epidemię. Wyobraża pan sobie wyziewy, buchające z takiego truchła? Po wtóre - krach banków. Zapaść systemu monetarnego. Doszłoby do ruiny cudzoziemcze. Do okropnej ruiny.

- Ale jego obecność daje się we znaki, nieprawdaż? Mówiąc bez osłonek - jest w najwyższym stopniu przykra?

- Co to jest przykrość? - z filozoficznym spokojem rzekł drakolog. - Kryzys posmoczy byłby jeszcze przykrzejszy! Proszę zważyć, że my nie tylko żywimy go, lecz zajmujemy się nim poza sferą gastronomii. Staramy się go ułagodzić, utrzymać w pewnych ryzach. Jest to program tak zwanej domestykacji oraz pacyfikacji. Podaje mu się ostatnio wielkie ilości słodyczy. On lubi łakocie.

- Wątpię, aby stał się od tego słodki - mruknąłem.

- Ale eksport przemysłu cukierniczego wzrósł czterokrotnie. No i pamiętać trzeba o działalności URSS.

- Co to jest?

- Urząd Regulacji Skutków Smoka. Zapewnia pracę młodzieży kończącej wyższe studia. Smoka należy poznać, badać, od czasu do czasu leczyć, przedtem mieliśmy nadmiar pracowników służby zdrowia, obecnie natomiast każdy młody lekarz ma zapewnioną pracę.

- No tak - powiedziałem bez przekonania. - Ale przecież wszystko to jest eksportem dobroczynności. Dlaczego nie mogliście być dobroczyńcami własnych obywateli wprost?

- Jak pan to rozumie?

- No... przecież łożycie na smoka moc pieniędzy!

- I cóż, miałyby się je rozdawać obywatelom w postaci darów? To jest sprzeczne z podstawami wszelkiej gospodarki! Widzę, że pan nie zna się na ekonomii. Kredyty przeznaczone na ten eksport rozgrzewają nam koniunkturę. Powiększają obroty.

- Ale powiększają też samego smoka - przerwałem mu. - Im intensywniej go karmicie, tym staje się większy, a im staje się większy, tym większy ma apetyt. Co to za kalkulacja? Przecież on was w końcu pożre!

- Nonsens - oburzył się profesor. - Banki księgują kredyty jako aktywa!

- Niby, że to są zwrotne pożyczki? I co, zwróci je ta plastelina?

- Proszę nie chwytać mnie za słowa. Gdyby nie smok, dla kogo produkowalibyśmy specjalne rurociągi, którymi tłoczy mu się kleik? Proszę pomyśleć - rurociągi to huty i stalownie, i walcownie, i maszyny spawalnicze, i środki transportu, i tak dalej. Smok ma potrzeby realne. Pojmuje pan, czy nie? Produkcyjnych potrzeb nie można brać z powietrza! Fabrykanci nie będą nic produkować, jeśli mieliby swoje wytwory rzucać do morza. Co innego konkretny odbiorca. Smok jest olbrzymim, niezmiernie chłonnym rynkiem zagranicznym, o kolosalnym popycie...

- W to nie wątpię - oświadczyłem, widząc już, że i ta rozmowa prowadzi donikąd.

- A zatem przekonałem pana?

- Nie.

- Bo przybywa pan z cywilizacji zbyt odmiennej niż nasza. Zresztą smok od dawna już przestał być tylko stroną, importującą nasze produkty.

- A czym się stał?

- Ideą, mój panie. Koniecznością dziejową i racją naszego stanu. Potężnym czynnikiem nadającym zborny sens naszym zjednoczonym wysiłkom. Proszę spojrzeć na rzecz z tej strony, a pojmie pan na koniec, jak fundamentalne zagadnienia kryje w sobie skądinąd paskudne bydlę, jeśli osiąga planetarne rozmiary.

PS Mówią, że smok się rozpadł na smoczki, ale ich apetyt wcale się nie zmniejszył.

SPÓR MIĘDZY MUNCHHAUSENEM A GULIWEREM

Żaden z Lemowych cykli nie powstawał tak długo! Pierwsze odcinki Dzienników gwiazdowych datują się na początek lat pięćdziesiątych, ostatni - Pożytek ze smoka powstał w roku 1983, a więc dzieli je trzydzieści lat, podczas których na świecie "wszystko się zmieniło", jeden tylko Ijon Tichy pozostał taki jaki był - tak jakby nie zauważył stalinizmu, odwilży i kolejnych przewrotów w świecie polityki czy myśli ludzkiej. Kim więc jest ów niezmienny bohater Dzienników? Nic nie wiemy o jego życiu rodzinnym; jeśli do domu (na Ziemię) wpada, to tylko po to, aby za chwilę znowu gdzieś polecieć, jeśli ma jakąś biografię, to tylko w kawałeczkach - takich, które się nadadzą jako materiał do anegdoty. Cechy charakteru? Człowiek czynu, raczej optymistą, ale też towarzyski, obyty w świecie, nie dziwiący się byle czemu, przy tym gaduła, bazarz, dbający przede wszystkim, by słuchaczy ubawić - nawet własnym kosztem. Podróżując z Tichym, porzucamy grozę, jaką budzić może obcość Wszechświata: kosmiczny wędrowiec wszędzie jest bowiem zdomowiony, nic nie narusza na dłużej jego pewności siebie, a niezmożony praktycyzm, jaki ujawnia w każdej sytuacji, pokonuje wszelkie przeszkody.

Przodkowie Tichego byli nader liczni - i nic dziwnego, że nawet w króciutkim wstępie do pierwszego wydania Dzienników autor cyklu szuka ich w literaturze tworzonyj w ciągu czterech (XVIXIX) stuleci. Alkofrybas, Guliwer, Munchhausen - dodać można równie dobrze Odysa z Itaki, Kandyda. nawet Imć Pana Paska i całe tuziny innych - obieżyświat, awanturnik i causeur w jednej osobie to bowiem jedna z najbardziej rozpowszechnionych w literaturze światowej postaci. Czasem funkcję gawędziarza sceduje na narratorka opowieści, nigdy jednak nie wyrzeknie

się przyrodzonej odwagi i optymizmu, z którymi rzuca się w kolejne przygody. Łowca przygód to jednak w literaturze światowej postać z niejednorodnej materii. Raz króluje nad upływem czasu, nie zmieniając się ani na jotę, i w każdej przygodzie jednak jest "na wierzchu" - innym razem rozwija się pod wpływem tego, co przynosi mu los, a pod koniec opowieści mądrzejszy jest i dojrzałszy niż na początku. Można by rzec, iż w pierwszym przypadku obieżyświat zawsze jest z siebie zadowolony, a do nowych łądów tę samą wciąż (własną) przykładą miarę, w przypadku drugim przygody służą mu po to, by się o sobie dowiedzieć czegoś nowego, by - na odwrót - cudzą miarę przyłożyć do własnej osoby i kulturowej schedy, z którą przyszedł do Obcych. Wzorcem pierwszego z tych bohaterów mógłby być baron Munchhausen, wzorcem drugiego - Guliwer.

Na pierwszy rzut oka więcej jest w Tichym z Munchhausena: jego przygody mają charakter nieprawdopodobnych a uciesznych przypadków, w których na pozór bardziej chodzi o zabawienie czytelnika i groteskową autoapologię niż o zysk poznawczy, w samym zaś podróżniku trudno uchwycić proces dojrzewania i wewnętrznej przemiany. Ten Tichy z wczesnych szczególnie "podróży" lata od planety do planety i zwiedza je niczym bogaty turysta dalekie a nie znane bliżej kraje. Osobliwości żywota ich mieszkańców nie są dla nas czymś nowym: z łatwością rozpoznamy w nich aberracje, w które niekiedy wpada cywilizacja ludzi, szczególnie wtedy, kiedy zapragnie rozwiązać jakiś problem "logicznie i naukowo", z użyciem pojętych dogmatycznie praw i przeświadczeń. W tych wczesnych opowieściach Ijona Tichego razy rozdaje się na wszystkie strony: obrywają od autora nie tylko ufni w Program Szkolny Andrygoni, ale też - zgodnie z wymogami epoki - amerykańscy militaryści i katolicki misjonarze; swoje otrzymują też ideolodzy wschodniego obozu, tyle że w formie zgrabnie zamaskowanej. Lem napisał swe Dzienniki z niebywałą zręcznością. Trzeba było ostatecznie zmylić cenzora - szczególnie w stalinowskich czasach dociekliwego - i napisać coś, co dałoby się odczytywać na dwa sposoby. Najlepiej widać to w Podróży dwudziestej czwartej, która na powierzchni jest kpina z rzekomo nieuchronnych ekonomicznych sprzeczności rozsadzających kapitalistyczne demokracje. Autor ostentacyjnie pomija oczywisty fakt, że owe sprzeczności dawno już zostały na Zachodzie rozwiązane. Jego niby Ameryka nic nie wie o idei welfare state, próbuje się za to leczyć całkiem po sowiecku - przez wprowadzenie "absolutnego porządku", a jej mechaniczny władca nie umie wyobrazić go sobie inaczej, jak w postaci deseni układanego na polach z obywateli przerobionych w standardowe krażki. Istny "żywy obraz" z moskiewskiego czy pekińskiego stadionu!

Jeszcze wyraźniej polityczny i doraźny sens ma pierwsza część Podróży trzynastej, napisana nieco później i wymierzona już jawnie w absurdy komunizmu, kpiąca z doktryny władającej niepodzielnie nad społeczną rzeczywistością i zdrowym rozsądkiem. Cały szereg opowiadań z tego cyklu ukazuje system społeczno-polityczny, w którym żyją istoty myślące, jako swoistą pułapkę, która z byle powodu zatrasnąć się może, więzząc w środku jednostki i zmuszając je do posłuszeństwa wobec jawnie idiotycznych reguł istnienia i działania. Zgodnie z poetyką filozoficznej powiastki Ijon Tichy, lecąc w kosmos, dociera więc wciąż na Ziemię i z ludzkimi wciąż kłopotami musi się borykać. Ale skąd sam leci, skoro do "ludzi" dolatuje? Wygląda, iż z królestwa racjonalności i praktycznego rozsądku, z miejsca, w którym nie funkcjonują żadne przesady i nikt nie ma ambicji uszczęśliwiania obywateli na siłę. Tichy jest więc "reprezentantem człowieczeństwa", ale jako potomek barona podróżuje po świecie głównie po to, aby się do swej schedy zdystansować; rysuje nam kolejno coraz to nowe karykatury ludzkości, a ona ochoczo dostarcza mu wciąż nowego po temu materiału. Tichy Munchhausen nie musi się więc zmieniać, a kolejność jego przygód nie ma najmniejszego znaczenia (stąd numeracja Podróży nie zgadza się z chronologią ich powstawania).

A teraz Tichy Guliwer: ten nie umie już kreślić swobodnie swych karykatur, coraz lepiej wie bowiem, że groteskowy absurd i nierozwiązywalne problemy wpisane są w ludzką kondycję od samego zarania. Stąd tonacja późniejszych zwłaszcza opowiadań cyklu jest znacznie poważniejsza niż wprzód. To w serii Wspomnień Ijona Tichego pojawia się po raz pierwszy dylemat "skrzyń profesora Corcorana": hipoteza świata jako (nieskończonej może?) hierarchii poziomów bytu, w której istoty poziomu wyższego stwarzają - niczym sam Pan Bóg - istoty "niższe" i cały ich

świat, będący zresztą z ich punktu widzenia tylko elektroniczną ułudą. Rzecz jasna, "wszechmoc" istot wyższego poziomu jest zaledwie względna, a unicestwić wykreowaną rzeczywistość może byle awaria systemu zasilania. W Dziennikach gwiazdowych pojawia się bodaj po raz pierwszy u Lema hipoteza "Boga" jako istoty materialnej i skończonej, niedoskonałej czy zgoła kalekiej. Ale te intelektualne eksperymenty z doskonałością i transcendencją idą dalej: do wcześniej napisanych Podróży Lem dopisuje dziewiętnastą, dwudziestą i dwudziestą pierwszą. W pierwszym z dwóch bohater opisuje bezowocne próby naprawienia ex post błędów stworzenia, co jednak w żaden sposób udać się nie może: defekt okazuje się niezbywalnym składnikiem Bytu. Najciekawsza jest Podróż dwudziesta pierwsza opisująca wizytę Tichego na planecie Dychtonii, której mieszkańcy osiągnęli praktyczną wszechmoc inżynierską, tzn. nieograniczoną władzę tworzenia, a także dowolnego przeobrażania swoich własnych ciał. Ta wszechwładza nad materią daje dość ponure rezultaty: Dychtończycy wprawdzie "wszystko mogą", ale też dlatego nie potrafią zdecydować, czego naprawdę chcą. Ich nieograniczona wiedza i intelektualna sprawność stają się osobliwym diabelstwem - potężną siłą działającą w przestrzeni pozbawionej kierunków i punktów orientacyjnych, pozwalających ocenić przebytą drogę i wytyczyć nowe cele. Jediną radę na tę metafizyczną pustkę znają istoty znacznie od Dychtończyków mniej doskonałe - porzucone na pewnym etapie ewolucji rozumne roboty. Owe roboty zakładają zakon i wierzą w Boga. Wierzą weń dziwnie, bo niczego odeń nie oczekują i nijak go sobie nie wyobrażają; jedynym jego atrybutem ma być istnienie. Ale tyle właśnie trzeba, by nie popadać w logiczne sprzeczności i pułapki teodycei, a jednocześnie zyskać zbawczy punkt odniesienia, którego pochodzenie byłoby pozarozumowej natury. Ojcowieroboty nie chcą absolutnej wolności, odrzucają wszechmoc, nawet tam, gdzie pozwala skutecznie nawracać innych na wiarę, rozumieją bowiem dobrze, iż fundament świata musi tkwić w przestrzeni niedosiężnej dla jakiegokolwiek poznania i działania, a kultura wiąże się nieuchronnie z samoograniczeniem, z akceptacją etycznych prawideł i zakazów, jednym słowem, ze swoistym umeblowaniem świata przy pomocy przejętych z tradycji - nie z rozumu - zasad i reguł.

Doskonałość i nieskończoność, jak widać, źle służą Lemowemu światu. Tichy wzdyga się na widok ludzkiej "duszy" na wieczność zatrzaśniętej w kryształ, mierzi go zarówno jednostkowa nieśmiertelność, jak niczym nie otamowana omnipotencja, na koniec - ustami profesora Dońdy - dowodzi, iż świat ludzki i w ogóle cała ewolucja "na błędzie stoi, albowiem błąd się błędem odciska, błędem obraca, błąd tworzy, aż losowość zamienia się w Los Świata". W tych warunkach również przepowiadanie przyszłości staje się trudem jałowym i obciążonym złą wiarą. Brawurowy Kongres futurologiczny pokazuje nam świat, w którym zrealizowały się jednocześnie najróżniejsze i sprzeczne wzajem scenariusze dalszego rozwoju ludzkości: utopię i antyutopię dzieli tam od siebie cieniutka błonka wywołanej chemicznie ułudy.

Wspomnienia Ijona Tichego, obok kilku dopisanych najpóźniej Podróży, wprowadzają bohatera w rzeczywistość, w którą nie da się już wejść bezkarnie, bez skutków w postaci wewnętrznej przemiany. "Widząc bezpłodność dalszego pobytu na planecie [...], ruszyłem w drogę powrotną, czując się innym człowiekiem niż ten, który nie tak dawno temu przecież na niej wylądował" - kończy swą opowieść bohater Dzienników w Podróży dwudziestej pierwszej. Takie słowa nie przeszłyby pewnie przez usta Munchhausenowi, byłyby natomiast całkiem na miejscu w historii Guliwera, któremu Swift kazał podróżować przede wszystkim po to, aby umiał z dystansem spojrzeć na marność własnej - ludzkiej - kondycji. Ale czy Lem potrafi drwić jedynie ze śmieszności człowieka? Przyjrzyjmy się na koniec Tragedii pralniczej. Opowiadanie to należy do najśmieszniejszych tekstów w Dziennikach. Autor używa sobie na absurdach tkwiących w mechanizmie kapitalistycznej konkurencji, opisując walkę pomiędzy dwoma producentami mechanicznych pralek jako proces żywiołowy, wymykający się racjonalnej kontroli i prowadzący do społecznego kryzysu. Najzabawniej wypadają tu bodaj uczeni prawnicy, próbujący reagować ustawami na inwazję człokształtnych maszyn, są bowiem zawsze o krok zapóźnieni wobec zmieniającej się błyskawicznie rzeczywistości. Ale - spytajmy - cóż mają począć juryści? Bronią przecie jakiegoś (ludzkiego) porządku, próbują wytyczyć w świecie granice tego, co dozwolone i zabronione, budują więc ostatecznie kulturę - nawet jeśli kaleka ona i nieodparcie śmieszna. to lektura

dostarczająca wiele przedniej zabawy, ale ta zabawa - jak cała kondycja człowieka - podszyta jest śmiertelną powagą spraw ostatecznych i dylematów nie do rozwiązania.